

CZARNA SERIA

A nighttime photograph of a house with a patio. The house has several windows and doors, all of which are illuminated from within, casting a warm, yellow glow. The patio is paved with bricks and features a white lounge chair, a small table with two chairs, and a large white umbrella. The overall atmosphere is cozy and inviting.

Åke Edwardson

Ostatnia zima

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Dziesiąty tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

Åke Edwardson

Ostatnia zima

przełożyła Małgorzata Kłos

Wydawnictwo Czarna Owca

Warszawa 2013

Dla Rity

ZGŁOSZENIE NA TELEFON ALARMOWY przyszło dokładnie o piątej trzydzieści dwie i osiemnaście sekund. Wezwanie dotyczyło zagrożenia życia: „Moja partnerka nie oddycha!”. Godzina zresztą nie miała w tamtym momencie znaczenia. Szczegóły mogły się okazać istotne dopiero później, w pierwszej fazie dochodzenia wstępnego. W fazie kiedy, jak, kto. A może też dlaczego. O ile oczywiście dochodzenie w ogóle miało się zacząć, bo nie było wykluczone, że zdarzenie miało jednoznaczny przebieg. Ale kiedy rano, w pierwszej połowie grudnia, radiowóz ruszył na południe miasta, w stronę Vasastan, wszystko to nie było jeszcze przesądzone. Nie było też wiadomo, czy nadchodzący dzień będzie ładny. Prognozy były enigmatyczne. Ale stażystka Gerda Hoffner czuła, że w powietrzu unosi się jeszcze jesień. Czuła ten słodkawy, październikowo-listopadowy zapach, będący pozostałością roku, który za chwilę miał się skończyć. Może przyszedł rok będzie ładny. Ale wkrótce i on trafi do archiwum, mówiąc policyjnym żargonem. Choć akurat wtedy to nie policyjny żargon zaprzętał Gerdzie głowę. Po prostu chciała już mieć za sobą tę interwencję. Był z nią Johnny – siedział obok i rozglądał się za właściwym numerem domu. Johnny Pośpiech. Szybko dorobił się tego pseudonimu. Gerda zresztą też chciała jak najszybciej skończyć, a potem jechać do domu. Po południu wybierała się pobiegać. Dziesięć kilometrów przez Pålvelund i Ruddalen. Powoli. A potem się położy.

Bała się. Czekają ją spotkanie ze śmiercią. Pierwsze.

– To tutaj – powiedział Johnny, wskazując na jedno z wejść zwieńczonych dwiema zdobnymi cyframi. Chyba były wykute ze złota. Wejście wyglądało zarazem zachęcająco i odpychająco. Do środka zapraszało swoich, ale dla wszelkich mętów społecznych było zamknięte. O ile oczywiście jakieś męty tam trafiały, zboczywszy z Avenyn podczas piątkowej popijawy. Bo do Avenyn było niedaleko. Ja nie byłam i nie jestem swoja,

pomyślała Gerda, wysiadając z samochodu. Nigdy nawet nie byłam w żadnym domu na Vasastan. Policja rzadko tu zagląda.

Wybrała kod na domofonie i gdzieś ze środka masywnych drzwi usłyszeli kliknięcie. Johnny nacisnął ciężką klamkę.

– Przynajmniej nie zapomniiał kodu – powiedział.

– A dlaczego miałby zapomnieć?

– Jeśli obok leży martwa dziewczyna, to niekoniecznie się pamięta o takich rzeczach jak kod do domofonu.

Weszli na klatkę schodową. Przypominała salę balową. Gerda się rozejrzała. Wszędzie aż błyszczało od srebra i złota. Jestem jak Kopciuszek na balu, pomyślała. A już mam odciski. Te nowe buty od munduru są za małe, od razu to poczułam. Czemu się nie odezwałam? Ale w tej chwili nie ma co zaprzętać sobie tym głowy. Chociaż może jednak lepiej myśleć o czymś innym. Niedobrze, że tu jestem. Czuć grozę. W życiu się tak nie bałam. Co teraz będzie? Spojrzała na pnące się w górę schody i sufit. Co tam znajdziemy? Nasłuchiwała sygnału karetki, ale na dworze było cicho. A akurat wtedy naprawdę chciała usłyszeć syreny przecinające poranne powietrze i budzące wyciem mieszkańców tych pięknych domów. Ten odgłos by ją uspokoił.

– Trzecie piętro – powiedział Johnny. – Jedziemy windą?

Winda wyglądała jak z dziewiętnastego wieku. I pewnie zresztą wtedy powstała. Cały dom był dziewiętnastowieczny. Zbudowano go dla bogaczy i tacy nadal tu mieszkali. Ale ktoś z trzeciego piętra właśnie zostawił to wszystko za sobą. Zostawił przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Ściany pokrywały wymyślne stuletnie wzory. Gerda pamiętała, że ten styl w sztuce ma swoją nazwę. Jakieś niemieckie słowo¹, które trafiło do kilku języków. Coś z młodością. Ciekawe, stary dom i dawna sztuka, której nazwa nawiązuje do młodości. Wzory na ścianach wiły się w dół, w górę, oplatały schody i windę.

– Winda nie wchodzi w grę – powiedziała Gerda. – Nie mam zamiaru utknąć gdzieś między piętrami.

Johnny ruszył w stronę marmurowych schodów. Zdażył już złapać za sig sauera. Już mu się spieszyło. Gerda poszła za nim.

1 W Szwecji styl secesyjny określa się zapożyczonym z niemieckiego terminem *jugend* – dosł. młodość (przyp. tłum.).

Niosła narzędzie do wyłamywania drzwi. Siekierkę, łom, przecinak i dłuto w jednym. Dla policji i dla złodziei. Choć ci drudzy posługiwali się nowszym modelem. Gerda usłyszała coś na klatce, gdzieś otworzyły się drzwi. Chyba na górze, tak to zabrzmiało. Spojrzała na zegarek. Dla niektórych, również mieszkańców tego domu, poranek już się zaczął albo miał się zacząć wkrótce. Ale to miejsce kojarzyło się Gerdzie z leniwymi przedpołudniami, ogromnymi skąpanymi w słońcu pokojami, jedwabnymi szlafrokami i srebrną tacą ze srebrnym serwisem do herbaty stojącą na srebrnym stoliku. Możliwe, że widziała taką scenę w filmie, pewnie w jakimś angielskim. Ale przecież angielskie trendy trafiły również do Göteborga. Swego czasu miasto nazywano Małym Londynem. Ale akurat o tym Gerda niewiele wiedziała. Trochę lepiej kojarzyła wpływy niemieckie, choć wokół siebie nie miała ich już zbyt wiele. Odkąd jej rodzice przeprowadzili się z powrotem do Lipska. Małego Lipska. Teraz muszę zrobić wszystko jak należy, pomyślała, wchodząc po schodach. Muszę być czujna. Muszę raczej patrzeć, niż słuchać. Teraz muszę polegać na oczach, nie mogą mnie zawieść. Dotarli na trzecie piętro. Przed sobą mieli troje drzwi. Jedne były uchylone na jakieś dziesięć centymetrów. Wyglądały na tak samo masywne jak drzwi na dole. Były zrobione z jakiegoś ciemnego drewna. Wyglądały jak z żelaza. Z tyłu głowy poczuła muśnięcie. Jakby ktoś naciągnął na nią tkaninę. Strach. Zacisnęła palce na kolbie pistoletu. Była zimna jak żelazo. W takich sytuacjach żelazo może uspokoić.

Nagle światło na klatce zgasło.

Jaśniejsza strużka sączyła się tylko zza otwartych drzwi.

Ale to światło nie wyglądało przyjemnie. Przypomina węża, pomyślała Gerda. Węża, który sunie w naszą stronę. Widziała profil Johnny'ego. Odwrócił się do niej. Chyba już nie było mu tak spieszo. Boi się jak ja. Z mieszkania dobiegł jakiś dźwięk. Czy raczej z apartamentu, bo to nie było zwykle mieszkanie. Jakby ktoś wzdychał albo brał głęboki wdech. Dźwięk uleciał przez drzwi wraz ze świetlnym węzem. A za nim kolejny. Ale ten brzmiał trochę inaczej, jak powolny krzyk. Nie było w nim strachu. Bo Gerda wiedziała, co to strach.

– W każdym razie facet jest w domu – powiedział cicho Johnny. Słysząc było, że jest zdenerwowany. Same słowa były może i chwackie, ale głos niwelował tę zuchwałość. Zawsze tak jest, głos ujawnia wszystko.

Johnny się nie ruszał. Gerda go minęła i pchnęła drzwi końcówką pistoletu. Okropny dźwięk przybrał na sile, ale jej nie ogłuszył. Zobaczyła hol. Krzesło. Niewielki stolik. Coś wiszącego na ścianie i kryształowy żyrandol pod sufitem. Właśnie tego się spodziewała – kryształy już w holu. Zresztą hol był wielkości jej mieszkania. Piętnaście metrów dalej widać było kawałek pokoju. Widziała okno i odbijające się w nim światło. Bo w pokoju też paliła się lampa, ale jeszcze słabsza niż ta w holu. I znów ten dźwięk. Wręcz nieludzki, ale co w gruncie rzeczy jest ludzkie? W nowej pracy Gerda zdążyła już zrewidować swoje poglądy na tę kwestię. Wszystko okazało się trudniejsze, niż mówili w szkole policyjnej. Bo ludzkość ujawnia się pod wieloma różnymi postaciami. Ma różne oblicza. I różnie krzyczy – właśnie rozległ się kolejny krzyk. Przypominał podmuch wiatru. Gerda się zatrzymała.

– Co, do cholery? – Johnny minął ją i zrobił kilka kroków w głąb holu.

Znów usłyszeli krzyk. Teraz już na pewno nie było w nim nic ludzkiego. Gerda zrobiła krok w jego stronę.

Zapadł się w ciemność. Już nic nie widział. Całe światło gdzieś zniknęło. Będzie tak żył w ciemnościach przez całą wieczność. I to właśnie jest najgorsze. Że będzie żył.

– Erik? Erik!

Jej wołanie przebiło się przez jego krzyk. Wciąż tkwił w koszmarze. Był na samym jego dnie. A ona stała na górze, na krawędzi grobu, i próbowała go wołać. Usłyszał ją. Jej głos wyciągnął go z powrotem. Tak właśnie było.

– Erik, co się dzieje? Erik?

Wrócił do świata. Dzięki Bogu, że istnieją koszmary, pomyślał. Dzięki nim można wrócić z piekła do życia. Co za ulga. Ciesz się, że żyjesz, stary. Bo tam, na dole, jest ciemno.

– Już w porządku – odparł.

Pogłaskała go po czole. Wiedział, że spociał się jak mysz. To

jeden ze skutków koszmaru. Bo koszmary to ogromny wysiłek. Przypominają trening w piekle.

– Ten sen musiał być straszny jak cholera – powiedziała, dalej gładząc go po czole. Rzadko przeklinała, ale czasami po prostu nie dało się użyć innego słowa.

– Chyba śnił mi się własny pogrzeb – odparł, kładąc dłoń na jej ręce. – Spuścili mnie w trumnie.

Angela milczała. Teraz Winter poczuł, że jego dłoń jest bardzo zimna, a jej – gorąca. Cała krew spłynęła mu do serca, jak w wirówce. Jeszcze kilka takich potwornych snów i będę musiał brać leki na ciśnienie.

– Było tak, jakbym zupełnie oślepl – powiedział. – W życiu nie widziałem takich ciemności. – Spojrzał na Angelę. – O ile ciemności można widzieć. Ja w każdym razie widziałem. – Słyszał, że mówi cicho, jakby głos miał stłumiony. – Te ciemności były czarniejsze od czerni. A potem już nic nie widziałem.

Angela pokiwała głową.

– Tak właśnie jest teraz z Larsem – ciągnął Winter. – Już nic nie widzi.

Sny nie mają żadnego scenariusza, dlatego są snami. Totalna improwizacja. Ale jego sen był odbiciem rzeczywistości. Zaledwie kilka dni wcześniej pochowali Larsa Bergenhema. Dni, a może tygodni. Właściwie to już miesięcy. Bergensem był inspektorem w wydziale śledczym komendy w Göteborgu niemal tak długo, jak długo Winter był tam komisarzem. To już prawie piętnaście lat. Lat długich i krótkich, pięknych i brzydkich. Mijający rok był brzydki, wręcz okropny. Bergensem żył, a potem nagle zginął. Zapadł się w ciemność. Dosłownie zapadł się pod ziemię. Winter przez tę straszną minutę mocno przyciskał do siebie jego martwe ciało. A przez kolejne minuty, godziny, dni i tygodnie, choć przeżył, chodził jak w letargu.

Wszyscy widzieli, jak trumna z ciałem Bergenhema znika w ziemi. Winterowi wciąż się to śniło. Czuł się winny. Bo czegoś nigdy nie powiedział, nie zrobił. Nie powiedział Bergensemowi czegoś, co może by go powstrzymało. Była ta sekunda, może

nawet minuta, kiedy mógł zrobić wszystko. Ta krótka chwila na ziemi. Wracał do niej myślami. Prześladowała go w snach. Mimo wszystko wiedział, że sny się skończą. Teraz zaczął to sobie uświadamiać. On przeżył, podczas gdy ktoś inny zginął. W pewnym sensie narodził się ze śmierci Bergenhema. To też teraz do niego dotarło. W tym roku przeszedł swego rodzaju życiowy kryzys. Był tego świadomy. Zmierzał dokądś, czy też starał się od czegoś uciec, i nie umiał się zatrzymać. To było jego prywatne piekło i zaczął nim męczyć siebie i najbliższych: Angelę, która była jego najlepszą przyjaciółką, ale też – od ślubu na Costa del Sol – żoną, i dzieci, Elbę i Lilly. Boże. Sam sobie kopał grób. Długo dokuczały mu silne bóle głowy. Jakaś tajemnicza migrena. Chyba. A zniknęła w jednej chwili, kiedy trzymał ciało Bergenhema. I już nigdy nie wróciła. Na wszelki wypadek pozwolił się zbadać, w końcu dał się namówić. Zrobili mu rentgen głowy. Nie wykryli żadnych guzów, ani złośliwych, ani niezłośliwych. Żadnego stanu zapalnego mózgu, nic ponad to, co sam sobie uroił, nic ponad to gorączkowe dążenie donikąd. Śmierć Bergenhema dała mu nowe życie. Kiedy ta myśl przysłała mu do głowy po raz pierwszy, uznał, że brzmi melodramatycznie, wręcz niedorzecznie, patetycznie. Ale była prawdziwa. Najprawdziwsza. Bergensem dał mu życie i najgorsza ze wszystkiego była świadomość, że oto teraz znów będzie niemal szczęśliwy – dzięki śmierci kolegi. Bo już nie był na pół trupem, jak wcześniej. Jego życie i praca potoczą się dalej. Bo śmierć Bergenhema dała życie wszystkim. Wszyscy najbliżsi przyjaciele z wydziału, tak jak on, przechodzili życiowe kryzysy. Potem zrozumiał, że to nic nadzwyczajnego. Po prostu we współpracującej ze sobą od dawna grupie dochodzi do grupowych kryzysów, choć każdy przeżywa je na swój sposób. A jeśli coś sypie się u jednej osoby, sypie się również u reszty, choć u każdego inaczej. Może on był najbardziej winien. Dawał innym zły przykład. Był szefem. Ale teraz koniec z tym. Wrócił do życia. Kolejna melodramatyczna myśl.

Uśmiechnął się.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytała Angela.

- Bo nie leżę w grobie.
- Z tego można się śmiać w głos.
- Za rzadko to robimy.
- Jeszcze nie jest za późno.

Jeszcze nie, pomyślał. Ale właśnie takich myśli powinien od teraz unikać. W każdej możliwej chwili powinien celebrować to, że jeszcze żyje. Niemal każdy ból jest lepszy niż śmierć, choć jeśli chodzi o ten przeklęty ból głowy, wołałby, żeby już nigdy nie wrócił. Chciał robić coś nowego. Bo w tym życiu wszystkiego trzeba spróbować choćby raz. No, wszystkiego z wyjątkiem kazirodstwa i tańców ludowych.

– Nigdy nie jest za późno – powiedział. – Idziemy spać. Tylko żadnych snów.

– Pojedziemy po śniadaniu nad morze?

– Jasne – odparł i pomyślał o wietrze, plaży, pięknym niebie i zapachu wilgotnej soli. Grudzień to najlepszy z miesięcy.

Gerda Hoffner i Johnny Pośpiech przeszli przez hol. Minęli wejście do kuchni. Gerda zauważyła połyskujące blaty i drzwiczki. Stal, drewno, ale też cegły. Nowoczesna kuchnia w starym domu. Wiadomo. Zawsze tak było. Nowości najpierw trafiają do bogaczy. W kuchni paliło się światło. Świeciło jakby w kropki. Pewnie na suficie albo na ścianach zainstalowano oświetlenie punktowe. Na blacie stała butelka wina. Obok – kieliszek. Nic więcej. Światło podświetlało wino w butelce. Gerdzie przypominało bursztyn albo rubin. Nigdy wcześniej takie porównanie nie przyszło jej do głowy. Rzadko piła wino, a jeśli już, to białe.

Teraz krzyk rozbrzmiewał tuż obok. Byli już blisko pokoju na końcu holu.

– Pomocy! – usłyszeli. – Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Weszli do środka. W lewej ręce Gerda trzymała latarkę. Znaleźli się w sypialni. Gerda starała się zobaczyć wszystko naraz. Może ktoś ją później o to zapyta. Kiedy dostali zgłoszenie z centrali, akurat jechali Allén. Wszystkie inne pasy były puste. Nie zaczęło jeszcze świtać. Dla większości ludzi dzień miał się zacząć dopiero za pół godziny. Zgłoszenie z mieszkania na Vasastan. Mężczyzna zadzwonił na sto

dwanaście. Ktoś nie żyje. Kto? Nie wiadomo. Zawiadomienie o śmierci też było niejasne. Mężczyzna był poruszony, tak twierdził dyżurny z centrali. Dzwoniący wydawał się „oszołomiony”.

– Brał coś? – zapytała Gerda.

– *Can't say* – odparł dyżurny, jakby to był *Posterunek przy Hill Street*. Jakby się znaleźli w Nowym Jorku lat siedemdziesiątych. Gerda urodziła się w roku 1979, ale to właśnie tę dekadę uznawała za swoją. Bo w latach siedemdziesiątych wszystko było wyrazistsze. Teraz, trzydzieści lat później, ta dekada przeżywała renesans. Kto by pomyślał. I wtedy zobaczyli mężczyznę. Siedział wyprostowany po swojej stronie łóżka. Po turecku, jakby ćwiczył jogę. Ale to nie była joga. Patrzył na Gerdę i Johnny'ego jak na obcych, którymi przecież byli. To, że mieli na sobie mundury, niczego nie zmieniało. Gerda spojrzała na coś, co leżało obok niego. Jakaś postać, zwłoki. Widziała kontury rysujące się pod prześcieradłem. Kołdra leżała na podłodze. Dostrzegła też zarys twarzy. Ramienia, ręki. Może mężczyzna coś powiedział, ale nie usłyszała. Szybko przeszła przez pokój, żeby dotknąć dłoni kobiety i sprawdzić puls. Ale kiedy tylko dotknęła jej skóry, zrozumiała, że w tym ciele już nigdy nie będzie pulsu. Skóra była przeraźliwie zimna, jak porcelana. A w pokoju było bardzo ciepło. To serce na pewno już nie bije, pomyślała. A ta twarz, mój Boże! Widać już plamy pośmiertne. Więc tak wyglądają.

Większą część głowy kobiety zasłaniała poduszka.

Mężczyzna wznosił ręce do sufitu. Gerda nie mogła się powstrzymać i spojrzała w górę. Sufit był naprawdę wysoko, zwisał z niego kryształowy żyrandol. Wyglądał jak połyskujący statek kosmiczny, który za chwilę zaanektuje pokój. A pokój był ogromny. Podwójne łóżko, choć sporych rozmiarów, wyglądało jak zwykły mebel. Zrobiona na wysoki połysk drewniana podłoga zdawała się rozpychać we wszystkie strony. Obok stał stolik, kilka krzeseł, na ścianach wisały jakieś obrazy. Na szafkach nocnych leżały książki, stał telefon i lampy. Gerda zauważyła drzwi prowadzące na balkon, który też nie wyglądał na mały. Drzwi były zamknięte. Za oknami wciąż było ciemno.

Była zima. Kiedy jeździli po mieście, Gerda pomyślała, że to pierwsza zimowa noc i że wkrótce zacznie się pierwszy zimowy dzień. Bo przecież musi być konkretny moment, od którego zaczyna się zima. Ten moment właśnie nadszedł.

Mężczyzna opuścił ręce.

– To nie ja – powiedział. – To nie ja to zrobiłem! – Wyglądał bardzo młodo, niemal jak licealista. Martwa kobieta też miała młodą twarz.

– Czego pan nie zrobił? – zapytał Johnny.

Mężczyzna drżącą ręką wskazał na kobietę.

– Madeleine! To nie ja! Ona była... była... Ona jest...

Zaczął się trząść jeszcze bardziej. Nagle jego ciałem wstrząsnęły spazmy.

– Madeleine! Madeleine! – zawołał.

Nie zdjął poduszki z jej twarzy, pomyślała Gerda. Dlaczego? I znów wskazał na leżącą obok postać. Może pokazywał im poduszkę... Może zrozumiał, o czym myśli. Chyba nie miał jeszcze trzydziestu lat. Urodził się w latach osiemdziesiątych albo późnych siedemdziesiątych, jak ona. Włosy na czubku głowy miał dłuższe, teraz zwisały mu na czoło. Pewnie na co dzień zaczesuje je do tyłu, pomyślała Gerda. To taki typ. Typ zabójcy. Nikt tego nigdy nie planuje, ale może on zaplanował to już na samym początku. Chodzi o władzę. Może spotkali się w pubie, rok temu, może dwa. Może tej jesieni. Postawił jej drinka. W każdym razie wiedział, jak ma na imię.

– Poduszka... Miała ją na twarzy, kiedy się obudziłem. – Teraz wpatrywał się w Johnny'ego. W mężczyznę. Bo może on zrozumie.

– Obudziłem się, a ona leżała obok! Miała poduszkę na twarzy.

– Oczywiście – odparł Johnny.

– Naprawdę! Przysięgam!

Mężczyzna wstał z łóżka, a raczej się z niego zerwał. Stał na podłodze. Był nagi. Nie zdawał sobie sprawy, że stoi nago przed dwojgiem nieznanym, nie obchodziło go to. Widać było, że jest wzburzony, oszołomiony. Na pewno czuł, że dla nich jest winny. Ich mundury były mundurami wrogów.

– Nie ma pan majtek? – zapytał Johnny.

– Co? – Mężczyzna zrobił krok w ich stronę, a potem się zatrzymał i spojrzął na siebie. Na swoje krocze, swoją nagość. – Ja... no tak, oczywiście.

Chwycił leżące na podłodze bokserki i założył je.

Potem pochylił się nad łóżkiem i zdjął z twarzy kobiety poduszkę.

– Proszę to zostawić! – krzyknęła Gerda.

Spojrzał na nią, poduszkę trzymał w ręku.

– Już raz ją zabrałem – powiedział o wiele spokojniejszym głosem. – Kiedy się obudziłem. Kiedy... zanim zadzwoniłem na policję. Leżała z tą poduszką na twarzy, więc ją zdjąłem. Myślałem, że tak zasnęła. A to niedobrze... niedobrze spać z poduszką na twarzy. Można... można się... – Zamilkł i nagle się wzdrygnął, jakby go ktoś mocno uderzył.

Upuścił poduszkę, bezgłośnie opadła na łóżko. Wreszcie Gerda zobaczyła całą twarz zmarłej. A wcale tego nie chciała. W końcu zobaczyła nagłą śmierć. Pierwszy raz w życiu. Ale ta śmierć nie wyglądała na gwałtowną. Twarz była zastygła, spokojna, nie malowało się na niej ani poruszenie, ani zdziwienie. Twarz kobiety. Madeleine. Nie mieli powodu nie wierzyć, że naprawdę tak miała na imię. Madeleine. Miała i ma. Bo przecież imię zachowała, będzie jej towarzyszyć aż po grób, później też. Miała dopiero około trzydziestu lat, dopiero zaczęło się dla niej życie. Moja rówieśnica, pomyślała Gerda. Może miała dokładnie tyle lat co ja. Mężczyzna też wpatrywał się w Madeleine i jego twarz też nagle zrobiła się spokojna. Czy pogodził się z tym, co zrobił? Już? Spojrzął na nich.

– Próbował pan udzielić jej pierwszej pomocy? – zapytała Gerda.

– To nie ja – odparł. – Ja tego nie zrobiłem.

Dlaczego to powiedział? Co wiedział o tym, co się stało w nocy? Dlaczego mówi tak, jakby chodziło o morderstwo, a nie jakąś chorobę? Gerda widziała szyję Madeleine. Wyglądała na nietkniętą. Była biała, choć na tle śnieżnobiałego prześcieradła wyglądała raczej na beżową. Nie widziała żadnych śladów, ale nie do niej należało ich szukanie. Swoje zadanie w zasadzie już

wypełniła. Zapewne już nigdy nie zobaczy tego mężczyzny. A już na pewno nigdy nie zobaczy Madeleine.

– Mieliśmy się pobrać – powiedział mężczyzna.

Nagle Gerdę znużyła jego anonimowość.

– Jak pan się nazywa? – zapytała.

Johnny rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Martin Barkner – odpowiedział natychmiast mężczyzna, jakby się przedstawiał na jakimś oficjalnym spotkaniu.

Zresztą to była oficjalna rozmowa. Barkner zrobił poważną minę, jakby wszystko wróciło do normalności, jakby było tak jak wcześniej. Jakby stał w bokserkach w banku, jakby nago siedział na giełdzie przed ekranem. Jak gdyby w ekstremalnych sytuacjach, jak ta teraz, wszystko toczyło się normalnie. Jakby absurd spletał się z normalnością, tworząc swoisty surrealizm, jakiś szalony sen, który wydaje się absolutnie zwyczajny, dopóki się śni.

– Martin Barkner – powtórzył.

Popatrzył na Gerdę.

– Co teraz będzie? – zapytał.

– Co ma pan na myśli?

– Czy ktoś przyjedzie... zabrać Madeleine? – powiedział, nie patrząc na ciało.

Gerda skinęła głową.

– Za chwilę będzie tu mnóstwo ludzi – dodała.

– Mogę jechać do rodziców – powiedział Barkner.

– Że co? – Johnny nie zrozumiał.

– Kiedy będą tu ci ludzie, ja mogę pojechać do rodziców – powtórzył Barkner. – Mam tam pokój.

Johnny Pośpiech spojrział na Gerdę, potem znów na Barknera.

– Musi pan jechać z nami na komendę – powiedział. – Chyba sam pan rozumie?

– Na komendę?

– Na przesłuchanie – wyjaśnił Johnny. Boże. To zaczyna się robić niedorzeczne. Najwyraźniej Barkner udaje bardziej ogłupiałego, niż jest w rzeczywistości.

– Przesłuchanie?

– Na litość boską! – wrzasnęła Gerda. – Ona NIE ŻYJE! Madeleine NIE ŻYJE! Chyba nie sądził pan, że...

Przerwał jej hałas z holu. Głosy, pobrzękiwanie sprzętu, sygnał telefonu. Wreszcie przyjechała ekipa, która przejmie sprawę.

Martin Barkner siedział na tylnym siedzeniu radiowozu. Jak zombi. Wyglądał, jakby w zaledwie kilka minut, wręcz sekund, wielokrotnie zmieniał osobowość. Między nim a Madeleine coś się stało. A potem jeszcze coś, coś poważniejszego. Może to była zabawa. Gerda się tak nie bawiła, ale dla niektórych to było normalne. Wszystko było normalne. Widziała w lusterku oczy Barknera. Odbijało się w nich poranne światło. Bo w końcu zaczął się dzień. Przed nimi długi poranek. Chyba że Barkner od razu wszystko powie. Może chciał uciec w sen. I nigdy nie wrócić. Po prostu wszystko im opowie. Przyzna się. Tak to się potoczyło. Nie wiem dlaczego. Ale stało się. Przykro mi. Bardzo mi przykro.

W sypialni Gerda nie wyczuła zapachu alkoholu. Od Barknera też go nie czuła. Może był pod wpływem czegoś innego. Będzie musiał oddać krew do analizy i dowiedzą się, co to było, o ile naprawdę coś wziął. Przypomniała jej się butelka wina w kuchni. Była w ogóle otwarta? Nie wchodzili do kuchni. Gdyby weszli, nieźle by się im oberwało. Technicy nienawidzili, jak ktoś przed nimi przechadzał się po miejscu zbrodni. Może zresztą nie tyle nienawidzili, ile po prostu było to zabronione.

Verboten. To było jedno z pierwszych słów, jakich nauczyła się po niemiecku. *Verboten*. Jej rodzice wciąż go używali, kiedy już byli w wolnym kraju, w Szwecji. To było dwa lata przed jej narodzinami. Udało im się opuścić NRD. A tam wszystko było zabronione. Chociaż teraz już wszystko wolno. Więc wrócili. Ale nie byli szczęśliwi. – Może wrócimy do Szwecji – powiedziała matka któregoś dnia przez telefon. Nie powiedziała: do domu. Jakby już nigdzie nie mieli domu. Ale mogą mieszkać u mnie, pomyślała, i znów zobaczyła spojrzenie Barknera w lusterku. Rodzice mogą mieszkać u dziecka. Ale dziecko nie może mieszkać u rodziców. Minie jeszcze sporo czasu, zanim Barkner będzie mógł wrócić do swojego pokoju u

mamy i taty.

Martin Barkner milczał, kiedy mijali niedawno odnowioną recepcję. Ta nazwa przywodziła na myśl hotel, ale przecież niektóre pomieszczenia komendy przypominały swego rodzaju hotel. Barkner będzie mógł tu zostać, będzie miał zapewniony nocleg i wyżywienie, może nawet siłownię. Wszystko tu mieli. Gerda i Johnny zostawili go w dyżurce. Przechwycił go jakiś komisarz. Gerda go nie kojarzyła, ale w sumie znała tu niewiele osób. W Göteborgu była zaledwie od trzech i pół miesiąca. Trafiała tu niemal prosto ze szkoły policyjnej, nie licząc krótkiego pobytu w Eskilstunie. O Eskilstunie wiedziała tylko tyle, że stamtąd pochodzi zespół Kent. Ale nikt z zespołu nie mieszkał już w miasteczku.

– Myślisz, że to zrobił?

Zjeżdżali już windą. Johnny spojrział na nią w lustrze. W tym świetle jego oczy miały inny kolor, a raczej nie miały żadnego. Wyglądał na zmęczonego. Ona też. Na dziś już koniec.

– Myślisz, że ją udusił? Bo nie było widać żadnych obrażeń.

– Nie wiem, Johnny. Niewiele wiem o zabójstwach, ale nietrudno udusić kogoś, kto śpi. Na przykład poduszką. Nie trzeba mocno przyciskać. A jeśli robi się to sprawnie, to nie ma żadnych śladów.

– Na pewno to zrobił. Bo kto jak nie on? A drzwi na korytarz były otwarte. To Barkner je otworzył.

– Skąd wiesz?

– Sam powiedział. Nie słyszałaś?

– Nie.

– To było pierwsze, co powiedział. Kiedy tylko weszliśmy do sypialni. Powiedział, że otworzył je dla nas, kiedy zgłaszał wezwanie. Kiedy dzwonił.

– Nic takiego nie słyszałam.

Drzwi windy się otworzyły.

– Powiedział to, kiedy podeszłaś sprawdzić jej puls. Tej dziewczynie. Bo chyba to chciałaś zrobić?

– Nic takiego nie słyszałam.

– W takim razie ja też bym nie słyszała.

Byli już na dole. Wyszli na zewnątrz. Światło poranka unosiło

się nad stadionem Ullevi. Zapowiadał się ładny dzień, zimowy dzień. Nieliczne samochody stojące przed wejściem były pokryte szronem. Przypominał szarą skórę. Gerda się wzdrygnęła. Nie tylko z zimna. Przed oczami stanęła jej twarz tej kobiety. Madeleine. Była taka spokojna. Czy umarła też spokojnie? Czy się obudziła? Czy spała? Może już jutro będą wiedzieć. Technicy i śledczy. A może już za godzinę albo nawet za chwilę. Gerda się odwróciła i popatrzyła na wyższe piętra. Nie wiedziała, w którym pokoju siedzą Barkner i przesłuchujący go policjant. Ale może gdzieś tam Barkner właśnie się przyznaje. Najpierw pobrali mu krew, a teraz wyciągną z niego i to.

Dyżur miał Bent Mogens. Dostał właśnie najnowsze wiadomości z mieszkania na Vasastan. Lekarz stwierdził, że kobieta nie żyje. Zmarła w ciągu minionej doby, możliwe, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Ale takie szacunki zawsze są ryzykowne. Na ciele nie było śladów przemocy fizycznej, ale przyczyną zgonu mogło być uduszenie. Przecież policjanci, którzy przyjęli zgłoszenie, wspominali o poduszce na twarzy. Bez tego trudno byłoby cokolwiek ustalić. Ale na razie jeszcze nic nie jest pewne. Pia E:son Fröberg będzie wiedziała więcej po sekcji. Może znajdzie jakieś obrażenia wewnętrzne. I zewnętrzne, takie, których nie widać gołym okiem. O poduszce wspominał też mężczyzna, partner zmarłej. O ile oczywiście był jej partnerem. To już twoja robota, Bent. Pia E:son Fröberg nie znalazła przy łóżku żadnych tabletek ani innych narkotyków. Technicy też na nic nie natrafili podczas wstępnych oględzin.

Zabójstwo partnerki, pomyślał Mogens. Jasna sprawa. Przemoc domowa, choć jawnych śladów przemocy nie było.

Pora jak najszybciej wyjaśnić tę jasną sprawę do końca. Koleś sam wpakował się do więzienia.

Funkcjonariuszem, który miał wyjaśnić sprawę do końca, był inspektor Sverker Edlund z dochodzeniówki². Miał

² W szwedzkiej policji wydział dochodzeniowy i wydział śledczy to dwie osobne jednostki. Wydział dochodzeniowy prowadzi postępowanie przygotowawcze wobec konkretnych podejrzanych, natomiast wydział śledczy zajmuje się poszukiwaniem sprawców (przyp. tłum.).

doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań.

Martin Barkner siedział naprzeciwko niego. Wyglądał na bardzo zmęczonego, niemal zasypiał na siedząco. Oczy miał szkliste, jakby trapiła go lekka gorączka. Edlund widywał już takie reakcje. Chłopak nie do końca wiedział, co się stało albo co zrobił. A miał o tym opowiedzieć.

Barkner spojrział na coś za jego plecami. Edlund dobrze wiedział, co tam jest. Nic. Tak właśnie urządzono pokój. Powinni się w nim znajdować tylko oni dwaj, naprzeciwko siebie, i padające między nimi słowa. Czy raczej słowa, które jeden przekazuje drugiemu. Ale z tym różnie bywało, bo każde przesłuchanie przebiegało inaczej.

– Nie zrobiłem tego – powiedział Barkner. – Jeśli myślicie, że to zrobiłem, jesteście w błędzie.

W jego głosie słyhać było pustkę, ale także zdecydowanie. Edlund słyszał już setki słów wypowiedzianych przez setki głosów. Nauczył się je rozróżniać. Bo słowa stanowiły tylko wierzchnią warstwę. Cała reszta kryła się pod spodem.

– Czego pan nie zrobił? – zapytał Edlund.

Chłopak nie odpowiedział.

– A co pan zrobił? – ciągnął Edlund.

– Co? Co?

– Proszę opowiedzieć, co pan robił w nocy. Potem możemy skończyć. Musi pan odpocząć.

– Nie muszę! Dlaczego miałbym potrzebować odpoczynku?

– Proszę opowiedzieć.

– Ale co? Co mam opowiedzieć?

– Dlaczego potrzebuje pan odpoczynku.

– Ale nie potrzebuję! Przecież, do cholery, spałem prawie całą noc.

Zaklął, ale nie wyglądał na agresywnego. Wyglądał raczej na zdziwionego. Jakby był zaskoczony, że spał prawie całą noc. Jak mógł spać prawie całą noc?

– I co pana obudziło?

Barkner nie odpowiedział.

– Bo obudził się pan, prawda?

Barkner skinął głową.

– Co się stało?

– Obudziłem się... Nie wiem. Po prostu się obudziłem.

Edlund pokiwał głową.

– I powiedziałem coś do Mad... do Madeleine. Leżała obok z... z poduszką na...

Nie mógł mówić dalej.

Edlund czekał.

Po chwili Barkner głośno wydmuchał nos w papierową chusteczkę. Wziął ją z pudełka stojącego na stole. Edlund dobrze się przygotował do przesłuchania. Podczas rozmów wielu ludzi płakało, czasami prowadzący przesłuchanie też, choć Edlund nigdy nie słyszał o takim przypadku w Szwecji.

– Może pan mówić dalej?

Barkner przytaknął.

– Co się stało, kiedy się pan obudził?

– Zobaczyłem ją...

– I co pan takiego zobaczył?

– Ją. Właśnie ją.

– Powiedział pan coś?

– Słucham?

– Wspomniał pan, że coś pan do niej powiedział.

– Ach tak, powiedziałem. Chyba musiałem coś powiedzieć, prawda?

Edlund milczał, siedział bez ruchu.

– Leżała z poduszką na głowie. Na twarzy.

– Skąd pan wie, że miała poduszkę na twarzy?

– Co?

– Mogła ją mieć na karku. Mogła leżeć na boku. Albo na brzuchu.

– Nie. Widziałem, jak leży. I...

Zamilkł.

Edlund znów pokiwał głową.

– Proszę powiedzieć, co pan zrobił.

– Zabrałem poduszkę. – Barkner pochylił się do przodu. Nagle zaczął sprawiać wrażenie niespokojnego, jakby chciał się czymś podzielić. Jakby chciał powiedzieć prawdę. Edlund nie raz widział coś takiego. Ale nie chodziło o prawdę,

przynajmniej jeszcze nie wtedy. Na prawdę było jeszcze za wcześnie.

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego, nie? W tym, że ją zabrałem. Madeleine nie odpowiadała! Chciałem wiedzieć, czemu nie odpowiada.

– A nie pomyślał pan, że po prostu śpi?

Barkner chyba nie zrozumiał pytania.

– Była noc – wyjaśnił Edlund. – Obudził się pan i coś powiedział, a ona nie odpowiedziała. Co w tym takiego dziwnego?

Barkner milczał.

– Chciał ją pan obudzić?

– To już nie była noc, było prawie rano.

– Dlaczego chciał ją pan obudzić?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Dlaczego nie chciał pan, żeby spała dalej?

Barkner znów zapatrzył się na ścianę za nim. Ale nie znalazł na niej odpowiedzi. Już wielu szukało jej w stalowoszarym świetle i ostro zarysowanych cieniach, ale na ścianie nic nie było.

– Pokłóciliśmy się. Wieczorem... zanim zasnęliśmy. Chciałem o tym pogadać. Chciałem, żeby znów było dobrze.

Edlund pokiwał głową. Czekał. Chłopak chciał, żeby znów było dobrze, ale już nigdy nie będzie. Tej nocy to słowo już na zawsze zniknęło z jego życia.

– O co się pokłóciliście? – zapytał Edlund.

– Ja... nie pamiętam. Bo... nie, nie mogę sobie teraz przypomnieć.

– A jednak chciał pan o tym porozmawiać z Madeleine, kiedy tylko się pan obudził.

Barkner się wzdrygnął, kiedy usłyszał jej imię.

Spojrzał Edlundowi prosto w oczy. Po raz pierwszy.

– My... My tu sobie rozmawiamy, a ten ktoś, kto to zrobił, jest na wolności. A zrobił to! I chodzi sobie wolny! O, tam! – Wskazał na okno, chociaż akurat ono wychodziło na wewnętrzny dziedziniec, ciemny i przypominający spacerniak.

– Proszę opowiedzieć o tym wieczorze – ciągnął Edlund. –

Ostatnim wieczorze.

Barkner znów spojrział na niego.

– Ale nie ma o czym. Jeśli pan myśli, że coś się stało, to nie – nic się nie stało. Po prostu... dyskutowaliśmy o tym, co będziemy robić w weekend, tak mi się wydaje. Chodziło o sobotę. O jutro. To znaczy o dziś... Mój Boże.

Umilkł.

– Proszę mówić dalej – powiedział Edlund.

– Nie chciałem jechać do jej rodziców. Chodziło o jakiś cholerny obiad! Obiad, na który nie miałem ochoty iść. Boże. Gadaliśmy o tym, a potem zgasiliśmy światło i poszliśmy spać. I tyle.

Edlund pokiwał głową.

Barkner wyglądał na zaskoczonego.

– Wierzy mi pan? – zapytał.

– A nie powinienem?

– Ależ nie, powinien pan.

– Tej nocy ktoś przycisnął do twarzy Madeleine poduszkę i ją udusił.

– Tak?

– Przed chwilą wspominał pan o mordercy, panie Barkner.

Barkner nie odpowiedział.

– Czy mówił pan o sobie?

– Nie, nie, nie!

– Nie zrobił pan tego celowo – ciągnął Edlund. – Po prostu tak wyszło.

– Nie, nie. NIE! Przecież do was zadzwoniłem. Po co miałbym dzwonić... po co miałbym wzywać policję, gdybym sam to zrobił?

– A co by pan zrobił w takiej sytuacji?

– Co?

– Gdyby ją pan udusił? Wyprowadziłby się pan? Dokąd by pan poszedł?

– Ale ja jej nie udusiłem! Nie zabiłem jej! Nie tknąłem jej!

Barkner chciał wstać z krzesła.

– Proszę usiąść – powstrzymał go Edlund.

Barkner zwałił się na krzesło. Chwilę wcześniej wstąpiły w

niego nowe siły, teraz opadły wraz z nim. Znów był sam.

– Nie rozumie pan? – zapytał ciszej. – Nie rozumie pan?

– Czego nie rozumiem?

– Jak mogliśmy spać, kiedy ktoś dostał się do mieszkania i... ją udusił? Dostał się do sypialni? Jak mogłem wtedy spać?

Rozumie pan? Kiedy to się stało... Jak mogłem spać, kiedy to się działo? – Wyciągnął do Edlunda rękę. Jakby go o coś prosił.

– Jak mogłem spać, kiedy to się działo?

MARTIN BARKNER NIE CHCIAŁ się przyznać do uduszenia poduszką swojej partnerki. Czy zdążyła się obudzić, zanim nadeszła śmierć? Podczas szczegółowej obdukcji przeprowadzonej następnego dnia Pia E:son Fröberg pobrała od Madeleine próbki krwi, żeby poszukać w nich śladów środków usypiających albo narkotyków. Pierwsza analiza miała zostać przeprowadzona w laboratorium w Linköping. Na odpowiedź mieli czekać dwa, może nawet trzy tygodnie. We krwi Barknera na razie nie znaleźli śladów narkotyków. Nie wykluczali, że trafią na coś później, ale kiedy Edlund go przesłuchiwał, nikt nie mógł być tego pewien.

Pia E:son Fröberg znalazła jednak w nosie ofiary malutkie punktowe krwawienie. Taki objaw zawsze towarzyszy uduszeniu przez ucisk za gardło – może wystąpić na białkach oczu, w uszach, w nosie – może się też pojawić, jeśli ofiarę uduszono poprzez odcięcie dopływu powietrza.

– Co robiliście wieczorem? – zapytał Edlund.

– Jak to?

– Cały wieczór byliście w domu? A może na przykład byliście w kinie? Byliście gdzieś na mieście?

– Nie. Byliśmy w domu. Zastanawialiśmy się wprawdzie, czyby gdzieś nie wyskoczyć na lampkę wina, ale daliśmy sobie spokój.

– Mieliście ku temu jakiś konkretny powód?

– Ku czemu?

– Żeby dać sobie spokój z wychodzeniem.

– Nie. Chyba po prostu nie mieliśmy ochoty na wino.

– A pił pan wczoraj wieczorem jakiś alkohol?

– Nie.

– A Madeleine?

– Ona też nie piła.

– Ktoś was wieczorem odwiedzał?

– Nie.

– Ktoś dzwonił?

Barkner pokręcił głową. Edlund nie był pewien, czy w odpowiedzi na pytanie, czy na coś innego. Teraz Barkner wydawał się spokojniejszy, wręcz zrezygnowany. Jakby pogodził się z losem. Choć tutaj nie chodziło o los, ale o działanie człowieka. Nie można było winić opatrności ani szukać w niej powodów tego, co się stało. Bo to morderca ponosił odpowiedzialność za ten czyn. Straszny czyn. Najgorszy.

– Rozmawialiście z kimś przez telefon?

– Tylko z mamą Madeleine. Ona z nią rozmawiała.

Barkner podniósł wzrok.

– Czy oni wiedzą?

– Kto? – Edlund nie zrozumiał.

– Jej rodzice. Rodzice Madeleine. Wiedzą, że nie żyje?

– Jeszcze nie, ale wkrótce się dowiedzą.

– Boże.

Barkner ukrył twarz w dłoniach.

Potem znów podniósł wzrok.

– Jak możecie?

– O co panu chodzi?

– Jak wy dajecie z tym radę, do cholery? Ze śmiercią? Ze zmarłymi. Jak wy to wytrzymujecie tak dzień po dniu?!

– Tu nie chodzi o nas – odparł Edlund po chwili.

Winter puścił kaczkę. Raz, dwa, trzy, cztery. Woda była jak lustro. Odbijało się w niej niebo. Kamień, podskakując, oddalił się w stronę wspaniałego błękitu. Za południowymi szkiełkami horyzont ginął w mglistym jesiennym słońcu. Może raczej w zimowym słońcu. Bo kiedy zaczyna się zima? To właśnie teraz następuje to niedostrzegalne przejście. Zupełnie jak z widokiem, który się przed nim rozciągał: nie można było wskazać, gdzie kończy się morze, a zaczyna niebo.

– Ja też chcę! – krzyknęła Elsa.

– W takim razie potrzebujemy płaskich kamieni – odparł Winter.

– To ja znajdę! – zawołała jego siedmioletnia córka.

– Poszukaj tam dalej, za tą skałą.

Winter wskazał jej kierunek. Angela i Lilly już tam szły. Mała Lilly też chciała zbierać płaskie kamienie. Chciała sobie nimi porzucać.

- Jaki jest twój rekord, tato?
- Nie pamiętam dokładnie.
- A udało ci się kiedyś odbić dziesięć razy?!
- Nie, aż tyle to chyba nie.
- A jakim cudem kamień odbija się od wody?
- Tafla wody może być twarda.
- No ale przecież kamień jest twardszy.
- Nie zawsze.
- Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? Dlaczego promy utrzymują się na wodzie? I dlaczego „Titanic” też się na niej utrzymywał, zanim zatonął? Jakim cudem samolot może wystartować z wody? I skąd historia o człowieku, który stąpał po wodzie?

– Potrzebny jest płaski kamień – wyjaśnił Winter. – Jeśli jest płaski, to może się odbijać od wody. O ile jest rozpędzony. To prawie tak, jakby leciał nad wodą.

- Raz mi się udało odbić trzy razy! – powiedziała Elsa.
- A mnie chyba cztery.
- Mogę pobić twój rekord!
- Oczywiście, że możesz, skarbie.
- To przyniosę więcej kamieni.

Winter widział, jak Elsa rusza biegiem po piasku. Ich piasku. To była ich plaża. Niewielka działka na skraju Billdal i Kullavik. Parę lat wcześniej kosztowała znośnie, teraz była warta więcej. Wtedy były tu właściwie tylko domki letnie schowane między skałami. Teraz zwarta zabudowa zbliżała się do brzegu. Billdal zmieniło się w miasteczko. Wolne przestrzenie zaczęły się zapełniać willami i domami. A z Kullavik zrobiło się centrum handlowe. Między Haga Kile i zatoką Malevik ludzie budowali domy tak blisko morza, jak się dało. Ale o tym miejscu nie można było tego powiedzieć. Stojąc na swojej plaży, Winter nie widział sąsiadów, wokół były tylko skały, morze i piach. Choć czasami, kiedy wiało od Kivik, dochodziły ich głosy. Nie było już tak cicho.

Przestali już dyskutować z Angelą o domu, który miałyby tu stanąć. Elsa przestała pytać. Uznała po prostu, że to ich własna plaża i tyle. Dla Lilly wszystko było jasne. I może rzeczywiście było. Własna plaża to fajna sprawa. Po co psuć ją domem.

Winter zobaczył, że Elsa przystanęła w połowie drogi do skały.

– Tato, a co tam pływa?

Usłyszał jej lekki głosik. Rozniósł się po plaży, podskakując niczym płaski kamień. Wskazywała na morze. Podążył za jej spojrzeniem. Spojrzał w stronę horyzontu, który teraz, w mocniejszym słońcu, odcinał się wyraźniejszą linią. Widać było wysepki i szkiery rozrzucone za zatoczką i kontur Vrångö. Na morzu nie było ani jednej łodzi.

– Wygląda jak wielki kamień unoszący się na wodzie! – zawołała Elsa.

Po chwili dobiegł go też głos Angeli.

Ona też coś zobaczyła. Stała wyżej niż on. Miała lepszy widok.

Zawołała jeszcze raz.

– Elsa, chodź tutaj!

Teraz on też zobaczył ten kamień. Powoli kołysał się na kawałku żagla. Ale to nie był kamień, tylko kawałek drewna. Jakaś belka.

– Erik!

Teraz Angela wołała jego. Wychwycił w jej głosie jakiś nieznany ton. Zrobił kilka kroków w stronę wody. Słońce oświetlało pływającą belkę. Była coraz bliżej brzegu. Była czarna. Teraz Winter dostrzegł też coś białego. Poruszało się powoli w wodzie, odwróciło się w jego stronę. Twarz.

Madeleine Holst miała dwadzieścia dziewięć lat. Urodziny obchodziła w czerwcu. Martin Barkner miał lat dwadzieścia osiem. Urodził się w marcu. Rodzice Madeleine mieszkali w starym domu w Hovås, rodzice Martina – niewiele dalej, na południu Askim. Rodziców Martina nie było w mieście, nie wrócili jeszcze z domu na Costa del Sol. Ale w Nueva Andalucía nikt nie odbierał telefonu. Z rodzicami Madeleine o wpół do dziewiątej rano skontaktował się inspektor Bent Mogens. On,

bo był najlepszy w takich rozmowach. Zazwyczaj podwoził go ktoś z jego śledczych, ale tym razem podrzucił go radiowóz. Za kółkiem siedziała Gerda Hoffner, obok – Johnny Pośpiech. Noc jeszcze niezupełnie się dla nich skończyła. Nad Säröleden unosiło się pasmo mgły. Gerda nie czuła zmęczenia. Czuła się za to częścią tej sprawy, która jakoś nie chciała jej opuścić.

– W jakim stanie był chłopak, kiedy tam trafiliście? – zapytał ich Mogens.

– Wzywał pomocy – powiedział Johnny. – Zanim go zobaczyliśmy.

– Wołał przez drzwi? Kiedy byliście jeszcze na klatce?

– Drzwi były otwarte – wyjaśnił Johnny. – Otworzył je. Dla nas.

– Ja o tym nie słyszałam – wtrąciła Gerda.

– O tym, że otworzył drzwi? – Mogens nie zrozumiał.

– Nie słyszałam, żeby coś takiego mówił.

– Powiedział to mnie – dodał Johnny. – Bo ty byłaś przy zwłokach. Żeby zbadać puls.

– Ale nie zbadałam.

– A wyglądało, jakbyś chciała zbadać.

Gerda się nie odezwała.

– Kiedy już go zobaczyliśmy, to znaczy kiedy weszliśmy do pokoju, krzyknął, że to nie on to zrobił – ciągnął Johnny. Odwrócił się do Mogensa. – A to on?

– Co on?

Gerdzie zrobiło się wstyd za Johnny’ego. Co za kretyńskie pytanie.

– Nie wiemy – odparł Mogens. – Prawdopodobnie, ale jeszcze się nie przyznał.

– A z reguły się przyznają?

– W takich przypadkach? Tak.

– Co to znaczy? – Gerda zerknęła w lusterko, szukając spojrzenia Mogensa. – W takich przypadkach?

– No... Jeśli chodzi o zbrodnie popełnione na partnerze. Zbrodnie w afekcie. Nie wiem, jak to nazwać. O przemoc domową.

– Tam nie było widać śladów przemocy – powiedział Johnny.

– Wszędzie czysto i elegancko. Trochę ciuchów na podłodze, kilka rzeczy tu i ówdzie, ale poza tym był porządek. Żadnych poprzewracanych rzeczy, nic takiego.

– Ile ona miała lat? – zapytała Gerda. Nie chciała pytać, to przyszło samo z siebie.

– W czerwcu skończyła dwadzieścia dziewięć – odpowiedział Mogens.

– Ja też – odparła Gerda. To również jej się wymknęło. – Boże, co ja wygaduję.

– Daj spokój – stwierdził Mogens. – Nie powinnaś się wstydzić, że to powiedziałaś.

– Ja mam trzydzieści – wtrącił Johnny. – A ten chłopak?

– Skończył dwadzieścia osiem. Rok młodszy od niej.

– Jeszcze dziecko – powiedziała Gerda.

– No. – Mogens rozparł się na siedzeniu. – Jakie zrobił na was wrażenie? Takie pierwsze? – Poszukał spojrzenia Gerdy. Miała wrażenie, że przewierca ją wzrokiem. Patrzyła przenikliwie. Nagle zabolą ją głowa. – Co o nim powiesz Ger... Masz na imię Gerd czy Gerda?

– Gerda.

– Więc co powiesz, Gerda?

– O pierwszym wrażeniu? Sama nie wiem. Może to był on, ale mógł to też być ktoś inny. A może to był wypadek? To nie mógł być skutek jakiejś ciężkiej choroby?

– Prawdopodobnie nie.

– To jasne, że to on – powiedział Johnny. – Bo kto inny?

– Kto to zrobił? – zapytała matka Madeleine, Annica Holst. Jej mąż stał obok. Spojrzenie miał puste, jakby dopiero za chwilę miało się wypełnić żalem. I to po brzegi, pomyślał Mogens. Widział to już wiele razy. Najpierw pustka, potem dojmujący żal, potem szok, a potem gniew, a potem wszystko wraca raz, drugi, trzeci, w nierównych odstępach. Piekielny program ćwiczeń z żalem. Bo to jest piekło. A przynosi je ze sobą on. Jest posłańcem piekła. Teraz to jego wina, to on musi odpowiadać na pytania.

– Kto to zrobił? – powtórzyła Annica Holst. Ona też miała suche oczy, jakby jeszcze do niej nie dotarło to, co powiedział.

- Jeszcze nie wiemy kto. Nie bardzo też wiemy dlaczego.
- Co to znaczy, że nie wiecie dlaczego?
- Nie wiemy, jak do tego doszło.
- To jakaś nagła choroba? Wypadek?
- Raczej nie – odparł Mogens.
- Mój Boże. Czy ktoś ją zabił?
- Na to wygląda.
- A gdzie jest Martin? – zapytała. – Rozmawialiście z nim?

Co powiedział?

- Tak, rozmawialiśmy z nim.
- Czy on też... padł ofiarą?

Nie mogła skończyć.

- Jest u nas, na przesłuchaniu – powiedział Mogens.
- Coś mu się stało?
- Nie.
- Dzięki Bogu.

W jej oczach Mogens dostrzegł ulgę. Jeszcze nie zrozumiała. Bo tego nie dało się zrozumieć. Wciąż myślała, że jeszcze jest nadzieja. Chwytała się wszystkiego, co mogło ją dać.

- Czy on coś widział? – zapytała. – Widział kogoś?
- Jeszcze nie wiemy – odparł Mogens.

– Możemy jechać go odebrać – powiedziała Annica Holst. – Stig i Linnea są w Hiszpanii. Jego rodzice. Przecież nie może być teraz sam. Nie tam. – Odwróciła się do męża. – Peder? Musimy go odebrać i przywieźć tutaj.

Nie odpowiedział. Mogens uchwycił jego spojrzenie. Peder Holst zrozumiał.

– Peder? O co chodzi? – Annica Holst spojrzała na męża, potem na Mogensa.

– O co chodzi? Chyba nie... Chyba nie sądzicie, że to on to zrobił? Że to Martin...

Zamilkła.

Powoli dotarło do niej, co się stało. Że przede wszystkim zabito jej córkę. Że cały czas zaprzęta jej głowę przede wszystkim pytanie, kto to zrobił. Czy raczej kto tego nie zrobił. Jak do tego doszło. A teraz rozumiała, że to się stało. Że nie da się tego odwrócić.

Bo czegoś takiego nie da się cofnąć.

– NIEEEEEEEEEEEEE! – krzyknęła. Mogens wiedział, że słyszą ją sąsiedzi, mimo że dom był duży i miał solidne ściany, mimo że działka była spora, a żywopłot wysoki. Kiedy tu jechali i skręcili w uliczkę, Mogens zauważył połyskujące za skałami morze. Przynajmniej z ulicy było je widać. Do leżącej w dole plaży było niedaleko. Od lat mijał to miejsce podczas przejazdów na rowerze. A więc tak to wyglądało tutaj, na górze. Nie raz gapił się na ogromne domy. Część z nich przypominała zamki. Były nieosiągalne, emanowały bogactwem, starym i nowym, czasem mieszanką obu. Ale dla niego to były za wysokie progi, on był prostym przedstawicielem prostego ludu.

A jednak tu trafił.

3

MARTIN BARKNER ROZMAWIAŁ PRZEZ TELEFON z matką. Płakał. Znów był małym chłopcem. Szkoda, że na zawsze takim nie pozostał. Szkoda, że zaczął się spotykać z dziewczynami. Może matka go ostrzegła. Bo matka Edlunda właśnie tak robiła.

– Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem – odpowiadał.

Sverker Edlund słyszał jej głos ze słuchawki. Dolatywał aż znad Morza Śródziemnego. Nie wydawała się wzburzona, ale coś takiego trudno ocenić na odległość.

– Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem!

Barkner opuścił słuchawkę i drżącą ręką oddał ją Edlundowi.

– Mama chce z panem rozmawiać.

Edlund wziął słuchawkę i przedstawił się.

– Tu Linnea Barkner – odpowiedziała. – Co zrobił Martin?

– Nie wiem – odparł Edlund.

– Musicie zrozumieć, że Martin nigdy by nie zrobił czegoś... tego, o co go podejrzewacie.

Edlund nie odpowiedział.

– To zupełnie szaleństwo. Dzwonicie tu i mówicie, że jego dziewczyna nie żyje, a potem dochodzicie do wniosku, że to on ją zabił? Po co miałby to robić?

– Nie wiem – powtórzył Edlund.

– Czy ty sobie ze mnie żartujesz, człowieku?!

– Ależ skąd.

– To jasne, że Martin nigdy nie zrobiłby czegoś takiego!

– Po prostu chcemy się upewnić, co takiego się stało, kiedy Madeleine zginęła – odparł Edlund.

Usłyszał, jak kobieta łapie oddech. Linnea Barkner. Sprawiała wrażenie kogoś, kto gra pierwsze skrzypce. Edlund nie wiedział, czym się zajmuje, o ile w ogóle pracuje. Nie zapytał o to Barknera. Mieli to chyba zapisane w papierach. Ale wiedział, że pani Barkner dzwoni z Hiszpanii. Z letniego domu.

– Jedyne, co możecie zrobić, to go zwolnić czy jak wy to

mówicie.

– Musimy z nim jeszcze trochę porozmawiać.

– Jeszcze trochę? To znaczy ile?

Edlund spojrział na zegarek. Zostało im niewiele godzin, o ile nie dostaną nakazu aresztowania. Ale w tej sytuacji to była formalność. Prokurator Molina zaczął się starać o areszt już po pierwszym przesłuchaniu. Zanosilo się na to, że Martin jeszcze trochę zostanie.

– Nie wiem – odparł Edlund.

– Wracamy do domu! – krzyknęła Linnea Barkner. Zabrzmiało to jak rozkaz.

Winter stał na plaży, która już nigdy nie miała być ich azylem. Spokój znikł. Pomyślał, że Bóg wie skąd przypląnęły do nich zwłoki. Rodzina stała za nim, wszyscy widzieli białą, połyskującą w słońcu twarz. Wyglądała, jakby chciała po raz ostatni zawołać do nieba.

– Zabierz dziewczynki do samochodu – powiedział Winter tak spokojnie, jak tylko mógł.

– A co to jest, mamusiu? – zapytała Elsa. – Czy to ktoś, kto utonął?

– Nie wiem, kochanie. Idziemy.

Lilly krzyknęła. Zdenerwowała się. Zabawa na plaży skończyła się dla niej za szybko.

Winter słyszał, jak Angela i dziewczynki się oddalają. Lilly znów zaczęła krzyczeć. Elsa próbowała ją uspokoić.

Ciało zbliżało się do niego. Winter stwierdził, że to mężczyzna. Wyglądał, jakby jeszcze żył. Twarz zachowała rysy, widocznie ciało było w wodzie od niedawna. Mężczyzna miał zamknięte oczy, co go akurat ucieszyło. Nie lubił spojrzeń martwych ludzi, miał wrażenie, że kryje się w nich ostatnie przesłanie dla żywych: byłem jak ty, ty będziesz jak ja.

– Położyliśmy się i zgasiłiśmy światło. Więcej nie pamiętam.

– Zasnął pan od razu?

– Nie.

– A Madeleine?

– Tak, tak mi się zdawało. Zawsze zasypia, jak tylko przyłoży głowę do poduszki.

- Co pan robił?
- Jak to?
- Co pan robił, kiedy nie mógł pan zasnąć?
- Nic. Czekałem.
- Na sen?
- Tak.
- Wziął pan jakieś środki nasenne?
- Nie.
- A zdarza się panu brać?
- Czasami biorę tabletkę ułatwiającą zaśnięcie.
- Jak się nazywa?
- Na imię ma tabletki – zazartował Barkner.

Edlund mógłby przysiąc, że lekko się przy tym uśmiechnął. Nagle Barkner zaczął mu imponować. A może po prostu był prawdziwym psychopata.

– Nie wiem, jak się nazywa – ciągnął Barkner. – Jest na receptę. Imo... Imovane. Chyba tak się nazywa.

- Ma pan je jeszcze?
- Nie rozumiem.
- Ma pan jeszcze jakieś tabletki w domu?
- Tak. W szafce w łazience.
- Dlaczego potrzebuje pan środków nasennych?

– Mówiłem przecież, że to tylko lekkie leki ułatwiające zasypianie.

- Dlaczego ich pan potrzebuje?
- A pan nigdy nie potrzebował?
- Nie – odparł Edlund.
- No to jest pan nadczłowiekiem.
- Nie.
- Wszyscy gli... policjanci są nadludźmi – dodał Barkner.
- Czy Madeleine brała środki nasenne?

Barkner nie odpowiedział.

Edlund powtórzył pytanie.

- Czasami. Ale nieczęsto. Może raz na jakiś czas.
- Jakie?
- Pożyczyła ode mnie. Ale rzadko.
- A wczoraj?

– Nie.

– Co nie?

– Nie wzięła tabletki na sen. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Nie byłem z nią w łazience. Ale wydaje mi się... Sam nie wiem. Mogła coś wziąć.

– A zazwyczaj nie pytała pana, czy może skorzystać z pana tabletek?

– No, pytała...

– Wie pan, ile tabletek zostało w opakowaniu?

– Nie... To znaczy wiem mniej więcej.

Edlund skinął głową.

– Ale wystarczy sprawdzić pudełko w łazience – dodał Barkner.

Edlund znów przytaknął. Próbował uchwycić jego spojrzenie. Teraz mu się udało.

– Coś nie tak? – zapytał Barkner.

Edlund nie odpowiedział.

– O co chodzi?

– A czy to pudełko może być gdzie indziej? – zapytał Edlund.

– A nie ma go w szafce w łazience?

Edlund milczał.

– No to... musi być gdzie indziej. Może leży na podłodze? Albo w mojej kosmetyczce? Musi tam być. Czasami tam je wkładałem.

Edlund skinął głową.

– Będziemy szukać dalej – odparł.

– Jestem pewien, że jest tam jeszcze kilka tabletek!

Ale Madeleine już nie ma, pomyślał Edlund. A to o tym rozmawiamy. O tym, dlaczego jej nie ma.

– Kiedy pan zasnął? – zapytał Edlund.

– Przecież już pan o to pytał.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Ale przecież nie wiadomo, kiedy się zasypia. Czy ktoś może odpowiedzieć na takie pytanie? Nikt nie leży z zegarkiem w ręku, żeby wiedzieć, o której zasnął.

– A tej nocy patrzył pan na zegarek?

– Nie.

– Więc nie wie pan, czy zasnął pan po północy?
– Nie. No ale to musiało być po północy.
– Skąd ta pewność?
– Słyszałem bicie zegara.
– Zegara? Na kościele?
– Nie. W mieszkaniu nad nami. Tak mi się wydaje. Mieszka tam starsza pani. Słysząc u nas, jak jej zegar bije. To chyba taki stary zegar ścienny. Nigdy u niej nie byliśmy.

Wciąż mówi my, pomyślał Edlund. Nie jest tego świadomy.

– Kiedy wokół jest cicho, wyraźnie słysząc bicie – ciągnął Barkner.

Mówił, jakby sam był tym zdziwiony.

Winter stał przy zwłokach. Wypływały już na plażę, szorując po piachu. To był mężczyzna. Ubrany elegancko: w ciemny garnitur, białą koszulę i biały krawat. Tak się ubiera na pogrzeb kogoś bliskiego, pomyślał Winter. Pogrzebał samego siebie, ale w morzu. Włosy były takiego samego koloru jak mokry piach, na którym opierał policzek. Wciąż miał na nogach buty.

Winter wyciągnął z marynarki komórkę i wybrał numer wydziału. Z tego co pamiętał, dyżur miał Bertil.

Rzeczywiście odebrał Bertil Ringmar. Brakowało mu zaledwie kilku lat do emerytury. Długo był dla Wintera niemal jak ojciec. Dziś powiedziałoby się mentor, ale kiedy Winter zaczynał pracę w wydziale, to słowo nie było jeszcze takie modne.

– Cześć, Bertil.

– A ty nie masz dziś wolnego?

– Tak mi się wydawało.

– I co się stało?

– Na plażę wypłynęły zwłoki.

– Na jaką plażę?

– A nie powinieneś najpierw zapytać, jakie zwłoki?

– A to ktoś znajomy?

– Nie.

– Gdzie jesteście?

– Na swojej plaży. Z rodziną. Zrobiliśmy sobie wypad za miasto. Elsa i ja puszczałyśmy kaczki i mała zauważyła, że coś

się unosi na wodzie.

– Ożeż...

– No i teraz dopłynęło do mnie. Leży u moich stóp. Obawiam się, że to zabójstwo. Na szyi widać podejrzane ślady.

– Zbrodnia zawsze wyjdzie na jaw.

– Ano. – Winter zrobił pauzę. U jego stóp zwłoki poruszały się, popychane przez wodę. Obijały się o brzeg. Scena w duchu ewolucjonizmu: oto zmarli dopływają do brzegu, wstają i ruszają przed siebie. Ten zmarły miał na nogach buty. Był elegancko ubrany. Śmiało mógłby ruszyć na najbliższy cmentarz. Chociaż Winter nie wiedział, gdzie jest najbliższy cmentarz. – Nie leżał w wodzie długo. I był na pogrzebie. Możesz sprawdzić, jakie pogrzeby odbywały się dziś w mieście?

– Nie zrobiłem tego! Nie rozumiecie, że tego nie zrobiłem? Nie zabiłem jej! Dlaczego miałbym ją zabijać? Może mi pan to wyjaśnić? Co? Jaki niby miałbym mieć powód?

– Nie wiem – odparł Edlund.

– No właśnie. Bo nie miałem żadnego powodu. Żadnego, do cholery!

– Czy ktoś was wczoraj wieczorem odwiedzał?

– Już pan o to pytał.

– Pytam jeszcze raz.

– Nie, nikt nas nie odwiedzał.

– Czy ktoś ma klucze do waszego mieszkania?

– Nie... To znaczy tak, mama Madeleine.

– Ma klucz do mieszkania?

– Tak. Nie chciałem, żeby miała, ale Madeleine chciała.

– A to nie jest normalne? – zapytał Edlund. – Że ktoś z krewnych ma klucz do mieszkania? Dla mnie to normalne.

Barkner popatrzył na niego.

– Nie wiem już, co według was jest normalne – odparł.

Sverker Edlund i Bent Mogens wjechali na górę, do wydziału technicznego. Komisarz Torsten Öberg, pełniący obowiązki szefa, zobaczył ich na korytarzu i skinieniem zaprosił do swojego pokoju.

– Właśnie się do ciebie wybieraliśmy – powiedział Mogens.

– No to siadajcie.

– Chłopak się nie przyznaje. – Edlund przysiadł na jednym z twardych krzeseł.

– Może to nie on – stwierdził Öberg.

– No to kogo kryje? – zapytał Mogens.

– A musi kogoś kryć?

– Jeśli on tego nie zrobił, to musiał być świadomy tego, że ktoś ją zabija.

– Dlaczego?

– Bo przecież nie był nieprzytomny.

– A może był – odparł Öberg.

– Jak to? – Edlund nie rozumiał.

– Nie wiem – odpowiedział Öberg. – Zobaczymy, czy laboratorium z Linköping nam pomoże.

– A jeśli nie?

– To nie.

– Istnieją narkotyki albo jakieś inne środki, które można komuś podać i które nie zostawiają śladów? – zapytał Mogens.

– Hm... – odparł Öberg. – Trudno na przykład znaleźć ślady chloroformu. Moglibyśmy ich nie wykryć.

– Chloroformu?

– Tak.

– Myślisz, że ktoś mógłby ich uspić chloroformem?

– Nie wiem, Bent. Wiem tylko, że trudno to potem wykryć. To wręcz niemożliwe. O ile oczywiście w tym przypadku mamy do czynienia z chloroformem.

Öberg wstał, podrapał się po głowie, a potem opuścił rękę.

– Dzisiaj chloroformu używa się rzadko – ciągnął. – Jest też trudno dostępny. Pewnie można go dostać w necie. W końcu tam wszystko można znaleźć. – Podrapał się po nosie. – Eteru też już się w medycynie nie używa. To znaczy, jeśli nie liczyć usypiania zwierząt do eksperymentów medycznych.

– Tu nie chodziło o medycynę – zauważył Edlund.

– Ale eter też wchodzi w grę? – zapytał Mogens.

– Tak. Nasączony gałgan przytknięty do nosa i wystarczy kilka sekund. Opary są bardzo skuteczne. Trudno się przed tym obronić.

– A da się to potem wykryć? Eter albo inne substancje?

– W zasadzie to bardzo trudne. Zobaczymy, co znajdą w Linköping – odpowiedział Öberg. – Nie wiemy na przykład, czy niektóre substancje nie ulatniają się po śmierci. Z żywego organizmu znikają szybko, więc nie sądzę, żebyśmy coś znaleźli w krwi chłopaka. Nawet gdybyśmy mieli co znaleźć.

– A u dziewczyny?

– Może. Bo w chwili śmierci substancja przestaje się ulatniać. Ale nie wiemy, jak było w tym przypadku. No i nie wiemy, co to było. O ile w ogóle czegoś użyto.

– Może laboratorium nam odpowie?

– Zobaczymy – podsumował Öberg.

– Ale jak to, do cholery, mogło się rozegrać? Z praktycznego punktu widzenia? Przecież człowiek nie dałby się ot tak uspić? – zapytał Edlund.

– Normalnie nie – odparł Öberg.

– Znaleźliście coś na poduszce? – zapytał Mogens. – Jakies odciski?

– Nie. Jeszcze nie.

– A znajdziecie? Czy to właśnie jest najtrudniejsze zadanie na świecie?

– Bardzo trudne. Ciężko się pracuje na tkaninach.

– Czy na ciele dziewczyny były jakieś ślady wskazujące na to, że się broniła?

– Nie.

– Żadnych?

– Żadnych.

– Nawet się nie zorientowała – powiedział Mogens.

– Więc nie walczyła? – ciągnął Edlund.

– Nic na to nie wskazuje – odparł Öberg.

– Spała – dodał Mogens.

– Cholera – powiedział Edlund. – Zginąć we śnie. Może nawet akurat coś jej się śniło.

Winter czekał na techników. Wiedział, że to jeszcze trochę potrwa. Wreszcie zwłoki zatrzymały się na plaży, niczym kawał drewna wyrzucony na brzeg. Patrzył w stronę zatoki Askim. Skąd przypląnęły? I dlaczego trafiły tutaj? Przecież cały brzeg jest usiany małymi plażami. Więc dlaczego ciało postanowiło

przypląć właśnie do nich, do niego i jego rodziny? Zupełnie jakby sobie wybrało. Czy może to ktoś inny zdecydował, że zmarły trafi do nich? Z tego co widział, wcześniej na morzu nie było żadnej łodzi. Znów spojrzał na zwłoki. Mężczyzna leżał twarzą do góry. Krawat miał poluzowany, więc szyja była odsłonięta. Winter widział na niej sińce, przypominały naszyjnik. Wybroczyny. Winter domyślił się, że powstały, kiedy ciśnienie krwi wzrosło, naczynia w głowie zacisnęły się, a kość gnykowa została złamana. Wreszcie ofiarę zadławiono na śmierć. Ale to były tylko domysły. Nie wiedział, jak było naprawdę. Może doszło do jakiegoś dziwnego wypadku. A może to samobójstwo. Jeszcze nigdy nie był na miejscu zbrodni jako pierwszy. Był świadkiem. Teraz nie jestem już tylko komisarzem, ale też świadkiem. Nikt nie musi mnie wzywać telefonicznie w środku nocy. To ja jestem świadkiem. Praca podeszła niebezpiecznie blisko. Dosłownie bliżej niż rzut kamieniem.

Wrócił do rodziny. Angela próbowała posadzić Lilly w foteliku na przednim siedzeniu ich mercedesa. Ale Lilly nie chciała jeszcze opuszczać plaży. Nie rozumiała. Nikt jej nic nie wyjaśnił.

– Czy to był truposz? – zapytała Elsa z tylnego siedzenia. Nie wyglądała na szczególnie zaintrygowaną. Po prostu chciała wiedzieć. Winter zastanawiał się, co właściwie wie o jego pracy.

– Co to za słowo? – wtrąciła się Angela. – Gdzie się go nauczyłaś?

– Nigdzie – odparła Elsa.

– Tak, ten ktoś już nie żyje – odpowiedział Winter.

– Utopił się?

– Nie wiem.

– A dlaczego wypłynął w naszej zatoczce?

– Tego też nie wiem. – Angela pogłaskała Elbę po policzku. – Mógł wypłynąć w każdym innym miejscu. Wypadło na naszą plażę. No i nie wiadomo, gdzie coś mu się stało.

– Więc już nigdy nie przyjedziemy na naszą plażę?

– Oczywiście, że przyjedziemy. Ale dopiero za jakiś czas.

– Ja chyba już nie chcę tu przyjeżdżać – powiedziała Elsa, ale

jej mina nie wskazywała na to, że mówi poważnie. Po prostu wystawiała ich na próbę.

– Ja na pewno nie chcę – odparła Angela. Ona też wystawiała go na próbę. Winter wiedział, że żadna z nich tak nie na myśli. – Przez jakiś czas nie.

– Nie wiadomo, gdzie coś mu się stało – Winter powtórzył słowa Angeli.

– I co teraz? – zapytała Elsa.

– Jak to? – nie zrozumiał.

– Co teraz zrobisz? Z tym truposzem... to znaczy z tym panem, który tam leży?

Wskazała na wzgórze. Widzieli zmarzniętą trawę, skały i skrawek morza, truposza nie. Żadnej kłody drewna, pomyślał Winter.

– Zajmiemy się nim – odparł.

– Znajdziesz tego, kto to zrobił?

– To znaczy kogo?

– Zabójcę.

Angela się wzdrygnęła. Winter też.

– Tato, czy on naprawdę nie żyje? – zapytała Elsa.

Lilly sprawiała wrażenie, jakby uważnie im się przysłuchiwała. Uspokoila się już, przestała krzyczeć. Siedząc w foteliku, pochyliła się do przodu. Wyglądała na skupioną. Mój Boże, co za rodzina, co za tematy.

– Dość tego, jedziemy – powiedziała Angela i usiadła za kierownicą.

– To właściwie kiedy wybudujemy ten dom? – zapytała jeszcze Elsa.

Technicy dojechali na miejsce w porze lunchu. To znaczy późnego lunchu. Ale akurat tam nikt nic nie jadł. Winter bynajmniej nie miał ochoty na lunch czy choćby na piknik. Zabrali z Angellą kanapki i małe co nieco, ser z przyprawą tikka i ciasto cytrynowe, ale Angela wzięła jedzenie z powrotem do domu. Pokazała mu koszyk, ale pokręcił głową. Powiedział, że zje, kiedy wróci.

Zwłoki leżały już na łądzie. Mężczyzna wyglądał jak ktoś śpiący w mokrym garniturze. Jakby zasnął na deszczu.

Mężczyzna w mokrym garniturze. Czarnym, a może granatowym. Winter nie potrafił rozpoznać marki. Może to Oskar Jacobsson. Miał charakterystyczne klapy.

Håkan Wendelberg przykucnął i pochylił się nad zwłokami. W wydziale technicznym pojawił się niedawno. Bengt Rahm też był jednym z młodych, nowych pracowników. Wendelberg nie był szczególnie młody, był weteranem z Uddevalli. Przywykł do morza. Już wyławiał zwłoki z wody, ale nie wyglądał na zblazowanego.

– Elegancki strój – powiedział, spoglądając na Wintera. – Jakby wrócił z pogrzebu.

– To samo pomyślałem – odparł Winter. – Albo właśnie się na jakiś wybierał.

– Hm... – Wendelberg spojrział na zwłoki. – Białe krawaty zakłada się chyba tylko na takie okazje.

– Chyba tak, Håkan. Białe krawaty zakładają najbliżsi zmarłego.

– Biel to kolor śmierci – odparł Wendelberg.

Nagle na jego twarzy odmalował się żal. Widocznie przechodzi życiowy kryzys, pomyślał Winter. Wendelberg był jego rówieśnikiem. On sam jeszcze niedawno tkwił w krainie kryzysu. Kiwnął głową w stronę ciała.

– Ma przy sobie jakieś dokumenty?

Rahm zaczął przeszukiwać wewnętrzne kieszenie marynarki. Potem sprawdził spodnie.

– Nie – odparł po chwili. – A w każdym razie nie wygląda na to.

Winter jeszcze raz popatrzył na twarz zmarłego. Miał około czterdziestu lat. Może trochę mniej, trudno było powiedzieć. Włosy pociemniały od wody, ale chyba blond. Przylegały do głowy niczym czepek kąpielowy. Chyba był średniego wzrostu, może trochę wyższy. Czoło miał wysokie, oczy szeroko rozstawione, rysy regularne. Chociaż co to w zasadzie znaczy? Kiedy rysy są nieregularne? Kiedy nos, czoło i usta ma się poniżej brody? Jak u Picassa? Dalego? Chagalla? A może jak u Pollocka? Nie, obrazy Pollocka przypominają raczej strzelaninę między gangami.

Zadzwonila komórka.

– I jak tam?

Głos Bertila Ringmara brzmiał spokojnie, jak morze w zatoce. Winter lubił ten głos. W minionym roku, czy raczej w minionych latach, Bertil też przeszedł swoisty kryzys. Coś na kształt mocno opóźnionego kryzysu wieku średniego. Ale wyglądało na to, że jakoś się pozbierał.

– Nie mamy jak go zidentyfikować – powiedział Winter.

– Nie macie nic?

– W każdym razie jeszcze nie.

– A zęby ma na miejscu?

– Wszystko ma na miejscu. Chyba go uduszono. Tak przynajmniej wyglądają ślady.

Rahm spojrział na niego i pokiwał głową.

– Pia już do was jedzie – dodał Ringmar. – Ma dziś sporo do zrobienia.

– Tak?

– Dochodzeniówka pracuje nad zabójstwem z wczorajszej nocy. Koleś udusił dziewczynę, z którą mieszkał.

– Czasami lepiej jest mieszkać osobno – odparł Winter.

– To było w twojej okolicy, na Vasastan. Oczywiście.

– Nie mów nic więcej. Wystarczy mi, że czyjeś zwłoki wypłynęły na moją plażę.

– Erik, to nie jest nasza sprawa.

– Jest – odparł Winter, spoglądając na twarz zmarłego. W tej chwili mężczyzna mógł być kimkolwiek. Hrabią albo bezdomnym. Akurat teraz był bezdomny. Garnitur nic o nim nie mówił. W zasadzie każdy może się tak ubrać. Winter był przekonany, że wkrótce dowie się, kim był, a wtedy będzie mógł zająrzeć do jego minionego życia. Jak archiwista albo archeolog. Był archeologiem śmierci. Akurat teraz miał przed sobą tę twarz, ciało i przemoczony garnitur, ale niedługo ich miejsce zajmą inne obrazy, setki, tysiące obrazów. Tych sprzed śmierci, wybranych z życia, które dopiero co się skończyło. Popatrzył na morze. Dlaczego tutaj? I dlaczego tam? Na morzu? Przeniósł wzrok na zmarłego. Biały krawat wyglądał wręcz absurdalnie, jakby cała ta scena była kawałem. Jakby

mężczyzna za chwilę miał wstać i się szeroko uśmiechnąć. Bo czemu nie?

– Na razie nie wiem nic o pogrzebach – powiedział Ringmar.

– Co?

– Żadnych pogrzebów, z tego co na razie ustaliliśmy – powtórzył Ringmar. – Żadnych w Göteborgu.

– Mam już dość pogrzebów – odparł Winter.

– A kto nie ma.

– Nigdy od nich nie uciekniemy.

– Racja. Przed czym jak przed czym, ale przed tym akurat człowiek nie ucieknie.

Håkan Wendelberg znów spojrzał na Wintera ze zboląłą miną. Doskonale wiedział, o czym mówią. Melancholik, a może raczej kliniczny przypadek depresji. Gdzie przebiega granica? Może jej nie ma? Jeśli na co dzień ma się do czynienia ze śmiercią, chyba lepiej nie rozmyślać nad jej sensem. A jednak trudno się oprzeć. Bo w tym fachu zamiast nad sensem życia rozmyśla się nad sensem śmierci.

TECHNICY PRZYJECHALI I POJECHALI. Lekarz, Pia E:son Fröberg, też. Nie nawiązała do tego, że to plaża Wintera. Kiedyś, dawno temu, jeszcze w poprzednim wcieleniu, spacerowali pod rękę po brzegu, nie tak daleko stąd. Ale to była historia odległa jak dziewiętnastowieczna wyprawa przez Atlantyk. Nie byli już tacy jak kiedyś. Ledwo można nas poznać, pomyślał Winter. Ale wiedział, że to nie tak. Bo oni nigdy się nie zmienili. To świat się zmienił. I tego trzeba się trzymać. Wtedy można żyć niemal wiecznie.

– W ciągu ostatniej doby – powiedziała Pia. – Na razie nie mogę powiedzieć więcej.

Winter pokiwał głową. Pia patrzyła na zatokę. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

- Mógł utonąć – dodała, odwracając się w jego stronę.
- Ale nie bardzo w to wierzysz.
- To, w co wierzę, nie ma tutaj znaczenia.
- I tak chcę wiedzieć.
- Na szyi ma kilka śladów – odparła. – Mógł na coś wpaść.
- Albo ktoś wpadł na niego.
- Zobaczymy – odpowiedziała, a potem zatoczyła ręką koło.
- Ładna działka. Własna plaża.
- Na którą wypływają zwłoki.
- To się mogło przytrafić każdemu.
- Ale nie komisarzowi policji na prywatnej działce. To niesprawiedliwe. I nie w czasie wolnym.
- To godziny pracy też spędzasz tutaj?
- Tak – odparł. Teraz był już sam. Rozmyślał o tym wszystkim, a kolejne godziny pracy mijały. Zwłoki zawieziono do zakładu medycyny sądowej przy Medicinarberget. Mężczyzny nie czekał na razie prawdziwy pogrzeb. Jeszcze nie. To było najlepsze, co mogli dla niego zrobić.

Nad Winterem krążyły mewy. Były cicho. Widocznie uznały, że to nie czas i miejsce na krzyki. A ta plaża zapewne była

bardziej ich niż jego. Przypatrywały mu się, wracały nad zatokę, a potem znów nad ląd. Szukały kolejnych ciał. Chociaż nie. Jedno to i tak aż nadto. Jak długo zwłoki pływały w morzu? Dlaczego nikt ich nie zauważył i nie zatrzymał, zanim trafiły do nas? Winter chwycił płaski kamień i cisnął go ponad wodą. Raz-dwa-trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-osiem-dziewięć.

Rekord, może nawet światowy. Elsa mu nie uwierzy. Nikt mu nie uwierzy. Teraz kamień leżał już na dnie. Dziesięć milionów lat zabrało mu wydostanie się na brzeg, a Winter w dziesięć sekund wrzucił go z powrotem do wody.

Zadzwoiła komórka.

– Tak?

– Wciąż jesteś na plaży?

Usłyszał spokojny głos Bertila. Teraz go potrzebował. Był wstrząśnięty swoim wyczynem.

– Wciąż tu jestem – odparł.

– Co robisz?

– Bawię się w Boga. Zakłócam równowagę w przyrodzie.

– Bóg nie zakłócałby tego, co sam stworzył.

– Przecież kiedyś na ziemi był raj.

– Wciąż jest.

– Powiedz to temu facetowi, który tu wypłynął.

– Było kilka pogrzebów.

– Tak?

– Między innymi w kościele w Askim.

– To przecież po przeciwnej stronie drogi do Särö – zauważył Winter.

– I we Frölunda – ciągnął Ringmar.

– To i tak nie ma sensu, dopóki go nie zidentyfikujemy.

– Tak tylko mówię, żebyś wiedział.

Mewy odleciały nad fiord Askim, wyglądały jak czarne smugi na szarym papierze. W ciągu ostatniej godziny błękit nieba gdzieś zniknął, jakby dopasowując się do sytuacji tu, na dole, w byłym prywatnym raju Wintera. Daleko od brzegu jakaś łódź płynęła w stronę otwartego morza. Niektórzy nie przejmowali się porami roku i beztrudnie żeglowali w stronę gór lodowych. Nagle Winter zateęsknił za własną łodzią. Własna plaża, własna

łódź – to szłoby ze sobą w parze. Mógł sobie zażyczyć łódź na pięćdziesiąte urodziny. Połowę życia spędził w podziemiu. I w nim miał pozostać. Zrozumiał to już. Nie wyrwie się stąd. Zaczął jako najmłodszy komisarz w kraju, skończy jako najstarszy.

Winter obszedł komendę dookoła. Był już z powrotem w mieście. Z plaży zabrał go radiowóz. Dał im tylko znać, że chce wracać. W drodze w ogóle się nie odzywał. Dwaj policjanci siedzący z przodu też nic nie mówili. Był im za to wdzięczny. Zdarzało mu się już jeździć z młodszymi kolegami, którzy chcieli mu opowiedzieć całe swoje życie, jakby zdawali raport. Ale rzadko kto miał go z czego składać, bo jeśli się nie skończyło trzydziestki, nie ma się o czym mówić.

Wysadzili go przed komendą. Kiedy wszedł do budynku, jakaś kobieta skinęła głową na powitanie. Nie znał jej. Może to nowa prokurator. Ostatnio przyjęli kilka naprawdę młodych osób. Dlaczego bez przerwy tak myślę? Czyżbym się starzał? Nie, nie jestem stary. Wciąż jestem młody i dobrze się zapowiadam.

Ringmar stał przy oknie w wydziałowej kuchni. Patrzył w niebo.

– Jest równie szare, jak wcześniej było niebieskie – powiedział.

– Prawdopodobnie go uduszono – odparł Winter. – Możliwe, że gołymi rękami.

– Pia tak powiedziała?

– Tak. To znaczy na pewno powie.

– Myślenie życzeniowe, co, Erik?

– Wręcz przeciwnie.

– Pierwszy raz trafił nam się topielec w pogrzebowym stroju.

– Może po prostu facet lubił białe krawaty.

– Może wcale nie był na pogrzebie.

– Jak to?

– Może tak to miało wyglądać. Ktoś go tak ubrał po zabójstwie – zasugerował Ringmar.

– Może zwiął z własnego pogrzebu.

– Ciekawe. Wszystko jest możliwe.

- Dopóki tak będziemy myśleć, jest nadzieja.
- Nie to miałem na myśli. To miało być raczej zaprzeczenie.
- Zaprzeczenie? Tak to się nazywa.
- Co ty tu właściwie robisz, Erik?
- Sam nie wiem.

Ale tak naprawdę wiedział. Chciał poznać tożsamość zmarłego, zanim wróci do rodziny i będzie dalej celebrował weekend, o ile to w ogóle możliwe. Bo ta sprawa będzie się ciągnąć. I to mu się nie podobało. Jak coś nieskończonego, coś, co wtargnęło w życie jego i jego rodziny. Wtargnęło na jego plażę. Takie coś zdarzyło się po raz pierwszy od ćwierćwiecza. Jakby śmierć wkroczyła do ich mieszkania przy Vasaplatsen. Przybrała postać utopionego mężczyzny, ale wciąż była anonimowa. Potrzebowali jego nazwiska, żeby móc skorzystać z karty dentystycznej. Może odciski palców okażą się pomocne, o ile oczywiście miał kryminalną przeszłość. Ale to rzadko się udaje. Najczęściej w takich przypadkach ludzie okazują się przygnębiająco porządni. Za bardziej realne Winter uważał zgłoszenie o zaginięciu. W końcu zniknięcie przeciętnie towarzyskiej osoby musi w końcu wyjść na jaw. A jeśli to się nie uda, opublikują komunikat: martwy mężczyzna, Szwed...

– Jadę do domu – powiedział Winter i wyszedł na korytarz. Ruszył w stronę klatki schodowej i wezwał windę. Przywiozła Sverkera Edlunda. Też jechał na dół.

- Cześć, Sverker.
- Cześć, Erik.
- Co tam?
- Jako tako. Słyszałem o topielcu.
- Cholera. Na mojej własnej działce.
- Właściwy człowiek na właściwym miejscu.
- Chyba nie rozumiem tego żartu, Sverker.
- Jeśli mam być szczerzy, ja też nie.

Edlund uśmiechnął się blade.

– Ja też słyszałem o twojej ofierze – powiedział Winter.

– No.

Znaleźli się na dole. Na korytarzu było pusto. Przy nowym wejściu do budynku też nie zobaczyli nikogo. Każdy, kto mógł,

wziął wolne. Wszyscy chcieli świętować nadejście zimy. Przecież nie było jej już tak dawno, wszyscy się za nią stęsknili przez te trzy długie letnie miesiące.

– Wciąż przesłuchuję chłopaka – powiedział Edlund. – Mieszkał z ofiarą. Przytknął jej poduszkę do twarzy.

– To on?

Edlund wzruszył ramionami.

– Przyzna się, zanim zapadnie wieczór.

– Tak byłoby najlepiej dla wszystkich – stwierdził Winter.

– Prawda?

– Bertil wspominał, że to było na Vasastan. Mam nadzieję, że nie na Vasaplatsen.

– Nie, przy Chalmersgatan.

– Kiedyś był tam posterunek.

– Tak. Gdyby tam był, może by do tego nie doszło.

– No, na samą myśl o policji ludzie się pilnowali. Wystarczyło, że widzieli szyld.

Stali pod komendą. Za każdym razem kiedy Winter tu był, myślał o tym, jak brzydki jest ten budynek. Teraz było tak samo.

– Naprawdę potrzebuję trochę świeżego powietrza – powiedział Edlund. – Jak się trochę posiedzi w środku, trudno złapać oddech.

– No.

– Co za sprawa z tym chłopakiem. Dobrze wykształcony, rodziców pewnie ma zamożnych, eleganckie, burżujskie mieszkanie w centrum miasta. Jego dziewczyna była tak samo ustawiona, pochodziła z podobnej rodziny. A i tak wszystko diabli wzięli.

– Zaskoczyło cię to?

– Nie, ale to bez sensu.

– Co?

– Że skończyło się tak, jak się skończyło. Sam nie wiem. Po prostu za każdym razem trudno mi się z tym pogodzić.

– Chodzi ci o to, że skoro młodzi pochodzili z bogatych rodzin, diabli nie powinni byli wszystkiego brać?

– Może. Sam nie wiem.

– Jedyna różnica między nami a bogaczami jest taka, że oni mają więcej kasy – powiedział Winter.

– Przecież sam do nich należysz.

– Skądże.

– No to źle słyszałem.

– A kto to powiedział? Z kogo wycisnąłeś takie zeznanie?

– Nie pamiętam.

– Ja należę do klasy robotniczej.

– Chyba tej nowej.

– Tej młodej.

– A jak tam głowa?

– Co?

– Słyszałem, że długo dokuczał ci chroniczny ból głowy.

– Jezu, a kogo torturowałeś, żeby usłyszeć i tę wiadomość?

– Też nie pamiętam.

– Jak głowa?

Był sobotni wieczór. Dzieci spały. Angela też ucięła sobie godzinną drzemkę na kanapie w salonie. Każdy sobotni wieczór wygląda tak samo. Chwila, w której tydzień dogania sam siebie. Tak przynajmniej wyraziła się Angela. Winter orzeźwił się szklaneczką maltwhisky. Działała lepiej niż pigułki. Angela już od kilku minut przewracała się na kanapie. Spojrzał na zegarek. Tak, o tej porze tak zazwyczaj wygląda ich mieszkanie. A na zewnątrz, na Vasaplatsen, wciąż było cicho. Później, za kilka godzin, pijaczki zaczną wracać do domów i narobią trochę hałasu, ale potem znów się uspokoi. Bo Vasaplatsen to spokojne miejsce. Jakby leżało w oku cyklonu. W jego centrum. Dlatego Winter chciał tu mieszkać. Wracając do domu, wracał do samego centrum. Do serca miasta. Tu nie było groźnego morza. Nic nie mogło wypłynąć na brzeg, pod ich próg.

– Głowa? Znakomicie – odpowiedział.

– Brałeś ostatnio jakieś pigułki?

– Nie pamiętam już, gdzie leżą.

– To dobrze.

– Nie pamiętam nawet, dlaczego w ogóle ich potrzebowałem.

– Bolała cię głowa. Prawdopodobnie miałeś migrenę.

– Gdyby tak było, ból by wrócił.

Angela nie odpowiedziała.

– A wiem, że nie wróci – ciągnął Winter.

– To dobrze.

– Wierzysz mi?

– Sam wiesz najlepiej.

– A coś takiego można wiedzieć? To nie ja jestem lekarzem, tylko ty.

– Ale ty masz niezłą intuicję.

– Droczyś się ze mną?

– Tylko trochę.

– A czy ból głowy nie może się pojawić i zniknąć? To musiało być na tle psychosomatycznym.

– No to może wrócić.

– Nie. Jestem teraz kimś innym.

– Jak to?

Winter wypił łyk szesnastoletniej longrow, którą zamówił parę tygodni wcześniej. Sam powinien pojechać do Longrow, wszyscy powinni tam pojechać na rodzinne wakacje. Mull of Kintyre, Campbelltown. Wiosną, zdecydowanie wiosną. Mogą się jakoś zgrać ze Steve'em i jego rodziną. Ze Steve'em Macdonaldem, kolegą z londyńskiego Croydon. Już się tak dogadywali. Ostatnim razem Steve omal przez to nie zginął. Oberwał kulkę na plaży. Na innej plaży, w miasteczku Cullen, na wschód od Inverness. Teraz planowali kolejne spotkanie, i to w mieszkaniu Wintera. Umówili się na sylwestra na Vasaplatsen. Na razie to był tylko wstępny plan, ale kto wie. Może odśpiewają *Auld Lang Syne*. Ostatnio Steve był w Szwecji, kiedy pomagał im rozwiązać sprawę, która poruszyła zarówno Göteborg, jak i Londyn. Zresztą nie chodziło o zwykłe poruszenie, tylko o coś o wiele gorszego. Minęło prawie piętnaście lat. Bergenhem omal wtedy nie zginął. Po raz pierwszy.

– Mówiłam ci, że po południu rozmawiałam z Sarah? – zapytała Angela.

– Na pewno nic nie wspominałaś.

– Zadzwoiła, kiedy wróciłam z dziewczynkami do domu.

– Tak?

– Nie może się już doczekać przyjazdu do Szwecji. Jak oni wszyscy zresztą.

– Aha.

– Więc obie mamy nadzieję, że się uda.

– A dlaczego miałyby się nie udać?

– Jak się ma do czynienia z dwoma facetami działającymi w tej branży, to nigdy nie wiadomo.

– Masz na myśli na przykład zabójstwo w sylwestra?

– Tak. Albo tuż przed sylwestrem. Steve na pewno wolałby zdążyć przyjechać, zanim cokolwiek się stanie.

– Najważniejszy jest plan – stwierdził Winter.

– Czyj plan?

– Wszystkich – odparł, zaciągając się zapachem whisky. Ziemia i sól. I kolor dwudziestokaratowego złota.

– Więc zabójcy też obchodzą Nowy Rok? – zapytała.

– Tak.

– Czasami chyba obchodzą aż za bardzo, co?

– Niestety.

Winterowi przypomniał się inny sylwester. Może Angela też go czasami wspominała. Nie dało się o nim zapomnieć. Miał nadzieję, że Angeli się to uda, ale oczywiście pamiętała. Nic dziwnego. To było kilka godzin po północy, w nowym milenium. Winter znalazł się w mieszkaniu w Bifrost. Dwoje ludzi siedziało tam na kanapie. Mężczyzna i kobieta. Coś było nie tak z ich głowami. A potem Angelę porwano. Była w ciąży. Boże, co za życie. Co za praca. Kolejny raz zaciągnął się zapachem whisky, a potem wypił mały łyk. Whisky z czterdziestosześciprocentowej beczułki, gęsta jak oliwa z oliwek, aromat sherry mocniejszy niż w poprzednich rocznikach, ale i tak zaliczała się do światowej czołówki. Zostawiała intensywny, słonawy posmak. To on trzymał Wintera w prawdziwym świecie. Tym małym, nie tym, o którym myślał przed chwilą. Te głowy. Ich wspomnienie chodziło za nim jeszcze długo. Prześladowały go w snach. Tak jak teraz Bergenhem.

ZGŁOSZENIE PRZYSZŁO DOKŁADNIE o czwartej czterdzięci dziewięć i szesnaście sekund. Dotyczyło zagrożenia życia. Zawierało tylko ogólny opis sytuacji, było raczej jak rekomendacja.

Radiowóz ruszył w grudniową noc. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Na dworze było zimno. Już poprzedniego wieczoru temperatura spadła poniżej zera.

Na samochodach, które mijali, stażystka Gerda Hoffner widziała szron. Zima znów nadeszła. Witaj, zimowa poro! Czas sięgnąć po świece, grzane wino, skórzane rękawice i kijki do hokeja. Nie żeby kiedykolwiek trzymała w ręku kijek do hokeja, ale raz była na meczu. I to akurat w Berlinie, z wujkiem Joachimem. Grała drużyna Eisbären Berlin. Więc niedźwiedzie polarne chodziły po ulicach nie tylko w Szwecji, zapuściły się też na berlińskie lodowiska. Z tego co pamiętała, wygrali. Na widowni czuć było zapach piwa. Miesiąc później znów czytała o niemieckiej drużynie hokejowej, która była na jakimś obozie szkoleniowym w Szwecji, a dokładniej w Skanii. Połowę zawodników oskarżono o gwałt, a może o molestowanie seksualne, a może i jedno, i drugie. Sprawę wyciszono i drużyna szybko pojechała za Bałtyk, żeby już nigdy nie wrócić.

Vasastan jeszcze się nie obudziło. Minęli Vasaplatsen. Neon nad budką z hot dogami świecił jaskrawo, jakby zimno wyostrzyło światło.

Gerda jechała do swojej drugiej śmierci.

Centrala skierowała ich na Götabergsgatan. Właśnie dojechali na miejsce. Gerda wraz z kolegą, Alexandrem, szukała domu. Alexander Hedberg był żółtodziobem tak jak ona, był nawet młodszy. Często do wezwań dotyczących zagrożenia życia wysyłano bardziej doświadczonego funkcjonariusza, ale tym razem było inaczej. Alexander nigdy nie był na miejscu zbrodni. O ile tym razem chodziło o zbrodnię. Wiedzieli tylko, że zdenerwowany mężczyzna

zadzwoił i powiedział, że jego partnerka nie żyje.

Oni byli w pobliżu. Okropne. Drugi raz w ciągu kilku dni. Mogło trafić na kogokolwiek, a trafiło na nią. I pewnie będzie trafiać na nią, dopóki będzie pracować w centrum miasta. I to wiele razy, pomyślała.

– To tutaj – powiedział Hedberg. To on prowadził. Dopiero co się zmienili. Gerda popatrzyła na fasadę budynku. We wszystkich oknach było ciemno. Zadarła głowę wyżej, aż zabolął ją kark. Teraz zobaczyła, że świeci się gdzieś na górze. Światło było słabe, jakby dochodziło zza grubej zasłony albo kotary. Chyba czerwonej, bo poświata też była czerwona. Kto dzisiaj wiesza czerwone kotary?

– Świeci się na trzecim piętrze – powiedziała Gerda.

– No.

– Myślisz, że to trzecie?

– No.

– No to wchodzimy.

– Nie słyhać w twoim głosie szczególnego entuzjazmu – powiedział Alexander.

– A co za różnica – odparła Gerda i wysiadła. Usłyszała, że Alexander też wysiada. Powoli, jakby i on miał nadzieję, że jakimś cudem zjawi się jakiś inny policjant i wejdzie na górę za nich. Gerda znów popatrzyła na budynek. Ściana wyglądała, jakby pokrywał ją szron, przypominający warstwę farby. Szarej, obrzydliwej i odpychającej. Tej nocy było zimniej niż ostatnio. Ostatnio. Zabrzmiało to rutynowo. Jakby przytrafiało jej się to cały czas. Ale dom przy Chalmersgatan nie był oszroniony. To przecież zaledwie kilka przecznic dalej. Jak często w tej okolicy kobiety giną w ten sposób? Chociaż Gerda nie wiedziała, jak zginęła ta kobieta na górze. Czy śmierć wyglądała równie spokojnie jak ostatnio? Ostatnio. Mój Boże. Nigdy nie zapomni jej twarzy. Zimnej i białej. Był w niej chłód pochodzący z tego odległego miejsca, do którego i ona kiedyś trafi.

Alexander czekał z tyłu. To ona musiała przejąć dowodzenie, inaczej nigdy by nie weszli. Kod do domofonu przekazała im centrala.

– Mężczyzna w mieszkaniu jest poruszony – ostrzegli ich. –

Bądźcie ostrożni.

– Co zrobił?

– Jego żona nie żyje. Żona albo dziewczyna. Nie wiem, jak umarła. On twierdzi, że nie wie.

– A co się stało?

– Nie potrafił powiedzieć. Mówił, że nie wie.

Gerda pchnęła drzwi.

Na klatce pachniało śniegiem. Tak, śniegiem. Jakby wprowadziła się tam zima. Nagle Gerda poczuła się osamotniona, jakby znalazła się sam na sam z zimą.

– To idziemy na trzecie – powiedział Alexander. Czekał, aż Gerda pierwsza ruszy na górę. Nie chciał iść przodem. Windą woleli nie jechać. Przypominała tę w domu przy Chalmersgatan – stary, wysłużony dźwig wyglądał na sto lat. I na pewno tyle miał. Stare windy w starych domach są piękne, starzeją się ładnie, połyskują – tym mocniej, im są starsze. Wydają się wieczne.

Jedne drzwi na trzecim piętrze były uchylone na dziesięć centymetrów. Drzwi do drugiego mieszkania były zamknięte. Może ktoś za nimi stał i wyglądał przez wizjer. Możliwe, że potem będą musieli przesłuchać świadków, to znaczy sąsiadów. Ktoś mógł coś widzieć albo słyszeć. Chociaż Gerda wiedziała, że zazwyczaj nikt nic nie widzi i nie słyszy. Oczywiście chodzi o strach. Jako policjantka Gerda szybko się nauczyła jednego: że wielu ludzi naprawdę się boi. Czasami miała wrażenie, że przyszło jej żyć i pracować w krainie przestraszonych. Wszyscy się bali.

– Otworzył nam? – zapytał Alexander i popatrzył na drzwi, zza których wyzierała czarna szpara.

– Ostatnio było tak samo – powiedziała Gerda Hoffner.

– Ostatnio?

– Byłam przy poprzednim wezwaniu, kiedy znaleźliśmy tę dziewczynę przy Chalmersgatan. W sobotę.

– Byłaś tam?

– Tak.

– I jak było?

– Okropnie. Musimy wejść.

Alexander przytaknął. Trzymał już w ręku pistolet. Ona zacisnęła palce na swoim. W mieszkaniu panowała cisza. Śmiertelna cisza. Gdzieś tam czekał na nich mężczyzna. Czy się boję? – pomyślała Gerda. Tak.

Przekroczyła próg.

– Policja! – zawołała. – Już przyjechaliśmy.

Nikt im nie odpowiedział. Słyszała za sobą oddech Alexandra. Świszczący.

– Zamykamy drzwi? – zapytał cicho.

– Nie, absolutnie.

Gerda zrobiła krok do przodu. W holu było ciemno, ale świeciło się w pokoju w głębi. Zawsze tak jest. Pali się w pokoju w głębi. A nikt nie chce iść w stronę tego światła.

Ruszyli przed siebie.

Gerda znów usłyszała za sobą chrapliwy oddech Alexandra. Może ma problemy z astmą. Ponoć objawy nasilają się w stresie, jak wszystko zresztą. Zdrowiej jest unikać stresu.

– Policja! – zawołał Alexander. – Policja!

Minęli drzwi do kuchni. Gerda zerknęła w tę stronę, ale nie chciała patrzeć długo. Chciała się skupić na tym, co ma przed sobą, na pokoju, z którego dochodziło światło. Teraz nie wydawało się już czerwone, tak tylko wyglądało, kiedy patrzyła z ulicy. Kątem oka zauważyła czerwoną kotarę. Przypominała czerwony cień. Jak na filmie. Zdążyła stwierdzić, że kuchnia jest nowoczesna, jak ta przy Chalmersgatan: połyskujące blaty, stal, drewno, cegły. Nowa kuchnia w starym domu. W kuchni paliło się jakieś światło, jakby pojedyncza lampka na suficie. Tylko jedna strużka oświetlająca butelkę wina stojącą na blacie. Obok stał kieliszek. Światło przebijało przez butelkę.

– Nie ruszaj się!

To był głos Alexandra. Gerda popatrzyła przed siebie. W drzwiach widać było sylwetkę. Światło sączyło się zza niej jak dym.

– Nie ruszaj się! – znów krzyknął Alexander.

Gerda przygotowała się do strzału.

– Nie strzelaj! – krzyknęła stojąca w drzwiach postać.

– Nie ruszaj się!

Postać się poruszyła. Czarna sylwetka nagle zrobiła się olbrzymia.

– Nie ruszaj się!

– To nie ja! To nie ja!

– Stój, do cholery!

Postać się zatrzymała.

I nagle zniknęła!

Gerda czuła, że szybko idzie do przodu. To było jak film, miała wrażenie, że ona i Alexander są widzami. Ścisnęło ją w brzuchu, jakby zaraz miała zwymiotować. To napięcie, strach, stres. Jeszcze nigdy nie czuła ich tak wyraźnie. Nigdy nie była w takiej sytuacji. Byli już w pokoju, sama nie wiedziała, jak i kiedy tam weszli. Nie zdążyła zobaczyć, jak wygląda. Kiedy adrenalina szaleje, wszystko dzieje się automatycznie. Wciąż nic nie widziała, zobaczyła dopiero potem. Najpierw czerwoną kotarę, później coś białego, może łóżko, jeszcze więcej bieli, całe mnóstwo, potem znów coś czerwonego. Pomyślała, że ta kontrastująca z bielą czerwień ma taki sam odcień jak kotara za łóżkiem.

– Boże... – odezwał się Alexander.

– To nie ja. To nie ja!

Głos dobiegał gdzieś z bliska, ale Gerda nie wiedziała skąd. Czy ten facet stanął za kotarą, do cholery?

– To nie ja!

Gerda odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. Mężczyzna stał na prawo od drzwi, w rogu, za biurkiem. Jakby próbował uciec.

Już nie był tylko sylwetką. Gerda zobaczyła mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę. Był goły. Kolejny głos. Ale chyba nie był tego świadomy. Trząsł się, jakby miał wysoką gorączkę. Włosy miał mokre, jakby wyszedł z kąpieli. Na jego ciele widać było ślady krwi. Miała taki sam odcień jak czerwień, którą Gerda widziała przed chwilą. Popatrzyła więc w tę stronę jeszcze raz, w stronę bieli i czerwieni. Zobaczyła twarz opartą o poduszkę. Nie poruszała się. To była twarz kobiety. Otaczały ją ciemne włosy, wyglądały na mokre, tak jak włosy mężczyzny. Miała zamknięte oczy. Gerda przypomniała sobie kobietę w

łóżku przy Chalmersgatan. Tamta też miała zamknięte oczy. Wyglądała, jakby spała. Ta też tak wyglądała. Stojący w kącie nagi mężczyzna znów coś powiedział, ale Gerda nie słyszała co. Alexander coś odpowiedział. Tego też nie usłyszała. Zrobiła krok w stronę łóżka. Nie chciała patrzeć, ale musiała. Także i ta scena, zupełnie jak ta przy Chalmersgatan, raziła spokojem. Ale ten spokój był inny, zdawał się krzyczeć jak szaleniec. Jakby coś w tym strasznym pokoju wrzeszczało ze wszystkich sił. Gerda dotknęła szyi kobiety. Była lodowata jak zima. Śmierć była zimą. Zimą wszystko umiera. Właśnie taka myśl przyszła jej wtedy do głowy. Na ciele nie było widać żadnych obrażeń. Tylko na prześcieradle były czerwone plamy.

Mężczyzna stojący w rogu poruszył się. Nagle znalazł się przy łóżku.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła Gerda, choć i tak zdążył już się do niej zbliżyć.

Wskazał na kobietę. Gerda widziała, jak drżą mięśnie jego ramienia. Wyglądało to na nerwowe skurcze, jakby nie mógł ich opanować. Był dość silny, ale teraz wyglądał na słabego.

Chyba jest przerażony, pomyślała Gerda. Przerażony tym, co zrobił.

– Ja spałem! – powiedział.

– Nie ruszaj się!

– Obudziłem się. I zobaczyłem... zobaczyłem... – Nie mógł skończyć.

Zaczął się trząść, cały.

Nagle zamarł, jakby ktoś odłączył go od prądu. Jakby był naładowany, pomyślała.

– Ja nic... nic nie zrobiłem – powiedział.

Jak wszyscy, pomyślała Gerda, spoglądając na łóżko, szafkę nocną i ściany. Łapie się człowieka na gorącym uczynku, ale nic nie zrobił. To zawsze ktoś inny, nawet jeśli nikogo innego nie ma. W pokoju jest tylko on i ona, choć właściwie jej już nie ma. Zupełnie jak w tamtym mieszkaniu. Ciekawe zresztą, czy tamten chłopak się przyznał. Ten z Chalmersgatan. Z tego co wiem, to nie. Ale do czego nie chce się przyznać?

Gerda usłyszała, że mężczyzna płacze. Rozpaczał.

Nazywał się Erik Lentner. W jaskrawym świetle jego twarz wyglądała bardzo blado. Sverker Edlund był do tego przyzwyczajony. Wszystkie twarze są blade, nawet twarze niewinnych. Lentner siedział przygarbiony na krześle po drugiej stronie stołu. Twarz miał pustą. Bez żadnego wyrazu. Jak dotąd nic nie powiedział. On też tylko się przedstawił, nie zaczął jeszcze pytać.

Lentner gościł u nich dopiero od pół godziny.

Edlund pomyślał o drugim chłopaku, o Martinie Barknerze.

Lentner i Barkner byli niemal sąsiadami.

Vasastan nie była dzielnicą dzikusów. Kiedy ostatnio doszło tam do zabójstwa? Chyba pod koniec roku 1999, chodziło o podwójne morderstwo. Edlund jeździł wtedy w patrolu. Sprawą zajął się oczywiście wydział śledczy. Erik Winter. Mieszkał tuż obok miejsca zbrodni. A zbrodnia była okrutna.

Erik Lentner był lekarzem. Ale nie w tej chwili. I może już nigdy nim nie będzie. Edlund jak zwykle zapytał, dlaczego to zrobił. Ale na wyczerpującą odpowiedź musiał jeszcze poczekać. Lentner nie mówił dużo i nadal się nie przyznał, że to on. Kiedy się obudził, zobaczył, co się stało. Spał, kiedy do tego doszło. Przespał jej śmierć. A kiedy się obudził, zaczął się koszmar. Próbował ją ocalić, wyciągnąć z tego złego snu. Tak się zdenerwował, że zaczął się drapać. Stąd krew. To jego. Gloria. Miała na imię Gloria. Gloria Carlix. Jej nazwisko brzmiało trochę jak nazwa stacji benzynowej.

Erik Lentner podniósł wzrok.

Wyglądał na spokojnego. Jakby czuł się przygotowany. To mogło wszystko ułatwić, ale równie dobrze mogło oznaczać, że sprawa będzie się ciągnąć. Może dniami, tygodniami. Spokojnego, skupionego sprawcę, który postanowił być niewinny, czasami trudniej złamać. Przełamać jego opór i przejrzeć kłamstwa. Ale Edlund był pewien, że w końcu mu się uda. Prędzej czy później każdego da się złamać.

– Co mam powiedzieć? – zapytał Lentner.

– A co pan chce powiedzieć?

– Że nic nie zrobiłem. To oczywiste.

– To proszę to powiedzieć.

- Co?
- Proszę to powiedzieć, jeśli dzięki temu panu ulży.
- Czy to jakaś nowa metoda prowadzenia przesłuchań?
- Nie, stara i sprawdzona – odparł Edlund.
- O co w niej chodzi?
- O to, co sprawdzone.
- To znaczy?
- O prawdę.
- Ja mówię prawdę. Dlaczego miałbym kłamać?
- Proszę opowiedzieć o wczorajszym wieczorze.
- Co mam powiedzieć?
- Proszę zacząć od godziny dziewiątej.
- A dlaczego akurat od dziewiątej?

Edlund nie odpowiedział, pokiwał tylko głową. Przesłuchiwany zadał mu już dość pytań.

Lentner popatrzył na Edlunda z takim wyrazem twarzy, jakby wątpił w jego inteligencję. Edlund znał to spojrzenie. Jeśli podejrzani pochodzą z klasy wyższej, w takich sytuacjach czasami dochodzi do głosu ich poczucie wyższości. Może to kwestia wrodzonej pewności siebie. Prawdziwi socjopaci z klasy wyższej łączą pewność siebie z poczuciem własnej niewinności. Czasami rozmowy z nimi się przeciągają i w końcu stają się niemożliwe. Takich delikwentów może przejąć tylko ubrana w białe fartuchy ekipa z kliniki. Ale Lentner nie wyglądał na wariata. Może i był zarozumiały, ale nie szalony. Wyglądał, jakby wątpił, że dzięki przesłuchaniu Edlund jest w stanie dowieść jego niewinności. Takich Edlund też już widywał. Niektórzy domagali się, żeby ich przesłuchał ktoś inny. Bo ten im nie wierzy. Chcę kogoś, kto mi uwierzy, żebym mógł stąd wyjść. Chcę kogoś, kto zrozumie, że jestem niewinny.

– No dobrze, od dziewiątej – powiedział Lentner tonem: dobrze, miejmy to już za sobą, choć nie bardzo rozumiem po co. – Obejrzeliśmy wiadomości. To znaczy ja oglądałem. Przynajmniej pierwszą część.

Edlund nie pytał, co mówili w wiadomościach. Sam ich nie oglądał. Uwierzył mu.

- Bliski Wschód – powiedział Lentner. – Mówili o Bliskim

Wschodzie.

Edlund pokiwał głową.

– O Gazie. – Lentner pochylił się do przodu. – Zawsze chodzi o Gazę, prawda? O Palestynę. W co drugich wiadomościach mówią o Palestynie.

Niewykluczone, że jutro powiedzą o tobie, pomyślał Edlund. Może jednak chłopak jest wariatem.

– Interesuje się pan polityką? – zapytał Edlund.

– Co?

– Interesuje się pan polityką?

– A co to ma do rzeczy?

– Jakiej rzeczy?

– Co?

– Jaką rzecz ma pan na myśli?

Lentner nie odpowiedział. Podniósł wzrok, popatrzył ponad głową Edlunda, ale nic tam nie było. Spojrzał więc znów na niego. Nie wyglądał już na tak pewnego siebie.

– Wyłączyłem po kwadransie i puściłem muzykę. Z płyty – powiedział Lentner.

– Co robiła Gloria?

– Chyba czytała.

– Gdzie?

– Co gdzie?

– Gdzie czytała?

– W łóżku. W sypialni.

– A pan gdzie słuchał muzyki?

– W dużym pokoju. W największym. Tam gdzie mamy duży telewizor i sprzęt grający.

Czy technicy sprawdzili odtwarzacz CD? – zastanowił się Edlund. Na pewno tak. A jeśli nie, to powinni to zrobić. Ale na pewno sprawdzili. Spojrzał na zegarek. Na pewno jeszcze są na miejscu. Mają sporo roboty.

– Jaką płytę pan włączył?

– Co?

– Czego pan słuchał?

– A czy to ważne?

Edlund nie odpowiedział.

– No dobrze. Marka Knopflera. Czy to przestępstwo?

Czy to jakiś żart? – pomyślał Edlund. I czy to z Markiem Knopflerem to też żart? Ja słuchałem Dire Straits. *Sultans of Swing*.

– Niektórzy uważają, że słuchanie Marka Knopflera to przestępstwo – ciągnął Lentner. – Zwłaszcza jeśli jest się przed pięćdziesiątką.

– Więc wczoraj wieczorem słuchał pan Marka Knopflera?

– Żałuję, że nie jazzu – powiedział Lentner, spoglądając na stojący na stole dyktafon. – Lepiej by to teraz brzmiało.

Facet umie zmienić temat, trzeba mu przyznać. A może jest w ciężkim szoku.

– Jak długo słuchał pan muzyki?

– Nie patrzyłem na zegarek. Może do dziesiątej. Mniej więcej.

– A co robiła Gloria?

– Czytała. Mówiłem już.

– A co się działo po dziesiątej?

– Jak to?

– Proszę powiedzieć, co pan robił, kiedy skończył pan słuchać muzyki.

– Poszedłem do łazienki i umyłem się. I wysikałem, jeśli to pana interesuje. Potem poszedłem do sypialni, a wtedy Gloria poszła do łazienki.

Edlund pokiwał głową.

– Potem wróciła i zgasiliśmy światło.

– Od razu?

– Prawie. Ja chyba jeszcze coś czytałem.

– Co pan czytał?

– Książkę.

– Którą? Bo na szafce nocnej leżało kilka.

– A co za różnica?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Ta odpowiedź będzie równie żenująca jak ta na pytanie o muzykę.

– A co w niej takiego żenującego?

– To, że muszę się zdradzić z kiepskim gustem.

- To pana największy problem?
 - Co?
 - Czy to właśnie jest dla pana najważniejsze? Własny gust?
 - Nie... Nie. Nie.
 - No więc co pan czytał?
 - Kryminał. Naprawdę kiepski, jeśli mam być szczerzy.
 - Jaki tytuł?
 - Martwe... coś tam. Nawet tytułu nie pamiętam. Ale nigdy nie pamiętam. W każdym razie autorką jest Eva Petreus.
- Edlund znów pokiwał głową.
- Czytał pan? – zapytał Lentner.
 - A co czytała Gloria? – odpowiedział pytaniem Edlund.
 - Co? Nie wiem. Chyba coś amerykańskiego. Coś o Nowym Jorku. Taka tam babska książka.
 - Co ma pan na myśli?
 - O dziewczynach z Nowego Jorku. O związkach i takie tam. Carpenter. Autorka nazywa się Carpenter. Ona, to znaczy my rozmawialiśmy o niej któregoś dnia.
 - Dlaczego?
 - Nie wiem. Chyba powiedziałem, że Carpenter to po angielsku stolarz. Coś takiego. Stolarz pisze o trendy-śmietance Nowego Jorku.
 - O której zgasiliście światło?
 - Nie patrzyłem na zegarek. Bo dziś miałem mieć wolne. Ale byłem zmęczony.
- Lentner się rozejrzał, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że to w tym pokoju spędzi wolny dzień. W nim i w areszcie piętro wyżej.
- Popatrzył na Edlunda.
- Chyba o jedenastej. Chyba zgasiliśmy światło o jedenastej.
 - A Gloria?
 - Też. Oboje zgasiliśmy jednocześnie.
 - A potem?
 - Nie rozumiem.
 - Kiedy zasnęliście?
 - Chyba zaraz potem.
 - Czy któreś z was brało jakiś środek nasenny?

- Nie.
- Jest pan pewny?
- Nie wiem, o co panu chodzi.
- Skąd pan wie, że Gloria nie wzięła nic na sen?
- Bo nigdy nie bierze środków nasennych. Nie lubi tabletek.

Bierze je, tylko jeśli to naprawdę konieczne. A nawet jeśli, to tylko coś na gorączkę.

- Dobrze sypia?
- No... tak. Prawie zawsze.
- A kiedy bierze środki nasenne?
- Prawie nigdy.
- A kiedy brała?
- Dlaczego pan o to pyta?
- Kiedy ostatni raz brała środki nasenne?

– Nie wiem. To musiało być kilka miesięcy temu. Chyba nawet nie mamy nic takiego w domu. – Lentner przeciągnął dłonią po włosach. Były półdługie, dłuższa grzywka zasłaniała czoło. Wciąż ją odgarniał. – Nie, nie mamy w domu żadnych leków nasennych. – Nagle na jego twarzy pojawiło się napięcie, jakby się obudził i zorientował, że jest jeszcze gorzej, niż myślał. – Jak mogłem spać, kiedy to się stało?

6

BENT MOGENS WSZEDŁ do wydziałowej kuchni i podszedł do automatu z kawą.

Odwrócił się w stronę Edlunda.

– Kiedyś była tu też czekolada – powiedział.

– I co, wolałeś ją od kawy?

– Nie.

Edlund się uśmiechnął.

– Wyglądasz, jakby uśmiechanie się sprawiało ci ból.

– Jestem zmęczony.

– Problemy ze snem?

– Raczej z podejrzanymi.

– Dlaczego nie mogą się po prostu przyznać?

– Sam sobie zadaję to pytanie. Im też.

Edlund próbował się rozruszać. Kości mu się zastały. Niedobrze jest godzinami siedzieć w skupieniu i wysłuchiwać, co ktoś mówi. Wyciągać z ludzi słowa. Ale też chwile milczenia. Bo czasami to nie słowa są ważne, tylko chwile ciszy. Miles Davis powiedział kiedyś, że to nie tony są istotne, ale przerwy między nimi. Na tym kończyły się związki Milesa Davisa z Lentnerem i jego z Markiem Knopflerem.

Lentnera i Barknera zatrzymano w sobotę, po tym, jak Pia E:son Fröberg poinformowała o punktowych krwawieniach u ofiar.

– Wczoraj długo siedziałem z tym drugim – powiedział Edlund. – Z Lentnerem. W pewnym sensie to twarda sztuka. Jest skupiony, jakby obserwował.

– Co masz na myśli?

– Sam nie wiem, o co mu chodzi.

– Powinien się jakoś lepiej załamać?

– Załamać się lepiej? Co to za okropne określenie?

– Sverker, nie wyzywaj się na mnie.

Edlund wstał. Przez okno widział zarys Skånegatan i stojącego po drugiej stronie liceum. Zapowiadał się ładny

dzień. Słońce wznosiło się już nad górami na południowym wschodzie. Może w tej akurat chwili było gdzieś w okolicach Mölnlycke. Edlund popatrzył na zegarek. No tak. Zaraz dotrze nad Pixbo. Złociste światło rozleje się nad jeziorem Stensjön, tworząc złotą ramkę dla życia. Wszyscy potrzebujemy takich złotych ramek. Teraz zadowoliliby się dobrą kawą, ale nawet to nie było mu dane.

– Facet wcale nie okazuje żalu – powiedział.

Mogens podszedł do okna i przystanął obok niego.

– Jakby go tam nie było. Ani tam, ani tutaj.

– Czytałem przesłuchanie z wczorajszego wieczoru – powiedział Mogens. – Przecież koleś właśnie to mówi, że go tam nie było. Jeśli to ma na myśli, mówiąc, że spał.

– Tak samo ten drugi. – Edlund odwrócił się w stronę szefa.

– Martin Barkner. Tamten też spał. Nic nie zauważył. Jeśli go porównać z Lentnerem, to zachowuje się inaczej. O wiele lepiej się załamuje. Cały czas jest załamany. Ale nic nie mówi. Nie przyznaje się. Nic nie wie.

– A co ty o tym sądzisz?

– O czym?

– O tym, że żaden z nich się nie przyznaje.

– Jedno wyjaśnienie jest takie, że tego nie zrobili.

– Wierzysz w to?

Edlund nie odpowiedział. Widział, jak kilkoro licealistów nonszalancko przechodzi przez ulicę na czerwonym. Jakiś kierowca otrąbił szczeniaków. Jeden pokazał mu środkowy palec. Klakson rozległ się jeszcze raz. Głośny, przenikliwy dźwięk, który mimo kilkuset metrów i pancерnej szyby dotarł aż do niego. Może to dlatego, że poranek jest taki ładny. Jasne, ostre, przejrzyste powietrze. Tak było całą jesień. Pogoda utrzymała się też w listopadzie i w grudniu. Może wreszcie efekt cieplarniany dał o sobie znać. Chociaż wtedy chyba nie byłoby tak zimno?

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Öbergiem – ciągnął Mogens. – Odciski palców Lentnera są wszędzie. Jej też. I żadnych innych.

– No nie.

– Jeśli chodzi o tę drugą zbrodnię, to była bardziej skomplikowana. Na poduszce technicy nie znaleźli żadnych przydatnych śladów. Z reguły trudno o ślady na tkaninie. Ale prawdopodobnie kobietę uduszono. Trudno uwierzyć, żeby było inaczej. I że zrobił to ktoś inny, a nie jej chłopak. Barkner.

– Który twierdzi, że wszystko to przespał.

– Obaj twierdzą, że przespałi. Albo nawet wszyscy czworo, jeśli tak na to spojrzeć.

– No tak. Cholera.

– W co trochę trudno uwierzyć, nie?

– No.

– A z laboratorium nie dostaliśmy żadnych informacji o środkach nasennych we krwi. Ani u żywych, ani u martwych. Według wstępnych szacunków Öberga nic takiego w niej nie było.

Edlund milczał.

– O czym myślisz, Sverker?

– Żywi i martwi... Czy to nie jest tytuł książki? Albo filmu?

– Nie mam pojęcia.

– *Nadzy i martwi* – powiedział Edlund. – Jest taka książka. Chyba czytałem. O drugiej wojnie na Pacyfiku.

Edlund zobaczył kolejną grupkę przebiegającą przez ulicę. Jakiś samochód zahamował gwałtownie, choć miał zielone. Kiedyś kogoś tam przejadą, może nawet pół klasy. Może i on będzie oglądał ten wypadek. A nie mówiłem? – powie wtedy do kogoś, kto będzie stał obok.

Teraz obok stał Mogens, ale właśnie zbierał się do wyjścia. Już dość widział. Edlund odwrócił się od okna.

– Mógł tam być ktoś inny – powiedział do Mogensa, który już stał tyłem do niego.

Mogens się odwrócił.

– Ci kolesie już by nam o tym powiedzieli.

– Może nie powiedzieli.

– Czyli że ktoś zakradł się do mieszkania, kiedy już spali?

– To tylko jedna z możliwości.

– Tak że się nie obudzili?

– Wiem, że to problematyczne.

- Ktoś, kto już kiedyś tam był?
- Tak.
- Ktoś, kto tam był, ale do kogo ci dwaj nie chcą się przyznać?
- Możliwe.
- Kto by to mógł być?
- Cóż, choćby partnerzy seksualni.
- A technicy znaleźli ślady świeżej spermy?
- Nie pytałem Öberga. Ale chyba już by nam coś o tym powiedział.
- A jakieś inne ślady?
- Co masz na myśli?
- Cokolwiek.
- Nie znaleźli nic podejrzanego. Mieszkania były dość czyste. Żadnych dziwnych śladów. Żadnych śladów innych osób.
- To nic nie znaczy.
- Myślisz, że powinien coś po sobie zostawić?
- Powinien albo powinna.
- Zgoda.
- To ktoś, kogo znali.
- No.
- Kogo chłopak wypuścił.
- Wypuścił?
- Drzwi na kłatkę były otwarte. W obu przypadkach.
- Ale otworzył je dla policji.
- Dziewczyna nic takiego nie słyszała. Ta stażystka. Nie słyszała, żeby nasi podejrzani mówili, że otworzyli drzwi.
- Ale jej koledze wydawało się, że słyszał coś takiego. Po pierwszej zbrodni.
- Tyle że nasi podejrzani sobie tego nie przypominają. Byli w szoku. Żaden z nich nie pamięta, żeby otwierał drzwi.
- No. I to by było dość przezerne. Wiesz, o co chodzi. To, że w ogóle pomyśleli, żeby wyjść do holu i otworzyć drzwi, żeby policja mogła spokojnie wejść.
- Zadzwonić jakoś dali radę.
- No tak, ale czy mieli wyjście? Co jest bardziej podejrzanego? Zadzwonić na policję czy zwać?

- Nie wiem. Szok to szok. Wszystko można na niego zwalić.
- Nie w tym przypadku.
- Więc wierzymy, że był tam ktoś inny?
- Nie, dopóki nie będziemy mieć jakiegoś śladu.
- Ekipa Öberga nad tym pracuje.
- My też.

Edlund spojrział na ponury automat do kawy. Chował się w cieniu, jak zawsze. Edlund jeszcze nigdy nie widział, żeby oświetlało go słońce. Chyba kryła się w tym jakaś symbolika, której znaczenie nie do końca rozumiał.

- Ten pierwszy chłopak jest zdruzgotany. Płacze i płacze.
- Hm...
- Dlaczego się nie przyzna, do cholery? Już dawno powinien był to zrobić!

Mogens nie odpowiedział.

- Nie wygląda to dobrze, Bent.
- A ten drugi?
- Nigdy się nie przyzna. Poszedłby do komory gazowej, a nie przyznałby się.
- Chyba jesteś trochę zbyt pewny.
- On też.
- Pewien, że jest niewinny?
- Pewien, że uwierzymy, że jest niewinny.
- To ogromna różnica.
- Chłopak jest pewny siebie.
- Nawet w takiej sytuacji.
- No właśnie.
- Przecież nie jest skończonym wariatem.
- Nic, na co dotychczas natrafiłem w jego życiorysie, nie wskazuje na to, żeby tak było.
- Prędzej czy później coś wypłynie.

Gerda Hoffner obudziła się dopiero późnym popołudniem. Słońce schodziło coraz niżej, żeby niedługo zniknąć po drugiej stronie morza. Płomienne światło układało się we wzór na ścianie nad łóżkiem. Obudziła się zaledwie kilka minut wcześniej. Światło sunęło po ścianie. Przypominała teraz ruchomy obraz. Mam w sypialni instalację świetlną, pomyślała.

W pokoju szybko zapadała ciemność, więc instalacja odcinała się jeszcze mocniej, ale trwało to tylko chwilę. Gerda patrzyła, jak słońce przesuwają się po ścianie. Przesuwający się obraz.

Ściana. Obraz. Ściana.

Gerda wzdrygnęła się i usiadła.

Co takiego widziała? O czym myślała?

Obraz.

Ściana.

Dwa obrazy.

Dwie ściany.

W tych dwóch mieszkaniach.

Dotknęła stopami podłogi. Nie była zimna. Poprzedni lokator wyłożył ją drewnianymi klepkami. Wypolerowanymi i ciepłymi.

Mieszkania na Vasastan.

Jak to było?

Kiedy tam stała?

Czy użyła latarki?

Tak. W pierwszym mieszkaniu. Lamy w pokoju były zapalone, ale i tak włączyła latarkę.

Krąg światła przesuwał się po ścianie.

Nad łóżkiem, z lewej strony, wisiał obraz.

Był przekrzywiony. Ktoś go przesunął.

Przypomniała sobie, bo później, w drugim mieszkaniu, tym przy Götabergsgatan, zobaczyła to samo. Obraz przy łóżku. Przekrzywiony. Przesunięty.

W jaki sposób? I skąd wiedziała, że ktoś go ruszał?

Wstała. Zamknęła oczy. Próbowała wrócić do tych strasznych pokoi. Próbowała zobaczyć je na nowo. Pierwszy obraz. Przesuwające się po nim światło latarki. Jego dolna część. Pod obrazem wyraźnie odcinał się jakiś kształt. Wąziutki, podłużny prostokąt. Jakby linia ciemniejsza od ściany.

W drugim mieszkaniu było podobnie.

Linia pod obrazem.

Co to znaczy? Wciąż zaciskała powieki. To ma jakieś znaczenie. Ale jakie? Otworzyła oczy. Przeszła przez pokój. Na ścianie wisiał obraz – reprodukcja Dalego. Zegary topniejące w słońcu. Przesunęła dłonią po szklanej oprawie. Obraz wisiał

trochę krzywo, przekrzywiony o kilka centymetrów. Wyprostowała go.

Pod spodem został ślad.

Linia kurzu, ciemniejsza od ściany. Najwidoczniej obraz już od dawna był przekrzywiony, w przeciwnym razie ślad nie byłby aż tak wyraźny.

Świeży ślad.

Właśnie to zobaczyła.

Ktoś wyprostował to, co wymagało wyprostowania. Bo to, co krzywe, trzeba wyprostować.

I ten ktoś zrobił to w obu mieszkaniach. Niedawno. Inaczej kurz by zniknął. Niedawno. Gerda znów zamknęła oczy. Starła się zobaczyć obie ściany, przypomnieć je sobie. Co widziała? Na ile była czujna, widząc tę okropną scenę na środku pokoju? To o tym opowiadali im w szkole policyjnej: o tym, jak ważne jest jednocześnie dostrzeganie wszystkiego, co się da. Mówili, że nie można się skupiać tylko na centrum sprawy, na tym, dlaczego się znaleźli tam, gdzie się znaleźli. No chyba że chodzi o obronę własną. O walkę o życie. Ale w tych dwóch mieszkaniach nie było takiej potrzeby. Będąc tam, nie bała się, nie tak. To była straszna chwila, naprawdę straszna, ale nie w tym sensie.

Jak wyglądały mieszkania? W obu panował szykowny bałagan. Chyba tak właśnie mieszkają ludzie z kasą. Młodzi, odnoszący sukcesy, tacy, którzy nie muszą się niczym przejmować. Nie żyją w chaosie, ale stać ich na taki właśnie szykowny bałagan. Nie żeby często bywała w takich mieszkaniach, a jeśli już, to tylko służbowo. Nie miała szykownych znajomych. Nie z tych kręgów. Ludzie z tej klasy uważali, że być jednym z nich i wstąpić do policji to jak zostać kryminalistą. Nawet gorzej. Bo niektórzy liberałowie zahaczali poniekąd o kryminala, i to w tym swoim szykownym stylu, i byli z tego cholernie dumni. Tak jak niektórzy są dumni z tego, że nigdy nie czytają książek. Albo z tego, że po prostu kupują obrazy, które im się podobają.

Krzywo wiszące obrazy pasowały do tych dwóch mieszkań.

W pokojach tu i ówdzie walały się ubrania. Niektóre na podłodze w przedpokoju. Tu szalik. Tam sweter. Wszędzie

porozkładane jakieś rzeczy. Nic nie stało prosto. Gerda znów zamknęła oczy. Mocno zacisnęła powieki.

Było tam coś jeszcze.

W obu mieszkaniach coś przykuło jej uwagę.

Nagle zaczęła się bać. Dlaczego to robię? Dlaczego? – pomyślała. Otworzyła oczy, jakby się bała, że kiedy je zamyka, nie wie, gdzie jest i co robi.

Jestem jedyną osobą, która była w obu mieszkaniach.

W pierwszym z Johnnym Pośpiechem, w drugim z Alexandrem. Za każdym razem ekipa techników była inna. Za pierwszym razem przyjechali ci z Uddevalli. Do drugiego wezwania przyjechał też inny lekarz. Mężczyzna.

Jestem jedyną.

I znów przed oczami stanęły jej obrazy. Kobiety w łóżku, mężczyźni obok. Ich zachowanie. Zareagowali zupełnie inaczej. Jeden był w głębokim szoku, drugi wydawał się spokojniejszy, choć podrapał się do krwi.

Łóżka. Podwójne. Czy raczej dwa pojedyncze zestawione razem. Na środku pokoju. Nie pod ścianą. Obrazy wisiały na lewo od łóżka. Tak, oba wisiały z lewej strony. Pamiętała, że świeciła latarką w lewo. A co robiła potem? Poświeciła na łóżka i obok nich. Po prostu poruszyła ręką, a latarka się przesunęła, omiatając światłem łóżka, podłogę, drugą ścianę, jakieś krzesło. Tu i tam leżały porozkładane rzeczy. Można powiedzieć, że panował przyjemny, swojski bałagan. I znów popatrzyła na łóżka... Chociaż nie, nie tyle na łóżka, ile na to, co obok nich. Na szafki nocne. Leżało na nich kilka rzeczy. Wiadomo, zawsze coś leży. Książki, kilka książek. Na obu szafkach. Zwykle książki do czytania, nie żadne cegły w twardej oprawie. Po pięć, sześć na każdej szafce. Zauważyła je i... Coś jej się nie zgadzało, jakoś nie pasowały do reszty pokoju. Może do czegoś innego, co też tam było.

Gerda otworzyła oczy. Było już ciemno. Słońce zniknęło za horyzontem, zapadło się niczym rozżarzony węgiel. Za oknem widać było tylko grudniowe ciemności. Ani jednego tramwaju. Żadnych świateł samochodów. Była sama ze swoimi obrazami. Z szafkami nocnymi i książkami. Z książkami schludnie

ułożonymi jedna na drugiej. Schludnie jak cholera. To właśnie to zauważyła. Dlatego teraz jej się przypomniało. Te książki wyglądały... inaczej. Wtedy wydawało jej się, że to dziwne, ale nie do końca zdała sobie z tego sprawę. A za drugim razem? Tam też rzuciło jej się to w oczy, może nawet bardziej. I wtedy wspomnienia się posypały. Zobaczyła wszystko. Ale czy to jest coś warte? Najprawdopodobniej nie.

Butelka na blacie.

Boże, Gerda, malutka, uspokój się. Tak. Kiedy przechodziłaś przez przedpokój, w obu kuchniach widziałaś butelkę na blacie. Czy była otwarta? Tego nie widziałaś. W tym momencie jej wzrok powędrował na butelkę i kieliszek, które miała przed sobą. No tak, tam też przy obu butelkach stały kieliszki. To znaczy po jednym kieliszku przy każdej.

Spokojnie. Przecież pewnie w każdej kuchni w Göteborgu na blacie stoi butelka wina.

Po jednym kieliszku przy butelce. Dlaczego tylko po jednym? Butelka była otwarta czy nie? W kieliszku było wino? Wróciła do sypialni. Wreszcie jakiś rozświetlony tramwaj zaczął wjeżdżać na Sannabacken. Światła odbijały się na ścianie. Przespała cały dzień, a całe popołudnie poświęciła na rozmyślania. Cała doba na nic, i to oczywiście przez pracę. Ale nie ma co narzekać. Obrazy. Książki. Butelki. Co mam zrobić? Pomyślę. Pomyślę jeszcze trochę. Odprowadziła wzrokiem światła kolejnego tramwaju. Omiotły jej pokój niczym reflektory przeciwlotnicze. Zeszły po ścianie. Przesunęły się po łóżku. I po szafce nocnej. Idę zadzwonić, pomyślała.

MIELI NADZIEJĘ, ŻE UDA IM SIĘ szybko zidentyfikować topielca, ale nic z tego nie wyszło. Winter wciąż myślał o nim jako o czymś, co Elsa zobaczyła w oddali. O czymś bez twarzy, co po prostu pływało gdzieś tam, w wodzie. Oczywiście o czymś, nie kimś. O czymś, co należało do morza. Co nie miało z nimi nic wspólnego. Sklecieli komunikat prasowy. Krążył w mediach już od kilku dni. Podali pleć, pochodzenie, wiek i w przybliżeniu (dużym przybliżeniu) miejsce znalezienia zwłok. Nie wspomnieli o tym, że mężczyznę zamordowano. Nie dostali jednak żadnych sensownych odpowiedzi, co było frustrujące, ale i zaskakujące.

Winter i jego rodzina nie byli od tego czasu na plaży. Nie minęło zbyt wiele dni, ale mieli wrażenie, że to wieki temu. A pogoda wciąż była ładna. Mimo wszystko wiedzieli, że w końcu wrócą do domu, bo plaża była dla nich swego rodzaju domem. Kiedyś Elsa przestanie pytać dlaczego. Znow będą puszczać kaczki. Zapomną o przeszłości. Już nigdy nic strasznego nie wypłynie z morza. Obiecał jej to.

Dlaczego morze? I skąd? Dlaczego mężczyzna przyplłynął z morza? W którym miejscu wrzucono go do wody? Wciąż nie mieli żadnych świadków. A nie dało się sprawdzić ruchu łodzi na fiordach w ostatnich dniach. Ci, którzy chcieli coś ukryć, siedzieli cicho. Bo na fiordach nie brakowało przemytników. Czasami, kiedy Winter stał nocą na swojej plaży, słyszał przemytnicze motory. Używali lepszego paliwa. Dlatego dźwięk był czystszy.

Policja zwróciła się do obywateli. Bo przecież nie znali nawet tożsamości zmarłego. Kartoteki na nic się nie przydały. A ktoś mógł akurat przepływać obok i widzieć coś, co mogłoby im pomóc. Ale Winter się nie łudził.

Największe nadzieje pokładał w zgłoszeniu zaginięcia. Jeśli mężczyzna nie był kompletnym samotnikiem, to w końcu jego życie powinno ujawnić jego tożsamość. Wciąż jednak nikt nie

zgłosił zaginięcia, a on pozostawał bezimienny. Winter nie ochrzcił go jeszcze po swojemu, ale wiedział, że może będzie do tego zmuszony. Już raz tak było. Nazwał ofiarę Helene. Ją też uduszono. Bardzo długo nie mogli jej zidentyfikować. To było niesamowite dochodzenie. Skończyło się nad morzem, niedaleko jego plaży. Jeszcze nie miał rodziny. To było latem, przed jedenastu, może dwunastu laty. Wtedy, na tamtej plaży, zobaczył dziewczynkę. Szła do niego. Na tym skończyła się ta sprawa. To była niesamowita chwila – od dawna tej dziewczynki szukał, bardzo się o nią bał. Zapytała go, kim jest. Kim jest! Poczuł wtedy sól w oczach, ale bynajmniej nie od morza ani od wiatru.

Johnny Pośpiech odebrał po trzecim sygnale. Głos miał taki, że tym razem chyba mu się nie spieszyło. Chyba był równie senny jak Gerda kilka godzin wcześniej.

– Johnny, obudziłam cię?

– Nie, już wstałem. Ale, cholera, na dworze znów jest ciemno.

Gerda wyrzała przez okno. Miał rację. Noc wróciła. Zawsze była szybka, zawsze było jej śpieszno. I zawsze tak samo zaskakiwała.

– Pracujesz dziś w nocy?

– Nie. Dzięki Bogu nie.

– Jesteś wierzący?

– Nie. Ale wychowałem się w religijnym środowisku. Moja rodzina należała do Kościoła wolnego³. Jestem ze Smålandii, a tam albo należy się do Kościoła wolnego, albo do kościoła.

– A co to za różnica?

– Cóż, jedni uważają się za świętszych od drugich.

– A którzy są świętsi?

– Z mojego doświadczenia wynika, że ci z Kościoła wolnego. Zawsze byli trochę lepsi od innych, tak im się przynajmniej wydawało.

³ Kościół wolny – zgromadzenie chrześcijańskie opowiadające się za całkowitym rozdziałem religii od państwa, w Szwecji traktowany jako alternatywa dla Kościoła Szwecji, który do roku 2000 miał charakter Kościoła państwowego (przyp. tłum.).

- Ale ty nie byłeś lepszy.
- No nie. Mój ojciec był stolarzem w fabryce należącej do jednego chadeka.
- Do chadeka?
- Kolesia z partii chrześcijańskich demokratów.
- Aha.
- A to odciska swoje piętno.
- Co?
- Dorastanie w chadeckim środowisku.
- Ale tobie udało się z niego wyrwać.
- I dzięki ci za to, Jezzzzzu.

Wymówił imię Jezusa z długim z. Ze świstem rozległo się w słuchawce, przecinając grudniowe ciemności. Mówił zupełnie jak kaznodzieja na ambonie. Jezzzzzu. Dzięki ci, Jezzzzzu, za całe dobro, którym obdarzasz ludzi.

- Widziałeś tę butelkę wina? – zapytała Gerda.
- O co ci chodzi?
- Po to dzwonię. Myślałam o tych dwóch mieszkaniach, w których zabito kobiety. Bo przecież byłam też w tym drugim. I niektóre szczegóły były... sama nie wiem... jakby identyczne.
- Jak to identyczne?
- W obu kuchniach na blacie stała butelka wina i jeden kieliszek. I książki w obu sypialniach tak dziwnie leżały. No i te obrazy.

– Nie zwróciłem uwagi na butelki. Na obrazy też nie.

– A na książki?

Nie odpowiedział.

– Johnny?

– Jestem, jestem. Książki... no tak, leżały w równiutkim stosie.

– Otóż to! W równiutkim stosie! Jak pod linijkę. A przecież cała reszta pokoju i mieszkania nie była już taka poukładana. Ale książki były ułożone ładnie. I to w obu mieszkaniach. A do tego ktoś wyprostował obrazy, które wisiały krzywo. Też w obu mieszkaniach.

Johnny milczał, ale słyszała, że wciąż tam jest. Czyżby gadała jak wariatka? Czy to wariactwo?

- Johnny?
- Hm... A co chciałabyś ode mnie usłyszeć?
- Sama nie wiem. Powiedz, że to ciekawe.
- Ale co?
- Że... sama nie wiem. Że coś tu się nie zgadza. Niektóre szczegóły zgadzają się za bardzo i przez to całość się nie zgadza.
- Aha, rozumiem.
- Ja nie żartuję.
- A z kim pojechałaś do drugiego wezwania? Do drugiego zabójstwa?
- Z Alexandrem Hedbergiem.
- Gadałaś z nim?
- Jeszcze nie.
- Ja chyba nie potrafię ci pomóc. Nie myślałem ani o butelkach wina, ani o obrazie. Książki wprawdzie zauważyłem, ale nie wydało mi się to podejrzane.
- Co mam zrobić, Johnny?
- Pogadaj z Alexandrem. A jak on ci nie pomoże, zagadaj do kryminalnych.
- Tych z wydziału śledczego?
- Tak, to przecież oni zajmują się tą sprawą.
- No tak.
- No więc powinnaś z nimi porozmawiać.
- Głupio mi.
- Chyba sama musisz zdecydować, czy to głupie, czy nie.
- A jeśli ci faceci są niewinni?
- A dlaczego tak myślisz?
- No nie wiem. Przez to, o czym ci powiedziałam. Te mieszkania wyglądały tak podobnie. O ile rzeczywiście tak było, bo jak z tobą rozmawiam, to zaczynam się wahać.
- Johnny nie odpowiedział.
- Wiem, co myślisz, Johnny. Że to, co zauważyłam, o ile cokolwiek zauważyłam, i tak nie ma znaczenia, bo oni są winni.
- Jeśli są winni, to się pewnie przyznają.
- A jeśli się nie przyznają?
- To i tak mogą być winni.
- Albo niewinni.

– Pogadaj z Alexandrem.

– Pogadam. To na razie.

Johnny odłożył słuchawkę. Światła tramwaju znów omiotły jej mieszkanie. Zupełnie jakby ktoś świecił latarką. Gerda wciąż stała w ciemnościach. Nagle zaczęła się bać. O siebie, ale też o coś innego. Coś jej podpowiadało, że nie powinna już myśleć o tej sprawie. Jakby ciemność za oknem do niej wołała. Nie powinna się zastanawiać, co widziała, a czego nie widziała. To nikomu nie wyjdzie na dobre. Jej też nie. Ani tym zabitym kobietom. Niech ofiary spoczywają w spokoju. Zresztą cokolwiek by zrobiła, one i tak nie zaznają spokoju. Znów sięgnęła po telefon. Dzięki światłom kolejnego tramwaju widziała cyfry na klawiaturze. Ale nie zadzwoniła.

Inspektorzy Susanna Jax i Patrik Lennartsson przesłuchiwali mieszkańców domu przy Chalmersgatan. Otworzył im ktoś z czwartego piętra, lokator mieszkania znajdującego się nad mieszkaniem Martina Barknera i Madeleine Holst.

Starsza pani przyglądała im się zza minusowych okularów.

Susanna Jax wyjaśniła, po co przyszli.

Czy słyszała coś z mieszkania na dole? Nigdy. Ale słuch ma kiepski. Czy coś widziała? A co niby miała widzieć?

No właśnie, co? – pomyślała Susanna Jax, kiedy schodzili na dół. Czy w takich domach ktoś coś widzi? Tu można by się ukrywać całe życie. Dla kogoś, kto chciałby być niewidzialny, taki dom mógłby być twierdzą. Jeśli chce się być naprawdę anonimowym, wystarczy zamieszkać w centrum dużego miasta. Tu nikt nie wie, kim się jest, skąd się pochodzi i co się zrobiło.

Na trzecim piętrze były trzy mieszkania. Jedne drzwi oklejone policyjnymi taśmami. Zadzwonili do drzwi z lewej. Susanna popatrzyła na zegarek. Pięć po piątej. Na dworze już dawno zrobiło się ciemno. Jeszcze raz nacisnęła dzwonek. Na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem: Schiöld.

– To nas prowadzi donikąd. Nie wiem, jak oni wyjaśnią tą sprawę – powiedział Patrik Lennartsson.

– Tę sprawę, jeśli już – odparła Susanna.

– Co?

– Nie tą sprawę, tylko tę sprawę.

– Nie rozumiem.

– Tę. Chodzi o zaimek wskazujący. Nie lubię, jak ludzie tak mówią. A prawie wszyscy tak mówią. Nawet w wiadomościach. Nie podoba mi się to. To niedbalstwo językowe, i tyle.

– Gadasz, jakbyś była z policji językowej.

– Nic bym przeciwko takiej nie miała.

Drzwi się otworzyły. W progu stał mężczyzna w ich wieku, około trzydziestopięcioletni. Na sobie miał szlafrok. Stój adekwatny do domu, pomyślała Susanne.

Lennartsson przedstawił siebie i ją.

– Herman Schiöld – odparł mężczyzna. – No właśnie. Zorientowałem się, że coś się stało.

– To świetnie – odpowiedział Lennartsson. – Proszę opowiedzieć, co pan widział.

– Jak to? Nic nie widziałem. Co miałbym widzieć?

– Cokolwiek.

Schiöld wyglądał, jakby się zastanawiał. Spojrzał na drzwi oklejone białoniebieską taśmą. Susanna zauważyła, że ten widok wcale mu się nie podoba. Oszpeca tylko klatkę schodową.

Schiöld przeniósł wzrok z powrotem na nich.

– A co się właściwie stało?

– Jeszcze do końca nie wiemy.

– Kogoś zamordowano?

– Nie możemy zdradzać szczegółów – odparła Susanna.

– A to szczegóły?

Poczuła się głupio. A nie powinna. Mężczyzna w szlafroku popatrzył na nią z lekko ironicznym uśmiechem. Nie powinien się tak uśmiechać. To nie na miejscu. Powinien się bardziej przejąć. Ale chodziło o kogoś obcego. Wszyscy w tym domu byli sobie obcy.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

– Zgłoszenie dostaliśmy trzy dni temu wcześniej rano.

– O której? – pytał dalej.

– O wpół do szóstej.

Mężczyzna znów popatrzył na sąsiednie drzwi.

– Był pan wtedy w domu? – zapytał Lennartsson.

– Tak, ale spałem.

Spojrzał na Susannę. Miał lekkiego zęza, jedno oko uciekało mu w stronę otąśmowanych drzwi.

– Ale słyszałem coś wcześniej, w nocy – powiedział.

GERDA JEDNAK ZADZWONIŁA do Alexandra Hedberga. Właśnie skończył zmianę i stał w kolejce w monopolowym. Od razu się do tego przyznał.

– Mam dwa dni wolnego – wyjaśnił.

– Nie musisz się tłumaczyć, że kupujesz wódkę.

– Wino. Kupuję wino. I to drogie, tak na marginesie.

Organizujemy z chłopakami degustację.

– A widziałeś tę butelkę wina w mieszkaniu przy Götabergsgatan? Dlatego dzwonię. Widziałeś butelkę na blacie w kuchni?

– Tak... Tak mi się wydaje.

– Nie jesteś pewien?

– Nie. A dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem. Coś mi chodzi po głowie. Wygląda na to, że tylko ja byłam w obu mieszkaniach. Przy Götabergsgatan i przy Chalmersgatan. A niektóre szczegóły były identyczne. Na przykład ta butelka wina w kuchni. Obrazy na ścianie. I książki. Nie zauważyłaś, że książki leżały na szafce nocnej równiutko poukładane?

– Nie. Nie mogę powiedzieć, żebym zwrócił na to uwagę.

– No dobrze.

– Pogadaj lepiej z tymi z technicznego. I ze śledczego.

– No nie wiem.

– Czemu nie?

– Nie chcę się zbłąźnić.

Alexander się zaśmiał.

– Jeśli się tego boisz, to powinnaś zmienić robotę – powiedział.

– Tak sądzisz?

– Policjanci chyba często robią z siebie błaznów, nie? Przynajmniej w oczach obywateli.

– Ale tutaj nie chodzi o obywateli.

– Tylko o kogo?

– No...

– Gerda, chcesz się sama pobawić w śledczego? O to chodzi?

– Nie wiem. Nie. Chyba musisz kupić to swoje wino. – Spojrzała na zegarek. – Jest za trzy szósta. Zaraz zamkną i cię nie wypuszczą. Będziesz musiał spędzić noc w monopolowym.

– A tak robią?

– Pospiesz się lepiej. I dzięki.

Bent Mogens spotkał się z Louise Carlix, matką Glorii. Była wysoka, ale ze smutku jakby zapadła się w sobie.

– Mąż, Stefan, ma zapalenie płuc – wyjaśniła. – Dlatego nie mógł przyjść.

Mogens pokiwał głową.

Louise Carlix wybuchnęła płaczem.

– Czy mogę coś pani przynieść? – zapytał Mogens. – Filiżankę kawy? Może szklankę wody?

Pokręciła głową. Z torebki wyciągnęła chusteczkę i dyskretnie wydmuchwała nos. Potem spojrzała na niego.

– To straszne – powiedziała. – To jakiś koszmar. – Znów wydmuchwała nos. – Aż się samemu nie chce żyć. – Schowała chusteczkę z powrotem do torebki. – Moje dziecko. – Łzy lały się jej po policzkach – Gloria... Była jedynaczką. Dlaczego? Dlaczego ona? Dlaczego trafiło na nią?

– Jeszcze nie wiemy – odparł Mogens.

– Ale czego nie wiecie?

– Nie wiemy, jak do tego doszło. – Ich spojrzenia się spotkały. Louise Carlix spuściła wzrok. Mogła mieć pięćdziesiąt lat, może trochę więcej. Jej twarz zaczynała się zaokrąglać, ale nie za bardzo. Mogens widział podobieństwo między nią a jej córką. – Nie wiemy też dlaczego.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze z Matsem i Ann – powiedziała.

– Jeszcze się z nimi nie widzieliśmy. Nie chcemy się spotykać.

– Proszę?

– Z Matsem i Ann. Z rodzicami Erika. My... po prostu nie możemy się z nimi spotkać. Nie damy rady. – Znów podniosła wzrok. – A wy już z nimi rozmawialiście?

– Tak. Wczoraj. Bardzo krótko.

– Przylecieli wczoraj z Hiszpanii?

– Tak mi się wydaje. Wczoraj albo przedwczoraj.

– My sprzedaliśmy dom w Hiszpanii – powiedziała szybko, jakby chciała to z siebie jak najszybciej wyrzucić.

Może to przez wspomnienia, pomyślał Mogens.

– Sprzedaliśmy dom – powtórzyła. – Nie czuliśmy się tam dobrze. W końcu to zrozumieliśmy.

– Dlaczego nie czuli się tam państwo dobrze?

– Nie wiem. Chyba tęskniliśmy za Szwecją. A tam nie czuliśmy się jak w domu. Hiszpania nigdy nie stała się naszym domem.

– Znają państwo państwa Lentnerów?

– Tak.

– Poznaliście ich w Hiszpanii?

– Tak.

– A Gloria i Erik znali się od dawna?

– Odkąd byli dziećmi – powiedziała szybko i znów zaczęła płakać. – A może nastolatkami. Odkąd się tam przeprowadziliśmy.

Mogens pomyślał o Hiszpanii. Costa del Sol. Nigdy tam nie był. A pracując nad tą sprawą, nabierał przekonania, że wszyscy inni byli, mieszkali. Tam żyli. I nikt tam nie umarł. Obie dziewczyny umarły tutaj. Czy można stwierdzić, że pochodziły z Hiszpanii?

Czy Madeleine Holst i Gloria Carlix się znały?

– Znali państwo Madeleine Holst? – zapytał.

Louise Carlix popatrzyła na niego. Znów wyciągnęła chusteczkę.

– Kogo?

– Madeleine Holst. Ją też zabito. A jej rodzice też mieli dom w Hiszpanii. Na Costa del Sol.

– Holst? Tak, chyba był ktoś taki. Kojarzę to nazwisko. Holst... ale nie jestem pewna.

– Annica i Peder Holstowie. To jej rodzice.

– I gdzie mają ten dom?

– W Nueva Andalucía. To niedaleko Marbelli.

– Tak, wiem. – Wydmuchała nos. – Mogliśmy ich kiedyś spotkać. Może we Fuengirolí. Albo na którymś ze spotkań w

kościół. – Znow zaniósł się płaczem. Tym razem głośniej niż poprzednio. Na pewno łkanie słycać było na korytarzach w całym budynku. Nie po raz pierwszy. Pograżeni w żalu krewni przychodzący na komendę byli częścią tego miejsca. Budynek przypominał firmę pogrzebową.

– A Stiga i Linneę Barknerów? – ciągnął Mogens.

– Proszę?

– Znali państwo Stiga i Linneę Barknerów? To rodzice Martina Barknera, który... mieszkał z Madeleine.

– To on ją zabił? – zapytała. Nagle zaczęła mówić mocniejszym, bardziej stanowczym głosem. – To właśnie on ją zabił? – powtórzyła.

– Jeszcze nie wiemy.

– To tak jak z Erikim. – Chyba wstąpiły w nią nowe siły, jakby wreszcie zrozumiała, co się stało. Schowała gdzieś chusteczkę. Wyglądało to tak, jakby rzuciła ją na podłogę. – Przyznał się? Powiedział, że to on to zrobił? – zapytała z determinacją.

– Nie.

– A dlaczego się nie przyznał?

– Nie wiem.

– Ale to chyba on to zrobił, prawda?

– Nie mogę powiedzieć, żebyśmy w to wierzyli. Jeszcze nie. Na razie staramy się niczym nie sugerować. Wciąż go przesłuchujemy.

– A dlaczego myślicie, że to nie on? Czy to nie jest oczywiste?!

– Nie mogę o tym rozmawiać. Nie tu i nie teraz.

– Boże – powiedziała. Potem dodała ciszej: – Wiedziałałam. Wiedziałałam, że tak będzie.

– Słucham? – Mogens pochylił się do przodu. – Co ma pani na myśli?

– Wiedziałałam, że to robi.

– Herman Schiöld – powiedziała Susanna Jax. – W nocy wydawało mu się, że słyszy kroki na klatce.

– O której? – zapytał Mogens.

– Mówi, że nie patrzył na zegarek. Ale jakoś w środku nocy.

- Ktoś jeszcze coś słyszał?
- Nie. Ani przy Chalmersgatan, ani przy Götabergsgatan.
- Więc nie wiemy, co usłyszał. To mogło być cokolwiek albo ktokolwiek.
- Co mówią inni lokatorzy? – zapytał Sverker Edlund. – Czy to któryś z nich kręcił się w nocy po klatce?
- Nie – odparł Patrik Lennartsson.
- Są tego pewni?
- Tak, chyba że ktoś z nich chodzi we śnie.
- I naprawdę przez te ściany da się usłyszeć kroki na klatce?
- zapytał Mogens. – Nie są dźwiękoszczelne? Nie są grubości muru chińskiego?
- Nie wiem – odpowiedziała Susanna. – Ale facet twierdzi, że słyszał kroki.
- Jest pewien?
- Mówi, że coś słyszał. Brzmiało jak kroki, ale więcej nie potrafi powiedzieć.
- A wcześniej słyszał kroki? – ciągnął Mogens. – Kiedykolwiek wcześniej?
- Nie pytałam.
- To zapytaj – powiedział Mogens.
- Spojrzał przy tym na Susanne.
- I nie musisz robić takiej kwaśnej miny.
- Sama powinnam była o tym pomyśleć.
- Może to jakiś wariat – powiedział Edlund. – Może cały czas słyszy kroki.
- Sverker, nie musisz mi już tego wyjaśniać – powiedziała Susanna.
- À propos wariatów – wtrącił Mogens. – Kiedy chłopcy przyznają się do winy?
- Obaj czy jeden? – zapytał Edlund.
- Najlepiej obaj, oczywiście.
- Może nigdy.

TORSTEN ÖBERG PEŁNIŁ OBOWIĄZKI szefa wydziału technicznego i bynajmniej nie podobało mu się, że ciała – zidentyfikowane czy nie – pływają sobie w morzu. Nie lubił śmierci. Nie lubił też zbrodni i przemocy. O ileż łatwiejsza byłaby jego praca, gdyby na świecie nie dochodziło do brutalnych zbrodni. Mógłby sobie zbierać grzyby albo łowić ryby. Ale akurat łowić nie lubił i, jak sięgał pamięcią, nigdy w życiu, nawet jako dziecko, nie zerwał ani jednego grzyba czy choćby jagody. Bo to jednak żadne wyzwanie, w przeciwieństwie do jego pracy. Może i jej nie kochał, ale nie wyobrażał sobie, żeby mógł robić coś innego. Jako dziecko zastanawiał się, dlaczego muchy tak wyglądają, kiedy zdechną. I koniki polne, i osy. Ciekawiło go, gdzie, jak, a czasem też dlaczego dokonały żywota. Ale akurat szukaniem odpowiedzi na pytanie dlaczego zajmował się inny wydział. Czy na ciele lub ubraniu ofiary coś znaleziono? Nie. Gdyby nawet wcześniej na zwłokach były jakieś ślady, to i tak zdążyłaby je zmyć słona woda. Bo słona woda jest naprawdę skuteczna. Wystarczy wrzucić do niej rezultat swojej zbrodni, a większość śladów zniknie. Działa jak kwas.

Öberg siedział przy biurku i analizował zdjęcia. Nie zajmował się akurat zwłokami z plaży Wintera. Zdjęcia przedstawiały dwie podobne do siebie sypialnie. Ale czy wszystkie sypialnie nie są podobne? Przypominają pokoje hotelowe. Na pierwszym planie łóżko. Do tego jakieś inne meble, jakieś krzesło. Podłoga, szafka nocna, coś na szafce. Coś na ścianach. Coś na łóżku. Wpatrywał się w zdjęcia. Ciało jednej z kobiet wyglądało jak owinięte w prześcieradło. Widać było jej twarz. Było jasne, że jest martwa. Ta bladość, plamy pośmiertne. Na pewno nie był to ktoś, kto śpi.

Zauważył też kilka prawie niewidocznych obrażeń, najpewniej wywołanych ciężarem mocno przyciśniętej do twarzy poduszki. Do tego punktowe krwawienie w dziurce od

nosa. Kobieta się nie broniła. Spała, nie była niczego świadoma. Na pewno była nieświadoma. Popatrzył na drugie zdjęcie, na drugą twarz. Czy ona też spała? Zdjęcie przedstawiało podobny spokój. W chwili śmierci tej kobiecie też towarzyszył łagodny wyraz twarzy. I to był błąd. Pierwszy. Bo te twarze nie powinny być spokojne. Miał przed sobą sześć zdjęć, po trzy z każdego mieszkania. Nie było na nich innych osób. Ale wiedział, że zanim zrobiono zdjęcia, byli tam też inni. Potarł grzbiet nosa. Od kilku dni dokuczało mu swędzenie. To pewnie przez światło w pokoju. Zainstalowali im nowe lampy na biurka. Nowocześniejsze, z jaskrawszym światłem. Wystrój szedł z duchem czasu, a ciepłe, kojące światło starych lamp było już tylko wspomnieniem. Z tego co wiedział, ekipy techniczne skończyły już badać oba mieszkania. Sprawdzili już wszystkie powierzchnie, szczególnie w sypialniach. Ślady wchodzących i wychodzących, odciski palców. Broń, jeśli za taką uznać poduszki. Ale akurat dla niego poduszki były bezużyteczne. Ślady krwi. Znaleźli tylko odciski palców właścicieli mieszkania. W obu mieszkaniach wokół łóżka były tylko ślady ofiar i ich partnerów.

Ponoć jak dotąd żaden się nie przyznał. Może są w szoku. Bo jego ofiarą padają też ci, których ofiarą został ktoś inny. Bo sprawca, morderca też może mieć uczucia, choć to akurat nie jest pewne. Socjopaci często oplakują własne czyny, ale krótko, dopóki o nich pamiętają. Może ci dwaj już o wszystkim zapomnieli i nigdy się nie przyznają. Bo jak można się przyznać do czegoś, czego we własnym odczuciu się nie zrobiło. I wcale nie dotyczy to tylko wariatów. Byli już sprawcy, którzy nigdy się nie przyznali. To kwestia zasad, coś niezależnego od dowodów. Kolejny raz spojrzął na zdjęcia. Podniósł je, potem odłożył. Coś było nie tak, ale nie umiał powiedzieć co. Nie wiedział. Ot, zwykłe zdjęcia z miejsca zbrodni. Zwykłe dla niego. Znow odłożył je na biurko. Niech ci młodzi się przyznają, to nie będą już musiał na to patrzeć. Bo mam co innego do roboty. Wstał.

Kiedy wyszedł z pokoju, usłyszał sygnał dzwonka. Wrócił i odebrał.

- To tylko ja – odezwał się Mogens.
- No nie wiem, czy „tylko” to właściwe słowo.
- Szukałeś mnie.
- Tak. Na tych zdjęciach z sypialni coś jest, ale nie mogę tego wychwycić.
- Co?
- Mówię, że nie mogę tego wychwycić. – Öberg zrobił pauzę. Wciąż stał. W pokoju, tak jak za oknem, panował półmrok. A było dopiero pięć po dwunastej w południe. Zaczął się czas, którego niektórzy biedacy nie mogą przeżyć bez fototerapii. Öberg był jednym z nich. – Są do siebie zbyt podobne.
- Sypialnie czy zbrodnie?
- I to, i to. Sam nie wiem, o co dokładnie chodzi. Nie potrafię ci tego wskazać.
- Rozumiem.
- Ale po prawdzie to nie jest moje zadanie. Tylko... cóż, dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli tamci się przyznają.
- Rozmawiałem z matką tej dziewczyny – powiedział Mogens. – Glorii. Nie była zaskoczona.
- Czym?
- Tym, że to się stało. Że on ją zabił.
- No to mogła wcześniej coś z tym zrobić.
- Powiedziałbym raczej, że nie zaskoczyło jej to, że facet był do tego zdolny. Ten Lentner. Że mógł to zrobić.
- Dlaczego jej to nie zaskoczyło?
- Powiedziała, że był wobec niej okrutny. Tak się wyraziła.
- Bił ją?
- Tak jej się wydaje.
- Wydaje jej się? A co mówiła jej córka?
- Nic.
- Lekarz nie znalazł na jej ciele żadnych takich obrażeń.
- No nie.
- Ale okrutnym można być na różne sposoby. A co mówi on sam?
- Edlund wypytywał go dokładnie o ich związek. Ale według Lentnera żyli sobie jak w raju.
- Hm... Za to teraz znalazł się w piekle, co?

Winter i Ringmar czekali w Ahlströms na swój ulubiony stolik. Siedziały przy nim dwie starsze panie. Skończyły już jeść ciastka, każda dopijała drugą filiżankę kawy. Winter i Ringmar starali się nie okazywać, że czekają.

– Właściwie czy to jakiś mus? – zapytał Ringmar. – Czy w tej kawiarni zawsze musimy siadać przy tym samym stoliku?

– Tak.

– Dlaczego?

– Siła przyzwyczajenia. Trudno się jej oprzeć. Zresztą bez niej bylibyśmy nikim.

Kobiety w końcu wstały. Wtedy para innych emerytów, nie wiadomo skąd, ruszyła w stronę stolika. Prawie do niego doszli, ale Ringmar zadziałał szybko. Dołączył do starsuszków i pokazał legitymację.

– Przepraszam – powiedział.

– Będzie tu jakaś awantura? – zapytała kobieta. Wyglądała jak jego babcia.

– Nie wiemy – odparł Ringmar.

– A to dopiero!

– W drugiej sali jest wolny stolik – powiedział Ringmar. – Mój kolega dopilnuje, żeby mogli tam państwo usiąść.

– A dlaczego nie możemy usiąść tutaj? – zapytał mężczyzna. On z kolei wyglądał na ojca swojej towarzyszki. Miał chyba ze sto dwadzieścia lat.

– Musimy mieć oko na ulicę – wyjaśnił Ringmar.

– Chyba rozumiesz, Albin – powiedziała kobieta.

Winter słyszał prawie całą rozmowę, więc wyszedł na patio i stanął przy wolnym stoliku. Kiedy starsuszkowie dotarli na miejsce, wysunął dla kobiety krzesło.

– Ależ uprzejmi są nasi policjanci – powiedziała. – Dziękuję ci, młody człowieku.

– To my dziękujemy.

– Siła przyzwyczajenia – podsumował Ringmar, kiedy Winter wrócił do ich ulubionego stolika.

– Boże, Bertil.

– To może wreszcie coś zamówimy.

– Napoleonka? – zapytał Winter.

– Chyba sam wiesz.

Gerda Hoffner siedziała w radiowozie i patrzyła na miejski krajobraz przesuwany się za szybą. Na ulicach już były święta. Co roku przychodziły wcześniej. Jeszcze trochę i będą się zaczynać już w październiku. A za parę lat pewnie w połowie wakacji. Jak w Australii. Choinka i bikini. Ale ona nie miała bikini. Nie chciała czegoś takiego nosić. Na dworze wszyscy byli ubrani na czarno albo brązowo. Czasem trafił się ktoś w czerwieni. Czerwień to kolor świąt. Gerda nie lubiła świąt. Okropne, ale tak było. Jako dziecko nie mogła się ich doczekać, ale nie była już dzieckiem. Teraz została sama. To jeden z elementów dorosłości. Bycie samemu. A ona pewnie będzie sama aż do śmierci. Dzieciństwo okazało się tylko epizodem, który szybko się skończył. Potem czekała ją wielka samotność. Co za niemą myśl.

Skręcili z Norra Hamngatan i przejechali przez kanał. Johnny zaparkował w pobliżu Fiskekrogen. Spojrzał na zegarek.

– Przerwa – ogłosił i popatrzył na nią.

– Tak?

– Muszę rozprostować kości. Zdrętwiałem.

– Racja. Niedobrze jest tak długo siedzieć w samochodzie.

– Powinniśmy więcej chodzić. Patrolować miasto na piechotę. Dlaczego tego nie robimy?

– Możemy się przejść do Kungsgatan – zaproponowała Gerda.

– Dobry pomysł.

Poszli wzdłuż Västra Hamngatan, a potem ruszyli patrolować dalej, na Kungsgatan. Gerda widziała, że ludzie się za nimi oglądają. Nieczęsty widok. Policja idzie pieszo. Ale w centrum od razu zrobiło się spokojniej. Mniej nerwowo. Tu i tam Gerda widziała uśmiechy. Ludzie zwalniali kroku i byli miłsi dla innych. Pijackowie i narkomani szli mniej chwiejnie. Uliczni grajkowie zamiast melancholijnych słowiańskich melodii grali trochę weselsze kawalki. Nagle miasto wydało jej się mniejsze. Göteborg zamienił się w małe miasteczko. Wszyscy wszystkich znali. Jak dawniej. Bo dawniej wszyscy się znali, pomyślała

Gerda. Kiedy byłam dzieckiem i kiedy moi rodzice dorastali w Lipsku. Wtedy tajna policja też znała wszystkich. Wszyscy byli jedną wielką rodziną pod opieką Stasi. Wszyscy mieli drugi dom w gmachu przy Dittrichring, nazywanym Okrągłym narożnikiem. Ona też tam była – w muzeum, w którym zgromadzono wszystkie dostępne rekwizyty. Wszystko wyglądało jak wtedy. Straszne miejsce. *Eine Stätte der Mahnung, des Gedenkens und des Lernens.*

– Napijemy się kawy? – zapytał Johnny.

– Czemu nie.

– Chodźmy do Ahlströms.

Ruszyli Korsgatan. Na wystawie sklepu z kostiumami rozłożono czerwone nosy i białe brody. Na samym środku stał łysy Mikołaj. Nie miał ani czapki, ani brody. Figura przedstawiała młodego, przystojnego faceta. Pewnie ściągnęli ją z wystawy u Massimo Duttiego albo z innego butiku dla mężczyzn. Nawet manekiny muszą pracować w różnych miejscach, pomyślała Gerda. Może kieruje je tam pośredniak.

Weszli do Ahlströms. Johnny zajrzał na środka.

– Wszędzie pełno ludzi – powiedział.

Gerda się rozejrzała.

– Chodźmy gdzie indziej. Tu chyba nie ma ani jednego wolnego stolika.

– Ktoś do nas macha. Tam, pod oknem.

– Faktycznie.

– Znam go skądś. Chyba widziałem go w komendzie.

– Wydaje mi się, że to komisarz ze śledczego.

– Znasz go?

– Nie pamiętam, jak się nazywa.

– Idzie do nas.

– Przy naszym stoliku jest kilka wolnych krzeseł – powitał ich Ringmar.

– Ależ nie trzeba – odpowiedziała Gerda.

– A co, wstydzicie się? – zapytał Ringmar.

– Nie bardziej niż powinniśmy – odparł Johnny.

– Zamówcie sobie coś i siadajcie z nami. – Ringmar wrócił do stolika.

- A ten drugi to kto? – zapytał Johnny. – Jego też kojarzę.
- To Erik Winter – odpowiedziała Gerda.
- Aha, więc to on.
- Nie wiem, czy chcę tam siadać.
- A dlaczego nie?
- No nie wiem...
- Mogłabyś do nich zagadać o tym, o czym mi opowiadałaś.
- A co ci opowiadałam?
- O tych mieszkaniach. O tym, co tam widziałas.
- Nigdy w życiu.
- Daj spokój.

Zamówili i wreszcie dostali tacę z drożdżówkami.

– Ciekawe, jak się domyśliłi, że jesteśmy z policji – powiedział Johnny.

- Może dlatego, że mamy na sobie mundury.
- Ale oni nie mają.
- No nie. To dziwne.
- Coś mi się wydaje, że bylibyśmy niezłą parą.
- Ale tylko w godzinach pracy – odparła Gerda.
- A może podczas przerw.

Byli w połowie drogi do stolika. Gerda trochę się denerwowała. Zobaczyła, jak Erik Winter podnosi do ucha komórkę. Nie słyszała sygnału. Winter powoli wstał, nadal mówił do słuchawki. Ten drugi, Ringmar, też się podniósł. Winter się rozłączył i coś do niego powiedział. Ruszyli od stolika, spotkali się z Gerdą i Johnnym na środku sali.

– Niestety musimy lecieć. – Winter uściśnął jej rękę. – Miło było poznać.

Ale przecież się nie poznaliśmy, pomyślała Gerda, kiedy obaj komisarze wyszli z kawiarni.

Zmarły z plaży nazywał się Anders Dahlquist. Mieszkał w jednym z wysokich domów na południe od placu Doktora Friesa. Był singlem. Wreszcie ktoś z jego pracy sobie o nim przypomniał. Czasami tak jest. Ludzie zauważają, że zniknęła któraś twarz. Albo że czyjś telefon nie odpowiada. Idą do kogoś do domu, ot tak, żeby sprawdzić. A towarzyszy im ta przelotna myśl: może to właśnie on?

– Kiedyś się mówiło stary kawaler, a nie singiel – powiedział Fredrik Halders.

– A ten był stary? Ile miał lat? – zapytała Aneta Djanali.

Fredrik i Aneta pracowali z Winterem, oboje byli inspektorami. Zakochali się w sobie i zamieszkali razem, potem omal się nie rozstali, ale teraz znów byli razem. Winter nie wiedział, co się stało i o co poszło, ale podejrzewał, że przyczyną był ten sam wirus, który wcześniej dopadł jego, Bertila, może też innych z wydziału, a może i z całej komendy, z całego miasta i kraju. Może chodziło o samotność. Winter nie wiedział. Bo w życiu każdego nadchodzi taki moment, że czuje się samotny. I nie ma znaczenia, ilu bliskich ma się przy sobie, ponieważ w takich chwilach zapada cisza. W życiu Wintera też w minionym roku zapadła straszna cisza.

– Trzydzieści pięć – powiedział Ringmar.

– Jezus miał trzydzieści trzy – wtrącił Halders.

– A co to ma do rzeczy? – Aneta nie zrozumiała.

– Tak mi tylko przyszło do głowy – wyjaśnił Halders.

– Tuż przed śmiercią Dahlquist nie był na żadnym pogrzebie – oświadczył Winter.

– To zabrzmiało trochę komicznie – powiedział Halders.

– No cóż, nie wszyscy podzielamy twoje poczucie humoru, Fredrik – odparł Ringmar.

– To może wróciła moda na białe krawaty – zasugerował Halders.

– Niemożliwe – odpowiedziała Aneta.

– A czy we wszystkich filmach gangsterskich z lat siedemdziesiątych nie nosili białych krawatów? – zapytał Halders.

– I tu masz rację – przyznał Ringmar.

– Może to były gangster – ciągnął Halders. – Może taki miał styl.

– Z lat siedemdziesiątych?

– Może wkroczył w nowe tysiąclecie ze starymi zwyczajami i akcesoriami.

– Jeśli miał trzydzieści pięć lat, to znaczy, że urodził się w 1973 roku – odparła Aneta.

- No i?
- I był agentem nieruchomości – wtrącił Ringmar.
- Mówiłem, że to gangster – stwierdził Halders.
- Nie przesadzaj – powiedział Winter.
- A ty lubisz agentów nieruchomości, Eriku?
- Nie można sądzić wszystkich jedną miarą.

Aneta prychnęła.

- Mówi się mierzyć jedną miarą – poprawił go Halders.
- A ja mówię sądzić jedną miarą, i już – odparł Winter.

Halders przeciągnął dłonią po łysinie. Dzięki niej, jak mawiał, stał się prawdziwym mężczyzną. Niczego nie ukrywał.

– Może sprzedał komuś jakąś sypiącą się chałupę, a potem ten ktoś się zemścił, dusząc go – powiedział. – I to cała historia.

– Gdyby to tak działało, mielibyśmy setki zabójstw – odparł Ringmar.

- A nie mamy?
- Nie z tego powodu.
- Gdzie pracował? W której części miasta?

– W centrum – odpowiedział Winter. – W biurze nieruchomości przy Avenyn. Ekskluzywnym. Nazywa się Morenius.

– No proszę, cholera – odezwał się znów Halders. Popatrzył na Wintera. – Czy technicy skończyli już z jego mieszkaniem?

- Tak.
- To jedziemy?

Stali na piątym piętrze. Widok na Göteborg był cudowny. Otaczały ich okna. Mieszkanie okazało się prawdziwym apartamentem: trzy duże pokoje, nowoczesna kuchnia z drogim wystrojem. Do tego balkon. Wyglądał całkiem stabilnie. Halders zrobił na nim kilka ostrożnych kroków, ale balkon wytrzymał.

- Nie najgorzej – powiedział Halders.

Winter odwrócił się w stronę otwartego salonu, który przechodził w następny pokój, przez co mieszkanie sprawiało wrażenie przestronnego strychu.

Technicy nie znaleźli nic podejrzanego. Nic nie wskazywało

na to, że w mieszkaniu doszło do zbrodni.

Nigdzie też nie znaleźli białych krawatów. W szafie było kilka garniturów. Jeden od Oskara Jacobsona, jak ten, w którym znaleziono ofiarę. Kilka od Bossa, ale nic droższego. Tego dnia Winter sam miał na sobie Jacobssona. Już od dawna go nie nosił.

Wszędzie panował porządek.

– Pedant – powiedział Halders. Zdążył już wrócić z balkonu i obejść mieszkanie. – Wszystko poukładane.

Winter przytaknął.

– Tylko ludzie, którzy mieszkają sami, mogą utrzymać wszystko w takim cholernym porządku.

Winter znów skinął głową.

– Zero życia – podsumował Halders.

KIM BYŁ ANDERS DAHLQUIST? Kto chciał pozbawić go życia? Skąd przyszedł? Dokąd zmierzał? Odwieczne pytania o sens życia. Dla Dahlquista nie miały już znaczenia, dla Wintera – owszem.

– Dlaczego był właśnie tak ubrany? – zapytał Winter.

Siedzieli w pokoju Ringmara. U niego nie grała muzyka. Ringmar wolał słyszeć własne myśli, ich brzmienie było niepowtarzalne. Przypomina je może tylko szum wiatru w koronach drzew w letni wieczór. Ten ostatni powiew bryzy przed dwudziestą pierwszą.

– Chyba musimy porzucić trop z pogrzebem – powiedział Ringmar. – Żaden z zakładów pogrzebowych nic o tym nie wie.

– Ano nie.

– Ktoś mógł mu założyć ten krawat już po zabójstwie.

– Hm... W każdym razie to nie krawatem go uduszono.

– Nie, tego akurat Pia jest pewna.

– Chociaż krawat był, że tak powiem, pod ręką.

– Tak, ale uduszono go gołymi rękami. Zabójca musiał być naprawdę silny.

Winter uniósł rękę i pomasażował czoło nad prawym okiem.

– Boli cię głowa? – zapytał Ringmar.

– Nie, nie. Swędzi mnie tylko.

– Jesteś pewien?

– A dlaczego, do cholery, nie miałbym być pewien?

– Tak tylko pytam. Wyluzuj.

– Jestem wyluzowany. Ale czy nie mogę się podrapać po głowie, żebyś od razu nie nabierał podejrzeń?

– Podejrzeń? A co niby miałbym podejrzewać?

– Nic. Zapomnij.

Ringmar chyba chciał jeszcze coś powiedzieć. Jakby wcale nie chciał zapomnieć. Ale po chwili zamknął usta.

– Tak, zabójca musiał być silny – powiedział Winter. – To mężczyzna.

- Prawdopodobnie.
- I ukradł mu portfel.
- Może.
- Nie chciał, żebyśmy zidentyfikowali ofiarę. Nie od razu.
- Właśnie.
- A dlaczego nie chciał?
- Usunął wszelkie ślady.
- Jakie ślady?

Ringmar podniósł prawą rękę i podrapał się po czole.

- Boli cię głowa? – zapytał Winter.
- A co, nie można ot tak podrapać się po głowie?
- Ja nie mogę – odparł Winter.
- Możemy się skupić na robocie?
- Jakie ślady? – powtórzył Winter.
- Ślady tego, że byli razem.
- Byli razem?
- Że się spotkali. Może ktoś ich widział. Sprawca nie chciał, żebyśmy się dowiedzieli od razu.
- Ale w końcu się dowiemy.
- Może nie.
- A dlaczego mielibyśmy się nie dowiedzieć?
- Bo już jest za późno.

Winter zaczął się zastanawiać nad tym, co Ringmar powiedział. Po co opóźnić identyfikację?

– Może chodziło o opóźnienie – ciągnął Ringmar. – O próbę opóźnienia.

– Ofiara mogła zgubić portfel w morzu.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Zbyt proste. Jeśli ma się portfel na przykład w wewnętrznej kieszeni, to nie wypadnie. Nigdy.

– A może on w ogóle nie miał portfela? – zasugerował Winter.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– To też zbyt proste. Każdy nosi przy sobie jakiś dokument tożsamości.

- Tak?
 - W Szwecji tak. Tak jesteśmy wychowani.
 - Skrzywieni – odparł Winter. – Jesteśmy skrzywieni.
 - Niech będzie, że skrzywieni. Ale nikt nie rusza się bez dokumentów.
 - A może on wyszedł w samym garniturze? Albo miał na sobie kurtkę, której nie znaleźliśmy?
 - Bez kurtki byłoby mu trochę zimno.
 - Dzień był ładny. Jak się uprzeć, dałoby radę wytrzymać w garniturze.
 - A może on nie potrzebował wierzchniego okrycia? Może był gdzieś, gdzie go nie potrzebował.
 - Nie na dworze, tylko gdzieś w środku?
 - Właśnie.
 - No to jego kurtka wisi gdzieś na wieszaku.
 - Możliwe.
 - A w kieszeni jest portfel.
 - Możliwe.
 - Albo zostawił kurtkę gdzie indziej. Albo zabrał ją sprawca.
- Próbowali swojej metody. Swoistej gry w skojarzenia – mówili wszystko, co przychodziło im na myśl. Od razu, bez zastanowienia. Bez wstydu. Jakby czytali na głos. Często taki sposób sprawdzał się lepiej niż myślenie.
- Ta zbrodnia nie została zaplanowana.
 - Nie.
 - Tak po prostu wyszło.
 - Kiedy wyszli na zewnątrz.
 - Kiedy wyszli, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.
 - Żeby poczuć bryzę. Zobaczyć morze. Wschód słońca.
 - Albo zachód.
 - Możliwe, ale w grudniu od zachodu do wschodu mija dużo czasu.
 - Może ofierze nie było już dane obejrzeć ostatniego wschodu słońca – powiedział Winter.
 - Może sam o tym wiedział.
 - Kiedy go znalazłem, nie żył mniej więcej od doby.
 - Jak długo był w wodzie?

– Nie wiemy. Może trafił tam tuż po tym, jak zginął. Na pewno kilka godzin. Może pół doby.

– Nie był żeglarzem – zauważył Ringmar.

– Nie miał żaglówki – odparł Winter. – Tyle wiemy.

Ringmar znów podrapał się po czole. Winter milczał. On też kolejny raz poczuł psychosomatyczne swędzenie nad okiem, ale nic z tym nie zrobił.

– Zbrodnia została zaplanowana – powiedział Ringmar.

– Tak.

– Ten ktoś planował ją od dawna.

– Ktoś ze znajomych.

– A ofiara nie miała ich zbyt wielu.

– Na razie wygląda na to, że nikogo.

– Był samotnikiem.

– Jeszcze tego nie wiemy.

– Prowadził podwójne życie.

– No.

– Znał mnóstwo ludzi. Agenci nieruchomości mają mnóstwo klientów.

– Więc będziemy szukać wśród nich?

– Idziemy tropem Haldersa? Dahlquist sprzedał komuś lewy dom i klient się mści?

– On sprzedawał mieszkania – sprostował Winter.

– Bez różnicy.

– Musimy się przyjrzeć jego ostatnim interesom.

– Aneta jest już na miejscu.

– Zostaje jeszcze ewentualna rodzina ofiary – dodał Winter.

– Dlaczego ciągle nazywamy go ofiarą?

– Nie wiem, Bertil.

– Nazywajmy go Dahlquist. To brzmi lepiej.

– No więc Dahlquist wychodzi z pracy i znika.

– Ma już dość.

– Chce robić coś innego.

– Ale nie mówi nikomu co.

– Bo nikt nie pyta.

– Nikogo to nie interesuje.

– Ma dość tego syfu. Zmęczył go już.

– Ma dość znajomych z pracy. I samej pracy. Ma dość klientów.

– Ma dość wszystkiego.

– Ale ktoś inny ma dość jeszcze bardziej – dodał Ringmar. – Dość Dahlquista.

Winter wstał. Spróbował się przeciągnąć. Potem pochylił się do przodu. Za dużo siedzenia, za mało ruchu. Co drugi dzień, bez względu na pogodę, powinien jeździć na rowerze. Ruch za darmo, zupełnie jak na policyjnej siłowni, ale komu by się chciało chodzić na siłownię.

– Cholera, że też to zawsze musi tyle trwać – powiedział. – Ja też mam dość.

– I tym razem tyle potrwa – odparł Ringmar. – Nie unikniemy tego. Zresztą najczęściej czas jest po naszej stronie, przecież wiesz.

– Tracę już cierpliwość. Z każdym rokiem. A myślałem, że będzie na odwrót. Ale nie zawsze daję radę tak czekać. Pracować i czekać. Odbębnić wszystkie te rutynowe procedury. Raz, drugi, trzeci. Powoli, krok po kroku. Wiem, że trzeba to zrobić, ale brak mi cierpliwości. Chcę znaleźć sprawcę. Bertil, daj mi sprawcę.

Bent Mogens podniósł wzrok znad biurka. Drzwi na korytarz były otwarte. Właśnie ktoś w nie cicho zapukał. Kobieta. Rozpoznał ją.

– Ależ wejdz.

Podeszła bliżej.

– Nie pamiętam, jak się nazywasz – powiedział.

– Hoffner. Gerda Hoffner. Jechali...

– Tak, tak, to pamiętam – przerwał jej Mogens. – Jechałem z tobą. Ale proszę, usiądź.

Gerda przysiadła na czymś, co wyglądało jak skrzyżowanie krzesła i fotela. Mebel wyglądał, jakby ktoś sam go sobie zaprojektował. Duński design, przemknęło jej przez głowę. O ile Mogens jest Duńczykiem. Mówi wprawdzie bez akcentu, ale ja też.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Mogens.

– Chodzi o te... te zabójstwa – powiedziała Gerda. – O ile to

były zabójstwa. W tych dwóch mieszkaniach.

– Tak?

– Ja... wychodzi na to, że tylko ja byłam w obu. Bo za drugim razem był ze mną inny kolega. No i ekipa techników też była inna. Lekarz też.

– Komisarze też – dodał Mogens.

– No tak. Więc ja... sama nie wiem, jak to powiedzieć. Ale przyszło mi do głowy kilka szczegółów, które wiążą się z tymi sprawami.

– To znaczy?

Opowiedziała mu. O obrazach, książkach, butelce wina i kieliszku. Kiedy mówiła, stwierdziła, że dziwnie to wszystko brzmi, trochę nedorzecznie. Jak doniesienia detektywa amatora, który zgłasza się na policję ze wskazówką, którą wymyśliłby każdy idiota. Pożałowała, że się z tym tak wyrwała.

– To pewnie nic takiego – powiedziała na koniec. – Ale pomyślałam sobie, że lepiej o tym powiedzieć.

Mogens pokiwał głową. Kiedy mówiła, patrzył na nią z kamienną twarzą. Tak jej się przynajmniej wydawało. No ale na pewno już przywykł do rozmów z wariatami. Mówiąc wprost, na tym polegała jego robota.

– Tak po prostu... przyszło mi to do głowy – ciągnęła. Boże, co ja plotę. Więc to tak człowiek się zachowuje podczas przesłuchania albo wywiadu. Jeśli ten, kto pyta, jest wystarczająco dobry, to człowiek sam z siebie gada i gada.

Mogens znów pokiwał głową.

Ale powiedźże coś, pomyślała Gerda.

– Ciekawe – odparł.

Nie mogła wywnioskować, czy to żart.

Wstał i podszedł do stojącej na lewo od wejścia szafki z kartoteką. Gerda nie musiała się za bardzo odwracać, żeby zobaczyć, co robi. Wysunął szufladę i wyciągnął jakąś teczkę. Szafka z kartoteką, pomyślała Gerda. Że też jeszcze coś takiego produkują. I to z blachy pancerniej. Ale to dobrze. Nie wszystko musi być w komputerze. Mogens wrócił z teczką. Usiadł i otworzył ją. W środku były dokumenty, jakieś papiery i zdjęcia. Wyciągnął jedno z nich i zaczął mu się przyglądać. Potem

odłożył i wziął kolejne. Popatrzył na nią.

– Miałaś rację z tymi książkami – powiedział. – Są ułożone jakby zbyt równo.

Boże, czy on to traktuje poważnie? – pomyślała.

Bez słowa pokiwała głową.

– O obrazach nie mogę nic powiedzieć, bo nie za dobrze je tu widać.

– No nie.

– Hm... – Mogens wciąż wpatrywał się w zdjęcia. – Sam nie wiem. Dotarło do mnie, co mówiłaś, ale nie wiem. – Popatrzył na nią. – I co według ciebie powinienem z tym zrobić?

Zaskoczyło ją to pytanie.

– Nie wiem... Po prostu nie mogłam przestać o tym myśleć.

Mogens pokiwał głową.

– A co mówią ci faceci na przesłuchaniach? – zapytała.

– O czym?

I znów poczuła się jak idiotka. Co za kretyńskie pytanie.

– No, tak w ogóle...

– Chodzi ci o to, czy mają zamiar się przyznać?

– Tak.

– Nie, i jeśli mam być szczerzy, to dla mnie duże zaskoczenie.

– Mogens jeszcze raz spojrzął na zdjęcie, które trzymał w ręku.

– Powinni się przyznać. Po czymś takim.

Nie wiedziała, które zdjęcie Mogens ma właśnie przed oczami, ale to nie miało znaczenia.

– Naprawdę powinni – powtórzył powoli, jakby się zastanawiał. Podniósł wzrok. – Należą ci się podziękowania, Gerda. Naprawdę dzięki. – Wstał. – Przemyślimy to.

Przemyślała. No tak. Tak właśnie się to robi. Grzecznie ją splawił, i tyle.

– Dzięki – powtórzył Mogens i wyciągnął do niej rękę. Ucisnęła ją. – Dzięki.

Wyszła na korytarz. Ceglane ściany wydawały się jeszcze brzydsze niż zwykle. Miała sucho w ustach. Nie było mowy o sukcesie. Zrobiła błąd, coś poszło nie tak. To się już nie powtórzy.

Sverker Edlund wjeżdżał na wzgórze nad przystanią

Långedrag. W pewnym miejscu zbocze zrobiło się bardziej strome i musiał wrzucić dwójkę. Tamtejsze domy należały do bogaczy, tych dawnych i tych nowych. Zwłaszcza do tych nowych. Niektóre wręcz były po oczach bogactwem, obnażając kiepski gust właścicieli. Kilka okazałych domów wyglądało jak lotniskowce z platformami, mostkami, masztami, żaglami i kominami, ale za to bez kapitana. Cóż, nowobogactwo często idzie w parze z nie najlepszym wycuciem jakości. Niektóre stuletnie wille z widokiem na morze kryły się w parowach przed wiatrem. Należały do dawnych bogaczy. Bo bogactwo sięgające kilku pokoleń wstecz ma w sobie więcej dyskrecji, nigdy nie obnosiło się ze swoją władzą. Mieszkańcy tych domów mogli wyglądać na biedaków, jeździć starymi gratami, kupować na przecenach. W Anglii nazywano ich ekscentrykami, ale Edlund nigdy nie był w Anglii. Nawet na Långedrag prawie nigdy się nie zapuszczał. Był chłopakiem z Kålltorp. Kiedy dorastał, horyzont jego świata wyznaczał widok na dach więzienia Härlanda. Miał dwie możliwości: zostać na wolności albo skończyć za murami. Dwóch jego kuzynów wylądowało za kratami. Jednego wsadził zresztą sam. A brat jego matki po pijaku obrabował bank w Bergen. Rodzina z barwną historią. Ale tutaj, na Långedrag, było raczej bezbarwnie. Niebo nagle poszarzało. Grudzień dał za wygraną, dominowała chłodna szarość. Widać było, że prawdziwa zima zbliża się wielkimi krokami. Kiedy Edlund zaparkował i wysiadł, poczuł podmuch wiatru. W tym miejscu osłaniały go skały, ale na samym szczycie nie było żadnej osłony – wiatr wciskał się wszędzie, jak wąż. Nawet pod ubranie. Edlund czuł go na plecach. Dom sprawiał wrażenie ciepłego i gościnnego. Zbudowano go z cegieł i drewna. Zwykła nadmorska willa, bez przepychu stojących niżej domów okrętów. Dyskretne dawne bogactwo. Lentnerowie należeli do tej klasy. To nie była rodzina z barwną historią. Przynajmniej do teraz. Edlund zamknął samochód i ruszył w górę zwirową ścieżką. Rosły przy niej krzewy przypominające cyprysy. Edlund wiedział, że Lentnerowie mieli kiedyś dom na południowym wybrzeżu Hiszpanii. Może i tam rosły cyprysy albo palmy. W Hiszpanii

też nie był. Cholera, w sumie to nigdy nigdzie nie był. Otworzyli mu drzwi. Jakiś mężczyzna wyszedł na schodki zrobione z nierzucającego się w oczy szarego łupka, na pewno drogiego. Kasa, wszędzie kasa. Mężczyzna nie był ubrany jak biedak, nosił się z dyskretną elegancją – miał na sobie szary kardigan i granatowe spodnie. Był wysoki, o pół głowy wyższy od niego. Włosy miał gęste, szpakowate. Większość bogaczy jest wysoka i nie łysieje. A Edlundowi zostało już niewiele włosów. No i nie był bogaty. Ale nie był też zazdrosny. Myślał o pieniądzach tylko wtedy, kiedy miał do nich tak blisko.

– Komisarz Edlund? – zapytał mężczyzna.

– Inspektor – odparł Edlund, wyciągając rękę. – Inspektor Sverker Edlund.

Mężczyzna uściśnął mu dłoń, zaskakująco słabo.

– Mats Lentner. Proszę wejść.

Edlund ruszył za nim przez hol, który wyglądał jak pokój przechodzący w kolejny, jeszcze większy. Rozciągał się z niego widok na morze. Jadąc tam, Edlund nie widział akurat tej części brzegu. Wspaniale. Tak właśnie powinno się budować domy. Zupełnie jakby się miało własną plażę, własne wybrzeże.

– Proszę usiąść – powiedział Lentner. – Napije się pan czegoś? Może kawy?

– Chętnie.

– Z mlekiem i cukrem?

– Dziękuję, bez.

– Chwileczkę.

Lentner zniknął za drzwiami prowadzącymi do północnej części domu. Kiedy jest się tak blisko morza, łatwo rozróżnić strony świata. Edlund rozejrzał się po pokoju. Ściany były raczej puste. Wisiało na nich tylko kilka litografii, a w głębi jakiś gobelin dopasowany kolorystycznie do reszty wystroju. Zresztą dominowały tu kolory morza. Pokój dopasowywał się do wody. Teraz panował w nim spokój, cisza i chłód. Latem musi tu być niesamowicie jasno, pomyślał Edlund. Zupełnie jakby się wystawić na słońce. Gdzieś z głębi domu, może z kuchni, dobiegł jakiś dźwięk. Ann, żony Lentnera, nie było w domu. Edlund nie wiedział dlaczego. Tak mu powiedziano.

Rozmawiał z nią Bent, nie on, ale krótko. Jej mąż, otwierając Edlundowi drzwi, nie okazał żadnych uczuć. Jakby nie chodziło o jego syna, tylko o kogoś obcego. Może Lentner to szaleniec. Może w ich rodzinie dziedziczy się chorobę psychiczną z pokolenia na pokolenie. Lentner wrócił z tacą. Postawił ją na szklanym stoliku.

– Nie zdążyłem pójść do piekarni – powiedział.

Ruchem głowy wskazał Edlundowi dwie cienkie kromki pszennego chleba ułożone na spodku i dwie filiżanki parującej kawy.

– To mi absolutnie wystarczy – odparł Edlund.

Lentner pochylił się i sięgnął po filiżankę. Ręka zaczęła mu się trząść. Nie mógł tego opanować. Trzęsła się i trzęsła. Wpatrywał się przed siebie, w filiżankę, nie patrzył na nic innego. W końcu ją upuścił. Upadła na tacę (chyba ze srebra?) z przenikliwym trzaskiem, ale się nie potłukła. Kawa rozlała się na stół, na Lentnera i na szarą sofę, na której siedział. Ręce wciąż mu się trzęsły. Popatrzył na Edlunda z wyrazem bezradności w oczach. Gdzieś rozległ się sygnał telefonu. Dzwonił i dzwonił. Lentner drżał. Wyglądało to na początek ataku padaczki, ale bezładnie poruszały się tylko ręce, ramiona i może trochę głowa. Kawa chlapnęła mu nawet na czoło. Ściekała teraz płytką bruzdą między oczami. Był podobny do syna. A syn do niego. Teraz to widzę, pomyślał Edlund i wstał. Ten wyraz totalnej rezygnacji. Teraz widzę. Telefon znów zadzwonił. Brzmiało to tak, jakby sygnał rozlegał się na kilku piętrach naraz.

Lentner powoli przestawał się trząść.

– Mogę panu jakoś pomóc? – zapytał Edlund.

Lentner nie odpowiedział. Chyba nie usłyszał. Wpatrywał się w tacę i filiżankę, która wciąż się turlała. Dziwne. Kawa, która spływała mu z czoła, dotarła już do ust. Nie oblizal jej. Jakby sparaliżowało mu twarz. Mięśnie już mu nie drgały. Edlund ruszył w stronę drzwi, za którymi wcześniej zniknął Lentner. Znalazł się w kuchni, niemal tak dużej jak salon. Zobaczył na blacie rolkę papierowego ręcznika. Wrócił z nią do pokoju. Lentner wciąż siedział bez ruchu. Edlund oddał kawałek

ręcznika i wytarł mu twarz. Nagle Lentner zaczął wyglądać, jakby miał sto lat. Skórę miał jak z pergaminu. Dawno, dawno temu Edlund pracował w wakacje w domu opieki. Wycierał starszym ludziom usta i tyłki. Teraz wziął się do czyszczenia stołu i tacy. Sofy nie mógł wytrzeć papierowym ręcznikiem. Lentner wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy się witali. Był nie do poznania. Może już na zawsze taki zostanie, pomyślał Edlund. Cholerny telefon znów zaczął dzwonić.

– Może to on – odezwał się Lentner i spojrzał na niego.

WINTER JUŻ KIEDYŚ BYŁ W TYM biurze nieruchomości, ale chyba nikt go nie poznał. To tutaj kupił działkę nad morzem. On sam za nich oboje. Wcześniej Angela opowiadała mu o świetle, które będzie wpadać do salonu od strony morza tuż przed zmrokiem. Akurat byli w barze, siedzieli w skórzanych fotelach, poza nimi nie było tam prawie nikogo. A na dworze zmierzchało. Zawiódł Angelę. Mówiła wtedy o domu, a dom nadal nie powstał. Myślał o tym, jadąc na rowerze przez boiska Heden. Jechał w stronę Avenyn. Niebo było ciemnoniebieskie, tego roku zmierzch zapadał szybko. Było kilka stopni na minusie, ale wciąż można było jeździć na rowerze. Dobrze mu to robiło. Łatwiej mu się oddychało.

Na stojaku przed Swedbankiem stało już kilka rowerów. Ustawił tam swój i założył blokadę. Oczywiście nie dawała żadnej gwarancji. Jesienią ktoś ukradł rower policjantowi z policji rowerowej. Wystarczyło, że na chwilę odwrócił wzrok.

Kobieta w biurze przywitała go jak znajomego. Może to ona sprzedała mu wtedy działkę? Nie, na pewno nie. Może to Dahlquist. Bo to był mężczyzna. Ile to już lat minęło? Nie mógł sobie przypomnieć. Sporo. Dahlquist był wtedy za młody.

– Jesteśmy w szoku – powiedziała kobieta.

– Pracowała pani z Andersem Dahlquistem? – zapytał Winter.

– Nie. Kolegowaliśmy się oczywiście, ale on miał swoich klientów.

– A mógłbym zobaczyć jakich? Mają państwo gdzieś listę?

– Tak, jasne.

Odwróciła się, jakby chciała znaleźć listę w komputerze, przed którym siedziała.

– Może mi ją pani dać później – powiedział Winter.

– Aha, dobrze.

– Minęło kilka dni, zanim państwo zauważyli jego nieobecność w biurze.

- To ja.
- Proszę?
- To ja zadzwoniłam na policję.
- Tak, wiem, dlatego to z panią chciałem rozmawiać.
- Anders wziął kilka dni wolnego. To dlatego.
- Dlatego co?
- Dlatego nikt od nas nie powiadomił was wcześniej.

Winter pokiwał głową.

Przedstawiła mu się, ale nie pamiętał nazwiska. Na imię miała Lena. Staromodne imię. Może była starsza. Na pewno po trzydziestce. Blżej czterdziestki. Czyli trochę starsza.

- To ja zadzwoniłam – powtórzyła.
- Dlaczego?
- Nie rozumiem.
- Dlaczego akurat pani?

Nie odpowiedziała. Teraz zobaczył, że w oczach ma łzy. Może miała cały czas. Na jej twarzy widział coś więcej niż szok po nagłej śmierci kolegi z pracy.

– Szukała go pani? – zapytał Winter. – W domu?

– Tak... To znaczy nie. Zadzwoniłam tylko. Kiedy nie wrócił do pracy. Kiedy to było? Przedwczoraj? – Z torebki leżącej na biurku wyciągnęła chusteczkę i ostrożnie przyłożyła ją do oczu. Najpierw do jednego, potem do drugiego. – Przepraszam.

- Proszę nie przepraszać.
- I jak wam idzie? – zapytała.

Odłożyła już chusteczkę i patrzyła na niego.

- Nie wiemy.
- Nic a nic?
- Podejrzewamy zabójstwo.
- Boże. Ktoś zabił Andersa? Boże.

Nie płakała już, ale zbladła.

- Kto mógłby... kto chciałby... – zaczęła, ale przerwała.
- Próbujemy się dowiedzieć, co pan Dahlquist robił w ostatnich dniach. Co robił, zanim zginął.
- A kiedy to się stało?

Winter podał przybliżony czas.

- Boże. To straszne.

- Kiedy ostatnio go pani widziała?
- Tutaj, w pracy. To musiało być w zeszłym tygodniu.

Winter widział, że nie mówi prawdy.

- Dlaczego wziął wolne? – zapytał.

– Nie wiem.

- Nie domyśla się pani?

– Nie.

- Był chory?

– Nie. To znaczy nie wiem. O to musi pan zapytać naszego szefa.

Winter pokiwał głową. Zapyta szefa, ale jeszcze nie teraz. W zachowaniu tej kobiety, Leny, było coś, co kazało mu jeszcze nie kończyć rozmowy. Coś ukrywała. Chyba nietrudno było to zauważyć, a może widział to tylko dlatego, że pracował w policji już od ćwierć wieku. Wiedziała coś, czego nie chciała powiedzieć. A może przyszło jej do głowy coś, z czym nie chciała się zdradzić. Zresztą może na jedno wychodzi.

- Dlaczego to akurat pani go szukała? – zapytał.

– A czy to ma znaczenie?

Podniosła wzrok, ale patrzyła w jakiś punkt za nim. Odwrócił się, ale nic tam nie było. Jak zwykle. Znów odwrócił się do niej. Ruszała dłońmi, splotła palce, potem je rozplotła. Miała obrączkę. Chyba dostrzegła, że zauważył. Schowała ręce pod biurkiem.

– Spotkała się pani z panem Dahlquistem, kiedy był na urlopie?

Nie odpowiedziała. To wystarczyło, jak zawsze.

- Była pani u niego w domu? – ciągnął Winter.

Powiedziała coś, ale nie dosłyszał.

– Słucham?

– Jakie to ma znaczenie?

Winter słyszał głosy zza szklanych ścian biura, w którym siedzieli. Odwrócił się. Za szybą przechodzili ludzie. Zauważył, że drzwi są niedomknięte. Wstał, podszedł do nich i zamknął. Potem usiadł z powrotem.

– Zapewne pani wie, że w takich okolicznościach zatajanie informacji to bardzo poważna sprawa – powiedział.

– Jakich informacji?

Nie była głupia. Nie patrzyła na niego głupio. Arogancko też nie. Po prostu chciała chronić siebie i rodzinę. Przed wszystkim siebie. Chronić przed konsekwencjami. Historia stara jak świat. Niewłaściwa osoba na niewłaściwym miejscu. Przecież jeśli nikt o niczym nie wie, to nikogo nie krzywdzimy. Dopiero kiedy inni się dowiedzą, zaczynają się problemy. Właśnie się zaczęły.

– Była pani u niego w domu?

Pokiwała głową. Powoli i ostrożnie, jakby się bała, że inaczej głowa jej odpadnie.

– Kiedy?

– Ja... w zeszłym tygodniu. Chyba w środę.

– Dlaczego od razu mi pani nie powiedziała? – zapytał. Brutalne pytanie, ale zadał je normalnym głosem.

– Nie wiem.

– Proszę spróbować jeszcze raz.

– Ale z czym?

– Dlaczego nie powiadomiła pani policji od razu?

– Bo mówił, że może weźmie jeszcze kilka dni wolnego. Mógł przecież powiedzieć o tym szefowi. Chciał odpocząć. Był zmęczony.

– Zmęczony? Czymś szczególnym?

– Nie wiem.

Winter czekał. Wiedziała. Tak przynajmniej przeczuwał. Pewnie o tym rozmawiali.

– Chodziło o panią?

Wzdrygnęła się. Jakby wytknął ją palcem. I to serdecznym – on też nosił obrączkę.

– Co ma pan na myśli?

– Chodziło o panią? O was? O wasz związek?

– A co to ma...

– Nie jest pani głupia – przerwał jej Winter. – I wie pani, że to może mieć znaczenie. Po prostu proszę odpowiadać na pytania.

– To już skończone – odparła.

– Kiedy zerwaliście?

Nie odpowiedziała.

– Jak długo to trwało?

– Niedługo. Kilka miesięcy.

Kilka miesięcy to dla niektórych długo. Dla nastolatków to jak całe wieki. Ale ona nie była nastolatką. Anders Dahlquist też nie.

Teraz spojrziała mu prosto w oczy.

– Czy jego zabito? Czy ktoś go zabił?

Winter nie odpowiedział. Czekał.

– Naprawdę go zamordowano?

– Nie jesteśmy jeszcze pewni – odparł.

Wiedział, o czym teraz myśli. Anders odebrał sobie życie przeze mnie. To przeze mnie. Gdybym nie... Gdybyśmy nie... Gdybym tego nie powiedziała, gdybym tam nie poszła, nie zrobiła tego, co zrobiłam, nie powiedziała tego, co powiedziałam.

– To ja z nim zerwałam.

Rower wciąż stał przy stojaku. Winter odpiął go i przeprowadził na drugą stronę Avenyn. Przed jedną z restauracji stał bezdomny. Próbował sprzedać magazyn „Faktum”⁴ ludziom wchodzącym i wychodzącym z lokalu. Wasze zdrowie, wielmożni państwo! Winter wyciągnął dwadzieścia koron i poprosił go o legitymację.

– Jasne – odparł mężczyzna. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej dokument. – Jasne. Dobrze, że pan pyta. Fajny rower tak na marginesie. Mój chłopak zażyczył sobie nowy rower na Gwiazdkę. I na urodziny!

Mężczyzna miał około czterdziestki. Wyglądał nieźle, ale ręce trochę mu się trzęsły, jak to zwykle bywa po latach picia. Na grzbiecie nosa miał bliznę, tuż nad brwią drugą. Jakby miał za sobą karierę boksera. Winter wziął od niego magazyn. Na okładce był jakiś obrazek, ale nie spojrzął na niego.

– Mój chłopak skończy w święta dziesięć lat – ciągnął mężczyzna. – Wyobrazasz pan sobie? Dziesięć lat, i to w święta.

– No to tak jakby mijają go urodziny.

4 Göteborgski magazyn sprzedawany przez bezdomnych, którzy dostają procent od każdego sprzedanego egzemplarza (przyp. tłum.).

– Ale za to może dostanie więcej prezentów.

Winter pokiwał głową.

– I niech mnie cholera, dostanie ich więcej – dodał mężczyzna.

– To dobrze.

– Dobrze? No tak, tego możesz pan być pewny. Chłopak ma dobrze. Ma na imię Johan. Zdolniacha. Gra w hokeja. W drużynie Frölunda! Z jedenastolatkami. Wyobrazasz pan sobie? Gra z chłopakami starszymi o rok!

– To niesamowite – odparł Winter. I drogie, dodał w myślach. Hokej to drogi sport.

– No pewnie. Ja też grałem kiedyś w hokeja. W Bäckén. Zna pan tę drużynę?

– Tak.

– Akurat. Na pewno pan nie zna. Nie wierzę.

Mężczyzna zrobił pół kroku w tył i zaczął mu się uważnie przyglądać, jakby chciał sprawdzić, z kim to ucina sobie pogawędkę, marnując przy tym cenne minuty, kiedy to mógłby sprzedawać kolejne egzemplarze i zarabiać na rower dla syna. A sprzedaż szła mu pewnie nieźle. Gazety padały, ale magazyn bezdomnych miał się dobrze. Coraz lepiej. Może niedługo będzie miał najlepsze wyniki ze wszystkich tytułów. Przed każdym pubem i sklepem monopolowym stał teraz bezdomny sprzedawca. W tym roku jeszcze ich przybyło.

– W Bäckén pod koniec kariery grał Ulf Sterner – powiedział Winter.

– A niech mnie! Wie pan i o tym?

– Jasne, że wiem.

– No to daj pan grabę. Jestem Tommy Näver. Sam grałem z naszym Ulfem!

Winter podał mu rękę. Przez rękawice ze skóry łosia poczuł mocny uścisk. Może mógłby oddać Tommy'emu te rękawice. W prezencie gwiazdkowym. I odejść z czystym sumieniem. Pewnie poczulby się jak katolik.

– No to chyba trafiłeś do drużyny prosto z kołyski, co, Tommy?

– Nie wierzysz mi?

– Ani trochę.

Tommy Näver spojrział na niego z zaskoczeniem. Potem wybuchnął śmiechem.

– Ha, ha, ha. Masz rację! Prosto z kołyski! Nieźle. Ale grałem w Bäckén, naprawdę. Byłem zawodnikiem.

– W to mogę uwierzyć – odparł Winter.

– A ty? Grałeś w hokeja?

– Tak, w reprezentacji. Grałem, kiedy wygraliśmy mistrzostwa świata w Moskwie w pięćdziesiątym siódmym.

– Ha, ha. A to dobre! W pięćdziesiątym siódmym!

– Grałem w nogę w Sandarna BK. Ale potem nabawiłem się kontuzji kolana. A nieźle się zapowiadałem.

– W Sandarna? A niech mnie! Mieszkałem na Sandarna. Czasami jeszcze tam pomieszkuję. Kumpel ma tam kwadrat przy Öckergatan.

Winter skinął głową. Chyba już czas iść. Mogliby gadać jeszcze długo, ale Tommy miał robotę. Zresztą on też. No i za tydzień będą święta. Trzeba kupić prezenty. Nie miał jeszcze ani jednego.

– Muszę lecieć – powiedział.

– A co robisz? – zapytał Tommy. – Pracujesz w banku, nie? – Wskazał ręką na drugą stronę Avenyn. – Widziałem, jak stamtąd wychodzisz. Odpinałeś rower.

– Bystrzacha z ciebie.

– Widzę wszystko. Stoję tu i nigdy nic nie przegapię. – Zatoczył ręką koło. – To moja miejscówka. Zawsze tu stoję. Jak będziesz czegoś ode mnie chciał, tu mnie znajdziesz.

– To na razie. – Winter ruszył dalej, prowadził rower.

– To gdzie w końcu pracujesz? – usłyszał za sobą głos Tommy'ego.

– W sumie to nieważne – odparł. – Ale jestem policjantem.

Tommy coś jeszcze powiedział, ale Winter tylko do niego pomachał i poszedł w stronę księgarni Wettergrena. Zerknął na zegarek. Może jeszcze zdąży do nich zajrzeć i zapytać, czy przyszła już książka Sebalda, którą zażyczyła sobie Angela. Zamówił ją tydzień wcześniej, razem z *Nemesis* Maxa Hastingsa dla siebie.

Zadzwoiła komórka.

– Tak?

– Tu Bertil. Gdzie jeste?

– Zaraz będę przed Wettergrenem.

– A jak poszło w biurze nieruchomości?

– Ktoś z biura miał z Dahlquistem romans na boku.

– Cholera.

– Tak to jest. Tak to wygląda tu, w prawdziwym świecie, Bertil.

– Dobrze, że nie muszę w nim przebywać. Facet czy kobieta?

– Co?

– Kto miał z nim romans?

– Kobieta. A dlaczego pytasz?

– Bo odezwał się do nas jakiś jego kolega. Niecałe pół godziny temu.

– I co mówił?

– Że jadł z Dahlquistem lunch tego dnia, kiedy Dahlquist zaginął.

Hans Rhodin miało około czterdziestu lat, może trochę mniej. Ostatnio wszyscy zdawali się być między trzydziestką a czterdziestką. Tylko Winter i Ringmar byli starsi. Siedzieli naprzeciwko Rhodina, czy może to on siedział naprzeciwko nich, w pokoju Wintera, z którego rozciągał się widok na kanał Fattighusån. Słońce wciąż świeciło na tle niesamowicie błękitnego nieba, piękniejącego z każdą godziną. Zanosilo się na śnieg. Winter przeczytał prognozę w laptopie. Brzmiała jak wieść z innego świata. Pewnie śnieg uszczęśliwi ludzi na ulicach. Ale Hans Rhodin nie wyglądał na szczęśliwego. Jego powaga pasowała do sytuacji.

– Byliśmy w restauracji Jungmann Jansson – powiedział. – Przy moście Önnared.

– O której się pożegnaliście? – zapytał Ringmar.

– Około trzeciej.

– I co było dalej?

– Jak to?

– Co robiliście?

– Nie wiem, co robił Anders. Ja pojechałem do domu.

- Jak? Czym pan pojechał?
- Wziąłem taksówkę.
- Dlaczego?
- Dlaczego wziąłem taksówkę? Bo nie przyjechałem tam samochodem. Trochę wypiliśmy. Zresztą nie jeżdżę, bo nie mam samochodu.
- A co zrobił pan Dahlquist?
- Powiedział, że się przejdzie. Chciał łyknąć trochę świeżego powietrza.
- Ile wypiliście?
- Kilka piw. Kilka kieliszków wódki. I po calvadosie do kawy.
- Świątowaliście coś?
- Co? Nie. To tak na poczet zbliżających się świąt. – Rhodin wyrztał przez okno. Jakby chciał się zrelaksować. – To chyba wystarczający powód, tak nam się wydawało.
- Czy pan Dahlquist był pijany?
- Nie, na pewno nie.
- A jak się czuł?
- Jak to?
- W jakim był nastroju? Był zadowolony? Czymś zmartwiony? Niespokojny?
- Nie. Wydaje mi się, że był taki jak zawsze.
- To znaczy?
- Ani zadowolony, ani smutny. Taki już był.
- Słowem... był wyzerowany – zauważył Ringmar.
- Myślicie, że wpadł do wody? – Rhodin pochylił się w ich stronę.
- A dlaczego miałby wpaść? – zapytał Winter.
- Nie wiem.
- Zataczał się?
- Nie, skądże.
- Ale uważa pan, że mógł wpaść?
- Tak mi tylko przyszło do głowy.

Winter wyobraził sobie tę scenę. Dahlquist spada do wody ze skały przy Önnared i płynie na południe. Mija fiord Askim i w końcu ląduje na Winter Beach. Lekko wstawiony zanurza się, traci oddech, wciąga go jakiś prąd, aż w końcu tonie i wypływa

na powierzchnię.

– Dlaczego dopiero teraz się pan do nas zgłosił? – zapytał Ringmar.

– Trochę chorowałem.

– Nie czyta pan gazet?

– Akurat nie czytałem.

– A co pana skłoniło, żeby się do nas odezwać?

– Jak już wyzdrowiałem, to trafiłem na jakąś wiadomość. Chyba w gazecie. To był artykuł, a może tylko notka. Pomyślałem, że może chodzi o Andersa. Dzwoniłem do niego kilka razy. Jeszcze wczoraj. Ale nikt nie odbierał.

– A co to za choroba pana zmoęła?

– A czy to ważne?

– Tak.

– Alkoholizm – odparł Rhodin.

Winter pokiwał głową.

– Dahlquist też był alkoholikiem?

– Nie.

– Skąd pan wie?

– Bo jeden alkoholik pozna drugiego w sekundę.

– O czym rozmawialiście podczas lunchu? – zapytał Ringmar.

– O wszystkim i o niczym.

– Na przykład?

– O tym, że miał dość swojej pracy. A ja swojej.

– A czym pan się zajmuje?

– Akurat teraz jestem bezrobotny. Ale jestem ekonomistą.

Mam dość i jednego, i drugiego.

– A taki zakrapiany posiłek poprawia samopoczucie? – zapytał Winter.

– Tak. Ale dla Andersa ten posiłek okazał się ostatnim.

WINTER STAŁ NA JEDNYM Z POMOSTÓW przy restauracji Jungmann Jansson na Önnared. Na zachodzie chmury ułożyły się jak draperia. Morze było gładkie jak szkło. Tu i ówdzie widać było łodzie żaglowe. Stały tak od lata. Może czekały na pierwszą lepszą okazję, żeby wypłynąć z przystani w świat. Globalizacja. Na jednej z większych, przycumowanej pięćdziesiąt metrów dalej, dwóch mężczyzn przekładało liny. Winter mógłby wszystko zostawić za sobą i wypłynąć gdzieś tam, daleko, na kraniec świata. Niemal go widział, wiedział, że tam jest. Poczł podmuch świeżego powietrza od strony wody. Właściwie nie wiało, ale powietrze zrobiło się chłodniejsze. Może tam, gdzie niebo chowa się wieczorem, już padał śnieg. Bo w święta powinien padać. Śnieg ucieszyłby wszystkich tych, którzy w głębi duszy wciąż są dziećmi. Może innych też.

Winter wrócił na brzeg i ruszył przez skały. Mewy jakby śmiały się z niego. Ty i te twoje głupie sprawy. Po co tu przychodzisz! Za kogo ty się masz? W powietrzu unosiła się lekka mgła, ale mimo wszystko było przejrzyste. Zupełnie jakby to nie był grudzień. Jakby pogoda coś zwiastowała. Coś złego. Gdyby wysilił wyobraźnię, mógłby zobaczyć swoją plażę. Więc wysilił i zobaczył. Stał na niej sam. Angela i dziewczynki były gdzieś z tyłu. Kilka metrów za nim. Patrzył na morze, na północ. Na siebie samego. Widział samego siebie. Nagle zobaczył z bliska tę postać na brzegu, którą był on sam. Odwrócił się i krzyknął coś do żony i dzieci... Obraz był trochę zamazany, bo wszystko działo się za wodą. Leżał w wodzie. Unosił się na niej. Popatrzył na siebie. On, stojący na brzegu, powiedział coś do siebie leżącego w wodzie. Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś? Co tu robisz? To teren prywatny. Proszę stąd odpłynąć.

Nagle zakręciło mu się w głowie. Zrobił krok w bok. Nie miał zamiaru spaść ze skały. Znow łupnęło go w głowie, miał wrażenie, że się przewraca, jakby leciał w dół z ogromną

prędkością, jakby się znalazł w łodzi podwodnej, która szybko nurkuje w głębiny, chowając się przed bombami. Nie, nie, nie. Tylko nie to. To się już skończyło. Miało nigdy nie wrócić. Przecież nic nie może się powtórzyć! Ból głowy minął na zawsze, a z nim te przekłete zawroty... Nagle poczuł, że ustępują, zostawiają go i ulatują nad wodę jak letni wietrzyk, dobry, przyjemny wietrzyk. Niewidzialny i nieszkodliwy.

Pojechał z powrotem w stronę Fiskebäck i Pålvelund. Czuł się już lepiej. Jak zwykle. Bo teraz zwykle czuł się dobrze. Nadal miał zamiar być radosnym, szczęśliwym człowiekiem. Cała reszta to już przeszłość, a przecież przeszłość w gruncie rzeczy nie istnieje, tak jak nie istnieje przyszłość. Nie jest czymś, czego można by dotknąć. Jest jak mgła nad wodą. A i ona już zniknęła, odpłynęła w stronę horyzontu. Zaczął się już wieczór, czy może raczej noc. Zrobiło się ciemno.

Zaparkował przed domem na Hagen. We wszystkich oknach było jasno, we wszystkich paliły się adwentowe świeczniki. Przed domkiem stał obwieszony lampkami świerk. Winterowi przypomniał się sąsiad Bertila, którego dom i działka przez pół zimy świeciły się jak Manhattan, doprowadzając Bertila do szału. I tak rok w rok. Aż tu nagle tydzień temu, rozwieszając zwoje kabli, dzięki którym cała instalacja mogła działać, sąsiad dostał zawału. Padł tam, gdzie stał. Znalazła go żona. Wezwała karetkę. Bertila nie było wtedy w domu, ale Winter podejrzewał wudu. Na pewno to Bertil coś zmajstrował, siedząc w swoim pokoju na komendzie. Winter znalazł nawet u niego walającą się na podłodze pinezkę. A któregoś dnia na regale leżała dziwna lalka. To dla wnuczki, wyjaśnił Bertil. Ale przecież nie miał wnuków.

Za to Siv Winter miała aż cztery. Same dziewczynki: Elbę, Lilly, Bim i Cristinę. Kiedy Winter zadzwonił do drzwi, otworzyła mu siostra, Lotta.

– A to niespodzianka – powiedziała.

– Mam nadzieję, że miła – odparł.

Uśmiechnęła się. A jeszcze niedawno była na niego zła. Ostatniej jesieni nawiązał kontakt ze znanym göteborgskim gangsterem, którego swego czasu, choć krótko, coś z Lottą

łączyło. Facet o niej nie zapomniał i próbował to wykorzystać. Dla niego była jak anioł, który zawitał do jego świata. Może miał nadzieję, że Lotta uchroni go przed miejscem, do którego wszyscy grzesznicy trafiają po śmierci. A on ocalił Winterowi życie. Dosłownie. Od tamtej pory Benny Boy Vennerhag już się z nim nie kontaktował. Może chciał zapomnieć o swoim dobrym uczynku. Albo czekał na właściwy moment, żeby się upomnieć o nagrodę. Winter i Lotta nigdy o tym nie rozmawiali. Nigdy. Winter wszedł za nią do domu. W kuchni pachniało korzennymi przyprawami.

– Chciałyśmy zrobić grzane wino – wyjaśniła Lotta.

– Dziewczynki są w domu?

– Już tu nie mieszkają.

– No tak, oczywiście.

Popatrzyła na niego. Chyba z uśmiechem.

– Tylko cię sprawdzam – powiedziała. – Kristina wciąż tu mieszka.

– No tak, oczywiście.

– A co u waszych dziewczynek? Mieszkają jeszcze z wami?

– A nie rozmawiałaś wczoraj z Angelą przez telefon?

– Rozmawiałam.

– Co to za wino?

– Nie wiem, mama kupiła.

– A gdzie ona jest?

– Gdzieś się kręci.

Za plecami usłyszeli głos.

– Jestem bliżej, niż myślicie.

Winter się odwrócił.

– Cześć, mamó.

– A to miła niespodzianka. Co tu robisz?

Podeszła i uściskała go. Miał wrażenie, że schudła. Jakby kości wypełniły jej ciało, jakby się skurczyła jeszcze bardziej. Zbliżała się do osiemdziesiątki. I naprawdę schudła, choć tym razem nie przez papierosy. Przyczyną mogło być wszystko. To nic takiego, mówiła.

Siv Winter postanowiła wrócić do Szwecji po latach spędzonych na hiszpańskim wybrzeżu. Wynajęła komuś na

zimę dom w Nueva Andalucía. Twierdziła, że pojedzie tam wiosną. Winter jej nie wierzył. Choć sam wczesnym latem miał zamiar wybrać się z rodziną do Hiszpanii. Może pojedą razem. Domek na wybrzeżu nie był taki mały, na jaki wyglądał. Teraz Siv Winter mieszkała u Lotty. Mówiła, że znajdzie sobie jakieś mieszkanie, ale i w to Winter nie wierzył. U Lotty było sporo miejsca. Właściwie matka wróciła do swojego domu. Kupili go z ojcem, kiedy dzieci były małe. A teraz wróciła.

– Byłem w pobliżu – powiedział Winter.

– Praca?

– Tak.

– Eriku, uważaj na siebie.

Wyglądała na przejętą. Rozumiał ją. Jego też ogarniał strach, kiedy myślał o tym, jak blisko śmierci był tam, na Brännö. A to było jakby wczoraj. Albo całe wieki temu.

– Uważam.

– Co to za sprawa? – zapytała Lotta. – Coś się stało na Långedrag?

– Nie, nie. Na początku miesiąca zaginął mężczyzna. Możliwe, że na Önnered. Wylądował w wodzie.

– A wiesz gdzie dokładnie?

– Nie. Może w okolicach mostu.

– I co się z nim stało?

– Wiemy tylko, że nie żyje.

– Ale ktoś go zabił? – zapytała matka.

– Tego też do końca nie wiemy.

– No to dlaczego się tym zajmujesz? – zdziwiła się Lotta.

– Bo wypłynął na naszej plaży – wyjaśnił.

– Co ty mówisz?!

Matka spojrzała najpierw na niego, potem na Lotte.

– Co masz na myśli, Eriku?

– Wypłynął na plaży, kiedy akurat tam byliśmy. Ja, Angela i dziewczynki. Ciało trafiło prosto na naszą działkę. Naprawdę. Ale to oczywiście tajemnica, nikomu jeszcze o tym nie mówiłem.

– Co jest tajemnicą?

– Że wypłynął właśnie tam.

– Co za zbieg okoliczności – powiedziała matka. – Mój Boże. Co za okropne zrządzenie losu.

Winter nie odpowiedział.

– Bo to był przypadek, prawda?

– Oczywiście – odparł Winter.

– A jak zareagowały dziewczynki?

– Nic nie widziały.

Poranek powitał wszystkich śniegiem. A w Göteborgu śnieg zawsze wywoływał sensację. Dzieciom spieszno było na dwór. Dorośli, którzy mieli w sobie coś z dzieci, też się cieszyli. Gerda Hoffner stała w sypialni przy oknie i patrzyła na mozolnie wjeżdżający pod górę tramwaj. Jeszcze centymetr śniegu i tramwaje staną. Jeśli o to chodzi, też był w mieście sensacją. Śnieg? Tutaj? W jednym z ośmiu arktycznych krajów świata? Niemożliwe. Tramwajów używano w mieście dopiero od stu lat, więc wiadomo, że władze nie zdążyły jeszcze przystosować komunikacji miejskiej do warunków zimowych. Cały świat pokryła biel. Gerda zmrużyła oczy. Zobaczyła spowite w biel ciała kobiet. Biały kolor, biała śmierć. Łagodna, ale zwodnicza. Straszna. Otworzyła oczy. Promienie słońca odbijały się od śniegu. Göteborg to straszne miasto. A ja jestem jego częścią, pomyślała i odeszła od okna. Byłam tam. Tylko ja. Tylko ja widziałam wszystko. Nikt inny nie widział tych dwóch strasznych miejsc. Powiedziałam im o tym. Ale co z tego. Nikt mnie nie słucha. Bo i nie ma czego. Gdyby było, toby posłuchali. Odezwaliby się do mnie.

Poszła do kuchni. Przez chwilę stała przy blacie. Jakby zapomniała, po co przyszła. I znów zobaczyła spowite w biel ciała. Słońce wciskało się przez kuchenne okno, jakby nie chciało jej dać spokoju, mimo że była u siebie. Zapowiadał się przepiękny dzień. Lepiej iść do pracy, niż siedzieć w domu. Oczyma wyobraźni znów zobaczyła białą pościel i ciała kobiet. I mężczyźni siedzących obok, jakby ktoś ich usadził w samym środku horroru. W wyrazach ich twarzy było coś dziwnego. Wyglądali jak ona. Ona była lustrem, oni też. Byli niewinni. Cholera, pomyślała i wyszła do przedpokoju. Chwyciła za wiszącą na ścianie telefon.

Widywała go już na korytarzu. Może przy windzie też. Zawsze wyglądał, jakby się dokądś spieszył. Nie powłóczył nogami. Swoją drogą co to za głupie powiedzenie: powłóczyć nogami.

Od zawsze wszyscy mówili o nim, że jest trochę mądrzejszy niż inni. I młodszy. Ale teraz byli już młodszy komisarze, chociaż on nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki. Tak jej się przynajmniej wydawało. Nie wyglądał na więcej. Ale w dzisiejszych czasach pięćdziesięciolatek nie wyglądają na swój wiek. Z wyjątkiem polityków oczywiście. Ci już w wieku trzydziestu lat wyglądają na pięćdziesiąt. Zawsze ją zastanawiało, jak młodzi są politycy, których widziała w telewizji i w gazetach. Widać ich praca wyniszcza jeszcze bardziej niż praca w policji. Może to przez to, że my ćwiczymy formę.

Zapukała do jego drzwi. Były otwarte. Siedział pochylony nad biurkiem i coś czytał. Podniósł wzrok.

- Dzień dobry – powiedziała.
- Gerda Hoffner, tak? – zapytał Winter.
- Tak.
- Wejść. I zamknij drzwi.

Weszła i zamknęła.

– Proszę, siadaj. – Wskazał jej krzesło stojące przed biurkiem.

Usiadła.

– Słucham, o co chodzi?

Głupio jej się zrobiło po tym, jak rano do niego zadzwoniła. Niewiele mu powiedziała. Miała wrażenie, że działa za plecami dochodzeniówki. Przecież wcześniej rozmawiała z nimi. Z Mogensem. Powiedziała to Winterowi. Głupio mi, przyznała mu się. Pożałowała, że dzwoni, już kiedy odebrał, ale było za późno. Przyjdź do mnie, powiedział po chwili.

No i przyszła, i opowiedziała mu wszystko.

- Więc tylko ty byłaś na obu miejscach zbrodni?
- Tak. Sprawdziłam to potem.

Pokiwał głową.

– Dziwnie się z tym czuję – powiedziała.

- Z czym?
- Z tym, że tu siedzę i opowiadam o tym.
- A jednak zadzwoniłaś i przyszłaś.
- No tak.
- Sporo o tym myślałaś.
- Tak, nie daje mi to spokoju.
- Myślisz, że to nie było zwykłe zabójstwo w związku?
- Właściwie nie wiem, co myślę. Po prostu w tych mieszkaniach było coś, co nie daje mi spokoju.

Winter spojrział w swoje notatki.

No proszę, robi notatki, pomyślała wtedy, kiedy opowiadała.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, ktoś mógł posprzątać mieszkania po zabójstwie. – Popatrzył na nią. – Tak ci się wydaje, tak?

– Chyba tak...

Znów spuścił wzrok i przeczytał krótkie zapiski.

- W porównaniu z resztą mieszkania książki na stoliku nocnym były ułożone zbyt porządnie. I ktoś mógł wyprostować obrazy na ścianach.

Popatrzył na nią.

- Tak.
- No dobrze.
- Wiem, że to może tylko bezsensowne wrażenie.
- Nieprawda. W tej robocie nie ma bezsensownych wrażeń.
- Prawie się uśmiechnął. – Tylko śmierć, z którą się spotykamy, jest bez sensu.
- No tak – odparła. – Też to czułam, kiedy tam byłam. Kiedy je zobaczyłam.
- Wspominałaś też o butelkach wina.
- Tak, stały w kuchni. A obok jeden kieliszek. W obu mieszkaniach.
- Ktoś z nich pił?
- Nie wiem. Tylko przeszedłam obok, i to szybko. Zauważyłam je kątem oka.

Winter znów pokiwał głową.

– Więcej nie wiem – powiedziała.

– Myślisz, że oni są niewinni? – zapytał ją. Prosto z mostu.

Chyba traktował to wszystko poważnie. Ją też.

– Tak.

– Butelki wina? Nie, nie braliśmy do laboratorium żadnych butelek. A powinniśmy?

– Nie wiem, Torsten.

Winter poszedł na górę, do wydziału technicznego. Siedział w pokoju Torstena Öberga. Było w nim jaśniej niż u niego. Prawie przez cały dzień zaglądało tam słońce. Do jego pokoju zaglądało tylko w środku lata, i to kiedy już szedł do domu. W dodatku były to pojedyncze promienie z północnego zachodu. Teraz, w grudniowych ciemnościach, nawet na to nie mógł liczyć. Ale u Öberga było jasno do wpół do czwartej.

– Jeśli dobrze rozumiem, jakaś świeżo upieczona policjantka zgłosiła się do ciebie z komentarzem na temat śledztwa prowadzonego przez dochodzeniówkę.

– Ja bym tak nie powiedział.

– A jak?

– Ona tylko... ona... Cholera, Torsten, sam nie wiem, jak to powiedzieć.

– A jednak zrobiła na tobie wrażenie, co, młody? Ładna jest?

– Udam, że tego nie słyszałem.

– A ty co, masz problemy z prostatą?

– Przed chwilą chyba powiedziałeś do mnie młody.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Spadaj. Pokaż mi lepiej te zdjęcia.

Öberg obiecał mu, że przygotowuje zdjęcia, kiedy będzie się włókł na górę. Podał mu gruby plik. Winter zaczął go uważnie przeglądać.

– Niewiele na nich widać – stwierdził.

– Jak to?

– Niewiele z tego, o czym mówiła Gerda Hoffner.

– Nazywa się Hoffner? To Niemka?

– Nie pytałem.

– Gerda Hoffner. Brzmi niemiecko.

Winter oddał mu jedno zdjęcie.

– A ty co o tym sądzisz?

– O czym? – Öberg popatrzył na zdjęcie.

– Te równiutko ułożone stopy książek wyglądają trochę dziwnie. Jakby ktoś wymierzył poziomica albo linijką.

Öberg spojrział na książki, łóżko i martwą twarz na zdjęciu. Oczy zamknięte jak we śnie. Niewiele czuję, patrząc na tę twarz, pomyślał. Wygląda jak każda inna. Mogłaby być twarzą kogoś żywego. To właśnie są rozmyte granice. Niby widzę różnicę, ale nie potrafię odróżnić życia od śmierci.

– Czy ci ludzie byli pedantami? – zapytał Wintera. – Może faceci byli. Albo kobiety... Tego się już nie dowiemy. Ale mężczyzn możemy zapytać. To Sverker Edlund prowadzi przesłuchania, tak? Pytałeś go?

– Jeszcze nie.

– Może tak będzie najprościej. Ktoś z bliskich może to potwierdzić.

– No tak, jeśli się ich zapyta.

– No to niech zapytają. Albo sam zapytaj.

Winter nie odpowiedział. Wciąż przyglądał się zdjęciom.

– Reszta nie wygląda pedantycznie – stwierdził, wpatrując się w zdjęcie łóżka i tego, co leżało obok. Równie dobrze mogłaby to być jego sypialnia. Gładka drewniana podłoga, szerokie listwy, duże nowoczesne łóżko, zarys stiuków na suficie. Duże, stare i drogie wnętrze. Nie wiedział dokładnie, ile kosztuje metr na Vasastan, ale był pewien, że dużo. Jego mieszkanie też było warte fortunę.

– Te pokoje wyglądają jak własne kopie – powiedział Winter.

Öberg przytaknął.

– Nawet kolorystyka jest taka sama.

– No...

– Zastanawiałeś się nad tym?

– Trochę. Ale miałem co innego do roboty.

– Identyczne pokoje. Identyczny *modus operandi*.

Öberg znów pokiwał głową.

Winter odłożył zdjęcia na biurko.

– Najprościej dla wszystkich byłoby, gdyby ci faceci się przyznali – powiedział.

– Może nigdy się nie przyznają. Może to taki typ, który się do niczego nie przyznaje.

– A jak teraz wyglądają te mieszkania? – zapytał Winter. –
Wciąż są zabezpieczone?

– Tak myślę.

– Czyżby ktoś tu miał wątpliwości?

– Pogadaj z Mogensem – powiedział Öberg. – Ja ci już
bardziej nie pomogę.

– Może będziesz musiał.

– Jak to?

– Może trzeba będzie je przeszukać jeszcze raz.

– Naprawdę tak myślisz?

Winter nie odpowiedział. Jeszcze raz popatrzył na jedno ze
zdjęć. Zbliżenie twarzy jednej z kobiet. Była podobna do tej
drugiej. Zdjęcie zrobiono z podobnej odległości. Wszystko tam
było do siebie podobne.

– A nie zastanowiło cię jedno, Torsten? – zapytał Winter,
pokazując mu zdjęcie.

– Co?

– Jeśli to nie ci faceci to zrobili, to kto?

PRZED WINDĄ WINTER wpadł na Haldersa. Halders położył mu dłoń na ramieniu.

– Masz chwilę? – zapytał.

– Dla ciebie zawsze, Fredrik.

– Akurat.

– Naprawdę.

Halders się uśmiechnął.

– To zapraszam na kawę.

– Dokąd?

– Do naszej kuchni.

– Ale tam kawa jest za darmo.

– Nie zapraszam cię dosłownie.

– Dobra. Mogę ci o czymś opowiedzieć. Właśnie wracam z technicznego.

– Podejrzane – powiedział Halders i rozsiadł się z białym kubkiem kawy z policyjnego automatu.

Winter pokiwał głową.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego?

– Nie wiem. Chyba nie.

– A te dwie pary się znały?

– Nie wiem.

– A co na to prowadzący przesłuchania?

– Jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– A kto się zajmuje tą sprawą?

– Sverker Edlund.

– Koleś jest w porządku.

– Ale tamci się nie przyznali.

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego?

Winter wzruszył ramionami. Podmuchał w kawę i wypił nieduży łyk. To już ostatni raz, pomyślał. Jak zwykle smakuje jak asfalt. Na pewno jest szkodliwa. Za dwadzieścia lat nowe badania wykażą, że to ta kawa wykończyła tylu policjantów.

– Jak umarły te kobiety?

– Wygląda na to, że zostały uduszone. Przyciśnięto im poduszkę do twarzy.

– Hm...

– No. Sprawa jest niejasna.

– Narkotyki?

– Laboratorium potrzebuje jeszcze kilku tygodni.

– A co mówią ci kolesie?

– Jacy kolesie?

– No, ci faceci. Potencjalni zabójcy.

– Że spali. Obudzili się i stwierdzili, że ich partnerki nie żyją.

– Obaj?

– Tak, tak sędzę. Chociaż nie czytałem protokołów z przesłuchań. Wiem to z drugiej ręki, od Öberga.

– A przeczytasz je?

Winter nie odpowiedział. Jeszcze nie był pewien.

– A dlaczego zainteresowałeś się tą sprawą?

– Bo może trafić do mnie, do nas.

– Gdyby tak miało być, to ci z dochodzeniówki już by się do nas odezwali, nie?

Winter wzruszył ramionami. Nie lubił się wtrącać. Zazwyczaj tak nie robił. Ale tym razem to było silniejsze od niego, jakby miał tik. Może to choroba, której nabawił się po zbyt wielu zbrodniach, nad którymi musiał pracować.

Halders wypił ostatni łyk kawy. Jemu chyba też nie smakowała. Następnym razem zabiorę go do Ahlströms, pomyślał Winter. Na przykład jutro.

– Ale chciałeś czegoś ode mnie, Fredrik.

Halders skinął głową i odstawił kubek. Takie same kubki mają w szpitalach, pomyślał Winter. Identyczny model. Pewnie produkują je w jednym miejscu i rozsyłają do różnych instytucji w kraju. Może nawet na całym świecie. Bo podobne mieli w szpitalu na Costa del Sol. Miałem taki w ręku, kiedy tata umierał. Może to nie tylko kawa wywołuje choroby i depresje, może te kubki też.

– Odchodzę – powiedział Halders.

– Odchodzisz? Skąd?

– Nie udawaj głupka.

– Nigdy nie udaję. Albo się jest głupim, albo nie. I nic się z tym nie robi.

– Czyli że głupota jest wrodzona? Że człowiek rodzi się idiotą?

– Tak. To tak jak z talentem, tylko na odwrót.

– No to ja już nie mam do tego talentu.

– Nie gadaj bzdur, Fredrik.

– To tak jak z pićciem – ciągnął Halders, jakby nie słyszał, co powiedział Winter. – Nie mam już talentu do picia. Nie daję już rady.

– Ja też nie.

– Ty dopiero zacząłeś, do cholery.

Winter się uśmiechnął.

– I teraz czuję się lepiej.

Halders też się uśmiechnął.

– Zapytałem kiedyś kumpla, dlaczego tyle pije. Bo jestem zdolowany, odparł. A dlaczego jesteś zdolowany? – zapytałem. Bo tyle piję, powiedział.

– No i zaczęły się egzystencjalne rozterki.

– Właśnie o to chodzi – powiedział Halders. – Chcę żyć inaczej.

– Jak?

– Nie wiem. Jeśli chodzi o egzystencjalne rozterki, to dobrym punktem wyjścia jest nieplanowanie niczego.

– Ale ty już masz plan: chcesz odejść.

– To mój jedyny plan.

– Chcesz nas zostawić.

– Niestety.

– Tak się nie robi na wojnie. To wbrew regułom. Formalnie rzecz biorąc, jestem twoim szefem. I, o ile kojarzę, nie pozwoliłem ci nas zostawić. Tu jest twój dom.

– W Birnie podczas drugiej wojny światowej angielscy żołnierze mogli wrócić do domu, jeśli odsłużyli cztery lata z rządu – odparł Halders. – Ja odsłużyłem na naszej cholernej wojnie dwadzieścia pięć.

– Ale ona się jeszcze nie skończyła.

– Nigdy się nie skończy, przecież wiesz.

– To dlatego chcesz odejść?

– Nie.

– A dlaczego?

Halders nie odpowiedział, wyjrzał przez okno. Winter popatrzył w tę samą stronę. Na okrutne miasto i niebieskie niebo, które sprawiało coraz groźniejsze wrażenie. Zawsze niebieskie, bezchmurne, co noc rozgwieżdżone. Coś strasznego stało się z niebem. Może to też przez tę wojnę.

– I co zrobisz?

– Złożę rezygnację na piśmie.

– Nie o to mi chodziło.

– Potem? Mówiłem ci, że nie mam żadnych planów.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie.

– A powinienem był coś zrobić wcześniej?

– Hm... od czego by tu zacząć... – Halders się uśmiechnął.

– Może od naszego pierwszego spotkania.

– Już wtedy mogłem zakończyć twoją karierę.

– Albo ja twoją.

– To ja mogłem zostać najmłodszym komisarzem – ciągnął Halders. – I zrobić jako taką karierę.

– Przecież zostaniesz komisarzem na wiosnę.

– Za późno.

– Nigdy nie jest za późno – odparł Winter z bladym uśmiechem.

– Jak masz wygadywać takie banały, to się lepiej zamknij. Nie mam zamiaru zostać najstarszym komisarzem w kraju.

– Są starsi od ciebie.

– Ale mianowali ich, kiedy byli młodszy. Wiesz przecież, o co mi chodzi. Znów udajesz głupka.

– Nie chcę, żebyś odchodził. Bez ciebie nie pociągniemy.

– Dobrze sobie.

– Pogadajmy jeszcze o tym.

– Przecież gadamy.

– Ale potem.

Halders pokręcił głową.

– Nie składaj jeszcze wniosku. Możesz jeszcze trochę

zaczekać? Tydzień?

– Dlaczego?

Winter nie odpowiedział.

– Na co mam czekać? Na lepsze czasy?

– Tak.

– Nigdy nie przyjdą.

– Już przyszły.

– Chcę się zająć czymś innym, zanim będzie za późno. To już potrafię. O śmierci wiem już wszystko.

– Właśnie dlatego cię potrzebujemy.

– Jacy my?

– My wszyscy, którzy walczymy.

– Walczymy? Z czym? Ze śmiercią? To nie ma sensu.

– A co na to Aneta?

– Jej do tego nie mieszaj. To nie fair.

– A widzisz. Przed niczym się nie cofnę.

– No tak.

– Następny krok będzie taki, że zapytam ją osobiście.

– Naprawdę nie przebierasz w środkach.

– Wiadoma sprawa.

– Dobra. Tydzień.

Sverker Edlund odebrał po pierwszym sygnale. Miał trochę czasu, a Winter zaproponował, żeby poszli na spacer. Edlund stęsknił się już za światłem słońca.

– Teraz potrzeba nam tylko więcej śniegu – powiedział, kiedy szli Skånegatan i mijali stadion Ullevi. – Jak spadnie, będzie idealnie.

– Dla mnie to podejrzane – powiedział Winter. – Coś tu nie gra. Tyle słońca. I niebo jest zbyt niebieskie.

– Gadasz jak rolnik. Oni nigdy nie są zadowoleni z pogody. Dla nich niebo zawsze jest zbyt niebieskie albo zbyt szare.

Skręcili w prawo. Winter czuł, jak świeże powietrze ciśnie mu się do nosa. Było podejrzanie rześkie. W Göteborgu powietrze powinno być ostre i wilgotne, zawsze takie było. A to, które czuł teraz, było prawdziwym afrontem dla wszystkich sanatoriów w Smålandii, przyjmujących setki mieszkańców Göteborga cierpiących na choroby płuc. Czyżby ich istnienie straciło sens?

– A jeśli chodzi o tych facetów – powiedział Edlund, nie zwalniając – nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że widzę alternatywny scenariusz.

– Dobrze czy źle dla kogo?

– Dla nich. Dla podejrzanych.

– Hm...

– Z jednej strony wszystkie te podobieństwa są zbyt duże, żeby to mógł być przypadek. Ale z drugiej – nie mógł tego zrobić nikt inny. Tak my to widzimy, to znaczy ja i Bent.

– O ile oczywiście zgon nie nastąpił z przyczyn naturalnych.

– Więc mamy i trzecią możliwość. – Edlund się uśmiechnął.

– Ale tego akurat jesteśmy pewni: te kobiety uduszono. Prawdopodobnie poduszką. Nie wiemy na sto procent, ale pewnie już o tym gadałeś z Öbergiem. I z Pią. Nie znalazła żadnej innej przyczyny nagłego zatrzymania oddechu. No i te punktowe krwawienia. Ale wiadomo, Pia też nie może być pewna na stówę.

– Jak na razie nikt nie wziął się poważnie do badania innych tropów.

– No nie.

– Więc czekasz tylko na przyznanie się do winy.

– Tak. I dziwię się, że jeszcze się nie przyznali. Zwłaszcza Barkner.

– Dlaczego akurat on?

– Bo on wyraźniej niż ten drugi sprawia wrażenie, że żałuje.

Winter pokiwał głową. Sverker miał doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań. Widział już i słyszał prawie wszystko. Wiedział, co ludzie myślą, kiedy z nim rozmawiają. Czasami takie zdolności mogą się przerodzić w telepatię.

– No więc czemu się nie przyznaje? – zapytał Winter.

– Najprostsza odpowiedź jest taka: dlatego że nie ma się do czego przyznać. Ale według mnie to nie jest takie proste.

– A ten drugi?

– Lentner? Tak na marginesie, to twój imiennik. Erik. To twardszy orzech do zgryzienia. Typ aroganta, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Chodzi ci o to, że nigdy się nie przyzna?

– Tak.

– Czasami tacy łamią się pierwsi.

– Ale nie on. Czuję to. Jest raczej wkurzony, nie zdezorientowany. Nie przyzna się.

– Może tego nie zrobił. Może on też nie.

Edlund nie odpowiedział. Zawrócili i ruszyli w stronę górującej nad Skånegatan komendy. Była jedynym brzydkim elementem rozciągającego się wokół pięknego krajobrazu. Co strzeliło do głowy architektowi, kiedy projektował gmach? Czy w ogóle projektował go architekt? Może po prostu jakiś policjant nabazgrał kilka kresek na odwrocie protokołu z przesłuchania. To przez ten budynek Halders chce odejść, pomyślał Winter. Ma go dość. Jak my wszyscy. Powinniśmy go wysadzić w powietrze. Tylko nikt nie ma odwagi. Gdybyśmy sami tego dokonali, byłby to czyn aż nadto symboliczny.

– Chcesz sam z nimi pogadać? – zapytał Edlund.

Nie wiedział, czy chce. Nie był nawet pewien, po co miałby się z nimi spotkać. Rozmyślał o tym, wchodząc na górę w domu przy Chalmersgatan. Madeleine Holst i Martin Barkner. Madeleine i Martin, pomyślał. Tak mówili o nich znajomi. Ale już nie mówią. Ona była jakimś doradcą, on pracował w banku. Przez lata pracy Winter spotykał różnych ludzi związanych z bankowością. Do tej klasy zaliczał też bankowych złodziei.

Na klatce wiało. Poczul na karku zimny podmuch. W środku było chłodniej niż na dworze. Światło na klatce było do niczego. Pomyślał o Gerdzie Hoffner. Wyobraził sobie, jak szła wtedy wtedy, wcześniej rano, na pierwsze w karierze spotkanie ze śmiercią. Prawdziwy debiut. Szła wolno, stopień za stopniem. On też to kiedyś przeżył. Rozmawiał z nią jeszcze raz. Była szczerze zdziwiona, kiedy do niej zadzwonił. Zastanawiał się nawet, czyby jej nie wziąć ze sobą, ale żeby cokolwiek zauważyć, musiał być sam. Zawsze tak jest. Człowiek musi być sam, żeby naprawdę coś dostrzec i żeby móc jednocześnie patrzeć i myśleć. A on właśnie zobaczył. Nagle znalazł się w przedpokoju, jakby nie zauważył, jak wszedł do środka. Nie był tym jednak zaskoczony. W takich sytuacjach ciało porusza się automatycznie. Zrobił kilka kroków w głąb mieszkania, w

stronę światła, które dochodziło z jednego z pokoiów. W stronę wewnętrznego dziedzińca kamienicy. Rozpoznał ten widok. To była jego okolica. Dom stał rzut beretem od komendy i od Vasaplatsen, a do tego mieszkanie przypominało jego własne. Więc przypominało mu o ostatnich piętnastu latach jego życia. Nie pamiętał już dokładnie, kiedy i dlaczego przeprowadził się do apartamentu przy Vasaplatsen. Chyba miał napad manii wielkości. Chyba kupił to mieszkanie na przyszłość, choć wtedy jeszcze myślał o przyszłości równie mało jak teraz o przeszłości. Wtedy liczyło się dla niego tylko cholerne TERAZ. Dziś tego żałował. Ci, którzy mówią, że trzeba żyć chwilą, mylą się.

Wszedł do kuchni. Na blacie stała butelka wina i kieliszek. Nie trafiły do laboratorium Öberga. Kiedy byli tu technicy, nie wydawało się to konieczne, ale kto wie. Właśnie dlatego tu jestem, pomyślał. Może będzie i druga runda. W kiepskim świetle butelka wyglądała zwyczajnie. Nie zapalił lampy, ale widział, że to wzmocnione wino. Amontillado. Nie dotykał butelki. Spojrzał na etykietę, ale nie rozpoznał marki. W Szwecji nie pijał sherry, ale w Hiszpanii owszem, bo świetnie nadawało się do tapas. Lubił amontillado z tym jego posmakiem orzechów i lekką goryczką, ale prostszy aromat fino pasował do tapas lepiej. Kieliszek stojący obok butelki był zwykłym kieliszkiem do białego wina. Wyglądał na nietknięty. Butelka była otwarta, ale pełna. Wino wypełniało ją aż do połowy szyjki. Kieliszek amontillado. Ale nikt go nie napełnił. Mimo wszystko butelka i kieliszek tworzyły całość. Stały zbyt blisko siebie, żeby mogło być inaczej. Ale dlaczego tylko jeden kieliszek? I to, jeśli chodzi o ścisłość, niewłaściwy do tego rodzaju alkoholu? Nie mieli w domu kieliszków do sherry? Kto miał pić? I dlaczego?

Zadzwoiła jego komórka.

– Tak?

– Tu Bertil. Gdzie jesteś?

– Na Chalmersgatan.

– I co tam?

– W kuchni stoi butelka amontillado.

– A co to? Takie mocniejsze wino, tak?

- Gatunek sherry.
 - A to nie jest trunek dla starszych pań?
 - Pierwsze słyszę.
 - To lepiej posłuchaj tego: mamy świadka. Mówi, że widział mężczyznę biegnącego przez skały tego dnia, kiedy zaginął Anders Dahlquist.
 - Tego samego dnia? Jest pewien?
 - Tak. Mówi, że miał wtedy urodziny i po południu wybrał się na spacer. I zobaczył jakiegoś faceta biegnącego po skałach. To mógł być Dahlquist, ale świadek nie widział twarzy.
 - Skąd go wzięliście?
 - Prowadziliśmy przesłuchania w okolicy. Oczywiście za pierwszym razem nie było go w domu.
 - Dobra, co jeszcze mówi?
 - Nic, ale godzina zgadza się z tym, co mówił kolega Dahlquista. Ten alkoholik.
 - Możliwe.
 - Więc może to Dahlquista widział ten facet.
- Winter nie odpowiedział. Popatrzył jeszcze raz na butelkę wina. Dziwnie wyglądała na tym blacie, jakby do niego nie pasowała. Zapyta o nią Martina Barknera.
- Nagle zaczął myśleć o Barknerze jako o kimś, komu udało się przeżyć.

PRZESZEDŁ DO SYPIALNI. Przed nim stało łóżko. Wyglądało na stare i nowe zarazem. Taki chyba był zamysł. Nowoczesny design. Odkąd mieszkanie opuścili technicy, nic się w nim nie zmieniło. Winter jeszcze nigdy nie był na miejscu zbrodni tak długo po zabójstwie. Może nie miał czego szukać. Podeszedł do łóżka i stanął z prawej strony. Poduszka wyglądała niewinnie. Na nocnej szafce leżały równiutko ułożone książki. Po drugiej stronie łóżka też. Przejrzał tytuły.

Obraz na ścianie przy łóżku wisiał idealnie równo. Podeszedł bliżej. W promieniach światła wpadających przez okno widać było drobiny kurzu.

Rozejrzał się i zrozumiał, co Gerda miała na myśli, mówiąc o książkach i obrazie. Cała reszta nie była taka poukładana. Wyglądała, jakby wciąż żyła, podczas gdy te kąty proste były martwe. Winter stanął na środku pokoju i zamknął oczy. Próbował z o b a c z y ć. Dostrzec mimo ciemności. Jest noc, wczesny ranek. W łóżku widać zarys dwóch ciał. Nic się wokół nie rusza, aż nagle coś się przesuwa. W pokoju jest jeszcze jedna postać. Zbliży się do szerokiego łóżka. Coś przy nim robi, ale nie widzi co. Stoi bez ruchu, z zamkniętymi oczami, inaczej nic by nie widział. Postać coś robi przy łóżku. Zobaczył, że podnosi poduszkę. Spokojnie i powoli.

Stał przed mieszkaniem drugiej ofiary, przy Götabergsgatan. Mieszkaniem ofiarnym. Tym razem nie był sam. Obok stała Gerda Hoffner. Zaskoczył ją jego telefon. Sam był zaskoczony. Ale może skłoniło go do tego coś, co zobaczył w pierwszym mieszkaniu. Może ta postać. Co czworo zamkniętych oczu, to nie dwoje. Weszli po schodach. Widział, że Gerda się denerwuje. Ale młodo wygląda, pomyślał. Wszyscy młodszy wyglądają, jakby byli dużo młodszy od niego. Mogą mieć trzydzieści albo osiemnaście lat. Równie dobrze. A przecież on był kiedyś na jej miejscu, też wyglądał na dzieciaka. I wcale za tym nie tęsknił. Bo kiedy jest się w tym wieku, wszystko jest

takie pogmatwane. Tyle rzeczy się nie rozumie, zwłaszcza w tej cholernej robocie. Tyle czasu potrzeba, żeby przemyśleć, przez co właśnie się przeszło, a potem jeszcze to zrozumieć. A to trudne zadanie. Przez to omal nie rzucił tej roboty. Potem zajął się śledztwami i rozumiał, że nic nie jest proste. Czasami można było coś zrozumieć, ale bywało, że przez to człowiek czuł się jeszcze gorzej. Najlepiej było w ogóle nie próbować. Dziewczyna, która teraz szła obok, z bladą twarzą rozświetloną słabym światłem, myślała, myślała, aż w końcu przyszła do niego. Jeszcze nic z tego nie rozumiała, on zresztą też nie. Sam nie wiedział, dlaczego wchodzi po tych schodach. Może chce zrozumieć. Może to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy chce. Na klatce czuć było zimny podmuch. Jakby coś zwiastował. Coś strasznego. Czasami to czuł, naprawdę albo w wyobraźni. Tak było i teraz. Stało się tu coś okropnego – i znów się stanie. Przeszłość i przyszłość. A co miała dla nich terażniejszość? Trzymaj się, Winter. To będzie straszna sprawa.

– Mieszkanie ofiarne? – zapytała, kiedy jeszcze stali przed domem. – Tak je nazywacie?

– Jeden z moich kolegów tak mówi – odpowiedział Winter. – Nie wiem, czemu go zacytowałem.

– To się chyba nazywa wisielczy humor.

– Pewnie tak. Choć ściślej mówiąc, o wisielczym humorze można mówić wtedy, kiedy ktoś sili się na zabawne opowieści, podczas gdy kat zakłada mu pętlę na szyję.

– To nie w moim stylu – odparła Gerda.

– Zazwyczaj to nic śmiesznego. Dla nas to chyba próba poradzenia sobie z tym wszystkim, co nas spotyka w pracy. Taki wentyl, że tak powiem.

Pokiwała głową.

– Wiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak. Niektórzy żartują, inni siedzą cicho, jeszcze inni idą pić do pubu.

– A ty co robisz? – zapytał.

– Dzwonię do pana – odparła z uśmiechem. – Na razie niewiele przeżyłam. Ta historia jest do tej pory najgorsza.

Stali już przed drzwiami. Gdzieś nad nimi zgasła lampa. Trochę słonecznego światła wpadało przez małe okienko na półpiętrze. Promienie bieging równolegle do ściany i omiały drzwi, przed którymi stali. Chociaż nie, raczej przebijały te drzwi na wylot, wpadały do mieszkania. Wyglądało to na jakiś znak. Na kolejną zapowiedź.

– Kiedy przyjechaliście, drzwi były otwarte? – zapytał Winter.

– Tak, najwidoczniej je otworzył.

– Erik Lentner?

– No tak, ten facet z mieszkania.

– Jesteś pewna?

– Ale czego?

– Że wam otworzył?

– Nie. Mój kolega słyszał, jak Lentner to powiedział. Ale ja nic takiego nie słyszałam.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Mnie też wydaje się to dziwne. Powinam była słyszeć. Ale patrzyłam na nią. Na tę martwą kobietę. Chciałam sprawdzić, czy naprawdę nie żyje. Nie wiem.

Winter pokiwał głową.

– Ale drzwi były otwarte. Nie tylko zamek był otwarty. W ogóle były uchylone, kiedy tu dotarliśmy.

– No to ktoś musiał je otworzyć – powiedział Winter, spoglądając na drzwi. Promienie słońca wciąż wwiercały się w nie jak laser. Najwyższy czas wejść.

– Albo ich za sobą nie zamknął – odparła Gerda.

Winter spojrział na nią.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie ten chłopak? Lentner.

– Wyglądał na spokojnego, zważywszy na okoliczności.

– To znaczy?

– Sama się denerwowałam. W takiej sytuacji nie da się zachować absolutnego spokoju.

– Racja.

– Więc może to nie ja powinnam oceniać jego zachowanie. Po prostu nie był tak zszokowany, czy może raczej poruszony, jak bym sobie wyobrażała.

– Przecież sam zadzwonił na numer alarmowy. Ciekawe, jak wtedy mówił.

– A pytał ich pan?

– Tak, ale podobno mówił jak wszyscy inni. Był zdenerwowany, i tyle.

– No tak, kto by nie był.

– Czy coś zrobił, czy nie? To masz na myśli?

– Tak.

– Myślisz, że to nie on?

– Pyta pan mnie?

Popatrzył na nią. Wyglądała na zaskoczoną.

– No przecież nie te drzwi – odparł.

– Nie – odpowiedziała po chwili. – To ktoś inny.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ktoś inny. Ktoś, kto poukładał potem książki i wyprostował obrazy.

– Pedant?

– Tak, jakiś typ pedanta.

– A są różne typy?

– Tak, myślę, że są dwa: ci groźni i ci niegroźni.

– Faktycznie. Ci, którzy porządnie nakrywają do stołu, i ci, którzy wymierzają sprawiedliwość rodzinie za pomocą kuchennych narzędzi.

– A pan zna jakiegoś pedanta?

– Nie. Jeszcze żadnego nie spotkałem. Wchodzimy.

Sypialnia była kopią tej z pierwszego mieszkania. Teraz Winter zobaczył, że kolory nie są identyczne, ale były podobne. Jak cała reszta. Łóżka, pościel, podłoga, ściany, meble, ubrania na podłodze, szafki nocne. Widok z okna, łącznie z niebem. Książki. Obrazy. Teraz, kiedy już wiedział, wszystko wydawało się takie oczywiste. Kontrast rzucał się w oczy. Pedantycznie ułożone stopy. Idealnie wyprostowane obrazy. Kąty proste. Chodziło o kąty proste. Ale czemu ten ktoś tym się zadowolił? Czemu nie posprzątał wszędzie? Nie doprowadził do idealnego stanu wszystkiego? Czemu wystarczyły mu częściowe porządki? I czemu zabił tylko jedno z nich? Ta myśl przyszła mu do głowy dopiero teraz. Jedna z osób będących w tym pokoju musiała

umrzeć, jedna przeżyć. No proszę, już myślę, że zabójcą był ktoś inny, nie ci chłopcy. A więc był tutaj. Okazał się postacią prawdziwą. Był Bogiem. Decydował o życiu i śmierci. Winter przeszedł przez przedpokój do kuchni. Na blacie stały butelka wina i jeden kieliszek. Taki sam jak w mieszkaniu przy Chalmersgatan. Wino było inne, czerwone. Rioja, ale nie kojarzył marki. Co miesiąc pojawiają się nowe. Ta tutaj miała dziesięć lat. Butelka była otwarta, ale korek wetknięto z powrotem. Była pełna. Kieliszek – czysty. Winter popatrzył na półki nad blatem. Stały na nich różne kieliszki, w tym te do wina. Ale nie widział wśród nich zwykłych, tanich, jak ten na blacie. Wszystkie wyglądały na drogie. Sam miał w domu zarówno drogie, jak i tanie kieliszki. Drogie wino wolał serwować w tych tańszych. To się nazywa styl. Imponował każdemu, kto to rozumiał. I wcale nie chodziło o szerszy krąg, bo najczęściej towarzyszyły mu Angela, Elsa i Lilly. Ale one rozumiały.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się.

– Nie dziwią pana te butelki? – zapytała Gerda. – I kieliszki?

– Jeszcze nie wiem.

– A zapytali ich o to na przesłuchaniu?

– Nie sądzę.

– Dlaczego nie? Chyba powinni.

– Tylko jeśli to rzeczywiście ma jakieś znaczenie. A nikomu wcześniej nie przyszło to do głowy. Jeszcze do tego nie doszliśmy.

– A teraz? Już doszliśmy?

– Podejrzani mogą powiedzieć, że to ich wino i że chcieli je wypić. Nawet jeśli nie było ich, mogą powiedzieć, że było. Albo na przykład mogą przed nami ukryć, że był tu ktoś, kto postawił na blacie butelkę i kieliszek.

– A dlaczego ktoś miałby to robić?

– Z tego samego powodu, z jakiego posprzątał w sypialni.

– Ale czy to tutaj to też pedanteria? – Gerda popatrzyła na butelkę i kieliszek. – To tylko butelka i kieliszek.

Winter nie odpowiedział.

– I dlaczego kieliszek jest tylko jeden?

- Obu o to zapytam.
- Tak? Przesłucha ich pan?
- Tak.

Winter znów odwrócił się w stronę blatu.

- Może ktoś miał co świętować – powiedział.
- Świętować? Ale co?
- To, że wszystko poszło zgodnie z planem.
- Ale przecież nic nie wypił.

Mówię, jakby to był mężczyzna, pomyślała Gerda. A może chodzi o kobietę.

- Może to też jest częścią planu – odparł Winter.
- Jest? Powiedział pan jest.
- Naprawdę?
- Tak.
- No tak. Chodziło mi o to, że plan wciąż jest aktualny.
- Nie rozumiem.
- Że to się znów stanie.

Bent Mogens nie wyglądał na wściekłego czy choćby zaskoczonego. Po prostu uważnie słuchał, kiedy Winter opowiadał mu o swoich wizytach na miejscach zbrodni. Nie wspomniał o Gerdzie Hoffner, ale wiadomo było, że to ona za tym stoi. Nikt nie wymienił jej nazwiska, to mogłoby być krępujące dla wszystkich. Ale jeśli o to chodzi, Mogens nie przejmował się swoją pozycją. Winter przyglądał się jego pełnej spokoju twarzy. Ja pewnie wyglądałbym inaczej. Widać jeszcze nie całkiem straciłem zainteresowanie własną pozycją. Potrzeba na to jeszcze dziesięciu lat. To zupełnie jak z życiem. Jak już się człowiek nauczy żyć, jest po wszystkim. Definitywnie.

- Ja nadal uważam, że to oni – powiedział Bent Mogens.

Winter pokiwał głową. Mówiąc to, Mogens na pewno miał gdzieś własną pozycję. A on miał zaufanie do jego intuicji. Bo zawsze miał. W dziesięciu przypadkach na dziesięć to właśnie intuicja pomagała mu znaleźć ostatnie elementy układanki. Czy też zagadki.

- Ty ich nie przesłuchiwałaś – ciągnął Mogens.
- Nie.

– Jeśli prokurator się na to zgodzi, to ja nie mam nic przeciwko temu.

– A masz konkretny powód, żeby ich uważać za winnych?

– Jest jedna sprawa – odparł Mogens. – Wprawdzie to nie do końca odpowiedź na twoje pytanie, no ale... Nie wykluczam, że jeden z nich jest winny, a drugi nie.

– Wszystko jest możliwe.

– Ale to tylko taka myśl. To mało prawdopodobne.

– Jeszcze jedno: niech Öberg jeszcze raz przeszuka mieszkania – dodał Winter. – Pogadam z nim.

– Jak dotąd żaden się nie przyznał.

– Ale według ciebie się przyznają, tak?

– Nie to miałem na myśli. Możliwe, że nie. Ale ja uważam, że to zrobili. Obaj. To po prostu jakiś dziwny przypadek, że do zabójstw doszło niemal równocześnie, i to w dwóch podobnych do siebie mieszkaniach. Te wszystkie podobieństwa są przypadkowe. Mój Boże, przecież niedługo połowa miasta będzie mieszkać w centrum, a większość z nich to klasa średnia, około trzydziestki, bez dzieci i tak dalej. Wiesz, co mam na myśli. Przecież sam taki byłeś. Posłuchaj, kto inny mógł to zrobić? Jakim cudem inny zabójca mógłby tego dokonać, nie napotykać na, że tak powiem, żaden sprzeciw? Ją duszą, kiedy śpi, a on śpi sobie w najlepsze dalej.

Winter nie odpowiedział. Starał się spojrzeć na to z punktu widzenia Mogensa. Przed oczami miał nieruchomą scenę. Nic się w niej nie ruszało. Więc czekał. W końcu zauważył jakiś ruch. Sam nie wiedział, skąd się wziął. Może to kobieta albo mężczyzna leżący w łóżku. Może któreś przesunęło się na bok.

– Laboratorium wciąż nie przysłało wyników – powiedział Mogens. Jego głos docierał do Wintera jakby z oddali. – Ale może nie ma nic do znalezienia.

– Chloroform – odparł Winter.

– Sądzisz, że o tym nie pomyśleliśmy?

– Chloroform nie zostawia śladów. I żadnych objawów. Może można go dostać gdzieś w szpitalu albo w przychodni.

– No właśnie. Lentner jest lekarzem. Mógł go zdobyć.

– Ale ten drugi, Barkner, nie jest.

– Właśnie o tym mówiłem. Te dwie sprawy wcale nie muszą się ze sobą łączyć.

– To by było zbyt proste.

– Proste? Myślisz, że to jest proste?

– To trochę takie myślenie życzeniowe – uśmiechnął się Winter.

– Przejmujesz te sprawy?

– Najpierw muszę z nimi porozmawiać.

– Kiedy?

– Jutro rano.

Winter przejechał rowerem przez Heden. Wieczór był ładny i niezbyt zimny. Reflektory zainstalowane nad boiskiem oświetlały dobrych i złych graczy ostatnich meczów przed świętami. Oni też mieli swoją wydziałową drużynę, dopóki przez zachowanie Haldersa na boisku nie zostali wykluczeni z rozgrywek raz na zawsze. Winter dostał propozycję gry w drużynie wydziału interwencyjnego, ale słabo płacili i warunki były kiepskie.

Przed Saluhallen trwał jarmark świąteczny. Trudno się było wcisnąć do środka. Wybrał niewłaściwą porę. Poszedł do sklepu rybnego ulokowanego przed halą i wziął numerki do kolejki. Przed nim było tylko siedem osób. Zaczął się wpatrywać w skorupiaki. Małże, raki, krewetki. Wszystko wyglądało ładnie. W Nowy Rok miło byłoby zjeść raki z rusztu, na przykład zapieczone z ziołami, ale to taka banalna, tradycyjna potrawa. Homar tak samo. Czy naprawdę nie stać go na nic więcej? Może kielbaski rakowe z estragonem? Albo jeszcze coś innego. Turbot zapiekany w całości. Albo jakieś mięso. Antrykot cielęcy z masłem ziołowym, a może z sosem bearneseńskim. Proste, a pyszne. Elsa i Lilly też to lubiły. Jeszcze trochę i pewnie przejdą na wegetarianizm. Wystarczy tydzień w szkole i pierwsza wizyta w stołówce. Kiedy syn Haldersa wrócił do domu po pierwszym dniu w szkole, Halders zapytał go, jak mu smakowało szkolne jedzenie. Obrzydliwe jak zawsze, odparł Hannes.

Kupił filety z soli, koperek i cytrynę.

Ruszył na rowerze do domu, jechał przez rozświetlony

Göteborg. Chyba tylko niewidomy mógłby się nie zorientować, że nadchodzą święta. Światelka konkurowały z gwiazdami. Gwiazdy przegrywały w każdej rundzie tego starcia.

Na Vasabron omal się nie zderzył z dwoma facetami przebranymi za Mikołajów. W ostatniej chwili udało mu się złapać równowagę. Podparł się prawą nogą. Nie miał kasku. Co za głupota jeździć bez kasku, pomyślał. Kto jak kto, ale on powinien dawać dobry przykład. Za każdym razem, kiedy Per Åke albo ktoś inny z policji rowerowej go widział, spuszczał kciuk w dół i przesunął ręką po szyi. Mogło chodzić tylko o jedno: rób tak dalej, a zginiesz. I właśnie omal nie zginął. To się może powtórzyć jutro. Przed świętami w mieście jest pełno Mikołajów.

– No-jak-dziesz-do-lery – zaciągnął jeden z nich. Broda przesunęła mu się w bok.

– Na-rerze-można-się-zabić! – dodał drugi. Ten trzymał brodę w rękę. Zrobił krok w tył i czapka spadła mu z głowy. Potem zrobił krok w przód, próbując skupić wzrok na Winterze. Było w nim coś znajomego.

– No pszę – wybełkotał pijaczek i szeroko otworzył oczy. – To ty!

Widać i Winter jemu wydał się znajomy.

– To ty, kolego. Gliniarz! – dodał Mikołaj.

– Że co? Gdzie? – zapytał drugi i zaczął się rozglądać na boki. Połyskująca w świetle latarni czapka zakołysała mu się na głowie. – Przecież my nic nie zrobiliśmy. To on! – Wskazał palcem na Wintera.

– Tommy – powiedział Mikołaj. – To ja, Tommy. Tommy Näver! Co ty, nie poznajesz mnie?

– No tak – odparł Winter.

– Tommy hokeista.

– Tommy Mikołaj. – Winter wsiadł z powrotem na rower.

– A ty co? Dokąd jedziesz?

– Do domu, muszę zrobić obiad – odpowiedział Winter.

– Ale że kto to jest? – zapytał drugi Mikołaj. Był bardzo pijany, bardziej niż Tommy. – Co to za jeden?

– Mówię, że glina.

Winter chciał jak najszybciej odjechać.

– Ja widzę wszystko! – powiedział Tommy. – Mówiłem ci przecież, nie? Wszystko! Każdego rozpoznam. Ciebie też rozpoznałem, nie?

– Tak, rozpoznałeś.

– Każdego rozpoznam!

– A co tam u młodego? – zapytał Winter.

– Kogo?

– U twojego syna. Tego, co gra w hokeja. W porządku?

– A tak, w porządku.

– No to dobrze, że w porządku. Muszę jechać.

– A dlaczego nie miałyby być w porządku, co?

– Nie to miałem na myśli.

– Ale zapytałeś!

Tommy chwycił za kierownicę i zaczął ciągnąć.

– Puść – powiedział Winter.

– Nie podoba ci się, że sobie trochę popiłem z okazji świąt, co, glino? Że zrobiłem sobie trochę wolnego. Przecież gazety mogę sprzedawać cały rok! Ale tobie się to nie podoba, co? Znalazł się!

– Puść kierownicę.

– Puszczaj, do cholery! – wrzasnął drugi Mikołaj. – Przecież to glina.

Tommy trzymał dalej. Na jego twarzy malowały się sprzeczne uczucia. Między innymi smutek. Winter nie chciał go uderzyć. Nie chciał też osądzać. Nic o nim nie wiedział. Nie powinien był pytać o syna. W końcu Tommy puścił kierownicę. Odwrócił się. Winter odjechał przez park. Świąteczny urok prysł, zanim na dobre zapanował.

KIEDY DZIECI WRESZCIE POSZŁY SPAĆ, na chwilę dopadło go poczucie osamotnienia. Chociaż nie, to nie było osamotnienie, raczej żal. Nie był pewien, czym tak naprawdę jest żal, ale to chyba właśnie to uczucie. Uczucie bez brzegu. Bezbrzeżny żal. Człowiek nie ma jak się z niego wydostać. I musi tak tkwić, jak on teraz. W mieszkaniu było cicho. Żadnej muzyki, żadnych głosów. Angela usypiała Lilly. To znaczy leżała przy niej, dopóki mała nie zasnęła. On usypiał ją wczoraj. Za każdym razem, gdy próbował wstać, Lilly pytała go, gdzie pracuje. Może dziś Angeli pójdzie lepiej. Mała chyba już zasnęła. Angela pewnie też. Zdarzało jej się to. A on został sam na sam z żalem i szklaneczką whisky. Podniósł ją i przytrzymał pod światło. W pokoju paliła się tylko niezbyt mocna lampa podłogowa. Whisky miała jasny kolor. Te produkowane na południu Szkocji zazwyczaj taki miały. Posmakował. Czyżby poczuł pianki marshmallow? Chyba tak, opiekane marshmallow. Trochę słodki, trochę suchy posmak. A do tego kokos? Ale przecież palmy kokosowe nie rosną między Glasgow a Dumbarton, w okolicach Littlemill, najstarszej gorzelni w Szkocji.

Usłyszał jakiś odgłos. To Angela szła przez przedpokój do łazienki. Potem spuściła wodę. Oby tylko Lilly się od tego nie obudziła.

Angela weszła do pokoju.

– Zasnęłam – powiedziała.

– Hm...

– Chyba już pora iść do łóżka.

– Zaraz się rozbudzisz.

Spojrzała na butelkę whisky stojącą na stoliku.

– W takim razie potrzebuję tego.

Winter wstał i ze stojącej obok lampy serwantki wyciągnął szklanekę. Tumblera. Zrezygnował już z picia whisky w cieńszych szklankach do degustacji. Miał wrażenie, że to

niestosowne.

Postawił szklanę przed Angelą i nalał.

– Tylko pół centymetra – powiedziała.

Przestał lać.

Angela spróbowała i skrzywiła się. Przyzwyczał się już do tego. Odstawiła szklanę.

– Co powiesz na wspólną Wigilię? – zapytała.

– Wspólną? To znaczy z kim?

– Z całą naszą dużą rodziną.

– A nie mieliśmy iść do Lotty?

– Zawsze jesteśmy u niej. Czy w tym roku nie moglibyśmy zrobić świąt tutaj? Mam wrażenie, że od tak dawna tego nie robiliśmy. A teraz twoja mama też jest w Szwecji.

– Rozmawiałaś o tym z Lottą?

– Nie.

– Może będzie zawiedziona.

– Myślę, że dla niej to będzie raczej ulga. Dla mnie by była.

– Hm...

– Każdy może przynieść coś do jedzenia. Taka impreza składkowa.

– Nie, jeśli już zapraszamy, to przygotujemy wszystko.

– A zdążymy wszystko przygotować? Przecież święta już za tydzień.

– Sama to zaproponowałaś.

– No bo każdy może coś przynieść.

– Nie. Sami wszystko zrobimy.

Nie odezwała się już. Może zastanawiała się, jak o n zdąży. Ona by zdążyła, ale co on zdąży zrobić do jedzenia?

– Możemy sobie darować świąteczną szynkę – powiedziała. – I tak nikt jej nigdy nie je.

– No to spokojnie zdążymy.

– Śledzia też możemy odpuścić.

– O nie. Zrobię śledzie w zalewie. I zasmażane. A całą resztę robi się raz-dwa.

– Sałatkę z buraków i pokusę Jannsona⁵.

– Pokusę robi mama. Więc w pewnym sensie będzie to

⁵ Zapiekanka z ziemniaków, cebuli i szprotek ze śmietaną (przyp. tłum.).

impreza składkowa. I tak przyjdzie kilka godzin przed kolacją.

– A będziemy jeść przed czy po „Kaczorze Donaldzie”⁶?

– Po, wtedy dziewczynki będą spokojniejsze.

– Prezenty też po?

– Tak.

– No to postanowione.

– Jasne. Będzie miło, prawda?

– Zadzwońię do Lotty.

Winter pokiwał głową.

– Eriku, a kupisz choinkę?

Choinka. Nie lubił kupować choinki. Kiedy tak stał w jaskrawym świetle lamp na stoisku, nigdy nie umiał zdecydować, czy dana choinka jest ładna, czy brzydka. A starał się wybrać taką, która wytrzyma całe święta. Chociaż Elsa lubiła z nim chodzić. Więc nie mógł narzekać.

– A czy kiedyś nie kupiłem?

– W zeszłym roku w Marbelli.

– Staralem się.

– Ale ci się upiekło. Nie sprzedawali choinek na promenadzie.

Angela powąchała whisky, a potem odstawiła szklanę.

– Nie chcę już – powiedziała.

– A to ci niespodzianka.

– To najgorsza riposta na świecie. W każdym języku.

– Zgoda.

Angela wstała.

– Gdzie idziesz? – zapytał.

– Napiję się wody.

Wyszła z pokoju. Zza okien dobiegł terkot tramwaju. Przejechał, nie zatrzymując się na przystanku. Winter podszedł do drzwi balkonowych i otworzył je. Wyszedł na zewnątrz. Powietrze było łagodne, można było odnieść wrażenie, że pachnie wiosną. Albo jesienią. Ale nie zimą. A przecież już za tydzień święta. Cienka warstwa śniegu już stopniała. Na

⁶ W Szwecji tradycyjnie w święta Bożego Narodzenia w telewizji puszczany jest świąteczny zestaw kreskówek o Kaczorze Donaldzie (przyp. tłum.).

bezchmurnym niebie widać było gwiazdy. To rzadkość w Göteborgu. Zazwyczaj jest wilgotno, mgliście, wietrznie i pochmurno. To miasto może się poszczycić najgorszą zimową pogodą na świecie. No, może z wyjątkiem Bergen. Ale teraz było inaczej. Teraz powietrze było przejrzyste i ciepłe. Winter czuł się prawie jak w Marbelli. Jakby czekała ich Wigilia w domu mamy w Nueva Andalucia. Tam w Wigilię mogło być i dwadzieścia stopni. A na stole zamiast szynki mógł się pojawić nagład z rusztu. Ale tutaj też nie będą mieli szynki. Za plecami usłyszał Angelę. Odwrócił się. Usiadła na kanapie.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę chciała tam wrócić – powiedziała.

– Do Marbelli?

– Nie, na plażę. Na naszą działkę.

– Zabrzmiało to dramatycznie.

– Może dla ciebie. Ale to w końcu twoja praca, ty jesteś przyzwyczajony.

– Nieprawda. Do tego nie można się przyzwyczaić.

– A jednak to co innego. Ty tego nie zrozumiesz. Potrafisz zobaczyć zwłoki i jakoś się opanować. Opanować sytuację. Wiesz, jak to jest, bo przechodziłeś przez to już wiele razy. Ale dla mnie to co innego. Mimo że jestem lekarką. A tu martwy mężczyzna wypływa na naszej plaży. Naszej! Nie podoba mi się atmosfera po tym, co się stało. I nie wiem, jak będą reagować dziewczynki. Jaki to będzie miało na nie wpływ.

– Będzie dobrze.

– Tak? A rozmawiałeś z Elszą? O niczym innym nie mówi.

Przynajmniej kiedy jest ze mną.

Winter nie odpowiedział.

– Muszę to sobie przemyśleć – dodała.

– Ale co, kwestię naszej działki? Naszej plaży?

Przytaknęła.

– Szkoda byłoby ją stracić.

– Może już ją straciliśmy.

– Ale to się już nie powtórzy.

– To chyba nie ma teraz znaczenia.

– Myślę, że przesadzasz.

- Z czym?
- Z tym, że to miało na nas taki wpływ. Na ciebie, na mnie, na dziewczynki.
- Sama nie wiem.
- Niedługo możemy tam pojechać. Na przykład w Wigilię, napić się kawy na plaży. Jak dwa lata temu.
- Nie odpowiedziała.
- Dziewczynkom się spodoba.
- Mam nadzieję.
- Ale to nasza oaza, że tak powiem. Nasze własne miejsce na ziemi. – Uśmiechnął się. – I zawsze nim będzie.
- Nieważne, czy z domem, czy bez, tak?
- Otóż to.
- Może powinniśmy tam zbudować saunę albo coś takiego.
- Tak, saunę. Świetny pomysł.
- A na saunę trzeba mieć pozwolenie? Na budowę?
- Nie sądzę. Ale może. Sprawdzę. Sauna! Zbudujemy ją jak najszybciej. Taką na drewno. Wspaniale!
- Pewnie nic więcej tam już nie stanie.
- Może to wystarczy.
- Zawsze coś.
- Następnym razem, to znaczy w Wigilię, możemy wymierzyć krokami, gdzie ją postawimy.
- Skoro już tam będziemy, to może od razu wymierzmy miejsce na dom?
- A nie robiliśmy tego kiedyś?
- Nie pamiętasz?

Pamiętał. To było za dawnych, dobrych czasów, kiedy budowa domu wydawała się tylko kwestią czasu. A potem coś im kazało się wstrzymać. Jemu. Może właśnie to, co się teraz stało. A może dzięki temu wrócić tam na dobre.

Martin Barkner wyglądał jak czternastolatek. Choć w jego oczach nie było widać młodzieńczego blasku. Ani wiary w przyszłość. Ale nie było też w nich żadnych oznak zdenerwowania. I żadnego znaku zapytania. Jedyne, co go teraz zastanawiało, to dlaczego siedzi tam, gdzie siedzi, w policyjnym pokoju przesłuchań. Przynajmniej takie wrażenie

odnosił siedzący naprzeciwko Winter. Barkner wyglądał na zdezorientowanego. I to od chwili, kiedy go tam przywieziono i z automatu wsadzono do aresztu. Podejrzany, który aż się prosi o areszt. A jednak się nie przyznał.

– Ilu jeszcze będzie mnie przesłuchiwać? – zapytał. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Chciałbym, żeby mi pan opowiedział wszystko o tamtym dniu. O tamtym wieczorze – powiedział Winter.

– A kim pan jest?

– Przedstawiłem się już.

– Ale dlaczego zjawia się pan właśnie teraz?

– Jestem tu, żeby panu zadać kilka pytań.

– Kilka? Na Boga, jak długo jeszcze będziecie to ciągnąć? Nie zrobiłem tego, mówiłem już! Nie zabiłem Madeleine! Nawet gdybyście mnie torturowali, nie przyznam się, bo nie mam do czego. Nie mogę się przyznać! A pewnie niedługo zaczniecie mnie torturować. Właściwie już zaczęliście. – Barkner podniósł rękę, jakby chciał pokazać rany, oparzenia albo wyrwane paznokcie. – Bo to tortury. Wszystkie te pytania to tortury.

– Musimy je zadać – odparł Winter.

– Dlaczego?

– Dla pańskiego dobra.

– Co?

– To, że wciąż pytamy, działa na pańską korzyść. To dlatego tu jestem. Moglibyśmy skończyć z pytaniami, uznać pana za winnego i wyrzucić klucz od celi.

– Jak to?

– Więc proszę odpowiedzieć na pierwsze pytanie.

– Pierwsze pytanie? To znaczy?

– Zabił pan Madeleine?

– Nie! Nie! Nie!

– Dlaczego miałbym panu wierzyć?

– Bo to prawda!

Winter nie odpowiedział.

– Po co miałbym to robić, na Boga?

– Nie wiem.

– To niedorzeczne! Bez sensu. Nie miałem żadnego powodu,

żeby zabić Madeleine. Po co miałbym to robić? Przecież byliśmy ze sobą. Kochałem ją. Mieliśmy się pobrać.

– Pokłóciliście się?

– Jak to? Kiedy?

– Tego wieczoru, kiedy to się stało.

– Nie! Dlaczego mielibyśmy się kłócić?

– Czasami ludzie się kłócą.

– Ale my się nie kłóciliśmy.

– A co robiliście?

– Słucham?

– Co robiliście tego wieczoru? Powiedzmy od godziny szóstej.

– A szósta to już wieczór?

– W grudniu na pewno – odparł Winter. – O tej porze roku wieczór zaczyna się o wpół do czwartej.

– O wpół do czwartej byłem jeszcze w pracy.

– O tym, to znaczy o pracy, porozmawiamy później. Teraz niech pan zacznie od godziny szóstej.

Barkner milczał. Wyglądał, jakby się zastanawiał. Ale to, jak wyglądał, nie miało w tamtej chwili znaczenia. Bo przecież mógł myśleć o czymkolwiek, choćby o wczorajszej kolacji. Może był socjopata, ale nawet socjopaci pamiętają, co robili. Nie żałują, ale pamiętają.

– O szóstej byłem w domu sam – powiedział w końcu.

Winter pokiwał głową.

– I szkoda, że już na zawsze nie zostałem sam.

– Co pan ma na myśli?

– Żałuję, że nie zostałem sam, rozumie pan? Wolałbym, żeby ona wtedy nie wróciła do domu.

WINTER ZROBIŁ PRZERWĘ W PRZESŁUCHANIU. Porozmawiał ze Sverkerem Edlundem. Siedzieli w gabinecie, który w porównaniu z ciemnym pokojem przesłuchań wydawał się jasny i przestronny. Winter mógłby odsłonić okna w pokoju przesłuchań, ale nie chciał. Słońce wydawało mu się zbyt radosne i dobre. Pytał Barknera o wszystko, co się wydarzyło tego wieczoru. A nie było tego dużo. Ot, normalnie, zwykły wieczór. Mieli małą utarczkę, dyskutowali o tym, czy jechać do rodziców Madeleine, ale to przecież normalne, prawda? Barkner często używał tego słowa. Normalne. To był normalny wieczór. Zjedli coś, pozmywali, pooglądali telewizję. Poszli do łazienki, umyli się i tak dalej, potem trochę czytali, zgasili światło i zasnęli. Winter nie zapytał o amontillado. Jeszcze nie. Pytał za to o książki leżące na nocnej szafce. Od strony Martina było ich pięć, od strony Madeleine – sześć. Oczywiście Barkner nie pamiętał ile. Nie liczył ich. Bo kto robi coś takiego? Ale on i Madeleine lubili trzymać przy łóżku po kilka książek naraz. Nie pamiętał tytułów, po jakimś czasie zapominał o tych, które leżały na spodzie. Ale wiedział, co przeczytał ostatnio. Stiega Larssona. A wcześniej Katarinę Haller. Nie wiedział, co czytała Madeleine. Chyba też którąś część Larssona. Nie był pewny którą. Co zrobił, kiedy skończył czytać? Kiedy miał zamiar iść spać? Jak to? Nie rozumiał pytania. Winter wyjaśnił, o co mu chodzi. Aha, oczywiście odłożył książkę. Gdzie? Jak? Jak ją odłożył? A co to za pytanie? Jak odłożył książkę? Wciąż nie rozumiał. Winter wyjaśnił. Czy położył ją równo? Równo z innymi? Nie. Po prostu ją odłożył. Tak jakby skosem do innych. Czy potem o tym myślał? Potem, czyli kiedy? Kiedy się obudził? Kiedy Madeleine leżała obok? Czy wtedy myślał o książkach? Nie, z pewnością nie. To chyba ostatnia rzecz, o jakiej by pomyślał.

Winter odtwarzał w pamięci przesłuchanie i wpatrywał się w błękitne niebo za oknami Edlunda. Miał już dość tego błękitu,

tak jak ma się dość kiepskiego żartu opowiedzianego o jeden raz za dużo. Żartu nie na miejscu.

- Chłopak się czegoś boi – powiedział Winter.
- Co masz na myśli?
- Sam nie wiem.
- Może tego, co zrobił.
- Albo kogoś.
- To by znaczyło, że jednak wie więcej, niż nam mówi.
- Myślałeś o tym?
- Coś jest na rzeczy. Chyba coś ukrywa.

Winter pokiwał głową.

- Ale to nie znaczy, że się przyznaje – dodał Edlund.
- A co to może znaczyć?
- Może kogoś chroni? To nie jest wykluczone.
- Ale dlaczego?

Edlund nie odpowiedział. Wpatrywał się w jasność za oknem. Rzadko bywał za granicą, ale raz był na placówce ONZ na Cyprze. Spędził tam radosne święta. Służył w policji cywilnej w Larnace. Boże, ależ to była Wigilia. W pierwszy dzień świąt miał straszego kaca. Czuł się jak łoś, który się zakleszczył rogami z drugim łośiem. A na tym się nie skończyło.

Winter coś do niego powiedział, ale nie dosłyszał.

- Co mówisz?
- Załóżmy, że jest niewinny. Ale czy wie, kto to zrobił?
- Mało prawdopodobne. Dlaczego miałby chronić zabójcę żony?

– Chyba muszę go zapytać.

Drugą część przesłuchania zaczął od pokazania Barknerowi zdjęcia.

Barkner zbladł. I to jak. Już wcześniej był blady, teraz zrobił się kredowobiały.

– To pańskie książki – powiedział Winter.

Barkner nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia. Chciał, ale nie mógł. Wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować. Winter mimowolnie rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu wiadra. Ale w tym ponurym pomieszczeniu była tylko umywalka. No nic, w najgorszym razie zaprowadzi go do niej.

– To książki na pańskiej nocnej szafce – dodał Winter.

– Nie!

– Słucham?

Barkner popatrzył na Wintera. Był przerażony, jakby dopiero teraz przyszło mu się zmierzyć z prawdziwym strachem, większym niż ten, którego doświadczał dotychczas.

– Nie! – powtórzył.

– O co panu chodzi?

Barkner gwałtownie spuścił wzrok i spojrzął na zdjęcie.

– To nie moje! To nie ja!

– Jak to?

– To tak nie wyglądało. To nie moje!

– To pańskie książki.

– Nie!

– Tak. Na wierzchu leży Stieg Larsson. Sam pan mówił, że tego wieczoru czytał pan tę książkę.

– Ale nie tak! Nie w ten sposób!

– Jak to? Co pan ma na myśli?

– Nie tak odłożyłem tę książkę. Nie ułożyłem ich tak. Nigdy tak nie robię! Ja nigdy nie... – Nagle przerwał. Uciął w pół zdania, tak jak tnie się czymś ciężkim i ostrym.

– Co nigdy? – zapytał Winter.

Barkner milczał. Na czoło wystąpił mu pot. Na szyi miał czerwone plamy. Wyglądał, jakby lada moment miał zemdleć.

Winter położył przed nim kolejne zdjęcie. Teraz czuł się, jakby go naprawdę torturował. Chłopak ewidentnie przechodził katusze. Wpatrywał się w stos książek na szafce Madeleine. Taki banał. Ot, kilka książek, które u czytelnika mają wywołać radość, jakieś przemyślenia, żal. Mają do czegoś prowokować.

– Nie! Nie!

Barkner gwałtownie wstał. Wyglądał, jakby chciał się rzucić na najbliższą ścianę, od której dzieliło go ledwie kilka metrów.

– Niech pan to zabierze! – krzyczał. – Zabierzcie to!

Mimo to wciąż wpatrywał się w zdjęcia. Oba.

Rozpoznał ten widok, pomyślał Winter.

Nie własne książki. I nie same stopy. Nie, to nie o to chodzi.

Rozpoznał sposób ich ułożenia.

Winter widział strach w jego oczach.

Starał się obserwować, co się dzieje na twarzy Barknera i w jego głowie. W rozpalonym umyśle. I nagle Barkner runął na biurko. Nie rzucił się na ścianę, tylko położył się na zdjęciach.

Gerda Hoffner się bała. Strach dopadł ją nagle. Zaskoczył ją, kiedy szła Karl Johansgatan. Obróciła się. Z całą mocą czuła, że ktoś się jej przygląda. Śledzi jej kroki. Skąd to uczucie? Czy w szkole policyjnej uczyli ich, jak się zachować w takiej sytuacji? Nie. Uczyli, jak nie rzucać się w oczy w mundurze, ale to co innego. Nie rzucać się w oczy w mundurze – to jak oksymoron. Ale teraz nie musiała się tym przejmować, nie miała na sobie munduru.

Trochę dalej, pod sklepem monopolowym, pijaczki jak zwykle ucinają sobie pogawędkę. Gerda, jeśli miała wolne, czasami tamtędy spacerowała, ale tylko za dnia. Teraz było ciemno, a sklep wciąż był otwarty. W końcu w grudniu ciemności zapadają wcześniej. Z przejścia podziemnego wyszli mężczyzna i kobieta. Mężczyzna trzymał w ręku butelkę, którą kobieta próbowała mu odebrać. Oboje byli pijani. Rozpoznała ich. Zazwyczaj przesiadywali w parku przy północnym zejściu do podziemia. Wydzierali się i zataczali z innymi koleżkami. Przypominali nieszczęśników zostawionych na pustkowiu, gdzie wkrótce dopadnie ich śmierć głodowa. Jesienią Gerda widziała tę parę w monopolu przy Sannaplan. Byli trzeźwi i towarzyszyła im dziewczynka. Miała pięć, może sześć lat. Opowiadała wszystkim dookoła, że to jej mamusia i tatuś. Wszystkim ich pokazywała. To moja mamusia i mój tatuś! Była taka szczęśliwa, taka dumna.

Widać wtedy byli na przepustce z piekła. Może liczyli na to, że święta spędzą z córką. Rodzinne święta. Ale przepustka się skończyła. Święta za kilka dni, już było za późno. A mamusia i tatuś właśnie minęli Gerdę, zataczając się, jakby poniewierał nimi wiatr. Kobieta kolejny raz próbowała zdobyć butelkę. Mężczyzna wbił jej łokieć w bok, aż krzyknęła. Gerda nie mogła wymazać z pamięci obrazu tej dziewczynki. Mała miała warkocze, a pod rozpiętą kurtką ładną sukienkę. Do tego czerwona czapczkę. Sukienka z ochronki. Kurtka też. Choć

skąd mogę to wiedzieć. Ale wiem, że nie chcę już oglądać ich nieszczęścia. Jest tyle innych nieszczęść, ale tego nie chcę już widzieć.

Przeszła przez przejście podziemne. Ściany pokrywały grube warstwy gryzmołów. Śmierdziało sikami i odchodami. Pewnie eleganccy klienci znajdującej się tuż obok restauracji Sjömagasinet tędy nie chodzą. To jak dwa różne światy. Poszła dalej, w stronę wody. Zmierzchało już. Widać było tylko zarysy portowych żurawi. Ich szkielety. Niebo się zaczerwieniło. Mimo portowych oparów było czyste. Czuć było benzyną i ropą, ale i tak pachniało lepiej niż w przejściu. Przed restauracją stało kilka limuzyn. Wsiadły z nich elegancko ubrane pary. Pewnie wybrali się na późny lunch albo wczesny obiad. A może chcieli się tylko napić, ale na swój sposób. Może wcale nie piją mniej niż mamusia i tatuś spod monopolu, ale za to inaczej, przy stoliku. Słynny właściciel restauracji już czekał przed budynkiem, żeby powitać gości. Jakaś kobieta w płaszczu podszytym futrem zaniósła się głośnym śmiechem. Gerdzie wydał się bardzo fałszywy. Może to jacyś celebryci, pomyślała. Nie wiem już, kto jest kim. Może to gwiazdy telewizji.

Weszła na pomost. Na jednym ze starych żaglowców przycumowanych trochę dalej pracowało kilku mężczyzn. Łajby wyglądały jak wół umarłe, ale zawsze znalazł się ktoś, kto próbował przywrócić je do życia. Podziwiała takie hobby. Nawet je rozumiała. To miasto leży nad morzem, a jeśli się mieszka nad morzem, to trzeba pływać łodzią. Pomyślała o rodzicach. Wrócili do Niemiec. Na wschód kraju, daleko od morza. Ich też rozumiała. Dla nich to właśnie jest wolność. Nie potrzebowali morza. Prom Stena Line z Danii właśnie wpływał do kanału. Wyglądał jak pływająca forteca. Na górnym pokładzie stali ludzie. Wyglądali jak punkciki, jak mróweczki. Może do niej machali. Podniosła rękę i pomachała. Tak na wszelki wypadek. Potem się odwróciła. Ktoś stał dwadzieścia metrów dalej. Podniósł rękę. Znów popatrzyła na prom. Ludzie rzeczywiście machali. Odwróciła się, ale postać zniknęła. Niemożliwe. Ten ktoś musiałby wskoczyć do wody. Zamrugnęła oczami. Przestraszyła się. Była na pomoście sama. Od lądu

dzieliło ją sto metrów. Boże. Gerda, co z tobą? Zobaczyła martwe twarze kobiet. Kolejna tragedia, na którą nie chciała patrzeć. Widok przyszedł sam z siebie, nie mogła się przed nim obronić. Ruszyła z powrotem. Wokół nie było nikogo. Mężczyźni z żaglowca też już sobie poszli. Szła w stronę światła na drugim końcu pomostu. Restauracja była rozświetlona tak samo mocno jak prom, który właśnie sunął kanałem niczym „Titanic”. Jak to możliwe, że takie promy utrzymują się na wodzie? Tego też nas nie nauczyli w szkole policyjnej.

Martin Barkner już się uspokoił. Jego strach przed nieznanym chyba trochę osłabł. A może przed znanym. Strach przed znanym.

– Kto to zrobił? – zapytał Winter. – Kto zabił Madeleine?

Barkner spojrzał na niego. Wcześniej wpatrywał się w blat biurka. Winter podniósł zdjęcia.

– Kto to zrobił, panie Barkner?

– A już nie... nie myślicie, że to ja?

– A pan co myśli?

– Ja... nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– To pan to zrobił?

– Nie!

– To pan zabił Madeleine?

– Nie?

– Więc kto?

– Nie wiem!

– Kto to mógł zrobić?

– Nie wiem! – Barkner podniósł się, ale tylko trochę. Potem opadł z powrotem na krzesło. Znow się w sobie zapadł. – Dlaczego mi nie wierzycie?!

Winter nie odpowiedział. Barkner odwrócił wzrok. W ciągu ostatnich kilku minut w pokoju zrobiło się ciemniej. Widocznie na dworze szybko zapadał zmrok. Zbliżały się święta. Winter spróbował wyliczyć. To po-po-pojutrze.

– Kto mógłby źle życzyć Madeleine? – zapytał.

Barkner milczał. Bezsensowne pytanie.

– Ktoś musiał – dodał Winter.

– Ale nie ja.

– A kto?

– Nie wiem! Dlaczego bez przerwy pan o to pyta?

Winter nie odpowiedział.

– Będziecie to ciągnąć, dopóki się nie przyznam? O to wam chodzi?

– A chce się pan przyznać?

– Nie!

Winter odczekał chwilę, ale miała to być tylko krótka przerwa, minuta ciszy. Gdzieś za oknem ktoś odpalił samochód. Barkner też to słyszał. Dla niego ten odgłos symbolizował wolność. Normalne życie.

– Proszę opowiedzieć o swoich przyjaciółach, panie Barkner.

Wracając, Winter zapukał do Ringmara. Otworzył, nie czekając na odpowiedź.

Ringmar popatrzył na niego.

– *Wilkommen. Bienvenue. Welcome.*

– Dziękuję.

– Siadaj, bo się zmęczysz.

– Już jestem zmęczony.

– Komu ty to mówisz.

– Ty wyglądasz kwitnąco.

– Bo niedługo święta.

– Przecież dla ciebie to nigdy nie miało znaczenia.

– Że co proszę?

– Nic, nic. Chodziło mi tylko o to, że święta czy nie, ty zawsze wyglądasz kwitnąco.

– Całe życie to jedno wielkie święto.

– Wiem.

– Ale na te najbliższe święta czekam z niecierpliwością. Naprawdę. Zgromadzi się cała rodzina, ale chyba ci już o tym wspominałem.

– Nie wiem.

– Jutro Martin ma przylecieć z Malezji. A Moa skończyła już staż w Eksjö.

– Prawdziwie kosmopolityczna rodzina.

– I kto to mówi? A wasze Costa del Sol?

Winter skinął głową. Dopiero teraz zauważył, że Bertil zapalił

na biurku świeczkę. Postawił ją w popielnicze. Nigdy wcześniej tego nie robił. Widocznie naprawdę cieszy się na rodzinny zjazd. I pojednanie, bo był czas, kiedy wydawało się, że rozłam w rodzinie Ringmarów jest nieodwracalny. Winter pamiętał i takie święta, kiedy Bertil u niego nocował. Kiedy to było? Sześć, siedem lat temu. Bertil czuł się wtedy bardzo samotny. Był wręcz zdruzgotany. Winter też był wtedy sam, ale z wyboru. Angela i Elsa były w Hiszpanii, a on i jego ekipa szukali zabójcy. I małego chłopca. To były okropne święta. Nie zapomniał o nich. I nigdy nie zapomni. Co roku w grudniu przypominał sobie, co się wtedy działo. Ale cieszył się szczęściem Bertila. Bertil na to zasłużył.

– Przed chwilą rozmawiałem z innym Martinem. Z Barknerem – powiedział.

– I jak poszło? Przyzna się?

– Nie.

– A ty co o tym myślisz?

– O jego winie? Sam nie wiem. Czegoś tu nie rozumiem.

– Czego?

Winter nie odpowiedział. To nie było pytanie, Ringmar starał się po prostu pójść za jego tokiem myślenia.

– Coś ukrywa – powiedział Winter.

– Jeśli o to chodzi, to czasami przesadzamy. Wiesz przecież.

– No tak...

– Podejrzani wydają nam się bardziej tajemniczy, niż w rzeczywistości są. Widzimy powiązania, których nie ma. A zwykły zbieg okoliczności uznajemy za coś więcej, choć to tylko zbieg okoliczności.

– Nie wiem nawet, czy to jest sprawa dla nas – powiedział Winter. – No i nie gadałem jeszcze z tym drugim podejrzanym. Z Lentnerem. Erikiem Lentnerem.

– À propos powiązań. – Ringmar ruchem głowy wskazał na biurko. Leżały na nim papiery.

Świeczki Winter nie zauważył od razu, papiery tak. Obok leżały zdjęcia. Płomień odbijał się na nich refleksami. Winter zobaczył twarz. Potem kolejną.

– Przejrzałem to, co zebraliśmy do tej pory – powiedział

Ringmar. – To oczywiste, że jest w tym coś dziwnego.

Winter przytaknął.

– Kiedy ludzie Öberga skończą badać mieszkania?

– Już prawie skończyli.

Ringmar jeszcze raz wskazał na papiery.

– Mogens i Edlund pytali tych facetów, czy się znają, ale oczywiście nie.

– Nie, tak przynajmniej twierdzą.

– A ty co o tym myślisz?

– Nie mam pojęcia. Najpierw muszę pogadać z Lentnerem. A potem jeszcze raz z Barknerem.

– Costa del Sol. To ich łączy.

– Aha.

– Ciekawe.

– Tylko jeśli się nie wie, że pół Göteborga ma domy na południu Hiszpanii.

– Ja nigdy tam nie byłem.

– To o wiele większy teren, niż ci się wydaje.

– Ale czy wszyscy nie należą do jednej szwedzkiej parafii? Gdzieś o tym słyszałem.

– Na pewno słyszałeś, bo to ja ci o tym mówiłem. Braliśmy z Anglą ślub w kościele parafialnym we Fuengirolí.

– Teraz sobie przypominam.

– Owszem, parafia jest, ale nie wszyscy do niej należą.

– A więc wszystkich Szwedów mieszkających na Costa del Sol nie można uznać za jedną wielką szczęśliwą rodzinę?

– Szczęśliwą czy nie, na pewno nie za rodzinę.

Ringmar kartkował papiery. Płomień świeczki zakołysał się od przeciągu, ale nie zgasł.

– A ci tutaj... Ta para, Martin Barkner i Madeleine Holst. Rodzice obojga mieli domy w Nueva Andalucía. – Ringmar popatrzył na Wintera. – To nie tam, gdzie twoi rodzice?

– Tak, mama wciąż ma ten dom. W Szwecji jest tylko czasowo.

– Naprawdę?

– Tak.

– A czy to przypadkiem nie jest myślenie życzeniowe?

– Nie.

– To w porządku. Ale i jedni, i drudzy mieli tam dom. A Martin i Madeleine pewnie znali się już wcześniej, kiedy byli młodszy. To znaczy zanim zostali parą. – Ringmar podniósł kolejną kartkę. – A ci drudzy... Gloria Carlix, ofiara, i jej mąż, Lentner. Ich rodzice też mieli tam domy. Rodzice Glorii sprzedali swój kilka lat temu, ale Lentnerowie wciąż go mają. Dom albo mieszkanie. Chociaż nie w Nueva Andalucía. Niech sprawdzę, to jakaś inna miejscowość.

Winter wstał.

– Muszę już iść – powiedział.

Ringmar podniósł wzrok znad dokumentów.

– No dobra.

Winter wyszedł. Wątek hiszpański jakoś dziwnie go zaniepokoił. Jakby to było coś niestosownego. Chyba chciał zachować Costa del Sol tylko dla siebie. To tam uciekał, gdy potrzebował odskoczni. Marbella była jego oazą. Chronionym terenem jego i jego rodziny. Nie mogła mieć związku z zabójstwami. To tylko zbieg okoliczności.

WINTER ZOBACZYŁ ERIKA LENTNERA po raz pierwszy. Uderzyło go, że wygląda tak młodo. Jakby jego wizyta przywróciła Lentnerowi wygląd sprzed całej tej historii. Wygląd młodego człowieka, który wszystko ma przed sobą. Młode, niewinne życie. Winter widział przecież, jak niewinnie wygląda. Widział też, że jest zagubiony, ale i spokojny. Bił od niego spokój, nawet teraz, kiedy stał przed nim ktoś obcy. Przez to Winter poczuł się nieswojo, jakby robił coś niewłaściwego.

– Rozumiem, że znaliście się z Glorią od dziecka – powiedział.

Lentner aż podskoczył na krześle. Cały jego spokój jakby opadł na podłogę.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Znaliście się?

– Tak, ale...

– Kiedy się poznaliście?

– Nie wiem. Może ze dwadzieścia lat temu. Jakoś tak. Może trochę mniej.

– Gdzie?

– Słucham?

– Gdzie się spotkaliście?

– A co to za różnica?

– Proszę odpowiadać na pytania.

– W Hiszpanii. W Marbelli. To na Costa del Sol.

Winter skinął głową.

– Zna pan Marbellę?

– Tak.

– Skąd?

– Moja matka ma tam dom. – Teraz to on zaczął odpowiadać na pytania, ale to nie szkodzi. – Niedaleko miasta, nad Puerto Banús. W Nueva Andalucía.

– Tak, wiem, gdzie to jest. To takie małe szwedzkie getto.

Winter skinął głową kolejny raz.

– Ale tak samo jest na całym wybrzeżu – ciągnął Lentner.

– Pańscy rodzice dość wcześnie kupili tam dom. Rodzice Glorii też.

– Właściwie to nie był dom, mieliśmy mieszkanie w mieście.

– Lentner mówił cicho. Nie patrzył na Wintera. Jakby przed oczami miał miejsca, o których opowiadał, jakby patrzył na niewidoczny dla innych ekran. Znow ogarnął go spokój. Powiedział mieliśmy, jakby to był zamknięty rozdział. A przecież jego rodzice wciąż mieli to mieszkanie. – W samym centrum Marbelli. – Popatrzył na Wintera.

– Gdzie?

– W samym centrum, mówię przecież.

Nie rozumiał, dlaczego Winter go o to pyta. Winter sam nie był pewien. Ale coś mu podpowiadało, że to może mieć znaczenie. To nie była czysta ciekawość. Nie był ciekawski. Dla tej cechy nie było tu miejsca, mogła zwieść na manowce.

– Przy jakiej ulicy?

– To taka krótka uliczka, nazywa się Aduar, Calle Aduar. Niedaleko starówki.

– Wiem, gdzie to jest – odparł Winter. – Zaczyna się przy niewielkim skwerze. Przy Puente de Ronda.

– Nieźle zna pan miasto.

– Mieszkaliśmy tam zeszłej zimy. Wynajmowaliśmy mieszkanie niedaleko Aduar. Przy San Francisco.

Lentner pokiwał głową, jakby to wszystko wyjaśniało. On też nie wyglądał na ciekawskiego. Nie zapytał, co tam robili ani kto był z Winterem. Bo przecież równie dobrze mogło chodzić o cały wydział zabójstw. Nie zapytał, dlaczego tam byli. Winter nie wspomniał, że jego żona też jest lekarką. Wiedział, że Lentner robi specjalizację w szpitalu Östra. Na ortopedii. Winter widział, jak Lentner splata ciasno palce, potem je rozluźnia, potem znow zaciska. Chyba wszystkie były sprawne.

– Ale rodzice Glorii wyprowadzili się z miasta – dodał Lentner.

– Oni też mieli mieszkanie?

– Tak, najpierw tak. – Lentner spojrział na Wintera. Wciąż wyglądał na spokojnego. Rozmowa o Costa del Sol dobrze mu

robiła. Dla niego to było jak inny, dawny świat. Jasny, ale inny od tego błękitnojasnego świata z za okna. – Ale później się przeprowadzili. Kupili dom za miastem.

– Gdzie?

– Już go sprzedali. Wrócili do Szwecji na stałe.

– A gdzie mieli dom?

– Jak się nazywała ta okolica... Los coś tam. Los... Molineros. Los Molineros. To niedaleko szpitala Costa del Sol. Wie pan, gdzie to jest?

– Tak, mój ojciec umarł w tym szpitalu.

Lentner pokiwał głową, jakby właśnie na taką wiadomość czekał.

– Ale sprzedali ten dom – powtórzył Lentner. Znów popatrzył na Wintera. Oderwał już wzrok od widoków południowego wybrzeża Hiszpanii i swojego dawnego życia. – Chciałbym wrócić do Marbelli. Kiedy tylko to się skończy, od razu tam pojedę. Gdybym mógł, pojechałbym tam na święta.

Winter milczał. Lentner wciąż się w niego wpatrywał. Spojrzenie miał trzeźwe. Zmęczone, ale trzeźwe. Jak u jeńców wojennych. Nie za dużo jedzenia, zero alkoholu i wzrok robi się zmęczony, ale trzeźwy.

– A kiedy to się skończy? – zapytał Lentner. – Jak długo możecie mnie trzymać w areszcie?

– Jak długo będzie trzeba – odparł Winter.

– Chcecie, żebym się przyznał, ale to jakaś paranoja. Ile razy mam powtarzać, że nic nie zrobiłem? Nic nie zrobiłem! Mówiłem to pana kolegom, teraz powtórzę to panu. A jeśli mi nie wierzycie, to chociaż zostawcie mnie w spokoju.

– Próbuje panu pomóc – powiedział Winter.

– A niby jak, do cholery?

– Próbuje się dowiedzieć, co się stało tamtej nocy.

– I myśli pan, że ja nie? Myśli pan, że nad czym się zastanawiam całe noce i dni? Leżąc w tej przeklętej celi? Najgorsze jest to, że... niczego się nie dowiem, dopóki tutaj jestem! Nie mogę chociażby wrócić do mieszkania. Gdybym mógł, to może... – Zamilkł.

– To może co? – zapytał Winter.

– Nic. Nieważne.

– Co jest nieważne?

Lentner nie odpowiedział.

– Co by pan zrobił, gdyby pan mógł wrócić do mieszkania? – powtórzył Winter.

– Ja... Ja też chcę się dowiedzieć, co się stało. Jak do tego doszło. Jak... Mój Boże...

– O co chodzi?

Lentner milczał. Jego twarz nagle nabrała innego wyrazu. Winter widział, że jak w krzywym zwierciadle odbija się w niej strach. Przed oczami miał teraz inne obrazy. Nie widział już światła, słońca, plaży, białych skał, barów, palm, linii horyzontu i morza.

– Chciałby pan tam pójść? – zapytał Winter.

– Co?

– Chciałby pan, żebyśmy tam poszli? Możemy.

– Nie rozumiem.

– Możemy tam iść. Pan i ja.

– A tak można? To nie będzie wkroczenie na miejsce zbrodni?

– Nie, nie taki był mój zamiar.

– A jaki?

– Chcę tam iść z panem, żebyśmy razem spróbowali coś dostrzec.

– Ale co?

– A jak pan myśli? Co moglibyśmy tam zobaczyć?

– Próbuje mnie pan podejść? Chce mnie pan oszukać?

Winter nie odpowiedział.

– Liczy pan na to, że się z czymś zdradzę? Myśli pan, że się przed panem zdradzę? O to panu chodzi? Całe to gadanie o Marbelli... i o tym, że mielibyśmy iść do domu. To jakieś chore! Czego pan właściwie chce?

– A pan nie chce tam iść?

– Ale po co?

– Chciałbym, żeby mi pan pokazał, co się stało.

– Ale ja nie wiem! Po prostu się obudziłem, a ona, Gloria, nie żyła! Cały czas wam to mówię.

- W takim razie w mieszkaniu musiał być ktoś inny.
- Przecież to też mówię.
- Dlaczego zostawił pan drzwi otwarte?
- Słucham?
- Kiedy przyjechali policjanci, drzwi mieszkania były otwarte.
- Ja ich nie otwierałem.
- Mówił pan, że pan otworzył.
- Nigdy tak nie mówiłem. Kto tak twierdzi? Dlaczego pan myśli, że ja...
- Chwileczkę – przerwał mu Winter. – Dzwonił pan na numer alarmowy?
- Co?
- Dzwonił pan na numer alarmowy? Na policję?
- Tak, oczywiście, że dzwoniłem. Kiedy się obudziłem. Kiedy dotarło do mnie, że Gloria... – Znów zamilkł.
- Teraz Winter już nie widział jego twarzy.
- Wyszedł pan do przedpokoju i otworzył drzwi, żeby policjanci mogli wejść, kiedy przyjadą?
- Nie!
- Więc ich pan nie otwierał?
- Nie! Po co miałbym to robić? To niedorzeczne. Nie, nie. Drzwi były zamknięte.
- Były otwarte, kiedy przyjechała policja. Nie musieli ich wyważać. Drzwi były uchylone.
- Lentner popatrzył na Wintera. Spojrzenie miał przejrzyste, widać w nim było strach.
- Ja nie otwierałem – powiedział.
- Öberg popatrzył na niego jakoś dziwnie. Winter właśnie go odwiedził w jego gabinecie w wydziale technicznym. Wszędzie wokół trwały prace laboratoryjne. Bo w gruncie rzeczy było to laboratorium. Działo dla dobra ludzkości.
- Rękawice ogrodowe – powiedział Öberg, zanim Winter zdążył się wygodnie rozsiąść na krześle.
- Słucham?
- Wygląda na to, że ktoś w rękawicach gmerał przy książkach i obrazach. I przy butelkach wina też.

- O cholera.
- Zgadzam się.
- W rękawicach?
- Tak, a chyba mało prawdopodobne, żeby ci młodzi chodzili po domu w rękawicach, nieprawdaż?
- A ich odciski też tam są?
- Tak, na książkach. Ale na obrazach nie. Na butelkach też nie. Na nich są tylko te wyjątkowe odciski.
- Dlaczego wyjątkowe?
- No bo to rękawice ogrodowe. Prawdopodobnie. Z takimi specjalnymi wypustkami. Wiesz, o co mi chodzi, nie?

Winter przytaknął. Sam takich używał, kiedy czyścił działkę z trawy morskiej i wodorostów.

– Tym razem przebadaliśmy wszystko dokładniej – powiedział Öberg. – Zastosowaliśmy nową metodę. Badamy dokładniej. A poprzednio wydawało nam się, że już nie ma czego szukać. Może znajdziemy coś w tych odciskach rękawic. Albo na poduszkach, albo na pościeli. Ci z Linköping mają poszukać śladów DNA.

– Najwyższy czas.

Öberg nie odpowiedział. Patrzył na małego ptaszka, który przysiadł za oknem. Słońce rozświetlało jego żółto-niebieskie pióra. Pióra w kolorze szwedzkiej flagi.

– I tak samo było w obu mieszkaniach? – zapytał Winter.

– Tak, dokładnie tak samo. Sposób działania też wydaje się podobny. Tam też zostawił odciski rękawic.

– Coś jeszcze?

– A to nie wystarczy?

Winter nie odpowiedział.

– I co ty na to? – zapytał Öberg.

– Myślę, że musimy zacząć od początku.

Winter zgromadził niewielką grupę w swoim pokoju. Rzadko to robił, ale obiecał sobie, że już nigdy nie wejdzie do sali konferencyjnej na końcu ceglanego korytarza. Była za duża. Wydawała się zbyt nieprzyjazna. A teraz, mimo żaluzji, było tam też za jasno.

– Rozmawiałem z tymi młodymi policjantami – powiedział

Halders. – Z Johnnym i Alexandrem. Nie są na stówę pewni, że faceci powiedzieli, że otworzyli drzwi.

– Ciekawe – wtrącił Ringmar.

– Co ciekawe? – Halders nie zrozumiał.

– Że w ogóle o tym wspominali.

– W takich sytuacjach człowiekowi wydaje się, że słyszy coś, czego tak naprawdę nie słyszy – powiedziała Aneta. – Tak działa stres.

– Ale powinni być bardziej opanowani – stwierdził Halders.

– Ta dziewczyna, Hoffner, była.

– Może dostać robotę u nas – odparła Aneta.

– A co ty na to, Erik? – Halders spojrzał na Wintera. – Przyjmujemy ją do pracy?

– W swoim czasie.

– Mogłaby mnie zastąpić – powiedział Halders.

– Gadanie – odparł Ringmar. – Nigdy od nas nie odejdziesz.

– Tak? A ty skąd możesz wiedzieć?

– Możemy kontynuować? – przerwał im Winter.

Wstał i podszedł do dużego arkusza papieru wiszącego na specjalnym stojaku. Zamówił go do swojego pokoju. Zaczął pisać i mówić jednocześnie.

– To, co mówię, pomnóżcie przez dwa. To znaczy zakładamy, że w obu mieszkaniach wszystko rozegrało się tak samo. Jasne? Zatem: policjanci przyjeżdżają po otrzymaniu zgłoszenia. Drzwi mieszkania są otwarte. Jest bardzo wcześnie rano. Wchodzą. W łóżku leży martwa kobieta. W pokoju jest też jej partner. Twierdzi, że to nie on zabił. A mówimy o uduszeniu. Nie możemy być pewni na sto procent, ale z braku innych opcji uznajemy, że tak było. Jesteśmy prawie pewni. Późniejsza obdukcja wykazała, że nie było żadnych przyczyn wewnętrznych, które mogłyby wywołać nagły zgon tych kobiet. – Winter obrócił się do zgromadzonych. – Zakładamy więc, że było to zabójstwo.

– Uduszono je – powiedziała Aneta. – We śnie. To znaczy, że nie stawiały oporu. Dlaczego? Bo spały zbyt mocno. A dlaczego?

– Nie brały środków nasennych – odparł Winter. – Właśnie

dostaliśmy wyniki z laboratorium w Linköping. Żadnych śladów środków nasennych ani narkotyków.

– No to co wzięły?

– Albo co ktoś im podał? – wtrącił Halders.

– No właśnie, kto – dodał Ringmar.

– Wcześniej mówiliśmy o chloroformie – przypomniał Winter.

– A skąd można wziąć chloroform? – zapytał Halders.

– Na pewno skądś można skombinować – stwierdził Ringmar. – A już na pewno, jeśli się jest lekarzem. A Lentner jest.

– Więc nadal zakładamy, że jest winny? – zapytała Aneta.

– To nie jest wykluczone.

– Jeśli założymy, że to nie on, wszystko trochę się komplikuje – ciągnęła Aneta. – To by znaczyło, że w nocy ktoś dostał się do mieszkania, uśpił ofiary i je zabił.

– Uśpił nie tylko ofiary – powiedział Ringmar. – Ich partnerów również.

– Ale jak to zrobił? – zapytał Halders.

– I to właśnie jest pytanie dnia – powiedział Winter.

– To ktoś, kogo znali?

– Całkiem prawdopodobne.

– Ktoś, kogo znali, przyniósł jakiś środek i ich nim uśpił. To coś musiało zadziałać szybko i jest niewykrywalne. Musieli to wypić.

– Ludzie Öberga badają wszystkie kieliszki, szklanki i kubki w obu mieszkaniach – powiedział Winter.

– Zabrał to ze sobą. – Halders popatrzył na innych. – Ja bym tak zrobił.

– A dlaczego nie miałyby tego po prostu zostawić? – zapytał Ringmar.

– Nie chciał, żebyśmy się o tym dowiedzieli zbyt szybko – odparł Winter.

– Dlaczego?

– Jeszcze nie wiem. Ale wiem jedno: chciał, żebyśmy wiedzieli.

– Jak to?

– Zabójca chce, żebyśmy wiedzieli. Chciał, żebyśmy się dowiedzieli po jakimś czasie.

– Te butelki z winem... – wtrącił Ringmar.

– Zabójca świętował – powiedział Winter.

– Ale przecież nic nie wypił – zauważył Halders. – Otworzył butelkę, ale nie nalał do kieliszka.

– To miało być symboliczne świętowanie – zasugerowała Aneta.

– Może to nawrócony na trzeźwość alkoholik – dodał Halders.

– Czy mamy do czynienia z seryjnym zabójcą? – zapytała Aneta. – Będzie cała seria zabójstw?

– Jak to: czy będzie? – Ringmar nie zrozumiał.

– A czy z definicji seria to nie co najmniej trzy zabójstwa?

– A jeśli to nie seryjny zabójca, to kto? – zapytał Halders. – Jakiś potwór?

– Wciąż nie jest wykluczone, że to ich partnerzy – powiedziała Aneta. – Tylko teoretyzujemy.

– Bo nic więcej nie mamy – odparł Halders.

– A hiszpańskie wina? – Ringmar popatrzył na Wintera. – Dlaczego oba były hiszpańskiej produkcji?

– Kolejne dobre pytanie – zauważył Halders.

– Czy to się jakoś wiąże z Costa del Sol? – zapytał Ringmar.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział Winter.

– Nie możesz zatrzymać południa Hiszpanii tylko dla siebie – wytknął mu Halders.

– A co on właściwie świętował? – zapytała Aneta.

– Dobrze wykonane zadanie – odparł Halders.

– Dokonał wyboru – zauważył Winter.

– W jakim sensie?

– Miał przed sobą dwoje nieprzytomnych ludzi. Mógł zabić oboje, a wybrał jedno z nich. W obu przypadkach kobietę. Mężczyzn zostawił przy życiu. Wiedział, że najpierw będziemy podejrzewać właśnie ich, ale po jakimś czasie się dowiemy. Przewidział to.

– Ale i tak mógł ich zabić – powiedział Ringmar. – Bo i tak prędzej czy później byśmy się dowiedzieli. To, że ich ocalił, to

chyba nie był akt miłosierdzia.

– A co?

– Oznaka władzy – powiedział Winter. – Chodziło mu o władzę.

– Pedant z potrzebą władzy – podsumował Ringmar.

– No właśnie, ten pedantyzm – wtrącił Halders. – To chyba jest najstraszniejsze. I dziwne. O ile faktycznie po wszystkim zaczął sprzątać.

– Czasami to jest silniejsze od człowieka – powiedziała Aneta.

– A może to też jakaś wiadomość dla nas – zasugerował Ringmar.

– Nie, jeśli to było silniejsze od niego – odparł Winter. – W takim układzie nie było w tym żadnego przesłania.

– A dlaczego nie posprzątał całego mieszkania?

– Nie miał czasu.

– Zadowolił się drobiazgami – zauważył Halders. – To też wymowne.

– Dlaczego właśnie te dwie pary? – zapytała Aneta.

W PRZEDEDNIU ŚWIĄT OTRZYMALI od laboratorium w Linköping gwiazdkowy prezent: na poduszkach z obu mieszkań znaleziono ślady DNA, które nie należały ani do Madeleine Holst, ani do Martina Barknera, ani do Glorii Carlix, ani do Erika Lentnera. Takie same ślady znaleziono w obu mieszkaniach na książkach. I na butelkach wina. Czyżby częsty gość?

Przeszukali swoje kartoteki, ale okazało się, że to żaden ze znanych im przestępców.

– Wydychane powietrze – stwierdził Öberg. – Albo na rękawiczkach były ślady śliny, albo i to, i to.

– Może to nasz zabójca – powiedział Winter.

– To może być ktokolwiek.

Winter kazał zrobić powiększenia zdjęć z mieszkania przy Chalmersgatan i przy Götabergsgatan. Odbitki miały osiemdziesiąt pięć na sześćdziesiąt centymetrów. Powiesił je na ścianach w swoim pokoju. Pokój wyglądał przez to jak galeria. Może powinni zrobić z tego komercyjną wystawę dla publiczności? Bo są tacy, którzy chcą widzieć coraz więcej, którzy domagają się krwi na arenie. Choć akurat na tych zdjęciach krwi nie było, z wyjątkiem śladów na podrapanych ramionach Erika Lentnera. Powiększone przypominały wzór na pościeli. Wyglądały jak dowód, ale nim nie były. Bo w tej sprawie dowodów nie było widać gołym okiem. A żeby je wykorzystać, Winter potrzebował materiału porównawczego. Potrzebuję kogoś z krwi i kości, myślał, chodząc między zdjęciami wiszącymi na białych ścianach. Ułożył je w dwa rzędy: jeden z Chalmersgatan, nad nim drugi, z Götabergsgatan. Zdjęcia wyglądały jak kopie.

Po trzecim okrążeniu był pewny, że w mieszkaniu ktoś był. I że ten ktoś był Bogiem. To nie Barkner i nie Lentner. Oni też byli ofiarami. On chciał, żebyśmy się dowiedzieli. Po jakimś czasie. To jego wystawa, nie moja, pomyślał. Ten drań wiedział,

że prędzej czy później powieszę te zdjęcia na ścianach. I że zobaczę.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę.

W progu stanął Ringmar.

– No proszę, rozwiesiłeś zdjęcia.

– Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Teraz, kiedy przyglądam się z bliska, widzę, jak to wszystko się ze sobą wiąże. – Winter wskazał ręką na ściany. – Sam zobacz.

Ringmar zrobił dwie rundy po pokoju.

– No – powiedział.

– Ktoś wszedł do tych mieszkań i zabił kobiety. A potem wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Ringmar milczał. Stał przed zdjęciem bladej twarzy Madeleine Holst.

– To ten sam zabójca – ciągnął Winter. – I chce nam o tym opowiedzieć.

Ringmar zaczął kolejną rundę. Na chwilę przystawał, jakby podziwiał detale sztuki fotograficznej. Stojąc przed jednym ze zdjęć, odwrócił się do Wintera.

– Próbowaliśmy zbadać ich znajomych. Krewnych i znajomych. Czasami to się zresztą ze sobą wiąże, przynajmniej pozornie. Myślałem szczególnie o Hiszpanii. O wspólnych znajomych. No i o tych z Göteborga też. Całkiem sporo ludzi.

– Zawsze tak jest, jeśli tylko ktoś prowadzi zwykłe życie towarzyskie.

– Zwykłe, czyli jakie?

– Takie jak ty i ja.

– My prowadzimy zwykłe życie towarzyskie?

– Na tyle zwykłe, na ile to możliwe.

– A jak definiujesz zwykłość i towarzyskość?

– A jak ty definiujesz życie?

– Na pewno jest to coś, czego nie ma na tych zdjęciach.

– Weźmy takiego Andersa Dahlquista – powiedział Winter. – Wygląda na to, że prowadził sekretne życie.

– Ach, on. Trochę o nim zapomniałem.

– A widzisz. Nie był ciekawą osobowością, nie stał się nią,

nawet kiedy go zamordowano. Chyba nie odnajdywał się w towarzystwie. Tak czy inaczej, Bertil, to już trzy zabójstwa tej zimy. Trzy niewyjaśnione sprawy.

Ringmar odwrócił się od zdjęć.

– Jeśli chodzi o te pary, to są dwa pytania, których nie unikniemy. Jak i dlaczego. W ich otoczeniu musiał być ktoś, kto postanowił je zabić. I zrobił to. Podejrzewamy, że użył chloroformu albo podobnej substancji, ale nie wiemy tego na pewno. I może nigdy się nie dowiemy. Jeśli wierzyć Barknerowi, z mieszkania zniknęło opakowanie tabletek nasennych.

– Tak czy inaczej, zasnęli.

– O ile mówią prawdę. Teraz chyba im wierzymy, prawda?

– Tak, chociaż wcale nie tak łatwo jest uwierzyć, że było inaczej.

– No, niełatwo. Ale nie możemy ich dłużej trzymać w areście. Wypuścimy ich na święta? To już pojutrze.

– Tak. Przecież nigdzie nie uciekną.

– A do Hiszpanii?

– To żadna ucieczka. To prawie jak Szwecja.

– Nueva Scandinavia. Nueva Gotemburgo.

– Otóż to – odparł Winter. – Niektórzy mówią nawet o Nueva Estocolmo.

– Więc wypuszczamy ich?

– Mówiłem już, że tak. Gadałem nawet z Moliną.

– Nie ryzykujemy?

– Chodzi ci o to, że to się może powtórzyć? Nie.

– Rodzice się ucieszą.

– Niekoniecznie. Nie wszyscy. Louise Carlix, choć nie wprost, oskarżyła Lentnera o zabójstwo córki.

– W takim stanie mogła oskarżyć pierwszą lepszą osobę. Niedługo trochę się uspokoi.

– Jeśli wierzyć Edlundowi, to ojciec Lentnera też ma jakieś wątpliwości.

– Może z tego samego powodu.

– Hm...

– Może od razu powinieneś się z nim spotkać?

– Teraz, przed świętami? To znaczy dzisiaj? Bo przecież jutro Wigilia.

– Dziś jego syn wróci do domu.

– Może powinienem tam pojechać razem z nim.

– To ty najlepiej z nas znasz się na zwyczajach takich jak oni. Zauważasz różne rzeczy jako pierwszy. Znasz się na szczegółach, o których inni policjanci nie mają pojęcia.

– Takich jak oni? To znaczy?

– Mówię o klasie wyższej. Przecież ty też do niej należysz.

– Udam, że tego nie słyszałem.

– A ja, że nic nie mówiłem. À propos rodziców: wszystkie małżeństwa okazały się trwałe.

– W jakim sensie?

– Żadnych rozwodów. Biologiczni rodzice całej tej czwórki wciąż są ze sobą. Żadnych ojczymów, macoch, przyrodniego rodzeństwa. W dzisiejszych czasach to rzadkość.

– Przecież mówimy o twoim pokoleniu, Bertil. Wy chyba nie uznajecie rozwodów?

– No nie, masz rację.

– Ale to nie dlatego. Powód jest inny – powiedział Winter.

– Jaki.

– Chodzi o klasę. Ludzie z klasy wyższej się nie rozwodzą. Nie wiedziałeś?

Erik Lentner milczał przez całą drogę na Långedrag. Kiedy wychodził z aresztu, też się nie odzywał. Wiedział, że nadal nie jest wykluczone, że zostanie oskarżony, ale kiedy jechali razem wzdłuż rzeki w stronę morza, nie chciał o niczym rozmawiać. Na zachodzie słońce chowało się za wodą. Powoli wszystko przybierało czerwony kolor. Czerwony, ale inny od tego na prześcieradle w mieszkaniu Lentnera. Siedział obok Wintera cichy i blady. Twarz miał bezbarwną, jakby spuszczone z niego krew.

Skęcili przed Gnistängstunneln i wjechali w Torgny Segerstedtskatan. Kiedy mijali piekarnię, Lentner odwrócił się do Wintera.

– Stąd już mogę dojść – powiedział.

– Odwiozę pana pod dom.

– Nie chcę.

Jechali teraz Långedrag svägen. Już stamtąd, zza domów na Hinsholmen, widać było morze. Jakaś drużyna grała w nogę na boisku do rugby między ulicą a wodą. Piłka nożna w grudniu, zupełnie jak w Anglii. Albo w Hiszpanii. Za butikiem z odzieżą Winter skręcił w prawo. Wcześniej był tam sklep spożywczy, ale zrobili z niego butik. Naprzeciwko stał kiosk. Winter podjechał do pomostu i zaparkował za starym pensjonatem. Odwrócił się do Lentnera.

– Dobrze, tu się zatrzymam. Jeśli pan chce, może pan wejść pod górę na piechotę.

– Dziękuję bardzo.

Ale nie ruszył się. Wciąż siedzieli w milczeniu. Po drugiej stronie przystani jakiś mężczyzna pływał w kółko częściowo zadaszoną drewnianą łodzią. Łódź i mężczyzna wyglądali tak samo staro, na jakieś sto lat. Zresztą dużo rzeczy wokół tak wyglądało, z wyjątkiem nowych willi, które pięły się po zboczu góry albo piętrzyły na skałach ponad morzem.

– Ładne domy – powiedział Winter.

– Akurat.

– Chyba niedawno je zbudowali.

– Kiedy dorastałem, nie było tu żadnych nowych domów.

– Więc tutaj pan dorastał?

– Nie mówiłem?

– Mówił pan. Ja dorastałem na Hagen. To znaczy miałem pięć lat, kiedy się tam przeprowadziliśmy.

Lentner odwrócił się w jego stronę.

– A skąd?

– Z Kortedali.

– Żałuję, że nie dorastałem na Kortedali.

– Dlaczego?

– Bo wtedy to by się nie stało.

Aneta i Halders odwieźli Martina Barknera do rodziców. Kiedy jechali Särövägen na południe, Barkner przyglądał się polom. Stamtąd uśmiecha się do niego wolność, pomyślała Aneta, ale Barkner nie wyglądał na szczęśliwego. Za chwilę święta, ale on nie jest szczęśliwy.

Halders skręcił w stronę kąpieliska Askimbadet. Minęli parking. Był pusty i wydawał się olbrzymi. Przypominał opuszczone lotnisko. Zza zniszczonych budynków wзираło morze. Aneta pomyślała, że te same budynki stały tam, kiedy w ciepłe popołudnia przyjeżdżała do Askim z rodzicami. Nie byłam tu chyba dwadzieścia lat, pomyślała. Dlaczego? Wszystko wygląda podobnie jak wtedy. Nic się nie zmieniło. Popatrzyła na stary, popękany, pusty basen. Nic nie wygląda na tak opustoszałe i zapomniane jak opuszczony basen. Jeśli się przestaje naprawiać i odnawiać, kraj się cofa, pomyślała. Zupełnie jak afrykańskie kraje rozwijające się. Tak naprawdę nic się w nich nie rozwija. Jeśli coś się zepsuje, pozostaje zepsute, i już. I tak ze wszystkim. Tak samo jest w Burkina Faso, w mojej drugiej ukochanej ojczyźnie. Baseny w lepszych hotelach w Wagadugu też długo nie pociągną. W promieniach słońca opuszczony basen połyskiwał niczym krater wyłożony sztabkami sztucznego srebra. Zdawał się wyć z tęsknoty za wodą, dziećmi, krzykami, śmiechem i pluskaniem rozlegającym się, kiedy ktoś wskakiwał do środka. Teraz, w przejrzystym chłodnym powietrzu, bezlitośnie oświetlany przez słońce, wyglądał jeszcze żałośniej. A do tego morze w tle! Fale ostrożnie przesuwają się w stronę lądu, jakby się dziwiły, że jeszcze nie pokryły się lodem. Anecie przypomniało się zdjęcie, które tata zrobił pewnego pochmurnego dnia, kiedy tu przyjechali. Miała wtedy jakieś dziesięć, jedenaście lat. Na zdjęciu wszystko było białoszaro-czarne. Stała nad wodą, sama na plaży. Widać było tylko zarys jej sylwetki, przypominający cień. A woda w tle wyglądała, jakby zamarzała w jednej sekundzie.

Halders wjechał w jakąś uliczkę za parkingiem. Na lewo mieli pole kempingowe. Już dawno stało się siedzibą wyrzutków, narkomanów, alkoholików i wariatów. Nielegalnie rozstawiali na nim przyczepy. Ostatnia przystań nieszczęśników współczesnego świata. Miejscowe władze zamykały kemping, po czym go otwierały, znów zamykały, i tak w kółko. Teraz nad placem wisiała mgła. Aneta widziała poruszające się w oddali postacie. Wyglądały, jakby się zwały z powietrzem, jak duchy.

To inny świat, pomyślała. O ile to jeszcze jest świat. Prawdziwa ironia losu, że zamożni mieszkańcy Askim, mieszkający w rekordowo drogich domach z widokiem na morze, żyją tak blisko wyrzutków społecznych. Chociaż ci drudzy też mają stąd widok na morze, nawet lepszy. Może ich życie jest całkiem udane, nie licząc przesiąkniętego agresją pijaństwa, amfetaminowego haju, kaca, codziennej przemocy, chorób, złego traktowania dzieci, napadów i strachu.

– To tutaj? – Halders odwrócił się do siedzącego na tylnym siedzeniu Barknera.

Chłopak nie odpowiadał. Ale byli na miejscu. Aneta zobaczyła mężczyznę i kobietę w średnim wieku. Ruszyli już sprzed willi w stronę samochodu. Odwróciła się. No tak – widok na morze. I na przyczepy na kempingu. Jednym spojrzeniem obejmowało się wszystko, całe spektrum. Teraz zauważyła, że nad kempingiem wisiała nie mgła, ale dym z ognisk rozpalonych w beczkach po benzynie.

– Martin!

Aneta usłyszała głos matki Barknera, Linnei. Jej mąż, Stig, stał kilka kroków za nią. Jest wysoki jak maszty z flagami otaczające kąpielisko, pomyślała Aneta. Jego żona też była wysoka. Już otwierała drzwi samochodu, żeby wyciągnąć syna na wolność.

– Mamo – powiedział Martin Barkner.

Przytuliła go. Stig Barkner podszedł do nich i uścisnął syna za ramię. Widać bliżej nie umie, pomyślała Aneta. A mnie i Fredrika jakby tu nie było. Ot, taksówkarze, którzy chcą zadać kilka pytań.

Linnea Barkner ruszyła z synem w stronę domu. Trudno było powiedzieć, czy to ona prowadzi jego, czy on ją. Stig Barkner szedł za nimi. Aneta i Halders wciąż stali przy samochodzie. Barknerowie już doszli do drzwi. Stojąca na zboczu willa była częściowo obłożona lakierowanym drewnem, chyba tekowym. Słońce pięknie się w nim odbijało. W takim domu mogłby mieszkać każdy, kto lubi jakość. Ja też mogłabym tu mieszkać, pomyślała Aneta.

– To zrozumiałe, że są zrozpaczeni – powiedział Halders.

– I że są w szoku – dodała Aneta.

– I tak uważam, że to on ją zabił.

Aneta nie odpowiedziała.

– To co, wchodzimy? – zapytał Halders.

– To po prostu niepojęte – powiedziała Ann Lentner. – To okropne. Nie pojmuję tego.

Jej mąż przytakiwał. Winter siedział na sofie. Pochylił się do przodu – przed sobą miał widok na morze, aż po Asperö, a nawet dalej – po Brännö. Nie chciał teraz o tym myśleć. Musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim znów z własnej woli wybierze się na południowe szkiery.

Erik Lentner zniknął gdzieś w głębi domu. Winter chciał porozmawiać sam na sam z jego rodzicami. Mats Lentner wyglądał na opanowanego. Może tym razem się nie rozklei. Nie zaproponowali mu nic do picia.

– Jak mogliście myśleć, że to Erik? Jak mogliście?

– Nic nie myślimy, proszę pani – odparł Winter. – Po prostu sprawdzamy wszystkie możliwości.

– Ale żeby tyle dni trzymać chłopaka w więzieniu? To okropne.

– W areszcie – poprawił ją mąż.

– Na jedno wychodzi.

Mats Lentner już się nie odezwał. Winter podążył za jego spojrzeniem, też wyjrzał przez okno, czy raczej przez szklaną ścianę. Domyślał się, że w ostatnich tygodniach Mats Lentner spędził tak długie godziny. Niewidzące oczy wpatrzone w morze.

– Czego właściwie pan chce? – Ann Lentner spojrzała na Wintera ze złością. Jest zła, to rozumiała, pomyślał. – Czego pan od nas chce?

– Chcę tylko zadać kilka pytań. Chcę zrozumieć.

– Pan po prostu wykonuje swoją pracę – wtrącił Mats Lentner.

– Po czyjej ty właściwie jesteś stronie? – Ann Lentner popatrzyła na męża.

– Po niczyjej. Chciałem tylko...

– Po niczyjej? – przerwała mu. – Co chcesz przez to

powiedzieć? Że nie jesteś po stronie Erika?! Co ty wygadujesz? Nie jesteś po stronie własnego syna?

– Oczywiście, że jestem. Źle mnie zro...

– Co właściwie chce pan zrozumieć? – znów przerwała mu żona, ale tym razem patrzyła na Wintera. – Jak można zrozumieć coś takiego? Przecież tego się nie da zrozumieć!

– Właściwie nie – przyznał Winter. – Ma pani rację. Ale chcę wiedzieć, co się stało. I jak to się stało.

– A ja nie wiem, czy chcę – odparła Ann Lentner. – Jak dla mnie to i tak dość.

– A ja chcę wiedzieć – wtrącił Mats Lentner. Przeniósł już wzrok z morza na ląd, na pokój. Wyglądał na bardziej zainteresowanego niż chwilę wcześniej, jakby wreszcie zdecydował, że chce brać udział w tej rozmowie. Że on też chce wiedzieć.

– Rozmawiał pan ze Stefanem i z Louise? – zapytała Lentner.

– O czym?

– No, o wszystkim. O całej tej strasznej historii.

– Nie, jeszcze nie. Jeszcze nie zdążyłem z nimi porozmawiać. Ale porozmawiam.

– Mam nadzieję. W takim razie może pan jej przekazać, że Erik wrócił do domu.

– Ann...

– Dzwoniła tutaj – ciągnęła Ann Lentner, nie zważając na męża. – Dzwoniła i oskarżała Erika. Mówiła, że on... że mógłby...

Nie potrafiła tego powiedzieć. To było dla niej zbyt wiele. Słowa wydawały się zbyt straszne.

– Zupełnie jak wy – dodała. – Wszyscy jesteście tacy sami!

– Dlaczego Louise Carlix uważała, że Erik to zrobił? – zapytał Winter.

– Uważała? Ona była pewna!

– Dlaczego? Co mówiła?

– Nie pamiętam.

– Nie wierzę.

– Nie pamiętam, mówię przecież!

– Twierdziła, że Erik był wobec Glorii brutalny – powiedział

Mats Lentner bezbarwnym tonem. Jakby próbował przekazać tę wiadomość w sposób jak najbardziej rzeczowy.

– Dobry Boże! – krzyknęła jego żona.

– Ale my nigdy w to nie wierzyliśmy – dodał Mats Lentner.

– Nigdy? – zapytał Winter. – Więc te zarzuty padały już wcześniej?

– Nie.

– Dziwnie pan się wyraził w takim razie.

– A co to za różnica? – wtrąciła Ann Lentner. – Przecież to kłamstwo!

– Na pewno sami pytaliście o to Erika – ciągnął Mats Lentner. – I na pewno powiedział wam to samo.

Winter pokiwał głową.

– Pytaliście go? – drążyła Ann Lentner. – I co powiedział?

– Podczas przesłuchania zeznał, że nie.

– Mówiłam! Mówiłam przecież!

– Czy wcześniej rozmawiali państwo o tym z rodzicami Glorii? – zapytał Winter. – Przed zabójstwami?

– Nie. I to też... To kolejny dowód na to, że to zmyśliła. Bo niby czemu nie powiedziała nam o tym już wtedy? Zaczęła mówić dopiero teraz, kiedy... kiedy Glorii już z nami nie ma.

– Więc nigdy wcześniej państwo o tym nie słyszeli?

– Nie, nigdy.

– Ale jej zachowanie jest zrozumiałe – powiedział Mats Lentner.

– Zrozumiałe? – Jego żona odwróciła się do niego. – Zrozumiałe? Co masz na myśli?

– Ludzie, których spotkało coś strasznego, zwracają się do kogoś lub czegoś. Ona próbowała znaleźć jakąś przyczynę. Sam nie wiem. Nagle uznała Erika za winnego. Uwierzyła, że to on to zrobił.

– Ale nie zrobił!

– Nie, ale ona w to uwierzyła. Przynajmniej na chwilę. – Mats Lentner popatrzył na Wintera. – Powiedział pan: przed zabójstwami. Co pan miał na myśli?

– Zamordowano też inną młodą kobietę – wyjaśnił Winter. – Te zabójstwa są do siebie podobne.

– Czytaliśmy o tym, że zginęła, ale czy to się wiąże ze śmiercią Glorii?

– Tak sądzimy.

– To też zabójstwo, tak?

– Tak podejrzewamy.

– A w jaki sposób są do siebie podobne? Nigdzie o tym nie pisali ani nie mówili.

– Nie mogę powiedzieć, ale są pewne podobieństwa. Nie wiem, czy można je nazwać powiązaniem, ale sposób działania był podobny.

– Ten sam zabójca? – zapytała Ann Lentner.

– Nie wiemy.

– Ale tak myślicie?

– To jedna z możliwości.

– A co to za podobieństwa? Może pan powiedzieć? – zapytał Mats Lentner.

– Costa del Sol.

– Co?

– Między innymi Costa del Sol łączy te sprawy.

– W jaki sposób?

– Chodzi o państwa.

– O nas? Jak to?

– Rodzice wszystkich osób zamieszanych w tę sprawę mają lub mieli dom na Costa del Sol.

– Wszystkich zamieszanych w sprawę? A co to znaczy?

– W tej drugiej sprawie rodzice ofiary i jej partnera też mają tam domy.

– Gdzie?

– W Nueva Andalucía.

– To duża miejscowość – powiedział Mats Lentner. – Jak się nazywają?

– Holst i Barkner.

– Madeleine! – krzyknęła Ann Lentner i zasłoniła usta ręką.

– Madeleine nie żyje? – zapytał Mats Lentner.

– Niestety.

– Tak jak Gloria?

Winter nie odpowiedział.

– Boże, Boże! – jęknęła Ann Lentner. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Znali ją państwo? – zapytał Winter. – Znali państwo Madeleine Holst?

– Kiedyś znaliśmy tę rodzinę – odpowiedział Lentner.

– Kiedyś? To znaczy?

Lentner popatrzył na żonę, a potem znów na Wintera.

– Zerwaliśmy kontakty.

– Dlaczego?

Lentner znów spojrział na żonę.

– Dlaczego? – powtórzył Winter.

– Doszło do pewnego incydentu.

MARTIN BARKNER ZNIKNAŁ gdzieś w głębi domu. Willa była ogromna, miała co najmniej trzy piętra. Przypomina zamek, pomyślała Aneta. Po co ją porzucać dla innego domu w Hiszpanii? Może to przymus. Ludzie z tych kręgów muszą mieć kilka domów naraz, i to w różnych krajach. W tym sensie ona też należała do klasy wyższej – tata ma domek w Wagadugu, a ona mieszka w domu na Lunden. Wcześniej miała też mieszkanie na Kommendantsängen. To już trzy nieruchomości.

– Martin i Madeleine kolegowali się w dzieciństwie – powiedziała Linnea Barkner.

– Gdzie się państwo poznali? – zapytał Halders.

– Jak to? – Stig Barkner nie zrozumiał.

– Gdzie po raz pierwszy spotkaliście Holstów?

– No... chyba w Hiszpanii, prawda? – Stig Barkner popatrzył na żonę. – W Nueva, mam rację?

Przytaknęła.

– W Nueva? To znaczy gdzie? – zapytał Halders.

– W Nueva Andalucia – wyjaśniła Linnea Barkner. – Mamy tam dom. Holstowie też.

– Nueva Andalucia?

– Tak, to na Costa del Sol.

Halders pokiwał głową. Wiedział. Znał tę nazwę. Nigdy tam nie był, ale pomyślał, że jeśli za szefa ma się Erika Wintera, to trudno nie znać. A teraz Costa del Sol sięgnęło aż do Göteborga.

– Mieszkali państwo blisko siebie? – zapytała Aneta.

– Tak, dość blisko. Osiedle bardzo się rozrosło, odkąd my i Holstowie kupiliśmy tam domy, ale centrum jest niewielkie.

– Wszyscy się znają? – zapytał Halders.

– Nie o to mi chodziło. Wprowadziło się tam tyle osób... a niektórzy odsprzedają swoje domy. Ale prawdą jest, że ludzie się kojarzą. Tak to już jest. My należymy do weteranów.

Holstowie też do nich należeli, to znaczy należą.

– Powiedziała pani: należeli – wtrącił Halders. – Już tam nie mieszkają?

– Mieszkają, ale po tym wszystkim... sama nie wiem, jak to teraz będzie.

– Mieli tam państwo jakichś wrogów? – zapytał Halders.

Barknerowie aż podskoczyli, jakby ich ktoś ukłuł.

– Zdziwiło państwa to pytanie? Czyżby w Nueva Andalucía wszyscy byli najlepszymi przyjaciółmi?

– Jeśli człowiek nie ma ochoty się z kimś spotykać, to się nie spotyka, i już – odpowiedział Stig Barkner. – Musi zadziałać chemia.

Halders przytaknął. O chemii między ludźmi wiedział wszystko. W dużym skrócie polega to na tym, że o jednych myśli się źle, a o innych trochę gorzej. A dobrze można myśleć o własnych dzieciach. No i o Anecie.

Spojrzenie Linnei Barkner powędrowało na zewnątrz, w stronę morza. Kiedy przyjechali, była blada, teraz jej twarz nabrała kolorów. Podobnie było z jej mężem. Jakby im ulżyło, jakby ustąpiło duże napięcie. Przeżywali straszną tragedię, która z jednej strony jeszcze trwała, ale z drugiej już się skończyła. Ich syn wrócił. Ich przyszła synowa nie żyła, ale przecież z nią nie łączyły ich więzy krwi. A te są silniejsze niż cokolwiek innego. Stąd ta ulga. Im łatwiej będzie wrócić do życia. Znowu wyjeżdżać do domu w Nueva Andalucía. Aneta wiedziała, że nigdy tam nie pojedzie. A już na pewno nie po tej historii. Szwedzi z Costa del Sol byli jedną wielką nieszczęśliwą rodziną. Aneta też spozjrzała w okno. Zobaczyła morze, ale przed nim zapomniany przez Boga kemping. To miejsce było jak środkowy palec wyciągnięty w stronę mieszkańców Askim. Wręcz tragikomiczna prowokacja. Hołota w samym środku dzielnicy przedstawiciele *crème de la crème*. Właśnie jakaś gromada próbowała powalić na piach świerk. Niektórzy mieli na głowach czapki Mikołajów. Widać już zaczęli święta, mimo że Wigilia dopiero jutro. Cóż za radosna wspólnota. Świerk zaczynał się już przechylać. Mikołaje bawili się na całego, zataczając się wokół drzewka. Dwie kobiety szły w stronę plaży.

Może chciały podziwiać zbliżający się zachód słońca. Nie było za to widać żadnych dzieci. Wprawdzie święta najbardziej cieszą dzieci, ale dorośli z kempingu i tak dawali z siebie wszystko. Bo chyba sami byli dziećmi. Może niektórzy zachowali urywki wspomnień z czasów, które już wyparli z pamięci. Każdą myśl o nich zapijali najszybciej, jak umieli, ale czasami kuracja okazuje się gorsza od choroby.

– I tak w kółko – powiedziała Linnea Barkner. Ale głos miała spokojny, nie było w nim arogancji, nienawiści ani obrzydzenia. Po prostu stwierdziła fakt.

– To nasi sąsiedzi – wyjaśnił Stig Barkner. – Można się przyzwyczaić.

– Tutaj nigdy nie przychodzą – dodała Linnea Barkner.

– A my nigdy nie chodzimy tam – powiedział jej mąż. Chyba nawet leciutko się przy tym uśmiechnął.

Dobrzy sąsiedzi, pomyślał Halders. Jak w starej dobrej Nueva Andalucía.

– Niektórych widywaliśmy, odkąd byli mali. – Linnea Barkner ruchem głowy wskazała na radosną scenę za oknem.

– Więc część z nich dorastała na kempingu? – zapytała Aneta.

– Tak. – Linnea Barkner odwróciła się w jej stronę. – W naszym kraju bywa i tak. Dziwne, nieprawdaż?

– Ale teraz nie widzę tam dzieci – zauważyła Aneta.

– Są tam, za to Mikołaje to nieczęsty widok – wtrącił Stig Barkner. – Pewnie dlatego, że święta zazwyczaj spędzamy w Hiszpanii.

No tak, oczywiście, pomyślała Aneta. W ten sposób łatwiej sobie poradzić z tym, co w Szwecji może się wydać dziwne. Do problemów lepiej mieć dystans. Wtedy ma się lepszą perspektywę. Chociaż czasami jest na odwrót. Ten, kto mieszka za granicą, może mieć węższą perspektywę, ale może też nie mieć jej wcale. Może pola golfowe w Hiszpanii przesłaniają przykry obraz. Przecież tyle ich tam jest i są takie duże.

– Rozmawiali państwo z rodzicami Madeleine? – zapytał Halders.

– Oczywiście – odparł Stig Barkner. – Zadzwoniliśmy do

nich jeszcze z Hiszpanii. Kiedy tylko się dowiedzieliśmy. A po powrocie się spotkaliśmy. Mieszkają niedaleko. W Hovås. Absolutnie nie wierzyli, że Martin mógłby zrobić coś takiego. – Barkner zamilkł. Nad czymś się chyba zastanawiał. Podniósł wzrok. – Jestem im za to wdzięczny.

– A kto by w to uwierzył? – zapytała Linnea Barkner. – Przecież to naturalne, że najpierw domniemywa się niewinność. To oczywiste.

– Nie zawsze – wtrącił Halders. – Czasami jest na odwrót.

– Jak to?

– Zapewne już państwo odpowiadali na to pytanie, ale zapytam jeszcze raz: czy znają państwo młodego mężczyznę o nazwisku Lentner? Erik Lentner.

Barknerowie wymienili spojrzenia.

– Kojarzą państwo to nazwisko? – ciągnął Halders. – Znali państwo Erika Lentnera albo jego rodziców? Matsa i Ann.

– Nie, właściwie to nie – odparł Stig Barkner. – Kojarzymy to nazwisko, ale oni nie mieszkali w Nueva.

– Oni też mają dom na Costa del Sol. To znaczy mieszkanie. W Marbelli.

Barknerowie znów spojrzeli na siebie.

– O co chodzi? – zapytała Aneta. – Patrz państwo na siebie, jakby coś państwo wiedzieli.

– My nic nie wiemy – odparła Linnea Barkner.

– Rodzice tamtej dziewczyny nazywają się Stefan i Louise Carlix – dodała Aneta. – To nazwisko coś państwu mówi?

– Nie – odpowiedział Barkner.

– Gloria Carlix, tak się nazywała druga ofiara.

– Nie znamy tego nazwiska – powtórzył Stig Barkner.

– Oni też mieli dom na Costa del Sol.

– Dobry Boże! – krzyknęła Linnea Barkner. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Wielu ludzi z Göteborga kupiło tam domy – odparł jej mąż.

– Nic w tym dziwnego. Wiadomo, że zawsze można tam trafić na kogoś znajomego. Ale już niedługo to się skończy.

– Co pan ma na myśli? – Halders nie rozumiał. – Co się skończy?

– Wszystko. – Barkner zatoczył koło ręką, jakby wszystko oznaczało też ich dom, kemping, plażę i morze. – Robi się tam za sucho i za gorąco. Już się zrobiło. W sierpniu i wrześniu dopiero po jedenastej wieczorem da się wyjść z domu.

– No to muszą państwo grać w golfa w nocy – stwierdził Halders.

– Oni tak właśnie grają.

– A nie myśli pan, że to pola golfowe mają coś wspólnego z tą podejrzaną suszą? Może zużywa się na nich za dużo wody?

– Absolutnie, ma pan rację. Ale ja nie gram w golfa.

– A tak się da?

– Jeśli się człowiek trochę wysili, to tak.

Halders uznał odpowiedź Barknera za finezyjny żart. Spróbował sobie wyobrazić krajobraz, o którym rozmawiali: morze, bezkresne kamienne pustynie, a do tego w cholere pół golfowych, które na tle czerwonej gleby wyglądają jak zielone rany.

– Co państwo wiedzą o Lentnerach? – zapytała Aneta.

– Mówiłam już – odparła Linnea Barkner. – Słyszeliśmy to nazwisko, ale nic ponadto.

– To bardzo poważna sprawa – uprzedziła ją Aneta. – Wszystko może się okazać ważne. Nawet najmniejszy szczegół. Zawsze tak jest. To, co się wydaje mało istotne, może mieć ogromne znaczenie. Więc jeśli coś państwo wiedzą, proszę powiedzieć.

Barknerowie po raz trzeci wymienili spojrzenia.

– Nie chcemy powtarzać plotek...

– Jeśli coś państwo wiedzą, to państwa obowiązkiem jest nam o tym powiedzieć – wtrącił Halders.

– To tylko plotka – zaznaczył Barkner. – To była plotka, nic więcej.

– To znaczy? – zapytał Halders trochę głośniejsze.

– Tylko takie gadanie.

– Ale o czym, do cholery!?

Barknerowie znów podskoczyli, jakby Halders ich czymś ukuł.

– Chodziło o Pedera Holsta. Że niby wiele lat temu zrobił coś

małemu chłopcu. Ale ludzie tak tylko gadali. Okropna plotka.

– Co mu zrobił?

– Nieważne.

– CO MU ZROBIŁ?

Stig Barkner znów się wzdrygnął.

– Nie musi pan krzyczeć – powiedział.

– To Lentner był tym chłopcem – wtrąciła jego żona. – Ale to było dawno temu. Wszyscy o tym zapomnieli.

– No i nie słyszałem, żeby sprawa trafiła na policję.

– Peder Holst zrobił coś Erikowi Lentnerowi? – zapytała Aneta.

– Nie. To były kłamstwa.

– Więc kto o tym opowiadał? I co się tam stało?

– Nie wiemy. Zapytajcie Pedera, ale on wie niewiele więcej niż inni. To musiało być dla niego straszne. Ale to było kiedyś. Nie ma co do tego wracać. Nie wiem, dlaczego to wypląnęło. Czy rodzice tego chłopaka coś powiedzieli? To oni?

– O ile wiem, to nie – odpowiedział Halders.

– Wtedy się już nie widywali – dodała Linnea Barkner. – Nic dziwnego. A my potem już o to nie pytaliśmy. Oczywiście nie poruszaliśmy tego tematu.

– Nie widywali się? A wcześniej Holstowie przyjaźnili się z Lentnerami?

– No, spotykali się raz na jakiś czas, ale potem przestali. Po tym incydencie.

Winter spotkał się z Haldersem i Anetą przed centrum handlowym na Frölunda. Dla wszystkich było to niejako w pół drogi, a poza tym Winter musiał kupić świąteczne prezenty. W tamtejszych galeriach też tłoczyło się mnóstwo ludzi, ale nie było takiego pandemonium jak w centrum.

Znaleźli wolny stolik w McDonaldzie.

– Nie ma co za dużo jeść przed świętami – powiedział Halders.

– Ja nie będę jadła – odparła Aneta.

– Nikt nie będzie – stwierdził Winter. – Wezmę tylko kawę.

– Dla mnie weź Big Maca – powiedział Halders.

Winter odszedł bez słowa. W kolejce do kasy stał tak długo,

że zaczął tracić cierpliwość. Ale w zwykłych kawiarniach kolejki były dłuższe, nie mieściły się w lokalach. A tutaj kawa na pewno nie jest gorsza niż na komendzie, pomyślał. Wreszcie się doczekał i złożył zamówienie. Halders wyglądał na zdziwionego, kiedy wrócił do stolika z hamburgerem.

– Tylko nie mów, że żartowałeś, Fredrik.

– Nie, nie. Litościwy z siebie człowiek.

Winter usiadł i wypił łyk kawy. Smakowała jak na komendzie. Gdzieś obok usłyszał śmiech. Bardzo blisko. Czyżby to Halders? Nie, to ktoś inny.

– Co za wstrętne miejsce – powiedział Halders.

– Wszystkie ich restauracje wyglądają tak samo – odparł Winter.

– Nie mówiłem o McDonalddie, tylko o Askim.

– A co jest nie tak z Askim?

– Jest jakieś takie nierealne.

– W jakim sensie?

– Sam nie wiem w jakim. W porównaniu z Lunden. I z Redbergslid. Moim zdaniem to właśnie jest prawdziwy Göteborg.

– Twoje zdanie chyba nie ma tu znaczenia – odparła Aneta.

– Próbowałem wypytać Lentnerów o Pedera Holsta – powiedział Winter i odstawił kubek z kawą, czy raczej z trucizną.

Zanim postanowili się spotkać, omówili przesłuchania przez telefon.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej niż my? – zapytał Halders.

– To znaczy dowiedziałeś się czegokolwiek?

– Właściwie nie.

– No to po co o tym rozmawialiście?

– Sam nie wiem, ale to oni zaczęli.

– My musieliśmy to z Barknerów wydusić.

– Mimo wszystko usłyszeliśmy o tym i od Barknerów, i od Lentnerów – dodała Aneta.

– A to ma jakieś znaczenie? – Halders nie zrozumiał.

– Formalnie nie złożyli oskarżenia. Nie oskarżyli Pedera Holsta. Tyle udało mi się sprawdzić.

– A Lentnerowie nie chcieli powiedzieć nic więcej?
– Nic ponad to, że coś podejrzewali. I że zakończyli tę znajomość.

– Więc jednak jest jakiś związek między Holstami a Lentnerami – wtrąciła Aneta.

– Albo między Madeleine i Erikiem – odparł Winter.

– Może między innymi też – dodał Halders. – Zaprosimy do siebie pana Holsta?

– Jeszcze nie teraz – odparł Winter. – Najpierw dajmy mu w spokoju przeżyć żałobę.

– Niech ją przeżyje w święta – powiedziała Aneta.

– W święta człowiek powinien się cieszyć z tego, co ma – zauważył Halders.

To nie był żart ani ironia. Halders stracił byłą żonę, Margaretę – przejechał ją pijany kierowca. Jego dzieci straciły matkę. Jakoś udało mu się przetrwać święta po wypadku. A potem kolejny trudny rok. Teraz wiedział, że powinien się cieszyć.

– Musi być jakiś związek – ciągnęła Aneta. – Jeśli nawet nie chodzi o Holsta, to na pewno jest coś innego. To nie przypadek, że trafiło na te dwie pary, na te dwie kobiety. Niemożliwe. Wystarczy spojrzeć na sposób działania sprawcy. Istnieje między nimi jakiś związek i musimy go znaleźć.

Popatrzyła na Wintera. Zgadzał się z nią. Powiedziała na głos to, o czym myśleli wszyscy.

– Trzeba pobrać próbki DNA od wszystkich rodziców – powiedział Halders.

– Oczywiście – przytaknął Winter.

– Chociaż to by było straszne, co?

– To by nie był pierwszy raz – odparł Winter.

Gerda Hoffner miała wolny dzień. Próbowwała się zrelaksować. Miała dyżur w wigilijny wieczór. Wiedziała, że to będzie ciężka doba. Kiedy skończą służbę, będzie po świętach, a przecież ona też powinna je przeżyć. Mimo wszystko wiedziała, że to by nie było radosne przeżycie. Teraz nie chciała o tym myśleć. Mogła myśleć o wszystkim, byle nie o tym.

Szła przez Avenyn. Zaczynało już zmierzchać. Wszędzie

wokół widać było świąteczne iluminacje. Nie były jednak zbyt krzykliwe, wyglądały raczej na nordycką odmianę świątecznego karnawału. Na ulicy było dużo ludzi. Prawie wszyscy nieśli pakunki zawinięte w prezentowy papier. Gerda minęła księgarnię Wettergrena. W środku klienci ledwo mogli się ruszać. Jak zwykle książki okazują się najlepszym prezentem. Gerda pomyślała o książkach na szafkach nocnych w mieszkaniach ofiar. Mimo woli, bo postanowiła już o tym nie myśleć. To tylko kilkaset metrów stąd, chociaż ona nie ma tam już nic do roboty. Dla niej ta sprawa już się skończyła. Przejęli ją Winter i jego ludzie. Życzyła im szczęścia. Miała nadzieję, że niedługo złapią sprawcę. Chociaż nie była pewna, czy im się uda. Nie wszystkie zabójstwa udaje się wyjaśnić, nawet w powieściach kryminalnych, to znaczy w tych supernowoczesnych.

Przed restauracją Tvåkanten jakiś bezdomny sprzedawał gazety. Wyglądał na mocno skacowanego, ledwo się trzymał na nogach. Chociaż dla niego to był chyba stan naturalny: wieczny kac między jedną a drugą popijawą. To się upijał, to trzeźwiał. Gerdzie przypomniała się para z dzieckiem ze sklepu monopolowego na Sannaplan. Nie chciała o nich myśleć. Nie chciała myśleć o nieszczęściach. Chciała się tylko zrelaksować. To dlatego wybrała się na przesiąknięty świąteczną atmosferą Avenyn. W samym środku świątecznej gorączki łatwiej się wyluzować, jeśli samemu jest się poza nią. Nie kupowała prezentów. Nie było się nad czym zastanawiać. Nigdy się nie zastanawiała nad swoją samotnością. Miała przecież tyle do roboty. Nie musiała w końcu siedzieć w domu i wpatrywać się w ściany albo w te nieszczęsne tramwaje wdrapujące się pod górę na Sannabacken. Przypominały jej bajkę o pociągu, którą czytała jako dziecko. Nie pamiętała tytułu. To była taka cienka książeczka, prawie jak zeszyt. Była fajna. Ciekawe, czy jeszcze można ją kupić. Może powinna wejść do Wettergrena i kupić ją sobie na Gwiazdkę? Nie, to by było za bardzo stresujące, a ona miała się nie stresować. Niech inni się męczą. Ja mogę wejść do pierwszego lepszego pubu i zamówić kieliszek wina. Chociaż temu bezdomnemu lepiej o tym nie wspominać.

– Może gazetę, młoda damo?

W sumie – czemu nie. Co za różnica, czy da dwadzieścia koron jemu, czy wyda je na alkohol. Tak będzie lepiej. Nie powinna pić. Nawet jeśli nie jest na służbie, może zrobić coś dla społeczeństwa.

– Tak, poproszę – powiedziała.

– Dziękuję, młoda damo.

Damo? Przecież żadna z niej dama. Czyżby tak wyglądała? Nie chciała być żadną damą. Wódka chyba wypaliła mu mózg. Albo już w połowie oślepił od księżycówki. Poruszał się niemrawo, nerwy na pewno też miał przeżarte. Kiedyś widziała w telewizji jakiegoś starego rockmana, też się tak poruszał. Może i ten tutaj jest starym rockmanem. Ich styl życia ich wykańcza. Wypala im umysły.

A może rzeczywiście wyglądam na damulkę.

– O, dwadzieścia koron, dziękuję. Na pewno się przyda.

Gerda wzięła od niego gazetę.

– Wydam na prezent gwiazdkowy dla syna – powiedział mężczyzna. – Gra w hokeja. Potrzebuje dużo sprzętu. Zresztą dobrze o tym wiem, bo sam kiedyś grałem. Potrzeba mnóstwa różnych ochraniaczy i takich tam. Teraz pewnie jeszcze więcej niż kiedyś.

– Wiem.

– Pani też grała w hokeja?

– Nie, ale raz byłam na meczu.

– Tylko raz? Ha, ha! No to cała zabawa jeszcze przed panią!

– Do widzenia.

Ruszyła dalej.

– Mam na imię Tommy! – krzyknął za nią. – Zawsze tu stoję. To moja miejscówka. I wszystko stąd widzę. Pamiętam wszystkich, którzy tędy chodzą. Jak jeszcze kiedyś będzie pani tędy szła, rozpoznam panią!

– Do widzenia – powtórzyła. Poszła jeszcze kawałek prosto i skręciła w lewo. Potem znów prosto i w lewo, aż w końcu stanęła przed kamienicą. Tą kamienicą. Jak ja się tu znalazłam? Nie powinnam tu przychodzić.

Spojrzała w górę. To tutaj przyjechała z Johnnym. Trafili tu

wczesnym rankiem, w grudniu. Na początku grudnia. Kiedy zaczęła się ta ładna pogoda. Pomyślała wtedy, że przyszedł rok będzie ładny. Chciała mieć z głowy to zgłoszenie. Johnny Pośpiech też. Zawsze chciała kończyć wszystko z prędkością światła. To tutaj, powiedział wtedy Johnny, wskazując ręką na wejście, przed którym właśnie stała. Podeszła do drzwi i nacisnęła ozdobną klamkę, ale oczywiście było zamknięte. Wciąż pamiętała kod. Wcisnęła cyfry na domofonie. Zrobiła to mimo woli, jakby ktoś wciskał je za nią. Dlaczego to robię? Po co znów stoję na tej klatce? Przecież byłam tu wtedy. Wystarczy. Wychodzę. Może jednak pójdę do pubu. Posłucham, jak ludzie się śmieją i gadają. Tu nie ma nikogo. Jest tylko śmierć. Naprawdę ją tu czuć.

A jednak ruszyła na górę. Coś ją tam ciągnęło. Jakby ją uniósł silny wiatr. Wokół aż błyszczało od złota, ale nic nie było już ładne. Nagle światło zgasło. Gerda się wzdrygnęła. Boże. Właśnie stanęła przed drzwiami. Zanim zrobiło się ciemno, zdążyła jeszcze zobaczyć policyjne taśmy. Na piętrze były inne mieszkania, ale w tej chwili wołałaby, żeby ich nie było, żeby nic, żeby nikt nie widział, jak weszła po schodach. Żałowała, że to się w ogóle stało. Co za dziecinna myśl. Pod drzwiami z prawej się świeciło. Ktoś był w domu. Nagle odzyskała władzę w nogach. Podeszła do włącznika i nacisnęła go. Litościwe światło wypełniło całą klatkę. Gerda szybko, niemal biegiem, zeszała po schodach. Wyszła na ulicę. Nagle miejskie powietrze wydało jej się niesamowicie świeże.

W DOMACH W CENTRUM HOVÅS paliły się światła. Wyglądały jak ogniska rozpalone gdzieś daleko w lesie. Ale nie zachęcały, żeby podejść bliżej. Dawaly do zrozumienia coś innego: nigdy nie byliśmy jak wy, wy nigdy nie będziecie jak my. Jeśli chcecie światła, musicie się zadowolić gwiazdami na niebie. Tymi, które jeszcze zostały. Te, które nas interesowały, już zabraliśmy.

Winter zaparkował przed domem Holstów. Z tego miejsca przypominał zamek albo pałac. Wejścia strzegły dwa rozświetlone świerki, a całą działkę otaczał mur. Wieczór był chłodny i rześki. Tutaj gwiazdy wydawały się większe niż w mieście. Wszystko było większe.

Przez chwilę stał przy mercedesie. Akurat taki samochód, choć obcy, pasował do tej okolicy. On sam zresztą też. To, od czego starał się uciec, również. Próbował się od tego odciąć, ale tak naprawdę był częścią tego świata. I to od urodzenia. Przyszedł na świat w zamożnej rodzinie. Policjantem został z przekory. A może kierowało nim coś innego? W każdym razie wstąpienie do policji oznaczało ciśnięcie dyskretnego uroku burżuazji daleko, daleko w morze. Oznaczało też wieczne napraszanie się nieznanym – czasem mniej, czasem bardziej obcym. W tym mieście żyli ludzie, których nie rozumiał i nigdy nie zrozumie, i tacy, których rozumiał bardzo dobrze. Dziedzictwo. Pochodzenie. Kody. Klasa. Zawsze chodziło o klasę. On był częścią jednej z nich. Próbował od niej uciec, ale teraz znalazł się w samym jej centrum. Na drzwiach, przed którymi stał, zobaczył złożone litery. To powinno mu pomóc zrozumieć, o czym naprawdę będą mówić ci ludzie, z pozoru mówiąc o czymś innym. O czym naprawdę będą mówić, mówiąc o miłości.

Annica Holst otworzyła po trzecim dzwonku. Dom miał co najmniej dwa piętra. Ktoś właśnie schodził z góry. Winter wiedział, że Madeleine była ich jedynym dzieckiem.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział.

W tym domu nie miało to jednak większego znaczenia. Przedwigilijny wieczór i tak nie był spokojny. Annica Holst wyglądała, jakby częściowo oślepla. Oczy miała wyblakłe, wyplakane, spojrzenie nieobecne.

– Ile to potrwa? – zapytała.

– Nie wiem – odparł Winter. – Niedługo.

– Ma pan rodzinę?

– Tak.

– A dzieci?

– Tak.

– Ile?

Nie chciał odpowiadać na jej pytania. Nie takie, nie teraz. Ale oczywiście nie miał wyboru.

– Dwoje.

– Dziewczynki czy chłopcy?

– Dziewczynki.

– No tak, oczywiście – odparła i odwróciła się w drugą stronę.

Gerda Hoffner siedziała przy kuchennym stole i próbowała zrozumieć, co czuła, kiedy wybiegała z domu przy Chalmersgatan. To była obawa? Nie, coś więcej. Strach? Na to uczucie nie mogła sobie pozwalać, jeśli dalej chciała pracować w tym zawodzie. A ono wracało. I jeśli będą ją nawiedzać takie myśli, długo nie wytrzyma w policji. Pomoc psychologiczna na nic się tu nie zda. Bo o strach wszystko się rozbija. Ludzie próbują sobie z nim radzić na różne sposoby. Ona sama właśnie to robiła – próbowała poradzić sobie z własnym strachem, zanim za kilka godzin wsiądzie z Johnnym Pościechem do radiowozu i ruszy w miasto w wigilijną noc. Może cichą noc.

Podeszła do lodówki i otworzyła ją. Stała tak chwilę, nie mogąc sobie przypomnieć, co chciała wyjąć. Zamknęła drzwiczki. Lekki podmuch, jaki przy tym poczuła, wydał jej się kojący. Po minucie znów usiadła przy stole. Nadal czuła się ukojona, ale coraz mniej. Wiedziała, że to zaraz minie. Oby nie na zawsze, pomyślała. Potrzebuję tego.

Winter czekał w salonie Holstów. Tak, ten pokój był godny miana salonu. Zajmował chyba połowę dolnej kondygnacji. Był większy od kortu tenisowego, a mimo to nie wydawał się za duży w stosunku do reszty budynku. Wielki dom dla małej rodziny. Winter czekał na Pedera Holsta. Annica Holst poszła po niego na górę, jakby nie mógł zejść sam. A jak ja bym się zachowywał w takiej sytuacji? – pomyślał Winter. Stał plecami do schodów i wpatrywał się w trawnik przed domem. W ciepłej poświacie padającej z okna trawa wyglądała równie zielono jak latem. Wieczór nie był na tyle zimny, żeby pokryć żdźbła warstwą szronu. Może w nocy się ochłodzi. Spojrzał na zegarek. Za pięć godzin oficjalnie zacznie się Wigilia. Najprawdopodobniej będzie się wtedy krzątał po kuchni i przygotowywał kolację. A wokół będzie się unosić zapach gotowania, przypraw i może whisky. Prawie zawsze Wigilia jest najpiękniejszym dniem roku. Odkąd został ojcem, wróciło po trosze to poczucie wyczekiwania na święta, które towarzyszyło mu, kiedy był dzieckiem. Wigilia, najbardziej niewinny dzień roku, była tuż-tuż. Usłyszał za sobą jakiś dźwięk i odwrócił się. Na środku pokoju stał mężczyzna. Nie słyszał, kiedy zszedł po schodach i wszedł do salonu. Annica Holst została na górze, ale nie miał zamiaru po nią iść. Jeszcze nie teraz. Peder Holst wyglądał obco. Winter nagle poczuł się tak, jakby to on był tu gospodarzem, a Holst tylko przypadkowym gościem. Rozglądał się, jakby nie znał tego miejsca. Był średniego wzrostu, miał na sobie szare spodnie, kardigan i jasną koszulę. Do tego szpakowate włosy, wciąż gęste, i okulary w rogowych oprawkach. Winter nie pamiętał, ile ma lat, chyba około sześćdziesięciu, ale tego wieczoru wyglądał o dziesięć lat starzej. Rozejrzał się jeszcze raz, jakby nie wiedział, czy ma tak stać na środku pokoju, czy może usiąść, a jeśli tak, to gdzie.

– Usiądziemy? – zapytał Winter.

– Tak, oczywiście – odparł Holst słabym, niknącym wręcz głosem. Winter wychwycił słowa z wielkim trudem.

Holst usiadł na najbliższym fotelu. Był obity ciemną skórą, tak jak trzy inne ustawione wokół niskiego stołu z olejowanego drewna.

Winter nie widział żadnego podobieństwa między Madeleine i jej ojcem. W mieszkaniu przy Chalmersgatan było dużo jej zdjęć. Madeleine za życia. Sama, z Martinem, z mamą, z ojcem, z obojgiem rodziców i z ludźmi, których część już udało im się zidentyfikować, części jeszcze nie. Te przekłete zdjęcia, które pokazują życie, chociaż kontrolę przejęła już śmierć. Przerwane życie. Krótkie życie. Żal na twarzy Pedera Holsta widać było gołym okiem. Zdawał się przytłaczać jego rysy niczym kamień. Zapewne to dlatego Winter nie umiał się dopatrzyć podobieństwa do uwiecznionej na zdjęciach córki. Wyglądał raczej na umarłego niż żywego, jego twarz zastygła w maskę. Odwrócił się do Wintera.

– Po co pan przyszedł?

Zapytał prosto z mostu, ale sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie.

– Chciałem panu zadać kilka pytań.

– Dlaczego teraz? Dlaczego właśnie dziś wieczorem?

– A czy to ma znaczenie?

– Teraz, po śmierci Madeleine? Nie ma.

– Nie zajmę państwu dużo czasu.

– Nie ma pan własnego życia?

Kolejne bezpośrednie pytanie. I znów wyglądał, jakby pytał samego siebie.

– Po prostu staramy się znaleźć odpowiedź – odparł Winter.

– Dlatego przyszedłem teraz. Nie chciałem czekać.

– Więc taki z pana typ? – Tym razem Holst odezwał się głośniej. Poruszył się i fotel zaskrzypiał. W cichym pokoju ten dźwięk też zabrzmiał głośno.

– Co pan ma na myśli?

– Taki, co nigdy nie odpuszcza. Nigdy nie potrafi odpuścić, nigdy się nie poddaje.

– Możliwe. Na pewno czasami taki jestem.

– Na przykład tym razem. Teraz.

– A to źle, że akurat teraz?

Holst nie odpowiedział. Skrył martwą twarz w dłoniach, ale potem ją podniósł i spojrzał na Wintera.

– Sam taki byłem – powiedział. – A potem przestałem.

Winter najpierw pomyślał, że mówi o śmierci córki, ale coś w jego głosie sugerowało, że nie o to mu chodzi.

– W którym momencie?

– To nieistotne.

– Dlaczego?

Holst milczał. Wstał i szybko podszedł do okna. Zatrzymał się.

– Kto to zrobił? – powiedział po chwili, stojąc plecami do Wintera. – Kto zabił moją córeczkę?

– Nie wiemy – odparł Winter. – A jak pan myśli?

Holst odwrócił się do niego.

– Ktoś, kogo nie znała – powiedział. – A to chyba jeszcze straszniejsze.

– Jak to?

– Ktoś postanowił zabić moją Madeleine. I nie miało znaczenia, że to ona. Mogło trafić na kogokolwiek.

Winter nie odpowiedział.

– Mogło trafić na kogokolwiek, a trafiło na nią!

– Nie – powiedział Winter. – Za tym kryje się coś więcej.

– Co? Niech pan powie!

Holst wyglądał teraz inaczej. Wrócił do życia, jakby nagle miał w co wierzyć. W to, że jego córka nie zginęła przez przypadek, że nie była pierwszą lepszą ofiarą.

– Proszę mi powiedzieć – ciągnął Winter. – Co pan sam o tym sądzi? Dwie młode kobiety zabito w ten sam sposób. To już pan wie. Dlaczego właśnie one? Dlaczego Madeleine i Gloria? I dlaczego Martin i Erik?

– Nie mam pojęcia – odparł Holst. – Skąd miałbym wiedzieć? To przecież pańskie zadanie. To pan wyjaśnia takie sprawy.

– Wyjaśniam między innymi przez zadawanie pytań. Więc pytam: co się wydarzyło między panem a Lentnerem?

– Że co?

Holst zrobił krok naprzód. Rozejrzył się gwałtownie, jakby się bał, że ktoś ich usłyszy. Ale jego żony nie było w pobliżu. Nie zeszła jeszcze z góry. Wintera to zastanowiło, ale nie zapytał o nią. Widocznie chciała, żeby jej mąż porozmawiał z

nim sam na sam. Może właśnie o tym.

– Co się stało? – powtórzył Winter.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Wiedział. Ale Winter rozumiał, dlaczego woli nie wiedzieć. To było tak odległe wspomnienie. Może przez dwadzieścia lat starał się je wyrzucić. A teraz wróciło. I to tutaj – w ich eleganckim salonie. Wybiło niczym ścieki z szamba, które zdawało się już na zawsze zasypane głęboko pod ziemią. O którym pamięć zaginęła. Ale nigdy tak nie jest. Wszystko kiedyś wypłynie na wierzch. Można ukryć brudy na jakiś czas, ale nie na zawsze. Kiedyś nadchodzi ten moment, a dla Holsta nadszedł właśnie teraz.

Zaczął płakać. Oczy napełniły mu się łzami. Nagle jego spojrzenie nabrało życia. Jakby woda zaląła pustynię, pomyślał Winter.

– Co się stało?

– Skąd pan wie? Co pan wie?

– Chcę wiedzieć – odparł Winter. – Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Dlaczego? Przecież to nie ma nic wspólnego z tą sprawą. To nieistotne.

– Co pan zrobił temu chłopcu?

– Nic! – Holst zrobił kolejny krok naprzód. Zaciśnął pięść. Winter czuł wiszącą w powietrzu groźbę. Pojawiła się i zniknęła niczym gwałtowny podmuch wiatru. Holst rozluźnił dłoń. Spojrzał na palce, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Oczy obeschły mu równie szybko, jak chwilę wcześniej napełniły się łzami. – Co niby miałbym mu zrobić? Co oni mówili? Co panu nagadali?

– Kto?

– Mats i Ann oczywiście. Co oni, do cholery, panu nagadali?

– Tylko to, co opowiedział im Erik.

– Opowiedział?! Nie miał co opowiadać!

– I tak chciałbym usłyszeć.

– To ma być żart?

– Nie.

Winter znów poczuł bijącą od niego nienawiść. Kryła się w

nim jak cień, który w każdej chwili może wychynąć.

– Ten szczeniak coś sobie uroił. Bez przerwy coś sobie wymyślał. Jakbym ja... my... jakby do czegoś doszło. Uroił to sobie!

– Gdzie to było? – zapytał Winter.

– Co pan ma na myśli?

– Gdzie to się stało?

– Ale przecież powiedziałem, że nic się nie stało!

– Tak czy inaczej, musiało chodzić o jakieś konkretne miejsce. Nawet jeśli do niczego nie doszło. Gdzie to było?

– A nie powiedzieli panu? Bóg jeden wie, co nagadali.

– Kto?

– Lentnerowie, rzecz jasna.

– Gdzie to było? – powtórzył Winter.

– W Hiszpanii. Na Costa del Sol.

– A dokładniej?

– Dokładniej? Tam gdzie mamy dom. W Nueva Andalucía. Trochę na zachód od Marbelli.

– Lentnerowie też mieli tam dom, tak?

Holst nie odpowiedział.

– To było w pańskim domu?

– Dom należy do mnie i do żony. A ona wie, że do niczego nie doszło. Wszyscy wiedzą. Ten chłopak miał bujną wyobraźnię. Fantazjował. Przyszedł na basen, kiedy akurat miałem wskoczyć do wody. Zjawił się ni z tego, ni z owego. A ja nie miałem na sobie kąpielówek. – Holst spoważniał. Mówił szybko. – Zawsze kąpię się nago. Wszyscy to wiedzą. Wiedzieli. Nie zauważyłem go. Spostrzegłem go, dopiero kiedy miałem wskoczyć do basenu. Ale i tak wskoczyłem. Może właśnie dlatego. Żeby mnie nie widział. Ale on wciąż tam stał. Cholera wie po co. Chyba poprosiłem, żeby sobie poszedł, żebym mógł wyjść z basenu. W końcu zaczęło mi się robić zimno. Niebo było błękitne, ale mimo wszystko to była zima. A on tam stał i gapił się jak jakiś idiota. Kiedy wreszcie wyszedłem z wody, poprosiłem, żeby mi podał ręcznik, i on to zrobił.

Holst skończył. Wyglądał, jakby już do końca życia miał nie powiedzieć ani słowa.

– Czy był tam ktoś jeszcze? – zapytał Winter.

Holst milczał.

Winter powtórzył pytanie.

– Co ma pan na myśli? – Holst nie rozumiał.

– Czy był tam jeszcze ktoś? Ktoś, kto was widział?

– Nie. Nie pamiętam, czy Annica była wtedy w domu. Może poszła do miasta na zakupy.

Na pewno pamięta, pomyślał Winter. Coś, co przez resztę życia próbuje się wyprzeć, pamięta się lepiej niż całą resztę. Wszystkie szczegóły zostają w pamięci, jak wytatuowane.

– A Madeleine?

– Co Madeleine?

– Gdzie wtedy była?

– Pewnie z Annicą.

– Więc był pan tam z Erikiem sam na sam?

– Sam na sam? Nie! Przecież mówię, że nurkowałem. Oni mieszkali niedaleko. Ci Lentnerowie. Chyba wciąż tam mieszkają, sam nie wiem. Tam było tylko kilka ulic na krzyż. Wtedy Nueva Andalucia nie była duża. Teraz już się rozrosła. Nie ma sensu, żebym to panu wyjaśniał, ale gdyby pan sam zobaczył, toby pan rozumiał.

– Widziałem – odparł Winter.

– Tak?

– Byłem tam.

Na razie nie chciał mówić nic więcej. Czuł, że znajomość tego miejsca, tej okolicy działa na jego korzyść. Jakby miał przewagę. Choć sam nie wiedział nad kim. Niekoniecznie nad Holstem. Tak czy inaczej, wątek Nueva Andalucia zapewne jeszcze wróci w tej sprawie. Nie wiedział jak, ale to było nie do uniknięcia. A niestety miało związek z przeszłością jego i jego rodziny. I wtedy pomyślał, że będzie musiał znów pojechać do Hiszpanii. Podróż wbrew woli. Ostatnia podróż.

– Czy ktoś inny mógł pana widzieć przy basenie? Widzieć was? Pana i Erika? Może ktoś przechodził? Albo pracował w pobliżu? Ktokolwiek.

– Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem. Wtedy też nie. – Spojrzał na Wintera. Oczy miał suche jak pustynne skały. –

Zresztą co to za różnica?

– Czy ktoś mógł was widzieć? – powtórzył Winter. – Czy może basen był otoczony murem?

– Przecież nie kąpałem się nago przed połową miasta. Oczywiście, że wokół basenu był mur. Ale gdyby ktoś chciał zajrzeć, mógłby. No i furtka nie była zamknięta. Właśnie tak wszedł chłopak.

Winter skinął głową.

– A co? Powinniśmy byli mieć świadka? Mnie by to odpowiadało. Wtedy od razu wyjaśniłbym tę sprawę. A nie...

Zamilkł.

– A nie co? – zapytał Winter.

– Przecież pan wie. Chłopak wrócił do domu z jakąś okropną historią. Jego rodzice się wściekli. Naskoczyli na mnie, no i tak się skończyła nasza znajomość.

– A byli państwo znajomymi? Często się spotykaliście?

– Cóż... jak to zwykle bywa w Hiszpanii. Od czasu do czasu drink, grill, golf.

Zawiesił głos i kolejny raz wyjrzał przez okno. Trawnik był ogromny i bardzo zielony. Powietrze przejrzyste. Wszystko wyglądało świeżo, jak w innym świecie. Wszystko było lepsze, zdrowsze.

– A do tego mnóstwo pogaduszek. Czy raczej bzdurnych rozmów, jeśli mam być szczery – ciągnął Holst. – Czyli bezsensowne życie. Ale dla mnie już się skończyło.

– Jak to?

– Już nigdy tam nie pojadę. Dla mnie to koniec.

– Dlaczego?

– To chyba jasne.

– Ma pan wybór. Mógłby pan opuścić na zawsze Göteborg.

– Dlatego że to... to się stało tutaj? – zapytał Holst. – Nie. Zostanę. Chcę wiedzieć, kto to zrobił. Ja... to... – Zamilkł.

– Co chciał pan powiedzieć?

– Już nigdy tam nie pojadę – powtórzył Holst.

– Dlaczego?

W głosie Holsta było coś, co Winter starał się złapać, wychwycić. Chodziło o to, o czym właśnie rozmawiali. A może o

coś innego. Ale udało mu się ustalić miejsce: hiszpańskie wybrzeże. To tam kryła się przeszłość. Coś poważniejszego i może gorszego niż oskarżenia przeciwko Holstowi.

– Chcę wiedzieć, kim jest to bydłę – powiedział Holst. – A on jest tutaj. W tym mieście.

Winter wpatrywał się w światła na rufie statku zmierzającego w stronę otwartej wody. Wigilia na morzu. Na spokojnym morzu. Cicha noc. Cichy wieczór. Zaparkował niedaleko zatoczki i, przyświecając sobie latarką, zszedł na swoją plażę. Fale w równych odstępach z szelestem rozbijały się o brzeg. Niebo było bezchmurne. Księżyc niczym reflektor rozświetlał morze aż po horyzont. Woda wyglądała jak utkany ze srebra dywan. Widział zarys Tärnskär i Kräcklingeholmen. Latem dopłynął aż tam. W przyszłym roku też się wybierze, może tym razem z Elsą. Wszystko wróci do normy, będzie jak zawsze.

Podniósł kamień. Był płaski i chłodny. Rzucił nim i patrzył, jak tańczy nad powierzchnią wody. Widział jego ruchy wyraźniej niż za dnia. Miniexplozje srebra, jedna za drugą. Pozbył się z plaży kolejnego kamienia. Kolejna zbrodnia. Chwył jeszcze jeden i cisnął go daleko i wysoko. Usłyszał plusk, ale nie widział, jak wpada do wody. Rzut kamykiem w dal. Poczul pulsowanie w mięśniach. Nie był przyzwyczajony do takiego ruchu. Dzięki temu niepokoił się trochę mniej, ale wciąż mocno. Czuł to, kiedy wychodził od Holstów i wsiadał do samochodu, a potem mijał wąskie uliczki Hovås.

Ale tutaj panował spokój. Chwył kolejny kamień, ale po chwili upuścił go na piach. Od strony morza dobiegł warkot motoru. Brzmiał miękko, jakby był częścią świata natury. Natury stworzonej przez Boga. Winter sam chciałby nią być, bo czegoś takiego pragnie przecież każdy.

DOCHODZIŁA PÓLNOC. Winter przyrządzał zapiekane śledzie. Teraz zrozumiał, że niepotrzebnie zrezygnowali z szynki. Bo co to za przygotowania do Wigilii bez pieczenia szynki, próbowania pierwszego plastra, nagrzanego pieca, musztardy domowej roboty, chleba z żurawiną, piwa i kieliszka wódki, która po schłodzeniu jest gęsta jak olej. To właśnie jest prawdziwe życie, a on z niego zrezygnował.

Wsadził do pieca blachę ze śledziami i przystanął na chwilę. Noc naprawdę była cicha. Żadnych idiotów puszczających fajerwerki na ulicy. Żadnych piratów drogowych na Vasagatan. Żadnych płonących samochodów na skrzyżowaniach. Żadnych strzelanin. Nie tego wieczoru.

Teraz potrzeba nam tylko śniegu. Gdyby tak jutro, kiedy Elsa i Lilly się obudzą, śnieg pokrywał już dachy... To byłby dla nich najpiękniejszy prezent gwiazdkowy. Może rano zdążymy wyjść do parku, pobiegać, porobić orły. Oczywiście Angela zrobi pierwszego. Dziewczynki są dumne, że ich mama robi takie świetne orły. Wszyscy nabiorą rumieńców. Może zabrają ze sobą termos gorącej czekolady. I bułeczki szafranowe.

Ubrali choinkę, kiedy wrócił do domu. Było już późno, ale Elsa siłą woli dotrwała, nie usnęła. Przeprósł ją. Kiedy zakładał lampki, starał się zapomnieć o wszystkim, co nie miało związku z rodziną i ze świętami. A święta zaczęły się na dobre, kiedy tylko włożył wtyczkę do kontaktu. Światelka rozbłysły, a Elsa krzyknęła i klasnęła w dłonie.

Śniła mu się plaża. O dziwo, wiedział, że to sen. Jakby sam go sobie opowiadał. Zobaczył siebie na plaży, podszedł bliżej, ale to nie była jego plaża. To w ogóle nie była północna plaża, rosły na niej palmy. Rozpoznał promenadę – Playa de Venus. Stał przy starych wrakach, tam gdzie miejscowi codziennie w porze lunchu grillowali sardynki. Dym unosił się nad plażą i znikał we mgle nadciągającej od Afryki. Ale to nie była jeszcze pora lunchu, tylko poranek. Nie powinno się grillować sardynek tak

wcześniej, to poważny błąd. Przechodząc obok, krzyknął: zamieńcie je na śledzia, do cholery! Przecież są święta! Teraz je się zapiekanego śledzia, nie rozumiecie tego, wy przekłeci Andaluzjczycy?! Albo śledzia w zalewie. Sardynki też się nadadzą, ale trzeba je zamarynować. Nie pojmujecie? Czy muszę wam to wyjaśniać? Czy wszystko muszę wyjaśniać? Co za idiotyczny sen. Jak każdy. Szedł dalej w stronę plaży, udając, że ten żalony incydent z sardynkami w ogóle nie miał miejsca. Poza tym był goły. Stał nad szumiącym morzem. Fale były delikatne, niezbyt wysokie. Dopiero co siódma była większa. Schylił się i chwycił kamień. Tutaj, przy wodzie, było ich więcej niż przy restauracji, gdzie grille wypaliły wszystkie kamienie. Odwrócił się w tamtą stronę. Restauracja płonęła na całego. Płomienie sięgały czterech metrów. Mężczyźni, którzy stali za grillami, machali do niego, kiwali głowami i uśmiechali się. Wrzucali śledzie w ogień. *Muy bien*, tak to się robi. Wreszcie czegoś się nauczyli, coś zrozumieli. Zamachnął się i cisnął kamień do wody. Raz-dwa-trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-osiem-dziewięć-dziesięć-jednaście-dwanaście... Nigdy się nie nauczył kolejnych liczb, ale kamień podskakiwał dalej niczym latająca ryba. Wpatrywał się w niego, ale zobaczył też coś jeszcze – jakąś kłodę. Poruszała się, popychana siódmą falą. Była coraz bliżej. Wskoczył do wody jak szalony, a kłoda odwróciła się do niego twarzą. Rozpoznał ją. To był Bergenhem. W jednej ręce trzymał kamień, drugą mu groził. Temu kamykowi cztery miliony lat zajęło wydostanie się na brzeg, powiedział Lars, kiwając palcem, a ty go wrzuciłeś do wody. Coś ty zrobił? Eriku, coś ty zrobił?! Gdyby mnie tu nie było, spadłby na dno. Może nawet by tam umarł. Pomyślałeś o tym? Umarłby! Myślałeś o śmierci? To ostatnie zdanie też musiał powiedzieć Bergenhem, ale w tej samej chwili zniknął. Kłoda odpłynęła z powrotem, choć to niemożliwe. Winter zaczął szukać samego siebie po całej plaży, ale i on sam zniknął. Nigdzie go nie było. Wołał samego siebie, ale nikt nie odpowiadał. A on wołał i wołał.

– Eriku? Eriku?

– Wiem – odpowiedział.

- Co mówisz?
- Wiem, że to sen. Tylko muszę go znaleźć. Zaraz wrócę.
- Eriku? Eriku?!

Angela niepotrzebnie zaczęła do niego mówić teraz, kiedy jeszcze nie miał pojęcia, gdzie jest. Przecież musi być gdzieś w pobliżu plaży. Musi się najpierw znaleźć! Restauracja nadal płonęła, a więc tam nie mogło go być. Nie było go też w basenie, który ktoś zdążył zbudować na promenadzie, kiedy on rzucał kamieniem. Dobra robota. Ale tam też go nie było. Jeden z chłopaków piekących śledzie podszedł i pociągnął go za rękę. Mocno. Próbował się wyrwać z uścisku, ale nie dał rady. Chłopak był silny. Kto by nie był, gdyby grillował sardynki, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nie wspominając już o grillowaniu śledzi! Chłopak znów go pociągnął. Zabolalo.

- Au! Puszczaj! Puszczaj!
- Eriku! Obudź się!

Obudził się. Wydawało mu się, że cały czas nie spał, ale widocznie się mylił. A był pewny, że nie spał i stał obok łóżka, jakby strzegł pokoju. Widział siebie i Angelę we śnie. Wyglądało to tak spokojnie. Tkwił bez ruchu przy nogach łóżka. We śnie wyglądali tak spokojnie. Jakby już nie musieli się budzić, jakby zasnęli na zawsze. Oboje albo jedno z nich. Może tylko jedno, ale które?

– Byłem w Marbelli – powiedział. – Zniknąłem na plaży Venus.

- Zniknąłeś?
- Zniknąłem, nigdzie mnie nie było.
- To tylko sen.
- A jednak.
- Eriku, to tylko sen.
- Która godzina?
- Poczekaj. – Usłyszał, jak Angela się odwraca i sięga po leżący na nocnej szafce zegarek. – Druga.

– Muszę się napić.

Postawił stopy na podłodze. Deski były miękkie i ciepłe.

- Ostatnio coraz częściej masz sny – zauważyła.
- Chyba raczej koszmary.

Nie odpowiedziała.

– Nawet w nocy nie mam spokoju – westchnął.

Wciąż milczała. Bo co miała powiedzieć. Nocą śniła mu się śmierć, bo w dzień o niej myślał. O niej, o jej sensie. Potrzebował snu bez snów. W przeciwnym razie wróci ból głowy, a może i coś gorszego. Może oszaleje jeszcze bardziej, tak jak w snach. Będzie biegał ulicami i darł się jak wariat. Zrobi rewoltę, ale jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Musi upłynąć kolejnych dwadzieścia lat. Chociaż wtedy będzie już po wszystkim. Teraz jeszcze nie jest, nie do końca.

Wstał, poszedł do toalety. Westchnął, kiedy strumień moczu popłynął do muszli. Spuścił wodę, umył ręce i poszedł do kuchni. W powietrzu unosił się słodki, ciężkawy zapach jedzenia i przypraw. Poprzedniego dnia upiekł kilo żeberek, jakby ze wstydu, że zrezygnował z szynki. W ostatniej chwili wzięła go ochota na mięso. W lodówce żeberka błyszcząły, ułożone obok dań ze śledzia i sałatki z buraków. Wziął wodę mineralną i napił się z butelki. Smakowała solą, morzem. Źle przełknął, zakasłał, zakrztusił się i znów zaczął kaszleć. Miał wrażenie, że woda zalewa mu całą głowę. W oczach stanęły mu łzy, słone jak morze. Cholera, nawet wody nie mogą wypić jak człowiek, pomyślał. To przez ten cholerny sen. Muszę o nim zapomnieć.

Za plecami usłyszał Angelę.

– Klepnąć cię?

– Nie, już w porządku.

– Elsa pytała, co to za hałas.

– To tylko ja.

– Powiedziałam jej.

– To dobrze,

– Chyba już zasnęła.

– To dobrze.

– Powiedziała mi, że jutro Wigilia.

– Nagle zdziecinniała?

– To miał być żart. Udawała Lilly.

– No dobrze.

– Wracamy do łóżka?

- Za chwilę.
- Co będziesz robił?
- Muszę się uspokoić.
- Jak będziesz tak siedział, to się rozbudzisz.
- Spokojnie.

Dopiero teraz odstawił pustą butelkę. Krztusząc się, cały czas trzymał ją w ręku.

- Posiedzisz ze mną trochę? – zapytał.
- Jasne.
- Chodźmy na sofę.

Poszli do salonu. Wyjrzał przez balkonowe okno. Na niebie świecił ten sam księżyc i te same gwiazdy co w Billdal i Hovås. Otworzył drzwi. Powietrze było bardzo rześkie. Miał wrażenie, że jest kilka pięter wyżej. Zastanawiał się, czy nie zapalić, ale zrezygnował.

- Nie paliłem od trzech dni – powiedział, nie odwracając się.
- Wiem.
- A skąd?
- Bo wyglądasz zdrowiej.
- Wiem. – Teraz się odwrócił. – Oni się boją. Boją się czegoś.

Angela nie odpowiedziała. Wiedziała, że to nie koniec, że zacznie jej wyjaśniać.

– Nie wiem kto – ciągnął. – Ale wyczuwam strach. Wielki strach.

- Przed kim? Przed czym?
- Tego też nie wiem.

– Chodzi o tych młodych mężczyzn? O tych, których na początku podejrzewaliście?

– Ci z dochodzeniówki, ci, którzy ich przesłuchiwali, mówili, że się czegoś boją. Nie doszliśmy czego. To coś, o czym nie chcieli nam powiedzieć. Więc może chodzi o nich, ale może o innych.

- Kogo masz na myśli?
- Na przykład rodziców.
- Myślisz, że mogą wiedzieć więcej, niż mówią?
- Może.
- Czy któreś z nich może być winne?

– Wzięliśmy od nich próbki DNA, ale trudno będzie udowodnić winę, nawet jeśli znajdziemy ich ślady w mieszkaniu. Przecież mogli je tam zostawić wcześniej. Wszyscy mieli klucze.

– A byli tam wcześniej?

– Jeszcze nie pytałem. Chcę z tym poczekać.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem. – Odwrócił się z powrotem w stronę balkonu. – Ale zaczekam na coś więcej.

– Na co?

– Będę wiedział, kiedy to zobaczę.

– Zabrzmiało groźnie.

Nie odpowiedział. To było groźne. Nie chciał o tym mówić tutaj, w domu. Nie chciał tego u siebie. Niepotrzebnie zaczął ten temat. Wciąż się nie rozbudził, wciąż był nagi, bezbronny. Dlatego powiedział jej o tym strachu. Nie chciał być z tym sam, źle mu to robiło.

– Skoro już rozmawiamy o twojej pracy... – powiedziała Angela. – Dowiedzieliście się czegoś o tym mężczyźnie, który... który wypłynął u nas?

– Nie, to wciąż zagadka.

– Dlaczego był ubrany jak na pogrzeb? Skąd ten biały krawat?

– Może to miał być jakiś symbol. Albo zwykły przypadek. Może był daltonistą. On albo zabójca. Ale nie był na żadnym pogrzebie, tyle wiemy.

– A propos strachu. Dlaczego to się stało właśnie u nas? I to kiedy tam byliśmy? Wiem, że pewnie nie odpowiesz mi na to pytanie, ale ja właśnie tego się boję.

– Niepotrzebnie. To nie ma z nami nic wspólnego.

– Czasami mam wrażenie, że wszystko ma z nami coś wspólnego.

Wigilijny poranek był bardzo nerwowy. Słońce tylko pogarszało sprawę, dosłownie zalało całą okolicę. Gerda nie mogła już spać. Zaciągnęła wszystkie żaluzje, ale słońce i tak wdarło się do środka. W bezlitosnym świetle podłoga wyglądała na bardzo brudną, kurz zalegał na niej jak piach na pustyni.

Zdawało się, że żeby tu mieszkać, trzeba nosić maseczkę ochronną. W pochmurne dni nie było tego widać, ale tej zimy pochmurne dni były tylko wspomnieniem. Gerda tęskniła za chmurami niczym zakwefiona kobieta pod palmą wyczekująca monsunu. Słońce ją drażniło, a rozdrażnienie to to samo co samotność. Tego ranka ledwo zdołała wytrzymać w pustej kuchni na tyle długo, żeby napełnić ekspres wodą, a potem nalać kawy i mleka do kubka. Włączyła radio na kuchennym blacie. Trafiała na ludową przyśpiewkę o lisku chyżo biegającym po lodzie. Lis na lodzie, typowo szwedzki motyw, ale to już chyba historia. W Göteborgu nigdy nie widziała lisa. Za oknem kilkoro dzieci w podskokach wspinało się pod górę. Kilka metrów za nimi szedł mężczyzna w czerwonej czapce. Dzieciaki aż roznosiło z radości, wskakiwały, na co tylko mogły. Z radia słyhać było tańce, ludzie naprawdę tam tańczyli, ciężko tupiąc. Tańce najlepiej podziwia się w radiu. Popatrzyła na swoje bose stopy i wyłączyła radio w połowie pieśni. Chciała, żeby ranek był szybszy od słońca, żeby tego popołudnia wcześniej zrobiło się ciemno. Pewnie czeka ich kolejny niesamowicie piękny płomienny zachód słońca. Miała nadzieję, że o tej porze będzie już daleko we wschodniej części miasta, plecami do zachodu, w drodze do pierwszej wigilijnej kolacji, która poszła nie tak. Może na przykład ktoś podpali Mikołaja.

Na dworze powietrze aż zatykało. Zero stopni. Założyła ciemne okulary, żeby osłonić się przed jaskrawym słońcem. Poszła na Mariaplan i stanęła w kolejce do bankomatu. Przed nią stała para meneli. Kobieta się odwróciła i Gerda ją poznała. Mężczyznę też. Tym razem nie było z nimi dziewczynki. Święta spędzała gdzie indziej. Mamusia i tatuś w końcu wyciągnęli pieniądze, Bóg jeden wie skąd. Milczeli, jakby przejęci atmosferą tego dnia. Potem ruszyli na północ, w stronę monopolu.

Zadzwoiła jej komórka. Spojrzała na zegarek. Kwadrans po jedenastej. Numer z zagranicy.

- Cześć, Mutti.
- Gerda! Wesołych świąt!
- Tobie też, mamó.

- Co tam dziś u ciebie słycać?
- Pogoda jak zwykle piękna. Wyszłam na przechadzka, bo wieczorem pracuję.
- Przyjedziesz do nas na Nowy Rok?
- Jeszcze nie wiem.
- Obiecałaś. Tata tak by się ucieszył.
- Naprawdę?
- Przecież wiesz, że tak. Nie powinnaś w ogóle pytać.

Poszła dalej, ulicą Slottsskogsgatan w stronę Jaegerdorffsplatsen. Słuchała niemieckiej gwary mamy. Bardzo długo nie wiedziała, że język z okolic Lipska uznaje się za chłopski dialekt. Kiedy jednak porównała go z literackim niemieckim, zrozumiała dlaczego. Lipski dialekt zdawał się opóźniony w rozwoju. Był nawet gorszy od szwedzkiego dialektu smålandzkiego. Jej mama wymawiała *Weichnachten*, jakby wcześniej starannie wyuczyła się tego słowa, ale w Lipsku nikomu to nie przeszkadzało. W Göteborgu też nie.

- Postaram się przyjechać – powiedziała Gerda.
- Teraz są bezpośrednie loty z Göteborga do Berlina – odparła mama. – Wiedziałaś? A potem możesz wsiąść w pociąg.

– Wiem.

Gdzieś w tle usłyszała jakiś głos.

- Tata cię pozdrawia – powiedziała mama.
- Ja jego też.
- Właśnie wychodzi.
- No tak.
- Wieczorem idziemy do wujka Andreasa.
- Jego też pozdrów.

Na chwilę zapadła cisza. Gerda słyszała, jak w szarym szeregowcu rodziców, stojącym niedaleko targów, otwierają się i zamykają drzwi. W Lipsku wszystkie szeregowce są szare. Może w ten sposób przypomina o sobie historia. Za oknami rodziców też jeździły tramwaje. I w Lipsku, i w Göteborgu można się było dzięki nim poczuć jak w domu.

- U nas też świeci słońce – odezwała się znowu mama. – Ale nie ma śniegu.

- U nas też nie.
- To może lepiej.
- No.
- Bez śniegu łatwiej się jeździ po mieście. Tobie pewnie łatwiej się wtedy pracuje, co?
- No.
- Nie podoba mi się, że masz dzisiaj służbę.
- Dlaczego?
- Bo nikt nie powinien dzisiaj pracować. Przecież jest Wigilia.
- Wielu ludzi chce, żebyśmy pracowali. Są zadowoleni, kiedy przyjeżdżamy.
- Naprawdę?
- Tak. Czasami można się poczuć jak Święty Mikołaj.
- Jak Mikołaj? Żartujesz sobie ze mnie, prawda?
- Tak.
- Ale uważaj na siebie, dobrze?
- Jasne.
- Nie będziesz chyba sama?
- Nie, zawsze jeździmy we dwójkę.
- Bądź ostrożna.
- Zawsze jestem.

Gerda zobaczyła, jak na przystanek podjeżdża tramwaj. Wsiadła do niego, chociaż tego nie planowała. To chyba przez ten telefon. Jak się rozmawia, nogi same niosą człowieka przed siebie. Nagle można się gdzieś znaleźć, nie wiedząc, jak się tam trafiło. Tramwaj ruszył.

- Kiepsko cię słyszę, mamó. Zadzwońię jutro.
- Wesołych świąt. Myślmy o tobie.
- Pa, mamó.

Rozłączyła się. Tramwaj ze stukotem przejechał przez Hång Mattan. Była w wagonie sama, prawdziwie luksusowa podróż. Na Stigbergstorget też nie było zbyt wielu ludzi, tylko kilka osób wchodziło i wychodziło ze sklepu samoobsługowego. Pewnie robili ostatnie zakupy na Wigilię. Ona nic nie kupiła. Może przed służbą skoczy na pizzę. Wigilia jest tylko dla rodzin.

O WPÓŁ DO DRUGIEJ NA STOLE, na blacie i w piekarniku czekało już wszystko: dwa gatunki śledzia, jajka z krewetkami i majonezem, sałatka z buraków, łosoś wędzony na zimno, pokusa Janssona, pulpeciki, parówki, żeberka, czerwona kapusta, omlet z grzybami w śmietanie, chleb żytni i masło. A do tego julmust⁷, piwo i wódka. Może nie za dużo, ale dużo.

Winter miał zarumienione policzki.

– Wybaczcie, że posiłek taki skromny – powiedział. – A żona taka brzydka. – Zacytował chińskie powiedzenie, którym zaczyna się przyjęcia. Elsa uznała, że wcale nie jest zabawne. Wszyscy tak zresztą uważali. Chyba jedzenie go oszołomiło, zanim zaczął jeść.

Kaczor Donald oszalał i na zawsze zmienił się w dzięcioła. Myszka Miki i Goofy razem z Donaldem cudem przeżyli szaloną podróż przez Góry Skaliste. Chip i Dale drażnili się z psem Pluto, a siedmiu krasnoludków robiło, co mogło, żeby pomóc Śnieżce.

Winter widział już wszystkie odcinki. W końcu urodził się w roku 1960. Wychował się na tych bajkach. Jego dzieciństwo przypadło na lata, kiedy w telewizji był tylko jeden kanał. Teraz tamten świat wydawał się rajem utraconym. Czy to kwestia wieku? A może to nostalgia?

Miał nadzieję, że Elsa i Lilly tak jak on przez całe życie będą doceniać ten święty czas oglądania bajek. To będzie ich wspólne wspomnienie. Miki, Donald i Goofy.

Wreszcie program się skończył. Dużą część Wigilii mieli już za sobą, ale to, co najlepsze, było jeszcze przed nimi.

Gerda Hoffner i Johnny Pośpiech kursowali po Vasastan. Na ulicach, o dziwo, wciąż byli ludzie. Pewnie robili ostatnie zakupy. A może po prostu byli bezdomni albo nie mogli usiedzieć w miejscu.

⁷ Napój bezalkoholowy w smaku podobny do podpiwku. W Szwecji sprzedaje się go w okresie świąt Bożego Narodzenia (przyp. tłum.).

Minęli Götaberggatan, restauracje 28+ i Basement.

– Byłaś kiedyś w którejś z tych knajp? – zapytał Johnny.

– Żartujesz?

– Tak.

– A ty?

– Pójdę, jak wygram w totka.

– I co, wydasz kasę na knajpę?

– Nie, kupię sobie dom nad morzem. – Uśmiechnął się i zabębnił palcami w kierownicę. – Ceny są pewnie podobne.

Minęli tę kamienicę. Gerda nawet na nią nie spojrzała. Wiedziała, że w środku wszystko wygląda jak wtedy, gdy byli tam po raz pierwszy, z tą różnicą, że nie ma już ciała. Była tam jako pierwsza. Potem wróciła z Winterem. Czego udało mu się dowiedzieć? Co znaleźli technicy? Nie miała żadnych nowych wiadomości poza tą, że mężczyzn wypuszczono z aresztu. Prawdopodobieństwo, że to oni, okazało się za małe.

– Wypuścili tych koleśi – powiedział Johnny.

Bez słowa pokiwała głową.

– Cholera, a myślałem, że to on.

– Kto?

– Ten koleś, którego tu widzieliśmy. Mattias czy jak mu tam.

– Martin.

– Myślałem, że to on.

– Może się jeszcze okazać, że to on.

– Nie sadzę.

Johnny zawrócił przy Vasagatan. Wrócili tą samą drogą, kolejny raz minęli kamienicę. Jej górna część złociła się w słońcu. Wyraźnie było widać każdy detal fasady.

– I jak się czułaś, kiedy tam wróciłaś? – zapytał Johnny, spoglądając na dom. – Kiedy byłaś w środku?

– Nie było miło.

– Dzisiaj pewnie będzie spokojniej.

– Mam nadzieję.

Johnny się zaśmiał.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytała.

– Myślę, że dziś nie trafią nam się żadne tajemnicze zbrodnie.

– Tylko zwykłe? To masz na myśli?
– Nie, nawet takie nie.
– To co nam się trafi?
– No cóż, na pewno nie żadne prezenty gwiazdkowe. Aż tak popularni nie jesteśmy. – Odwrócił się do niej. – Dostałaś jakiś prezent?

– A dlaczego pytasz?
– Ot, tak sobie.
– Wiesz, że mieszkam sama.
– To chyba nie znaczy, że nie możesz dostać prezentu?
– A ty coś dostałaś?
– No, właściwie to kilka rzeczy. Od dziewczyny.
– I co ci dała?
– Koszulę. Ładną. Bumerang. I nową płytę Eminema. Oryginalną, nie ściągniętą.

– No, ściągnięta to chyba kiepski pomysł na prezent, co?

– Racja!

Johnny skręcił w Chalmersgatan. Minęli zamknięty posterunek. Nie było już po nim ani śladu. Czy po placówce instytucji działającej na rzecz społeczeństwa nie powinno coś zostać? Choćby jakaś tablica.

Kiedy przejeżdżali obok drugiej, czy raczej pierwszej kamienicy, Johnny się pochylił i spojrział na nią.

– No, nie miałbym ochoty wchodzić tam drugi raz.

Z kamienicy właśnie wychodził jakiś mężczyzna. Miał na sobie krótką kurtkę. Wyglądała na drogą. Na nosie ciemne okulary. Rozejrzał się i ruszył w prawo. Po chwili zniknął za rogiem. Gerda pomyślała o świetle, które widziała pod drzwiami, kiedy na klatce zgasła lampa. Pod drzwiami sąsiada. Nie podobało jej się to światło, było jeszcze gorsze niż ciemność. Johnny skręcił jeszcze raz. Jechali teraz Avenyn. Wciąż kręciło się tu trochę ludzi. Ale sklepy były już chyba zamknięte.

Jakiś mężczyzna stojący pięć metrów od radiowozu pomachał do nich. Chciał właśnie przejść przez ulicę, ale kiedy ich zobaczył, zatrzymał się. I pomachał.

– Ten menel czegoś chce – powiedział Johnny.

– Nie mów tak o nim. Ma na imię Tommy.

– Znasz go?

Gerda nie odpowiedziała. Tommy Näver podszedł do radiowozu. Gerda odkręciła szybę. Pod pachą miał kilka magazynów. Kiedy go zobaczyła, zrobiło jej się go żal. Zupełnie niespodziewanie. Jakby nagle stała się sumieniem świata.

– Poznaję panią!

Pokiwała głową.

– Ja widzę wszystko, mówiłem przecież. Każdego poznam. Ostatnio nie miała pani munduru, ale od razu panią poznałem.

– To miło z pana strony – odpowiedziała.

Był trzeźwy, przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wytrzymał do końca. Uciekał przed świętowaniem Wigilii tak długo, jak się dało. Podobnie jak ona.

– Dokąd się pan wybiera?

– Yyy... Do Armii Zbawienia. Dziś Wigilia. Jestem trochę spóźniony.

– Podrzucić pana?

Johnny niespokojnie się poruszył i spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

– Nieee, nie trzeba – odparł Tommy. – To niedaleko.

– Niech pan wskakuje – powiedziała Gerda. – I tak nie mamy nic do roboty.

– No dobra.

Usiadł na tylnym siedzeniu i zamknął drzwi. Johnny wykręcił na środku ulicy.

– Miałem spędzić święta z synem, ale jego matka znalazła tanie bilety last minute na Kanary.

– To niedobrze. Dla pana.

– Ale dla nich dobrze. Ją mam gdzieś, ale chłopak ucieszy się ze słońca. Dzisiaj ma urodziny. Może znajdzie sobie jakichś kumpli do gry w nogę na plaży.

– A pan tam kiedyś był?

– Na Kanarach? Tak, ale dawno temu – odparł. – To było w innym życiu – dodał po chwili cichym głosem.

Minęli Kungssportsplatsen.

Gerda zobaczyła mężczyznę z Chalmersgatan. Przechodził

obok księgarni. Wciąż miał na nosie okulary. Był na chodniku sam. Ruszył w stronę hotelu Avalon. Zaczęło już zmierzchać. Wielobarwne lampki na fasadzie hotelu wyglądały bardzo świątecznie, cały budynek przypominał choinkę.

Johnny przejechał obok parku. Przy ławkach bawiła się grupa pijacków, popychali się i zataczali między drzewami. Dwóch na widok radiowozu wzniosło toast.

– A niech to cholera – powiedział Tommy.

Jakaś para wyglądała, jakby chciała tańczyć. Kobieta podniosła rękę i zatoczyła półkole jak we flamenco. Może kiedyś, w innym życiu, była na wakacjach w Hiszpanii. Gerda zauważyła też paru mężczyzn z brodami Mikołajów i w czerwonych czapkach.

Johnny wjechał w Nordstan, minął kilka wąskich uliczek i zatrzymał się przed noclegownią Armii Zbawienia.

Tommy Näver otworzył drzwi.

– Dzięki za podwózkę – powiedział.

– Nie ma sprawy – odparł Johnny. To były pierwsze słowa, które wypowiedział, odkąd Tommy wsiadł. – Wesołych świąt.

– Więc on umie mówić? No proszę! Wesołych!

Wysiadł i wszedł do budynku, wciąż ściskając pod pachą magazyny. Ktoś inny wyszedł, pewnie już zdążył zjeść wigilijną kolację. Mam nadzieję, że coś zostało dla Tommy'ego, pomyślała Gerda.

Zgodnie z tradycją wszystkie prezenty leżały pod choinką. Było ich dużo. Elsa i Lilly nie mogły oderwać od nich wzroku. Zresztą Bim i Cristina, a nawet Lotta, Winter, Angela i matka Wintera też nie.

– Ach, to prawdziwa gratka dla dzieci – powiedziała Siv. – Dla mnie prezenty nie są ważne.

– Czyżby? – zapytał Winter.

Siedzieli w kuchni nad filiżanką espresso. Winter czuł się ociężały po jedzeniu, paru głębszych i po Kaczorze Donaldzie.

– Niektórzy rezygnują z prezentów – odparła Siv. – Przynajmniej dla dorosłych.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego?

– Po co rezygnować z prezentów dla dorosłych?
– Bo może są zbędne. To dzieci cieszą się z prezentów. Święta są głównie dla dzieci.

– Dla mnie też. A ja też byłem kiedyś dzieckiem, więc chcę dostawać prezenty. A jeśli nawet nie ja sam, to dziecko, które wciąż w sobie mam, chce.

Matka popatrzyła na niego.

– Wypiłeś jeszcze kieliszek po jedzeniu czy co?

– Skądże znowu. Zastanawiam się tylko, dlaczego ktoś miałby sobie odmawiać świątecznego prezentu ze względu na wiek. To jakaś absurdalna zasada. Dorośli przez cały rok mogą mieć gdzieś prezenty dla innych, ale w święta trzeba dać prezent i dostać prezent. Przynajmniej w tym domu.

– Dobrze, dobrze, mój chłopcze.

Samo mu się to powiedziało. Właściwie nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, ale pewnie takie miał zdanie na ten temat. On albo to dziecko, które w sobie miał.

– Może człowiek trochę odchodzi od tradycji, kiedy mieszka za granicą – dodała matka.

Winter nie odpowiedział. Nigdy nie pielęgnował tradycji ani nie ubolewał z powodu ich braku. Rodzice kupili dom w Hiszpanii, a ojciec zrobił ze swoimi pieniędzmi coś, co jemu bynajmniej się nie spodobało. Mówiąc ogólnie, Bengt Winter zostawił sobie więcej, niż mu się należało. Było to raczej niemoralne niż karalne. Chodziło głównie o etykę. I o przyzwoitość. Dlatego zerwał kontakt z ojcem. Ale, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, stało za tym także coś innego. Sam nie wiedział co – i już się nie dowie. Zresztą nie chciał wiedzieć. Spotkał się z ojcem przed jego śmiercią, ale wtedy było już wiadomo, że Bengt Winter przeżyje jeszcze najwyżej kilka dni. Po raz pierwszy odwiedził rodziców w ich domu przy Pasaje José Cadaso w Nueva Andalucía w październiku roku 1999. Czyli jeszcze zanim stuknęła mu czterdziestka. Miał wrażenie, że to było wieki temu. Tamtego dnia przejechał wynajętym samochodem przez Puerto Banús, minął rozciągnięte na dwieście metrów centrum handlowe Corte Inglés, a potem zabudowane willami wzgórze. Dojechał do

skrzyżowania, o którym mówiła mu matka. Zaparkował na placu przed Supermercado Diego i spojrzął na mapkę, którą narysowała mu drżąca ręką. Wyłączył radio z hiszpańską muzyką i ruszył dalej na piechotę w gorącym październikowym słońcu. Nie było jeszcze dziesiątej, ale cyfrowy termometr w Puerto Banús pokazywał dwadzieścia dziewięć stopni, przez sekundę nawet trzydzieści. Podszedł do skrzyżowania trzech ulic. Calle Rosalía de Castro, zaczynająca się po przeciwnej stronie małego przystanku autobusowego, biegła na północ. W oddali widział Sierra Blanca. Szczyt było widać wyraźnie, wyraźniej niż z pokoju szpitalnego ojca. Pięć metrów na lewo, na niewielkim wzgórzu, znajdowały się Johnny's Restaurant, Clinica Dental i wypożyczalnia samochodów. Z tyłu, naprzeciwko zakurzonego parkingu przed marketem, była Ristorante Casa Italia, a po drugiej stronie czerwonego patio kolejna – Ristorante Romantico i bank, i Fitness Center. A więc to wokół tego kręci się życie rodziców, pomyślał, kiedy stał tam po raz pierwszy. To tutaj przychodzą kupować gin, tonik, jajka i chleb. Czy wieczorami siadają w ogródku restauracji Johnny'ego i spoglądają na okolicę? Przeszedł przez skrzyżowanie. Sto metrów dalej znajdował się nieduży sklep, a przed nim, na stojakach, stały rzędy widokówek. Były pogniecione i wyblakłe od słońca, jakby stały tam od wieków. Minął Torre de Andalucía. Wyglądało na apartamentowiec albo hotel. Droga kończyła się przy Bistro de la Torre. Widział stamtąd leżącą dalej dolinę i kilka kamiennych chat. Skąpany w słońcu wiejski krajobraz zdawał się przypominać o dawnym, trudniejszym życiu, bez cienia.

Nie wiedział, jak ta okolica wygląda teraz, choć w kolejnych latach był tam kilka razy. Dlaczego teraz przypominało mu się to miejsce? Miał powód. Nie chciał teraz rozmawiać o tym z matką, ale musiał. To było nieuniknione. W salonie dzieci zanosili się śmiechem. Spojrzął na zegarek. Za chwilę będzie musiał iść do sypialni, przebrać się za Mikołaja i przynieść wór, w którym schowali część prezentów. Kiedy Angela, Lotta i matka odwrócą uwagę dzieci, wymknie się na klatkę schodową, cicho zamknie za sobą drzwi, a potem zadzwoni.

Lilly najpierw się przestraszy, ale szybko jej przejdzie. Elsa się zorientuje, ale nie będzie miała stuprocentowej pewności. Może jeszcze ktoś się nabierze. Bo on świetnie udaje Mikołaja. Potem wszyscy będą żałować, że Erik przegapił tę wizytę. Dlaczego musiał wyjść po gazetę właśnie w tym momencie?

Mikołaj zaczął się palić w mieszkaniu na piątym piętrze przy Lasarettsgatan. Może to przez wodę ognistą, bo kiedy Gerda i Johnny dotarli na miejsce, był zalany w trupa. Jego broda nie była już biała, a twarz miał poparzoną. Dwoje dzieci w wieku około ośmiu, dziesięciu lat kulilo się z przerażenia w kącie, jak najdalej od niego. Kobieta próbowała je uspokoić, ale ledwo dało się zrozumieć, co mówi, bo ona też była wstawiona. W ustach miała zapalonego papierosa. Na podłodze obok Mikołaja też leżał pet. To pewnie od niego zajęła się broda. Dzieci wciąż nie dostały prezentów. Pakunki leżały w czarnym worku na śmieci rzuconym na środek podłogi. Wystawało z niego zawiniątko zapakowane w biało-czerwony papier. Gdyby ogień sięgnął worka, pewnie spaliłoby się całe mieszkanie, razem z rodziną. Najwidoczniej Mikołaj sam ugasił płomienie na twarzy i klatce piersiowej. Ręce miał czarne od sadzy. Któreś z dzieci zadzwoniło na numer alarmowy. W takich warunkach trzeba szybko dorosnąć, pomyślała Gerda. I bez świątecznych prezentów. Chłopiec i dziewczynka. Dziewczynka płakała. Jej mama, o ile to była mama, pochylała się i próbowała pogłaskać ją po głowie. Tylko nadymiała jej prosto w oczy. W pokoju czuć było alkoholem i dymem, niemal jak na przyjęciu z gorącymi półmiskami. Na stole stały butelki z winem i wódką. Nikt nie próbował niczego ukryć przed dziećmi. Dziewczynka starała się wyrwać z uścisków.

– Proszę ją puścić – powiedziała Gerda.

Kobieta podniosła wzrok i próbowała się skupić na postaciach stojących na środku pokoju. To oni przeszkadzili nam w świętowaniu, pomyślała pewnie. Kto ich tu wpuścił? Co oni tu robią? I dlaczego śmierdzi spalenizną? Ach, no tak. Ale to nic takiego.

Mikołaj pojękiwał. Był poparzony bardziej, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Gerda weszła do mieszkania pierwsza.

Wpuścił ich chłopiec. Teraz czekali na karetkę. A po dzieci ktoś miał się stawić w ciągu godziny. Gerda nie wiedziała, co się stanie z kobietą. Ale ją miała gdzieś, przejmowała się tylko dziećmi. Czy będą mogły zabrać prezenty tam, gdzie je zawiozą? Czy w ogóle chcą dostać jakiś prezent?

Winter otworzył paczkę. Wrócił już z gazetą pod pachą. Niestety ominęło go całe przedstawienie. Elsa i Lilly ułożyły jego prezenty w równiutki stos na jednym z foteli. Siedem, może osiem paczek. I o to mu właśnie chodziło – im więcej, tym lepiej. Może nawet dostał więcej niż Angela. To by znaczyło, że dzieci kochają go bardziej niż mamę.

Od Lilly dostał obrazek przedstawiający jego na białym koniu. Pomalowała też na niebiesko duże pudełko od zapalek i na kawałku bawełny ułożyła w nim ładne kamyki. Elsa kupiła mu przycisk do papieru, chyba dość drogi. Do tego zrobiła na drutach niebiesko-czerwony szalik. Wspaniały. Teraz miał już białoniebieskie i niebiesko-czerwone dodatki. Dostał też koszulę od Twinsa i kilka płyt: Marsalisa, Billa Frisella i Petera Roux.

Właśnie miał zacząć przepytawać innych, co dostali, kiedy usłyszał, że wraca matka. Wyszła na ulicę zapalić. Teraz pałę tylko w święta, powiedziała, wychodząc.

Winter usłyszał, jak otwiera i zamyka drzwi. Potem w przedpokoju rozległy się kroki.

– Wisiało na kłamce – powiedziała.

Odwrócił się w jej stronę.

W rękę trzymała foliową torbę.

– Na jakiej kłamce?

– Na naszej. Twojej. Na drzwiach wejściowych.

– A co to jest?

Z tyłu głowy poczuł lodowate dotknięcie, jakby coś przecięło mu skórę. Tylko nie ból głowy, pomyślał. Nie teraz.

– Nie wiem – odparła matka. – Po prostu tam wisiało.

Angela i Lotta wyglądały na przestraszone. Elsa i Lilly były pochłonięte prezentami. Bim i Cristina siedziały w kuchni.

– Źle zrobiłam, że to przyniosłam? – zapytała matka. – Myślałam, że o tym zapomniałeś, kiedy...

– Niczego nie zapomniałem – przerwał jej.

Matka wyglądała na zdezorientowaną. Jeszcze raz popatrzyła na torbę. Coś w niej było.

Nie bomba. To nie mogła być bomba, to by było niedorzeczne.

– Daj mi to.

Wziął od niej torbę. Rozerwał papierowe opakowanie, które było w środku. Elsa i Lilly też się zainteresowały. Podeszły do niego. W paczce była płyta. Coś na niej napisano. Ręcznie. Flamastrem.

- TATO, A CO TO JEST? – zapytała Elsa.
- Wygląda na płytę DVD – odparł, przyglądając się płycie.
- A dla kogo to?
- Nie wiem, kochanie.

Jeszcze raz popatrzył na opakowanie. Nie było na nim żadnego podpisu, ale za to teraz pewnie nie brakowało ich odcisków palców.

- Tato, czy to świąteczny prezent?
- Nie wiem.

Płyta była chłodna. Pewnie nie znajdą na niej odcisków Mikołaja. Jeśli to rzeczywiście prezent dla niego, to Mikołaj wiedział, co robi.

- Taaak bliiii-sko y taak da-lee-ko – przesylabizowała Elsa napis na płycie. – Tak blisko y tak daleko!
- Tak, tak tu jest napisane.
- Ten ktoś nie umie pisać! Napisał y tak daleko!

Winter nie odpowiedział. Angela wyszła z nim do przedpokoju.

- Co to jest?

Powiedział jej.

– Pewnie trafiło do nas przez pomyłkę – stwierdziła. – Ktoś z sąsiadów zapomniał i zostawił.

- Na naszej kłamce?
- Nie takie rzeczy się zdarzały. – Angela przeczytała napis na płycie. – Pisał to jakiś Hiszpan?
- Na to wygląda.
- Bo y to po hiszpańsku i. Tak blisko i tak daleko. Ale co to znaczy?

- Nie mam pojęcia.
- To płyta z filmem?
- Tak myślę.
- Sprawdzisz, co na niej jest?

Winter popatrzył na płytę. Połyskiwała jak platyna, jakby

była podświetlona. Parzyła go w ręce. W głowie też go paliło. Nie chciał jej, najchętniej by ją wyrzucił i wrócił do rodzinnego świętowania. Tego prezentu sobie nie życzył. Może to rzeczywiście pomyłka. Zdarzały mu się już dziwniejsze rzeczy. Mógłby sprawdzić, co jest na płycie, o ile w ogóle coś na niej jest, i zorientować się, o co może chodzić. Mógłby to zrobić dopiero po świętach.

W sypialni mieli mały telewizor z odtwarzaczem DVD.

Elsa i Lilly już wróciły do swoich prezentów. Winter słyszał przyjemny szelest papieru na drewnianej podłodze. Słyszał też głosy Lotty i mamy.

– Pójdę do sypialni – powiedział.

Zamknął drzwi. W kącie paliła się lampa podłogowa. Nagle w pokoju zrobiło się duszno, trudniej mu było oddychać. Jakby wciąż miał na szyi krawat, a przecież zdjął go od razu po jedzeniu. Podszedł do okna i otworzył je. Do środka od razu wpadło chłodne, rześkie powietrze. Czuł się tak, jakby w gorący dzień zanurzył głowę w morzu. Na Vasaplatsen wciąż było spokojnie. Pustka i cisza. Neon nad sklepem połyskiwał na czerwono i zielono. Wyglądał zupełnie jak brama starego budynku uniwersyteckiego, który stał trochę dalej. Brama do świątyni wiedzy. Przez tyle lat mieszkał przy uniwersytecie, a tak niewiele z niego wyniósł. Ogólny kurs prawniczy przerwał w połowie, potem uczyły go ulica i świat podziemia.

Podszedł do stojącego obok lampy telewizora. Chwycił pilota i włączył stojący na dolnej półce odtwarzacz. Włączył też telewizor. To pewnie ostatni raz, kiedy go używa. Okazało się, że telewizor w sypialni to jakaś pomyłka. Trafiał tam chyba przez przypadek, po świętach chcieli go wynieść.

Nacisnął open i podajnik na płyty się wysunął. Położył na nim płytę i wcisnął. Stanął kilka metrów od ekranu. Najpierw było słyhać tylko trzaski, żadnego obrazu. Potem obraz się pokazał. Był nieruchomy. Winter czuł, jak włosy stają mu dęba. Film przypominał zdjęcie. Widać było pokój i okno, przez które wpadało ciemne światło. Krzesło. Szafkę nocną. Coś na niej leżało. Na prawo od szafki było coś białego. Prześcieradło. Nagle obraz się poruszył! Winter był tak skupiony na tym, co

widzi, że aż podskoczył, jakby go ktoś szturchnął. Kamera przesuwiała się nad podwójnym łóżkiem. W pokoju panował absolutny spokój. Nic się nie ruszało. Było tak cicho jak w jego sypialni. Bo pokój, który widział na ekranie, też był sypialnią. Rozpoznał ją. Boże. To ta pierwsza. Kamera znów się poruszyła, zrobiła zbliżenie na łóżko. Ktoś w nim leżał. Winter od razu to zobaczył. Pod pościelą wyraźnie rysowały się dwie sylwetki. Leżały bez ruchu. Nie było widać twarzy. Kamera, jakby z szacunku, filmowała je od strony nóg. Winter usłyszał jakiś dźwięk. Rozejrzał się, jakby dobiegał z jego sypialni, z jego mieszkania. Jakby był częścią tego, co tu, tego, co rodzinne, normalne, piękne. Jakby był częścią jego raju. Ale nie – to z telewizora, z filmu. Wsłuchał się. Brzmiało to jak ciche chrapanie. Jedna z postaci leżących w łóżku drgnęła! Wciąż nie było widać twarzy. Postać poruszyła się pod prześcieradłem, a potem znieruchomiała. Kamera się zatrzymała. Teraz widać było obie szafki nocne. Leżały na nich książki. W nieładzie. Kamera znów się przesunęła i omiotła resztę pokoju, jakby po to, żeby pokazać, co to za pokój. Ale Winter już go rozpoznał. Wiedział, na co patrzy. Teraz rozpoznał też obraz na ścianie. Więcej nie musiał już oglądać. Dość, pomyślał, i w tej samej chwili na ekranie zrobiło się ciemno.

Gerda i Johnny jechali Allén. Rodzinny dramat już się skończył. Przynajmniej na razie. Dzieci były w dobrych rękach, a tak przecież powinno być.

Na ulicy było pusto. Ludzie nadal rozpakowywali prezenty albo oglądali telewizję. O tej porze Karl Bertil Jonsson⁸ starał się trochę ulżyć ubogim nieszczęśnikom. Może dotarł nawet do Armii Zbawienia i wręczył Tommy'emu Näverowi tom Sartre'a, który pozwoli mu odnaleźć jego dawne życie.

Johnny skręcił w stronę Vasaplatsen. Minął ich pusty tramwaj. Wyglądał wręcz groźnie. Czy siedział w nim motorniczy? W środku świeciło chłodne niebieskie światło.

⁸ Bohater szwedzkiego filmu animowanego: chłopiec, który pracuje na poczcie i podkrada paczki adresowane do bogaczy i oddaje je ubogim mieszkańcom Sztokholmu. Szwedzka telewizja wyświetla tę bajkę co roku w Wigilię (przyp. tłum.).

Gerdzie skojarzyło się z salą obdukcijną. Nie było w nim ani odrobiny życia.

– Wygląda jak statek widmo – powiedział Johnny, ruchem głowy wskazując na tramwaj, który akurat zupełnie niepotrzebnie zatrzymał się na przystanku, a potem ruszył dalej, w stronę centrum.

– To samo sobie pomyślałam.

– Więc w Wigilię też jeżdżą tramwaje.

– Przecież dziadek i babcia muszą w końcu wrócić do domu po Wigilii – powiedziała Gerda.

– Co?

– Nic.

Popatrzyła na zachodnią stronę placu. W mroku budynki mieniły się czarno-biało.

– Tam mieszka Winter – powiedziała.

– Kto?

– Erik Winter. Ten komisarz. To z nim rozmawiałam o tych sypialniach. No wiesz. Byłam z nim w jednej z nich.

– A, ten.

Przed nimi rozbłysnął neon nad sklepem, który, chociaż był zamknięty, wyglądał na otwarty. Zdawał się zapraszać do środka.

– W każdym razie dzisiaj Winter nie musi się kręcić po takich miejscach – powiedział Johnny. – Ty zresztą też nie. Ani ja.

– Nigdy nie wiadomo.

– Myślisz, że coś takiego mogłoby się stać nawet dziś? Tego by było za wiele.

Gerda nie odpowiedziała.

Skręcili w lewo, w Vasagatan, i pojechali na wschód. Minęli uniwersytet, park i Götabergsgatan. We wszystkich oknach paliły się adwentowe świeczniki.

Przed nimi jakiś mężczyzna przeszedł przez ulicę.

Ten sam, ale teraz nie miał już na nosie ciemnych okularów. Był już po drugiej stronie. Poszedł w stronę Chalmersgatan, w stronę domu.

Właśnie go mijali. Odwrócił się i zniknął. Johnny przejechał

przez Avenyn. Tam też, mimo tych wszystkich ozdób, było pusto. Było tam tyle świateł, że starczyłoby na oświetlenie połowy NRD w ciemnych latach. Kiedy mijali postój taksówek, Gerda pomyślała o mamie. Jutro razem ze wszystkimi lipskimi repatriantami rodzice wybiorą się na smaczny obiad do Weintrauba. Co ciekawe, to najlepsza restauracja w Niemczech. A do tego pięknie urządzona: mozaiki, kafle, drewniana boazeria, krochmalone białe obrusy i dumni kucharze.

Przejechali Södra vägen i znaleźli się na Heden.

Jakiś mężczyzna przebiegł obok. Za nim drugi.

– Złodziej samochodów – powiedział Johnny i wcisnął pedał gazu. – Wreszcie coś się zaczyna dziać.

Ekran był czarny tylko przez chwilę. To była przerwa. Winter nie zdążył jeszcze dojść do siebie, a już na ekranie pokazał się kolejny pokój. Poznał go od razu. Film nakręcono z tej samej perspektywy. Pewnie kamerę trzyma ta sama osoba, pomyślał. Nie drgała, więc może stała na statywie. Nie znał się na tym, ale za to znał się na tym pokoju. Tym poprzednim – i tym też. Tak jak się spodziewał, kamera się poruszyła. Wezgielowie łóżka, szafka nocna, krzesło, podłoga, ściany, sufit. Książki, obrazy. Okno, nocna poświata. Teraz, kiedy widział pokoje na filmie, jeszcze bardziej uderzyło go to, jak są do siebie podobne. Jakby oglądał to samo nagranie. Zupełnie jak wcześniej, kiedy wydawało mu się, że widzi te same zdjęcia. Zresztą na filmie – tak jak na zdjęciach – nic się nie ruszało. Ale nie był to niemy film. Winter coś słyszał – w kamerze był mikrofon. Przez to banalność tego, co widział i słyszał, uderzała go jeszcze bardziej. Zwykła chwila z życia. Co to za dźwięk? Próbował się wsłuchać. Cichy pomruk. Czegoś takiego nie było na pierwszym nagraniu. Szum. Może to ruch uliczny. Kamera znów się przesunęła. Zobaczył łóżko, to drugie łóżko. I zarys dwóch postaci, z tej samej perspektywy. Twarzy nie było widać. Postacie się nie ruszały. Spały. Na pierwszym filmie widział Madeleine i Martina we śnie, a na tym – Głorię i Erika. O ile to byli oni. Ale na pewno tak. Są u siebie w domu. Śpią, i to mocnym snem. Za mocnym. Ten ktoś, kto tam jest, może sobie

robić w ich mieszkaniu, co chce. Ktoś. Jedna z postaci ruszyła się pod kołdrą. Może przesunęła rękę. Druga też się ruszyła. Przesunęła nogę, stopę. Obie żyły. Zamysł był taki, żeby to zobaczyć. Film nagrano przed zabójstwem. Kamera kolejny raz przesunęła się po pokoju. Popatrz tutaj, i tutaj. Widzisz, że wszędzie jest trochę bałaganu? Tylko trochę, ale jednak. Tak nie może być. Zaraz to poukładamy. Wyprostujemy, co się da. Na ekranie znów pokazała się para w łóżku. Było słyhać, jak oddychają przez sen. Cichy pomruk, ale inny od tego poprzedniego, tego, który musiał dobiegać zza okna. Nagle gdzieś zaczął bić ścienny zegar. A może zegar na kościele. Chociaż nie, to zegar domowy. Dong-dong-dong-dong. Nie wiedział, ile było uderzeń, bo nie liczył od początku. Wybiła kolejna godzina nocy. Godzina dnia. I została uwieczniona na filmie, który będzie mógł oglądać wiele razy. Pewnie obejrzy go trzysta sześćdziesiąt pięć razy, może więcej, aż zrozumie. Aż będzie wiedział. Ekran znów zrobił się czarny. Winter coś za sobą usłyszał. Wzdrygnął się.

– Boże.

Usłyszał głos Angeli. Odwrócił się, aż wszystko go zabolalo. Kark, ramiona, plecy, tył głowy. Jakby się wyprostował po długim bezruchu. Uświadomił sobie, że oglądając filmy, był maksymalnie spięty i skupiony. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Ale kiedyś musi być ten pierwszy raz. Otchłań zawsze okazuje się głębsza, niż się sądziło.

Angela podeszła bliżej. Drzwi zostawiła otwarte. Do sypialni wpadało przez nie cudowne ciepłe światło. Winter czuł, że go rozgrzewa, bo dopiero teraz uświadomił sobie, że mu zimno. Odwrócił się do telewizora i pilotem zatrzymał nagranie. Czerń na ekranie zamarała. Spojrzał na drzwi. Słyszał głosy dobiegające z pokoju. Głosy dziewczynek. Elsa biegła w tę i z powrotem. Lilly nie było słyhać. Może już zasnęła po tym najbardziej ekscytującym dniu w życiu. Nie wiedział, ile czasu spędził w sypialni. Może kilka godzin, a może tylko kilka sekund.

– Co to? – zapytała Angela. – O co w tym chodzi?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Boże, Eriku. Naprawdę chcesz tu teraz siedzieć? Teraz?

Trzymała coś w ręku. Szklanę. Połyskiwała w ciepłym świetle. W środku złościł się płyn o równie cudownym kolorze.

– Pomyślałam, że dobrze ci to zrobi. – Podała mu whisky. – Ale nie powinienes tu siedzieć.

– Powinnaś być lekarzem – powiedział. Uniósł szklanę do ust i wypił duży haust. Ardbeg, rocznik 1978. Jedyne, co mogło mu teraz pomóc. Angela wiedziała.

– Co zrobisz? – zapytała.

Nie odpowiedział. W całym ciele czuł kojące działanie whisky. Napięcie zaczęło ustępować. Mógł już kręcić szyją.

– Co to jest? – powtórzyła. – Co jest na tym filmie?

– Ktoś nagrał te dwa pokoje, w których to się stało. Obie sypialnie.

– Kiedy?

– Co kiedy?

– Kiedy je nagrał?

– Przed zabójstwem.

– Niemożliwe.

Winter milczał. Spojrzał na telewizor. Wiedział, o czym Angela myśli. Sto różnych myśli cisnęło jej się do głowy. Jemu też. A przecież nie siedział w swoim pokoju na komendzie. Był tutaj, wszystko działo się tutaj. Wszedł do jego domu.

– Obejrzyj jeszcze raz? – zapytała.

– Nie wiem, czy to już koniec.

– Jak to?

– Nie wiem, czy nagranie już się skończyło.

– Boże.

– Wyłączyłem, kiedy weszłaś.

– Cała ta historia jest jak z filmu.

– Nie chcę już na to patrzeć. – Wypił kolejny łyk whisky.

– To wyłącz. Chodź do nas. Jest Wigilia.

– Wiesz, że nie mogę.

– Lilly zaraz zaśnie. A Elsa chce ci pokazać swoje prezenty.

– Daj mi jeszcze kilka minut – poprosił. – Za chwilę przyjdę.

Wyszła bez słowa. Ciepłe światło zniknęło. W pokoju od razu zrobiło się zimno. Czarny ekran telewizora wpatrywał się w

niego niczym oko. Słysząc było szum z Vasaplatsen. Pomruk, ale cichszy niż ten na nagraniu. Angela kilka razy mówiła mu o Davidzie Lynchu. Widział wiele jego filmów, również seriale. Koszmary, w których dzieje się to, co nie ma prawa się stać. Morderca chwyta słuchawkę: to ja, to ja odbieram telefon u ciebie w domu.

Nacisnął przycisk on. Może to już koniec. Teraz właśnie tego życzył sobie na Gwiazdkę. Czerń na ekranie zaczęła się poruszać, jakby podskakiwała. I znów pojawił się obraz. Znów pokój. Któryś z tych dwóch, znów te same znane szczegóły. Kamera przesunęła się po oknie i dwóch postaciach. To nie była noc, chyba że bardzo jasna. Chyba coś było słysząc. Tak, znów szum. I jeszcze coś, ale nie słyszał co, bo dźwięk był bardzo cichy. Ściana. Kamera wolno przesunęła się po ścianie. Ale to była inna ściana. To nie była ściana którejś z dwóch znanych mu sypialni. Wisiały na niej dwa obrazy: plakat, chyba filmowy, w ramie, i jakiś obraz na płótnie, bez wyraźnych kształtów. Potem na ekranie pokazały się nocne szafki, książki nierówno ułożone w stosy, czasopisma, jakaś gazeta na podłodze, krzesła, stolik, którego wcześniej nie widział. Ściany miały inny kolor, tapeta była inna. Zasłony też różniły się od tych wiszących w tamtych mieszkaniach. Kolejne ujęcia łóżka – też było podwójne i stało pod podobnym kątem. A w łóżku zarys dwóch postaci. Słysząc było ich oddechy. Głośne, oddychali głośniejszy niż w poprzednich scenach. Tak właśnie teraz myślał: poprzednie sceny, poprzednie nagrania. Usłyszał odgłos snu, głębokiego snu. Był bardzo wyraźny, ten ktoś musiał podstawić mikrofon blisko śpiących. Bliżej niż na poprzednich nagraniach. Postacie leżące w łóżku lekko się poruszyły. Obraz drgnął, na sekundę zrobił się czarny, a potem znów pokazał się pokój. Ktoś wyciął fragment filmu. Ile czasu mogło upłynąć? Wciąż widać było śpiących ludzi, ale bez twarzy i bez ciał. Kamera znów zatoczyła koło po pokoju, tym razem szybciej, jakby ten, kto filmował, chciał zakręcić widzem jak na karuzeli. Obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, jak na stronach internetowych, gdzie można obejrzeć pokój hotelowy. Winter obejrzał więc i tę sypialnię. Zrozumiał komunikat: teraz

jestemy tu, po raz pierwszy. J a tu jestem. T y też tu będziesz, ale później. Ale wtedy będzie już za późno. Bo dla ciebie zawsze jest za późno.

– A niech cię cholera! – krzyknął Winter.

Ekran pociemniał. Przez chwilę Winter miał ochotę cisnąć w niego pilotem. Czekał. Nie pokazał się już żaden obraz. Tylko czerń.

PRÓBOWALI ZATRZYMAĆ ZBIEGA przed budką z hamburgerami. Mężczyzna stanął. Światło z budki rozświetliło całą scenę łapanki. Bo oto znów jesteśmy na scenie, pomyślała Gerda.

Otworzyła drzwi. Mężczyzna wciąż stał w świetle reflektorów. Wydawał się oślepiiony, a może po prostu się bał. Pechowiec, któremu na Gwiazdkę zachciało się samochodu. Albo sań. Facet miał na głowie czapkę Mikołaja. Wcześniej jej nie zauważyła. Może przebrał się na robotę.

– Nie ruszaj się! – krzyknął Johnny. Już stał obok radiowozu. Gerda usłyszała drugiego mężczyznę, on też dobiegł już na miejsce.

Nagle podejrzany wykręcił pirueta i znów puścił się biegiem. Czerwona czapka podskakiwała mu na głowie jak dawniej na głowach narciarzy sunących przez miasto na biegówkach. Dawniej, kiedy w Göteborgu bywał jeszcze śnieg.

– Stać! – krzyknął Johnny, ale mężczyzna się nie zatrzymał.

Biegł jeszcze szybciej, sprintem, przez Engelbrektskatan, i to na czerwonym. Chociaż akurat nic nie jechało. Złodziej pędził przez opustoszałe miasto. Jego kroki było słychać chyba w całym centrum, zupełnie jakby biegł przez zadaszony parking. Zniknął za domami przy Södra vägen.

Gerda odwróciła się do drugiego mężczyzny, tego, który podszedł do radiowozu.

– Z samochodem wszystko w porządku? – zapytała go Gerda.

– Tak, nic nie zepsuł.

– Co to znaczy nie zepsuł?

– No przecież jak ktoś się włamuje, to psuje samochód, nie?

– Niektórzy złodzieje są zręczni – powiedział Johnny. – Po włamaniu nie ma nawet śladu.

Wokół znów zapadła cisza. Nie było słychać kroków ani nic innego. Wreszcie cicha noc. Tylko nasza trójka jest teraz na dworze, pomyślała Gerda. No i może jeszcze ten uciekinier.

- Możemy sprawdzić auto – zaproponowała Gerda.
- Niech pan wsiada – powiedział Johnny.
- Mężczyzna usiadł z tyłu.
- Johnny wykręcił.
- Gerda czuła zapach alkoholu.
- Odwróciła się do mężczyzny.
- Nie chciałem jechać – powiedział.
- Proszę?
- Nie chciałem jechać. Pewnie czuje pani ode mnie wódkę. Ale nie chciałem prowadzić. Chciałem tylko zabrać z samochodu coś, czego zapomniałem.
- Aha.
- Naprawdę. Chyba to nie jest zakazane, żeby brać coś z auta, jeśli się piło?
- Nie, nie jest.
- Właśnie to chciałem zrobić. Zabrać jedną rzecz.
- Jak się pan nazywa?
- A to ma znaczenie? Dlaczego pani pyta?
- Jak się pan nazywa? – powtórzyła Gerda.
- Hans Rhodin.
- Gdzie pan mieszka?
- Tutaj, niedaleko. Przy Smålandsgatan. – Wskazał palcem na domy za boiskiem. – Właśnie się przeprowadziłem. W zeszłym miesiącu.
- To dlaczego trzyma pan samochód tutaj?
- Właśnie dlatego, że dopiero co się wprowadziłem. Na naszym parkingu nie ma wolnych miejsc. Może niedługo uda mi się jakieś dostać. A wczoraj nie było ani jednego miejsca na ulicy. Wiadomo, święta. Musiałem zaparkować tutaj, chociaż nie chciałem. Wszyscy wiedzą, że tu najbardziej kradną. Nawet w Wigilię!
- Ale pana samochód został na miejscu, tak? – zapytał Johnny. – Gdzie stoi?
- O, tam. – Hans Rhodin wskazał w stronę hali sportowej. –
Drugi rząd.
- Dojechali.
- To ten. – Rhodin pokazał im czarny samochód. Gerda nie

rozpoznała marki. Bo wszystkie auta wyglądają tak samo. Zupełnie jak Święci Mikołaje. I choinki. I niemieccy hokeiści, pomyślała. Przynajmniej wtedy, kiedy mają na sobie stroje do gry, a nie gwałcą dziewczyny ze Skanii. Chociaż może wtedy też mieli na sobie stroje.

Wysiedli z radiowozu.

Gerda stanęła z boku i zaczęła spisywać dane z dowodu Rhodina. Imię, nazwisko, numer osobowy. Wydawało jej się, że dowód też śmierdzi alkoholem. Słyszała, jak obok Johnny z nim rozmawia. Rhodin miał donośniejszy głos. Może i był zalany, ale widać przywykł do tego. Nic nie było po nim widać, nawet oni, czujni policjanci, by się nie zorientowali.

Kiedy do nich podeszła, Johnny spojrzął na nią znad drzwi. To chyba było volvo, mniejszy model. Naprawdę słabo się na tym znała. No chyba że chodziło o mercedesa albo bmw. Ha, ha.

Oddała Rodinowi dowód.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku – powiedziała.

– Tak.

Johnny poświecił latarką na zamek. Obszedł samochód dookoła.

– Żadnych uszkodzeń.

– Nic nie zdążył zrobić – powiedział Rhodin. – Nakryłem go w samą porę.

– Może wcale nie czaił się na pański samochód.

– Stał przy nim i zaglądał przez szybę.

– A co pan chciał zabrać? – zapytała Gerda.

– Słucham?

– Mówił pan, że chciał coś zabrać z samochodu. Co?

– Przecież czuć, że samochód jest lodowaty – powiedział Rhodin. – Nawet go nie odpaliłem.

– Co pan chciał zabrać? – powtórzyła Gerda.

– Butelkę. Tylko tyle.

– Butelkę?

– Butelkę ginu. Zostawiłem ją tutaj... – Zamilkł. Popatrzył na samochód. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął kluczyki. Nacisnął jeden z nich i tylne światła zamrugały. Otworzył tylne

drzwi z prawej strony, podniósł koc i wyciągnął butelkę. Pokazał im ją.

– To mój gin. – Zabrzmiało to prawie jak to moja siostra albo to mój najlepszy przyjaciel.

W świetle latarki alkohol mienił się niczym srebro.

– Specjalnie zostawiłem w samochodzie – ciągnął Rhodin. – Myślałem, że dziś wieczorem uda mi się nie pić nic mocniejszego. Miałem w domu butelkę wina, ale wykończyłem ją w pół godziny. A i tak wstrzymywałem się z jej otwarciem, jak długo mogłem.

Te święta już się skończyły. Chociaż nie, to nie tak. Święta jeszcze trwały, ale było już po Wigilii. Zegar pokazywał kwadrans po północy. Pierwszy dzień świąt, tych właściwych, pierwszy na przykład dla Anglików. Winter pomyślał o Stevie Macdonaldzie, swoim przyjacielu z Croydon, dawnej południowej rubieży Londynu. Mieli nadzieję spotkać się w Nowy Rok, ale nic z tego nie wyszło. Może uda się wiosną, na przykład w Wielkanoc. Ale najpierw musi skończyć z tym. DVD leżało obok na stoliku. Odda je Torstenowi, ale pewnie nie znajdą na nim nic, co posunęłoby sprawę do przodu. Cała ta historia trafi z powrotem do niego, tak jak trafił do niego film.

Pół godziny wcześniej matka, Lotta, Bim i Cristina wróciły taksówką na Hagen. O dziwo, nie musiały długo czekać.

Winter, kiedy już wrócił z sypialni, próbował dalej świętować. Rodzina o nic go nie pytała. Bawił się z dziećmi, zachowywał się zwyczajnie. Bo jaki miał wybór? Nic innego nie mógł zrobić.

– I co teraz? – zapytała Angela.

Siedzieli w pogrążonym w półmroku salonie z kieliszkami gigondas. Zazwyczaj tak robili, relaksowali się po pełnym wrażeń wigilijnym wieczorze. Czytali książki, które dostali, i słuchali płyt spod choinki. Ale teraz żadne z nich nie czytało, w pokoju panowała cisza.

– Zajmę się tymi filmami – odparł.

– Ale zrób to w pracy – poprosiła. – Nie tutaj.

Nie odpowiedział.

– Nie chcę tego u siebie! – dodała ostrym tonem. – Słyszysz?

Nie chcę tego całego brudu w naszym domu.

– Oczywiście.

– O co w tym wszystkim chodzi? Najpierw te zwłoki na plaży, a teraz to!

– To dwie osobne sprawy. Nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Czyżby? Jesteś pewien?

– Tak.

– Nawet jeśli tak, to i tak to okropne.

Winter sięgnął po kieliszek. Wino było bez smaku. Wypił kolejny łyk. Wypity w wcześniej ardbeg znieczulił mu kubki smakowe. Ale teraz się tym nie przejmował.

– Ktoś nas obserwuje – powiedziała Angela. – Ktoś chciał, żebyś to ty obejrzał ten film, prawda?

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem.

Najpierw postanowił, że nie powie jej o trzecim nagraniu. O trzecim pokoju. Ale potem poczuł, że tego chce. Potrzebował jej. Potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać. I to natychmiast. On też się bał.

– Bo to zabójca psychopata – powiedziała Angela. – Dlatego! To zabójca, i znów zaatakuje, i chce, żebyś o tym wiedział.

Winter milczał.

– Chce ci nawet powiedzieć, gdzie to się stanie. Boże, Eriku? Czy to naprawdę o to chodzi?

– Niestety obawiam się, że tak.

– Niestety? Tylko tyle?

– A co mam ci powiedzieć?

– Przytrafiło ci się kiedyś coś podobnego?

– Nie... Ale co dokładnie masz na myśli?

– Dostałeś kiedyś wiadomość o zabójstwie, do którego dopiero ma dojść? Czy ktoś sfilmował dla ciebie przyszłe miejsce zbrodni?

– Nie, nigdy.

– I co teraz będzie?

– Nie dopuścimy do tego. Dopilnujemy, żeby nie było kolejnego razu.

– Ale jak to zrobicie?

Dobre pytanie. Za sto punktów, a nawet dużo, dużo więcej.

Wigilijna noc dalej upływała Gerdzie pod znakiem alkoholu. Kiedy wreszcie zajaśnieje świąteczny poranek, wyjdzie na jaw, że jeśli chodzi o spożycie wódki, Szwecja wciąż trzyma się mocno. I to mimo wszechogarniającej mody na picie wina. Okazuje się, że nie ma to jak wódka. Trochę po północy Gerda i Johnny ruszyli na ratunek pechowemu pijaczkowi, który runął na podłogę we własnym w domu, pociągając za sobą żonę. Facet był gruby, wszystkie kończyny miał tak samo otłuszczone, i eskortowanie go po schodach na dół przypominało taszczenie stukilowego worka z ryżem. Z głowy ciekła mu krew. Gerda starała się nie dopuścić, żeby pobrudziła jej skórę i mundur. Żonie nic się nie stało, poza tym była trzeźwa. Zostaną przypilnować domu, powiedziała.

Kolejne wezwanie dotyczyło młodocianych wandalii, którzy urządzili sobie zabawę na szkolnym boisku na osiedlu mieszkaniowym w zachodniej części miasta. Puszczali race i petardy, mimo że do Nowego Roku zostało jeszcze trochę czasu. Kiedy Johnny i Gerda dotarli na miejsce, już ich nie było. Zostawili po sobie kilka dymiących stosów, zupełnie jak po małej bitwie. W oknach wokół boiska paliły się światła. Gerda widziała ludzi wpatrujących się w radiowóz, kiedy wjechali na boisko. Wiedziała, co sobie myślą: rychło w czas.

A potem dalej to samo. Domowe awantury razy dwa, na szczęście bez udziału dzieci. Fajerwerki. Skutery o piątej rano, zapewne jako akompaniament do pierwszej porannej mszy⁹. Popijając w samochodzie kawę, Gerda myślała o śnie. Głębokim śnie.

– Chcesz poprowadzić? – zapytał Johnny.

– Wolałabym nie.

– Zazwyczaj o świcie jesteś rześka.

– Ale nie dziś.

– Jeszcze tylko kilka godzin. Wytrzymaj.

⁹ W szwedzkich kościołach pierwszego dnia świąt odprawia się mszę o świcie (najczęściej o godzinie siódmej, ale w niektórych o szóstej lub wcześniej) (przyp. tłum.).

Johnny odpalił samochód. Znów wylądowali na Vasastan. Domy piętrzyły się niczym zamki. Zamki pełne tajemnic, pomyślała Gerda. Na tle bladego zimowego nieba spiczasta sylwetka kościoła Vasakyrkan przypominała ciemną katedrę. Do wschodu zostało jeszcze kilka godzin, a potem zacznie się kolejny piękny dzień. Tej zimy wszystkie dni były piękne, więc nic innego nie wchodziło w rachubę. Ludzie przestali już rozmawiać o pogodzie. Niepojęty błękit nieba im spowszedniał.

I znów minęli kamienicę przy Götabergsgatan. We wszystkich oknach było ciemno. Przejechali też obok tej przy Chalmersgatan. Tam światło paliło się w jednym oknie, na trzecim piętrze. Pokazała je Johnny'emu.

– No i? – zapytał.

– Nic.

– Zawsze trafią się jakieś nocne marki. Jak my. – Zaśmiał się.

Minęli też zachodnią ścianę Vasaplatsen. Gerdzie wydawało się, że tam też pali się światło na trzecim albo na czwartym piętrze. Niebieskawe.

Winter kolejny raz śledził poszczególne sceny i ujęcia. Sceny z alkowy. Mógł bez problemu odtwarzać DVD na swoim laptopie. Angela już od dawna leżała w łóżku. Niedługo Lilly się obudzi, a wtedy on pójdzie spać. Angela obejmie poranny dyżur. W tym roku nie wybiorą się na poranną mszę. Ale on jeszcze przed południem zacznie działać. Zadzwońi do Ringmara. Musi z nim pogadać. Ledwo się powstrzymał, żeby do niego nie zadzwonić w wigilijny wieczór.

To było wyzwanie. Śledził to, co pokazywała mu kamera: pokój, całe wnętrze. Wyzwanie. Ktoś rzucił mu wyzwanie: chodź tu i złap mnie. Powstrzymaj mnie. Czy to było też wołanie o pomoc? Ochroń mnie przed samym sobą? Tego Winter nie był pewny. Wyraźniej niż wołanie o pomoc wyczuwał arogancję. To była jakaś gra. Śledził jej przebieg na ekranie. Założył słuchawki. Dzięki temu dźwięk był lepszy, czystszy. Z niechęcią słuchał odgłosów wydawanych przez śpiących ludzi. Kiedy je nagrano? Tej samej nocy, kiedy doszło do zbrodni? Kilka miesięcy, tygodni, dni wcześniej? Jak

zabójca dostał się do sypialni? Czy to był tylko jeden raz? Czy mógł przychodzić, kiedy chciał? Jakie relacje łączyły go z tymi dwiema parami? Podejrzewaliśmy już, że się znają. Widocznie nie szukaliśmy dość długo i dość głęboko. Może to nie jest kwestia dwóch czy trzech pokoleń. Może chodzi o coś innego. Ta gra. O co w niej chodzi? O władzę? Morderca pokazał, że ma władzę. Oto rządzi życiem i śmiercią. To on decyduje, kto żyje, kto umiera. Pokazuje nam, że ma wielką władzę.

Winter obejrzał też trzecie nagranie. To sięgające w przyszłość. To, co się już stało, stanie się także tutaj. Spójrz na ludzi w łóżku. Tych nieszczęsnych młodych ludzi. Że też nie są niczego świadomi. Wiesz, kto to? Nie. Wiesz, co się z nimi stanie? Tak. Kto to będzie? Jak myślisz?

Idź do diabła! Chyba powiedział to na głos, ale przez słuchawki nie słyszał. Będę tam przed tobą! – pomyślał. Za cienkimi zasłonami widział zarysy domów. Zarysy miasta. Wiedział, że to miasto. Zawsze coś. Słyszał też odgłosy miasta. Miejski szum. Za oknem toczyło się życie. To nie była noc. Tak mu się przynajmniej wydawało. Wsłuchiwał się uważnie. Mikrofon był kiepskiej jakości. Widział, jak postacie w łóżku się ruszają. Dalej, ruszajcie się dalej, kimkolwiek jesteście. Dopóki się ruszacie, żyjecie. Znajdę was. Jestem już blisko. Może wydaje się, że jestem daleko, ale jestem blisko.

O WPÓŁ DO JEDENASTEJ w świąteczne przedpołudnie Ringmar i Winter siedzieli w gabinecie Wintera. Winter przyniósł telewizor i odtwarzacz DVD z pokoju przesłuchań. Rano przyszedł z domu na piechotę, poranek był jasny, niebo cudowne. Vasagatan nie była już opustoszała. Wszędzie kręciły się pary, starsi, młodszy i rodziny z dziećmi. W taki dzień ludzie chcą być na świeżym powietrzu. Minął Chalmersgatan i Götabergsgatan, a potem Teatergatan. Przeszedł przez Avenyn. Jakaś taksówka sunęła w stronę Götaplatsen. Przez ciemne okulary wszystko widział w ciepłych barwach, jakby był gdzieś na południu Europy. Przeciął boiska Heden. Na jednym z nich, pokrytym sztuczną trawą, toczył się właśnie mecz. Grali mężczyźni w średnim wieku. Może się założyli. Taki ruch bardzo odświeża, kiedy się jest skacowanym. Ciało obrywa za wcześniejsze ekscesy.

– Jestem gotowy – powiedział Ringmar.

Winter zadzwonił do niego dwie godziny wcześniej. Nie tracili czasu. Mogłeś zadzwonić wczoraj, powiedział Ringmar. Są pewne granice, odparł Winter. O nie, nie ma żadnych granic, stwierdził Ringmar.

Winter trzymał w ręku płytę.

– Tak blisko y tak daleko – odczytał Ringmar. – To Hiszpan?

– Nie sądzę.

– Zrobił literówkę?

– Nie wiem.

– To wskazówka?

– Może.

– Dlaczego?

– Widocznie chce się z nami podroczyć.

– Jasne.

– Mówię poważnie.

– Więc to nie ma nic wspólnego z Hiszpanią?

Winter nie odpowiedział. Kolejny raz wpatrywał się w napis.

Mogli się czegoś dowiedzieć z analizy pisma. Winterowi zdarzało się już pracować z grafologami, ale daleko ich to nie zaprowadzi. Niewiele im pomoże informacja, że zabójca ma szpakowate włosy i ogląda wszelkiego rodzaju festiwale muzyczne.

– Czy to ma coś wspólnego z Hiszpanią? – powtórzył Ringmar.

– Zobaczymy.

– Hiszpania jest wspólnym mianownikiem obu tych cholernych spraw.

– On o tym wie.

– Jesteś pewien?

– To on nas na to naprowadził. Na ten wspólny mianownik. To on wybrał ofiary.

– To mógł być przypadek.

– Wszystko może być kwestią przypadku.

– Załóżmy na chwilę, że tak było – zasugerował Ringmar. – Morderca chciał zabić kogokolwiek. To mógł być każdy, niekoniecznie te dwie kobiety.

– Znał je? – zapytał Winter. – Znał którąś z nich?

– Nie.

– Jak dostał się do mieszkań?

– Dobrze pytanie.

– Miał klucz?

– Nie znaleźliśmy śladów wytrycha w zamkach. A sprawdziliśmy dokładnie.

– Więc miał dostęp do klucza, ale nie znał ofiar? No to jak dostał klucz?

– Jest na to wiele sposobów. Wiesz przecież. Gdyby ludzie wiedzieli, jak ważne jest pilnowanie kluczy – i nie mówię tu tylko o chwilach nieuwagi, ale o każdej sekundzie – to przyklejaliby je sobie taśmą klejącą pod majtkami.

– No dobra. Więc nie zna ich, ale zdobywa klucze do dwóch mieszkań. To znaczy trzech. Wchodzi do nich. Ludzie śpią. Nie budzą się. To bardzo dziwne. Facet robi, co chce. Filmuje ich. Zabija albo zostawia przy życiu. Dokonuje wyboru.

Ringmar milczał. Winter wciąż trzymał płytę w ręku. Za

chwilę Ringmar sam miał się przekonać. Słońce próbowało się wcisnąć do pokoju przez zasłonięte żaluzje, ale w tamtej chwili nie było tam dla niego miejsca.

– Znał je? – zaczął na nowo Winter. – Znał którąś z nich?

– Tak.

– Jak wszedł?

– Wpuścili go.

– W obu przypadkach? To znaczy we wszystkich trzech?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo go znali. Przyszedł z wizytą.

– Po co?

– Mieli o czymś pogadać.

– O czym?

– Może o świętach. O tym, jak je spędzą. Co będą robić następnego dnia albo w weekend. O programie telewizyjnym. O cenach warzyw. O Hiszpanii.

– O Hiszpanii?

– Znali się. Znali się z Hiszpanii.

– Zabójca znał ich z Hiszpanii? To tam się spotkali? Tam spotykał swoje ofiary?

– Nie tylko tam. Ale tam się poznali.

– Zabójca mieszka w Hiszpanii?

– Nie przez cały rok, ale tak. Ma tam dom.

– Więc powinniśmy sprawdzić wszystkie szwedzkie samochody zarejestrowane w Hiszpanii?

– Zacznijmy od Costa del Sol.

– Są ich tam tysiące.

– To tak na początek.

– Dlaczego źle życzył swoim przyjaciółom?

– Coś mu zrobili.

– Wszyscy?

– Nie.

– Niektórzy?

– Może.

– To znaczy?

– Może niebezpośrednio. Może ktoś z ich rodzin.

- I to wystarczyło, żeby zabić?
- Tak.
- Ale co to mogło być? Co przytrafiło się zabójcy?
- To nie musiało być nic poważnego. To on uważał, że to poważne.
- A dlaczego teraz?
- Coś się stało.
- Coś, co go sprowokowało do popełnienia tych zbrodni?
- Tak.
- A gdzie to się stało?
- W Szwecji. W Göteborgu.
- A mogło się stać w Hiszpanii?
- Tak.
- A może tylko w Hiszpanii?
- Może.
- Wykluczasz zupełnie Barknera i Lentnera?
- Nie.
- Nadal uważamy ich za podejrzanych?
- Na razie tak.
- Dlaczego mówią, że spali?
- Niewykluczone, że tak było.
- Że naprawdę spali?
- Tak.
- Za chwilę zobaczysz dowód.
- Może ten film to inscenizacja – powiedział Ringmar. – Ci ludzie tylko grają, to aktorzy.
- Zobaczysz.
- Czasami sprawy są aż tak pogmatwane.
- To by znaczyło, że kobiety grały do końca.
- Może to nie one. Może to ktoś zupełnie inny.
- Ale to te pokoje.
- Powinien był pokazać ich twarze – stwierdził Ringmar. – A mówisz, że nie pokazał. Dlaczego?
- A dlaczego oni śpią?
- Bo ich uśpił, oczywiście.
- Jak mu się udało?
- Kolejne dobre pytanie. Wkładaj płytę.

Winter nacisnął open i włożył płytę do odtwarzacza. Byli gotowi na przedstawienie.

Kiedy się zaczęło, starał się dostrzec szczegóły, których wcześniej nie zauważył. Potem też będzie się starał, będzie znał każdą sekundę tego przedstawienia, jak aktor przed premierą i po niej. Dla Bertila to był pierwszy raz. Może on zauważy inne szczegóły, inne ruchy. Bertil nic nie mówił. Był bardzo skupiony. Widział postacie poruszające się w łózkach. Słyszał ich oddechy. Wymamrotał coś niezrozumiałego.

Zaczął się trzeci film. Film zapowiedź. Obietnica diabła, pomyślał Winter. Przysięgam, że to zrobię. Wiecie, że tak będzie.

– Zatrzymaj – poprosił Ringmar.

Winter wcisnął pauzę.

Obraz zamarł. Widać było okno. Tym razem zasłony wydawały się cieńsze. Za nimi czerniły się niewyraźne kontury: klocki, bryły, pudła, kąty, linie poziome i pionowe. Miejski krajobraz.

– To miasto – powiedział Bertil. – A przynajmniej miasteczko.

– Jakaś ulica.

– Z tyłu widać domy.

– Wysokie czy niskie?

– Średnie.

– Nie widać żadnych szczegółów.

– Jeszcze nie. Ale spróbujemy rozbić obraz na czynniki pierwsze.

– No.

Kolejny raz spojrzeli na ekran. Zanim Winter wcisnął pauzę, zasłony lekko się poruszyły. Może okno było otwarte. Słysać było szum, odgłosy miasta. Albo miasteczka.

– To nie wygląda na noc – powiedział Bertil. – Ani na wieczór.

– Nie.

– Chociaż z drugiej strony dobrze oświetlona ulica może tak wyglądać nocą. No i zasłony trochę zmieniają obraz.

– No.

– Trochę dziwne by było, gdyby ktoś uśpił ludzi w biały dzień, a oni po obudzeniu by się nie zorientowali.

– Może się zorientowali.

– Przekonamy się.

– Niestety na tym się skończy, jeśli nam się nie uda go powstrzymać.

– Może oni już się nie obudzili – powiedział Ringmar, ruchem głowy wskazując na ekran. – Może teraz leżą w tym pokoju. Oboje albo jedno z nich.

– Nie. Oni żyją – odparł Winter.

– W każdym razie uśpił ich, żeby ich nam pokazać. Nawet jeśli to było w nocy, to musieli chyba jakoś się zorientować.

– Niekoniecznie.

– Jak to?

– Niekoniecznie – powtórzył Winter.

– Dobra, puść dalej – poprosił Ringmar. Głos miał spokojny, przekonujący. Jak ojciec, na którym zawsze można polegać.

Obraz drgnął. Kamera przesunęła się z okna na łóżko. Słyszeli oddechy. Widzieli ruchy, ale nie twarze. Wszystko jest takie porwane, pomyślał Winter, jak wrywki z prawdziwego życia. Oglądanie takich scen jest jak wdzieranie się w czyjąś prywatną przestrzeń. Ten, kto ich sfilmował, wdarł się w nią pierwszy, a on zrobił to samo. Nie był do tego przyzwyczajony. Zazwyczaj to on pierwszy rzucał się w przepaść, przyjmował pierwszy cios. Był jak poduszka powietrzna dla tych, którzy szli za nim. Postacie znów się poruszyły. Żyły. Ruszały się niemal niezauważalnie, ale Ringmar i Winter wychycili te ruchy. Skupiali się aż do bólu.

– On naprawdę chce pokazać, że oni żyją – przytaknęła Ringmar.

Winter nie odpowiedział. Wpatrywał się w ruch u wezłowia łóżka. To mogła być kobieta albo mężczyzna. Nacisnął pauzę.

– Bertil, co mówiłeś?

– Że on naprawdę chce pokazać, że oni żyją. Chce, żebyśmy zobaczyli, że jeszcze nie zginęli.

– Ale dlaczego?

– Chce nam to pokazać.

- No tak, rozumiem, ale dlaczego?
- Chce z nami zagrać.
- Dlaczego?
- Taki już ma charakter.
- On chce zagrać ze mną – powiedział Winter.
- Najwyraźniej.
- Znam go?
- To ktoś, komu zrobiłeś świństwo?
- Nigdy nikomu nie zrobiłem świństwa.
- Może on patrzy na to inaczej.
- Uznaje mnie za swojego przeciwnika. O to mu chodzi.
- Wiedział, że pracujesz nad tą sprawą. Nad tymi sprawami.
- Ale to nie jest tajemnica państwowa.
- Wiedział, gdzie mieszkasz.
- To też żadna tajemnica.

Ringmar popatrzył na zatrzymany obraz. Biel, czerń, szarość, coś brązowego, coś niebieskiego. Biel rozciągnięta na łożku niczym płótno.

Winter znów wcisnął play. Płótno się poruszyło. Dochodziły spod niego jakieś dźwięki. Pomyślał o umarłych, którzy wydają dźwięki. Doświadczył już czegoś takiego. To powietrze z nich uchodzi. Straszny odgłos. Ale ten był inny. Miał wrażenie, że patrzy na żywe trupy.

Ekran zrobił się czarny.

Zatrzymał nagranie.

Usłyszał szum zza okna. Nigdy nie zwracał na niego uwagi, ale teraz to, co banalne, nabrało znaczenia. Rzeczywistość wydała mu się inna, jakby znów zmieniła kształt. Już nic nie było takie jak wcześniej. Nic nie było takie, jakie się zdawało. Dla niego to był najlepszy punkt wyjścia. Zawsze kusila go ta wizja: nic nie jest takie, na jakie wygląda. Nie ufaj własnym oczom, nie od razu. Ale teraz właśnie to musiał zrobić, musiał polegać na oczach i uszach.

– Musimy przeanalizować te obrazy i dźwięki, jak tylko się da – powiedział Ringmar. – Powiększyć je i pomniejszyć.

Winter nie odpowiedział.

– Czy to realne, żebyśmy znaleźli ten pokój? – zapytał

Ringmar. – Ten dom?

– Tak – odparł Winter.

– Czy ten cholerny dokumentalista chce, żebyśmy go znaleźli?

– Nie jestem pewien.

– Myśli, że nie damy rady?

Winter znów zamilkł. Myślał o tym, co widział i słyszał. Do przeanalizowania mieli mnóstwo obrazów i dźwięków. Ściany, podłogi, sufity, okna, obrazy, książki, ubrania, urządzenia, kwiaty, gazety, czasopisma, zegary, telefony, zasłony, buty, kapcie, plakaty. Wszystko mówiło coś o ludziach, którzy żyli w tych pokojach. I o tych, którzy w nich umarli. Czy coś łączy te trzy pokoje? Coś jest w każdym z nich? A może tylko w jednym? Jak dotąd niczego takiego nie zauważył. Nie zaczął jeszcze szukać na dobre. Czy któryś szczegół mógł im powiedzieć coś o ludziach leżących w łózkach? Teraz myślał o trzecim nagraniu. Czy było tam coś istotnego, coś, co mógłby zauważyć? Co tylko on mógłby zauważyć? To przecież on dostał w prezencie tę płytę. Może było na niej coś, co zobaczy tylko on, nikt inny. Zobaczy albo usłyszy. Te dźwięki: szum, pomruk ruchu ulicznego, bicie zegara, choć nie na trzecim nagraniu, i inne dźwięki, których może jeszcze nie wyłapał.

Technicy zajmą się płytą i torbą, ale nic z tego nie będzie. Ten bydlak nie popełniłby takiego błędu. A kamera? Mogą próbować, ale takiej kamery cyfrowej nie da się odnaleźć. Takie są minusy postępu technicznego i przekłętogo rozwoju.

– Muszą zacząć od analizy dźwięków – powiedział Ringmar.

– Yngvesson – odparł Winter.

Ringmar pokiwał głową. Richard Yngvesson, jeden z techników, był ekspertem od dźwięku. Właściwie to laboratorium w Linköping zajmowało się zaawansowanymi analizami akustycznymi, ale ich wydział techniczny też się w tym specjalizował. Ich technicy potrafili przefiltrować wszystkie dźwięki świata. Winter współpracował z Yngvessonem wiele lat temu, kiedy prowadził sprawę zabójstwa dziewczyny mieszkającej w domu na Långedrag. Anne Nöjd, tak się nazywała. Zabito ją w Slotsskogen. W

torebce znaleźli jej nazwisko i adres. On i Ringmar ruszyli wtedy wąskimi uliczkami nadbrzeżnej dzielnicy do małego domku ofiary. Na ścianach wisiały obrazy, różnych rozmiarów. To była letnia noc, ale w domu było na tyle ciemno, że wyglądały jak dziury w ścianach. Przed Ringmarem stał stolik, na nim telefon, obok automatyczna sekretarka. Mrugało czerwone światelko. Za oknem zaskrzeczała mewa. Winter skinął głową i Ringmar ręką w rękawiczce ostrożnie wcisnął przycisk. Najpierw usłyszeli ostry pisk. Potem świst i głos. Ktoś zostawił wiadomość. *Ciao, baby*. I znów świst i pisk. Potem cisza. I znowu coś. Głos Anne. Krzyk, potem kolejny. Potem coś jakby chrząknięcie, odgłos uderzenia, stłumiony szelest gałęzi albo krzaków. – Co to, do cholery? – powiedział Ringmar. Winter do dziś pamiętał każde słowo i każdy dźwięk. – Cicho – odpowiedział mu. – To ona. – Podniósł dłoń. Czuł, że ręce mu się trzęsą. Przysłuchujemy się morderstwu, pomyślał. – NIHHHDYWYYSSYYJ... – usłyszeli bełkot. Mamrotanie. Inna ofiara, ta, która przeżyła taki napad, też wspominała o bełkocie. Winter wpatrywał się w automatyczną sekretarkę, jakby to było czarne, dzikie, niebezpieczne zwierzę. Słyszeli krzyki, pojękiwanie, pomruki. Wrzaski i ten powracający głos: Nihhdywy... za pierwszym i drugim razem cicho, potem głośniej: NIHHHDYWYYSSYYJ... To były słowa. Udało im się je odszyfrować. Yngvesson przefiltrował nagranie. Wyprał je, jak się sam wyraził. Winter patrzył teraz na ekran, jakby i on był niebezpiecznym stworzeniem. Czy na tym nagraniu też są słowa?

WINTER JECHAŁ MERCEDESEM pięknymi ulicami na zachód od Sankt Sigfridsgatan. W całej dzielnicy Örgryte czuło się atmosferę drugiego dnia świąt. Na świecie wciąż panował pokój. Skręcił w prawo, a potem jeszcze raz, w następną przecznicę.

Dom był obłożony żółtym drewnem, dobrze utrzymany. Wyglądał jak świeżo malowany. Może dlatego, że państwo Carlix mieli teraz więcej czasu. Nie byli rozdarci między dwa kraje, dwie kultury.

Wysiadł z samochodu. Drzwi willi otworzyły się. Wyszła kobieta. Czekala, aż dojdzie zwirową ścieżką. Pod butami chrzęściło mu, jakby to była wiosna. Meteorologicznie może była. Termometr w samochodzie pokazywał dziewięć stopni. Winter musiał opuścić przeciwsłoneczne osłony już na wysokości wesołego miasteczka Liseberg. W promieniach słońca wszystkie kolejki i karuzele wyglądały na zapomniane i opuszczone, jakby już straciły swoją rozrywkową wartość.

Louise Carlix podała mu dłoń. To było jego pierwsze spotkanie z matką Glorii. Była brunetką, dość niską. Miała na sobie spódnicę i kardigan. Nie babciny, w jaskrawych kolorach. Wyglądała młodo, młodziej, niż się spodziewał. Wiedział, że jest tylko o dwa lata starsza od niego. To znaczy, że on też musi wyglądać młodo. Urodziła córkę bardzo wcześnie. On czekał z ojcostwem na wiek średni. Młodszy średni, ale jednak. Gloria była jedynaczką. Louise Carlix nigdy nie zostanie babcią. Ktoś brutalnie pozbawił ją takiej przyszłości. Aż trudno mu było sobie wyobrazić taką rozpacz. I złość. Bo na pewno i to uczucie dochodzi do głosu. Wiedziała, że on to robi, powiedziała podczas przesłuchania. Mówiła o swoim zięciu. Jej słowa widniały w protokole, czarno na białym. Więcej o tym nie wspominała. Nie rozwinęła oskarżenia. Może zrobi to teraz.

– Pan komisarz, jak rozumiem – powiedziała.

Winter przytaknął i sięgnął do kieszeni po legitymację.

– Nie trzeba – odparła. – Nie sędzę, żeby pan był oszustem. Zapraszam do środka.

Winter wszedł za nią do domu. Przedpokój był długi i wąski. Wyglądał jak korytarz zakończony światłem. Louise Carlix ruszyła w stronę światła. Doszli do dużego pokoju, którego okna wychodziły na tył domu, na północny wschód. Ogród był skąpany w przedpołudniowym słońcu. Na ścianach było pełno książek. Winter czuł zapach biblioteki, zapach dzieciństwa. Może to były również meble, skórzane fotele i sofa. Mogły mieć tyle lat co on, może nawet więcej. Czuć było bogactwo.

– Proszę usiąść. – Louise Carlix wskazała mu fotel. – Napije się pan herbaty albo kawy?

– Poproszę kawy. Dziękuję – odparł. – Jeśli to nie problem.

Nie odpowiedziała. Wyszła z pokoju. Winter słyszał jej kroki na kamiennej posadzce w przedpokoju. Kiedy przez niego przechodził, wyczuł ogrzewanie podłogowe. Poza Szwedami używają go chyba tylko Japończycy. Rozejrzał się po ogromnym salonie. Na ścianach wisiały drogie obrazy. Sztuka na poziomie, ale nie kojarzył żadnego. Na stoliku w kącie leżało kilka dużych książek, jakieś mapy, kwiaty i jedzenie. W pokoju było zresztą mnóstwo ciętych kwiatów. Wazony rozstawiono w różnych miejscach. W wysokich oknach też stały zielone rośliny. Nie było za to choinki. Nie pachniało świętami, w przedpokoju też nie. I nigdzie nie było hiacyntów, a przecież w święta w każdym szwedzkim domu pachnie hiacyntami. Ale nie tutaj. Czuć było tylko zapach pieniędzy, kurzu, skóry i smutku.

Louise Carlix wróciła z tacą. Stały na niej dwie parujące filiżanki i spodek z ciastem. Winter wiedział z doświadczenia, że kawa i ciasto trochę uspokajają podczas takich rozmów.

– Czy to konieczne, żeby Stefan nam towarzyszył? – zapytała, kiedy już usiadła na sofie naprzeciwko niego.

– Proszę?

– Mój mąż, Stefan. Wciąż nie doszedł do siebie po zapaleniu płuc. Właściwie to choroba wciąż go męczy. Albo to jakieś powikłania.

– A gdzie teraz jest pani mąż?

– Leży na górze.

– Porozmawiam z nim kiedy indziej, jeśli będzie trzeba.

– Dziękuję.

Sięgnął po filiżankę. Na tacy stał też cukier i mleko.

– Tamci mają już swoje dzieci w domu – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Słucham?

– Tamci rodzice, Mats i Ann. No i rodzice tego drugiego mężczyzny, czy raczej chłopaka. Nie pamiętam jego imienia. Nie wiem nawet, czy gdzieś je słyszałam.

– Martin – powiedział Winter.

– Martin.

– Martin Barkner.

– Aha.

Sprawiła wrażenie obojętnej. Nie poruszyło jej to, wcale nie chciała wiedzieć. Nie chciała jeszcze mocniej doświadczać poczucia niesprawiedliwości. Bo przecież niektóre dzieci już nigdy nie wrócą do domu.

– Nigdy wcześniej nie słyszała pani tego nazwiska?

– Barkner?

– Tak.

– Nie. Ale co to znaczy wcześniej?

– Przed całą tą sprawą.

– To znaczy zanim zabito dziewczyny?

– Tak.

Mówiła bezbarwnym tonem, jakby chodziło o kogoś innego. Jakby to nie dotyczyło jej.

– Nigdy nie znaleźmy nikogo o tym nazwisku.

– A Holst? Madeleine Holst?

– Kto to?

– Narzeczona Martina Barknera.

Nie odpowiedziała.

Winter powtórzył pytanie.

– Nie znaleźmy jej.

– Jej rodzice to Annica i Peder Holst.

– Ich też nie.

Odpowiedziała, niemal zanim Winter zdążył podać ich imiona. Spokojnie, Eriku, pomyślał. Możesz do tego wrócić

później. Poczekaj.

– Podczas rozmowy z moim kolegą powiedziała pani, że wiedziała, że Erik Lentner zrobi krzywdę pani córce.

– Tak mówiłam?

– Tak. Wiedziałam, że to zrobi, tak pani powiedziała.

– Nie miałam tego na myśli.

– Ach tak?

– Dlaczego miałabym tak myśleć? Takie rzeczy się mówi, kiedy... kiedy stanie się coś strasznego. Ale nie chciałam tego powiedzieć.

– Sądziła pani, że Erik zabił pani córkę?

– Nie.

– Ani przez chwilę?

– Ani przez chwilę.

– Odnieśliśmy inne wrażenie.

Nie odpowiedziała. Nie zapytała jacy m y.

– Spotkała pani rodziców Erika po tym wszystkim?

– Nie.

– Dlaczego?

Znów nie odpowiedziała. Może uznała, że to też jakaś odpowiedź. Winterowi to wystarczyło.

– A oni się do pani odzywali?

– Nie wiem. Od jakiegoś czasu nie odsłuchiwałam automatycznej sekretarki.

To mogła być prawda.

– Dlaczego nie chce się pani kontaktować z jego rodzicami?

– To nie jest kwestia niechęci. Tak po prostu wyszło. To mnie przerosło. Teraz też mnie przerasta. Nie umiem panu powiedzieć dlaczego.

– A z Erikiem? Z nim też nie chciała pani rozmawiać?

– Nie.

– Mnie wydaje się to dziwne.

– Dlaczego?

– Nie chce pani wiedzieć?

– Czego?

– Co ma do powiedzenia. Co chce powiedzieć.

Milczała. Winter nie wypił jeszcze ani łyka kawy. Przestała

już parować. Louise Carlix też jeszcze się nie napiła.

– Na pewno zastanawia się pani, co się stało – powiedział Winter.

Spojrzała mu prosto w oczy. Na lewej tęczę miała żółtą plamkę. Winter widywał już takie u innych. Znikały w chwili śmierci. I to w sekundę. To też widział. Okropne wrażenie, jakby światło w człowieku gasło, kiedy życie ulatuje z ciała.

– Nic innego nie robię – powiedziała Louise Carlix. – Staram się, ale w głowie mam tylko to.

– To tak jak ja – odparł.

– Nie wierzę.

– Taki jestem.

– I co z tego?

– Słucham?

– Czy to jakoś panu pomoże? – Zrobiła krótką pauzę. Popatrzyła na filiżankę jak na coś nieznanego, jakiś obiekt bez nazwy. – Czy pomoże mnie?

– Jeśli pomożemy sobie nawzajem.

– Nie bardzo wiem jak.

– Dlaczego podejrzewała pani Erika?

– A wy nadal go podejrzewacie? Wciąż myślicie, że to zrobił?

– A pani co myśli?

– Nic.

– Co pani myśli? – powtórzył Winter.

– To nie ma znaczenia.

Ale na pewno c o ś myśli, pomyślał Winter. Może coś wie. Wie o czymś, co się wiąże ze sprawą. Każdy reaguje na tak traumatyczne przeżycia inaczej. Przez lata nauczył się rozpoznawać różne reakcje. Niektóre były normalne, choć wydawały się dziwne. Inne wyglądały na podręcznikowe przykłady przeżywania żalu, ale zdradzały coś innego. Kryły się za nimi tajemnice. Tu też się jakaś kryła. Doprowadziła do dwóch zabójstw, a teraz mogła doprowadzić do trzeciego. Był już blisko tej tajemnicy. Chociaż nie, zbliżył się zaledwie do jej rąbka, wyczuwał jej zapach. Gdzieś jest klucz do niej. Kryje się w osobistym piekle tych ludzi.

– Proszę opowiedzieć o Eriku.

Louise Carlix wzdrygnęła się gwałtownie, jakby ją wyrwał z błogiego snu i kazał wrócić do koszmaru.

- Co pan ma na myśli?
- Lubiła go pani?
- Nie wiem, co mam panu powiedzieć.
- Co się pani w nim podobało?
- Czy możemy o tym porozmawiać innym razem?
- A co się pani w nim nie podobało?
- Czemu bez przerwy pan o niego wypytuje?
- Co się pani nie podobało w Eriku Lentnerze?
- Nie ma sensu teraz o tym mówić. To bez znaczenia.
- Co jest bez znaczenia?

– Wszystko – odparła podniesionym głosem. – To nie przywróci mojej Glorii życia. To wszystko nie ma sensu. Ani trochę.

Zwiesiła głowę. Kiedy ją podniosła, Winter zobaczył w jej oczach łzy. Żółta plamka na tęczówce połyskiwała niczym pochodnia w deszczu.

– To nie będzie miało sensu, jeśli nie znajdę zabójcy – powiedział Winter. – Wtedy rzeczywiście będzie bez sensu. Nie chce pani, żebyśmy go znaleźli?

– A co to za pytanie. Oczywiście, że chcę.

Winter wyjrzał przez okno. W ogrodzie nie było już tak jasno. Jabłoń kryła się w cieniu. Choć gałęzie miała gołe, wyglądała na bardziej żywą niż pół godziny wcześniej, kiedy bezlitośnie świeciło na nią słońce. Ale teraz słońce przesunęło się po błękitnym niebie. To zaczyna wyglądać na wyzwanie, pomyślał Winter. Słońce nas wyzywa. Jest za duże i zbyt aroganckie.

– Erik i Gloria znali się jako dzieci, prawda?

Przytaknęła.

- Gdzie się poznali?
- No chyba tam, na południu.
- To znaczy w Hiszpanii?
- Tak.
- Na Costa del Sol?
- Tak.
- W Nueva Andalucía?

Spojrzała na niego. Wcześniej błędziła wzrokiem po cieniach w ogrodzie. Wyciągały się coraz dalej, w miarę jak słońce zbliżało się do morza. Winter widział trzy drzewa. Wyglądały jak ludzie. Miały ręce, nogi, głowy. Trzej królowie.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Poznali się tam? – ciągnął Winter. – W Nueva Andalucía?

– Mówi pan, jakby znał to miejsce.

– Bardzo proszę, niech pani odpowie na moje pytanie.

– No tak, tam. Mieliśmy tam dom.

– Kiedy to było? Kiedy się poznali?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Nie mam już siły.

– A ile mieli wtedy lat? – pytał dalej Winter.

– A co za różnica? Co to ma wspólnego ze sprawą?

– Ile mieli lat?

– Może dziesięć. Nie pamiętam dokładnie. A muszę? O co panu chodzi?

Winter nie odpowiedział. Sam nie wiedział. Wiedział za to, że musi zadawać takie pytania. Bo nic nigdy nie jest tylko tu i teraz. Jest wszędzie i nigdy nie znika. A tu chodziło o coś więcej niż wspomnienie, o coś poważniejszego. Chodziło o prawdziwe czyny, których skutki będą trwać wiecznie.

– Kiedy się państwo stamtąd wyprowadzili?

– Z Nueva Andalucía?

– Tak.

– Kiedy się wyprowadziliście? Nie pamiętam dokładnie. To musiało być wiele lat temu.

– Dwadzieścia?

– Może.

– Kiedy Erik był nastolatkiem?

– Możliwe.

– Dlaczego się państwo stamtąd wynieśli?

– Czuliśmy, że potrzebujemy czegoś innego. Wtedy sprowadziło się tam wielu ludzi, wszędzie wokół zaczęły wyrastać domy. Chcieliśmy uciec.

– Już wtedy robiło się tam ciasno?

– Tak.

– Więc nie byli państwo jednymi z pierwszych osadników?

- Nie.
- Ale nie chcieli się państwo wynieść z Costa del Sol?
- Nie.
- Dokąd się przeprowadziliście?
- Pewnie już pan wie. Wygląda na to, że zna pan większość szczegółów. Do leżącego trochę dalej małego miasteczka. Bliżej gór. Po drugiej stronie Marbelli. Nazywa się Los Molineros.
- Aha.
- Zna pan to miejsce?
- Tak.
- Skąd?
- Byłem kilka razy na Costa del Sol.
- Ach tak. Dlaczego?
- To nieistotne. Proszę opowiedzieć o Los Molineros.
- Po prostu się tam przenieśliśmy, nie ma o czym opowiadać. A teraz nie mamy już domu w Hiszpanii. Wróciliśmy do Szwecji na dobre.
- Dlaczego?
- Sama nie wiem. Tam też zaczęły się budować kolejne domy. Znikły gdzieś spokój i cisza. No i zrobiło się za gorąco. Teraz jest tam zdecydowanie za ciepło. Za dużo słońca. A całe wybrzeże zmieniło się w wielki plac budowy.
- Co się przydarzyło Erikowi?
- Zapytał zniemacka. Nie wiedział, czy jest przygotowana na to pytanie. Wzdrygnęła się, ale ten ruch wyglądał trochę jak wycwiczony. A może nie. Jakby się spodziewała, że to pytanie padnie, ale nie wiedziała kiedy.
- Nie rozumiem – powiedziała.
- Coś go spotkało, kiedy był dzieckiem.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Czy państwa przeprowadzka nie była tym spowodowana?
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Dlaczego nikt nie chce o tym mówić?
- O czym?
- Nikt nie chce nic powiedzieć. – Winter mógłby się wkurzyć, ale w jego głosie słychać było tylko żal. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Louise Carlix wciąż milczała.

– Wygląda na to, że wszyscy zostawili Erika samemu sobie – powiedział Winter. – Wtedy i teraz.

Znów się zdrygnęła.

– Co się tam stało? – powtórzył Winter.

Wydawało mu się, że coś się poruszyło na piętrze. Może to kroki. Ale szybko ucichły. Spojrzał w górę.

Potem znów odwrócił się do niej.

– Co się tam stało?

– Wszystko się zmieniło – odparła.

ERIK LENTNER MIAŁ WYBRAĆ MIEJSCE. Winter wybrał godzinę. Lentner zaproponował centrum sportowe Ruddalen. Winter spotkał się z nim na parkingu. Uścisnęli sobie dłonie. Ruszyli pod słońce, ciągnącą się po wzgórzach trasą biegową. Minęło ich kilkoro biegaczy. Pewnie wybrali się na rundkę pełni wyrzutów sumienia po świętach. Śniegu nie było, więc narty odpadały. Winter i Lentner minęli lodowisko. Łyżwiarze kojarzyli się Winterowi ze średniowieczem. Getry, obcisłe czapki, a do tego łyżwy przypominające ciżemki. Postacie pochylone w wysiłku trwającym bez końca, niczym epoka lodowcowa. Winterowi przypomniał się obraz Hieronima Boscha. Sceny jak z koszmarów, makabryczne detale. Minęła ich łyżwiarka ze słuchawkami na uszach. Na całym lodowisku rozlegało się szuranie i szum. Ruszyli dalej stromym wzgórzem. Sami mogliby założyć getry. Winter mógł to zaproponować Lentnerowi. Czuł, jak przyspiesza mu puls. Powinien więcej trenować. Już tak dawno nie biegał. A po biegu mogłoby iść do sauny. Po wysiłku to jak nagroda. A potem piwo. Usłyszał, że Lentner też dyszy.

- Ciężko? – zapytał.
- Panu chyba ciężiej, z tego co słyszę – odparł Lentner.
- Nie, nie. W porządku.
- W areście nie mogłem ćwiczyć, jak chciałem.
- A co pan chciał ćwiczyć?
- Mięśnie czworoboczne.
- Czyli łopatki?
- Dorabia pan jako lekarz?
- Moja żona jest lekarką.
- Gdzie?
- W Sahlgrenska.
- Jak się nazywa?
- Angela Hoffman-Winter.
- Jest Niemką?

– Tak. I Szwedką.

– Aha.

– A pan czasami czuje się jak Hiszpan?

Lentner zatrzymał się w pół kroku. Byli już prawie na szczycie. Winterowi oddychało się już lżej. Tylko rozbieg okazał się trudny, potem puls się uspokoił. Zresztą miał przy sobie lekarza. Był w dobrych rękach.

– Dlaczego, do cholery, miałbym się czuć Hiszpanem?

– Chyba spędził pan dużo czasu w Hiszpanii?

– Tam, na wybrzeżu, to my jesteśmy tak zwanymi brudasami – powiedział. – Jesteśmy tam imigrantami. Ludzie nas nienawidzą. Nas, Szwedów. Niemców i Anglików też.

– Ale kto?

– Co kto?

– Kto nas nienawidzi?

– Hiszpanie oczywiście.

– Jest pan pewny?

Lentner nie odpowiedział. Jakiś biegacz, ciężko dysząc, wbiegał właśnie na wzgórze. Twarz miał całkiem czerwoną. Kiedy był pięć metrów od nich, wyrzeźił coś, ale nie zrozumieli co. Wyglądał na wściekłego.

– Stoimy na środku drogi – powiedział Winter.

Lentner ani drgnął. Mężczyzna wyglądał, jakby chciał go staranować. Był w wieku Wintera i był otyły. Sądząc po kolorze twarzy, chyba właśnie miał stan przedzawałowy. W ostatniej chwili odbił w bok. Lentner chyba chciał mu podstawić nogę. Winter widział, że już się do tego przymierzał.

– Proszę tego nie robić – powiedział.

Lentner odwrócił się w jego stronę.

– Bystry pan jest – odparł.

– Chodził pan do szkoły w Hiszpanii?

Lentner cały się wzdrygnął.

– Słucham?

Winter powtórzył pytanie. Chłopak grał na czas. A przecież w gruncie rzeczy pytanie było niewinne. Ale widocznie dla niego znaczyło coś więcej.

– Krótko – odpowiedział Lentner.

- To znaczy jak długo?
- A co za różnica?
- Jak długo? – powtórzył Winter.
- Może rok.
- I jak się panu podobało?

Lentner nie odpowiedział. Ruszył przed siebie. Winter usłyszał śpiew ptaka. Zupełnie nie na miejscu, jakby wiosna zaczęła się już przed Nowym Rokiem. Nagle przypomniały mu się dźwięki z nagrania w trzecim pokoju. Trzeci mężczyzna i trzecia kobieta. Zginie trzecia kobieta. Tak sądził. Może to się już stało. Widział przed sobą plecy Lentnera, dalej szedł pod słońce. Oślepiły go promienie. Słońce było wręcz złośliwe. Górowało nad wszystkim. Winter też zaczął iść. Lentner przyspieszył. Winter też. Jeszcze trochę i będą się gonić sprintem.

- Niech pan zaczeka!

Lentner się nie odwrócił. Był już w połowie drogi na następne wzgórze. A niech to, ta trasa jest naprawdę górzysta. Jakiś sadysta zaprojektował ją dla takich, co lubią dostawać wycisk.

- Prosiłem, żeby pan zaczekał!

Lentner się zatrzymał. Odwrócił się.

- A co, nie nadaża pan?

Winter nie odpowiedział. Czuł, jak pot ścieka mu po karku. Nie chciał, żeby chłopak to zauważył. Wybór bieżni na Ruddalen na miejsce przesłuchania nie był dobrym pomysłem. Lentner wiedział, co robi. Winter wreszcie się z nim zrównał.

– Możemy wrócić do samochodu i pojechać na komendę – powiedział.

- Zawsze straszy pan tym ludzi?

– Tak, jeśli nic innego nie pomaga.

- Spróbuję iść tak wolno jak pan.

– Czy coś się panu przydarzyło w szkole? – zapytał Winter.

– Czemu bez przerwy gada pan o szkole? Przecież to nie ma z tym nic wspólnego.

- Z czym?

– Z tym, co spotkało Głorię.

– I Madeleine – dodał Winter.

Lentner nie odpowiedział. Może skinął głową. Winter znów usłyszał ptasi śpiew. Wysoki, pojedynczy dźwięk. Jakby ptak został sam w miejscu, które okazało się obce. Które zmieniło się nie do poznania. Zmieniło się na zawsze.

– Musiał pan myśleć o tym, co spotkało Madeleine – powiedział Winter.

– Oczywiście.

– Dlaczego zerwaliście kontakty?

– Jak to?

– Chodziliście razem do szkoły, tak?

– Tak, ale nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Znał pan Madeleine od dziecka. Bywał pan u niej w domu. W Hiszpanii odwiedzał pan Holstów, kiedy pan chciał. Kiedy przestaliście się spotykać?

– Dawno temu.

– A dlaczego?

– Nie wiem. – Lentner popatrzył w dal. A było na co patrzeć: drzewa, mokre trociny, którymi wysypana była ścieżka, ziemia, zimowa roślinność, błękit nieba przebijający między gałęziami. Teraz wokół nie było innych biegaczy. Lentner spojrział wreszcie na Wintera. – To bez znaczenia.

– Spotkaliście się w Göteborgu?

– Kiedy?

– Ostatnio. Jako dorośli.

– Nie.

– Nigdy?

– Nie. Przecież pańscy koledzy już mnie o to pytali.

– Ja też pytam.

– A ja odpowiadam, że nie.

– Znał pan Martina?

– Martina?

– Chłopaka Madeleine. Martina Barknera. Wie pan, o kim mówię.

– Nie znałem.

– Dlaczego przestaliście się spotykać z Madeleine?

– Jezu. Wtedy byliśmy dziećmi. Spotykaliśmy się jako dzieci.

Pan wciąż spotyka się ze wszystkimi znajomymi z dzieciństwa?

– Z niektórymi.

– I ja też. Ale to nie znaczy, że ze wszystkimi.

– Rozumie pan, dlaczego o to pytam?

Lentner milczał. Znów popatrzył w dal. Przesunął wzrokiem po sąsiednim zboczu, potem po kolejnym, i tak dalej. Dotarł chyba aż do połowy trasy. Może nawet do końca.

– Dlaczego akurat wy? – zapytał Winter.

Teraz Lentner skierował wzrok na niego.

– Dlaczego Madeleine i Gloria? – ciągnął Winter. – Dlaczego pan i Martin?

– Przecież to pańskie zadanie, żeby to wyjaśnić.

– I właśnie dlatego teraz tu z panem stoję. Dlaczego akurat wy?

Lentner wyglądał, jakby chciał odpowiedzieć, ale to, co miał w głowie, nie przeszło mu przez usta. Może to było coś bez znaczenia. A może było odpowiedzią na wszystko.

– Co się wydarzyło między panem a Pederem Holstem? – zapytał Winter.

Lentner zadrżał. Poruszył szyją.

– Czy po tym widywał pan Madeleine?

Lentner nie odpowiedział. Ale to wystarczyło. Nie zapytał: po czym? O co panu chodzi? Po czym?

– Proszę pomóc sobie samemu – dodał Winter.

Lentner milczał. Kolejny zasapany biegacz pojawił się na wzgórzu. Najpierw go usłyszeli, potem zobaczyli. Góra mięsa w obcisłych spodniach, dyszał jak parowóz. Pewnie padnie trupem przed końcem trasy.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – powiedział Lentner.

Ale z czym? – pomyślał Winter. Nic wspólnego z czym? Zapatrzył się na skazanego na śmierć sybarytę, który teraz zbiegał już ze zbocza. Cały strój miał pomarańczowy, a na jego plecach widniał napis „Dynapac”.

– Eriku, potrzebuję pańskiej pomocy – powiedział Winter. – Pan też jej potrzebuje.

– Ja nic nie zrobiłem – odparł Lentner. Mówił cicho, jak mały chłopiec. I tak wyglądał. Jakby miał dziesięć lat. Słońce

schowało się za drzewami. Powiało chłodem. Lentner zadrżał.

– Wiem, że nie – powiedział Winter.

– Nigdy – dodał Lentner.

– To nie była pana wina.

Lentner popatrzył w niebo, jakby szukał na nim słońca. Wcześniej mógł na nim polegać, ale nie teraz. Spojrzał na Wintera. W jego oczach Winter widział wszystkie myśli. Poruszał ustami, ćwiczył słowa, które może chciał wypowiedzieć. Bo są wspomnienia, których nie można nazwać słowami. Jeszcze nie.

– Myśli pan, że to... że to w Hiszpanii... że to, co się tam stało, mogło mieć coś wspólnego z... ze śmiercią Glorii?

– Nie wiem.

– Tak to wygląda.

– Musi mi pan pomóc.

– Ale nie wiem jak.

– Proszę powiedzieć, co pan pamięta.

– Ale o czym?

– O tym, co się stało tamtego dnia w domu Holstów w Nueva Andalucía.

– Nie pamiętam.

Winter milczał. Minął ich kolejny biegacz, tym razem chuda kobieta. Wystające kości biodrowe mocno rysowały się pod czarnym trykotem legginsów. Jej pojawienie się trochę rozładowało napięcie. Winter się ucieszył. Chłopak miał więcej czasu, żeby sobie wszystko przypomnieć.

– To nie może mieć nic wspólnego z tą sprawą – powiedział Lentner.

– Ale co?

– Nic. Nic nie ma z nią nic wspólnego.

– Czy był tam ktoś jeszcze? – zapytał Winter. – Tego dnia w domu Holstów?

– Co pan ma na myśli?

– Nic. Po prostu pytam, czy był pan tam sam. Wtedy przy basenie.

– No... chyba tak.

– Jest pan pewien?

Lentner pokręcił głową.

– Czy ktoś mógł pana widzieć? Widzieć was?

– A to ważne?

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

– Nie pamiętam.

Lentner usiadł na ławce. Popatrzył na jezioro. Woda falowała, jakby coś się ruszało pod powierzchnią.

– Brakuje mi jej – powiedział, nie odrywając wzroku od wody.

Winter siedział sam. Śledził ruchy kamery wędrującej po pokoju. Po tym ostatnim. Wyłączył dźwięk. Zostały same obrazy. Chodziło w nich o przekazanie czegoś. O obietnicę. Może podobne historie zdarzały się już w innych miejscach na świecie, na przykład za Atlantykiem, ale pewnie nie identyczne. O tym był przekonany. No bo nagrywanie żywych jeszcze ludzi? I to śpiących. Skazanych na śmierć. A do tego zabitych. Czegoś takiego jeszcze nie było. Łóżko spowijała biel, kolor śmierci. Winter nie widział, czy w łóżku leżą kobieta i mężczyzna, ale był tego pewien. Jedno z nich przeżyje, drugie zginie, jeśli on nie dotrze tam na czas. Wiedział, że ci ludzie jeszcze żyją. Gdyby któreś już zginęło, dowiedziałby się natychmiast. Ale to była całkiem bezużyteczna wiedza.

Przewijał do początku, zatrzymywał, oglądał dalej i tak w kółko. Teraz skupił się na kształtach za zasłonami, które na nagraniu pełniły funkcję bezwartościowego filtra. To mogło być gdziekolwiek, choćby po drugiej stronie morza. Ale nie, to było gdzieś tutaj. Gdzieś blisko, a jednocześnie daleko. Może to hasło wypisane na płycie coś znaczyło, chociaż zazwyczaj takie wskazówki okazywały się ślepym tropem. Ten, kto to napisał, sam nie wiedział. To zwykły produkt uboczny pracy chorego umysłu.

Chociaż kto wie. To było tutaj, w tym mieście. Pokój i dom podobne do poprzednich. Gdzieś w pobliżu. Może na Vasastan? To prawdopodobne. Czy policjanci mają chodzić po wszystkich domach i prosić o pokazanie sypialni? I włamywać się, jeśli nikt im nie otworzy? Bo może właściciele będą akurat w Tajlandii? Albo w Kitzbühel, albo w Nowym Jorku? A może

akurat będą nieprzytomni.

Za oknem stały jakieś budynki. W prawym górnym rogu ekranu widać było jaśniejszy prostokąt, miejscami wyższy, miejscami niższy. To stamtąd padało światło. To niebo, ale nie wiadomo, czy za dnia, czy nocą. Niebo nad miastem w nocy i w dzień bywa równie jasne. No i zimą noce są jaśniejsze. Może za oknem widać odbicie światła miasta, a może obok stoi latarnia. Pokój znajdował się na wyższym piętrze. Trzecim, czwartym, może piątym. Za tymi przekłętymi zasłonami światło i ciemność rozkładały się nierówno. Niestety żadna technika nie pozwoli unieść zasłon na filmie. Ale mogli się dowiedzieć z tego nagrania czegoś więcej.

Winterowi wydawało się, że na ekranie poruszył się jakiś cień.

Wcześniej go nie widział.

Cofnął, wcisnął play i czekał.

Cień na zewnątrz.

Coś się ruszało za oknem. Mignęło tylko na sekundę. Co to mogło być?

Jeszcze raz obejrzał ten fragment.

Jakby ktoś przesunął dłonią za oknem. Ogromną dłonią.

Może coś jechało ulicą? Samochód, tramwaj, autobus, łódź?

Coś przeleciało w powietrzu?

Kiedy to się dzieje? Muszę wiedzieć, która to godzina. W mieszkaniu Barknera słychać było bicie zegara. A tu nic. Czy w tym pokoju jest zegar? Czy można go zobaczyć? Czy ten ktoś chciał, żebym go zobaczył?

Nagle poczuł mocny ucisk, sięgający od karku aż po czoło i niżej, nad prawe oko. No nie, to nie czas na urojoną migrenę. Nie czas i nie miejsce.

Obok okna coś błysnęło. Stała tam komoda. A na niej coś leżało. Kilka niewielkich kształtów odcinających się na tle szarżółtawego światła.

Jeden z kształtów błysnął. Jakby to coś odbiło refleks z obiektywu kamery. A może kamera miała lampkę.

I znów błysk, przy kolejnym ruchu kamery. Potem to coś zniknęło z ekranu. Winter zobaczył drewnianą podłogę. Ona

też połyskiwała. Cofnął i obejrzał jeszcze raz. Błysk na komodzie czy też niewielkiej szafce albo stoliku. W pokoju było za dużo niezidentyfikowanych cieni. Potrzebował powiększenia. Torsten już się tym zajmował. To coś było metalowe. Może to jakiś puchar. Nagroda. Shaker do drinków. Wiaderko do szampana. Ale nie, jest na tym plakietka. Więc może jednak puchar. Nagroda.

Imię. Przecież na plakietkach często są imiona.

WINTER ZAPARKOWAŁ PRZED swoim rodzinnym domem. Została w nim Lotta. Teraz matka wróciła i dzięki niej o domu można było powiedzieć, że mieszka w nim rodzina wielopokoleniowa. Troje emerytów minęło go, maszerując równo z kijkami. Do grobów też pewnie pójdą z kijkami, pomyślał. Wysiadł. Pachniało ropą i jabłkami, jak zawsze na Hagen.

Odkładał tę wizytę. Bo pierwsza reguła w kodeksie komisarza śledczego brzmi: nigdy nie mieszaj do śledztwa rodziny. Winter nie przepadał za regułami, ale tej lepiej było się trzymać.

Mama stała na schodach, jakby na niego czekała. Dym z jej papierosa unosił się lekko ku niebu, zanieczyszczając powietrze innym. Dopiero co przyjechała z kraju, w którym powietrze już było zanieczyszczone. A teraz paliła tutaj.

– Erik!

Szedł ścieżką. Mama zeszła ze schodów i uściskała go. Do sylwestra został jeden dzień. Mieli go świętować tutaj, całą rodziną. Nietypową rodziną.

– Właśnie rozmyślałam o jutrze – powiedziała.

Winter zapalił corpsa. Prawie udało mu się rzucić, przynajmniej na ten rok.

– Lotta już wszystko dogadała z tymi rybakami spod Kåringberget – powiedziała. – Są naprawdę świetni.

Pokiwał głową i wypuścił dym w stronę zmierzchającego nieba.

– Nie za tani, ale dobrzy. Jak najlepsi z Marbelli. Pamiętasz tę halę targową przy Benavente?

– Tak.

– Ależ tam mieli turboty!

– Poczekaj, aż spróbujesz tego jutro.

– Wspaniale znów być w domu. Niektóre rzeczy są tu takie jak tam.

– Chciałem cię zapytać o kilka rzeczy – powiedział.

Rozgniotła peta w napełnionej piachem puszcze po kawie. Tak, niektóre rzeczy są tu takie jak tam.

– Zimno mi – powiedziała.

On też odłożył cygaretkę do puszki.

– Lotta i dziewczynki wyszły – dodała. – Chcesz kawy?

– Nie, dziękuję.

Weszli do środka. W przedpokoju pachniało tak jak zawsze. Winter wiedział, że ten zapach zawsze będzie przywoływał te same wspomnienia. Zawsze, mimo że to było tyle lat temu.

Prawie cały salon pograżył się już w półmroku zmierzchu. Przez okno widać było ogród, domek do zabawy i drzewa.

W domu przy Pasaje José Cadalso matka miała w ogrodzie trzy palmy. Uliczka była ślepa, stały przy niej jedno-i-dwupiętrowe wille. Wszystko tam było biało-zielone. Bugenwilla zwisała z białych murów. Między prętami ogrodu widać było troskliwie podlewane trawniki. U matki z jednej strony metalowej furtki wisiała skrzynka na CARTAS, a z drugiej tabliczka ostrzegająca przed PERRO. Wprawdzie matka w życiu nie podeszła do żadnego psa bliżej niż na dziesięć metrów, ale widocznie tabliczka miała odstraszać andaluzyjskich złodziejasków, przynajmniej tych, którzy umieli czytać. Winter uwielbiał palmy rosnące na niewielkim prostokątnym trawniku za domem.

– Chciałem cię zapytać o kilka nazwisk – powiedział.

Gerda Hoffner długo wylegiwała się w wannie. Kiedy skończyła, miała pomarszczoną skórę na palcach. Zanim wyszła z łazienki, narzuciła na siebie ręcznik. Nawet nie wytarła stóp. Lubiała zostawiać ślady na podłodze. Mama zawsze ją za to goniła. Podłoga się niszczy! – krzyczała.

Dzień przed sylwestrem. Święta już minęły, nie przechodząc do historii – ani jej prywatnej, ani światowej, ani nawet do historii policji. Gerda pracowała dwa dni między świętami a sylwestrem. Wtedy też niewiele się działo. Całe miasto miało kaca. Dzieci pijanej pary wreszcie miały trochę spokoju. Takie myśli po pracy były najgorsze. Nie można było do nich przywyknąć, nikt też nie mógł jej na to przygotować. Myśli, które towarzyszyły jej nawet teraz, po wszystkim, kiedy przed

sobą miała wolny sylwestrowy wieczór, który mogła świętować, jak chciała. Mogła się zdecydować na mięso albo na rybę, na czerwone, białe albo różowe wino. Żadnych kompromisów, chociaż akurat różowe wino brzmiało jak kompromis. Żadnego stresu przed przyjściem gości, żadnych rozmyślań, co na siebie włożyć. Żadnych niezdarnych pocałunków po wybiciu północy. Boże, przecież to po prostu kolejny rok. Nawet nie przełom dziesięcioleci, o stuleciach nie wspominając. A takie coś Gerda chętnie przeżyłaby jeszcze raz. Przełom wieków – to dopiero coś.

Zadzwoił telefon. Włosy miała mokre, ciało też jeszcze nie wyszło. Chwyliła słuchawkę wiszącą na kuchennej ścianie.

– Tak?

– Cześć, Gerda. Jak tam?

– W porządku.

– Co robisz?

– Układam pasjansa.

– Ha, ha. A jutro?

– Nie wiem. A jaki jutro jest dzień?

– Ha, ha. Jakie masz plany?

Przygotować kolację. Przebrać się dwadzieścia razy. Wypić drinka z ukochanym. Cieszyć się kolejnym dniem, starym rokiem, nowym rokiem. Obejrzeć fajerwerki za oknem. Podziwiać rozświetlone miasto.

– Jeszcze nie zdecydowałam – odparła.

– Przyjdź tu – powiedział.

– Dokąd? Do radiwozu?

– Ha, ha. Nie, święta na służbie to i tak za dużo. Przyjdź do mnie. Do nas. Wpadnie parę osób, no i tak sobie pomyślałem o tobie.

– Dzięki, Johnny, to miłe.

– Tylko nie wiem, może masz inne plany. Może jednak wybierasz się do Niemiec.

– Pojadę po Nowym Roku.

– Aha, no to gdybyś miała ochotę...

– Muszę od razu dawać odpowiedź?

– Nie. Będzie szwedzki stół, więc jeśli chodzi o jedzenie, nie

musisz nas uprzedzać. Alkoholu też mamy pod dostatkiem. Wino tylko dla słabeuszy. Będzie może z piętnaście osób. Sami fajni, nikogo z policji.

– No to super.

– I wpadnie ekipa z Armii Zbawienia. Chyba odnajmiemy im pokój gościnny.

– Ha, ha.

– Przemyśl to.

– Z pokojem gościnnym?

– To też. Jutro około siódmej. Wystarczy zadzwonić do drzwi. Bo kod znasz, prawda?

– Tak.

– Więc wpadaj tak jak jesteś.

– Teraz mam na sobie tylko ręcznik.

– A wspomniałem, że to ma być bal przebierańców?

– Ha, ha.

– Do zobaczenia.

– To naprawdę miło z twojej strony. Mam coś wziąć?

– Wystarczy świetny humor – powiedział i się rozłączył.

Gerda stała jeszcze chwilę ze słuchawką w ręku. Za oknem jej dobry znajomy tramwaj, prychając i skrzypiąc, wjeżdżał pod górę. Niebo na zachodzie już się czerwieniło. Okna domów na Ekebäck zaczęły się mienić. I co teraz? Powietrze w mieszkaniu było tak suche, że zdążyła wyschnąć. Nie potrzebowała już ręcznika. Poszła do sypialni. Ubrała się, myśląc o wielu rzeczach naraz.

Dopiero kiedy wyszła na ulicę, zrozumiała, że najbardziej zaprzętała ją myśl o tych dwóch pokojach, w których po raz pierwszy zobaczyła śmierć. Jeszcze nie było ciemno. Potrzebowała mnóstwa świeżego powietrza. To niezdrowo za długo siedzieć w samochodzie, a ona siedziała. To źle robi na kręgosłup. Już ją bolały plecy. Może to przez stres. Powinna pójść na masaż. Ale to drogą. Mogła zrobić przebieżkę po Pålvelund, ale to z kolei za dużo zachodu. Trzeba się ubrać, rozebrać. Mogła sobie zafundować szybki marsz, ale bez kijków. Bo z kijkami jakoś tak głupio... jeśli się nie skończyło czterdziestki czy nawet pięćdziesiątki, lepiej nie chodzić z

kijkami przed zmrokiem. Kiedy przechodziła obok przystanku, nadjechał tramwaj. Jedenastka. Wsiadła. Była w wagonie sama. Dziwne, że nikt inny nie jedzie do centrum. Przy Mariaplan wsiadło troje nastolatków. Mieli ze sobą kijki, ale mieli też narty. Pewnie wybierali się w góry. Gdzie indziej był śnieg, była zima. Nagle Gerda zatęskniła za prawdziwą zimą. Za śniegiem na dwa metry i rześkim powietrzem, które trafia się tylko na północy. Od czasu do czasu w postaci lodu napływało i nad Göteborg. Tramwaj minął Stigbergstorget, Masthugget, Järntorget. Wsiadła przy Hagakyrkan.

Było już prawie ciemno. I prawie pachniało zimą. Niebo przybrało intensywnie niebieski kolor, taki, jakiego jeszcze nigdy nie widziała. Może to skutek inwersji termicznej. Okazuje się, że to zanieczyszczone powietrze jest najpiękniejsze. Ale nie było zimno, temperatura była dodatnia. A niebo i tak było niebieskie. Z przystanku ruszyła w prawo. Szła przez Vasaplatsen. Obelisk stojący na placu przypominał wymierzony w niebo palec. Na Vasagatan było dużo ludzi, szli w jedną i w drugą stronę. Ich widok ją uspokajał. Lubiała chodzić tłoczonymi ulicami. W Lipsku w niektórych miejscach było naprawdę pusto, zwłaszcza w okolicach ogródków działkowych. Albo na Augustusplatz. Plac był wielki jak centrum Göteborga, ale zawsze opustoszały, a do tego otoczony budowlami wzniesionymi przez złych ludzi. Bo w mieście rządzonym przez złych ludzi na ulicach nie ma nikogo. Skręciła w prawo, a potem znów w prawo. Teraz szła pustą ulicą. Ale to nie ona tam skręciła, nie wiedziała, jak się tam znalazła. Rozpoznała sklep. Obok była restauracja, ale nie pamiętała, jak się nazywa. A dalej jakiś warsztat. Zupełnie jak dawniej. Wydawało się, że ulicę ominęły zmiany, które zaszły wszędzie dookoła. Jakby ktoś ją przed nimi uchronił. Może to te stare, wysokie domy. Piękne domy.

Właśnie mijala jeden z nich. Spojrzała na dobrze sobie znane drzwi. Była za nimi dwa razy. A może trzy? Właśnie ktoś z nich wychodził. Światło na klatce wyglądało na ciepłe i zachęcające, jakby ją zapraszało do środka. A ostatnio wydawało jej się takie zimne. Dotknęła klamki. Pchnęła drzwi. Jeszcze nie zdążyły się

do końca zamknąć. Każdy mógł tu wejść. Stała na klatce. Wszystko było piękne. Miało ten dawny urok. Światło wciąż było ciepłe. Może zmienili żarówki? Dlaczego znów tu jestem? Bo chcę wiedzieć. Nie dam za wygraną, dopóki się nie dowiem. A teraz wyjdę. Nie mam tu nic do roboty. To nie moja sprawa. Nie przyszłam tu z własnej woli, to nie ja. Wyjdę z powrotem na ulicę, pomyślała, ruszając na górę. Gdzieś na piętrze coś zgrzytnęło. Chyba ktoś otworzył drzwi. Odgłos rozniósł się echem po budynku. To dom stworzony dla echa. Te wszystkie dźwięki mogły nie dotrzeć tylko do kogoś przygłuchego. Słyszała własne kroki. Pewnie słyhać je na całej klatce. Szła dalej, na górę.

Weszła na piętro. Światło było inne, miało chłodniejszy odcień. Chyba знаła na pamięć szczegóły oświetlenia w całym budynku. Zadrżała. Na plecach poczuła chłodny podmuch. Jakby ktoś na dole otworzył drzwi na całą szerokość. Ale gdyby tak było, pewnie by coś usłyszała. Na drzwiach wciąż wisiały policyjne taśmy, trochę już wyblakłe. Może to blade światło na klatce wypaliło je niczym promienie słońca. Lampa pod sufitem przypominała zimne słońce. Obok były drzwi do dwóch innych mieszkań. Jak długo policja rozmawiała z tymi, którzy tu mieszkali? Na pewno wystarczająco długo. Ona nie pracowała w wydziale śledczym, ale wiedziała, że taka sprawa jak ta wymaga wielu długich przesłuchań sąsiadów i świadków. To część policyjnej roboty. Ciekawe zadanie, ale pewnie jednocześnie cholernie nudne. Przekopywanie tego wszystkiego, odsłuchiwanie rozmów, oglądanie nagrań z kamer, czytanie raportów i protokołów z zeznań. Czy miałabym dość cierpliwości? Nie wiem. Pewnie nie. Wprawdzie wielogodzinne kursy radiowozem też są nudne, ale nawet jeśli człowiek siedzi, to i tak w pewnym sensie jest w ruchu.

Drzwi do drugiego mieszkania były tuż obok. Wisiała na nich tabliczka. Przeczytała ją dwa razy. To nie było zwykle szwedzkie nazwisko. Lampa zgasła. Gerda podskoczyła. Nagle ogarnął ją strach. Ale to tylko światło, to zimne światło. Może teraz będzie cieplej. Nie musi go zapalać od razu. Nie ma pośpiechu. Świeciło się za to pod drzwiami, przy których stała. Pod

drugimi było ciemno. Gdyby tak światło dochodziło z opieczętowanego mieszkania, toby dopiero było coś. Chyba żeby się okazało, że to policjanci nie zgasili którejś lampy. Nagle zza drzwi, pod którymi się świeciło, coś usłyszała. Chyba głos. I znów. Jakby ktoś chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Nieprzyjemny dźwięk. A może to wołanie o pomoc? Trochę tak brzmiało. W ciemnościach wydawał się wyraźniejszy. Chyba zawsze tak jest. A potem znów zrobiło się cicho.

Podeszła do pozłacanego włącznika i nacisnęła go. Zimne światło znów zalało klatkę. Nie było już za to widać światła pod drzwiami. Podeszła bliżej. Skoro już tu jest, to czy i ona nie może czegoś zrobić? Przecież jest policjantką. Zadałaby tylko kilka pytań. Nie, nie, do cholery. Oberwałaby za to. Ten, kto tu mieszka, zadzwoniłby na komendę i złożył skargę. Dostałaby naganę. Może by ją wylali. Pewnie by pomyśleli, że jej odbiło. Bo chyba odbiło. Drzwi drgnęły. Uchyliły się na kilka centymetrów. Był w nich wizjer. Ktoś się jej przyglądał. Nic dziwnego. Nie miała na sobie munduru. Była kimś obcym. Stała w ciemnościach. To musiało się wydawać podejrzane. Może ten ktoś już wezwał policję. Ona by wezwała. W sąsiednim mieszkaniu doszło do zabójstwa, a teraz ktoś przed nim stoi i się gapi. Podejrzane. Drzwi powoli uchyliły się o kolejnych kilka centymetrów. Widziała kawałek wnętrza. Wieszak, stolik, piękna drewniana podłoga. Połyskiwała w świetle lamp. Wyglądała jak lód, jak ciepły lód. Wręcz zachęcała do wejścia.

– Halo? – powiedziała Gerda. – Jest tam ktoś?

Nikt nie odpowiedział.

– Halo?

Drzwi otworzyły się szerzej. Pewnie przez krzywą ścianę. Wszystkie te stare domy mają krzywe ściany. Miasto zostało zbudowane na gliniastym podłożu. Żeby domy były proste, trzeba by się dokopać z fundamentami aż do Chin. Drzwi otwierały się coraz szerzej. Brakowało tylko piłeczek albo kulek turlających się po podłodze. Nagle Gerda usłyszała jakiś dźwięk. A jednak kulka! W mieszkaniu ktoś puszczał po podłodze kulkę.

– Halo? – Wślizgnęła się do przedpokoju. – Halo?

Zrobiła jeszcze kilka kroków. Ale nie, to znów nie ona. To ktoś wszedł tam za nią. Ta druga Gerda w mundurze, z policyjną pałką i pistoletem. Bo nagle jakby znalazła się w pracy. To się jakoś wiązało z zabójstwem w sąsiednim mieszkaniu. A tę zagadkę mogła rozwiązać. Tu i teraz. Zawsze ją tu ciągnęło. Teraz już wiedziała. Powinna skończyć z tymi nudnymi godzinami w radiowozie. Powinna być kimś innym. Jeśli za sekundę nikt jej nie odpowie, wezwie kolegów. Już trzymała w ręku komórkę. Spojrzała w lewo. Zobaczyła butelkę wina i kieliszek. Stały na stoliku na środku przedpokoju. Leżało też na nim kilka książek. Już wiedziała. Nie musiała patrzeć, jak równo są ułożone. Czuła, jak skóra napina jej się na głowie, jakby ktoś ją nagle podpałił. Kiedy przed chwilą myślała, że zawsze ją tu ciągnęło, miała rację. W głowie jej szumiało. Chciała się odwrócić i wybiec. Wybiec, uciec stąd! Ale już wiedziała. Drzwi zamknęły się za nią, zanim zdążyła się ruszyć.

– HOLST? ANNICA I PEDER HOLST? O co ci chodzi?

– Mówię o tych Holstach, którzy mają dom w Nueva Andalucía.

– No przecież wiem. Ale dlaczego pytasz?

Winter nie odpowiedział. Nie od razu. Nie chciał jej mówić. Ta sprawa nie miała z nią nic wspólnego. Nie chciał, żeby miała cokolwiek wspólnego z kimś z jego rodziny. O Nueva Andalucía nie powinno się mówić w takim kontekście. Nie chciał też wypytywać matki o sprawy związane z zabójstwem, są przecież jakieś granice. A te granice powinny przebiegać tutaj, na północy. Matka zakasłała. Znów. To będzie cud, jeśli się okaże, że nie ma rozedmy po tylu latach z marlboro. The Marlboro Woman. Angela wierciła jej dziurę w brzuchu, żeby zrobiła badania. Nie powinna z tym zwlekać, skoro miała na co się badać.

– Dlaczego pytasz?

– Zaraz ci wyjaśnię. Jak dobrze ich znasz?

Nie mogła wiedzieć o tym z gazet ani z telewizji. Nazwiska zatrzymanych nie wyciekły do mediów.

– Nie mówiłam, że znam Holstów. Ale jeśli to o nich ci chodzi, to znaczy o Annicę i Pedera, to nie ma tam żadnych innych. Mają dom po drugiej stronie Las Brisas.

– Las Brisas?

– To pole golfowe. To duże. Ale nie Los Naranjos.

– No tak.

– Ojciec należał do klubu Los Naranjos.

Winter nigdy nie widział, jak ojciec gra, ale mógł sobie to wyobrazić. W tle Morze Śródziemne. W ręku kij. Wzrok utkwiony w zasłużonej szklaneczce ginu z tonikiem gdzieś przy dziewiątym dołku. Mierzenie do celu, zamach. Słońce. Właściwie to właśnie tak umarł. Nie najgorsza śmierć. No i zdążył się pogodzić z synem. A nie każdy może to o sobie powiedzieć, pukając do bram Królestwa Bożego. Spotkałem się

w końcu z synem. Nie gra w golfa.

– Pamiętam, że mają córkę – powiedziała matka. – Nie pamiętam, jak ma na imię.

– Madeleine.

– Możliwe. No tak. Madeleine. Widać i tak już to wiesz. Dlaczego pytasz o Holstów? O Madeleine?

– Madeleine nie żyje.

– Nie żyje? Czy to znaczy, że... że ją...

Tak, to właśnie to znaczyło. Zrozumiała. Teraz wszedł w rolę komisarza. Nie chciał się czuć jak syn, to by było za trudne.

– Jak to się stało?

– Nie wiemy. Nie chcę o tym rozmawiać. Próbuję wyjaśnić, co się działo wcześniej. W przeszłości. Kiedy Madeleine była młodsza. Chciałem cię też zapytać o inne nazwiska.

– Więc są i inne?

– Tak. Wszystkie w jakiś sposób wiążą się z Nueva.

– Już nic nie rozumiem. Chodzi ci o zabójstwo? Zabójstwo wiąże się z Nueva?

Tak. Może. Zabójstwo wśród tanich drinków z dżinem, przykurzonych palm, wiecznego słońca, pól golfowych wysysających z gleby całą krew. Jeszcze trochę i tamtejsza ziemia nie będzie czerwona.

– Stig i Linnea Barkner – powiedział Winter. – Mają syna. Martina.

– Barkner... Oni też mają dom w Nueva?

– Tak.

– Też są w to zamieszani? To znaczy mają coś wspólnego z tą sprawą?

– Kojarzysz to nazwisko?

– Barkner. Barkner. Chyba kiedyś się spotkaliśmy. Może we Fuengirolí. Bo coś kojarzę. Brzmi z angielska. Ale nie mogę powiedzieć, żebym ich znała. Tak samo jak Holstów.

– Jeszcze jedno nazwisko. Lentner. Mats i Ann Lentner. Kojarzysz?

– Nie.

– Zastanów się.

– Nie... Tyle się tam teraz przewija tych nazwisk.

– A Erik Lentner?

Nie odpowiedziała. Dla niej to za dużo nazwisk. Ale przecież zawsze tak jest. Pojawiają się kolejne i kolejne.

– Erik Lentner? – powtórzył.

– Nie wiem.

– Nad czym się zastanawiasz?

– Sama nie wiem.

– Lentner. Kojarzysz to nazwisko? Erik Lentner.

Popatrzyła na niego. Widział w jej oczach, że właśnie próbuje dostrzec swojego syna w tym mężczyźnie, który przed nią siedzi. Kiedy pracował, zmieniał się. Stawał się obcy. Ale właściwie pracował bez przerwy. Bo musiał. Bo taki już był. Czy to dlatego zawsze jestem obcy?

– Eriku, musisz mi wyjaśnić, o co tu chodzi. Zaczynam się niepokoić. Nie mogę tak po prostu odpowiadać na pytania o kolejne nazwiska. O co chodzi?

– Nie wiem – odparł. – Dlatego pytam. Kiedy zapytałem o Lentnera, chyba zaczęłaś się nad czymś zastanawiać.

– O co ci chodzi? Nie będę się już nad niczym zastanawiać, jeśli mi nie wyjaśnisz!

Więc jej powiedział. O Madeleine i Martinie. O Eriku i Glorii. Musiał wymienić również pozostałe nazwiska. Kiedy tak mówił, pomyślał: to mogła być zbrodnia doskonała.

Nie wspomniał o incydencie, do którego dwadzieścia lat wcześniej mogło dojść przy basenie Holstów. W domu po drugiej stronie Las Brisas.

– To straszne – powiedziała matka, kiedy skończył. – Co za... dziwaczne zabójstwa.

– Dlaczego wszystkie te nazwiska wiążą się z Costa del Sol? – zapytał Winter. – To jeden z wątków, nad którymi się teraz zastanawiam.

– Może to przypadek. W końcu mnóstwo ludzi z Göteborga ma tam domy.

Nie odpowiedział.

– Ale Carlixów nie znam – dodała matka. – Takie nazwisko bym zapamiętała. Wymieniłeś je tylko raz, a już pamiętam.

– A Lentner? Chyba też je skojarzyłaś?

Milczała. Popatrzyła na ogród. Teraz był martwy, ale tylko do wiosny.

– Ci Lentnerowie naprawdę też mieli dom w Nueva?

– Tak, ale potem kupili mieszkanie w Marbelli.

Spojrzała na niego.

– Eriku, wiesz coś, o czym ja nie wiem – powiedziała. – Co?

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem – odparł. – Nie mogę do tego dotrzeć. Chodzi o Lentnerów. I Holstów. O Erika Lentnera i Pedera Holsta. Coś się wydarzyło dziewiętnaście albo dwadzieścia lat temu. Kiedy Erik miał dziesięć lat.

– Ale co się wydarzyło?

– Tego właśnie nie wiem.

– Pytałeś ich? Skąd się o tym dowiedziałeś?

– Nikt nie chce nic mówić. A ja nie... A ja mam wrażenie, że to może mieć związek z tym, co dzieje się teraz. Że cała ta historia zaczęła się wtedy.

Matka znów popatrzyła na ogród. Wyglądał bezpiecznie. Jak miejsce, do którego można wrócić. Tutejsza przeszłość nie wydawała się groźna. Może postanowiła wrócić do Szwecji na dobre. Może utwierdziła się w tym przekonaniu teraz, kiedy ukochana Nueva nagle okazała się miejscem niebezpiecznym. Jej syn przyjechał i zmienił Nueva w coś groźnego.

A może zawsze było tam groźnie.

– O czymś słyszałam – powiedziała po chwili. – Coś się tam stało.

Winter czekał.

Popatrzyła na niego.

– Ale nie pamiętam co.

– Holst i Lentner.

– Wiem, ale nie mogę sobie przypomnieć. Chodziło o... – Przerwała w pół zdania.

– Co chciałaś powiedzieć?

– Chodziło o coś innego. Twój ojciec o tym wspominał. Gdzieś o tym słyszał.

– Słyszał? Ale o czym? Chodziło o Lentnera i Holsta?

– Tak... Nie... To znaczy tak, musiało chodzić o nich. Ale nie wiem, Eriku, naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że chyba

padło wtedy jeszcze inne nazwisko.

– Inne nazwisko? – Winter poczuł muśnięcie na karku. – Więc jest jeszcze ktoś?

Zastanawiała się. Znów zapatrzyła się na ogród. Dziewiętnaście lat temu. On miał wtedy trzydzieści lat. Był mniej więcej w tym samym wieku co Martin, Madeleine, Erik i Gloria teraz. Zaczął już pracować w wydziale śledczym. Wciąż miał przed sobą przyszłość.

– Chodziło o... o kogoś jeszcze – powiedziała matka. Spojrzała na niego. – Może to były tylko plotki. W takich miejscach ich przecież nie brakuje. Sam wiesz. Ludzie siedzą sobie na głowach. Prawie nikt nie pracuje. Ale pamiętam, że chodziło o rodzinę, która się przeprowadziła po jakimś incydencie. Chyba wyciszyli tę sprawę. Nie mówili, co się stało. Wiesz, że w wyciszaniu jesteśmy niezli.

– Mówiłaś, że chodziło jeszcze o kogoś innego. O kogo?

– Nie pamiętam. To chyba twój ojciec coś takiego mówił.

– Ale jego tu nie ma!

Wzdrygnęła się. Podniósł na nią głos. Posunął się za daleko. A myślał, że tym razem tak nie będzie.

– Przepraszam, mamo.

Pokiwała głową. W oczach miała łzy. Naprawdę świetnie umiał prowadzić przesłuchania. Tak się starał, a teraz sam wszystko zepsuł.

– Spróbuj się zastanowić – powiedział. – Spróbuj sobie przypomnieć. Cokolwiek.

Znów pokiwała głową. Chwyliła jakiś porcelanowy bibelot z parapetu i przekładała go z ręki do ręki. Rozpoznał go. To była figurka Cyganki. Jaskrawe kolory nie wyblakły, odkąd trafiła do ich domu w latach pięćdziesiątych. Kiedy on przyszedł na świat, ona już tu była. Patrzył na nią jako dziecko. Przykuwała uwagę. Może pochodziła z Costa del Sol. Cyganie mieszkali tam w barakach ustawionych na obrzeżach pól golfowych. Matka cały czas obracała w dłoniach figurkę. To była młoda Cyganka, a nie stara kabalarka, która w wozie wróży klientom bazaru. Była uśmiechnięta. Matkę uspokajało bawienie się nią. A może uspokajało jej myśli i wspomnienia. Taka terapia.

- Więc padło też inne nazwisko? – zapytał Winter.
- Tak mi się wydaje.
- Pamiętasz jakie?
- Nie sędzę.
- A kto może pamiętać?
- Jak to?
- Czy jest ktoś, kto mógłby o tym wiedzieć coś więcej?
- Niby kto?
- Ktoś stamtąd. Z Nueva albo z jakiejś innej miejscowości na wybrzeżu. Ktoś, kogo mógłbym zapytać.
- Niech pomyślę. Chcesz tam pojechać?
- Wolałbym nie. – Wstał. Łupało go w karku. Widocznie był spięty bardziej, niż mu się wydawało. Po raz pierwszy przyszło mu przesłuchiwać własną matkę.
- Eriku...
- Tak?
- Musimy o tym rozmawiać teraz? W sylwestra? Nie mogliśmy sobie odpuścić?
- Dobrze.
- Wystarczy tego, co było w Wigilię.
- Dobrze.

Zrobił krok przed siebie. Jej słowa przypomniały mu, że ma do obejrzenia film.

Najpierw zobaczyła ciemność. Goła noc, ani jednego sztucznego światełka. Taka, jakie bywały kiedyś, pomyślała. Była to jedna z setek myśli, które przemknęły jej przez głowę w pierwszej minucie. Nadal nic nie widziała. Miała coś na oczach. Uciskało głowę, powieki, skronie. W ogóle nie przepuszczało światła. Opaska na oczy. Ale przecież powinna przepuszczać cokolwiek. Tam, gdzie była, musiało być bardzo ciemno. Wtedy przypomniwała sobie, co to za miejsce. Nagle ogarnął ją paniczny strach. Umrę. Wkrótce.

– Nie bój się.

Ktoś się odezwał za jej plecami. Bo to chyba był głos. Słyszała słowa, zrozumiała ich sens, ale jakoś tego wszystkiego nie pojmowała. Nie chciała go słyszeć. Nie chciała.

– Nie bój się.

Nie, nie, nie! Nie chcę go słuchać! To się nie dzieje naprawdę! Wybieram się na sylwestra do Johnny'ego. Która godzina? Impreza może już się zaczęła. Może już jest Nowy Rok. 2009. Bo chyba miał nadejść rok 2009? Johnny chyba zadzwonił do mnie do domu. I chyba powiedziałam, że przyjdę? Tak, oczywiście, miałam iść. Jeśli mnie nie będzie, pomyślą, że coś mi się stało. Bo przecież mówiłam, że przyjdę? Gdybym nie przyszła, pewnie już po godzinie wszczęliby alarm. Mnóstwo ludzi widziało mnie, kiedy jechałam do centrum. Wszyscy wiedzą, gdzie jestem. Wystarczy, że tu przyjadą i mnie zabrają. Wystarczy...

– Dlaczego tu przyszłaś?

Nie, nie, nie! Nie chcę cię słuchać! Jestem głucha! Nie słyszysz? Głucha!

Nie chciała odpowiadać. Nie chciała z nim rozmawiać. Jeśli się odezwie, on będzie wiedział, że żyje. Że tu jest. A jeśli będzie milczeć, może uwierzy, że umarła od tego, czym ją uspił. Bo co się właściwie stało? Słyszała, jak zamykają się za nią drzwi, ale już kiedy zaczęła się odwracać, on był tuż za nią. Poczula coś na ustach. I na nosie. Uderzył ją jakiś zapach. Chyba. A potem zapadła się w ciemność. On ją złapał. Była zaskoczona, że to się dzieje tak szybko. Bardzo zaskoczona. To trwało ledwie sekundę. Wiedział, co robi. Jakby robił to już setki razy. Tysiące. Dwa tysiące dziewięć razy. Ona była dwa tysiące dziewięćdziesiąt.

Spróbowała poruszyć ręką, potem nogą. Nie dała rady. Już nigdy nie da. Była sparaliżowana. Albo związana. Tak. Związana. Bo mogła ruszać palcami u rąk i nóg. Chyba nie miała na nogach butów, ale nie była pewna. Wciąż było ciemno. Leżała na czymś miękkim.

– Wiem, że już się obudziłaś.

Odezwał się głos, którego nigdy nie słyszała. Może wiedziała, jak wygląda. O ile to on. Widziała go oczyma wyobraźni, bo tylko nimi mogła patrzeć: to mężczyzna, który wychodził z kamienicy, kręcił się po mieście, a potem wrócił. Widziała go. Johnny też. Johnny na pewno sobie przypomni. Johnny na pewno zrozumie, doda dwa do dwóch, chociaż to idiota. Nie,

nie może tak myśleć. Ten idiota jest jej jedyną nadzieją. Nie może tak myśleć. Czy to w Wigilię go widzieli? Nie pamiętała już. Podwieźli wtedy tego bezdomnego, tego hokeistę...

– Obudziłaś się – przerwał jej rozmyślenia. – Nie oszukasz mnie. Znam się na tym.

Zna się? Ale na czym? Nie zapytam. Nic nie powiem.

– Dlaczego tu przysłałaś?

Zacząć krzyczeć? Nie. To nic nie da. On dobrze o tym wie. W sąsiednim mieszkaniu nikogo nie ma. Wszyscy to wiedzą. A na górze mieszka jakaś głucha babcia. Bo to chyba tutaj? Czy może w tym drugim domu?

– Już po mnie jada! – usłyszała swój głos. Brzmiał, jakby dobiegał z drugiego końca pokoju. Czy to ja? Chyba krzyknęłam.

Nie odpowiedział. Słyszała jego oddech. Wdech. Jakby zasysał powietrze. Chyba coś się poruszyło obok. Zamknęła oczy. Zacisnęła je pod opaską. Jakby to miało ją ochronić.

– Niby kto jedzie?

Głos był bliżej. Poczula jakiś zapach. Nie rozpoznała go. Co to? Znow ją uspi? Nie. To coś innego. O Boże, o dobry Boże, co to jest? Co on jej zrobi? Co to?

Poczula coś zimnego na szyi. Ręka? Nie. Więc co? To coś się poruszało. Znikało i znow się pojawiało.

– Kto jedzie?

Głos brzmiał łagodnie. Ciepło. Przynajmniej w porównaniu z tym, co czuła na szyi.

– Oni wiedzą, że tu jestem – znow usłyszała samą siebie. Nie brzmiało to przekonująco. Raczej niepewnie. Brzmiało jak kłamstwo, bo tym przecież było.

– Dlaczego nie masz na sobie munduru? – zapytał.

– Jak to?

– Jesteś policjantką. Widziałem cię już, więc nie próbuj kłamać. Widziałem cię tutaj, w tym domu. I w radiowozie. Ale dlaczego dzisiaj nie masz munduru?

Dzisiaj. Więc nie minęło jeszcze tyle czasu. Więc jeszcze nikt się nie zorientował, że zaginęła. A gdyby minął już dzień, dwa, trzy... Cały świat by wiedział. Cały świat by jej szukał. Cały

świat.

– Bo... nie zawsze noszę mundur.

– No jasne. Nie jesteś na służbie.

Nie odpowiedziała.

– A jednak tu przysłaś.

Teraz usłyszała coś jeszcze. Jakby bicie zegara. Spróbowała się wsłuchać. Skupiła się tylko na nim, próbowała liczyć uderzenia. Trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-osi...

– Dlaczego tu przysłaś?

Już nie słyszała bicia. A ten dźwięk był taki... normalny. Był częścią tego drugiego, prawdziwego świata. Bo to tutaj to tylko sen. Obudzę się. Ktoś mnie uszczypnie i...

Coś ukłuło ją w szyję. Już nie było takie zimne. I znów – zimne. I ciepłe. I zimne...

– Jeśli nikt nie wie, że tu jesteś, to chyba nie mam powodów do obaw, prawda?

Zimno. Teraz czuła już tylko zimno. Ale dopóki je czuła, była spokojniejsza. Chociaż to złe słowo. Nie bała się tak bardzo. Nie bała się tak panicznie. Ale mimo wszystko się bała.

– Wiemy tylko ty i ja. I nikt więcej nie musi wiedzieć.

Chciała coś odpowiedzieć, ale nie dała rady. Jakby język jej zeszywniał. Nie mogła nawet przełknąć śliny. Jakby w gardle miała piach. Ledwo mogła oddychać.

– Byłaś ciekawa, co?

Wciąż nie mogła odpowiedzieć. Musiała się napić. Dusila się.

– Nie powinnaś być taka ciekawska.

Wreszcie mogła przełknąć ślinę. Jakby piach przesypał się z gardła gdzieś niżej. Zobaczyła plażę. Fale rozbijały się o brzeg. Tam piach był bardziej mokry. Zobaczyła wiaderko i łopatkę. I siebie. Jako dziecko.

– Gerda.

Wiedział, jak ma na imię. No tak, oczywiście. Wystarczyło zajrzeć do torebki. Miała w niej portfel. I całą resztę. W torebce było całe jej życie. Łącznie ze zdjęciem z plaży.

– Kim jesteś? – zapytała.

Nie odpowiedział.

Nagle przestała czuć zimno na szyi i z tyłu głowy. Nic tam

teraz nie było. Poczowała się naga, jakby zdarł z niej ubranie. Zrobiło jej się zimno.

– Kim jesteś?

– To nie ma znaczenia.

Teraz głos dobiegał z oddali, jakby mężczyzna odszedł w odległy kąt pokoju. Co robił? Co tam robił? Zaczynam wariować. Tracę zmysły. I mam nadzieję, że stracę, i to szybko. Wtedy nie będę już nic czuła.

– Dlaczego to robisz? – usłyszała swój głos. Donośny i przejrzysty, jakby nagle odzyskała siły i odwagę. Oszalałam. Nie dbam już o nic.

– Co robię?

– Dlaczego zabiłeś te dwie dziewczyny?

Nie odpowiedział. Czy właśnie go sprowokowała? Czy czekał na to pytanie? Teraz to ona pyta. Czy uda jej się skłonić go do przejścia w inny kąt pokoju? Zyskać nad nim przewagę? Jak pracuje jego pokrętny umysł? Gdyby mogła się zoriento...

– Dlaczego tutaj przyszedłeś? – powtórzył. I znów to on zadawał pytania.

– Chciałam wiedzieć – odparła.

– No to już wiesz.

– Nie!

– Nie musisz wiedzieć więcej.

– Ale chcę.

– Nie ma o czym mówić – powiedział. Już nie stał w kącie. Usłyszała jego kroki. Miał na nogach buty. Podłoga była drewniana. Wyłożona parkietem. Pamiętała. Widziała ją, zanim straciła przytomność. Była złota jak słońce.

FILM BYŁ PODZIELONY NA OBRAZY. Były nieruchome – przynajmniej w tej chwili. Film bez ruchu. Życie bez ruchu. Przeglądał klatka po klatce, jakby sam poruszał się po tym obcym pokoju, w którym coraz bardziej czuł się jak w domu. I to w jakim. Groteskowe zbliżenia przypominały internetowe oferty sprzedaży nieruchomości, przy których publikowaniu musiało dojść do pomyłki. Wyglądało to tak, jakby mieszkanie miało być wyceniane na podstawie sypialni wraz ze śpiącymi lokatorami. Obraz na chwilę zamarł. Ujęcie przedstawiało łóżko. Udało mu się dostrzec dwa albo trzy palce. Szczupłe kobiece palce. Nie wiedziała, że umrze? Dlaczego nie wsiadła do samolotu na Bali albo gdziekolwiek indziej, byle jak najdalej?

Zadzwoiła komórka. Winter rozpoznał numer.

– Jedziesz już? – zapytała.

– Tak.

– Możesz mi podać jakąś sensowną godzinę?

– Chyba jeszcze raz przejrzę film z tego pokoju.

– Ile razy już go przeglądałeś? – zapytała Angela.

– Te zbliżenia są nowe.

– Ale widać na nich coś nowego?

Winter spojrzał na stół między oknem, komodą i szafką. Coś błysnęło jak srebro. To puchar. Jakieś trofeum. Niezbyt duże.

Widocznie za pierwszym razem kamera przemknęła obok.

To pewnie nie było zamierzone, że pojawi się w kadrze.

Nie w taki sposób.

– Nie ma nikogo innego, kto mógłby przejrzeć te filmy?

– Ależ jest.

– Ale nikomu nie ufasz, tak?

– W ogóle – odpowiedział Winter.

– Nienawidzę dzwonić do własnego męża i prosić go, żeby wrócił do domu, do rodziny, do dzieci.

– Nie jesteś sama, Angelo. Wiele kobiet jest w podobnej

sytuacji. Jedyne, co mogę ci powiedzieć, to żebyś się nie poddawała. W końcu się uda.

– Wspaniale. Wiedziałam.

– To dobrze.

– W takim razie nie wiadomo kiedy, ale widzimy się.

– Ktoś zdobył jakieś trofeum – powiedział Winter.

– Słucham?

– Któres z nich wygrało jakąś nagrodę.

– Chyba nie chcę nic o tym wiedzieć.

– Słuchaj, Angelo. – Znów spojrzął na mały błyszczący puchar na jeszcze większym zbliżeniu. I tak nie było wystarczająco duże. – Po co ktoś trzyma puchar na stole? Po co mu to?

– Widocznie coś dla niego znaczy.

– Pewnie tak. Mimo że ten ktoś jest dorosły.

– Więc zakładasz, że ona albo on zdobyli tę nagrodę w dzieciństwie.

– A to nie wtedy zdobywa się nagrody? Przecież dorośli nie dostają nagród.

– Wypowiada się teraz radykalny pesymista?

– To wygląda jak mały puchar zdobyty na szkolnych zawodach.

Richard Yngvesson wciąż siedział sam w wydziale technicznym. Większość światel nad stanowiskami była wyłączona. Świeciło się jedynie niebieskie światło, które nigdy nie znikalo. Moze to fosfor.

Kilka razy podłączal komputer do miksera. Próbował przefiltrować dźwięk, wyczyścić go. W dwóch pierwszych nagraniach wszystko było zapisane na jednym kanale, jak w przekazie mono. Odłączył wszystkie obrazy. Zostal tylko dźwięk, różne dźwięki, słabe i trochę mocniejsze, głosy ludzkie i mechaniczne. Dźwięki martwe i żywe. To mogło być cokolwiek i w tym właśnie tkwił problem.

Próbował zniwelować basy i, z czasem, uzyskać coś w rejestrze wysokim i średnim.

Co chciał usłyszeć?

Czy był tam jakiś dźwięk, który coś znaczył? Który by

zdradził, gdzie to się działo?

Czy komuś już się udało tego dokonać?

Jemu nie. Uzyskiwał głosy, które później można było zidentyfikować. Ustalić tożsamość mordercy. Ale nie tym razem. To było jak łapanie pojedynczych kropeł albo prądów pod wodą.

Przymknął oczy i słuchał.

Przewinał do tyłu.

Tu coś było.

Co?

I tu. Znów się pojawiło.

Co to, do cholery, było?

Przerwał i zmienił narzędzia. Istnieje wiele sposobów oczyszczania dźwięku i analizowania go. Chodzi o to, żeby pracować nad tym kawałek po kawałku, krok po kroku. Ton po tonie, pomyślał. Ten ton. Co to był za dźwięk? Czy to w ogóle był ton? Był jakby w tle. A on chciał uwydatnić to tło. To jakby zabierać się do pracy od końca. Normalnie chodzi o to, żeby usunąć częstotliwości ciągłych dźwięków w tle. Ale w tym przypadku nie było ich zbyt wiele, więc jak je oddzielić?

Yngvesson widział wszystkie filmy, zwłaszcza ten ostatni.

– Była noc – powiedział wcześniej do Wintera. – Albo wieczór.

– Skąd to przypuszczenie?

– Przypuszczenie? Nie zajmuję się przypuszczeniami.

– Więc dlaczego noc? – zapytał Winter.

– Ponieważ jest mało dźwięków w tle, ale to mógł też być wieczór. Jest przecież zima. Wcześniej zapada wieczór. Albo, w tej części świata, noc.

– Zakładamy, że film został zrobiony niedawno – powiedział Winter.

Yngvesson nie odpowiedział. Gdyby film nie powstał w ostatnim czasie, pracowałby na próżno, a nawet nie miałyby to sensu.

Wysłuchał się jeszcze raz. I znów ten dźwięk. Gdzieś w tle, co w tym przypadku oznaczało poza łóżkiem i, prawdopodobnie, poza pokojem.

Poza domem?

Tak.

W domu? Na innym piętrze?

Nie.

Puścił całą sekwencję jeszcze raz.

To jakaś seria, pomyślał. To by się zgadzało. Tu znów się pojawia. Powtarza się. To coś, co się powtarza.

Wykręcił numer.

W pokoju Wintera zadzwonił telefon. Komisarz podniósł słuchawkę, nie wstając z krzesła.

– Winter?

– Tak.

– Skoro jeszcze jesteś... Masz minutkę?

– O co chodzi?

– Nie wiem dokładnie, ale to brzmi ciekawie.

Winter słuchał i słuchał. Yngvesson w kółko przewijał tę sekwencję.

– Chcę to usłyszeć z obrazem – powiedział Winter. – Bez żadnych filtrów.

– Okej.

Yngvesson włączył dodatkowy ekran. Pokazał się na nim film.

Winter obejrzał go razem z dźwiękiem.

– Puść to jeszcze raz.

Wsluchiwał się, oglądał i znów wsluchiwał.

– Tu!

– Tak.

– Puść to jeszcze raz.

Kamera przejechała obok stolika z pucharem. Bez powiększenia nie wydawał się imponujący, nie wyglądał jak nagroda. Może to było coś, co kupiono dla żartu, na przykład na Portobello Road. Sprzedawano tam śmieszne gadżety, ale tylko w sobotę. Winter zawsze unikał sobót, gdy szedł do Blenheim Crescent i Books for Cooks. To było jakiś czas temu. Od dawna nie widział Steve'a. Wizyta w Göteborgu nie doszła do skutku. Nigdy. Następnym razem widzimy się na zachodnim wybrzeżu. Tak się pożegnali. Ale wygląda na to, że

już nigdy nie będzie następnego razu. Kiedy zobaczył te cholerne ujęcia z tego przeklętego pokoju, zdał sobie sprawę, że kiedy to wszystko się skończy, powinien zostawić Vasastan za sobą. Ta dzielnica się dla niego skończyła. To było przesłanie dla niego. Na Vasastan nie jest już bezpiecznie. Nigdy nie było. Miał swoje miejsce nad morzem. Wyrobili już normę, jeśli chodzi o przypadkowych topielców. Żadnych nieprzyjemnych przeżyć podczas puszczania kaczek z dziećmi. Nigdy więcej.

– Tu!

– Co to jest? – zapytał Winter. – To brzmi jak kilka tonów.

– Tak.

– Ktoś stoi pod oknem i gra na skrzypcach.

– Nie.

– Radio samochodowe. Ktoś przejechał z włączonym radiem.

Yngvesson przewinał i puścił od nowa.

– Nie. To nie radio. Basy są za słabe.

– Czy to w ogóle są tony?

– Nie wiem, Eriku.

– Możesz puścić trochę wyraźniej?

– Właśnie nad tym cały czas siedzę. Chciałeś to przecież usłyszeć bez żadnych filtrów.

– Dobra, spróbuj uzyskać trochę czystszy dźwięk.

Yngvesson nacisnął klawisze, żeby wydobyć dźwięk, który udało mu się wcześniej uzyskać. Częstotliwości tańczyły na kilku ekranach, które teraz podłączył. Wyglądało to jak w sali szpitalnej, na przykład na radiologii. Wszystkie podskakujące linie odpowiadały uderzeniom serca, część biegła w górę, inne w dół, niektóre znikwały.

Znowu pojawił się dźwięk. Teraz jakby dudnił, brzmiał jak echo, jak gdyby z pokoju wyniesiono wszystkie meble.

Winter próbował się wsłuchać. To była sekwencja tonów.

Melodia.

Boże. Ta melodia rozbrzmiewała tam, na zewnątrz.

– Jakaś melodia – stwierdził Yngvesson.

– Tak sądzę.

Przesłuchali jeszcze raz. Winter czuł, jak mięśnie karku zaczynają mu się napinać. Tak długo się wsłuchiwał. Są

przecież jakieś granice. Tyle razy przeglądał ten film. Był zmęczony i spięty, ale to było ważne. To było coś nowego. Czegoś takiego jeszcze nie przeżył. Może zabójca się z nim bawił, ale nie miał wyboru. Mógł tylko słuchać.

– Brzmi to tak, jakby się powtarzało – powiedział. – Czy to nie ty włączyłeś to jeszcze raz?

– Nie.

Wciąż słuchał.

– Jest między nimi kilka minut przerwy?

– Tak. Mogę sprawdzić dokładnie ile. To jest...

– Znam to – przerwał mu Winter.

Zdziwił go spokój we własnym głosie, bo nie był spokojny. Włosy stanęły mu dęba, okropne uczucie.

– Znam to! – krzyknął. Spokój zdążył gdzieś zniknąć. – Puść to jeszcze raz. Podkręć dźwięk!

Yngvesson zrobił głośniej.

– Jeszcze głośniej!

Sprzęt radiologa ryknął. To był szalony dźwięk. Winter pomyślał o Coltranie, o późnym Coltranie.

I wtedy go oświeciło, nagle wszystko stało się jasne jak słońce. To dźwięki, które wszyscy znają. Melodia, którą słyszał cały świat.

BRZMIAŁO TO TAK, jakby kilka kilometrów dalej coś jeździło w kółko. Ale to było to. Ten sygnał. Sygnał furgonetki sprzedającej lody Hemglass.

– O cholera! – powiedział Yngvesson.

Winter miał przed oczami małą błękitną furgonetkę. Dzieci biegnące w jej stronę. Ale czy to było już za jego czasów? Czy Hemglass istniało, kiedy był dzieckiem? A może coś podobnego? Musiało istnieć, ale nie mógł sobie przypomnieć.

– Przejeżdża pod budynkiem – powiedział.

– Popracuję jeszcze trochę nad kompresją sygnału – odparł Yngvesson i pochylił się nad klawiaturą. – Okej. Już. – powiedział wreszcie.

Przesłuchali jeszcze raz. To była ta melodia. Słysząc ją było całymi dniami. Czy nie wzięli jej przypadkiem z Flipa i Flapa? Dzisiaj prawie nikt o nich nie pamięta. Flip i Flap. Nawet Winter wywodził się z pokolenia, które było zbyt młode na Flipa i Flapa. Ale charakterystyczna melodyjka przetrwała. Niczym znak towarowy. I dziś wywołuje radość, choć już inną.

– To na pewno to – stwierdził Yngvesson.

Winter przytaknął. Coś mieli. Nie było to zbyt wiele, ale zawsze coś, więcej niż ten nieszczęsny mały puchar z trzeciego filmu. Więcej niż obrazy, wystrój wnętrz, książki, których tytułów nie dało się odczytać, więcej niż wszystko to, co próbowali odtworzyć. A to była mozolna i niewdzięczna praca. Obrazy wyglądały na reprodukcje, które sprzedaje się wszędzie. Tych kilka mebli, które widzieli na ekranie, było dość standardowych. Drogich, ale standardowych. Łóżko na pewno było z Ikei. To zdziwiło Wintera.

– Problem polega na tym, że te samochody przemierzają całe miasto – ciągnął Yngvesson. – Wydaje się, że są wszędzie, i to non stop. Muszą ich być setki.

– Nie psuj od razu całej radości – odparł Winter. – Przecież właśnie udało nam się czegoś dowiedzieć.

– No dobra.

– Odpal film – powiedział Winter. – Wrzuć wszystko razem. Obraz i dźwięk.

Kolejny raz. Winter stanął przed największym ekranem. Słuchał i patrzył. Syk, szum, oddech. Przyćmione światło albo ciemność. Płynne ruchy kamery, tak jakby kamerzysta miał bardzo wprawna rękę. Spali. Jak mogli spać? Czy to było tylko przedstawienie? Scena, przygotowana specjalnie dla niego?

Okno, za oknem dzień, a może wieczór. Dzień. Noc. Trudno stwierdzić, jaka to pora dnia. Jeśli śpiący nie grali, ktoś mógł ich uśpić o każdej porze. Ale w ciągu dnia? Zorientowaliby się po obudzeniu. Noc to jednak zupełnie coś innego. To mogło się stać w nocy. Późnym wieczorem. Uderzyło go teraz, że wszystko mogło być jedynie inscenizacją, także dźwięk mógł być zmontowany specjalnie dla niego. Coś w rodzaju montażu, pejzażu dźwiękowego. Ta furgonetka mogłaby równie dobrze jeździć po księżycu.

– Richard, możesz sprawdzić, czy ktoś manipulował przy dźwięku?

– Co masz na myśli?

– Zatrzymaj na chwilę.

Yngvesson wcisnął pauzę na ujęciu z oknem. Zatrzęsło się, jakby ktoś czymś w nie rzucił z zewnątrz.

– Myślisz, że mógł podłożyć dźwięk później?

– Hm, też tak wcześniej pomyślałem, ale nie sądzę. Raczej nie.

– Dlaczego?

– Dźwięk za bardzo by się rwał. Wysokie tony muszą...

– Dobra – przerwał mu Winter. – Wróćmy do tego, jeśli będzie trzeba. Puszczaj dalej.

Obraz ruszył. Kamera przemknęła obok okna.

– Puść jeszcze raz od okna – powiedział Winter. – Cofnij.

Obraz znów zamarł.

– Aha, jeszcze jedno – ciągnął Winter. – Czy on mógł to słyszeć? Na przykład ten samochód z lodami?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Nie mam stuprocentowej pewności, ale nam udało się to odkryć dopiero po jakimś czasie. Wymagało trochę roboty, jeśli mam być szczerzy. Dlatego nie sędzę, że to słyszał.

– Co to oznacza? – zapytał Winter. – Że dźwięk dochodził z daleka?

– Niekoniecznie.

– Dlaczego?

– Tyle rzeczy się nagrywa... Wszystkie dźwięki, które towarzyszą danej sytuacji, że tak powiem. I sam dom, ściany, izolacja... wszystko, co możliwe.

– Ale ten cholerny dźwięk przeszywa przecież całe ciało! Słysząc go z odległości mili! Jak w takim razie mógł go przegapić?

– A jak my mogliśmy go przegapić, Eriku?

Winter nie odpowiedział. Yngvesson miał rację. Dlaczego wcześniej nie zwrócili na to uwagi?

– Czy on na pewno dochodzi spoza budynku?

– Trudno powiedzieć.

– Jeśli nie z zewnątrz, to w takim razie skąd?

– Z innego nagrania – odparł Yngvesson. – Z radia, z telewizji, sam nie wiem. Z zabawki. Od sąsiada.

– W takim razie może nas oszukuje – stwierdził Winter i kiwnął głową w stronę ekranu. – Puszczaj. Od okna.

To potworne okno. Już sama próba dojrzenia przez nie czegokolwiek sprawia, że człowiek czuje się na wpół ślepy. Chce coś zobaczyć, ale nie może. Jakby miał na oczach jakąś błonę, przez którą nie można nic zobaczyć. Nie można się przez nią przebić. Gdybym tylko widział! Gdybym mógł zobaczyć, nie narzekałbym już na nic na świecie, na nic w życiu!

Facet ryzykuje, pomyślał Winter. Albo wie, że za oknem nic nie ma. Może to bez znaczenia, czy przedrzemy się przez tę cholerną błonę. Może tam nic nie ma.

Ale to miało znaczenie. Winterowi udało się dostrzec jakieś kontury. I to było najgorsze. Zdawało się, że zasłony wisiały tam po to, żeby coś zasugerować, po nic więcej.

Dostanę się do środka. Wkrótce stanę w tym pokoju i zerwę to dziadostwo, które zasłania okno. I wtedy zobaczę, zobaczę

wszystko, nim będzie za późno.

Gerda Hoffner wsłuchiwała się w dźwięki. Była sama, musiała być. Słyszała jego kroki, drzwi, które się zamknęły, kolejne zamykane drzwi w innej części mieszkania. Czy to były drzwi wejściowe? Nie. Leżała na łóżku. Ręce miała związane z tyłu. Nogi – w kostkach. Kiedy próbowała poruszyć stopami, coś zaciskało się jej na nogach. Musiał zaczepić jakąś pętlę gdzieś na łóżku, na podłodze albo na ścianie. Coś w rodzaju szubienicy na całe ciało. Nie mogła się podnieść. Leżała na boku, ale twarzą w dół. Bolały ją nadgarstki i ramię. Chciało jej się pić. A co, jeśli będzie musiała skorzystać z toalety? Nawet nie chciała o tym myśleć. Nie chciała o niczym myśleć. Nie chciała myśleć o tym, że on już wie, że przyszła sama. Że nic nikomu nie powiedziała. Była sama. Była idiotką, samotną idiotką. To pewnie jeden z powodów tego, że zawsze była sama. Nikt nie chce się przecież zadawać z idiotką. To może być zaraźliwe, jeśli idiotka jest wyjątkowo głupia. Jak ona. Tylko idiotka porwałaby się na coś takiego. I pewnie zapłaci za swój idiotyzm bardzo wysoką cenę. Tą ceną będzie śmierć. W konkursie na głupotę zdobyłaby główną nagrodę. Zasłużoną nagrodę. To nie mógłby być pierwszy lepszy puchar. Nie chciała o tym myśleć, ale tylko to przychodziło jej do głowy. Wręczenie nagród. Kiedy to się odbędzie? Jaki będzie miało przebieg? Nie zastanawiała się dlaczego. Nie było żadnego dlaczego. On był szalony, a dla szaleńców takie pytanie nie istnieje. Liczy się tylko chwila obecna. Tu i teraz. Muszę go zmusić do rozmowy. Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze mnie nie zabił. Nie wolno ci myśleć, że jest za późno, Gerda. Hokeiści z Eisbären Berlin zdobyli gola w ostatniej sekundzie. Najpierw zremisowali, a później wygrali w dogrywce. Wciąż liczy się tu i teraz. Mogę go zagadać. To jeszcze nie koniec. Czas wciąż płynie naprzód. To także mój czas. Płynie też dla mnie. Wkrótce zdadzą sobie sprawę, że coś się stało. Kiedy miałam zacząć dyżur? Która jest godzina? Jaki dzisiaj dzień? Czy był już sylwester? Czy wciąż trwa, czy już się skończył? Kiedy się skończy, znajdą mnie. Miałam pracować w Nowy Rok. Ale czy na pewno? Tak. Wieczorem, miałam pracować wieczorem.

Wiedziała, że nie będę mieć kaca. Dlatego zamieniłam się ze Stefanem. On był pewien, że będzie skacowany. W tej chwili znów usłyszała drzwi. Odgłos odbijał się echem, jakby rozbrzmiewał kilka mil od niej. To musiało być duże mieszkanie. Nie mogło w nim być zbyt wielu mebli, ale niewiele zdążyła zobaczyć. Powalił ją już w przedpokoju. Widziała tylko, że wewnątrz jest schludne. Bardzo schludne. On nie lubił nieładu. Chciał mieć wszystko jak pod linijkę. Dlaczego nie posprzątał tych mieszkań dokładnie? Dlaczego nie wyrównał wszystkiego? Inne rzeczy były porozrzucane tu i tam. Zadowolili się tymi drobiazgami? Czy mu przerwano? Zapytam, dlaczego mu przerwano. Dlaczego jeszcze mnie nie zabił? Znów ktoś mu przerwał? Jestem mu do czegoś potrzebna? Chce mnie do czegoś wykorzystać? Mam przekazać jakąś wiadomość?

Znów usłyszała drzwi, tym razem bliżej. Był w sąsiednim pokoju. Chodził w kółko i trząsał. I dobrze. To mnie uspokaja. Mój własny zabójca chodzi w kółko, otwiera i zamyka drzwi. Myśli. Planuje. Nie czuje się zbyt pewnie. Muszę to wykorzystać. Porozmawiać z nim, porozmawiać z nim, poroz...

Tuż za nią otworzyły się drzwi. Ostatnie, które ją od niego dzieliły. Policzyła do trzech. Zamknęły się, ale nie słyszała kroków. To znaczyło, że stoi teraz w pokoju. Nic nie widziała. Mogła dostrzec tylko kawałek gołej ściany przed sobą. Nie mogła nic powiedzieć, bo zakneblował jej usta bandażem.

– Nie śpisz?

Nie odpowiedziała. Może powinna udawać martwą albo nieprzytomną tak długo, jak to możliwe.

– Wiem, że nie śpisz.

Więc po co pytał? Nie musiał zadawać tego pytania. Nie musiał nic mówić. Mógł po prostu wyjść. Wyjść! Ale miałam przecież z nim porozmawiać. To ważne, żeby go zagadać. Ale przecież nie mogę. Mam usta zatkane tym pieprzonym bandażem.

Nagle zobaczyła cień na ścianie. Poczula coś na karku. Już wiedziała, że umrze. Złapał ją za tył głowy. Zaciśnęła powieki tak mocno, że oczy jakby wcisnęły jej się w głąb czaszki.

Zdjął jej knebel.

W ustach miała posmak gipsu. Spróbowała przełknąć ślinę. Pomyślała o mumii, którą kiedyś widziała na filmie. Jestem już w grobie, czas na balsamowanie. Nie powinnam była wypożyczać tego filmu.

– Możesz już mówić – odezwał się zza jej pleców. – Przecież już nie śpisz.

– Nie – odpowiedziała do ściany. Ściana wydawała się przyjazna, cierpliwa. Gdyby musiała na niego patrzeć, nie wykrztusiłaby ani słowa.

– Chyba ci trochę niewygodnie. Bardzo mi przykro z tego powodu.

– Jaki dzisiaj dzień? – zapytała.

Nie odpowiedział. Zdawało jej się, że analizuje to pytanie. Gdyby tylko powiedział prawdę.

– A jaki mamy rok?

– Wciąż ten stary – odparł.

– Czy dzisiaj jest sylwester?

– Co za różnica?

– Minął już cały dzień – powiedziała. – To robi różnicę.

– Dlaczego?

– Zorientują się, że zniknęłam. Przyjdą tu po mnie.

– Nie sądzę.

– Gdzie, jeśli nie tutaj, mieliby mnie szukać?

– Wszędzie, ale nie tu. – Wydawało jej się, że się zaśmiał. A może prychnął z pogardą. – Nikt tu nie przyjdzie. – Zrobił pauzę. – Nikt się tu nawet nie zbliży.

– Jesteś sam?

– Już nie.

Znów parsknięcie.

– Co zrobisz, jak mnie już tu nie będzie?

Nie odpowiedział.

– Nie zawsze tu będę.

To było ryzykowne. Wiedziała, że nie powinna tak mówić. To mogło go sprowokować do czegoś złego. Ale wciąż żyła. Był niepewny. Mogła go nakłonić do złego albo do dobrego.

– Znajdę kogoś innego – odparł.

– Nie. Nie znajdziesz już nikogo. To nie takie proste. Masz

tylko mnie.

– Co masz na myśli?

– Mogę ci pomóc.

– Spójrz na siebie.

– O co ci chodzi?

– Nie możesz nawet zobaczyć, gdzie jesteś. Powinnaś najpierw spojrzeć na siebie. Wtedy byś zrozumiała, że nie jesteś w stanie nikomu pomóc.

– Dlaczego zabiłaś te dziewczyny?

– Dziewczyny?

– Kobiety. Te dwie kobiety. Dlaczego je zabiłaś?

– Kto powiedział, że to ja?

– Nikt. Nikt nie powiedział, że to ty, ale to nie mógł być nikt inny. Możemy o tym porozmawiać. Możesz mi o tym opowiedzieć.

– Nie ma o czym mówić. Absolutnie.

– Dlaczego sprzątałaś? Po zabójstwie? Dlaczego sprzątałaś?

– Nie sprzątałem. Kto tak mówił? Kto powiedział, że sprzątałem?

Słysząc było, że jest wzburzony. Stał dalej, przy drzwiach. Jego głos dochodził z większej odległości, jakby już wychodził z pokoju. Boże, on nie zdawał sobie z tego sprawy! To obsesja. We własnym przekonaniu tylko trochę ogarnął mieszkanie. Może sprzątnąłby dokładniej, gdyby mu nie przerwano. Wyszedł. Wrócił do siebie. Nie miał daleko. Z Götabergsgatan też nie. A mimo to wydawało się, że mieszkanie przy Chalmersgatan jest na końcu świata. Równie dobrze mogłaby być w innym kraju. Komu przyszłoby do głowy, żeby jej tu szukać? Mogła liczyć tylko na Johnny'ego, ale on był za głupi. Nie powiązałby jej zniknięcia z Wigilią, kiedy przejeżdżali pod tym domem, z mężczyzną, który z niego wyszedł. Z tym, jak później zobaczyli go na mieście, kiedy wracał do domu. Nic wtedy nie powiedziała. Johnny by tego nie połączył. W każdym razie nie w kilka dni. A ona nie miała kilku dni. Został jej może tylko ten jeden.

– Znałaś je? – zapytała. – Znałaś te kobiety?

– Wcale nie sprzątałem! Kto powiedział, że sprzątałem!?

– Tak to wyglądało – powiedziała. Już ostrożniej. – Wyglądało bardzo schludnie.

– Ha! Głupie gadanie. Nie było cię tam! Nie wiesz, jak to wyglądało!

– Nie.

– Nie masz pojęcia!

Jego głos zabrzmiał jeszcze głośniejszy, jakby mówił przez megafon. Odbijał się od ścian pustego pokoju. Wszystko było puste. Wszystko, co była w stanie dojrzeć. Ale może to lepiej. Nie było czego sprzątać. Goła podłoga i łóżko, które może służyło tylko do tortur. Nie widziała żadnego prześcieradła. Leżała na gołym materacu. Jak posprząta po niej? Jest duża i ciężka. Przynajmniej dla niego. Nie wydawał jej się zbyt postawny, kiedy widziała go z radiowozu. Nie wystarczy zapakować jej w worek na śmieci i wywieźć. Ale może wcale nie miał tego w planach. Może miał zupełnie inne zamiary. Mógł się jej pozbyć na wiele innych sposobów. Wiedziała, że to możliwe. Czytała o tym. Oglądała filmy. Po tym wszystkim już nigdy nic nie przeczyta ani nie obejrzy żadnego filmu. Już nigdy nie będzie ciekawa. Życzyła sobie tylko jednego: móc przeżyć jeszcze jedną chwilę. I to było teraz jej jedyne marzenie. Ale to zbyt wiele. Życzyła sobie za dużo. Nawet dziecko by to zrozumiało.

Poczuła przeszywający ból w plecach.

Spróbowała się poruszyć.

– Au!

– Spróbuj się nie ruszać.

– Ale... to boli.

– Tylko jak się ruszasz.

– Jak... jak długo będę tu jeszcze leżeć?

– Już nie tak długo.

– Co masz zamiar ze mną zrobić?

– Po co tu przyszedłeś?

W jego głosie słychać było wyrzut. To nie była jego wina. Nic nie działo się z jego winy. Po cholere była taka ciekawska? Dlaczego nie mogła pilnować swoich spraw? I w tym pełnym pretensji głosie była odpowiedź także na jej pytanie. To tak,

jakby sama zawiązała sobie tę uprząż na szyi.

– Nie miałaś nic lepszego do roboty – usłyszała jego głos. Brzmiał trochę spokojniej. Jakby coś już postanowił.

– Wypuść mnie – powiedziała.

– Jesteś samotna.

– Nie.

– Mieszkasz sama.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Nie masz się do kogo odezwać. I nikomu nawet nie wspomniałaś, że się tu wybierasz.

– Oni... sami się domyślą.

Próbowała leżeć bez ruchu. Pętla zaciskała się coraz mocniej. Nie mogła się ruszać. To było bardzo niebezpieczne. Może on chciał, żeby zrobiła jakiś ruch. Wtedy nie musiałby już niczego robić. Złatwiłaby to za niego.

– Oni nic nie rozumieją – powiedział. – Próbowałem im uświadomić, ale nic do nich nie dociera.

– Oni? Kto? Jacy oni?

– Teraz to bez znaczenia. Nikt nie zrozumie. Nikt nigdy nie rozumiał. To bez znaczenia, co zrobię.

Czyżby słyszała w jego głosie litość nad samym sobą? Jakiś żal? Co to było? O czym on mówił? Co przeżył? Gdyby tylko mogła...

– Muszę już iść.

– Zaczekaj!

Usłyszała zamykające się drzwi. Jego oddalające się kroki. I kolejne drzwi, otworzyły się i zamknęły. To potworne echo. Wydawało jej się, że drzwi do jej życia zamykają się jedne po drugich. Nie zostały już ani jedne... Wszystko ucichło. Echo umilkło. Leżała bez ruchu. Próbowała zebrać myśli. Ale nie chciała myśleć. Nasłuchiwała. Ale nie chciała słuchać. Słyszała jakiś dźwięk, dochodził zza jej pleców. To był sygnał. Nagle na ścianie tuż przed nią pojawiło się światło. Za nią musiało być okno. Słaby strumień światła przesuwiał się po ścianie, jakby ktoś stał na zewnątrz i świecił do środka latarką. Tak! Świeć! Świeć! Znow usłyszała ten dźwięk. To była melodia. Słyszała ją tysiące razy, jak każdy. Wiele razy widziała, jak błękitna

furgonetka staje przy Donsögatan na Sandarna. Dzieci podbiegały do niej w podskokach. Pewnego razu ona też popędziła po lodu. Poczwała się szczęśliwa, jakby znów była dzieckiem.

CZEKAŁA, AŻ COŚ SIĘ WYDARZY. Nie. Raczej pragnęła, żeby coś się wydarzyło. Cokolwiek. To typowe. Wszyscy uwięzieni czekają, czasem bardzo długo. Później są gotowi przyznać się do czegokolwiek. Godzą się na wszystko.

Musiała iść do łazienki. Nie mogła już dłużej czekać. I nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem wytrzymała tak długo. Czy to dlatego, że była w szoku? Był to w każdym razie jakiś rodzaj blokady. Ale blokada puściła. Teraz naprawdę musiała iść do łazienki.

Mogła krzyczeć. Powoli zaczęła zdawać sobie sprawę, że nie ma już zakneblowanych ust. Robiło jej się coraz zimniej, jakby się zapadała pod lód.

Ułożyła się w innej pozycji.

On tam wcześniej był. Dotykał jej. Pewnie wtedy spała. Musiał ją uśpić. Tak jak te pozostałe. Jezus. Jezus! Jak do tego doszło? W ogóle się nie zorientowała. Ale nie zasnęła z własnej woli. On tam był! On tam był! Czy był niewidzialny? Czy był tylko tam? Czy to szatan? Nie, nie wierzyła w szatana. Wierzyła w Boga, ale nie w tego drugiego.

Co on tam robi na zewnątrz? Próbowała usłyszeć. Wokół panowała cisza. Było ciemno. Leżała w ciemnościach. Nie mogła dojrzeć okna, które wpuszczało odrobinę światła, jeśli w ogóle można było to nazwać światłem. Na ścianie przed sobą widziała mały prostokąt. To z tego okna. Wciąż leżała twarzą w dół, ale teraz na drugim boku. Nie czuła już nic po lewej stronie. Nie odczuwała bólu. Myśli miała zajęte czym innym. Paliło ją w brzuchu, musiała natychmiast iść do łazienki, nie chciała już tak leżeć i... i...

– Halo! – zawołała. – Jest tam kto? Halo! HALO!

Cisza.

– Halo! Halo!

Ledwie słyszała własny głos. Prawdopodobnie nie udało mu się nawet wydostać poza pokój. Czy on coś zrobił z tymi

ścianami? Czy to był jakiś bunkier? Czy była już w grobie? Nie, dość tego. Nawet tak nie myśl! On tego nie planował. Napatoczyłam się przypadkiem. Teraz się zastanawia, co ze mną zrobić. Nic ze mną nie robi. Nie byłam częścią jego planu. Tego sobie nie zaplanował. A on jest pedantem, do cholery! Tacy nie zmieniają planów. A teraz niespodziewanie miałby mi coś zrobić? Nie. Dla niego nigdy nie istniałam. Teraz tu jestem, a on nie zwraca na mnie uwagi. Najprościej było mnie związać i zostawić tutaj. Później, po wszystkim, znajda mnie i wszystko będzie w porządku. Na razie nic mi nie jest. Dużo innych rzeczy może się jeszcze wydarzyć, ale tutaj, w tym pokoju, nic mi się jeszcze nie stało! On się zajmie swoimi planami. Nie chcę nawet o nich myśleć. Czy to się stanie w tym mieszkaniu? Odbierze komuś życie? W którymś z pozostałych pokoi? Co się stanie? Czy on działa tylko w tej dzielnicy? W tej części miasta? Jeśli tak, to dlaczego? Czy to nie jest ryzykowne? A może wręcz przeciwnie? Czy to się stanie w tej dzielnicy? Ale teraz naprawdę muszę iść do łazienki!

– HALOOO!

I pomyślała, że to nie on. Nie tamten. Ten tutaj jest inny, to jakiś inny szaleniec. Widać miała podwójnego pecha. Ale szanse na to były znikome. Czy to możliwe, że na każdej klatce mieszka więcej niż jeden szaleniec? Czy są jakieś statystyki? W Göteborgu na jedną klatkę schodową przypada tyłu i tyłu szaleńców. Tyłu pedantów. Związek między pedanterią a psychopatycznym zabijaniem.

– HALO!

Drzwi za nią otworzyły się.

– Co to za krzyki!?! Przestań krzyczeć!

Teraz mówił jak nauczyciel. Może nim był. Mógł być byle kim, absolutnie byle kim.

– Muszę iść do łazienki.

– Nie.

– Naprawdę muszę iść do łazienki!

Tym razem nie dostała odpowiedzi. Poczowała podmuch wiatru. Musnęła jej policzek. Wleciał drzwiami, za którymi było otwarte okno. Tylko jedne drzwi. Pomoc szybko nadejdzie –

tymi drzwiami. Albo przez okno. Takie rzeczy już się zdarzały. Słyszała już takie historie.

Gdyby tylko mogła pójść do toalety, udałoby jej się uciec. W żadnym wypadku nie wróciłaby już do tego pokoju. Rzuciłaby się na tego drania. Mogłaby...

Poczuła, jak poruszył się za jej plecami. Pociągnął za linę.

Pedant. Nie chciał, żeby ktoś nabrudził w jego mieszkaniu. W mieszkaniu, o które tak dbał. Nie uśmiechało mu się obsikane łóżko, obsikany pokój. Ten zapach. Śmierdziałoby dość długo, może smród zostałby na zawsze. I plamy. Nie dałoby się ich wywabić.

Odwiązał linę z tyłu.

Żadnego basenu. Nie będzie używał basenu ani wiaderka, ani miednicy, ani niczego podobnego. To byłoby niehigieniczne. Nie chce na to patrzeć ani dotykać. Nigdy w życiu nie zostałby pielęgniarzem. Ona przez jakiś czas pracowała na geriatrici. Tamte warunki trudno było nazwać sterylnymi. Potrzeby fizjologiczne młodszych też nie są zbyt higieniczne. Siki i kupa może i bawią, kiedy ma się cztery, pięć lat, ale później już nie.

Zdjął linę z jej kostek. Będzie żyła. Kiedy poczuła jego ręce na stawach skokowych, wiedziała już, że będzie żyła i że opowie o tym innym.

Sylwestrowy poranek niczym się nie różnił od innych zimowych poranków: czerwone słońce, czyste i upajające powietrze. Śnieg był gdzie indziej. Ruszył na Daleką Północ. Jego córki zdążyły już przyjść do niego do łóżka. Postawił stopy na podłodze.

– A teraz zjemy śniadanie!

Ale nim zdążył przejść przez przedpokój, zadzwonił telefon. Nieznany numer. Podniósł słuchawkę wiszącą na ścianie przedpokoju.

– Tak?

– Mam nadzieję, że nie obudziłem.

– Nie, Janne. O co chodzi?

– O Hemglass.

– Tak?

– Jeżdżą od czasu do czasu po Göteborgu i okolicach, jeśli

można tak powiedzieć – powiedział Möllerström.

– Ta informacja na niewiele się zda. Myślę, że zdecydowanie powinniśmy zawęzić teren poszukiwań.

– Jeśli o to chodzi, to wiem, że nie jeżdżą już po centrum.

– Od kiedy?

– W zasadzie od teraz. Od Nowego Roku, czyli od dzisiejszej nocy.

– Więc kiedy ostatni raz byli w centrum?

– W zeszłym tygodniu.

– A co uważają za centrum?

– Mieli kilka tras – odparł Möllerström. – Mogę je przesłać mailem po weekendzie.

– Po Nowym Roku? Rozumiem, że wolne to rzecz święta.

– Dobra, dobra. Wystarczy, że dzwonię do ciebie w sylwestra.

Winter poczuł z kuchni zapach pieczonej szynki. Angela nie chciała już czekać. Wciąż jeszcze nie wszystko sobie wyjaśnili. Słyszał, jak Lilly wybucha rozbrawającym śmiechem. Elsa coś krzyczała. Może go wołała.

– Dziewczyny się niecierpliwią – powiedział do wydziałowego archiwisty. – Na dzisiaj wystarczy samochodów z lodami.

– Racja, to nudy.

– A dlaczego rezygnują z tras w centrum?

– Za duża konkurencja ze strony małych sklepików, cukierni, sklepów osiedlowych, sieci Seven Eleven. Wiesz, jak jest. I coraz trudniej zaparkować na ulicach. Brak czasu i miejsca. I jest niebezpiecznie. Dzieci na ulicach. To już nie jest ta sama senna dzielnica willowa.

– To wygląda na dyskryminację mieszkańców centrum – stwierdził Winter.

– Jeśli tak cię to oburza, to możesz się przeprowadzić – powiedział Möllerström.

– Czy samochód dojeżdża nad morze?

– Prześlę ci wszystkie trasy, to sam się przekonasz.

Winter podziękował. Nie chodziło mu o trasy furgonetki z lodami. Chodziło o coś innego. To się jakoś wiązało z tym samochodem. Coś, co trzeba było wyjaśnić, a co wciąż

pozostawało niewyjaśnione.

– Pytałeś o sygnał dźwiękowy? – zapytał Winter.

– Nie. Interesowały cię przecież trasy.

– No tak...

– Ta melodyjka jest przecież oczywista.

– Tak...

– Coś jeszcze pominąłem?

– Nie, nie, Janne. W porządku... Możesz mi podać numer faceta, z którym rozmawiałeś?

– Numer domowy... już sprawdzam...

Normalna sprawa. Telefon domowy zawsze może zadzwonić w sylwestrowy poranek. I może to być pan komisarz.

Winter zapisał numer.

– Czy coś pominąłem? – powtórzył Möllerström.

– Nie, Janne, ale j a mogłem coś przeoczyć.

– Co takiego?

– Dowiem się, jak z nim porozmawiam. To tylko luźna myśl.

– Chcesz zamówić lody?

– Tak. Udanego sylwestra, Janne.

– Będzie spokojnie.

– I nie jedz za dużo lodów, bo ci żołądek zamarznie.

Rozłączył się. Potem wystukał numer. Ktoś pociągnął go za nogawkę. Spojrzał w dół.

– Jeść – powiedziała Lilly.

– Zaraz przyjdę, moja mała.

Słyszał krzątanicę w kuchni. Starannie wystukał cały numer. Usłyszał czyjś głos w słuchawce. Przedstawił się i przeprosił, że dzwoni w taki dzień.

– Nie ma sprawy – powiedział mężczyzna. – Zawsze interesuję się tymi, którzy są zainteresowani ofertą firmy Hemglass.

– Słyszałem, że zamykacie trasy w centrum – powiedział Winter. – Albo już to zrobiliście. Powód tej decyzji zdradził pan już mojemu koledze. Dzwonię w innej sprawie.

Zamilkł. O co zapyta? To osobliwe pytanie. Brzmi głupio.

– Tak? – odezwał się głos w słuchawce.

– Czy zmienialiście coś ostatnio w sygnale dźwiękowym?

– Słucham?

– Chodzi mi o melodyjkę. O ten kawałek, który zawsze leci, gdy nadjeżdża samochód. Z Flipa i Flapa czy co to tam jest.

– Tak?

– Czy to zawsze brzmi tak samo?

Mężczyzna nie odpowiedział. Zapadła cisza. Jakby połączenie zostało przerwane.

– Halo? – powiedział Winter.

– Tak, jestem przy telefonie. A dlaczego pan pyta?

– Czy to ma znaczenie?

– Nie... chodzi o to... czy pan sam to usłyszał?

– Co usłyszałem?

– Że zmodyfikowaliśmy linię melodyczną.

– Co?

Winterowi aż zaszumiało w głowie.

– Czy nie o to pan pytał?

– Chwileczkę – odpowiedział Winter. – Mówi pan, że naprawdę wprowadziliście jakieś zmiany!?

– Nieduże, oczywiście. W zasadzie nawet nie zmiany. Podkreśliśmy jedynie tempo i gramy głośniej. Tak żeby dało się... żeby ludzie usłyszeli, że przejeżdżamy ostatni albo prawie ostatni raz.

– Więc było więcej takich przejazdów?

– Tak sądzę. Puszczaliśmy to przez ostatnie dwa tygodnie. Jako takie pożegnalne fanfary. Co więcej mogę powiedzieć... – Mężczyzna się zaśmiał. – Może to głupie, ale kilku chłopakom, którzy prowadzili te samochody, zebrało się na sentymenty i sami to zaproponowali. Dość długo jeździli po okolicy.

– Więc przez ostatnie dwa tygodnie samochody kursowały z innym sygnałem – upewnił się Winter. – Dobrze zrozumiałem?

– Tak. Te w centrum.

– W centrum – powtórzył Winter.

– Ale to zależy też od tego, co się rozumie przez centrum.

– A dla państwa centrum to...

Winterowi wciąż szumiało w uszach. A teraz słyszał jeszcze inny głos, dobiegał gdzieś z bliska. Któreś z dzieci albo Angela. Nie słyszał wyraźnie. Przyciskał słuchawkę do ucha. Skupiał się

na tym, co ten facet mówił o sygnale. Wydawało mu się to nieprawdopodobne. Tony wyznaczające granicę między przeszłością a teraźniejszością.

– Pański kolega ma spis wszystkich tras – powiedział mężczyzna. – Miał skopiować całość z naszej strony internetowej.

– Czy centrum to dla firmy duży obszar?

– Pyta pan, czy było dużo tras?

– Tak. Jak określiłby pan centrum?

– Dzielnice Vasastan, Haga, Heden, Lorensberg, Linné.

– To ma być centrum?

– Mniej więcej. Nie mam pewności co do Linné, ale Vasastan na pewno się wlicza.

– Dlaczego mówi pan o Vasastan?

– Jak to?

– Dlaczego mówi pan właśnie o Vasastan?

– Bo to dla mnie centrum.

– No tak...

– A pan gdzie mieszka?

– Na Vasastan – odpowiedział Winter.

– A o co w zasadzie chodzi?

– Czy samochód kursuje częściej niż raz w tygodniu?

– Gdzie?

– Po centrum. Czy było więcej kursów?

– Nie.

– Nigdy?

– Nie. W każdym razie nie w ciągu ostatniego roku.

– Czy samochód zawsze jeździ w te same dni? Mam na myśli te ostatnie kursy. W ciągu kilku ostatnich miesięcy.

– Tak.

– O tej samej porze?

– Tak... na ile to możliwe.

– Tymi samymi ulicami?

– Tak.

– W takim razie dziękuję za pomoc – powiedział Winter. – I życzę szczęśliwego Nowego Roku.

– O co w tym wszystkim chodzi? – powtórzył pracownik

Hemglass.

– To sprawa życia i śmierci – odpowiedział Winter i odłożył słuchawkę.

A JEDNAK SIĘ NIE UWOLNIŁA. Udało jej się pójść do toalety, ale teraz była już z powrotem w swoim pokoju. W swoim pokoju! Wszystko widziała jak przez mgłę, jakby była w stanie półświadomości. On nie ryzykuje. Co mi podaje? Nie wyczuwam żadnego zapachu. A może jest zbyt słaby? Co ze mną zrobił? Dał mi coś do zjedzenia? Nic nie pamiętam. Nie jestem głodna. Chce mi się spać. Albo jednak nie. Chcę być wolna. Spałam? Czy to kolejny dzień? Tak. Na dworze jest jasno. Roleta przepuszcza trochę światła, wdziera się do środka. Tak. Tak. Świeć! Jasne światło! Wydawało się, że za oknem jest bardzo biało. Może spadł śnieg. Pierwszy prawdziwy śnieg tej zimy. Pierwszy śnieg ostatniej zimy, pomyślała. Nie, nie. To tylko jedna z wielu zim w moim życiu. Niedługo nadejdzie wiosna, później lato, jesień i znów będzie zima. Nim się obejrzę, minie rok.

Tuż za nią otworzyły się drzwi. Cicho, ale je usłyszała.

Nie widziałam jego twarzy. Nie tutaj. To bez znaczenia. On już wie. Wie, co będzie, jeśli mnie stąd wypuści.

Dlatego nie chce mnie uwolnić, nie stąd.

Lepiej, żeby zrobił to teraz. W tej chwili. Nie powinien czekać. Dlaczego zwleka? Usłyszała, jak krząta się za nią. Sama nie mogła się ruszyć. Lepiej, żeby zrobił to jak najszybciej. W mgnieniu oka. Śmierć jest lepsza niż tortury. O to w tym wszystkim chodzi, tak działa ten mechanizm. Mogą to potwierdzić wojskowi i policyjni psychologowie z całego świata. Pragnienie śmierci. O to w tym wszystkim chodzi.

– To nie jest takie proste, jak myślisz.

Jego głos dobiegał z bardzo bliska. Nie słyszała, jak się zakradł. Musiał się skradać. Nie czuła jego oddechu. Tylko ten głos. Był zachrypnięty, jakby trudno mu było wykrztuszać słowa. Poczowała woń alkoholu. Może musiał się napić dla kurażu, żeby to zrobić. Znana sprawa. Alkohol lekarstwem na wszystko.

– Sądzisz, że wiesz – powiedział.

– Co wiem?

Nie odpowiedział. Słyszała, jak znów krząta się za jej plecami. To było przerażające. Czuła, że w obronnym odruchu kuli ramiona. Bezbronne ciało próbowało się chronić. Zamknęła oczy, mimo opaski. Dlaczego jej założył tę opaskę? Czego miała nie zobaczyć?

– Jak myślisz?

Jego głos odezwał się gdzieś dalej. Nie siedział już na łóżku. Musiał stać na podłodze.

– Myślę... o czym?

– Kim jestem? Co zrobiłem?

– Nie wiem, co zrobiłeś.

– A jak ci się wydaje?

– Opowiedz mi. Powiedz, co zrobiłeś.

Wymamrotał coś, ale nie dosłyszała.

– Co powiedziałeś?

– To nie ja – odparł.

– A kto?

– To nie byłem ja.

– Wierzę ci.

– Tylko udajesz.

– Wcale nie.

– Mówisz teraz byle co.

– Po co miałabym to robić?

– Żeby się stąd wydostać. To oczywiste.

– Wydos... Wydostanę się stąd?

– To oni – powiedział. – To o n i to zrobili. Dawno temu.

Zrobili to dawno. Rozumiesz? Wiele lat temu!

– Tak.

– Rozumiesz?

– Tak.

– Ale co rozumiesz?

– Że cię skrzywdzili.

Znowu coś wymamrotał.

– Co? Nie usłyszałam?

– Wiesz, o kim mówię?

– Nie.

– Oczywiście, że wiesz.

– Nie wiem nic o tej sprawie – powiedziała. – Nie mam pojęcia, co się stało.

– To po co tu przysłaś? Pod moje drzwi? Do tego domu? Musiałaś coś wiedzieć. O mnie. O nich.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała. – W którym domu?

– Nie wiesz, gdzie jesteś? Przecież sama tu przysłaś.

– Tu? Wciąż jestem w tym samym domu?

Milczał. Może to miała być odpowiedź.

– To wciąż to samo mieszkanie?

– Przestań!

Znowu się przesunął. Głos dochodził z innego końca pokoju.

– O wszystkim wiedziałaś – powiedział.

– Nieprawda, nie miałam o niczym pojęcia. Nic nie wiem.

– TO PO CO TUTAJ PRZYSZŁAŚ?!

Podniósł głos.

– Już ci mówiłam. Z... czystej ciekawości. Byłam tam, w środku... kiedy to się stało. W tamtym mieszkaniu. U twojego sąsiada.

– Aha!

Krzyknął, ale nie wiedziała, co to ma znaczyć.

– Czy oni ci coś zrobili? Martin? Madeleine?

– Wiesz, jak się nazywają?

– Byłam tam. Mówi...

– Nie powinnaś była tam iść – przerwał jej.

– Co masz na myśli?

– Miałaś pecha – powiedział. – Tak samo jak ja.

– O co ci chodzi? Pecha? Jakiego pecha?

Nie odpowiedział.

– Erik i Gloria też mieli pecha? Śmierć Glorii Carlix to był wypadek?

Nadal milczał. Słyszała jego kroki. Drzwi znów się zamknęły.

Dobiegł do niej inny dźwięk. Brzmiał jak okrzyk bólu i rozpacz. Jakby krzyczał gdzieś w tym wyziębionym mieszkaniu.

Winter dostał plik z krótkim utworem, który Hemglass

przysłał do wydziału technicznego. Yngvesson był już na miejscu i siedział przed komputerem. I tak nie miał co robić. Kto by miał w sylwestra? To zabawa dla amatorów. W pokoju był ktoś jeszcze. Ringmar.

– Co powiedziała Angela?

– Zrozumiała, że muszę wyjść. – Winter patrzył, jak Yngvesson wsuwa płytę do komputera. Jubileuszowa melodyjka na pożegnanie centrum. – Chyba tylko ona jest tak wyrozumiała.

– Zaraz zobaczymy, czy coś z tego zrozumiemy – odparł Ringmar i kiwnął głową w stronę jednego z dużych głośników, które przyniósł Yngvesson. Były większe niż ostatnio.

Zaczęli słuchać.

– To ta zmieniona melodyjka – oznajmił Winter.

– Tak, wiemy – odpowiedział Yngvesson.

– Odpał oryginał.

Yngvesson zmienił płytę.

– Słyszycie różnicę? – zapytał Ringmar.

Słyszeli. To im wystarczyło. Nie potrzebowali żadnych dodatkowych wyjaśnień.

– A teraz odpał dźwięk z filmu – powiedział Winter.

Yngvesson włożył drugą płytę. Odśluchali.

– Słychać jakąś różnicę? – zapytał Ringmar.

– Sygnały brzmią tak samo.

– Tak samo jak co?

– Jak kawałek z centrum. To, co słychać w tle filmu, to ta późniejsza wersja.

– Na pożegnanie – powiedział Winter.

– To jest w centrum – stwierdził Ringmar.

– Dobrze – powiedział Winter.

– Centrum jest duże – stwierdził Yngvesson.

– To Vasastan – odparł Winter.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał Ringmar.

– On wciąż jest na Vasastan – powiedział Winter.

– To tylko przypuszczenie.

– Nie. To coś więcej.

Winter złapał ze stołu zdjęcie. Przedstawiało płytę, którą

dostał w święta. Przeczytał tekst: Tak blisko y tak daleko.

– Tak blisko y tak daleko – odczytał. – To oznacza, że jesteśmy bliżej, niż nam się wydaje.

– A o co chodzi z Hiszpanią? – zapytał Ringmar.

– To wszystko się łączy.

– Jak?

– Tło – powiedział Winter. – Te sprawy mają wspólne tło.

– Jakie tło?

– Chodzi o przyczynę, Bertil. Związek przyczynowo-skutkowy.

– Masz na myśli pytanie dlaczego?

Winter nie odpowiedział.

– Co robimy? – zapytał Ringmar.

– Cofniemy się?

– Dokąd?

– Najdalej, jak się da?

– Masz na myśli Hiszpanię?

– Też.

– Polecisz tam?

– Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Nigdy nie trzeba cię było dwa razy namawiać na wyjazdy.

– Teraz to co innego.

Ringmar podszedł do okna. Wychodziło na centrum. Widział szczyt budynku redakcji „Göteborgs Posten”, kawałek stacji kolejowej, Gothia Towers, most na rzece Götaälv, plac Drottningtorget. Po prostu centrum. Kawałek centrum. To było duże miasto. Sporo się zmieniło, odkąd król Gustav II Adolf kazał zbudować na tym gliniastym terenie miasto. A chyba tylko głupek buduje dom z gliny.

Ringmar się odwrócił.

– Już mnie roznosi – powiedział. – Aż mnie ciarki przechodzą.

Winter przytaknął.

– Przetrząśniemy każdą chałupę. – Wskazał na miasto. – Każde mieszkanie.

– Tak jest.

– Trzeba działać od razu.

– Tak, Bertil.

– Wiedział, że nam się uda do tego dojść?

Ringmar spojrział na technika.

Yngvesson pokręcił głową.

– Nie? – dopytał jeszcze Ringmar.

– Nie sędzę, żeby słyszał samochód z lodami, kiedy tam był.

– Naprawdę?

– Naprawdę. A nawet jeśli, to pewnie nie był świadomy, że w różnych częściach miasta puszczają różne melodyjki.

– Ale tylko przez ostatnie dwa tygodnie – wtrącił Winter.

– Więc chodzi o ostatni okres – stwierdził Ringmar.

– Tak. Film z trzeciego pokoju zrobiono niedawno.

– Co to oznacza, Eriku?

– Ale co?

– Że film powstał niedawno?

– To może znaczyć, że oni wciąż żyją – odparł Winter. – Ale musimy się spieszyć.

– Te sylwetki na łóżku – powiedział Ringmar.

– To więcej niż sylwetki. To ludzie.

– Są jak ja i ty, Eriku.

– Może będą jak my – powiedział Winter. – Wciąż są młodzi.

– Tego nie wiemy.

Winter milczał.

– Za to teraz wiemy coś, czego on nie wie – zaznaczył Ringmar.

– Zgadza się.

– Ale po co w ogóle filmować i wysłać to do nas?

– Jest wiele powodów – odparł Winter.

– Wymień choć jeden.

– Może szuka pomocy.

– Niby w czym mamy mu pomóc?

Winter nie odpowiedział. On też podszedł do okna. Odpowiedź była tam, na zewnątrz, w tym brutalnym mieście, pod fałszywym niebem. To oczywiste, że odpowiedź zawsze gdzieś tam tkwi. Wystarczy po nią pójść, jeśli się wie, jak to zrobić. On wiedział. Zawsze mu się udawało, przynajmniej formalnie, nawet wtedy, kiedy ponosił porażki. Teraz też mu

się uda, może nie wszystko, ale tym razem ocali ludzkie życie. W przeciwnym razie mógłby już teraz iść świętować nadejście nowego roku i o wszystkim zapomnieć. Ale ta sprawa była inna. Wcześniej wkraczał do akcji, gdy pozostawała tylko kwestia śmierci. Bo życia już nie było. I chodziło o to, żeby złapać tego, kto je odebrał.

– Skończyć z tym? – zasugerował Ringmar.

– Może.

– Ale dlaczego? Dlaczego chciałby z tym skończyć?

– Może już dość tego posmakował – odpowiedział Winter.

– Zabijania?

– Tak.

– I ma już dość?

– Nie.

– Więc przy dwóch pierwszych zabójstwach chodziło o coś innego? O coś więcej?

– Możliwe.

– O co?

– O zemstę.

Ringmar przytaknął. Znów odwrócił się do okna. Niebo było cudownie błękitne, potwornie błękitne. Ziemia chyba obróciła się do góry nogami. Wkrótce tu, na północy, znów zrobi się ciemno. Może uda mu się uniknąć patrzenia na kolejną tragedię. Na szczęście nie było jeszcze za późno, żeby się upić. Ale kto wie, może nie zdąży.

– Pora wracać do filmu – oznajmił Winter i odwrócił się od okna. – Nie ruszę się stąd, dopóki nie wpadniemy na coś nowego. Udało nam się coś usłyszeć, więc teraz musimy coś zobaczyć.

Yngvesson pracował nad szczegółami przez ostatnich kilka dni. Obejrzał film klatka po klatce. Winter znów zobaczył puchar na stoliku czy na komodzie. Ten puchar nie posunął sprawy do przodu. Wyglądał jak wszystkie inne puchary wręczane w ciągu ostatnich trzydziestu lat w różnych dyscyplinach. To mógł być rzut piłeczką palantową, bieg na sześćdziesiąt metrów, skok wzwyż albo w dal. Na matowej powierzchni nic nie wygrawerowano. A jednocześnie druga

strona rzucała odbicie na ścianę, tuż przy oknie. Ciekawe zjawisko optyczne. Światło pojawia się tam, gdzie nie powinno go być. Cień pucharu, jego zarys. Prawie jak negatyw filmu, pomyślał Winter, kiedy zobaczył go po raz pierwszy. Negatyw. Da się z tego coś wycisnąć? Yngvesson nie miał pojęcia. Mógł dalej wypróbowywać swoje nowe metody. Eksperymentować, bo zawsze kiedy nowe metody wykorzystuje się do badania czegoś nieznanego, można mówić o eksperymencie. A teraz przecież chodziło o to, co nieznanne.

Potem zobaczyli okno i cienie, kontury za nim. Trwało to zaledwie kilka sekund, tyle trwało to ujęcie. Ale najciekawsze było w łóżku. Reszta służyła za tło, za rekwizyty.

– To najlepsza jakość, jaką w tej chwili mogę uzyskać – oznajmił Yngvesson.

– Przejrzyjmy to klatka po klatce – powiedział Winter.

– Okej. Pierwsza klatka – odparł Yngvesson.

Ringmar spojrział na zegarek.

– Bertil, nie musisz tu siedzieć.

– Czy ja coś mówię?

– Nie.

– Jestem równie ciekawy jak ty.

– Wiem. Przepraszam.

– Mam nieodparte wrażenie, że to kwestia chwil – oznajmił Ringmar.

– Co masz na myśli? – zapytał Yngvesson.

– Że musimy wiedzieć już. Jak najszybciej. Że chodzi o te święta. O Nowy Rok. Dziś wieczorem, jutro.

– Skąd ta pewność? – Yngvesson nie zrozumiał.

Ringmar nie odpowiedział. Nie dało się odpowiedzieć na to pytanie. Yngvesson był badaczem, nie śledczym.

– Okej. Mamy okno – powiedział Yngvesson.

– Tak w ogóle to mam informacje o wszystkich postojach w centrum – zakomunikował Winter. – Chodzi o ten samochód z lodami. Möllerström ściągnął je ze strony internetowej.

Ringmar przytaknął.

– Więc gdzie to jest? – zapytał Yngvesson.

Gdzie to było? Czym były kontury za oknem? To prawdziwe

göteborskie domy stojące na gliniastym gruncie. Cienie prawdziwych budynków.

Nagle wszystko wydało się wyraźniejsze.

– Które to może być piętro? – zapytał Ringmar.

Yngvesson zmienił klatkę. Światło, a raczej mrok wyglądały teraz trochę inaczej. Mieszkanie było zaciemnione, naturalnie albo sztucznie. W zasadzie nie miało to znaczenia. Ale światło tworzyło jasne tło, które odzwierciedlało to, co się działo na pierwszym planie.

– Na pewno nie parter – stwierdził Yngvesson.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo widać niebo, prawda?

Ringmar zaczął się wpatrywać w zdjęcie.

– To ma być niebo?

– Tak mi się wydaje.

– A mogłoby to być coś innego?

– To jest niebo – powiedział Winter. – Nie ma nic za nim.

Ani nad nim.

– Okej – zgodził się Ringmar. – Może drugie, trzecie piętro.

– A co to jest? – zapytał Winter i wskazał głową na ekran.

– Co?

– Ten taki podłużny cień za oknem. Widzicie? Tak jakby coś tam leżało. Coś długiego. Tuż za oknem. A może mi się tylko wydaje?

– To pewnie odbicie z okna – stwierdził Ringmar.

– Nie.

– W takim razie co?

– Możesz trochę poprawić jakość – poprosił Winter.

– Sam nie wiem... może zmienię ustawienia kontrastu...

Odczekali chwilę. Obraz zrobił się trochę ostrzejszy. Granice między cieniami wydawały się wyraźniejsze. To musiało wystarczyć, skoro i tak nie mogli tego czegoś zobaczyć. Boże, jak on marzył o tym, żeby móc odtworzyć ten obraz, zerwać wszystkie warstwy, które go zasłaniały.

To coś wyraźnie się odcinało. Coś leżało na zewnątrz. Przed domem...

Jakaś skrzynia, pomyślał Winter. Tam leży skrzynia.

Jakiś prostokąt. Czworobok. Coś.

Inny dom.

Jakiś dach za oknem.

Dach.

Albo dom.

Może klatka schodowa.

Nie, nie pod oknem. Okno musiało wychodzić na ulicę. To centrum miasta. Pod oknami nie ma żadnych dziwnych dobudówek ani werand. To coś innego.

– Może coś tam budują – zasugerował Yngvesson. – Remontują. Jakies rusztowania.

– TAK!

Ringmar i Yngvesson aż podskoczyli. Winter podniósł się z krzesła.

– To nie rusztowanie – powiedział. – To baraki dla robotników. Albo coś w tym stylu. Remontują fasadę budynku.

– Możliwe – powiedział Yngvesson.

– To jest myśl – zgodził się Ringmar.

– Ale czy w centrum jest jakiś dom, którego fasady by nie remontowano? – zapytał Yngvesson.

– Cicho – powiedział Ringmar.

– Albo kontenery – ciągnął Winter. – Baraki, skrzynie, kontenery. Stoją pod oknem na drugim, trzecim piętrze.

– Jeśli rzeczywiście wciąż tam są – zauważył Ringmar.

– Ten film jest nowy – powiedział Winter.

– A w pobliżu zatrzymał się samochód z lodami – dodał Yngvesson.

WINTER WSTAŁ I WYSZEDŁ na korytarz, a potem na ceglaną klatkę schodową. To był jego drugi dom. Zjechał windą i wyszedł na dwór. Trzystuletnie prace remontowe na komisariacie trwały dalej. Wszędzie stały baraki dla robotników. Wyglądały jak kontenery, które za chwilę trafią na statek do Singapuru. Nigdy nie był w Singapurze, tak mu się przynajmniej wydawało. A może by się tam wybrać, kiedy to wszystko się skończy? Apartament na liniowcu Queen Elizabeth wyruszającym z portu Southampton. Bagaże oznaczone jako P.O.S.H. Port Out. Starboard Home. Co oznaczało, że kabina właściciela bagażu znajduje się zawsze w wychodzącej na północ, zacienionej części statku. Luksus, na który mogą sobie pozwolić jedynie najbogatsi.

Zapalił corpa. Dym uniósł się ku niebu. Czuć już było nadchodzący zmierzch. Spojrzał na kanał Fattighusån. Po drugiej stronie nie było nikogo. Nikt się nie ruszał na ulicach w słoneczne sylwestrowe popołudnie, tylko komisarze i niespełna rozumu psy.

Centrum. Vasastan. Dlaczego pomyślał o Vasastan? Bo to była jego okolica. Bo dostał ten cholerny film. A raczej filmy. Bo to w pobliżu. Daleko, a jednocześnie blisko. Vasastan i Hiszpania. Bo pojawiło się jakieś inne nazwisko. Bo matka powiedziała, że było jeszcze jakieś nazwisko. Jakie? Odstaw tego drinka i pomyśl! Ale on i tak się dowie. Może jeszcze dzisiaj po południu. Myśl. Myśl. Ilu ludzi moglibyśmy wezwać? Jest przecież sylwester, ha, ha. Nawet on nie był w stanie nikogo skombinować. Byli tylko on i Bertil. Nie miał serca dzwonić do Fredrika i do Anety. Fredrik i tak był już na wylocie, więc i jego wnikliwość pewnie osłabła. Straci Haldersa. To prawdziwa tragedia. To ich ostatnia zima. Aneta zostanie. Prawdopodobnie. Usłyszał samolot, warczał gdzieś nad nim. Podniósł głowę i zobaczył, że wylatuje z miasta. Lot w przyszłość, prawdopodobnie długi lot. Do Tajlandii albo do

Teheranu. Pomyśl! Dokąd zmierzamy? Od czego zaczniemy? Widział, jak kadłub samolotu błyska w słońcu po raz ostatni, a potem znika w przyszłości, a może w przeszłości. Tam, gdzie wylądował ten samolot, Nowy Rok pewnie zacznie się wcześniej albo później niż tu.

– Eriku! Eriku!

Ktoś wołał, jakby z nieba. Wciąż patrzył tam, gdzie poleciał samolot. Utworzył się wokół niego krąg. Dym z corpsa.

– Eriku.

Odwrócił się.

Zdyszany Bertil biegł po zamrożonej trawie. Wyglądała jak lód. Po raz pierwszy zauważył, że połyskuje na biało, niczym zimowa fatamorgana. Teraz sobie uświadomił, że kiedy tu szedł, źdźbła trawy kruszyły mu się pod butami.

– Znaleźliśmy coś jeszcze – wysapał Ringmar.

Nagranie przypominało nakładające się na siebie warstwy. Dwie-trzy-cztery-pięć. Jedna na drugiej.

– Co zrobiłeś? – zapytał Winter i odwrócił się do Yngvessona.

– Chodzi o światło – odpowiedział technik. – A raczej o jego brak. Zrobiłem coś zupełnie innego. Przyciemniłem tło, jak tylko się dało.

Jak na negatywie, pomyślał Winter.

– Co to jest? – zapytał Ringmar. – Wygląda jak jakieś bryły. Małe bryły.

– Wiszą w powietrzu – stwierdził Winter. – To balkony.

Yngvesson gwizdnął.

– Rząd balkonów za oknem – powiedział.

– W niewielkiej odległości – stwierdził Winter.

– Po drugiej stronie ulicy – zauważył Ringmar.

– Trochę dalej – ciągnął Winter. – Po drugiej stronie skrzyżowania.

– Nad tymi bryłami są linie proste – dodał Ringmar.

Winter przytaknął. Żadnych fantazyjnych luków.

– Funkcjonalizm – stwierdził Ringmar. – Czy w centrum jest dużo domów w tym stylu?

– Na Johanneberg – powiedział Winter. – I na Guldheden.

- Ale przecież to nie centrum?
- To nie my to ustalamy – zaznaczył Winter.
- A kto?

– Zabójca. – Winter ruchem głowy wskazał na zdjęcie. Pomyślał o oblodzonej ziemi na dworze. Fatamorgana. – Ale to nie jest ani Johanneberg, ani Guldheden. Tam samochód z lodami nadal wygrywa zwykłą melodię.

– Czy przy Avenyn nie ma przypadkiem budynków w tym stylu? – zapytał Ringmar.

- Całkiem sporo – orzekł Winter. – Jedziemy.

Krażyli wokół Götaplatsen i wpatrywali się w szczyty domów. Dwóch śledczych na tropie. Wiedzieli, gdzie zgodnie z planem zatrzymuje się albo zatrzymywał samochód z lodami, ale nie zawsze były to te same miejsca. Wszystko zależało od natężenia ruchu. Różnice można było liczyć w metrach. A tu kilka metrów miało duże znaczenie. Istotne było to, czy samochód zatrzymał się pod tym, czy pod innym domem.

Götaplatsen nie pasowało do obrazu. To nie tu. Powierzchnie były za duże, niebo zbyt wyraźnie widoczne. Wciąż było błękitne, jakby tej zimy jakaś siła wyższa wspierała ziemię. Ależ się zrobiłem religijny. Zaczął się koniec świata i mnie też nie ominie.

Jechali w dół Avenyn. Był zdziwiony, że na ulicy wciąż są ludzie. Niektóre sklepy nadal były otwarte. Puby, restauracje. Dziesięć lat temu o tej porze na ulicy nie było żywego ducha. Wtedy on i Angela też byli w domu, w mieszkaniu oddalonym o kilometr na zachód. Siedzieli przy stole. Nie mieli jeszcze dzieci. Wydawało się, że od tamtego czasu minęło sto lat. I oto dzisiaj siedzi w samochodzie Bertila i jedzie w dół Avenyn. A Angeli przy nim nie ma.

– Dobra, następny postój – oznajmił Ringmar i minął wysepkę. Na ulicy nie było ani jednego tramwaju. Grupka chłopaków długo się im przyglądała, pokazywali ich sobie palcami.

– Nikt nie wie, że jesteśmy policjantami na służbie – stwierdził Winter.

Ringmar zatrzymał samochód na szerokim chodniku pod

restauracją Tvåkant. Minęła ich grupka ludzi, rzucili im wrogie spojrzenia.

Mężczyzna stojący między restauracją a jubilerem podniósł rękę. W drugiej trzymał kilka gazet. Pomachał do Wintera.

– Znasz go? – zapytał Ringmar.

– Tak.

– Twój dostawca gazet?

Mężczyzna był już przy samochodzie. Podeszedł od strony Wintera. Winter opuścił szybę.

– Non stop pracujecie – powiedział Tommy Näver.

– Tak jak ty – odparł Winter.

Mężczyzna się zaśmiał. Był trzeźwy, sfatygowany, ale trzeźwy. Nie miał mętnego spojrzenia.

– Skąd wiesz, że jesteśmy w pracy? – zapytał Winter.

– Ech, takie rzeczy się czuje. – Kiwnął głową w stronę Ringmara. – Näver. Tommy Näver.

Ringmar też się uklonił.

– Wkrótce będę się zbierał – oznajmił Näver. – Za godzinę będzie tu całkiem pusto.

– Tak sądzę – odparł Winter.

– Na pewno – powiedział Näver. – Wiem wszystko o tym miejscu. Centrum nie ma przede mną żadnych tajemnic. Widzę wszystko.

– Już to mówiłeś – zauważył Winter serdecznym tonem.

– Wczoraj przechadzała się tędy wasza koleżanka po fachu.

– Kto?

– Policjantka. Taka miła dziewczyna. Podwiozła mnie w Wigilię.

– Tak?

– Musiałem się dostać do Armii Zbawienia. Skończyłem już robotę i pojechałem z nimi radiowozem, z nią i z jakimś kolesiem. Nie był zbyt rozmowny. Ale ona jest bardzo miła.

– Wszyscy jesteśmy mili – wtrącił Ringmar.

– Przechodziła tędy wczoraj – powiedział Näver. – Nie miała na sobie munduru, ale oczywiście ją rozpoznałem. Nigdy nie zapominam twarzy. Poszła prosto na Kristinelundsgatan. – Näver wskazał na najbliższe skrzyżowanie. Kristinelundsgatan

biegła na zachód od niego. – Ale mnie nie widziała. Miałem akurat klienta. A kiedy chciałem do niej pomachać, już jej nie było.

– Stoisz tu o każdej porze? – zapytał Winter.

– O każdej. Nie mówiłem wam? Nikt inny tu nie staje, to moja miejscówka. Stoję tu już od roku.

– Tak długo jesteś bezdomny? – zapytał Ringmar.

Näver popatrzył w górę, a potem znów w dół. Zatrzymał się gdzieś między Ringmarem a Winterem.

– Nawet dłużej – przyznał. – Ale od roku nie piję. Choć zdarzały mi się chwile słabości. Ale teraz skończyłem z tym na dobre.

– Stoisz tu codziennie? – zapytał Winter. – Wiesz, gdzie się zatrzymuje samochód z lodami?

– Jaki?

– Samochód firmy Hemglass, sprzedającej lody. Słyszysz go w pobliżu? Wiesz, kiedy przyjeżdża?

– Oczywiście. Staje dokładnie w tym miejscu. – Wolną ręką wskazał na skrzyżowanie. – Wiem doskonale, gdzie się zatrzymuje. Tam, przy restauracji Ming. Jeśli się stoi na skrzyżowaniu, można go czasem zobaczyć.

– Restauracja Ming?

– Tak, staje tuż pod nią. Na Teatergatan, tuż za rogiem. To chińska restauracja. A o co chodzi?

– Czyli to kawałek stąd – stwierdził Ringmar.

– Co na nich macie? – zapytał Näver i spojrzął Ringmara.

Winter wysiadł już z samochodu.

Pobiegł w górę ulicy. Tak, to właśnie tu się wybierali, to był następny przystanek na trasie. Ale nie mógł już wytrzymać. Czuł ogień w całym ciele, palący ból pod skórą. Teraz, kiedy już wiedział, rozpoznał tę i tak znaną sobie okolicę. Wiedział, nim na dobre nabrał pewności. Usłyszał za sobą samochód. To Ringmar go minął. Zaparkował przed domem po prawej, za skrzyżowaniem Teatergatan i Kristinelund. Po drugiej stronie skrzyżowania była szkoła rękodziela. Po prawej – dom. Na parterze biuro Skandia France. W oknach – zdjęcia słonecznych apartamentów, domów, otynkowanych fasad,

białego gipsu. Winter był już przy restauracji Ming. Stary Chińczyk przez lata nie raz ratował życie policjantom z posterunku Lorensbergsstationen. Winter stał przed wejściem. Widział dom naprzeciwko, po drugiej stronie Kristinelundsgatan. Widział go tysiące razy, ale nigdy nie widział tego, co teraz. Prawdziwie funkcjonalistyczny dom. Popatrzył przed siebie, na drugą stronę ulicy. Widział je już wcześniej, kiedy biegł, ale teraz zobaczył je wyraźnie. Stały jeden na drugim. Kontenery, ale z wlotem powietrza. Z oknem, jak kto woli. Baraki robotnicze, dokładnie tak to sobie wyobrażał. I tak wyobrażał to sobie Ringmar, który zdążył już wysiąść z samochodu. Wskazał na budynek. Winter przytaknął. Gesty nie były potrzebne. Winter spojrzał w górę. Nad dachem najwyższego z baraków były okna, dużo okien. Na trzecim piętrze. Przeszedł przez ulicę. Na rogu wciąż mieścił się stary antykwariat. Znów się odwrócił. Po drugiej stronie tynkowano fasadę. Balkony unosiły się jedne nad drugimi na całej długości budynku. Więc tak to wygląda. Teraz nic nie zasłania widoku, nie przeszkadza. Ani zasłony, ani cienie, ani mrok. Właśnie tak. To tu. I teraz.

MUSIAŁA ZNÓW ZASNAĆ. Odpocząć chwilę od siebie samej. Co za ulga! A po przebudzeniu wrócić do tego koszmaru. Poczwała, że swędzi ją szyja, ale nic nie mogła z tym zrobić. Czytała o sparaliżowanych ludziach, którzy, kiedy coś ich uwiera albo swędzi, w żaden sposób nie mogą sobie ulżyć. Aż w końcu to uczucie ogarnia ich bez reszty. Całe życie staje się palącym bólem. Tak się teraz czwała. Nie mogła myśleć o niczym innym. Nie wiedziała już nawet, co ją swędzi, czwała to całym ciałem.

I nagle przestało. Jakby ktoś zerwał plaster z rany.

Próbowała poruszyć głową. Leżała teraz w innej pozycji. Czy to możliwe, żeby się odwróciła na drugą stronę przez sen? Nie. To on ją przesunął. Prawdziwy koszmar. Koszmar we śnie i na jawie. Pewnie znów coś jej podał. Uspiał ją. Bolała ją głowa? Nie, nie czwała się odurzona.

Nie miała już w ustach knebla. Ani opaski na oczach. Ale nadal była związana. Związał ją na nowo.

W oknie wciąż wisiała roleta. Wokół jaśniała prostokątna obwódka światła. Poza tym w pokoju było ciemno, przez co miała wrażenie, że na zewnątrz też jest ciemno albo właśnie zapada zmrok. A może na odwrót, może na dworze jeszcze było jasno. Może to popołudnie i dopiero niedługo zapadnie zmierzch. U niej zawsze panował mrok. Jeśli czegoś mogę być pewna, to właśnie tej ciemności. Na nic innego nie mogę liczyć. Nie mogę już niczego oczekiwać. Od nikogo. Przestań! Dostyc tych myśli! Dlaczego nie chce mi się pić ani jeść? Dał mi coś, kiedy byłam nieprzytomna? Boże! Musiał tak zrobić. Nie jestem przecież głodna ani spragniona. Może to dlatego, że się boję? Ale czy wtedy nie odczuwa się pragnienia?

Co to za pokój? Próbowała się rozejrzeć, przesunąć wzrokiem po ścianach. Nie było łatwo, zupełnie jakby pchała kamień.

Czy to ten sam pokój?

Myśl! Gerda, myśl!

Miałaś przed sobą tylko ścianę. Teraz leżysz przed jakąś inną. Trudno stwierdzić, gdzie jesteś. Nie wiesz tego. Możesz wciąż być w tym samym miejscu. Bo jak niby miałby cię przenieść? Po co miałby to robić? To przecież jest twój pokój.

Jesteś tu bezpieczna, Gerda.

Kiedy to do niej dotarło, zaczęła cicho płakać.

Ringmar wysiadł z samochodu i stanął obok Wintera.

– Bertil, widzisz to co ja?

– Może.

– Może?

– Musimy zachować zimną krew, Eriku.

– Zimną krew? Dlaczego, do cholery?

Ringmar nie odpowiedział. Odwrócił się i spojrzał w górę. Zobaczył okna. W cieniu wydawały się czarne. Widział też zasłony. One też przypominały cienie. Słońce było nisko, w drodze na zachód, tuż za fasadami budynków. Nie zanosilo się na to, żeby coś mogło je powstrzymać. Uciekało od starego roku na dobre. To był beznadziejny rok.

– To mogą być one – powiedział. – To mogą być te balkony.

– To one – odparł Winter.

Ringmar znów się rozejrzył.

– Myślisz, że jest tu ktoś, kto nas obserwuje? – zapytał.

– Ktoś, kto na nas czeka? – powiedział Winter.

– Musiałyby trwać na posterunku dwadzieścia cztery godziny na dobę – stwierdził Ringmar.

– Może nas teraz nagrywa.

– Może – odparł Ringmar. – Ale przedstawienie wkrótce się skończy.

Odwrócił się do Wintera.

– Co robimy, szefie?

Winter spojrzał w górę.

– Wchodzimy.

– A gdzie jest wejście?

– Chyba za tym barakiem.

– Wzywamy posiłki?

– Nie.

Ringmar znów spojrzał w górę.

– W grę wchodzi tylko kilka mieszkań.

– No.

Winter poszedł w lewo, wokół baraku. Ringmar ruszył w drugą stronę. Winter zobaczył drzwi do bramy. Nad nimi połyskiwał elegancki złoty numer. Obok mieścił się jakiś sklep. Właśnie kończyli go przerabiać. Sztyl był chyba do wymiany.

– Tu był sklep z płytami Elvisa – powiedział Ringmar. – Byłem tu nawet kiedyś.

Winter nacisnął ciężką klamkę. Oczywiście zamknięte. Przeczytał nazwiska przy domofonie. Lista nie była pełna. Nigdy nie jest. Zawsze brakuje jakichś nazwisk. Wyjął pilnik. Świetnie się nadawał do takich zadań. Wsunął go do zamka i lekko podważył. Rozległo się kliknięcie.

Weszli do środka. Brama przypominała wejście do średniowiecznego zamku. Murowane sklepienie, kute lampy na ścianach. Prawdziwe średniowiecze. Albo styl południa Europy. Średniowiecze w południowym kraju.

– Dziwnie tu – stwierdził Ringmar, idąc za Winterem. Słyszał było, że jest podekscytowany. Szli po kocich łbach. Brakowało im tylko rapierów i kapeluszy z piórem. Winter miał na sobie prosty i wygodny garnitur Laizze. Mieli przy sobie broń. Czuł, jak stal wciska mu się w żebra. Nie pierwszy raz. Po prawej stronie zobaczył drzwi na klatkę. To tego wejścia szukali. Zimny wiatr przeleciał przez bramę. Przynieśli go ze sobą. Co jeszcze nieśli? Ratunek. Nie. Coś innego. Prawdę. Nie. Sprawiedliwość. Nie. Miłość. Może miłość. Byli posłańcami czegoś innego niż to, co kryło się tutaj, w tym pokoju na górze. I co uwieczniono na filmach. Czegoś lepszego, czystszyego. Czegoś, co przetrwa, kiedy ich już nie będzie. Bo to coś większego, ważniejszego od życia. A przecież prawdziwy sens życia jest taki, że to, co od niego większe, trwa, nawet gdy życie się kończy. Całkiem proste. Większa, nadrzędna miłość. *A love supreme, a love supreme*, przyszło mu nagle do głowy.

– Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku – powiedział Ringmar.

– Dlaczego już teraz składasz mi życzenia?

– Później może nie być czasu.

- Niby dlaczego?
- Możemy mieć dużo roboty.

Winter spojrzął na zegarek. Do noworocznego toastu zostało jeszcze dużo czasu, ale może nie dla niego. Ruszył na górę.

– Trzecie piętro – powiedział Ringmar ściszym głosem. – Sądząc po wysokości tych baraków.

– I po balkonach.

Ringmar nie odpowiedział. Skręcili w prawo, na podest z dwojgiem drzwi. Ringmar wskazał głową na te po lewej. Winter podszedł do nich bezszelestnie. Na drzwiach nie było tabliczki z nazwiskiem. Spojrzął na Ringmara, który zbliżył się do drzwi po prawej. Tam widniało nazwisko: Svensson. Najpopularniejsze nazwisko w kraju. To pewnie jacyś prości ludzie, którzy pracowali powoli, lecz wytrwale, może nawet przez kilka pokoleń, żeby zamieszkać w apartamencie w centrum, rzut kamieniem od Avenyn. Przeciętny Szwed stał się przedstawicielem klasy wyższej. Ale okolice Avenyn były już teraz zbyt niemodne, więc niewiele udało się tym awansem społecznym ugrać. Teraz bardziej prestiżowa była zachodnia część miasta, położona nad samym morzem. W końcu to z niego tutaj przyszliśmy.

Winter nacisnął dzwonek obok anonimowych drzwi. Zadzwoił w środku. Dźwięk był cichy, stłumiony. To przez grube ściany. Z innego mieszkania, gdzieś na górze, dobiegły ich głosy, śmiech. Może drzwi były uchylone. Światło na klatce zgasło. Ringmar podszedł do połączanego włącznika i je zapalił. Winter znów zadzwonił do drzwi. I znów stłumiony sygnał dzwonka. Nacisnął jeszcze raz. Odczekali chwilę. Zadzwoił po raz ostatni, a potem wyjął wytrych.

– Czy ten sukinsyn liczył, że będziemy tu stać do usranej śmierci? – powiedział Ringmar.

– Nie sędzę. Może kieruje nim coś innego.

– Co?

– Pycha – odparł Winter.

– Pycha poprzedza upadek.

– Otóż to.

– Dobra. Wchodzimy.

Winter poruszył wytrychem. Zamek puścił szybciej niż ten na dole. Drzwi się otworzyły. Spodziewał się, że na miejscu może zastać wszystko. Dosłownie wszystko.

Stanęli po bokach. Skrzydło drzwi powoli się uchyliło. Nagle zgasło światło. Wejście do mieszkania czerniło się przed nimi. Stanęli bez ruchu. Nic nie słyszeli. W mieszkaniu było zupełnie ciemno. Po chwili Winter pomyślał, że pewnie światło uciekło na zewnątrz. Do mieszkania wdzierał się zmrok. Wkrótce niebo zrobi się całkiem ciemne.

Ringmar mrugnął. Wyglądało to, jakby kiwał głową. Potem wślizgnął się do środka. Winter poszedł za nim. Nie pierwszy raz robili coś takiego. Ale może ostatni. Nie. W mieszkaniu panowała absolutna cisza. Było puste. Nie dało się wyczuć żadnego zapachu. Nie było też nikogo, kto by próbował ich powstrzymać. Stali w przedpokoju. Ringmar włączył latarkę. Jej światło brutalnie wdzierало się w stonowany mrok. Lepiej włączyć światło, pomyślał Winter, ale nie widział włącznika. Zapalił więc także swoją latarkę. Szybko przemknął przez przedpokój. Po lewej było jakieś pomieszczenie. Zatrzymał się, to była kuchnia. Zlewozmywak, kuchenka. Wyglądały czysto.

– Przecież tu nic nie ma. – Zza pleców usłyszał ściszony głos Ringmara. – Wszystko jest wysprzątane.

Przeszli przez pusty przedpokój. Nikt tam nie mieszkał, przynajmniej przedpokój tak wyglądał. Winter zatrzymał się przy kolejnych drzwiach, tym razem po prawej. Były otwarte. Za nimi był pokój z jednym oknem. Nic innego. Tylko pokój, okno, ściany, podłoga i sufit. Zupełnie pusty. Przez okno wdzierał się mrok. Tam, za nim, gęstniał coraz bardziej. Ale tutaj, w środku, nic nie znaczył.

– Eriku!

Z oddali dobiegł głos Ringmara. Winter wyszedł do przedpokoju. Nie widział Ringmara. Spóźnił się, pomyślał. Ten sukinsyn najlepsze zostawił na koniec.

Ringmar wyszedł z pokoju w głębi. Mieszkanie wydawało się nie mieć końca, przedpokój ciągnął się chyba z pięćdziesiąt metrów. Pewnie przez tę pustkę. Im coś bardziej opustoszałe, tym większe.

– Wciąż wisi tu zasłona – zauważył Ringmar. – Poza tym nie ma nic. Ale to musiało być tutaj.

Zabrzmiało to zagadkowo, ale Winter wiedział, o co chodzi. Kilka sekund później sam znalazł się w tym pokoju. To tutaj. W pokoju nie było już nic: łóżka, nocnych stolików, mebli, pościeli, książek, gazet ani pucharu. Zupełnie nic, ale to musiało być tutaj. Stał tam, gdzie wcześniej stała kamera. Teraz on był jak jej obiektyw. Przesuwał wzrokiem po całym pokoju.

– Ten sam widok – powiedział Ringmar i wskazał na okno.

Ten ktoś pewnie celowo zostawił zasłony. Dzięki nim mogli poznać kontury i cienie za oknem. Ale Winter nie musiał już porównywać widoku z filmem i ze zdjęciami. Bo to ten obraz miał przed sobą: za oknem zarys baraków i balkonów. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Brakowało tylko radosnego sygnału furgonetki z lodami.

– Co w zasadzie widzieliśmy? – zapytał Ringmar.

– Co masz na myśli?

– Na filmie. Jeśli to było tutaj. To jest tutaj. Ale co tam zobaczyliśmy?

– Widzieliśmy dwoje ludzi leżących w łóżku, które stało tam

– odpowiedział Winter i wskazał na podłogę. To się działo naprawdę. To nie był sen.

– Ale dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego to widzieliśmy? – ciągnął Ringmar.

Winter nie odpowiedział.

– I gdzie oni są teraz?

Winter podszedł do okna. Niczego nie dotykał. Na dole widać było orientalny szyld restauracji Ming. Niedawno go podświetlono i teraz jarzył się na czerwono, jak w burdelu. Pewnie będą dziś mieli otwarte. Zawsze mają. Przecież Chińczycy obchodzą Nowy Rok kiedy indziej.

Winter odwrócił się do Ringmara.

– Wiemy, że byli tutaj niecałe dwa tygodnie temu – powiedział.

Ringmar przytaknął.

– On też tu był.

- Teraz nie ma nikogo.
- Zadzwońię po Torstena – odparł Winter.
- Nie musi przecież tu przyjeżdżać.
- Pewnie będzie chciał.

Winter nie sprawdził jeszcze komórki. Chwilę wcześniej poczuł w kieszeni wibracje. To Angela chciała się z nim skontaktować. Wszystko jest w porządku. Nie ma żadnych pretensji. Chodzi tylko o to, czy będzie jadł z nimi, czy sam, trochę później. Wszystko zależy od tego, jak się potoczą sprawy.

– Myślisz, że miało znaczenie, czy zjawimy się teraz, czy trochę później? – zapytał, patrząc w okno. Jakiś mężczyzna wszedł do restauracji. Nad Vasastan zapadł wieczór. Już o czwartej.

- Nie sądzę – odparł Ringmar z za jego pleców.
- Zrobił to tuż po tym, jak nakręcił film.
- Co?
- Zabił ich. Albo jedno z nich.

– Opróżnienie mieszkania to duże przedsięwzięcie – stwierdził Ringmar. – Zwłaszcza jeśli ma się trupa do usunięcia.

– Z trupem czy bez, to chyba bez różnicy.

– Ktoś by usłyszał, że się przeprowadza – zauważył Ringmar.

– Sąsiedzi – zasugerował Winter i odwrócił się. – Albo robotnicy.

– W każdym razie mamy kogo zapytać – powiedział Ringmar i spojrział na zegarek. – Może sąsiedzi nie zasiedli jeszcze do sylwestrowej kolacji.

– Ale pewnie zdążyli się już napić.

– W przeciwieństwie do nas – odparł Ringmar i znów rozejrzał się po pokoju. – Mimo wszystko trochę mi ulżyło.

Winter nic nie powiedział.

– Tobie nie? – zapytał Ringmar.

– Jeszcze nie wiem.

– Przecież to na pewno ten pokój.

– Nie o to chodzi.

– Nikogo tu nie zabito.

– Dlaczego tak myślisz?

– Doświadczenie – odparł Ringmar. – Zadzwoń do Torstena, a później pogadamy sobie z sąsiadami.

Sąsiedzi otworzyli dopiero po kilku dzwonekach.

Kobieta mogła być jedną z nich. Jedną z ofiar.

Winterowi przez sekundę wszystko zawirowało przed oczami.

Spojrzał na Ringmara, Ringmar pokręcił głową. Chyba jednak dobrze, że tu przyszli.

Winter przedstawił siebie i Ringmara pani Svensson. Ani ona, ani jej mąż nie wyglądali jak przeciętni Svenssonowie. Na pewno nie tak, jak wszyscy ich sobie wyobrażają. Ale był przecież sylwester. Kto chciałby tego dnia wyglądać jak prawdziwy Svensson?

Winter wypytywał o sąsiadów.

Sprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza.

– Nigdy nikogo nie widzieliśmy – powiedziała kobieta. Mildred. Miała może dwadzieścia dziewięć lat. Nazywała się Mildred Svensson. Jej mąż miał na imię Mattias, jak większość mężczyzn między dwudziestym drugim a dwudziestym dziewiątym rokiem życia.

Twierdziła też, że nic nie słyszeli. Nikogo nie widzieli, nic nie słyszeli.

– Jak długo tu państwo mieszkają?

– Około roku... wkrótce minie rok. W lutym dokładnie.

– I nigdy nie widzieliście nikogo, kto by wchodził do tego mieszkania albo z niego wychodził?

– Nie, w zasadzie nie.

– Nie wydało się to państwu dziwne?

– No, może...

– Zastanawialiście się nad tym?

– Może trochę...

– Naprawdę nigdy nic państwo nie słyszeli? – zapytał Ringmar.

– Może czasem... – odparła.

– Ach tak?

– Nie wspomniałam o tym? – zapytała, spoglądając na

Mattiasa. Oboje wydawali się poukładani, eleganccy. Wyglądali tak porządnie, prawie niewinnie. Nie pasowali do tego miejsca.
– Kilka razy w nocy – powiedziała.

- CO TO BYŁ ZA ODGŁOS? – zapytał Winter.
- Sama nie wiem... tak jakby coś przynosili.
- Oni? Było ich więcej? – zapytał Ringmar.
- Słyszałam jakieś kroki na zewnątrz... dużo kroków. Wydaje mi się, że było ich więcej.
- Przenosili coś? Czy to mogły być takie odgłosy, jakby ktoś się wyprowadzał?
- Tak... możliwe.
- Słyszała pani jakieś głosy?
- Nie.
- Kiedy to było?
- W nocy.
- O której?
- Nie wiem... może koło trzeciej. Na pewno po północy.
- Zdarzyło się to więcej niż ten jeden raz?
- Tak mi się wydaje...
- Dlaczego?
- Mogę się mylić.
- Dlaczego myśli pani, że więcej niż raz?
- Już mi się to wszystko pomieszało – powiedziała.
- Co się pani pomieszało?
- Proszę pana... – wtrącił się Mattias Svensson.
- Spokojnie. Chcemy tylko zadać kilka pytań – odparł Ringmar – To dla nas bardzo ważne.
- Leżała pani w łóżku? – zapytał Winter i spojrzał na panią Svensson.
- Tak...
- Wstała pani? I nasłuchiwała?
- Nie... tak... Wstałam nawet, pewnie wtedy, kiedy to usłyszałam.
- Otworzyła pani drzwi wejściowe?
- Nie. Absolutnie nie.
- Dlaczego?

– A dlaczego miałabym to zrobić?

– Czy byłyby pani w stanie przypomnieć sobie, kiedy dokładnie to było?

Nie odpowiedziała.

– Pamięta pani, kiedy to było? – powtórzył Winter. – Jaki to był dzień?

– Nie... a może to było... – Zamilkła. Spojrzała na męża. – Kiedy byliśmy w kinie?

– W zeszłym tygodniu – odpowiedział. – Na początku zeszłego tygodnia. Wydaje mi się, że we wtorek.

– W takim razie to był wtorek – stwierdziła i spojrzała na Wintera. – Wtorek wieczorem. Nie, w nocy. Z wtorku na środę.

– A jakiejś innej nocy?

– Nie... tylko wtedy. Nie słyszałam nic na klatce poza tym jednym razem. Tylko wtedy.

– Słyszała pani windę?

– Nie...

– Jest pani pewna?

– Pewności nie mam...

– Wyjrzała pani przez okno?

– Nie.

– Nie była pani ciekawa?

– Czego?

– Co się tam dzieje.

– Właściwie to nie.

– Nie interesowała się pani sąsiadami?

– Nie.

– To jedna z zalet mieszkania tutaj – wtrącił Mattias. – Nie trzeba się interesować sąsiadami.

Winter przytaknął. On też nie wtrącał się w życie sąsiadów. Ale wiedział, kim są. Zdążył się tego dowiedzieć, nim minął rok od przeprowadzki na Vasaplatsen. Wtedy mieszkanie wydawało mu się zdecydowanie za duże. Długo stało niemal puste, jego stare meble zmieściły się w jednym pokoju.

Tu też mogło tak być. W mieszkaniu mógł być tylko ten pokój, ten jeden umeblowany pokój. Był tylko sceną. Pewnie łatwo było ją rozebrać. Przenieść gdzie indziej.

Ale łóżko? Przecież samo nie wyleci przez okno.

A może jednak wyleciało.

Tutaj mogło wylądować na dachach baraków.

– Słyszała pani coś zza okna?

– Co pan ma na myśli?

– Słyszała pani jakieś odgłosy dobiegające z zewnątrz? Nie zza drzwi. Na przykład od strony Kristinelungatan?

– Nie... nie sądzę. Ale...

– Tak?

– To możliwe.

– A pan? – zapytał Ringmar i spojrzał na Svenssona. – Co pan robił, kiedy to wszystko się działo?

– A co się działo?

– Na przykład to, że pańska żona wstała i nasłuchiwała.

– Spałem.

– Cały czas?

– Tak. Dobrze śpię.

– Zazdroszczę – powiedział Ringmar.

– Słucham?

– Ja mam problemy ze snem. W nocy budzę się co godzinę.

– Tak?

– Tak. A wtedy noc wydaje się naprawdę długa – odparł Ringmar.

– Co w zasadzie się tam stało? – zapytała Mildred Svensson.

– Co się stało w tym mieszkaniu?

– Sami nie wiemy – odpowiedział Winter.

– Może nic – dodał Ringmar.

– A jednak panowie tu są. Na dodatek w sylwestra.

– Już wychodzimy – oznajmił Winter.

– Czy mógłbym jeszcze raz spojrzeć na pańską legitymację? – poprosił Mattias Svensson.

Winter wylegitymował się jeszcze raz.

– To straszne – powiedziała Mildred. – Pomyśleć tylko, że...
– Nagle zamilkła.

– Że co?

– Nic, nic.

– A jednak... coś pani sobie pomyślała. Co chciała pani

powiedzieć?

– Pomyśleć tylko... że ten ktoś może wrócić – wydusiła. – To się wydaje przerażające.

– Kto miałby wrócić?

– Nie wiem. Ale po coś tu przyszliście. Szukacie kogoś. Albo czegoś, prawda?

Winter przytaknął.

– Co się tam właściwie stało? – powtórzył Mattias.

– Nie wiemy – odpowiedział Winter. – Naprawdę nie wiemy.

– A jak przypuszczacie?

Winter nie odpowiedział. Nie zwracał sobie głowy przypuszczeniami. Myślał o ciszy. Potrzebował ciszy, żeby zebrać myśli. A to nie był najlepszy dzień, żeby się skupić. Rodzina czekała na niego w domu na Hagen. Ostatni dzień roku. Miał dzisiaj położyć Lilly. Byłoby mu wstyd, gdyby tego nie zrobił. Mała miała za sobą kolejny emocjonujący rok, a przed sobą następny.

– Postaramy się ustalić, co się tam stało – powiedział Ringmar. – I poinformujemy państwa o przebiegu sprawy. Przyślemy tu paru techników.

– Kiedy?

Ringmar spojrzął na Wintera.

– Może już dziś wieczorem – odparł Ringmar. – Zobaczymy. W każdym razie musimy zabezpieczyć sąsiednie mieszkanie.

– Czy to mieszkania spółdzielcze? – zapytał Winter.

– Tak. Przynajmniej to, w którym mieszkamy. Ale wydaje mi się, że wszystkie mieszkania w tej klatce należą do spółdzielni.

– Czy mógłbym dostać numer do prezesa albo kogoś z zarządu?

– O Boże! – westchnęła Mildred. – Nie chcę tu zostać.

– Pojedziemy do twojej matki – powiedział Mattias.

To miły chłopak, pomyślał Winter. Naprawdę miły.

Słońce już całkiem zaszło. Zapadł wieczór. Winter widział przez okno głowy klientów restauracji Ming. Kelner w niebiesko-czarnym stroju kręcił się między nimi. Sylwester u Chińczyka, dlaczego nie? Kiedy był młody, wszędzie nosił ze sobą pudełka z restauracji. Ming jako pierwszy serwował

jedzenie na wynos. Chyba Ming. A może Mur Chiński? Mur był pierwszą chińską restauracją w kraju. Ming też pojawił się dość wcześniej. Ale furgonetka z lodami już nie będzie się tu zatrzymywać. Kiedy to się skończy, zabiorę rodzinę na niedzielny obiad do Minga, pomyślał Winter. Dzieci lubią chińszczyznę. Może to przez ten słodki smak wszystkich potraw. Słodko-kwaśny.

– Kiedy wchodziliśmy po tych schodach na górę, przez chwilę sądziłem, że uda nam się uratować komuś życie – powiedział Ringmar.

– Dobrze, że wciąż jesteś optymistą.

– Chyba wszyscy nimi jesteśmy?

– Oczywiście.

– Ocaliliśmy komuś życie? – zapytał Ringmar.

– Niby jak?

– Znajdując to cholerne mieszkanie. – Ringmar spojrzał w górę.

Przystanęli na chwilę na ulicy. Na Teatergatan. Adekwatna nazwa: przecież tam, na górze, w pokoju, znajdowała się scena. Winter też podniósł wzrok. Widzieli zasłony w oknie. Wyglądały groźnie. Zwłaszcza teraz, gdy już wiedzieli. Gdy wiedzieli zdecydowanie mniej niż wcześniej.

– Czego on chce?! – zapytał Ringmar.

Winter nie odpowiedział. Patrzył na drugą stronę skrzyżowania, na samochód Ringmara. Stojący za nim dom migotał w szaroniebieskim świetle neonu. Żółte okna wyglądały, jakby były przystrojone, a może to on był jeszcze w świątecznym nastroju.

Kiedy zacisnął powieki, zobaczył film. Trzeci film. Zresztą nie musiał nawet zamykać oczu. Czego on chce? Po co nam go pokazał? Po co go w ogóle nakręcił? Po co go wysłał? Do mnie? Chciał nam przekazać więcej niż jedną wiadomość. Po co dostałem te filmy? Czy tylko ja jestem w stanie je zrozumieć? Czy to dlatego? Czy tylko ja umiem zrozumieć dyskretny urok burżuazji? Czy tylko ja umiem rozszyfrować te kody? Co to za kody? Czy popełniłem jakiś błąd? Nie okazałem się wystarczająco dobry? Jestem głodny. Z restauracji ładnie

pachnie. Bertil też to czuje. Chyba posmutniał. Czy jego syn nie miał wrócić na święta do domu? Co się stało? Znow się pokłócili? Co on tu jeszcze ze mną robi? Jedź do domu, Bertil. Pogadajcie jak ludzie, napijcie się whisky.

– W tym łóżku leżały dwie osoby – powiedział.

– Tak.

– Ruszały się i oddychały. Żyły.

– Myślisz, że to jakaś sztuczka?

– Nie, nie.

– Złudzenie optyczne.

– Nie.

– To gdzie są teraz?

– W sąsiednim mieszkaniu. Właśnie ucieliśmy sobie z nimi pogawędkę.

– No to świetnie.

– To jednak tylko aktorzy. Dobrzy aktorzy.

– Dlaczego tak mówisz?

– To wszystko jest przedstawieniem. Sceną. Właśnie widzieliśmy kolejną odegraną scenę.

Ringmar znow się odwrócił i spojrział w stronę domu. W mieszkaniu położonym najdalej na lewo dojrzał w oknie sylwetkę. Schowała się.

– Obserwuje nas.

– Też bym tak zrobił.

– Nie najlepsza z niej aktorka.

– No.

Ringmar popatrzył na Wintera.

– Ale dlaczego? Po co to wszystko?

– Tych dwoje wciąż żyło – powiedział Winter. – To była para.

– On ich uśpił, a potem nagrał.

– I co było dalej?

– Przeprowadzka.

– No tak.

– W nocy z wtorku na środę. To się stało tamtej nocy. Coś się stało.

– Ale tam nie znajdziemy żadnych śladów – odparł Winter.

– Teraz ty jesteś pesymistą.

- On działa zbyt precyzyjnie.
- Nie, jeśli to obsesja.
- Więc jest obsesyjnie inteligentny.
- Tak jak my.
- Teraz musimy to udowodnić.
- Precyzyjny... – Ringmar powtórzył za Winterem.
- Nie ma śladów krwi – stwierdził Winter. – On nie lubi krwi.

– Dlatego to wszystko wydaje się jeszcze straszniejsze – odparł Ringmar.

- Też tak myślę. Krew jest bezpieczniejsza.
- I bardziej banalna – zauważył Ringmar.
- Jedziemy? – zapytał Winter i ruchem głowy wskazał na volvo Ringmara. Wyglądało dość ponuro. Może za sprawą melancholijnej wieczornej poświaty.

– Pewnie.

– Chcesz polować dalej?

Ringmar nie odpowiedział.

– O co chodzi, Bertil?

– O nic.

– Masz ochotę na kawałek turbota?

– Nie chcę się wpraszać.

– U ciebie w domu pusto?

– Niestety.

– Mam pytać dalej?

– Raczej nie.

Winter spojrzął na zegarek.

– To jedziemy.

– Nie dowiemy się, kto jest właścicielem mieszkania?

– Zadzwoniłem przecież do zarządu.

– Ale nie dostałem odpowiedzi.

– Zadzwoniłem do dyżurnych, na komendę.

– Właściciel może się okazać naszym zabójcą.

– Na pewno nie.

– Skąd ta pewność?

– To dzięki niej jestem dziś, kim jestem.

– Jasne.

– Dobra, jedźmy już.

Ringmar jechał Kristinelundsgatan. Minął Chalmersgatan i skręcił w lewo, w Götabergsgatan. Winter dostrzegł na tle nieba zarys kościoła Vasakyrkan. Bóg był w pobliżu, kiedy go potrzebował. A przynajmniej zarys Boga. Szukał go tam w środku kilka razy. Kiedyś myślał, że jeśli istnieje jakiś bóg, to powinien w niego wierzyć. Teraz tego żałował. Bo Bóg istnieje, jeśli człowiek chce przyjąć go takim, jaki jest. Może też był ubogi i grzeszny. Może samotny. Nagle poczuł, że powinien poprosić Ringmara, żeby się zatrzymał na Götabergsgatan. Wszedłby na górę, do mieszkania, które wciąż było zabezpieczone. Zostałby tam. Nasłuchiwałby tego, co powinno tam rozbrzmiewać. Ale wiedział też, że gdyby to zrobił, prawdopodobnie spędziłby tam całą noc. Tam i w mieszkaniu przy Chalmersgatan. A później pewnie wróciłby na Teatergatan. Trzy sąsiednie ulice. Trzy równoległe linie proste...

– Bertil, zatrzymaj się.

– Ale po co?

– Zatrzymaj się. Tutaj. Muszę sprawdzić jedną rzecz.

– O co chodzi?

Ringmar zaparkował pod Basement. Restauracja była zamknięta. Panowała w niej miła atmosfera. Winter był tam kilka razy. Zamierzał przyjść znowu, może w nowym roku. Spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej. Nowy rok zacznie się za niecałe sześć godzin.

Wysiadł.

Zaczął padać śnieg.

Zadarł głowę. Niebo wydawało się tak samo stalowobłękitne jak wcześniej. W górze mieniły się gwiazdy. Padał śnieg. Poczul się jak w bajce. Płatki były tak duże, że mógł je łapać w rękawiczkę.

– A niech to – wykrztusił Ringmar. – Jak na filmie.

Winter ruszył w stronę skrzyżowania z Kristinelundsgatan.

Stał po drugiej stronie. Ringmar poszedł za nim. Winter popatrzył w górę, na okna na drugim piętrze. Trzy były czarne. W pozostałych paliło się światło. Winter ruszył dalej

Kristinelundsgatan i zatrzymał się naprzeciwko szkoły rękodziela. Zobaczył ciemne okna w budynku przy Chalmersgatan. Trzy. Wiedział, że podobnie będzie przy Teatergatan. Wszystkie mieszkania znajdowały się w identycznych ogromnych budynkach. W jednym kwartale. Te same proste linie. Na pewno właśnie o to chodziło. O poprowadzenie linii przez całą dzielnicę, długiej linii. Zarysował tę linię w powietrzu. Przebiegała przez sam środek. Przez wszystkie trzy sypialnie, od Götabergsgatan do Teatergatan.

– Co robisz, Eriku?

– Mierzę.

– Ale co?

– Prawdopodobieństwo.

Winter wyjaśniał. Ringmar śledził wzrokiem jego rękę.

– Jest tych linii więcej? – zapytał Ringmar.

– Może właśnie teraz je planuje – odparł Winter.

– To by znaczyło, że trzeba ewakuować całe Vasastan.

– To megalomania.

– Co?

– On cierpi na megalomanię.

Ringmar nie odpowiedział. Śnieg padał coraz mocniej. Niebo wciąż było niebieskie, niebieskoczarne. Wciąż widać było gwiazdy.

– No chyba że to nie było zamierzone – powiedział Ringmar.

Winter milczał. Czuł śnieg na nosie i w oczach. Otworzył usta. Śnieg nie miał smaku, ani słodkiego, ani kwaśnego.

– To po prostu czyste zło – stwierdził Ringmar.

– Coś takiego jak czyste zło nie istnieje.

– W takim razie nieczyste.

Winter poczuł śnieg we włosach. Czysty śnieg, nietknięty przez człowieka. Miał nadzieję, że Elsa i Lilly siedzą teraz przy oknie. A może nawet wyszły do ogrodu. Może nie będą jeszcze spały, kiedy wróci. Ulepiłoby bałwana. To ważniejsze niż cała reszta.

– Teraz możemy trochę poświętować – powiedział.

CZYŻBY SŁYSZAŁA JAKIEŚ GŁOSY? Co to było? Może ptaki? Nie, to nie ptaki. Teraz nie było żadnych ptaków, a przynajmniej nie takich, które by śpiewały. Dokuczało jej potworne zimno. Znowu dobiegł do niej jakiś dźwięk. To musiało być coś przy oknie. Widziała to okno. Roleta nie była opuszczona do końca. Jego nie było w mieszkaniu. I znowu ten dźwięk. Ktoś pukał w okno. Dostrzegła za nim jakiś ruch. Jakby nieduży cień i znowu puk-puk-puk-puk-puk-puk. To był ptak. Mały ptaszek. Gdybym tylko mogła być ptakiem, choćby na chwilę. Na tę jedną chwilę. Za oknem musiało być jasno. Do środka wdzierało się światło dnia. Ale jaki to dzień? Upłynęła kolejna doba. Słysząc kościelne dzwony. Pewnie jest... Czy to dzisiaj? Już jest Nowy Rok? Musi być, jest dzień świąteczny, dlatego biją dzwony. Co to za kościół? Pewnie Vasakyrkan. Przecież w sylwestra nigdy nie dzwonią. Minał kolejny dzień. Mamy już nowy rok. Dziś wieczorem powinnam być w pracy. To znaczy po południu. Do rozpoczęcia dyżuru nie zostało zbyt wiele godzin. A może już się zaczął. Johnny pewnie jeszcze się nie zorientował, że mnie nie ma, ale wkrótce dotrze to nawet do niego. Powiadomi innych. A później pójdzie już szybko. Tak, pójdzie błyskawicznie. Bolał mnie ręce i nogi. Za długo spały. Całe ciało zapadło w sen. Tylko głowa ciągle pracowała. Ona też powinna się zdrzemnąć. Chcę znowu zasnąć i obudzić się dopiero, gdy po mnie przyjdą. Może wejdą przez okno. Ptaszek już odleciał. Co to za światło dochodzi z zewnątrz? Co jest za oknem? Jest białe. To śnieg. W końcu nadeszła zima. Przyszła w nowym roku. W tym roku będzie białe. Chce mi się pić. Przyniesie mi wody? Gdzie on w ogóle jest? Zostawił mnie tu? Nie mógł tego zrobić. Nie można tak po prostu kogoś zostawić. Nie mogę się ruszać. Nie mogę wstać i pójść się napić. Nie ma tu nic do picia. On musi mi pomóc. Żeby tylko przyszedł. Chcę, żeby przyszedł.

Winter obudził się w środku snu. Nie pamiętał, gdzie i z kim

był. Nie przypominał sobie żadnych kolorów. Wszędzie było białe, pamiętał tylko tę biel.

Leżał w łóżku sam. Słyszał głosy spoza sypialni. Czuł aromat kawy. Lilly roześmiała się, zaraz po niej Elsa. Słyszał głos Angeli. Powoli się podniósł. Nie bolała go głowa. Nie miał na to czasu. Czy Bertil wrócił do domu o przyzwoitej porze? Najwidoczniej. W każdym razie nie obudził się z nim w łóżku. Bertil płakał wieczorem, późnym wieczorem. Nie tylko przez whisky. Wyszli na śnieg grubo po północy. Przestało już padać, ale napadało wystarczająco dużo, żeby ulepić bałwana. Wszyscy wyszli go lepić, kiedy tylko on i Bertil przyjechali do domu. Mała szklaneczka whisky na wejściu, a później bałwan. Wyszedł całkiem duży. Z czerwonym nosem. I w starym czarnym kapeluszu po dziadku. Kiedy wrócili do domu, Winter poczuł, jak zmarł. Przyrzędził rybę. Wyszła wyśmienicie.

Nieoczekiwanie w przedpokoju zadzwonił telefon. Odebrała Angela. Nie rozróżniał słów. Lilly znów zaśmiała się w kuchni. Pewnie pójdzie dzisiaj na sanki. Drugi raz w życiu.

Angela weszła do sypialni z telefonem w dłoni. Dał jej znak, że nie chce z nikim rozmawiać.

– To Bertil – powiedziała.

– Jak się czuje?

– Mówi, że dobrze, zważywszy na okoliczności.

– Gdyby się wygadał wczoraj wieczorem, nie musiałby teraz dzwonić – powiedział cicho Winter.

– Chodzi o coś innego, Eriku.

– Mam dziś wolne. On zresztą też.

Angela nie odpowiedziała. Podala mu słuchawkę.

– Cześć, Bertil.

– Dobry. Nie będę nic mówił o wczorajszym wieczorze. Poza jednym słowem: dziękuję.

– Pewnie ci się wydaje, że krzyczę, ale mówię naprawdę cicho.

– Słuchaj, Eriku, dzwonił Möllerström. Miał dyżur dziś rano.

– Tak?

– Administratorem mieszkania przy Teatergatan jest agencja nieruchomości Morenius. Administratorem, pośrednikiem czy

jak to się tam nazywa. W każdym razie zajmowali się sprzedażą.

– Komu?

– I to jest właśnie ciekawe. Najwyraźniej nie zostało sprzedane.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie. Nikt nie rozumie.

– Inni też?

– To musi być jakiś przekręt. Nie wiem, jak inaczej to nazwać. Ktoś z agencji sprawdził to mieszkanie. I nie ma jeszcze nowego właściciela. Wiele osób było zainteresowanych kupnem, ale ktoś wycofał ofertę, a potem ją zamroził. Zablokował. To trochę pogmatwane. Sam zadzwoniłem do koleś, z którym rozmawiał Möllerström. Wydawał się zupełnie zdezorientowany. Może był na kacu. Ale jest coś jeszcze. Mieszkanie zostanie wystawione na sprzedaż zaraz po Nowym Roku. Rozumiesz, pojawi się nowa oferta.

– Jak długo stało puste?

– Kilka miesięcy.

– Kilka miesięcy?!

– Właściciele trochę to zdenerwowało, tak powiedział ten koleś z Morenusa. Właśnie kupili dom.

– Gdzie?

– Tego jeszcze nie wiem. Dow....

– Ja się nazywają? – przerwał mu Winter.

– Ee... mam to gdzieś tutaj... Bolander. Jessica i Ulf.

– Nic mi to nie mówi.

– Chyba właśnie się wprowadzili do tego domu.

– Mają jeszcze klucze do mieszkania?

– Tego nie wiem... tak przypuszczam, ale nie wiem.

– Kto jeszcze ma klucze?

– Ludzie z agencji nieruchomości. I mam dla ciebie coś jeszcze.

– Tak?

– Jesteś gotowy?

– Tak. O co chodzi, do cholery!?

– Pośrednikiem przy tej sprzedaży był Anders Dahlquist.

– Powtórz.

– Anders Dahlquist pośredniczył w sprzedaży mieszkania, którego nie udało się sprzedać. Dahlquist, nasza ofiara.

– Wiem, o kogo chodzi.

– Tylko przypadek czy coś więcej?

– Dobre pytanie.

– On pewnie miał klucze. Mógł też przychodzić i wychodzić, kiedy chciał.

Winter usłyszał, jak dzieci rozmawiają i śmieją się za drzwiami. Wciąż wyczuwał aromat świeżo zaparzonej kawy. Nagle poczuł, że musi się napić.

– Poczekaj chwilę, Bertil.

Położył słuchawkę na łóżku i wstał. Włożył szlafrok, który leżał na oparciu krzesła, i poszedł do kuchni.

– Tata, tata! – krzyknęła Lilly.

– Idziemy już na górkę? – zapytała Elsa. Patrzyła na niego niepewnie, wręcz sceptycznie. – Na dworze jest pełno śniegu.

– Sanki! – krzyknęła Lilly. – Chodźmy na sanki!

– Oczywiście, że pójdziemy – odparł. – Skończę tylko rozmawiać z Bertilem przez telefon.

– Śmieszny był wczoraj – powiedział Elsa.

– On jest bardzo śmieszny, maleńka. – Winter spojrzał na Angelę. – Pilnie potrzebuję filiżanki kawy.

Angela wskazała na ekspres. Wystarczy sobie nalać.

Wrócił do sypialni z dużym kubkiem kawy. Podniósł słuchawkę.

– Więc Dahlquist, mówisz?

– Tak.

– Tylko mi nie mów, że ma z tym coś wspólnego.

– W takim razie nie mówię.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że to on stał po drugiej stronie kamery.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– I że był zamieszany w zabójstwo Glorii i Madelaine.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy – odparł Ringmar.

– Gdzie są te klucze?

– Też się nad tym zastanawiałem. Pytałem o nie. I nie

dostałem odpowiedzi.

– Co masz na myśli?

– Klucze przypadły. Te zapasowe, należące do pośrednika. A w każdym razie nie mogą ich znaleźć w biurze. Na pewno nie dzisiaj.

– Co miał na ten temat do powiedzenia ten facet?

– Że to prawdziwa zagadka.

– Dlaczego?

– Dlaczego to zagadka? Gdybym umiał to wyjaśnić, nie byłaby zagadką.

– Naprawdę muszę się wyrażać jaśniej?

– Okej. Najwidoczniej śmierć Dahlquista poruszyła wielu pracowników biura, zrobił się bałagan. Klucze pewnie się zawieruszyły gdzieś między stanowiskami. W ogóle sprawa sprzedaży tego mieszkania gdzieś im się zawieruszyła.

– Właściciele mieszkania na nich nie naciskali?

– Pewnie nie cały czas. Zapytamy ich o to.

– Tak, musimy to sprawdzić.

– Pojadę tam, jak tylko zdobędę adres. Czyli pewnie za kwadrans.

Winter darował sobie przypomnienie Ringmarowi, że ma wolne. Chce jechać, niech jedzie. Czuje, że jest w stanie prowadzić samochód, niech prowadzi.

– Wiedzą, że klucze zginęły? Bolanderowie?

– Nikt przecież nie wiedział, aż do teraz – odparł Ringmar. – Nikt tego nie sprawdzał.

– To co nieco wyjaśnia – powiedział Winter.

– Ale co?

– Ktoś swobodnie korzystał z tego mieszkania. Z pustego mieszkania.

– Nie całkiem.

– Jeśli to nie Dahlquist, to mógł to być ktoś, kto go znał.

– Tak.

– Mogło tak być.

– Musimy jeszcze raz przejrzeć akta.

– Zupełnie wykluczyłem Dahlquista z tej sprawy – powiedział Winter.

- Czasem nic nie jest takie, jakie się człowiekowi wydaje.
- Pojadę do jego mieszkania po południu.
- Dobra, dzwoniemy się – odparł Ringmar i odłożył słuchawkę.

Nasłuchiwała śpiewu ptaka, ale nie przyleciał z powrotem. Dzwony przestały bić. Na dworze wciąż było jasno, równie jasno jak wcześniej. Słońce nadal świeciło na niebie. Promienie wdzierały się przez szczelinę pod roletą. Nie było zasłon. Zastanawiała się, w jaki sposób słońce wpada do środka. Próbowwała oszacować, na którym piętrze znajduje się mieszkanie. Jeśli to nie dom. Może trzyma ją w willi? Mogła być wszędzie, ale wiedziała jedno: to było piekło. Tak wyglądało. Tak jej się wydawało. Była gdzieś, gdzie dokuczały jej ból, pragnienie i okropne zimno. A teraz ochłodziło się jeszcze bardziej. W pokoju nie było ani odrobiny ciepła. Może dlatego, że nie było żadnych mebli. Nie było zasłon. Gdyby wisiały zasłony, tyle ciepła nie uciekałoby przez te stare framugi. Okno naprawdę wyglądało na wiekowe. Dlaczego mnie jeszcze nie zabił? Jestem mu do czegoś potrzebna. Później ze mną skończy. Widocznie jeszcze nie nadeszła ta chwila, jeszcze nie okazałam się przydatna. Powinnam już zacząć dyżur. Na pewno byłabym już w pracy. Johnny pewnie szybko zgłosi, że mnie nie ma. Później pojedą sprawdzić do domu. I wtedy zdadzą sobie sprawę, co się stało. Oho, chyba ktoś stoi pod drzwiami. Proszę wejść, zapraszam.

W CAŁYM GÖTEBORGU PACHNIAŁO ŚNIEGIEM. Miasto było okryte białą pierzyną, wyglądało zupełnie inaczej. Przepęłniały je dziecięce krzyki unoszące się nad całym Vasaparken. Gdy nie było śniegu, nie widywało się tam dzieci.

Winter siedział na sankach, trzymał przed sobą Lilly. Górka była bardziej stroma, niż się wydawało. Lilly zanosila się śmiechem, gdy zjeżdżali. Na dole stały Angela, Elsa i matka.

– Teraz moja kolej! – krzyknęła Elsa.

– Nie zmieścicie się obie – odparł.

– Właśnie że tak!

W oddali widział fasadę budynku przy Götabergsgatan. Odcinała się na tle białych drzew. Byli z Elsą mniej więcej na wysokości trzeciego piętra. Widział to okno. Czy był tam wczoraj? Wydaje się, jakby w zeszłym roku albo jeszcze wcześniej.

Zjechali. Zmieścili się wszyscy. Jechali jeszcze szybciej, bo przecież razem wazyli więcej.

– Teraz moja kolej! – powiedziała Angela.

– Chcę zjeżdżać! – krzyknęła Lilly.

– Wezmę swoje sanki – odparła Elsa.

Wstał. Rwało go w plecach. Wokół było mnóstwo rodziców z dziećmi. W tym towarzystwie czuł się młodo. Do diabła z plecami. On też jest młodym ojcem.

Angela wchodziła już z dziećmi na górkę.

– Nie chcesz też spróbować? – zapytał Winter matkę.

– Połamałabym sobie wszystkie kości.

Zapaliła papierosa.

– Jesteś niemożliwa – powiedział.

– O co ci chodzi?

– Pooddychałabyś świeżym powietrzem.

– Jak sam przestaniesz popalać, to będziesz mógł mnie pouczać.

– Prawie przestałem.

Wypuściła dym. Wyglądał jak para z ust na mrozie. Zakasłała. Nie brzmiało to dobrze. Ale nic nie powiedział. Kiwnęła głową w stronę górki.

- Śnieg może się utrzyma dłużej.
- Pewnie tak, jeśli nadal będzie mróz.
- Wiadomo, że się roztopi, jak zrobi się cieplej.
- Słuszne rozumowanie.
- Jak sądzisz, po kim odziedziczyłeś zdolności?
- Po tobie, naturalnie.
- Ja też mogłam zostać kimś.
- Przecież jesteś kimś, Siv.
- To dlaczego dzisiaj zwracasz się do mnie Siv?
- Bo tak masz na imię.
- Jestem twoją matką.
- Ale Siv bardziej do ciebie pasuje.
- Czyżby to był zarzut?
- Oczywiście, że nie.
- Piekłam ci za mało ciasteczek?
- Co?
- Kiedy byliście mali. Ty i Lotta. Powinnam była robić więcej wypieków?
- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek coś piekła.
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Nie.
- Słucham?
- Nie piekłaś nam za mało ciastek.
- Nie powinniśmy byli nigdy wyjeżdżać – powiedziała. Zaciągnęła się papierosem, a potem wypuściła dym.
- Gdzie?
- Wiesz, co mam na myśli.
- Nie – odpowiedział po kilku sekundach. – Może nie powinniście byli tego robić.
- Twój ojciec... sama nie wiem. Nie chcę o tym rozmawiać.
- W porządku.
- Nie... nie wiem, czy kiedykolwiek chciałabym tam wrócić.
- Myślę, że pewnego dnia zechcesz – odparł. – To przecież jasne.

- Tak sądzisz?
- Tak.
- Ale nie na stałe.
- Nic nigdy nie jest na stałe – odpowiedział.
- Tak, to prawda. – Znow zakasłała. Zapaliła kolejnego papierosa. Elsa pomachała im z góry. Pomachali do niej. – Nic nie trwa wiecznie.
- Możemy pojechać wszyscy, na wiosnę – zaproponował.
- Tak. Ale wtedy musiałabym poszukać sobie czegoś tutaj. Nie mogę cały czas mieszkać u Lotty.
- Możesz. Możesz też zamieszkać z nami.
- Nie, Eriku. Nie jestem zwolenniczką łączenia kilku pokoleń pod jednym dachem.
- Nie mógł się powstrzymać od śmiechu.
- Co cię tak śmieszy?
- Zgadza się, nie jesteś taka. Pomyślałem o ciasteczkach. O gotowaniu obiadów. O liście obowiązków domowych.
- Ty chyba mówisz o komunie. To coś innego.
- Ale do komuny też byś się nie nadawała – stwierdził.
- To wada czy zaleta?
- Zaleta, jak sądzę.
- A ty? Odnalazłbyś się w takiej zbiorowości?
- Nie.
- Widzieli, jak Angela i Lilly zaczynają zjeżdżać z górki. Elsa ruszyła za nimi. Krzyczała coś, ale nie słyszeli jej.
- Zbudujecie kiedyś ten dom nad morzem? – zapytała matka.
- Może.
- Myślisz czasem o tym topielcu, którego wyrzuciło morze?
- Jasne. To moja praca.
- Nie o to mi chodziło.
- Tak czy inaczej. Ta historia nic nie zmienia.
- Nie?
- A jeśli zmienia, to na lepsze. Może dzięki temu szybciej zacznę budować.
- Może powinienes.
- Dlaczego o to pytasz?

– Może to już pora na nowy etap w życiu. Możliwe, że dla mnie też. Przeprowadzka to duża zmiana. Jedna z największych w życiu.

– Hm...

– O czym myślisz?

– O niczym.

– Tobie się nie zdarza myśleć o niczym.

– Myślałem o pracy. O wczorajszym dniu.

– A co się stało?

– Chyba ustaliliśmy przed świętami, że nie będziemy rozmawiać o mojej pracy?

– Święta niedługo się kończą – odpowiedziała. – A z tego co zrozumiałam, wybierasz się gdzieś po południu.

– Ale nie chcę o tym mówić.

Dwoje sanek zatrzymało się przed nimi. Twarz Lilly przypominała czerwone jabłko. Elsa zaśmiewała się do rozpuku. Nagle zamarzyło mu się, żeby mógł tak stać do końca życia. Żeby ta chwila trwała wiecznie.

– Jeszcze raz! – krzyknęła Angela.

– Widziałeś, tato?

– Widziałem, maleńka.

– Byłam szybsza.

– Tym razem to my wygramy – powiedziała Angela.

Zawróciły. Angela ciągnęła Lilly na sankach. Słońce migotało na śniegu. Przez ciemne okulary Wintera wydawał się prawie żółty, złocisty.

– Myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy.

– O czym?

– O Hiszpanii. O Nueva Andalucía.

– Tak?

– O tym, o czym rozmawialiśmy. O czym mówiłeś. O tym incydencie.

To było przedwczoraj. Całkiem niedawno. Ale miał wrażenie, że ta rozmowa odbyła się dużo wcześniej.

– *O czymś słyszałam. Coś tam się stało. Ale nie pamiętam co.*

– *Holst i Lentner.*

- *Wiem, ale nie mogę sobie przypomnieć. Chodziło o...*
- *Co chciałaś powiedzieć?*
- *Chodziło o coś innego. Twój ojciec o tym wspominał. Gdzieś o tym słyszał.*
- *Słyszał? Ale o czym? Chodziło o Lentnera i Holsta?*
- *Tak... Nie... To znaczy tak, musiało chodzić o nich. Ale nie wiem, Eriku, naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że chyba padło wtedy jeszcze inne nazwisko.*
- *Inne nazwisko? Więc jest jeszcze ktoś?*
- *Chodziło o... o kogoś jeszcze. Może to były tylko plotki. W takich miejscach ich przecież nie brakuje. Sam wiesz. Ludzie siedzą sobie na głowach. Prawie nikt nie pracuje. Ale pamiętam, że chodziło o rodzinę, która się przeprowadziła po jakimś incydencie. Chyba wyciszili tę sprawę. Nie mówili, co się stało. Wiesz, że w wyciszaniu jesteśmy niezli.*
- *Mówiłaś, że chodziło jeszcze o kogoś innego. O kogo?*
- *Nie pamiętam. To chyba twój ojciec coś takiego mówił.*
- *Ale jego tu nie ma!*
- *Przepraszam, mamo. Spróbuj się zastanowić. Spróbuj sobie przypomnieć. Cokolwiek. Więc padło też inne nazwisko?*
- *Tak mi się wydaje.*
- *Pamiętasz jakie?*
- *Nie sądzę.*
- *A kto może pamiętać?*
- *Jak to?*
- *Czy jest ktoś, kto mógłby o tym wiedzieć coś więcej?*
- *Niby kto?*
- *Ktoś stamtąd. Z Nueva albo z jakiejś innej miejscowości na wybrzeżu. Ktoś, kogo mógłbym zapytać.*
- *Niech pomyślę. Chcesz tam pojechać?*
- *Wolałbym nie.*
- *Zadzwoniłam tam i rozmawiałam ze starym przyjacielem.*
- *O nazwiskach?*
- *Tak.*
- *O tym, co się stało?*
- *Tak...*
- *I?*

- Chyba było w to zamieszanych więcej osób.
- Zamieszanych? W co?
- W jakiś wypadek.
- Jaki wypadek?
- Ktoś... komuś zrobiono krzywdę. Tyle był w stanie sobie przypomnieć. Tak to zapamiętał.
- Kto to był?
- Nazywa się Wejne. Kurt Wejne.
- Mam na myśli tego skrzywdzonego. Kto to był?
- Nie pamięta. Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. Ale to był młody człowiek.
- Dziecko?

Nie odpowiedziała. Znow spjrzała na górkę. Angela, Lilly i Elsa zniknęły im nagle z oczu. Może zjechały na drugą stronę. Nie widział ich na górce. Wszędzie było pełno dzieci. Przy innej pogodzie to nie było miejsce dla nich. Może dla młodych, ale nie dla dzieci.

- Chodziło o dziecko? – powtórzył.
- Młody człowiek, tak się wyraził Kurt.
- Co się stało?
- To się stało na basenie. Tylko tyle był w stanie sobie przypomnieć. Poza tym nic nie pamięta. Ale to mógł być nieszczęśliwy zbieg okoliczności.
- Nieszczęśliwy zbieg okoliczności?
- No tak, omal do czegoś nie doszło. A może doszło. A cała reszta to plotki.
- Jakie plotki?
- Po prostu plotki. Wszystko się wyolbrzymia.
- Basen – powiedział Winter. – Basen Holsta.
- Nie pamiętał, gdzie to było dokładnie.
- Czy to nie dziwne?
- Nie wiem. Sama nie pamiętałam.
- A teraz coś sobie przypominasz?
- Nie. Na pewno nie, gdzie to było.
- Dlaczego pamiętałaś, że w tej historii chodziło o kogoś jeszcze? Że było jakieś trzecie nazwisko?
- Nie wiem. Ale był ktoś jeszcze.

- Co masz na myśli?
- Poza Holstem i... tym drugim nazwiskiem. Jak brzmiało to drugie nazwisko?
- Lentner. Lentnerowie. Chłopiec nazywał się Erik Lentner. Odwiedzał Holsta. Znał jego córkę.
- Przytaknęła.
- Skrzywdzono dziewczynkę albo chłopca ze Szwecji?
- Nie wiem. Kurt też nie wie.
- To pewnie jest gdzieś udokumentowane – stwierdził Winter.

Zadzwoił z samochodu. W domu Lentnerów na Långedrag nikt nie odebrał. U Holstów w Askim też nie. Ale miał na głowie inne sprawy. Myślami wciąż był w mieszkaniu przy Teatergatan. I te myśli przywiodły go teraz tutaj. Zaparkował pod wysokim budynkiem przy Syster Ainas gata. W okolicy stało wiele wysokich domów, wszystkie pomalowane na szaroniebiesko. Na tle świeżego śniegu kolory wydawały się wytarte i niewyraźne. Na budynku widniały wysokie na metr cyfry: numer bloku.

Minął przysypaną śniegiem rzeźbę. Przedstawiała żabę i konika polnego. Żaba sprawiała wrażenie wyniosłej.

Na klatce czuć było suchym powietrzem. Przerwał taśmę przy drzwiach mieszkania.

Powietrze w przedpokoju też było suche. W mieszkaniu było ciepło, słońce wpadało przez duże okna. Z salonu rozciągał się widok na całe miasto. W dole widział ulice wokół placu Doktora Friesa. Nazwiska Wigardt, Allard, Liborius, Lionds i Bondeson, które nosili słynni lekarze, służyły za nazwy ulic. Ale była tam też Syster Ainas gata, ulica siostry Ainy. Świetnie, że imię pielęgniarki też wykorzystano. Siostra Aina musiała dokonać czegoś wielkiego.

Zadzwoiła komórka.

- Tak?
- Cześć. Gdzie jesteś?
- W mieszkaniu Dahlquista. Właśnie wszedłem.
- Właśnie wracam od Bolanderów – oznajmił Ringmar.
- Gdzie mają dom?

- W Kullavik.
- Aha.
- Chyba masz tam działkę.
- Niezupełnie tam.
- W każdym razie byli tym wszystkim zaniepokojeni.
- Ach tak?
- Tak, niesamowite, co? Powiedzieli, że ostatni raz byli w mieszkaniu półtora miesiąca temu.
- Wierzysz im?
- Tak.
- W takim razie ja też.
- Mówili, że nie wynajmowali go nikomu.
- Rozumiem.
- I nie zostawiali żadnych zasłon w oknie.
- Tak też myślałem.
- Uważają, że Dahlquist był trochę specyficzny.
- Tak?
- Zachowywał się dość dziwnie.
- A to przypadkiem nie jest kwestia sugestii? Po całej tej historii?
- Nie sądzę.
- No to w jakim sensie dziwnie?
- Nie podali żadnych konkretów. Pogadamy o tym, jak się zobaczymy.
- Okej. Możemy się spotkać... za godzinę.
- Gdzie?
- Winter nie odpowiedział. Prawym okiem wychwytał jakiś słoneczny refleks. Zdjął okulary.
- Gdzie, Eriku?
- Poczekaj chwilę, Bertil.
- Dobra, zadzwonię za chwilę.
- Znów mignęło. W oddali, przy oknie, stało małe biurko. A na nim kilka rzeczy. Kolejny błysk. Wyglądało to jak srebro. Jakiś niewielki przedmiot. Mały puchar.

SŁYSZAŁA JEGO ODDECH. Był zdyszany, jakby biegał. Może biegał po mieszkaniu. I sprzątał. To jego obsesyjne sprzątanie. Zamiatanie. To prawdziwa obsesja. Obsesyjne zabijanie. Dlaczego odczuwał taką potrzebę? Co go do tego zmusiło? Dobre pytanie. W Wigilię był mocno opalony. Chodzi do solarium? Nie, opalenizna nie była pomarańczowa. Musiał gdzieś wyjechać. Na pewno nie do Niemiec, a w każdym razie nie do wschodniej części kraju. Nad byłym NRD słońce świeciło rzadko. A kiedy mama i tata byli mali, nie świeciło nigdy. W pokoju nie było ciemno. Jeszcze nie. Powoli zaczynał zapadać zmierzch. Słońce opuszczało też pokój. I dobrze, wynoś się! Niech to się szybko skończy! Oni już wiedzą. Wszczęli poszukiwania. Właśnie przeszukują moje mieszkanie na Sandarna. Posprzątałam? Zdążyłam zamieść podłogę? Włożyłam chyba bieliznę do kosza? Czasami leży na wierzchu. Nie jestem zbyt porządna. Może mógłby mnie trochę podszkolić. Poproszę go. Najgorzej by było, jakby majtki leżały na wierzchu. Co oni sobie o mnie pomyślą. Mam nadzieję, że przedwczoraj pozmywałam naczynia. Za plecami wciąż słyszę jego oddech. Co znaczy, że nie umarł. Ha, ha. Wciąż czeka. Tak, to właśnie robi. Czeka. Ktoś ma przyjść. I to na niego czeka. Ktoś będzie cierpiał.

Próbowała się odezwać. Nie udało się. Spróbowała jeszcze raz. Wydała jakiś odgłos, ale to nie były słowa.

Poruszył się tuż za nią. Poszedł? Nie, nie! Nie wolno mu teraz odejść!

– Nie odchodź!

Kroki ucichły. Nie mogła się odwrócić. Nie chciała tego robić.

– Nie śpisz.

– Dla... dlaczego miałabym spać?

Nie odpowiedział.

– Co mi podałeś?

Wciąż milczał. Musiała usłyszeć odpowiedź. To była jej

ostatnia szansa.

– Jak długo jeszcze będę tu leżeć?

Cisza.

– Dlaczego...

– Nigdy nie powinnaś była tu przychodzić – przerwał jej. – Nie powinnaś być taka ciekawa.

– Zgadza się.

– Byłaś zbyt ciekawska.

– Tak.

– To był błąd.

– Wiem, że to błąd. To się już nigdy nie powtórzy.

– Teraz jest już za późno.

– Na co?

Nie odpowiedział.

– Za późno na CO?

– Nigdy nie powinnaś była tu przychodzić.

– Nie chcę tu być! Chcę stąd wyjść! Nie możesz mnie teraz wypuścić!? Pozwól mi odejść!

Milczał. To była najgorsza odpowiedź. Cisza deprymowała ją najbardziej. Nie chciała mu mówić, że już zaczęli jej szukać. A przynajmniej zauważyli, że jej nie ma. Gdyby mu powiedziała, że zaraz się zjawia, mógłby ją skrzywdzić. Albo porzucić. A oni nigdy by po nią nie przyszli. Nigdy by się nie zorientowali. Ale Winter pewnie by się domyślił. Jeśli ktoś miałby to zrobić, to na pewno on. Chociaż może nikt mu tego nie zgłosił. To nie miało nic wspólnego z tym, czym się zajmował. Kto by połączył te dwie sprawy? Johnny Pośpiech? Akurat. Kto mógłby to zgłosić? Może nikt. Znaleźliby pewnie kogoś na zastępstwo. Po kilku dniach zaczęliby myśleć, że może wyjechałam za granicę albo coś. Nikomu by mnie nie brakowało. Nikt nie zauważył, że cię nie ma, Gerda. To dlatego tu leżysz.

– Wkrótce – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

– Co wkrótce?

– Wkrótce stąd odejdiesz.

– Ale jak? Jak się stąd wydostanę?

Nie odpowiedział. Słowo odejść ma wiele znaczeń. O większości wołała nawet nie myśleć.

– Dlaczego nie chcesz mnie wypuścić teraz?
– Jeszcze nie pora.
– Dlaczego?
– Zobaczysz.
– Co zobaczę? Nie chcę nic wiedzieć.
– Musisz – odparł. Wciąż mówił przytłumionym głosem. Pobrzmiewał w nim smutek. Jakby dochodził z daleka. Jakby się zwracał w stronę przeszłości.

– Do czego jestem ci potrzebna!? Co niby mam zobaczyć?!

– Coś, co już widziałas.
– Widziałam? Ale co?
– Sprawiedliwość.
– Jaką sprawiedliwość? I gdzie ją widziałam?
Zamilkł.
– Jaką sprawiedliwość widziałam?
– Nic nie rozumiesz.
– Chcę zrozumieć. Opowiedz mi, żebym w końcu mogła to pojąć.

Znów zamilkł. Usłyszała, jak otwierają się drzwi. Zawiasy wymagały nasmarowania.

– Nie! Nie!
– Co?
– Nie wychodź.
– Chce ci się pić? Chcesz jeszcze coś do picia albo do jedzenia?

Już coś piła albo jadła? Nie przypominała sobie, ale pewnie musiała.

– Tak. Chce mi się pić. I jeść.
– Przyniosę coś.

Słyszała, jak zamykają się drzwi. Za nimi usłyszała kroki. Po chwili zagłuszyło je echo, głośniejsze niż przedtem. Jakby przechodził przez tunel. W domu było chyba ze sto pokoi. Co to było? Krzyk? Nie dobiegał z zewnątrz. Tam panowała cisza. Zaczynało się ściemniać. Nagle zrobiło jej się zimno. Trzęsła się. Poczula, że całe jej ciało przeszywa dreszcz. Właśnie wydałam na siebie wyrok śmierci. Albo uratowałam sobie życie.

Winter podszedł do biurka Dahlquista. Czy to to samo

biurko? Widział je już? Okaze się. Pora znów obejrzyć film. Spojrzał na puchar, ale go nie dotykał. To mógł być ten sam. Wyglądał identycznie. Rozejrzał się. Czy mieszkanie Dahlquista posłużyło za filmową rekwizytornię? Nie. Zauważyliby, że ktoś wchodzi i wychodzi. Ale nie od razu. Policyjną taśmę można przecież kupić w internecie. Teraz już wszystko można kupić w sieci. Stopień komisarza, tytuł prezydenta, olimpijskie złoto, puchary. Znowu spojrzął na puchar. Założył rękawiczki i podniósł go. Jaki sens ma wręczanie pucharów, jeśli nie wiadomo, za co się je wręcza? To jak tytuł bez nazwiska. Ten puchar tu nie stał, kiedy był tu pierwszy raz. Będzie musiał wezwać techników, żeby ponownie wszystko sprawdzili. Spojrzał na zegarek. O tej porze powinni już być w mieszkaniu przy Teatergatan. Powodzenia. Kolejny raz spojrzął na puchar.

Kawałek poniżej pokrywy wygrawerowano:

I NAGRODA

100 m [zamazany tekst]

Mistrzostwa regionu 1981

W kieszeni zabręczała mu komórka.

– Słucham?

– Klucze się nie znalazły – powiedział Ringmar.

– Jakie klucze?

– Klucze od mieszkania przy Teatergatan. Mieszkania Bolanderów. Nie znaleźli ich w biurze nieruchomości.

– Może są tutaj – odparł Winter. Przez okno widział chylące się ku zachodowi słońce. Czerwieniło się coraz mocniej. Szybko się zniżało.

– W mieszkaniu Dahlquista? Wciąż tam jesteś?

– Tak, jeszcze chwilę.

– Znalazłeś coś?

– Tak. – Spojrzał na puchar. – Ktoś zdobył nagrodę.

Usłyszał w tle jakiś dźwięk, czyjś głos.

– Chwileczkę, Eriku.

Słyszał, jak Ringmar z kimś rozmawia. Nie rozpoznawał tego głosu. Pewnie jest u chłopaków z dyżuru. Słyszał, jak ktoś wymawia jego nazwisko. Zaczął się niecierpliwić. Żadnych kolejnych spraw, żadnego zwracania głowy.

- Eriku?
- Co tam się dzieje?
- Jakiś młody policjant się zgłosił. Jestem na komendzie. Tak akurat wyszło. Jego koleżanka nie stawiała się na dyżur.
- Koleżanka? Która?
- Nazywa się... mam tu jej nazwisko... Gerda Hoffner. Znasz ją?
- Tak... tak.
- Powiedział, że pewnie będziesz wiedział.
- Co?
- Że będziesz ją znał.
- Chryste, Bertil, wyjaśnij, o co chodzi!
- No więc był tu ten chłopak, Johnny coś tam. Przyszedł po południu na dyżur, ale jej nie było. Nie stawiała się. Poza tym zapraszał ją do siebie na sylwestra, ale nie przyszła. Czekał na nią w wydziale interwencji, a później dzwonił do niej do domu, ale nikt nie odbierał. Pojechał, ale nikt nie otworzył. Więc wszedł do mieszkania.
- Co zrobił?
- Włamał się. Pomyślał, że coś jej się stało. Powinna być na dyżurze od dwóch godzin.
- Winter stał w ciemności. Nad pustkowiec na zachodzie nie było już prawie światła. Latarnie w mieście przypominały płonące pochodnie.
- Była na miejscu zbrodni, gdy znaleźli Madeleine – powiedział Ringmar. – On zresztą też. Oboje byli.
- Tak.
- Była też obecna za drugim razem.
- Wiem, Bertil.
- Chłopak mówi, że może nie chciała odpuścić.
- Ale czego odpuścić? Tego, co zobaczyła?
- Śledztwa. Dużo o nim mówiła.
- Nie ma w tym nic dziwnego. W końcu była na miejscu. Widziała, co się tam stało.
- Podobno z tobą rozmawiała.
- Tak. Bystra jest. Rozumiem, dlaczego nie mogła przestać o tym myśleć.

- Nie odbiera telefonu.
- Wygląda na to, że to będzie długi Nowy Rok.
- Co z tym zrobimy?
- Czy coś takiego zdarzało jej się wcześniej?
- Nie mam pojęcia.
- Gdzie jest ten chłopak?
- Na mieście. Znalazł zastępstwo.
- Poproś kogoś, żeby z nim jeszcze porozmawiał.
- Tak zrobię.
- Okej.
- Co teraz zrobisz?
- Daj mi pięć minut, Bertil. Będę wiedział za pięć minut. Może nawet wcześniej.
- Zdzwonimy się – odparł Ringmar. – A przy okazji, wszystkiego dobrego w nowym roku.

WINTER RUSZYŁ Z SYSTER AINAS GATA. Na placu Doktora Friesa panował spokój. W knajpkach widział zaledwie kilkoro niedobitków. Siedzieli pochyleni przy barze. Okna lokali były duże. Neony oświetlały wszystko dookoła. Ten widok napawał melancholią. To mógłby być obraz, jakieś dzieło sztuki.

Jakie sto metrów? Mistrzostwa regionu. Którego regionu? W jakiej dyscyplinie? Ktoś wydrapał to, co znajdowało się po „100 m”. Jeśli rzeczywiście było tam wygrawerowane coś ważnego. To mógł być tylko absurdalny dopisek.

Albo próba zatuszowania czegoś. Czyjegoś nazwiska. Albo skutek rozczarowania. Rozczarowania przeżytego później. Dużo później.

Chodziło o szkolne mistrzostwa? Rok 1981. Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Wciąż grałem w piłkę, ale moja kariera w zasadzie dobiegała już końca.

Nietrudno będzie ustalić, czy Anders Dahlquist coś wygrał w 1981 roku.

Ale Winter był pewien, że to nie Dahlquist. Facet skończył przecież czterdzieści cztery lata, więc w wieku siedemnastu lat byłby trochę za stary na szkolne zawody. Ale to nie był główny powód, żeby go nie podejrzewać o zdobycie trofeum. Puchar wędrował przecież z mieszkania do mieszkania. Wędrujący puchar. Ale nie przemieszczał się sam.

Skręcił w prawo przy placu Wavrinsky'ego, minął politechnikę i ruszył dalej Aschebergsgatan. Zaparkował przy Vasaplatsen. Był w domu.

Gdy wszedł, nikt nie odpowiedział. Na stole leżała kartka: „Jesteśmy na górce!”

Wszedł do salonu i otworzył balkon. Zobaczył postacie chodzące wokół uniwersytetu. Przebłysk zimy: śnieg, ruch, krzyki. Strzępy głosów niosły się w czystym zimowym powietrzu. Wokół górki władze zamontowały reflektory. Sporty

zimowe w zimowe wieczory. Oświetlona górka w centrum. W związku z tym jutro pewnie napłynie fala skarg od obywateli. W przedpokoju zadzwonił telefon. Kto wie, może już się zaczęło. Ktoś dostał mój domowy numer. Odebrał po trzecim sygnale.

– Erik Winter.

– Cześć, Eriku. Tu mama.

– Jesteś z nimi na górce?

– Nie, a one wciąż tam są? Przecież jest już ciemno.

– Górka jest oświetlona.

– Ale przecież wróciłyśmy do domu. Musiały pójść jeszcze raz.

– Najwyraźniej.

– Więc wróciłeś – zauważyła. – Jak poszło?

– Przekonamy się po wszystkim.

– Chyba coś pokręciłam, Eriku.

– W jakim sensie?

– Nie jestem pewna, czy faktycznie ktoś ucierpiał. W każdym razie nie wtedy.

– Masz na myśli basen Holstów?

– Tak.

– Więc jak brzmi ostateczna wersja?

– Nie mów do mnie takim tonem.

– Przepraszam. Dowiedziałem się dzisiaj tylu nowych rzeczy, sama rozumiesz.

– Myślę, że coś się tam stało... u Holstów. Ale nie mogę sobie przypomnieć, co dokładnie. W tym samym czasie gdzieś zdarzył się wypadek. U kogoś w domu. W basenie. Ale to chyba nie było u Holstów.

– W Nueva Andalucía?

– Tak sądzę.

– Dzwoniłaś jeszcze raz do tego faceta... jak mu tam było?

– Kurt Wejne.

– Rozmawiałaś z nim jeszcze?

– Nie.

– Daj mi jego numer.

– Nie musisz do niego dzwonić, jeśli o mnie chodzi.

– Tu nie chodzi o ciebie. Ani o mnie.

- A o kogo?
- O ofiary. Jak zawsze.
- To potworne.
- Zgadzam się.
- Że też jesteś w stanie znieść to wszystko, Eriku. Że też jeszcze to wytrzymujesz.

Nie mógł jej powiedzieć, że dla niego to coś więcej niż znoszenie i wytrzymywanie. Że nie wyobraża sobie siebie w innej pracy. Że nie chce robić nic innego. Że to jest całe jego życie. Że kiedy obcuje ze śmiercią, czuje, że żyje. Że to uczucie nie jest normalne. Że to jak uraz, którego się nie pozbędzie. Ale jemu to pasowało. Chciał więcej.

Ringmar uciął sobie pogawędkę z Johnnym Pośpiechem. Radiowóz stał przed centrum handlowym Nordstan. W środku wciąż trwała gorączka zakupów. Nigdy nie kupowałem na przecenach, pomyślał Ringmar. Może przegapiłem w życiu i inne rzeczy, które sprawiłyby mi radość. No ale teraz już na to za późno.

- Naprawdę się martwię – powiedział Johnny.
- Jak wyglądało jej mieszkanie?
- Normalnie, tak sądzę. Nigdy wcześniej tam nie byłem. Nie było bałaganu ani nic takiego.
- Co masz na myśli?
- Nie wiem... nie wyglądało to tak, jakby tam był ktoś obcy.
- Ktoś obcy? Niby kto?
- Chodzi o to, że nie było śladów żadnej walki. Bo ktoś mógłby się tam włamać, nie?
- I porwać ją?
- Tak. Ale nic na to nie wskazywało.
- Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałeś?
- Przedwczoraj. Zaprosiłem ją do nas na sylwestra. Do mnie i do mojej dziewczyny.
- Przyjęła zaproszenie?
- W każdym razie nie odmówiła.
- Co to znaczy?
- Miała się jeszcze zastanowić.
- Miała inne propozycje?

- Nic nie mówiła.
 - A jak sądzisz?
 - Wydaje mi się, że nie.
 - Dlaczego?
 - Myślę, że nie miała do kogo pójść.
 - Była samotna?
 - Przynajmniej ostatnio. Miała chyba kilkoro znajomych, ale oni podróżowali. Po Azji. A później, sam nie wiem.
 - Co się jej mogło stać?
 - Nie wiem. Ale martwię się. Jestem pewien, że się nie ukrywa.
 - Mogła przecież zachorować – stwierdził Ringmar.
 - Ale gdzie jest? Wtedy chyba dałaby znać?
- Ringmar przytaknął.
- Pokręcę się po mieście i rozejrzę się za nią – oznajmił Johnny. – Zawsze jeździliśmy razem.
 - Kiedy mieliście ostatni wspólny dyżur?
 - W Boże Narodzenie... chyba w Wigilię.
 - Stało się coś szczególnego?
 - Niby co?
 - Nie wiem, do cholery. Coś, co zapadło ci w pamięć. Wiesz, co mam na myśli. Jakiś szczegół. Coś, co odbiegało od normy.
 - Podrzuciliśmy jednego bezdomnego.
- Wciąż siedzieli w samochodzie. Ringmar się wzdrygnął. Johnny to zauważył.
- O co chodzi?
 - Jakiego bezdomnego? – zapytał Ringmar.
 - Wiem, nie powinniśmy byli tego robić, ale ona...
 - Nie, nie – przerwał mu Ringmar. – Mów, co było dalej.
 - Tylko tyle. Podwieźliśmy go do Armii Zbawienia.
 - *Wczoraj przechadzała się wtedy wasza koleżanka po fachu.*
 - *Kto?*
 - *Policjantka. Taka miła dziewczyna. Podwiozła mnie w Wigilię.*
 - *Tak?*
 - *Musiałem się dostać do Armii Zbawienia. Skończyłem już robotę i pojechałem z nimi radiowozem, z nią i z jakimś*

kolesiem. Nie był zbyt rozmowny. Ale ona jest bardzo miła.

– Wszyscy jesteście mili.

– Przechodziła tędy wczoraj. Nie miała na sobie munduru, ale oczywiście ją rozpoznałem. Nigdy nie zapomnę twarzy. Poszła prosto na Kristinelundsgatan. Ale mnie nie widziała. Miałem akurat klienta. A kiedy chciałem do niej pomachać, już jej nie było.

– O kurde – powiedział Ringmar.

– O co chodzi?

– Prawdopodobnie mamy świadka.

– Ale czego?

– Ktoś ją widział.

– Gdzie?

Ale Ringmar zdążył już wsiąść z radiowozu.

Już coś jadła, ale nie pamiętała co. Musiała mieć jedną rękę wolną. Nie przypominała sobie, żeby ktoś ją karmił. Ale niby jak oswobodziłaby nagle jedną rękę? Przecież ręce miała związane z tyłu. Bolały ją nadgarstki. Nie widziała ich. Za oknem słyszała jakiś warkot. Czy to samochód? W ubiegłym roku sama siedziała w samochodzie, to była jej praca. Zdawało jej się, jakby od tego czasu minęły tysiące lat. Jakby to było w zamierzchłej przeszłości. Już nigdy nie wsiądzie do samochodu. Jeśli jej się uda stąd wydostać, już nigdy nie będzie siedziała w zamkniętej przestrzeni. Nigdy nigdzie nie wejdzie. Będzie żyć na dworze. Spać pod gołym niebem. To takie wspaniałe. Patrzeć w niebo. Na słońce, tam, w górze. Teraz już zaszło. Można oglądać gwiazdy. Albo coś innego, wszystko, co jest na zewnątrz. Spać. Jestem zmęczona. Chce mi się spać. Jest tak przyjemnie. Słyszę coś, ale nie obchodzi mnie to. Sygnał, to jakiś sygnał. Wiem, co to jest. Ale nie pamiętam. To bez znaczenia. Tutaj ledwo go słyszeć, więc to bez znaczenia. To dzwonek do drzwi. Prawda? Kling-ling-ling. A może raczej dong-dong-dong.

Winter wykręcił numer Kurta Wejnego. Odebrał po czterech sygnałach. Mówił wyraźnie, jakby się przygotował do tej rozmowy. Są ludzie, którzy mówią tak, jakby latami czekali właśnie na tę rozmowę. Może tak było. Może czekał. Wcześniej

milczał jak cała reszta.

Winter się przedstawił.

– Rozmawiałem z pańską matką – powiedział Kurt Wejne.

– Zgadza się.

– Przyjaźniłem się również z pańskim ojcem.

– Miło to słyszeć.

– Dużo mówił o panu.

Gdy Winter to usłyszał, rozpoznał ten ton. Władczy. Przesłanie dla syna marnotrawnego. Od marnotrawnego ojca.

– Dzwonię w sprawie, o której rozmawiał pan ostatnio z moją matką – oznajmił Winter.

– Tak, tak. Chodzi o tę historię sprzed lat.

– Co to za historia?

– W zasadzie nikt nie wie.

– To znaczy?

– Tak jak mówię. Nikt niczego nie pamięta.

– Ale czego?

– Tego, co się stało, oczywiście.

I znów gadanie od rzeczy. Matka nie wspominała, że cierpi na demencję. A może jest pijany. Mówi wyraźnie, ale zawodowi alkoholicy zawsze mówią tak, jakby wygłaszali przemówienie.

– A jaka jest pańska wersja? – zapytał Winter. – Kto wtedy ucierpiał?

– Nie pamiętam.

– Co się stało?

– Na basenie... niech sobie przypomnę.

– Na którym basenie?

– Nie wiem.

– Należał do Holstów?

– Tego też nie pamiętam, niestety.

– Coś się tam stało – powiedział Winter. – Był w to zamieszany jakiś młody chłopak.

Wejne milczał.

– Od kogo mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej? – zapytał Winter. – Wygląda na to, że nikt nie chce o tym mówić.

– Może nie ma o czym mówić.

– Odnoszę inne wrażenie – odparł Winter. – Wydaje mi się,

że dużo można by o tym powiedzieć.

Wejne nie odpowiedział.

– A jeśli wszyscy dalej będą milczeć, skutki mogą się okazać katastrofalne – ciągnął Winter.

– W jakim sensie? – zapytał Wejne.

– Wiele osób może ucierpieć.

– Żałuję, że nie mogę więcej pomóc.

– Mogę zadzwonić do pana trochę później?

– Oczywiście, choć nie sądzę, żeby to się na coś zdało.

– Mimo wszystko pozwolę sobie zadzwonić – odparł Winter.

– Dziękuję i do usłyszenia.

Odłożył słuchawkę. Telefon zadzwonił od razu.

– Tak?

– Cześć, Eriku. Próbuję złapać twojego kumpla od gazety.

Nie wiesz przypadkiem, gdzie może być?

– O czym ty mówisz, Bertil?

Ringmar wyjaśnił, o co chodzi.

Winter spojrział na zegarek.

– Może nadal stoi pod Tvåkanten.

– Pudło. Już tam byłem.

– Sprawdziłeś w Armii Zbawienia?

– Tak. Nie mieli do powiedzenia nic konkretnego.

– Ma chyba jakichś kolegów.

– Nic nie wiedzą. Przynajmniej ci, na których się natknąłem.

– A syn? Ma syna, który gra w hokeja.

Johnny Pośpiech jechał Chalmersgatan. Fasady budynków jakby pochylały się nad ulicą. Niepokoił się. Jeszcze nigdy nie czuł się tak na służbie. To tutaj wszystko się zaczęło.

– To tu – powiedział do Mickego Jansena, który w ostatniej chwili wskoczył na miejsce Gerdy. Micke The Man. Dwa metry wzrostu. Czasem wydawało się, że wciąż rośnie.

– Ostro – podsumował Micke.

– No raczej.

– Dziwna sprawa z tą Gerdą.

Johnny zaparkował pod kamienicą. Pod tą kamienicą. Wejście było czarne jak panująca wokół noc, noc, przez którą jechali. Wydawało się to bez sensu. Wszystko było bez sensu, a

on czuł się w jakiś sposób częścią tego wszystkiego. Czego by nie zrobił, nie powiedział. To było dziwne uczucie, równie dziwne jak zniknięcie Gerdy. Była przygnębiona? Czy to dlatego?

Była tutaj? Przechodziła tą ulicą? Wiedział, że trudno jej było odpuścić tę sprawę. Te sprawy. Widziała przecież rzeczy, od których to wszystko się zaczęło. Czowała się za to odpowiedzialna. Więc może wzięła na siebie zbyt dużą odpowiedzialność? Nie jest łatwo, gdy się kontroluje ulice.

– Aż mnie od tego nosi – powiedział Johnny. – Muszę rozruszać kości.

Otworzył drzwi.

– Co chcesz zrobić?

– Poruszać się trochę.

Wysiadł.

Stał przed wejściem.

Z budynku wyszedł mężczyzna. Spojrzał na niego. Policjant w mundurze. To jak wróg u bram.

Drzwi zamykały się powoli.

Johnny złapał je, zanim się zatrzasnęły. Ot tak, odruchowo.

HALDERS SIĘ ODEZWAŁ. Wydawało się, że minęło tyle czasu. Winter myślał już nawet, że przypadł na dobre.

– Zostaję – oznajmił. – Nie będę się przekwalifikowywał.

– Gdzie jesteś?

– W drodze do wydziału. W windzie.

– No to zjedź. Zobaczymy się na dole. Potrzebuję świeżego powietrza.

On też zjechał windą na Vasaplatsen. Powietrze było zimne i czyste. Wziął trzy głębokie oddechy. Jechał na komisariat rowerem. Nie było mu zimno. Miał płaszcz, a pod kaskiem czapkę. Dzięki kaskowi czuł, że jest dobrym człowiekiem.

Halders czekał na niego przed prowizorycznym wejściem.

– Nie musiałeś przyjeżdżać specjalnie dla mnie, Eriku.

– I tak się tu wybierałem.

– Co się dzieje? – zapytał Halders.

– Lepiej powiedz, co się z tobą działo.

– Dotarło do mnie, że urodziłem się policjantem.

– Racja. Nie można walczyć z przeznaczeniem. I tak się nie wygra.

– Właśnie. To byłby błąd, duży błąd. Kurde, tak długo nad tym rozmyślałem. I w końcu to do mnie dotarło. Zostaję. Pomyślałem, że może cię to zainteresuje.

– Bardzo się cieszę.

– Tak myślałem.

– Oblejemy twój powrót, kiedy to wszystko się skończy.

– To się nigdy nie kończy. Ale chyba o to w tym wszystkim chodzi, nie?

– Mam na myśli sprawę, nad którą teraz pracujemy.

– Przyznam, że brakowało mi pracy – powiedział Halders.

– Chciałbym, żebyś mi znalazł pewnego dziesięciolatka – odparł Winter.

Johnny Pośpiech powoli wchodził po schodach. W powietrzu czuło się zimę, zdecydowanie bardziej, niż kiedy był tam

ostatnio. Z góry dobiegł jakiś hałas. Drzwi zamknęły się i otworzyły, a potem znów zamknęły.

Białoniebieskie taśmy powiewały przed zabezpieczonymi drzwiami na trzecim piętrze. Już nigdy nie chcę tam wchodzić, pomyślał.

Zadzwonił do drzwi po prawej. Odczekał chwilę i zadzwonił jeszcze raz. Na drzwiach widniało nazwisko: Bengtsson. Bez imienia. Ale Bengtsson nie otworzył.

Drzwi za nim otworzyły się. Odwrócił się. Mężczyzna wyszedł na klatkę i szybko zamknął za sobą drzwi. W rękę trzymał staroświecką torbę podróżną. Spojrzał na niego.

Miał dziwnie znajomą twarz. Był opalony. Nie zdziwił się, że widzi pod swoimi drzwiami policjanta. Był przyzwyczajony. Wielu policjantów przewijało się tu w ciągu kilku ostatnich tygodni. To były nerwowe święta i Nowy Rok. Wkrótce pewnie się uspokoi.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał mężczyzna. Wciąż stał pod drzwiami.

Co mam powiedzieć? Że zniknęła moja koleżanka? To przecież brzmi idiotycznie, jakbyśmy sami nie byli w stanie się upilnować. Widział pan, jak przechodziła tędy policjantka? Właśnie jej szukamy. Ależ to głupio brzmi.

– Nie... byłem tu już.

To też zabrzmiało idiotycznie.

– Tak?

– Nie słyszał pan ostatnio jakichś hałasów?

– A co pan rozumie przez ostatnio?

– W ciągu ostatniej doby.

– Nie. A co miałbym słyszeć?

– Cokolwiek. Kroki. Głosy. Słyszał pan coś na klatce?

– Nie. Nic nie słyszałem. – Uśmiechnął się. – To spokojna kamienica.

– Rozumiem.

Mężczyzna wskazał na policyjne taśmy.

– Udało wam się ustalić coś więcej? Kto to... no wie pan.

– Nie wiem – odparł Johnny. – Nie zajmuję się tą sprawą.

– A jednak pan tu jest – powiedział mężczyzna i znowu się

uśmiechnął.

To nie był serdeczny uśmiech. Johnny'emu się nie podobał. Jeśli to w ogóle był uśmiech. Wyglądał raczej jak grymas.

– Muszę już iść – oznajmił Johnny. – Radiowóz czeka na dole.

– Odprowadzę pana – zaproponował mężczyzna. – Właśnie wychodzę. – Spojrzał na drzwi windy. – Nigdy nie jeżdżę windą.

– Przepraszam, jak się pan nazywa? – zapytał Johnny. Nie udało mu się odczytać nazwiska na drzwiach. Połączana tabliczka była zbyt mała. Nie widział jej wcześniej, kiedy byli tu pierwszy raz. Z Gerdą. Które z nich szło wtedy pierwsze?

– Schiöld. Herman Schiöld.

– Długo pan tu mieszka?

– Od zawsze – odparł Schiöld, a potem popatrzył w dal.

Wydawało się, że sam nie wierzy w to, co właśnie powiedział. Był starszy od Johnny'ego, ale chyba niedużo. Wydawał się starszy. To chyba kwestia innego wychowania.

– Znał pan tę parę? – zapytał Johnny. – Byli pańskimi sąsiadami.

Byli już w połowie drogi.

– Oczywiście, że ich znałem. Zwłaszcza ją.

Winter czytał protokoły Gerdy Hoffner. Jak zwykle nie były to zbyt sielankowe historie, ale rozgrywały się tu i teraz. A raj był daleko. Prześledził jej dyżur w Wigilię. Nie było wzmianki o podwożeniu Tommy'ego Nävera. To była czysta przysługa, więc jej nie odnotowali. Czytał o pościgu za podejrzanym o kradzież samochodu na Heden.

W protokole pojawiało się nazwisko, które kojarzył.

Hans Rhodin.

Wzmianka o nim była krótka, ale się pojawił. Z podobnych powodów znalazł się na komisariacie, w jego pokoju. Odpowiadał na pytania jego i Ringmara. Pytali go o Andersa Dahlquista. Wykluczyli go ze śledztwa albo przynajmniej odstawili na bok. Ale na bok czego?

– Dlaczego dopiero teraz się pan do nas zgłosił?

– *Trochę chorowałem.*

– *Nie czyta pan gazet?*
– *Akurat nie czytałem.*
– *A co pana skłoniło, żeby się do nas odezwać?*
– *Jak już wyzdrowiałem, to trafiłem na jakąś wiadomość. Chyba w gazecie. To był artykuł, a może tylko notka. Pomyślałem, że może chodzi o Andersa.*

Winter wstał i podszedł do archiwum. Do starego, kochanego archiwum. Chciał mieć wszystko na papierze. W dzisiejszych czasach uważa się, że to nieekologiczne. Ale to konieczność, jeśli się chce przeczytać protokół, nie pomijając ani zdania, ani słowa, ani litery. Jeśli się nie chce zgubić sensu. Dokopał się do wydruku z przesłuchania Rhodina. Przypomniał sobie, że zapowiadano wtedy opady śniegu.

Wrócił do biurka. Potem znów wstał i otworzył okno. Do pokoju wpadło świeże zimowe powietrze. Usiadł przy biurku i przejrzał tych kilka słów o incydencie na Heden.

Hans Rhodin ruszył za kimś w pościg. Gonił kogoś. Nagle pojawił się radiowóz. Rhodin twierdził, że ten człowiek usiłował ukraść jego samochód. Próbował się do niego włamać. Nie wiadomo, czy rzeczywiście majstrował przy samochodzie. Podejrzanemu udało się zbiec. Gerda i jej kolega sprawdzili samochód. Nie było żadnych szkód. Czy Rhodin sam próbował się dostać do środka? Nie było o tym wzmianki.

Winter wrócił do przesłuchania.

– *Byliśmy w restauracji Jungmann Jansson. To przy moście Önnered.*

– *O której się pożegnaliście?*

– *Okolo trzeciej.*

– *I co było dalej?*

– *Jak to?*

– *Co robiliście?*

– *Nie wiem, co robił Anders. Ja pojechałem do domu.*

– *Jak? Czym pan pojechał?*

– *Wziąłem taksówkę.*

– *Dlaczego?*

– *Dlaczego wziąłem taksówkę? Bo nie przyjechałem tam samochodem. Trochę wypiliśmy. Zresztą nie jeżdżę, bo nie*

mam samochodu.

Lepiej zadać za dużo pytań niż za mało, pomyślał Winter. Nigdy nic nie wiadomo. Pytania i odpowiedzi... Ten Rhodin nie prowadził samochodu i niby nawet nie miał, a tu proszę, w Wigilię ściga po Heden złodzieja własnego samochodu. Pora się wybrać na Smålandsgatan, całe sto metrów stąd, pomyślał i wstał. Poczł nagłe podniecenie, obudził się w nim instynkt łowcy. Znów był na tropie. Ten chłodny dreszcz z tyłu głowy.

Na biurku zadzwonił telefon.

– Tak?

– Mówi Fredrik. Namierzyłem tego chłopaka. Pomogła mi trochę Armia Zbawienia. W każdym razie mieszka z matką we Frölunda. Przy Marconigatan.

– Okej. Dzwoniłeś tam?

– Nie. Myślałem, że może będziesz chciał tam teraz pojechać. Że chciałbyś się ze mną zabrać.

– Muszę się teraz zająć czym innym. Czeka mnie wizyta na Heden. Jedź sam.

– Okej. Może tatuś też jest w domu. Nikt nie odbiera telefonu, ale nigdy nie wiadomo.

– Nie pozwól mu uciec.

– No co ty.

– Przepraszam. Dobra, spadam.

– A o co chodzi z Heden?

– Muszę coś sprawdzić.

– Nie rób nic głupiego.

– Kiedy ostatni raz zrobiłem coś głupiego?

– Całkiem niedawno. Popłynąłeś sam na wyspę.

– Tym razem to zwykła wizyta kontrolna.

– Gdzie?

– Na Smålandsgatan.

– U kogo?

– Nie ufasz mi?

– Czasami mam wrażenie, że ktoś powinien nad tobą czuwać.

– Nie tym razem.

– Dobra, dobra. Do kogo jedziesz?

– Do Hansa Rhodina.

– Okej. Zdzwoniemy się.

Winter odłożył słuchawkę i ruszył na akcję, bez obstawy.
Rhodin mieszkał dosłownie po sąsiedzku.

W MIESZKANIU TRZASKAŁY DRZWI, zamykały się i otwierały. Walily, jakby miały wyskoczyć z zawiasów. A może tylko dudniło jej w głowie.

Zupełnie straciła poczucie czasu. Mogły upłynąć tygodnie. Albo godziny. Nie umiałyby odpowiedzieć, gdyby ją ktoś zapytał. Ale nikt o nic nie pytał. Ostatnią osobą, która zadawała jej pytania, był on, a jego już nie było w pokoju. Jedyne trzaskanie drzwiami świadczyło o tym, że jest w mieszkaniu. Ale zostawi ją samą, bo robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Są coraz bliżej. Przyjdą po nią. A wtedy on będzie już daleko.

Jest za słaby, żeby mnie zabić. Tchórzliwy drań!

Próbowała poruszyć stopą albo palcem. Czymkolwiek, choćby najmniejszą częścią ciała. Tak długo, jak długo była w stanie się ruszać, nie było jeszcze za późno. A gdyby jeszcze miała coś do picia, nigdy nie byłoby za późno. Dostała wodę, znów musiał jej dać. Ale kiedy to było? Nic nie pamiętam. Niedługo nie będę nawet wiedziała, jak się tu znalazłam. Może to tak działa. On dobrze wie, jak funkcjonuje ludzki mózg. Może wie wszystko. Zamierza mnie tu trzymać tak długo, aż nie będę już niczego pamiętać. Dopiero wtedy mnie uwolni.

Co to? Jakieś głosy? Nie. Próbowała je wyłapać. Ale nie było już czego nasłuchiwać. W pokoju było ciemno. Dlaczego jest tak ciemno? Zawsze było trochę światła. Wpadało przez okno. A teraz już go nie ma. Całe światło zniknęło.

Znów spróbowała się poruszyć. Nie udało się. Nie chodziło tylko o to, że nie panowała nad swoim ciałem. Leżała w innej pozycji. Widocznie związał ją na nowo. Nie wiedziała, jak to się stało. Nie mogła nic zobaczyć. To musiał być inny pokój. Nie było w nim okna. Znów to dudnienie. Nie wiem, co to może być. Słyszałam to już jakiś czas temu. Czyżbym pamiętała? Wciąż jestem w tym mieszkaniu. Przeniósł mnie gdzieś, żeby nikt mnie nie zobaczył. O to chodziło. Kiedy przyjdą mnie ocalić, nie będą mogli mnie znaleźć. Znów mnie ukrył. Przyjdą i

będą mnie szukać, a mnie tu nie będzie. Już nigdy mnie nie będzie.

Dojechanie na Smålandsgatan zajęło Winterowi dziesięć minut. Tak blisko, a tak daleko. Hiszpania. Naprawdę muszę tam jechać? Nie ma czasu do stracenia. Może to konieczne, pomyślał.

Przy głównym wejściu widniały różne nazwiska, ale Rhodina nie było. Obok numeru jego mieszkania było pusto. Winter nacisnął przycisk. Nikt nie odebrał. Zadzwoił jeszcze raz.

W domofonie zaszumiało.

– Tak?

– Hans Rhodin?

– Tak?

– Tu Erik Winter. Komenda okręgowa. Może mnie pan wpuścić?

Znów szum. A może chrząknięcie.

– Co?

– Erik Winter. Spotkaliśmy się już. Może pan otworzyć? Chciałbym chwilę porozmawiać.

Znów chrząknięcie.

– A o co chodzi?

Głos brzmiał, jakby dochodził z drugiego krańca ziemi, jakby rozmawiali przez staroświecki telefon. Tak blisko, a tak daleko, pomyślał znów Winter.

– Proszę otworzyć! – Podniósł głos.

Rozległ się szczeł zamka.

Winter wszedł i ruszył na górę. Czuł się jak w domu. Wszystkie budynki w tym stylu przypominały mu dom: wysokie stropy, sztukaterie, suchy zapach wiekowej kamienicy.

Stał przed drzwiami na trzecim piętrze. Nie było tabliczki z nazwiskiem, to musiało być tu. Zadzwoił. Nie wyczuwał zagrożenia, a zawsze wiedział, kiedy się go spodziewać. Prawie zawsze. Zrobił krok w bok. Stał za drzwiami, gdy się otworzyły. Odczekał, aż Rhodin wyjdzie na klatkę. Wzdrygnął się, gdy go zobaczył. Miał na sobie podkoszulek i jakieś dziwne spodnie. Miał kilkudniowy zarost i ciemne cienie pod oczami. Jak południowiec. Winter wyczuł woń alkoholu. Stary nałóg wrócił.

- O co chodzi? – zapytał Rhodin.
- Mogę wejść? – odparł Winter.
- A mam wybór?

Winter nie odpowiedział. Kiwnął ręką w stronę przedpokoju. Domyślał się, kto pośredniczył przy wynajmie albo sprzedał mu mieszkanie.

Rhodin odwrócił się i wszedł do mieszkania. O ile to było jego mieszkanie. Znów się odwrócił, tym razem do Wintera.

- Nie mam nic do dodania. Do tego, co mówiłem ostatnio.

Winter milczał.

Sposób mówienia nie wskazywał na to, żeby był pijany. Ale mówił tak, jakby był bardzo zmęczony.

- Nie rozumiem, po co pan przyszedł.

Weszli do salonu. Przez dwa duże okna Winter widział komendę. Ale jego pokoju nie było widać. Okno wychodziło przecież na północ.

Na stole stały butelka wina i kieliszek. Winter podszedł i podniósł butelkę. Znał tę markę. Już ją widział. W kieliszku nie było jeszcze wina. Butelka wydawała się nietknięta, otwarta, ale wciąż pełna.

Rhodin stał po drugiej stronie stołu. Wyglądał, jakby czekał, aż Winter się odezwie, ale jednocześnie wcale nie miał ochoty go słuchać. Winter znał tę postawę. Była bardziej wymowna niż słowa.

Podniósł wzrok znad butelki.

– Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, powiedział pan, że nie jeździ samochodem.

Rhodin nie odpowiedział.

- Słyszał pan, co powiedziałem?

Rhodin przytaknęła.

- Mówił pan, że nie ma pan samochodu.

- Tak... o co panu chodzi? Nie jeżdżę przecież.

- Z tego co wiem, ma pan prawo jazdy – oznajmił Winter.

- To było dawno temu.

- Co?

- Kiedy ostatni raz z niego korzystałem.

Winter nic nie powiedział. Rhodin spojrział na butelkę. Ma

potworną ochotę się napić, ale chce poczekać, aż wyjdę. Wtedy opróżni ją jednym haustem.

Może już zapomniał, co było w Wigilię.

Może nie zdaje sobie sprawy, że podczas każdego wstępnego dochodzenia czytamy wszystkie protokoły. Zajmuje nam to oczywiście trochę czasu, ale czasami udaje nam się zdążyć.

– W Wigilię ktoś próbował ukraść panu samochód – powiedział Winter. – To był pański samochód?

Rhodin się wzdygnął.

– Co pan ma na myśli? – zapytał.

– To, co pan słyszy. Ktoś próbował ukraść pański samochód. Tak przynajmniej powiedział pan funkcjonariuszom, którzy próbowali panu pomóc.

Rhodin nie odpowiedział. Potem coś wymamrotał, ale Winter nie dosłyszał.

– Co pan powiedział?

– Jakie to ma znaczenie?

– Słucham?

– A jakie to ma dla pana znaczenie?

– Proszę odpowiadać na pytania.

– To nie był mój samochód. Ale to już się panu udało ustalić.

– A czyj?

– To bez znaczenia.

– Czyj to był samochód?!

– Nie wiem.

– Jak to pan nie wie?

– Należał do... jak by to wyjaśnić? Pożyczyłem go od Andersa.

– Od Andersa Dahlquista?

Rhodin skinął głową.

– Z tego co wiemy, nie miał samochodu – powiedział Winter.

Rhodin znów coś wymamrotał. Zachwiał się, ale udało mu się złapać równowagę. Winter zrozumiał, że jest pijany bardziej, niż się wydawało.

– Co pan powiedział?

– Samochód nie był jego.

– Nie jego? W takim razie czyj?

– Nie wiem.

– A jednak trafił do pana.

Rhodin nie odpowiedział.

– Jak do tego doszło?

– Klu... – zaczął Rhodin, ale nagle przerwał.

– Co pan ma na myśli? Kluczyki? Co się z nimi stało?

Rhodin znów się zachwiał. Próbował się chwycić czegoś w powietrzu. Zrobił krok w bok, zachwiał się, zatoczył, próbował wyprostować bezwładną nogę i runął jak długi. Upadając, uderzył głową w stół, aż zadudniło.

Winter pobiegł na drugą stronę stołu. Na szczęście Rhodin był przytomny. Podniósł głowę. Był wystarczająco pijany, żeby nie odczuwać bólu. Prawdopodobnie wyjdzie z tego bez szwanku. Winter posadził go na kanapie.

– Kluczyki – powtórzył Winter. – Jak się panu udało je zdobyć?

– Nie... nie mogę... – odparł Rhodin.

– Jak zdobył pan kluczyki?

– Nie mam już tego samochodu.

– Kto ma kluczyki?

– Nie wiem, kim on jest.

– Czy to on pożyczył samochód Dahlquistowi?

– Tak...

– Kto to jest?

– Nie wiem. Nie wiem kto to.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem. Słabo mi...

– Spotkał go pan?

Rhodin nie odpowiedział.

– SPOTKAŁ GO PAN?

Rhodin poruszył głową. Może doznał wstrząsu mózgu. Może otrzeźwiał albo wręcz przeciwnie. Wszystko jedno, byle powiedział prawdę. Byle powiedział, co się naprawdę stało.

Winter chwycił go za podkoszulek. Wyczuł pod nim żebra. Alkohol wypalił Rhodinowi całą tkankę tłuszczową.

– Tylko raz... – wydusił Rhodin.

– Gdzie?

Rhodin znów zamilkł.

– Gdzie?

– Tam.

– Gdzie to było?

– Önnered.

– Przy moście Önnered?

– Niezupełnie.

– No to gdzie? – Winter złapał go trochę mocniej.

Rhodin przewrócił oczami, zmrużył je, spoglądając na niego. Wyglądał na bardzo przestraszonego, jakby Winter był postacią z najgorszych koszmarów, która dopadła go w rzeczywistości i próbowała wydusić z niego prawdę. Zielony potwór, różowy słoń, niebieski skorpion. Jasnowłosy policjant.

– Gdzie to było?!

– Na... na skałach.

– Tam gdzie go zabiłeś.

– Nie... to nie ja...

Rhodin zamilkł.

– Gdzie go utopiłeś – ciągnął Winter. – Tam go udusiłeś.

Rhodin patrzył teraz na niego jak na potwora.

– Nie, to nie ja...

– Co?

– Nic nie wie... wiedziałem.

– O czym?

– Ja nic nie wiedziałem – powtórzył Rhodin. Głowa opadła mu do przodu. Z ust pociekła ślina. Wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować.

– To tam zabrałeś mu kluczyki.

Rhodin nie odpowiedział. Twarz mu pobladła, może nawet zzieleniała.

– Wyjąłeś mu kluczyki z kieszeni – powiedział Winter i wreszcie go puścił.

Halders i Aneta Djanali wjechali na Marconigatan. Na ziemi wciąż leżała warstwa śniegu. W zimowym słońcu budynek wydawał się pomarańczowy.

– Domy nie są tu zbyt ładne, ale kolor mają piękny – powiedziała.

– Jest pomarańczowy niezależnie od słońca – odparł Halders.

– I tak teraz świeci prawie cały czas.

– Jak w Południowej Kalifornii.

– Byłeś tam kiedyś?

– Nie opowiadałem ci?

– Nie.

– No pewnie, że byłem. *It never rains in Southern California.*

Staął na parkingu, kilka metrów od bloku. Wysiedli z samochodu.

– Ten facet jest świadkiem, tak? – zapytała Aneta.

– Widział ją na krótko przed zniknięciem.

– Gdzie?

– Na Avenyn.

– Większość ludzi widuje się na Avenyn – odparła. – Czy się tego chce, czy nie. Zastanawiałeś się nad tym? Zawsze gdy jest się w centrum, łąduje się na Avenyn.

– Tak jest zbudowane to miasto – zauważył Halders. – Mamy tu tylko jeden prawdziwy bulwar.

– Nie w moim stylu.

– A jaki byłby w twoim stylu?

– Ocean Drive – odpowiedziała.

– Ty też byłaś w Los Angeles?! W Santa Monica?

– Nie, ale widziałam na filmach. We wszystkich filmach z Hollywood jest przynajmniej jedna scena z Ocean Drive. Rozpoznają te palmy.

– Aleś ty spostrzegawcza.

Byli już pod blokiem. Näverowie mieszkali na siódmym piętrze. Halders nacisnął przycisk domofonu. Nie wiedział o tej rodzinie zbyt wiele, tylko tyle że ojciec nie mieszkał już w domu. Nacisnął jeszcze raz.

– Halo?

Głos brzmiał spokojnie.

Halders się przedstawił.

– Chcielibyśmy wejść na górę – oznajmił. – Proszę otworzyć drzwi.

W domofonie zatrzeszczało. Teraz słyhać było inny głos, również spokojny.

– O co chodzi? Kto mówi?

Halders przedstawił siebie i Anitę jeszcze raz.

– Co znowu zrobił? On już tu nie mieszka.

– Nic – odpowiedział Halders. – Nie chodzi o niego. Proszę otworzyć.

Drzwi się otworzyły. Dało się zauważyć, że inni goście nie mieli tyle cierpliwości. Zamek był porysowany, na drzwiach widniały ślady kopnięć, ale szyba była cała.

Wnętrze windy nie było zbyt piękne. Hollywood, pomyślał Halders, brutalna odsłona Hollywood w realu.

W drzwiach mieszkania Näverów ktoś zrobił małą dziurę. Na klatce pachniało cebulą i śmieciami. Halders usłyszał jakieś krzyki na górze albo na dole. Chyba z telewizora. Zadzwoił do drzwi, natychmiast się otworzyły. Kobieta widziała ich przez wizjer. Halders się wylegitymował.

– Proszę wejść.

W przedpokoju przedstawili się raz jeszcze.

– Bitten Näver – przedstawiła się kobieta. – Zapraszam do środka.

Weszli do jasnego pokoju, z którego rozciągał się niesamowity widok. Halders widział w oddali Askimsfjorden. Morze wyglądało jak lód. Pomyślał o Grenlandii. Do Los Angeles leciał właśnie przez Grenlandię. Tam wszystko przypominało lód: rzeki, wyspy, ląd i morze. Białe i niesamowicie niebieskie. A kiedy już zbliżyli się do Kalifornii, wszędzie widać było tylko czerwoną pustynię i czarne, wyrastające ze skorupy ziemskiej góry.

Chłopiec na razie się nie pokazał.

– O co chodzi? – zapytała Bitten Näver.

– Musimy się skontaktować z pani mężem, z Tommym Näverem – powiedział Halders.

– Co tym razem zrobił?

– Nic. Nie chodzi o niego. Po prostu widział coś, co może nam pomóc. Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

– Co?

– Wygląda na to, że zaginęła policjantka – powiedziała Aneta. – Nie wiemy, co się z nią stało. Ale pan Näver mógł ją widzieć na krótko przed zniknięciem. Tak nam się przynajmniej wydaje. Chcielibyśmy z nim o tym porozmawiać.

– Gdzie ją widział?

– Na Avenyn.

– Tak, to jego miejscówka. – Spojrzała na ogromną przestrzeń za oknem. Na otwarte morze, które opływało cały świat.

Musi się tu czuć jak w więzieniu, pomyślała Aneta. Cały ten widok nie jest nic wart. Jej mąż jest bezdomny, mieszka na Avenyn. Czasem tu przychodzi i przypomina jej o tym zniewoleniu.

– Wie pani, gdzie on teraz jest? – zapytał Halders.

– Sprawdziliście w Armii Zbawienia?

– Tak. Dali mi pani adres.

– A nie ma go na Avenyn? Zwykle stoi przy Tvåkanten. – Uśmiechnęła się, a może tak się tylko zdawało. To chyba jednak nie był uśmiech. – Tak dawno nie byłam w okolicach centrum.

– Może być u jakiegoś kolegi?

– Nie znam żadnego. I nie chcę znać.

– A kiedy widziała go pani ostatnio?

– Przed Bożym Narodzeniem – odparła i odwróciła wzrok od morza. – Miał tu przyjść z paczką dla Johana. – Kiwnęła głową w stronę przedpokoju, a na jej twarzy znów pojawił się ten tajemniczy uśmiech. – Stał tam jakieś trzy minuty, a potem wyszedł. Nie miał żadnej paczki. Johan wciąż czeka na prezent.

Halders i Aneta milczeli.

– Więc nie mam pojęcia, gdzie teraz jest – oznajmiała.

– Nie dzwonił?

– Nie mamy już telefonu. Już nie.

– Mamo...

Spojrzeli za siebie.

– Mówisz o tacie?

Chłopiec nie różnił się niczym od innych dziesięciolatków. Wyglądał jak jedenastoletni syn Haldersa. W zasadzie dlaczego miałby wyglądać inaczej? Miał na imię Johan. Skończył

dziesięć lat, w Wigilię. Grał w hokeja. Widać było, że jest dobrze zbudowany.

– Rozmawiacie o tacie – powtórzył.

– Tak, Johan.

– O co chodzi?

– Policja chce z nim porozmawiać o jednej sprawie.

– Tata nie zrobił nic złego – wtrącił Halders. – Prawdopodobnie widział coś, o co chcielibyśmy go zapytać.

– Mówi, że widzi wszystko – powiedział chłopiec.

– To się dobrze składa – odparł Halders.

– Gdy jest w pracy, widzi wszystko, co się tam dzieje – ciągnął chłopiec.

Halders przytaknął.

– Powiedział mi kiedyś, że często widywał na mieście kogoś, kto później został zamordowany.

– Co ty wygadujesz?!

Bitten Näver zrobiła krok w jego stronę.

– Co on ci opowiada?! – ciągnęła. – Kiedy ci tak powiedział?

– Kiedy byłem na treningu. We Frölundaborg. Przed Bożym Narodzeniem.

– Spotkałeś go tam?

– Czasem przychodzi. Kiedy gramy jakiś mecz. Wtedy akurat mieliśmy trening.

– Jak się zachowywał? Przyszedł pijany?

– Nie.

– Dlaczego opowiadał ci, że ktoś został zamordowany? – zapytała Aneta.

– Pewnie chciał udowodnić, że wszystko widzi – odpowiedział Johan. – Wie o wszystkim, co się dzieje w mieście, kiedy tak stoi w samym centrum.

– Widział jakieś zabójstwo?! – zapytała Bitten Näver.

– Nie – odpowiedział chłopiec. Mówił spokojnie, za to jego matka porządnie się zdenerwowała. – Tata powiedział, że widział kogoś, kto później zginął. Pisali o tym w gazetach. Leżał w wodzie.

– Boże! – krzyknęła Bitten Näver.

Że też zachowała jego nazwisko, pomyślała Aneta.

– Pewnie chciał mi trochę zaimponować – ciągnął Johan. Posmutniał, gdy to powiedział.

Jego twarz wydawała się o dwadzieścia lat starsza. Aneta i Halders widzieli to wiele razy. Dzieci alkoholików dorastają szybciej niż ich rodzice, dużo szybciej. Część zostaje stróżami, tak jak Johan. Służą ramieniem, na którym można się wesprzeć, chociaż ramię często jest wątłe. Ale ramię Johana wydawało się silne. Mam nadzieję, że chłopak skończy w reprezentacji, pomyślał Halders. Albo na zawodowstwie w NHL, w Los Angeles Kings.

– Chyba wiem, gdzie jest tata – powiedział Johan.

RHODIN ZOSTAŁ ZATRZYMANY na wniosek Moliny. Istniała możliwość, że to on zabił Andersa Dahlquista. Ale podstawy nie były zbyt mocne, co oznaczało, że Rhodin nie posiedzi w areszcie dłużej niż siedem dni od wydania nakazu, o ile nie znajdą czegoś nowego albo nie zacznie mówić. Winter był niezadowolony, ale bynajmniej nie dlatego, że mieli go aresztować na tak krótko. Wiedział, że to nie on zabił, w każdym razie nie świadomie. Był jedynie elementem układanki, może nawet znaczącym, ale ta sprawa nie przypominała zwykłych puzzli. Kiedy się z nią uporają, wciąż pewnie będzie im brakować wielu kawałków.

Przesłuchiwał go dalej na komisariacie. Rhodin nie przyznał się do zbrodni. Mówił już spokojniej. Ale niektórzy zabójcy nigdy się przecież nie przyznają.

– Wypiliśmy trochę do obiadu. Zeznałem to już. Mógł pan to zresztą sprawdzić. Wybraliśmy się na spacer na skały.

– Ktoś jeszcze z wami był?

– Byliśmy sami. Może pan zapytać w restauracji.

– A na skałach? Był z wami ktoś na skałach?

– Pojawił się nagle.

– Kto?

– Mówiłem już, że nie wiem!

– Skąd się tam wziął?

– Nie wiem, do cholery! Zjawił się ni stąd, ni zowąd.

– Co się stało? Pobiliście się?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem... Chciałem tylko pomóc.

– Komu?

– Andersowi, oczywiście. Chciałem mu pomóc.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Bo ten drugi był nieobliczalny. Był naprawdę niebezpieczny. Można powiedzieć, że stanowił

zagrożenie dla życia. A na dodatek był wściekły. Krzyczał o jakichś kluczach.

– O kluczach?

– Tak. Powiedział coś o kluczach. Ale nie dosłyszałem. Nie wiedziałem, o co chodzi. Byłem przerażony.

– Chciał dostać te klucze?

– Nie zrozumiałem... Ale później powiedział jeszcze coś dziwnego.

Winter odczekał chwilę. Rhodin wyglądał, jakby się zastanawiał, ale może myślał o czymś innym. Nagle jego spojrzenie zrobiło się nieobecne.

– Co takiego powiedział? – zapytał Winter.

Rhodin spojrział na niego.

– Powiedział, że zażądali więcej pieniędzy.

– Więcej pieniędzy? Kto zażądał więcej?

– Nie wiem. Nie wspomniał o tym.

– Powiedział tak do Dahlquista?

– Tak.

– I Dahlquist rozumiał? Wiedział, o czym on mówi?

– Tak. Powiedział, że... pewnie tylko tak straszą.

– Tak powiedział? Że chcą tylko postraszyć?

– Tak.

– Czy to był jakiś gang? Szantażowali ich? Ilu ich było?

Zdawało się, że Rhodin znów się zastanawia. Może naprawdę tak było. Ale dla niego ta sprawa była skończona. Nie miał już żadnych tajemnic.

– Było coś... – zaczął, ale szybko przerwał.

– Tak?

– Było coś o jakiejś dziewczynie. Że nie można na niej polegać. Wydaje mi się, że tak to ujął.

Dziewczyna. Dziewczyna. Winterowi myśli kołatały się w głowie. Dziewczyna. Tak, spotkał ją, młoda pani Svensson. To musi być ona. Spotkał ich oboje. To pewnie oni chcieli go nastraszyć, żądali więcej pieniędzy. Zawsze chodzi o pieniądze.

– *Pomyśleć tylko... że ten ktoś może wrócić – wydusiła. – To wydaje się przerażające.*

– *Kto miałby wrócić?*

– Nie wiem. Ale po coś tu przyszlście. Szukacie kogoś. Albo czegoś, prawda?

– Co się tam właściwie stało? – powtórzył Mattias.

– Nie wiemy – odpowiedział Winter. – Naprawdę nie wiemy.

Teraz już wiedział. Cholerni idioci. Nie rozumieli? Dlaczego wcześniej się nie domyślił? Przecież się przed nim wygadali. Mildred i Mattias Svensson. To oni mieli zagrać parę w łóżku. Fajna sprawa. Pewnie tak im to przedstawił. Jako żart albo eksperyment. Eksperyment artystyczny. To przecież nic wielkiego, a można zarobić.

Ktoś z darem przekonywania. Z urokiem osobistym. Ze znajomością psychologii. Z podejściem do ludzi.

Opełtany obsesją.

– O cholera! – krzyknął Winter i aż podskoczył na krześle.

Rhodin zasłonił rękami twarz.

– Proszę mnie nie bić!

Ale Wintera nie było już w pokoju przesłuchań. Zawołał Ringmara. Przez chwilę czuł się jak dziecko, które woła tatę. Pomóż mi, tato. Pokaż mi. Weź mnie na ręce!

Wybrał na komórce numer Ringmara.

Usłyszał jego głos.

– Gdzie jesteś?

– Na parkin...

– Czeka w samochodzie!

Ringmar podjechał pod główne wejście w chwili, gdy Winter wybiegł z budynku.

– Teatergatan – powiedział Winter, zapinając pas. – Jedź skrótem przez Heden.

– O co chodzi?

– Jedź!

Ringmar ruszył z piskiem opon.

Na Heden było zbyt dużo rowerzystów.

Ringmar przejechał po boiskach do piłki nożnej.

– O co chodzi, Eriku?

– Svensson, Svenssonowie! To oni leżeli w łóżku!

– Co ty, do cholery, wygadujesz? Skąd wie...

– To teraz nieistotne. Po prostu jedź! Może jeszcze nie jest za późno.

– Na co?

Winter nie odpowiedział. Ringmar przemknął przez przejście dla pieszych na Södra vägen. Starszy mężczyzna pogroził im pięścią. Pewnie zadzwoni na policję.

Przejechali Avenyn tuż przed tramwajem. Skręcili w Kristinelundsgatan.

Tommy'ego Nävera nie było pod Tvåkanten.

Ringmar zaparkował przed wejściem do budynku, zastawił inne samochody. Baraki wciąż tam stały.

Winter w kilka sekund otworzył bramę. Średniowieczne wejście nic się nie zmieniło od czasu ich ostatniej wizyty. Murowane sklepienie. Cisza. Zimny podmuch wiatru.

Svenssonowie nie otworzyli drzwi. Poprzednim razem otworzyli dopiero po drugim dzwonku. Winter zadzwonił po raz trzeci. Po chwili zaczął gmerać w zamku. Otwarcie drzwi zajęło mu pięć sekund, ale każda sekunda wydawała się długa jak minuta.

Weszli i zawołali ich po imieniu: Mildred! Mattias! To miły chłopak, pomyślał wtedy Winter.

– *O Boże! Nie chcę tu zostać.*

– *Pojedziemy do twojej matki.*

Ale Mildred i Mattias nie pojechali wtedy do matki. Albo pojechali i już zdążyli wrócić.

Teraz leżeli na szerokim małżeńskim łożu. Nie rzucali się w oczy. Byli szczupli i dość drobni, a na dodatek każde z nich miało na twarzy poduszkę. Leżeli na plecach.

– O Boże! – wykrzyknął Ringmar.

– W końcu ich znaleźliśmy – powiedział Winter. – Jest tak jak na filmie. Tak się skończyło.

– A niech to.

Winter podszedł do łóżka i podniósł poduszki, jedną po drugiej. Mildred i Mattias wpatrywali się martwymi oczami w sufit.

Tommy Näver zarzucił wędkę. To była prosta wędka. Pod Älvsborgsbron przepływał prom. Przesłonił słońce, które w

styczniu i tak nie świeciło mocno. A teraz znów zniknęło.

– Złapał pan coś? – zapytał Halders.

Näver widział, jak nadchodzili, ale dalej robił swoje. Aneta zaparkowała tak blisko, jak się dało.

– Nie po to tu stoję – odparł.

Wyciągnął żyłkę ze splawikiem i położył wędkę na skałach, obok torby z monopolowego. Na płaskim kamieniu stała otwarta puszką piwa.

– Nie pracuje pan dzisiaj? – zapytał Halders.

– Jestem na przymusowym zwolnieniu – odpowiedział Näver i wyciągnął rękę po puszkę.

– Rozmawialiśmy z pańskim synem – powiedział Halders.

Näver cofnął dłoń. Po raz pierwszy spojrzął Haldersowi w oczy.

– O czym?

– Domyślił się, że jest pan tutaj.

– To nie było konieczne – odparł Näver. Jego głos brzmiał smutno. Spojrzął na rzekę. To było jego miejsce, tak jak ten metr kwadratowy na Avenyn, przed restauracją.

Prom wypływał właśnie na otwarte morze. Śledził go wzrokiem.

– Zaginęła nasza koleżanka – powiedziała Aneta.

Näver przerzucił spojrzenie na nią. Nie wyglądał na pijanego. Znów spojrzął na puszkę, ale nie wziął jej. Połyskiwała na niebiesko w ostatnich promieniach słońca.

– Sądzymy, że widział ją pan na krótko przed zniknięciem.

– Skąd to przypuszczenie?

– Tak pan powiedział dwóm innym policjantom w cywilu. Ale wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że zaginęła.

– O kogo chodzi?

– Podwoziła pana w Wigilię – odparła Aneta.

– To o nią chodzi?! Znam ją! Co się z nią stało?

– Nie wiemy. Zaginęła.

– Boże!

– Widział ją pan?

– Tak... kiedy to się stało?

– Nie wiemy dokładnie. Pan pewnie wie lepiej.

– Była w mundurze?

– Miała wolne. Dzień przed sylwestrem i w sylwestra – powiedziała Aneta. – Pewnie była po cywilnemu.

– Widziałem ją – odparł Näver.

– Kiedy?

– To musiało być w sylwes... nie, dzień wcześniej. Widziałem ją, ale wyglądała, jakby myślni była gdzie indziej. Nie patrzyła w żadnym konkretnym kierunku. Poszła na Kristinelundsgatan.

– Kiedy to było?

– Jakoś w środku dnia. Nie pamiętam dokładnie. Koło pierwszej. Może drugiej.

Słońce już całkiem zaszło. Żurawie po drugiej stronie rzeki przypominały ogromne pająki, które zamarzyły, próbując zrobić krok. Halders zatrząsł się z zimna. Z północy nagle powiał wiatr.

– Chcielibyśmy, żeby pan pojechał z nami na komisariat – powiedział Halders.

– Po co? Nie wiem nic więcej. Chętnie bym pomógł, ale naprawdę wiem tylko to, co powiedziałem.

– Musimy panu zadać jeszcze kilka pytań. Również w innej sprawie.

– Jakiej?

– Zajmiemy się tym na miejscu. Chodzi o coś, co mógł pan widzieć. Chcielibyśmy pana przesłuchać w charakterze świadka. – Halders znów się zatrząsł. – Robi się naprawdę zimno.

– Co powiedział Johan?

– Słucham?

– Co o mnie powiedział?

– Że pewnie pan tu jest.

– Nie wyszło najlepiej z tymi prezentami na święta. Wspominał coś o tym?

– Nie.

– Niedługo będą. Miał urodziny w Wigilię. Prezenty są w drodze.

– To dobrze.

– Skłamałem wcześniej.
– O czym pan mówi?
– Powiedziałem jednemu policjantowi... nie pamiętam już komu, może nawet jej, że Johan i jego matka wybrali się w rejs na Kanary. Ale to było kłamstwo.

Halders i Aneta przytaknęli. Wszędzie same kłamstwa.

– W pozostałych sprawach nie kłamałem – powiedział Näver.

Winter i Ringmar czekali w ciemnej sypialni. To czwarty pokój, pomyślał Winter. A w zasadzie trzeci, wciąż trzeci. Zależy, jak na to spojrzeć.

Mamy do czynienia z seryjnym mordercą w pełnym tego słowa znaczeniu. Trzy zbrodnie dokonane przez jednego człowieka w określonym czasie uznaje się za serię zabójstw, przynajmniej według FBI. Teraz to już cztery. A może nawet pięć.

– Zaplanował to? – zapytał Ringmar.

Czekali na techników. Dwóch policjantów było już na schodach. Torsten Öberg miał się zjawić osobiście, ale czekał jeszcze na jakąś wiadomość. Miała nadejść w ciągu najbliższych kilku minut.

– Może to jest ten trzeci pokój? – zastanawiał się Winter. – Może był nim cały czas. A film miał być tylko ilustracją.

– Abstrakcją – dorzucił Ringmar.

– Nie udało nam się jej zrozumieć.

– Po prostu mieliśmy zły timing.

– Nie wiem, co poszło źle.

– Może tego nie planował – powiedział Ringmar i rozejrzał się po pokoju. – A przynajmniej nie od samego początku.

– Chodziło o pieniądze? – zapytał Winter, ale jakby samego siebie. – Svenssonowie podjęli się tego zadania. Nagrania krótkiego filmu. Nie zadawali zbyt wielu pytań. Może zgodzili się na niewielkie wynagrodzenie. Dopiero później zaczęli coś podejrzewać.

– Może byli bardziej pazerni niż przestraszeni – powiedział Ringmar.

– Wkrótce się przekonamy – odparł Winter. – Okaże się...

Przerwał mu dzwonek komórki.

– Tak?

– Cześć, Eriku. Tu Torsten. Właśnie przyszły wiadomości z laboratorium w Linköping. Szukanie jakichkolwiek substancji u Barknera i Lentnera nie miało sensu od początku, ale takie substancje mogą przestać się rozkładać po śmierci.

– Więc wciąż możemy coś znaleźć w ciałach kobiet? – zapytał Winter i spojrzał na bladą twarz Mildred Svensson.

– Nie wiem. Ale spróbujemy jeszcze raz. W Niemczech, w Koblencji, otworzyli nowe laboratorium. Specjalizuje się w szukaniu różnych substancji w ciałach zmarłych. Już wysłaliśmy próbki.

– Kiedy dostaniecie odpowiedź?

– Nie wiem. Już jestem w drodze – odparł Öberg i się rozłączył.

Winter też był już w drodze. Kiedy wybiegał z przedpokoju, usłyszał, jak dzwoni komórka Ringmara.

Ringmar dogonił go dopiero na kocich łbach pod murowanym sklepieniem.

– Gdzie tak pędzisz? – zapytał.

– Chcę się jeszcze rozejrzeć w tamtych dwóch mieszkaniach. Na Götabergsgatan i Chalmersgatan.

– Ale dlaczego?

– Jeszcze nie wiem.

– Masz klucze?

– Zawsze je przy sobie noszę – odpowiedział Winter. – Ty wracaj do mieszkania. Któryś z nas powinien tam być.

– Zadzwoń do mnie, jak tylko coś znajdziesz.

Winter skinął głową.

– Möllerström zadzwonił, jak tylko wybiegłeś. Skontaktował się z klubami sportowymi i kazał im sprawdzić w szkołach. Ale do tej pory nie trafili na żadne mistrzostwa regionu, które by wygrał Dahlquist.

– To nie on.

– Może to i lepiej.

– Coś było napisane po tych stu metrach – powiedział Winter. – Mam nadzieję, że laboratorium będzie w stanie

ustalić co.

– Ile stumetrowych konkurencji mogło się co roku rozgrywać na mistrzostwach regionu?

– Setki – odpowiedział Winter i zniknął za bramą.

Winter był w pierwszym pokoju. Miał wrażenie, że widział go już setki razy.

A jednak nie widziałem jeszcze wystarczająco dużo. Nie zrozumiałem wszystkiego.

Próbował się wsłuchać w ciszę. Przez Chalmersgatan przejechał samochód. Ale to akurat zobaczył, dlatego wiedział. Bo warkot równie dobrze mógł być szumem wiatru.

Starał się usłyszeć jakieś odgłosy dochodzące z innych części mieszkania. Ale nic z tego. Mogę krzyknąć najgłośniej jak się da, a potem przejść po sąsiadach i zapytać, czy ktoś coś słyszał. Ale nikt nic nie usłyszy. Tutaj panuje cisza. Kiedy śledczy chodzili od drzwi do drzwi i pytali, okazało się, że nikt nic nie słyszał. No, może jedna osoba. Sąsiad z piętra. Słyszał jakieś kroki. W środku nocy.

Czytał wszystkie protokoły. Nikt nie słyszał nic innego. Nikt też nie chodził po klatce tej nocy ani wcześniej rano.

On też nasłuchiwał kroków na schodach. Nic. Ciekawe, czy usłyszałbym siebie, gdybym wyszedł na zewnątrz. Stał w przedpokoju. Wszędzie panowała cisza. Otworzył drzwi. Jakaś starsza kobieta właśnie wchodziła po schodach na czwarte piętro. Obejrzała się przez ramię. Wyglądała na przestraszoną. Nic dziwnego. Ukłonił się. Odwróciła szybko głowę i poszła dalej. W ogóle jej nie słyszał, gdy był w mieszkaniu.

Podszedł do drzwi po prawej. Na połączanej tabliczce widniało nazwisko: Schiöld. Herman Schiöld. To ten sąsiad, który przyznał, że coś słyszał, może kroki. Winter nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę. Było cicho. Zadzwoił jeszcze raz. Sygnał brzmiał, jakby odbijał się od ścian mieszkania, a potem do niego wracał. To był jedyny dźwięk w całym budynku. Czekał, aż ucichnie. Stał bez ruchu. Nagle miał wrażenie, jakby go sparaliżowało. Dziwne uczucie. Nie mógł się ruszyć spod drzwi.

W kieszeni płaszcza zadzwonił telefon.

– Tak?

– Cześć, tu Halders. Jedziemy z Tommym Näverem.

Winter jeszcze przez chwilę wpatrywał się w nazwisko na drzwiach.

– Eriku?

– Tak, jestem. Näver. Dobrze. Co mówi?

– Wydaje mu się, że widział Gerde Hoffner dzień przed sylwestrem. Co do tej drugiej sprawy, to wstrzymałem się na razie z pytaniami.

– Okej. Widzimy się w wydziale.

Rozłączył się. Znow mógł się ruszać.

WINTER PRZYJĄŁ TOMMY'EGO W SWOIM POKOJU. Sprzedawca gazet przeciągnął ręką po twarzy i zatrząsł się. Winter miał ochotę zrobić to samo.

– Czy ona naprawdę zniknęła? – zapytał Näver.

– W pewnym sensie tak.

– To dobra dziewczyna. Od razu widać.

– Opowiedz, kiedy ją ostatnio widziałeś.

– Co mam powiedzieć?

– Rozmawiała z tobą?

– Nie. Chyba mnie nie widziała.

– Aha.

– Wyglądała, jakby gdzieś szła. Patrzyła przed siebie. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– Myślicie, że mogła ze sobą skończyć?

– Skąd ten pomysł?

– To się zdarza. – Spojrzał w dal. – Zdarzyło się paru moim kumplom. – Znów popatrzył na Wintera. – Może się zdarzyć nawet komuś, kogo nigdy byśmy o to nie podejrzewali.

– Nie wiemy – odparł Winter. – Ale nie wydaje mi się, żeby to zrobiła.

– To by było straszne – powiedział Näver.

Winter przytaknął. Zawsze jest straszne. To jak ucieczka, która tak naprawdę nie jest ucieczką. Czasami tuż przed samobójstwem człowiek czuje spokój. Czy Gerda Hoffner była spokojna, zanim zniknęła? Czy była szczęśliwa? Chyba nie, ale nie wiedział na pewno. Musiałby popytać. Jej partner z radiowozu, Johnny, przypominał szczęśliwego pajaca. Taki pewnie nigdy by ze sobą nie skończył.

– Chciałbym cię zapytać o coś, o czym rozmawiałeś z synem – powiedział Winter.

– Nie podoba mi się, że tam byliście – odparł Näver. – Nie powinniście byli jechać do nich do domu.

- Szukaliśmy cię.
- Oni nie mają z tym nic wspólnego.
- O czym ty mówisz?
- Tu chodzi tylko o mnie. Popełniłem błąd.
- Co się stało?
- Jak to?
- Dlaczego jesteś bezdomny?
- Alkohol, oczywiście. Najpierw ty pochłaniasz jego, a potem on ciebie. Tak to już jest.

Winter przytaknął.

– A później popsuły mi się kolana. Kładłem podłogi, ale jak poszedłem na budowę, to ciało odmówiło mi posłuszeństwa. – Podniósł rękę, jakby chciał pokazać, o co mu chodzi. – Tak samo było z hokejem. Nie miałem do tego zdrowia. Ani do pracy, ani do hokeja. Teraz rozumiesz?

Winter skinął głową.

– Mówiłeś synowi o człowieku, którego zamordowano – powiedział Winter.

Näver wciąż ruszał ręką, i nagle przestał. Spojrzał na Wintera, jakby go zobaczył pierwszy raz w życiu.

– O czym ty mówisz? – zapytał. – Możesz powtórzyć?

– Johan powiedział, że opowiadałeś mu o pewnym mężczyźnie.

Näver siedział bez ruchu. Wyglądał, jakby próbował sobie przypomnieć coś, co się stało bardzo dawno temu. Albo całkiem niedawno.

– Nie powinienem był mu o tym opowiadać – powiedział.

– O czym?

– O tym wszystkim. O tym facecie, który zginął. On przecież też zginął. – Näver spojrział za okno. Na kanał Fattighusån. – Później coś o nim przeczytałem. Przypomniałem sobie o nim.

– Gdzie go widziałeś?

Näver spojrział na Wintera.

– Pamiętałem, że przechodził obok. Mijał mnie czasem.

– Rozmawiałeś z nim?

– Pewnie się zdarzyło. Zagaduję przecież wszystkich, sam wiesz.

Winter podniósł ze stołu zdjęcie, leżało wśród innych papierów. Anders Dahlquist uśmiechał się na nim nieśmiało.

– To on? – zapytał.

Näver popatrzył na zdjęcie.

– Tak – odpowiedział i podniósł wzrok. – To ten.

– Nazywa się Anders Dahlquist.

Näver przytaknął.

– Kiedy go widziałeś po raz ostatni?

– Nie mam pojęcia. Nie sięgam pamięcią tak daleko.

– To nie było aż tak dawno – odparł Winter.

– Skoro wicie lepiej, nie musisz mnie chyba pytać.

– Dlaczego opowiadałeś o nim Johanowi?

– Sam nie wiem. To było głupie. Chciałem chyba... sam nie wiem.

Zamilkł. Znów wyjrzał przez okno. Kanał po drugiej stronie parku migotał teraz wszystkimi światłami nocy. Woda wyglądała jak stal.

– Właściwie nie mam nic więcej do powiedzenia. – Twarz Nävera wykrzywiła się, jakby nagle poczuł potworny ból. Łzy spływały mu po policzkach. One też przypominały stal. Błyszcząca stal na chropowatej powierzchni. Nie próbował ich otrzeć. – Do diabła – powiedział tylko.

Winter czekał. Słyszał, że jest w rozpacz. Była jak krzyk, który wyrwał się z jego wnętrza. Jego ciało trzęsło się z bólu. A może zbyt długo był trzeźwy.

Näver wytarł nos. Wyciągnął skądś chusteczkę.

– Przepraszam – powiedział.

– Przynieść ci coś, Tommy? Może wody? Albo kawy?

– Nie, nie. Muszę już lecieć. – Spojrzał na Wintera. – Mogę już iść?

– Czy Dahlquist był sam?

– Co?

– Ten facet, o którym rozmawiamy. Nazywał się Anders Dahlquist. Widziałeś go z kimś?

Näver schował chusteczkę. Przeciągnął dłonią po czole i włosach. Wygładził rękaw kracianej koszuli, jakby się szykował do powrotu do rzeczywistości.

- Słyszałeś moje pytanie, Tommy?
- Tak, słyszałem. – Spojrzał na Wintera. – Miał chyba jednego kolegę.
- Kolegę?
- Jeśli dobrze pamiętam, przechodził z kimś kilka razy.
- Którędy? Obok Tvåkanten?
- Tak. Szli w stronę Kristinelund.
- Kristinelundsgatan?
- Tak.
- Jak wyglądał ten kolega?
- No... przystojny facet. Dobrze ubrany. Pasował do okolicy, że tak powiem. Był opalony.
- Ile miał lat?
- Ze czterdzieści. Ale trudno powiedzieć.
- Wyglądali, jakby byli przyjaciółmi?
- Rozmawiali ze sobą w każdym razie.
- Zastanawiałeś się nad tym, Tommy?
- Co? Nie...
- Wiedziałeś przecież, że Dahlquist został zamordowany. Widziałeś go z kimś kilka razy. Nie myślałeś o tym?
- Pytasz, czy skojarzyłem jedno z drugim? W zasadzie nie. Chryste, nie jestem przecież komisarzem. To nie moja praca. A nawet gdyby, pewnie bym tego nie pamiętał, bo wtedy chlałem. Rozumiesz? Dopiero teraz w ogóle kojarzę, co do mnie mówisz. Łączę fakty. Rozumiesz? Przed Bożym Narodzeniem piłem całymi tygodniami.
- Spotkaliśmy się wtedy. Byłeś pijany.
- Naprawdę? Nie przypominam sobie. Widzisz? Zupełnie nie pamiętam.
- Ale zapamiętałeś przyjaciela Dahlquista?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie wiem, czy to się w ogóle da wyjaśnić.
- Widziałeś go z kimś innym?
- Nie... nie przypominam sobie.
- A samego?

- Tak.
- Kiedy widziałeś go ostatnio?
- Samego? To masz na myśli?
- Tak.
- Nie pamiętam. To... – Zamilkł.

Winter czekał na ciąg dalszy.

– To mogło być w Wigilię – mówił dalej Näver. – Tego dnia, kiedy jechałem z nią radiowozem... z tą twoją policjantką. Ma na imię Gerda, tak?

- Widziałeś go w Wigilię? – zapytał Winter.
- Tak mi się wydaje – odpowiedział Näver.
- A widziałeś go później?
- Nie.
- Rozpoznałbyś go, gdybyś go znów zobaczył?
- Tak.

Winter skinął głową.

– Byli do siebie trochę podobni – powiedział Näver.

– Słucham?

– Ci dwaj. Dahl... Dahlquist i ten drugi. Wyglądali podobnie.

– W jakim sensie?

– Nie chodziło tylko o ubiór... to coś innego. Byli trochę do siebie podobni. Przypominam sobie, że się nad tym wtedy zastanawiałem. Jakby byli spokrewnieni. Trochę jak bracia. Albo rodzeństwo przyrodnie. Sam mam przyrodniego brata.

Woda się skończyła. Włożył do dzbanka rurkę, przez którą piła, ale teraz nie było w nim już nic. Zaschło jej w gardle. Nie mogła przelikać śliny, zresztą nie miała już czego przelikać.

Wystraszyła go. To moja wina. Wróc, wyjaśnię ci to. Wytłumaczę ci wszystko od początku.

Usiłowała zobaczyć coś w ciemności, mrugała oczami. Z trudem łapała oddech. Próbowwała zmienić pozycję. Znów ją związał jakoś inaczej? Nie mogła się ruszyć. Jestem sparaliżowana. Jestem całkowicie sparaliżowana.

Słyszała coś chwilę wcześniej. Ktoś kilka razy dzwonił do drzwi, to musiał być dzwonek. Jak jej się udało to usłyszeć? Czyżby leżała tak blisko drzwi? A może to inne mieszkanie? Jest obok tamtego? Ale tam chyba nikt nie przychodził i nie

dzwonił? Czy drzwi wciąż są zabezpieczone taśmą? A może to trwa tak długo, że już zdjęli taśmę? Zamknęli już tę sprawę. Wszyscy o niej zapomnieli.

On też już o niej zapomniał. Mogło tak być. W pierwszym mieszkaniu była tak długo, a później on wymyślił dla niej jeszcze lepszą kryjówkę i ukrył ją tak, że sam nie jest w stanie jej znaleźć. Mogliby nakręcić o tym film. Wiem, że przeniósł mnie przynajmniej raz. A teraz zapomniał, o co w tym wszystkim chodzi. Prędyj czy później sobie o mnie przypomni, ale wtedy inni nie będą już pamiętać, więc to bez znaczenia. Nie mam już siły myśleć. Chce mi się spać.

Winter był w pokoju sam. Za oknem nie było widać ani jednego człowieka, ani jednego pojazdu. Styczniowy wieczór ciążył nad miastem jak kamień. W ciągu dnia się ochłodziło. Było minus siedem, bardzo zimno jak na Göteborg. Pomyślał o styczniu w Hiszpanii. Wieczory w Andaluzji były co prawda chłodne, ale ciepłe dni je rekompensowały. A do tego było jasno, jakby światło z całej ziemi skumulowało się właśnie tam.

Costa del Sol. Już nigdy się nie uwolni od Costa del Sol. Stało się tam coś, co miało związek ze sprawą, którą się zajmuje od kilku tygodni. Ta sprawa. Te sprawy. Nie wiedział, na ile są powiązane, ale czuł, że wszystko do siebie pasuje. Może to wszystko jedna układanka. Ale to chyba nie była tajemnica.

Pomyślał o Eriku Lentnerze. Chłopak coś przeżył. To mogła być błahostka albo wręcz przeciwnie, coś, co wywołało tę straszną lawinę. Ktoś jeszcze był w to zamieszany. Holst? Tak, Holst. Ale był ktoś jeszcze. Albo i nie. Nie, jednak ktoś był.

Wrócił do biurka i wyjął notatnik. Wybrał numer i czekał.

– Ann Lentner.

– Dzień dobry, mówi Erik Winter z komendy okręgowej. Spotkaliśmy się już...

– O co znów chodzi? – przerwała mu.

– Chciałbym porozmawiać z Erikiem.

– Po co?

– Chciałbym go o coś zapytać. Jest w domu?

– Nie.

– A kiedy mogę go zastać?

– Nie wiem.
– W takim razie zadzwonię na komórkę.
– Nie zabrał jej ze sobą.
– Dokąd jej nie zabrał?
– Do Marbelli.
– Erik jest w Marbelli?
– Tak. To jakiś problem? Jego obecność nie była przecież konieczna w dalszym toku postępowania czy jak to się tam nazywa?

Winter nie odpowiedział. Oczyma wyobraźni zobaczył Erika Lentnera. Zobaczył też plac w Marbelli, palmy i wąską uliczkę pnącą się ku góróm.

– Halo? – usłyszał głos Ann Lentner.
– Dlaczego postanowił pojechać do Marbelli?
– Dziwi to pana? Chciał uciec od... tego wszystkiego. I pobyć sam.

– Jest tam sam?
– Tak, nie wspomniałam o tym?
– W mieszkaniu przy Calle Aduar?
– Tak, oczywiście.
– Kiedy wyjechał?
– Wczoraj.

Winter usłyszał w tle jakiś inny głos.

– Tak, wyjechał wczoraj rano.

Air France, pomyślał Winter, lot przez Paryż. Albo Lufthansa przez Monachium. To oznacza, że był w Maladze między dwunastą a pierwszą.

PLAŻA BYŁA BIAŁA. Jak wszystko wokół. Nie był w stanie odróżnić łądu od nieba. Nie czuł nic pod stopami. Mógł latać.

Widział samego siebie.

Stał przed drzwiami.

Obudził się z krzykiem.

– Eriku? Eriku?

Poczuł coś na ramieniu. Ktoś próbował go złapać. Chciał się wyrwać.

– Eriku!

Nagle zorientował się, gdzie jest.

Angela go puściła. Czy w jej oczach widział strach?

– Już w porządku – powiedział.

Nie odpowiedziała.

– Uderzyłem cię?

– Nie. Nie trafiłeś.

Usiadł na łóżku.

– Coraz gorzej sobie radzę z tymi snami. – Wyciągnął do niej rękę. – Przepraszam.

– Masz rację – powiedziała i chwyciła jego dłoń. – Jest coraz gorzej. Jakby te sny stawały się coraz straszniejsze.

– Ten nie był taki straszny.

– A jednak krzyczałeś.

– To nie ja. Usłyszałem krzyk we śnie.

– Przecież słyszałam. To ty krzyczałeś.

Postawił stopy na wypolerowanej drewnianej podłodze. Wydawała się ciepła i przyjemna. To nie był sen. To była jedyna rzeczywistość, której pragnął, ale życie nie jest takie proste. A ten sen wciąż chodził mu po głowie.

– Widziałem jakieś drzwi – powiedział i odwrócił się do Angeli. – Stałem przed nimi.

– Co było za nimi?

– Nie wiem. Były zamknięte.

– A jak sądzisz? Co za nimi jest?

– Jest? Wcześniej powiedziałaś było.
– Co za nimi jest? – powtórzyła. – We śnie stałeś przed drzwiami. To to, co masz w środku, tam cię zaprowadziło.
– Nawet nie chciałem sprawdzać.
– We śnie?
– Tak. – Wstał z łóżka. – Ale teraz chcę. Wróciłem do rzeczywistości.

– Co masz na myśli?
– Wiem, gdzie są te cholerne drzwi.
Ściągnął koszulkę, w której spał.
– Co robisz, Eriku? Wybierasz się tam?
– Muszę.
– Co to za drzwi? Gdzie one są?
– Kilka przecznic dalej.

Wyszedł z sypialni i ruszył do łazienki.

– Jest czwarta rano! – krzyknęła za nim Angela. Ale nie usłyszał.

Jej głos dotarł do niego, dopiero kiedy opłukiwał twarz wodą. Zamknęła za sobą drzwi łazienki.

– Nie puszcze cię, jeśli mi tego nie wytłumaczysz – powiedziała.

Wyciągnął rękę po ręcznik.

– Nie ma czego tłumaczyć. Jeszcze nie. To tylko... przypuszczenie. Stałem już pod tymi drzwiami. Na jawie.

– Kto tam mieszka?

– Sąsiad jednej z zamordowanych dziewczyn.

– To nie sprawdziliście wszystkich sąsiadów? Nie robi się tego na początku?

– Sprawdziliśmy. I nawet przyglądałem mu się bliżej.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Niby nic nie znalazłem. Ale... naprawdę sam nie wiem. Jutro poprosimy świadka, żeby spojrział na jego zdjęcie.

– Świadka czego?

– Świadka... – zaczął Winter, ale szybko przerwał. – To trochę skomplikowane. Chodzi o zwłoki, które wypłynęły na plaży. I o tę zaginioną policjantkę.

– Więc zaczekaj do rana.

– Znasz mnie. – Odwiesił ręcznik. Wytarł twarz chyba z dziesięć razy, jakby próbował wydobyć spod skóry dobrą wymówkę: w środku nocy nie powinien przecież nikogo nachodzić. Może jednak ma powód, to się okaże. Już mu się to zdarzało. Logiczne wytłumaczenie przychodziło dopiero po fakcie. – Muszę tam jechać. Ale pewnie wystarczy, jak się pokręcę po okolicy.

– Skoro cię tak nosi, to idź w drugą stronę.

Winter skinął głową.

– To może być niebezpieczne – powiedziała.

– Nie, nie.

– Idiota – rzuciła. Otworzyła drzwi i wyszła do przedpokojku. Prawie nie słyszał bosych stóp na lakierowanym świerkowym parkiecie.

Nad Vasaplatsen nie było słyhać wiatru. Tramwaje nie zaczęły jeszcze kursować. Miasto wciąż było pogrążone w zimowym śnie. Minął stary budynek uniwersytetu. Wyglądał jak więzienie. Po drugiej stronie Vasagatan przejechała taksówka. Taxi Göteborg. Jechała z północy, w kierunku Vasaplatsen. Minął Götabergsgatan, szedł dalej prosto, potem skręcił w prawo, w Chalmersgatan. Budynki były ciemne i ciche, przypominały zamknięte grody. Średniowieczne miasta. Światła latarń nie dosięgały ulic. Rozmywały się w ciemnościach nocy.

Był sam. Sam na ziemi, pośrodku wielkiego miasta.

Brama była otwarta.

Nie słyszał własnych kroków na schodach. Szedł w ciemności. Widać było tylko blade nocne cienie. Okna na klatce przypominały mroczne obrazy.

Stał przed drzwiami, które też przypominały mroczny obraz. Tabliczka z nazwiskiem błysnęła w ciemności, jakby światło z bramy wreszcie znalazło drogę na górę i weszło za nim po schodach. Tabliczka nie była złota, teraz wydawała się srebrna. Była matowa. Jak puchar, który widział w mieszkaniu Dahlquista.

Zapukał do drzwi. Odgłos był cichy, stłumiony, a jednak rozbrzmiał echem na klatce. Zapukał jeszcze raz. Drugie echo

zderzyło się z pierwszym. Zapukał jeszcze raz, trochę mocniej.

Skoro zaszedłem aż tak daleko... pomyślał i nacisnął dzwonek, raz, dwa razy. Raz-dwa-trzy-cztery. Pracuję w wydziale kryminalnym. Mogę wchodzić, gdzie chcę. Trzeba to wykorzystać.

Niemal bezszelestnie otworzył drzwi. Rozległ się tylko głuchy dźwięk i natychmiast ucichł. Włamania wychodziły mu coraz lepiej. Delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Stał w przedpokoju. W środku było jasno, jakby uliczne latarnie zaczęły w końcu działać. Nie musiał zapalać światła, żeby się zorientować, że jest sam. Przedpokój był tak samo duży jak w jego mieszkaniu na Vasaplatsen. Tak jak się spodziewał. Mieszkanie nie wydawało mu się obce. Nie bał się. Na co jeszcze liczył? Nie potrafiłby powiedzieć.

– Halo?

Jego głos brzmiał spokojnie. Ucieszyło go to. Nie zdradził go. Światło z dworu wpadało do przedpokoju przez któreś z drzwi. Przyjemna poświata.

– Halo? Jest tu kto?

Nikt nie odpowiedział.

– Halo? Halo? Policja!

Na ścianie zobaczył włącznik. Nacisnął go. Wciąż nic się nie działo. Szedł w głąb przedpokoju. Po lewej same z siebie otworzyły się drzwi do kuchni. Okno wychodziło na podwórko. Mieszkanie miało taki sam rozkład jak jego. Sięgnął w prawo, żeby zapalić światło. Trafił na włącznik. Nacisnął go i z lampy nad stołem spłynęło na kuchnię łagodne światło. Stół był pusty. Zlew również. Krzesła wsunięte. Na parapecie żadnych kwiatów.

Żadnych karteczek przyczepionych do lodówki. Na blacie, na lewo od kuchenki, stały cztery butelki wina. Od razu rozpoznał hiszpańskie amontillado. Obok stała mała porcelanowa miska, w niej trzy zapalniczki. Tanie plastikowe zapalniczki, które można kupić przy kasie na stacjach benzynowych. Wyblakłe kolory, jak losy z loterii. Nie pasowały tam. Pochodziły z innego świata.

Wyszedł z kuchni i wszedł w następne drzwi. Do sypialni.

Posłane łóżko, puste nocne stoliki. Przy oknie fotel. Nic więcej.

W salonie na trzech ścianach wisiały cztery obrazy.

Nie muszę już nic więcej widzieć, pomyślał, gdy spojrzął na pustą ławę i fotele, wszystko ustawione jak pod linijkę. Zdaniem biura nieruchomości Schiöld nie mieszkał tutaj dłużej niż dwa miesiące. Jeśli w ogóle mieszkał. Wystarczająco krótko, żeby sąsiedzi nie byli w stanie rozpoznać jego twarzy. Nie pokazywał się. Tylko obserwował.

Winter znów znalazł się w przedpokoju. Na górnej półce leżała wełniana czapka. Na dolnej – para ogrodowych rękawic. Ale tu nie było ogrodu. Nie schował ich. Winter starał się zachować spokój, ale chyba mu się nie udało. To się działo tu. I teraz. Wciąż trzeba uratować ludzkie życie. Ocalić. On ratuje życie, które tamten ocalił. To znaczy nad którym miał władzę.

Gdzie ona jest? Dlaczego jej nie ma w tym mieszkaniu? Gdzie ją, do cholery, trzyma?

– Gerda?! Gerda Hoffner?! Halo? Gerda?!

Teraz jego głos zdradzał, że się niepokoi. Gdyby tylko mógł zdradzić coś jeszcze. Kryjówkę, miejsce, w którym jest. Chodził z pokoju do pokoju. W mieszkaniu było pięć pomieszczeń, łącznie ze składzikiem. Gerdy ani śladu. Ale widział tylko to, na co pozwalało mu to zdradzieckie światło.

Była tu, pomyślał. W końcu znajdziemy jakiś trop. To mi nie wystarczy.

W tym mieszkaniu nie było już życia. Służyło jedynie za kurtynę. Chodzenie po nim przypominało występowanie na scenie. Właśnie schodzę ze sceny, pomyślał.

Ale wszedł na nią znowu, tym razem z Ringmarem. Weszli tam dwie godziny później. Nie byli sami.

– Moliny nie trzeba było długo namawiać – powiedział Ringmar.

– To inteligentny prokurator – odparł Winter.

– Mam nadzieję, że my jesteśmy równie inteligentni.

Ringmar się rozejrzył.

– To mieszkanie... – powiedział Winter. – Tu był nasz poszukiwany.

– W Göteborgu mieszka przecież więcej pedantów.

- To na pewno on.
- Ale gdzie w takim razie jest Gerda?

Winter nie odpowiedział.

- Może nie mają ze sobą nic wspólnego – odparł Ringmar.
- W nocy przez chwilę myślałem, że ją tu znajdę.

Jakaś dziewczyna od techników wyszła ze składziku. Była z nowego naboru. Winter nie pamiętał jej imienia.

– Wydaje mi się, że ktoś niedawno leżał w łóżku – powiedziała.

– Tak?

– Sprawdźmy to – odparła i weszła do kolejnego pokoju.

– Była tu – stwierdził Winter. – Jestem pewien.

– Ale gdzie, do cholery, jest teraz?

– Byłem w piwnicy – powiedział Winter. – Jest tam komórka, która należy do tego mieszkania. Jest prawie pusta. Tam też jej nie było.

– A gdzie, do diabła, jest on? – zapytał Ringmar.

– Gdzie indziej – odpowiedział Winter.

– Gdzieś pojechał? Jeśli zwiął samolotem, możemy to sprawdzić.

– Jeśli wyjechał pod własnym nazwiskiem.

– Mógł się posłużyć cudzym paszportem? Aż tak?

– Möllerström sprawdza lotnisko Landvetter – odparł Winter.

– Samolot już pewnie odleciał – stwierdził Ringmar i spojrział na zegarek.

– Pewnie nie leciał dzisiaj.

Kiedy kupował bilet na samolot i odlatywał do Malagi liniami Air France, wciąż nazywał się Herman Schiöld. To był lot w jedną stronę.

– Musi tam mieć jakąś metę – powiedział Ringmar.

Stali w pokoju Wintera. Żaden z nich nie chciał usiąść.

– Cholernie dużo czasu zajęłoby nam sprawdzenie wszystkich pośredników, którzy zajmują się ofertami zagranicznymi – ciągnął Ringmar. – Wszystkie biura sprzedają teraz nieruchomości za granicą. Wkrótce będzie ich więcej niż krajowych.

Za oknem zrobiło się jasno. Zapowiadał się kolejny pogodny dzień. Ostatnio były tylko takie. Mgła, która wciąż wisiała nad miastem, przypominała o czasach, kiedy pogoda nie była tak ładna. Tommy Näver rozpoznał Schiölda na zdjęciu paszportowym. Była to pierwsza rzecz, jaką tego dnia zrobił w swoim miejscu pracy na Avenyn, zanim udało mu się sprzedać choć jedną gazetę. Winter sam pojechał pokazać mu zdjęcie.

– Porwał ją? – zapytał Näver.

– Tak mi się wydaje – odparł Winter. – Dzisiaj się dowiemy, czy ktoś inny był w jego mieszkaniu. To mogła być ona.

– Co za bydlę. Dlaczego to zrobił?

– Pewnie podeszła zbyt blisko – odpowiedział Winter. – Prawdopodobnie poszła do tego mieszkania. Zadzwoiła do drzwi. I kiedy stanęła w przedpokoju, zorientowała się, że dobrze trafiła.

– Dobrze trafiła? Ale na co?

– On ma na sumieniu także inne zbrodnie – odparł Winter. – Zostawił ślady.

– Dahlquist? To on zabił Dahlquista?

Winter nie odpowiedział.

– Gdzie ten drań teraz jest? – zapytał Näver.

– Gdzieś na południu Hiszpanii.

– A dlaczego akurat tam?

– To długa historia – odparł Winter.

– Ale wysłaliście po niego Interpol?

– To nie takie proste.

– Aha. Więc zwił i zostawił gdzieś dziewczynę? – zapytał Näver.

– Tak przypuszczamy.

– To co, do cholery, robicie w tej sprawie?

– Szukamy.

– Gdzie?

– Wszędzie – powiedział Winter.

– Myślisz, że jeszcze żyje?

– Tak.

WINTER JECHAŁ ULICĄ SÄRÖLEDEN. Skręcił w Hovåsmotet. To był jeden z tych poranków, które wydają się darem od Boga. Bo świat jest wieczny. Zupełnie jak wartości, które łączą mieszkających tu ludzi, pomyślał i wjechał do dzielnicy, która, jeśli chodzi o wartości, śmiało mogłaby konkurować z Beverly Hills. Wartości materialne. Wieczne wartości.

Peder Holst czekał przed swoją przypominającą pałac posiadłością na wzgórzu. Wszystkie domy w okolicy były pałacami, a ich właściciele – królami i królowymi.

Ale jedna z tutejszych księżniczek zniknęła. I to na zawsze.

Mimo porannego chłodu Holst miał na sobie tweedową marynarkę. Kilka pojedynczych nitek zwisało z mankietów. Znak rozpoznawczy klasy wyższej.

– O czym chciał pan rozmawiać? – zapytał.

Stał tam już dłuższą chwilę. Czekał, aż Winter zaparkuje, wysiądzie z samochodu i przejdzie kilka metrów po zwirowym podjeździe.

– Gdzie pańska żona? – zapytał Winter.

– Annica jeszcze nie wstała. – Holst odwrócił się i spojrzał na fasadę, na której mieniło się ze sto okien. Jakby Annica Holst miała za chwilę stanąć w jednym z nich. – Wstaje dość późno.

– Popatrzyl na Wintera. – Czasami w ogóle nie wstaje z łóżka.

Winter skinął głową.

– Czasem i mnie dopadają takie myśli – powiedział Holst. – A może pragnienie. Pragnienie, żeby się już nigdy nie podnieść.

– Rozumiem.

– Nie rozumie pan. Nigdy pan tego nie zrozumie, jeśli sam pan tego nie przeżyje.

Winter nie odpowiedział. Holst chciał jeszcze coś dodać, ale zamilkł, nim zdołał wyrazić tę myśl. Postarzał się od czasu, gdy Winter widział go po raz ostatni. A może po prostu źle go zapamiętał. Może już od dawna wyglądał na załamanego.

Człowiek załamany od dwudziestu lat.

– Muszę się dowiedzieć, do czego doszło między panem a Erikiem Lentnerem dwadzieścia lat temu – powiedział Winter.

Holst spojrział na niego. Jego oczy miały matowy połysk. Winter widywał taki na stole obdukcijnym. Holst sprawiał wrażenie chodzącego, ubranego w tweed trupa. Przez żal, który w sobie nosił, ale nie tylko.

– Co się wtedy stało? – powtórzył Winter.

– Napije się pan czegoś? – zapytał Holst. – Może filiżankę kawy? Zdążył pan zjeść śniadanie?

– Ma pan zamiar mi to powiedzieć? – zapytał Winter. – Jeśli tak, dam się zaprosić na kawę.

– Ekspres chyba się zepsuł – powiedział Holst. – Albo już nie umiem go obsługiwać. Może to dlatego, że przez jakiś czas nie był używany. Bo chyba jak się nie korzysta z ekspresu, to osadza się na nim kamień?

– Możliwe – odparł Winter.

– Więc to pewnie to. W takim razie mogę zaproponować tylko rozpuszczalną.

– Poproszę. Możemy wypić na dworze.

– Tak, lepiej nie budźmy Anniki. Miała wczoraj problemy z zaśnięciem.

– Nie będziemy jej budzić – powiedział Winter.

Holst spojrział mu w oczy i przytaknął. Zrozumiał. Obaj zrozumieli. Dotarło do niego, że Winter już wie.

Wspiął się po schodach do pałacowych drzwi. Były otwarte. Potem zniknął w środku.

Winter przeciął zwirowy podjazd, a potem przeszedł dziesięć metrów trawnikiem i znalazł się na małym wzgórzu. Widział stamtąd morze i kawałek budynku starej stacji. Niżej było kąpielisko i boisko do piłki nożnej. Słońce wracało z drugiej półkuli. Wcale nie wyglądało, jakby je zmęczyła ta wędrówka. A było wszędzie. Skały były tak samo szaroniebieskie jak latem. Niebo tak samo błękitne, piasek tak samo żółty. Trawa tak samo zielona. Tylko drzewa były martwe.

Poczuł, że w kieszeni wibruje mu komórka.

– Tak?

– Tu Bertil. Dojechałeś już do Hovås?

– Tak, właśnie stoję w ich ogrodzie – odparł Winter. Nagle zobaczył płynącą fiordem żaglówkę. Kierowała się na południe. Wyglądała wakacyjnie, miała biały żagiel. Za chwilę będzie przepływać obok jego działki, obok jego przyszłego pałacu. – Widzę żaglówkę.

– Okej. Słuchaj. Grafolog Torstena... to znaczy grafolog jak grafolog... no, ale odczytał ten zamazany napis na pucharze. Szczegóły omówimy później, ale udało mu się odczytać dwa słowa. A przynajmniej większość liter.

– Jakieś nazwisko?

– Nie, nie nazwisko. Dwa słowa. Wygląda to jak styl dowolny.

– Styl dowolny? Jak w pływaniu? W zawodach pływackich?

– Tak. Styl dowolny. Kraul. Sto metrów stylem dowolnym.

– Pierwsze miejsce w mistrzostwach regionu – powiedział Winter.

– Tak, a ponieważ chodzi o pływanie, od razu zadzwoniłem pod najbardziej oczywisty numer.

– Czyli?

– Na pływalnię Valhalla. Gdzie indziej miałyby się odbywać zawody pływackie?

– Jest w mieście jeszcze kilka innych miejsc, ale okej. Rozumiem, że udało ci się czegoś dowiedzieć.

– Mistrzostwa odbyły się na pływalni wiosną 1981 roku. Organizowało je chyba towarzystwo pływackie z Göteborga. To nie były szkolne zawody. Ale uczestnicy konkurowali w odpowiednich kategoriach wiekowych. Te kategorie nie zostały co prawda oznaczone na pucharach...

– Jak brzmi to nazwisko? – przerwał mu Winter. – Kto wygrał?

– Dahlquist – odparł Ringmar.

– Więc to jednak on.

– Nie, jeszcze lepiej. Zwycięzca nazywał się Herman Dahlquist.

– Powtórz.

– Herman Dahlquist. Zawodnik miał na imię Herman.

Śniły jej się wspaniałe rzeczy. Tak jej się wydawało. Wspaniałe sny. Znów jestem dzieckiem. Wszystko wydaje się takie duże, gdy samemu jest się małym. Tyle rzeczy jest nowych. Wszystko jest ekscytujące. To niesamowite uczucie móc pójść za róg, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Jako dziecko wie się tak mało. Mama mówiła, że nie wolno chodzić za róg. To chyba niemieckie przysłowie. Nie chodź za róg! Runde Ecke. Kuzyn mamy zginął za rogiem. To było niebezpieczne. W tamtych czasach wielu ludziom wydawało się to niebezpieczne. A ja poszłam za róg. Nie powinnam była tego robić. Powinnam była zostać i porozmawiać z Tommym, gdy sprzedawał te swoje gazety. Tam byłabym bezpieczna. On jest dobry. I miły. Takich właśnie trzeba na tym świecie. Zawsze marzyłam o kimś miłym. Przyszedł i otworzył drzwi. A może to ona? Nagle zrobiło się tak jasno. Nic nie widzę. Bez różnicy. To już nie ma znaczenia. To tylko sen.

Peder Holst przyszedł z tacą z dwoma parującymi kubkami i małym dzbankiem.

Winter wrócił na schody. Pożegnał się już z Ringmarem.

– Nie wiedziałem, czy pije pan z mlekiem – powiedział Holst.

– Tak, proszę.

Holst postawił tacę na balustradzie. Była szeroka jak ława.

Nalał do filiżanki trochę mleka i podał ją Winterowi.

– Czy ktoś zajmuje się domem, kiedy państwa nie ma? – zapytał Winter.

Holst się wzdrygnął. Nalewał właśnie mleka do swojej filiżanki. Zalał całą tacę. Odstawił dzbanuszek. Ręka mu drżała. Nie podniósł filiżanki.

– Ma pan na myśli ten na Costa del Sol? – zapytał.

– Tak. A mają państwo więcej domów?

– Nie, nie.

– Więc kto się nim zajmuje?

– Nie ma za bardzo czego doglądać.

– Nie mają państwo ogrodu?

– Mamy.

– A basen?

Holst nie odpowiedział.

– Ktoś przecież musi zajmować się basenem.

– Nie teraz. – Holst spojrział na zimowe niebo. Skandynawskie, choć równie niebieskie jak tam, na południu.
– Właśnie go odnawiamy.

Winter przytaknął. Wypił łyk kawy. Zaczęła już stygnąć. Nie przez mleko. To przez wiatr. Zerwał się nagle, chociaż na niebie nie było ani jednej chmury. Poczul zimno na karku. A może to nie przez wiatr.

– Kto tam wtedy był? – zapytał Winter.

Holst wciąż patrzył w niebo. Nic nie można było na nim dostrzec, tylko pustkę. Niebo jak dno basenu. Bo dno jest niebieskie jak woda. Tak naprawdę to woda przybiera kolor dna.

– Kto tam był, kiedy to się stało? – zapytał Winter.

Holst odwrócił się do Wintera.

– Słucham?

– Przy basenie. W basenie. Kto tam był?

– Już o tym rozmawialiśmy – odparł Holst. – Temat uważam za zamknięty. Gdybym wiedział, że będzie pan chciał o tym rozmawiać, nie zapraszałbym pana.

– Sam się wprosiłem – powiedział Winter.

Holst nie odpowiedział.

– A wtedy? Kogo zaprosił pan do domu? – zapytał Winter.

Znów poczul zimno na karku. Już nie przez wiatr, bo podmuch zamarł równie szybko, jak się zerwał. A on wciąż odczuwał chłód. Powoli zbliżał się do skroni. Nie bolała go głowa. Może go rozboli, gdy chłód dojdzie do czoła. Nie chciał na niego czekać.

– Kogo pan wtedy zaprosił? Który to był rok? 1989? 1990?

Holst wciąż milczał.

– Był tam Erik – powiedział Winter.

– Rozmawialiśmy już o tym – odparł Holst. – Ten temat jest już zamknięty.

– I Madeleine.

Holst znów się wzdrygnął. Jakby Winter ukłuł go szpilką.

Spojrział na niego. Jego oczy wydawały się tak samo martwe jak wcześniej. Białka miały kolor kości, które zbyt długo leżały

na słońcu. Jego twarz przypominała pustynię. Krater.

– Madeleine też tam wtedy była – ciągnął Winter.

– Proszę jej w to nie mieszać!

Winter nie odpowiedział.

Holst znów podniósł wzrok. Spojrzał na fasadę swojego pałacu. Winter też popatrzył w tę stronę. W oknie na drugim piętrze coś się poruszyło. Za firanką zobaczył twarz, kobietą dłoń. Annica Holst. Stała bez ruchu. Ona i jej mąż patrzyli na siebie. Są złączeni tą straszną tajemnicą, pomyślał Winter. Złączeni na zawsze.

Holst wbił wzrok w ziemię, na której był tylko żwir i kamienie, kamień na kamieniu.

– Erik i Madeleine – powiedział Winter.

Holst dalej milczał. Nagle ruszył żwirowym podjazdem w stronę trawnika sąsiadującego z żywopłotem, który sąsiadował z kolejnym trawnikiem, a ten z kolei z drugim żwirowym podjazdem i marmurowymi schodami, i ścianami, i pałacowymi komnatami, i wieżyczkami, i wielką wieżą.

Minął żywopłot i zniknął.

Winter się odwrócił. Annica Holst wciąż stała w oknie. Miała lepszy widok. Widziała męża. Szedł w stronę morza.

Spojrzała na Wintera. Podniósł rękę i wtedy nagle zniknęła za firanką.

Winter czekał na schodach. Wokół panowała absolutna cisza. Żadnych statków, żadnych samolotów. Żadnych ludzi. Jego samochód stał w cieniu bezlistnych gałęzi klonu. Wyglądał jak zwierzę w prążki.

Usłyszał za sobą jej kroki.

– Zaraz wróci – powiedziała.

– Dokąd poszedł?

– Jest takie miejsce za polem golfowym. Mała plaża.

– Järkholmen? – zapytał Winter.

– Zna pan to miejsce?

– Kiedyś była to także moja plaża.

– I już nie jest?

– Nie.

– Zamienił ją pan na inną?

– Nie wiem – powiedział Winter i odwrócił się. – Miałem kiedyś plażę, ale nie wiem, czy wciąż jest moja.

– Nie rozumiem.

– Myślę, że pani rozumie. Oprócz Pedera i Erika tego dnia był tam ktoś jeszcze, prawda? Pani mąż, Erik i Madeleine. Ale nie tylko oni. Nie tylko pani.

Pokręciła głową. Nie wiedział, czy to miało znaczyć tak, czy nie. W różnych kulturach to może znaczyć różne rzeczy.

– Był też ktoś, kto pływał w basenie – powiedział Winter. – Przychodził tam, bo bardzo lubił pływać.

– Dosyć!

– Był dobrym pływakiem – ciągnął Winter.

– Nie chcę już tego słuchać!

– Myślę, że teraz siedzi przy tym basenie – odparł Winter. – Albo w nim pływa.

KIEDY WRACAŁ DO MIASTA, miał wrażenie, że włosy zajęły mu się ogniem. Dziwne uczucie. Wydawało mu się, że jest pochodnią.

Peder Holst nie wrócił. Może on też lubił pływać. Jego nie znajdą w basenie, tylko w morzu.

Annica Holst milczała. Zostawił ją w końcu na schodach. Jeśli rzeczywiście miała coś do powiedzenia, pewnie powie mu, zanim zapadnie zmrok.

Co on mógł zrobić? Co zrobił Herman Schiöld? A raczej co zrobili jemu?

Madeleine już nie było, więc nie mogła nic powiedzieć.

Erik Lentner wrócił na hiszpańskie wybrzeże.

Herman Schiöld też wyjechał.

Włosy Wintera płonęły. Zastanawiał się, skąd się bierze ten ogień.

Wybrał numer Torstena Öberga. Odebrał po drugim sygnale.

– Hej, Torsten. Tu Erik. Zastanawiałem się nad tymi plastikowymi zapalniczkami.

– Mam je tutaj. Właśnie je przynieśli.

– Butan – powiedział Winter.

– Tak – odparł po kilku sekundach Öberg. – To jedna z możliwości.

– Bezzapachowy – powiedział Winter. – Droższe zapalniczki napełnia się benzyną, ale te tańsze działają na butan.

– Wiedzą to w każdej poradni dla młodzieży – powiedział Öberg. – Dzieciaki kupują zapasowe butle butanu i napełniają gazem torby, a potem wtykają do nich głowy. To tani środek halucynogeny.

– Czy w laboratorium w Koblencji będą umieli znaleźć ślady butanu?

– Jeśli tam był, ci z Linköping powinni byli go znaleźć.

– Tak sądzisz?

– Nie jestem chemikiem, ale z tego co wiem, jego ślad

pozostaje w ciele zaledwie kilka godzin.

– Co to oznacza? – zapytał Winter.

– Ulatnia się z ciała po trzech, czterech godzinach.

– Tak szybko?

– Tak.

– Więc można kogoś odurzyć albo uśpić gazem i po trzech godzinach zabić, a w jego ciele nie będzie już śladu?

– Może tak być. Nie wiadomo dokładnie, po jakim czasie gazu zniknie. Chyba nikt tego nie wie.

– Więc zabójca ryzykuje? – zapytał Winter.

– Tak, jeśli zależy mu na tym, żeby nie odnaleziono śladu żadnej substancji.

– Może chciał przeczekać ten czas.

– Słucham?

– Siedział na brzegu łóżka i czekał.

– Wchodził, gdzie i kiedy chciał – powiedział Winter.

Ringmar przytaknął.

– Zmienił nazwisko.

– Ale po co?

– Schiöld brzmi lepiej niż Dahlquist.

– Nie sądzę.

Winter nie odpowiedział. Myślał o tytoniu i o ogniu. Wcześniej wypalił ostatniego corpsa. A potem ot tak przestał palić. Ale on nigdy nie używał zapalniczek.

Słońce nad parkiem chyliło się ku zachodowi.

To ostatni raz, kiedy je widzę, pomyślał.

Znów czuł płomień w głowie.

Czas mijał.

– Bracia Dahlquist – powiedział Ringmar.

– Anders miał klucze.

– Biuro Morenius pośredniczyło przy sprzedaży mieszkań.

– To duże biuro – zauważył Winter.

Wstał.

– To o te klucze kłócili się na skałach – powiedział.

– Anders nie chciał już w tym uczestniczyć – stwierdził

Ringmar.

– A Rhodin nie brał w tym udziału. Był tam, tylko tyle.

– Myślisz, że to nieszczęśliwy wypadek? Śmierć Dahlquista?
– Tak sądzę. – Zrobił krok w stronę okna. – Przynajmniej zaczęło się jak wypadek.

Ringmar nie odpowiedział.

– Gdzie ona jest? – zapytał Winter. – Gdzie ją trzyma?

Ringmar wciąż siedział. Nie zapalili w pokoju światła. Winter zobaczył jego profil. Znał go lepiej niż cokolwiek innego na całym świecie.

Nie chcę go stracić. Jest częścią mnie. To profil porządnego człowieka.

– Nie ma już innych mieszkań? – zapytał Ringmar.

– Chyba że agenci nieruchomości nas okłamali.

Ponowne przesłuchania sąsiadów nie przyniosły rezultatu. Natychmiastowe zdobycie nakazów rewizji i przeszukanie setki mieszkań było niemożliwe ze względów prawnych i politycznych.

– To duża dzielnica – ciągnął Ringmar. – Przypomina grody. Duże zamki. Osobne miasto. Sama w sobie jest jak odrębne miasto.

Winter pomyślał o sklepieniu bramy na Teatergatan. Ten, kto pod nim przechodził, przenosił się do średniowiecza.

– To niemożliwe, żeby wciąż tam była – powiedział Ringmar.

Winter nie odpowiedział. Myślał o średniowieczu. Dawne czasy. Ale on też nosił zbroję – elegancki garnitur. Chronił go tak samo słabo jak stal średniowiecznego rycerza.

– Nie mógł jej przecież tak zostawić? – powiedział Ringmar. W jego głosie słyhać było rozpacz. Spojrzał na Wintera. – Zabił ją, zanim wyjechał.

– Dlaczego miałyby być aż tak łaskawy? – zapytał Winter.

– Może zawsze taki był – powiedział Ringmar. – Ocalił przecież życie Barknerowi i Lentnerowi.

– Ocalił życie? Nie wiem, czy to dobre słowo w tym kontekście.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie jestem pewien. Wciąż nie rozumiem, dlaczego darował im życie.

– Nie rozumiesz? Nigdy tego nie zrozumiemy. Może się

dowiemy, co się stało, ale nigdy nie będziemy w stanie tego pojąć.

– Chciałbym, żeby on mi o tym opowiedział – odparł Winter.
– Żeby sam zdradził, co się stało.

Winter zobaczył tramwaj po drugiej stronie kanału Fattighusån. Przebijał się przez ciemność jak chmara świetlików. Jak ściśnięta wiązka światła. Jak w tunelu. Jak przez tunel. Tunel pod miastem. Tajne przejścia. Średniowieczne korytarze. Ukryty pokój.

– Gdzieś jest ukryty pokój – powiedział i odwrócił się. – Gdzieś w budynku. W tych budynkach. Ukryte mieszkanie.

– Możemy zdobyć plany – powiedział Ringmar. – Ale tajemnice nigdy nie są uwzględnione na planach.

– A właśnie że są.

Ukryty pokój, czy wręcz ukryte mieszkanie, z pewnością nie jest pierwszą rzeczą, jakiej się szuka na miejscu zbrodni. Nie na tym skupia się uwagę.

Ale takie pokoje istnieją. Czasami ich istnienie wychodzi na jaw podczas pożaru.

– Kiedy spłonął Cue Club, okazało się, że między ścianami jest kompletnie urządzone mieszkanie – powiedział Ringmar. – Przypominał prawdziwe mieszkanie.

– Słyszałem o tym.

– W starych kamienicach można znaleźć wszystko.

Winter nie odpowiedział. Myślał o ceglach i o tym, co się kryło między nimi.

– Myślisz, że zabudował jeden pokój we własnym mieszkaniu? – zapytał Ringmar.

– Zorientowalibyśmy się – odpowiedział Winter. – Choć tak naprawdę nie szukaliśmy.

– To jakaś zmyślna kryjówka. Za przymocowanymi do ściany półkami na książki. Za ścianą w sypialni.

W jego głosie słychać było ton, który Winter rozpoznał. Jakby był pusty, jakby w nim nie było żadnego przekazu. Zmęczona fascynacja ludzkimi czynami. Ale jeszcze nie zobaczyli wszystkiego. Wintera również ogarnęło to uczucie. Przypominało pusty, dudniący echem pokój, ukryte więzienie.

– Spółdzielnie mieszkaniowe muszą mieć plany budynków – powiedział.

– Tak – odparł Ringmar. – Z pewnością.

– Właściciele mieszkań. Muszą mieć bardziej szczegółowe plany. – Winter zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Od czasu do czasu skrzypiał parkiet. – Między mieszkaniami i piętrami są przecież szyby wentylacyjne. Przestrzeń, którą można zabudować, zastawić, ukryć. Może to też być przebudowany szyb windy. Chryste!

Ringmar skinął głową. Wydawał się zmęczony. Nie podskakiwał już na krześle, jak wcześniej.

– Gdzie to może być?

– Wciąż nie jest pewne, że rzeczywiście jest w tym domu. Albo w którymś z tych domów.

– To prawda. Ale trudno by mu było gdzieś ją przetransportować. Co za straszne słowo. Przetrasportować. Przenieść ją gdzieś.

– Może nie był sam.

Winter nie odpowiedział.

– Rhodin – zasugerował Ringmar. – Myślisz, że mógł być w to zamieszany?

– Nie. Przyznałby się, gdyby tak było. Nie chodzi o niego. Schiöld działał sam.

Ringmar spojrzał na zegarek.

– Jeśli naprawdę ją gdzieś ukrył, możemy tylko mieć nadzieję, że zostawił jej dużo wody. – Spojrzał na Wintera. Ich spojrzenia się spotkały. – Minęło już kilka dni.

– Musimy wezwać jak najwięcej ludzi i jeszcze raz przeczesać piwnice i strychy – powiedział Winter, jakby nie słyszał tego, co powiedział Ringmar.

– Strychy?

– Zwłaszcza strychy. Tam nigdy się nie szuka ukrytych pokoi. Wszystko jest tam skonstruowane byle jak.

– Ach tak?

– Tak jest przynajmniej na moim strychu.

Zamilkł. Ringmar znów na niego spojrzał.

– Kiedy byłeś tam ostatnio, Eriku?

– Nie, nie, nie, Bertil!

– Płyte dostarczono ci przecież do domu. Prawdopodobnie to on to zrobił.

– To co innego. Waży tyle co piórko.

Ringmar nie odpowiedział. Wciąż wydawał się zmęczony, ale jego twarz nabrała kolorów, jakby nagle wyszedł zimą na dwór. I może nawet dostał śnieżką w twarz.

– To przecież na drugim końcu miasta – odparł Winter.

– Tylko na drugim końcu Vasastan.

Winter był już w drodze.

– Załatw te plany – rzucił przez ramię. – Jeszcze dziś!

Jestem trzciną na wietrze, pomyślał, jadąc samochodem do domu. Pędzę to tu, to tam. To jeszcze nie koniec. Wciąż nic nie mamy.

Zaparkował pod bramą. Widział światła w mieszkaniu. Angela jadła z dziećmi kolację. On też chciałby zjeść kolację. Chciał, żeby go nakarmiono, żeby ktoś inny umył mu zęby, mleczne albo nie. Pomyślał o mleku w dzbanuszkach u Pedera Holsta. Wylało się na niebieską tacę jak woda. Niebieska woda. Miała odcień Morza Śródziemnego. Żadne inne morze nie jest tak niebieskie jak Morze Śródziemne, nawet w styczniu. Stał w nim po kolana w styczniu. Czy to było w zeszłym roku? Czy dwa lata temu?

Angela nie może się dowiedzieć. Elsa i Lilly również. Jeśli Gerda naprawdę jest na górze, nigdy im o tym nie powiem. Nie tutaj, nie u mnie w domu. Najpierw plaża, teraz strych. Nie, nie, nie.

Stara winda zawiozła go na górę.

Jego dłoń sprawnie odnalazła w starym pęku stary klucz. Otworzył stare drzwi. Wszedł po starych schodach. W środku unosił się ten sam stary, suchy zapach, który towarzyszył mu od lat. Drewno i gazety, słońce i kurz. Suchy. Stary. Domowy. Przytulny. To był jego strych. To jego dom.

Kiedy tu byłem ostatnio?

W Wigilię? Dzień wcześniej? Jeszcze wcześniej?

Wtedy jeszcze nie zaginęła.

Nad zamkiem w drzwiach ich składziku wisiała kłódka.

Zamek zawsze był otwarty. Kłódka zapewniała pozorne bezpieczeństwo. Złapał za nią i pociągnął drzwi. Niespodziewanie posypały się na niego wszystkie graty. Stracił równowagę, musiał się podeprzeć ręką. Wchodząc, zapomniał zapalić światło, ale teraz to było bez znaczenia. Znał to miejsce na pamięć. Odwrócił się, wyszedł ze składziku, a potem przeszedł przez strych, tam i powrotem. Nic tam nie było. Chciał się tylko upewnić. Mógł wszystko otworzyć. Ale to nie tu. To tylko jego fantazja. I Bertila. Zbyt bujna wyobraźnia. A jednak ta sprawa wymaga jej jeszcze więcej, dużo więcej. Bo tylko wyobraźnia odróżnia nas od zwierząt.

Wciąż siedziały przy stole. Słyszał ich głosy, gdy stał w przedpokoju. To był jego dom, tylko jego.

– Tata, tata!

– Co za niespodzianka – powiedziała Angela i uśmiechnęła się. Nakrywała właśnie do stołu. – Czy możemy zaproponować coś do jedzenia?

– Nie zostanę długo – odparł.

– Nie zostaniesz, tato?! – zapytała Elsa. – Przecież dopiero przyszedłeś.

– To tylko taki żart, mój i mamy.

– Głupi żart – powiedziała Elsa.

– Wiem, maleńka.

– Głupi! – wykrzyknęła Lilly i zaśmiała się.

– Myślałam, że nie będzie cię do późnej nocy.

– I pewnie tak będzie.

– Jesteś blady.

– Tak.

Wyciągnęła rękę i przyłożyła mu do czoła.

– Jesteś rozpalony.

– Strasznie mi zimno. – Zatrząsł się. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

– Co się stało, Eriku? Dlaczego przyszedłeś do domu?

– Nic się nie stało.

Lilly sięgnęła po łyżkę, którą Angela trzymała w ręku. Miała co prawda swoją łyżeczkę, ale wolała tę większą.

– Chcesz trochę kaszki, Eriku? – zapytała Angela i znów się

uśmiechnęła. Lubił jej uśmiech. To był też jego uśmiech.

– Jeśli mnie nakarmisz.

– Ha, ha, ha! – zaśmiała się Elsa.

Winter znów poczuł coś na głowie. To nie było zimno ani gorąco. To nie był ból. Poczul coś na policzku.

– Płaczesz, tato? – zapytała Elsa.

– Coś mi wpadło do oka.

Do oka. Do głowy. Nie chciał znów spędzić nocy poza domem. Bardzo chciał, żeby jeszcze żyła. Zostało trochę czasu. Mieli kilka godzin. Ale już nie całą dobę. Nawet nie pół nocy.

W kieszeni marynarki poczuł wibrującą komórkę. Musiał wcześniej zdjąć płaszcz. Pewnie leżał w przedpokoju, na podłodze. Albo na strychu. Nie pamiętał, jak się stamtąd wydostał. Nie mógł sobie przypomnieć, czy zjechał windą, czy zszedł po schodach.

– Tak? – odebrał, nie patrząc na wyświetlacz.

– Gdzie jesteś?

– W domu.

– I?

– Nic.

– Mam tu coś. Musisz rzucić na to okiem.

Winter wyczuł w głosie Ringmara podekscytowanie. To było jak gorączka. Bertil wiedział. On też już wiedział. Nauczyłem się od niego.

– Co jest, Bertil?

– Plany domu przy Chalmersgatan. Klatki Schiölda. I Barknera. Przejrzałem je jako pierwsze, bo tam się to wszystko zaczęło.

– Tak? I co znalazłeś?

– Kąty i zakamarki – odparł Ringmar. – Ciemne zakamarki.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Na planach widać zabudowaną spizarnię albo jakąś komórkę, między mieszkaniem Schiölda a tym sąsiednim. Pochodzi pewnie z czasów, kiedy całe piętro należało do jednego kupca. Przypomina długi tunel.

Średniowiecze, pomyślał Winter. Tunel.

– Da się tam dojść z piwnicy. Pod klatką schodową, a później

jakimiś schodami na górę.

Winter miał przed oczami tę ciemną komórkę. I światło, które musiała wpuszczać do środka.

– Najwyraźniej nikt już o niej nie pamiętał – usłyszał głos Ringmara.

Aż do dzisiaj.

Ciemność... ale nie jest... nie mogę... widzę ją... ale dziwna... zimno mi. Coraz zimniej. I to... co się stanie... Nie mogę złapać tchu. Tak nagle! Jak się oddycha? Ciemność. Miałam swoje okno. I ptaszka. Słyszałam ptaszka. Już oddycham. Co za podmuch. Unoszę się. Mogę latać. Jak ten ptaszek. Róg... I jeszcze coś. Kierownica. Jego kierownica. Biegł. Dziecko biegło. I znów podmuch. Może ich uciszyć. Gdziekolwiek by byli, są głośno. A tu jest cicho. I ciemno. Wieje. Wiatr dmucha. Wali. Wali w nich. Bang, bang! Wieje. Zimno. Zimno mi. O, światło! Bang, bang! Cicho, robi się coraz jaśniej. Czy oni nie mogą być cicho? Cicho tam. Jest zbyt jasno. Uciszcie się!

WINTER ODLECIAŁ Z LANDVETTER o trzynastej zero sześć. Niebo wciąż było niesamowicie błękitne. Miał międzylądowanie w Monachium. Lotnisko nadal wydawało się nowe, ściany były ze szkła.

Samolot linii Lufthansa krążył chwilę nad Malagą. Pod nimi rozciągało się niebieskie, zimowoniebieskie morze. W okolicach gór spalona słońcem ziemia się zazieleniła. Jakby nastąpiła krótka wiosna. Za kilka godzin znów zrobi się czerwona od zachodzącego słońca. Winter był spokojny. Jak zawsze przed kulminacyjnym momentem śledztwa. Długo był w drodze. To nie była nagła podróż. Zarezerwował ten lot, zanim to sobie uświadomił.

Samochód z wypożyczalni czekał na niego przed lotniskiem. Wjechał na autostradę niedaleko Churriany i ruszył na zachód. Drapacze chmur w Torremolinos odcinały się na tle nieba. Jak wieże. Wieże krzyżowców, pomyślał. Wieża kościoła we Fuengirolí mieniła się jak czerwone złoto. To tam wzięliśmy ślub. Po lewej połyskiwało morze. Po drugiej stronie zatoki Calahonda widział Marbellę. Miasto przypominało okręt odbijający się w tafli wody. Opuścił szybę. Powietrze było chłodne. Pachniało solą, glonami i benzyną. I jeszcze czymś trudnym do sprecyzowania, co można znaleźć jedynie za granicą.

Wjechał do centrum ulicą Avenida Severo Ochoa, a potem skręcił w lewo, w Calle del Fuerte. Tymczasowy objazd. W centrum Marbelli wciąż były jakieś objazdy.

Udało mu się znaleźć miejsce pod hotelem Avenida Antonio Belón. Czyli pod dawnym Hotelem Lima. Jakiś czas temu był piękny i nowy. Teraz już tylko piękny.

Zameldował się w recepcji i wjechał na górę, do pokoju pięćset pięćdziesiąt trzy. Otworzył drzwi, wszedł, odstawił małą torbę podróżną i rozsunął drzwi na balkon. Mieszkali tu, gdy Angela przyjechała do Marbelli po raz pierwszy. Wtedy jeszcze z pokoju rozciągała się panorama na całe morze. Kilka lat

później po drugiej stronie ulicy wybudowano dom, który popsuł widok. Mimo to zawsze wracali do pokoju pięćset pięćdziesiąt trzy.

Wybrał numer domowy i wyszedł na balkon. Zapach soli był tu jeszcze wyraźniejszy. Dołączył do niego zapach grillowanej ryby. Po zmroku unosił się nad starówką Marbelli. Powietrze zanieczyszczały spaliny niskooktanowej benzyny i węgla drzewnego. Zaciągnął się zapachami wybrzeża. Tutaj nie potrzebował cygar.

Angela odebrała.

– Jestem już w hotelu – powiedział. – Właśnie stoję na balkonie.

– Zimno jest?

– Niespecjalnie.

– Co teraz zrobisz?

– Muszę coś zjeść.

– To idź zjeść i wracaj do domu, Eriku.

– Muszę się czegoś dowiedzieć. Wiesz przecież. Rozmawialiśmy już o tym.

– Ty o tym rozmawiałeś. W Marbelli też jest policja. Nie zamierzam zresztą powtarzać tego, co już mówiłam.

– Ja też nie. Czekanie na hiszpańską policję trwałoby zbyt długo. Wszystko by się przeciągnęło.

– Chyba zawsze się przeciąga?

Milczał. Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Nie było też chwili do stracenia. Herman Schiöld, a w zasadzie Herman Dahlquist, już nigdy nie wróci do Szwecji. Erik Lentner może też nie. Nie powinien wracać, ze względu na Hermana. Winter miał jeszcze szansę coś zrobić. To byłby taki końcowy akord.

– Wracam jutro – powiedział. – Lot Air France o osiemnastej trzydzięci. Spotkamy się na lotnisku o wpół do dwunastej.

– Więc cała ta sprawa zakończy się jutro? Jesteś tego pewien?

Pod hotelem przejechał samochód. Usłyszał głosy dolatujące z lewej strony, znad Avenida Miguel Caño. Hotel miał kształt żelazka, a jego pokój znajdował się niemal na samym czubku.

– Może nawet dzisiaj wieczorem – odparł.

– Nie wiesz nawet, gdzie są.

Nie odpowiedział.

– Rozmawiałam niedawno z Bertilem – powiedziała Angela.

– Udało mu się porozmawiać z Gerdą Hoffner.

– Cieszę się.

– Znaleźli ją dosłownie w ostatniej chwili. Zostało jej niewiele czasu.

Zdawał sobie z tego sprawę. Był przecież na miejscu.

– Wciąż jest w szoku. Nie odpowiedziała na zbyt wiele pytań.

– Aha.

– Ty chyba tak czasami mówisz, prawda? Że nigdy nie ma zbyt wielu odpowiedzi.

– W tej sprawie jest jeszcze kilka, których nie znamy – odparł. – Dlatego tu jestem. – Poczul na twarzy wieczorną bryzę. Czuł się silny. – Zadzwonię wieczorem.

– Uważaj na siebie. – Usłyszał, że się zaśmiała albo westchnęła. – Że też muszę to mówić.

– Kocham cię, Angela – powiedział i rozłączył się.

Nie miał daleko. Wyszedł z hotelu, skręcił w prawo, minął dwie przecznice, znów skręcił w prawo, w Notario Luis Olivier, a potem przeszedł sto metrów, do restauracji Timonell na rogu Norte. Na ulicy przed lokalem stało jeszcze kilka stolików, ale po zachodzie słońca zrobiło się dość chłodno. Przecież tutaj też jest zima.

Enrique uklonił się, gdy wszedł do środka, jakby ostatni raz widzieli się wczoraj. Kelner stał pochylony przy barze i oglądał mecz w telewizorze wiszącym nad wejściem do toalety. Winter był pierwszym gościem tego wieczoru. Ale kolejni klienci pewnie i tak zjawią się dopiero kilka godzin po jego wyjściu.

Był z rodziną w Timonell przynajmniej pięćdziesiąt razy. To było ich ulubione miejsce, kiedy spędzali tu tamto zimowe półrocze. Jedzenie zawsze było świetne i zawsze podawane z największą dbałością. Wystrój był prosty, trochę surowy, białe obrusy. Można powiedzieć – autentyczny. Wielu turystów, zajrzawszy przez okno, wcale się nie zatrzymywało. Nawet latem w ogródku przesiadywało niewielu cudzoziemców. Jak na sekretnej ulicy. Czy Angela nie powiedziała tak

przypadkiem, gdy siedzieli tu w ciepły wiosenny wieczór?

– Sam? – zapytał Enrique, odrywając się od baru. Przywitał Wintera uściskiem dłoni. Byli w tym samym wieku. Mówił mu kiedyś, że pochodzi z Kadyksu.

– Tym razem tak – odpowiedział Winter, a jego hiszpański przypominał mu dziwny posmak czegoś, czego nie próbował od dawna. – Niestety nie mam zbyt wiele czasu.

Enrique podniósł brew.

– Szukam tu kogoś – oznajmił Winter. – Zaczynam dziś wieczorem. Przyjechałem niedawno i jestem bardzo głodny.

– Poprosić kucharza, żeby ci ugotował *lenguado*?

– Znakomicie.

– Wina?

– Kieliszek, sam wybierz. I wodę.

Enrique skinął głową i poszedł do baru. Powiedział coś do oglądającego mecz barmana. Komentator mówił rozemocjonowanym tonem, ale nie oznaczało to wcale, że coś szczególnego działo się na boisku. Winter zorientował się, że to derby Madrytu, Atlético mierzyło się z Realem. Ale to było daleko, daleko na północ.

Enrique wrócił do stolika z białym winem w schłodzonym kieliszku, szklanką i małą butelką wody mineralnej.

Kilka minut później przyniósł talerz *anchois*, koszyk z chlebem i miskę sałatki z grillowaną papryką. Winter skosztował wina. Potem spojrział na zegarek. Wieczór wciąż był młody. Delektował się jedzeniem, łamał chleb. Potrzebował słonego smaku sardeli. Dobrze robi na zmęczenie po podróży.

Enrique w końcu przyszedł z grillowaną solą, połówkami cytryny i oliwą z oliwek.

Winter minął stare Campo de Fútbol, które – odkąd pamiętał – nigdy nie służyło za boisko. Pusty, zakurzony plac w centrum miasta. Wciąż czekał, aż obejmie go *urbanización*. Winter pomyślał o boiskach na Heden w centrum Göteborga.

Przystanął na czerwonym świetle przy Avenida Ricardo Soriano, a potem przeciął tę reprezentacyjną aleję. Teraz świeciła pustkami. Sezon się skończył. Najspokojniejszy okres na Costa del Sol.

Poszedł prosto, a potem skręcił w prawo, w Benavente. Chodził tędy setki razy, najczęściej z dziećmi. Szli z albo do domu. Mieszkali przy San Francisco, przy Plaza Santa Cristo. Dobrze było mieszkać w sąsiedztwie krzyża. To niedaleko stąd. Ruszył dalej alejką i doszedł do Calle Aduar, jednej z najmniejszych uliczek Marbelli. Przebiegała przez samo serce starego miasta. Spojrzał w górę. Na wielu tarasach wciąż stały otwarte parasole. Miniony dzień był słoneczny.

Skręcił w lewo i ruszył dalej Calle Aduar. Kiedy mijał jedno z okien na parterze, usłyszał głos komentatora sportowego. Tu też leciał mecz. To go uspokajało, jak krzyż na Plaza Santa Cristo.

Staął przed wejściem do domu. Popatrzył w górę. Świeciło się w dwóch oknach na najwyższym piętrze. Na tle wieczornego nieba odcinał się jakiś biały kształt. To parasol na tarasie. Tutaj niebo nigdy nie robi się czarne. Jak w Göteborgu. Jak nad morzem. Nacisnął klamkę. Była ciężka. Też jak w Göteborgu, jak w domach przy Chalmersgatan, Götabergsgatan, Teatergatan. Ale uliczka, którą miał za plecami, była o wiele węższa. Wąziutka. Minionej zimy była tu niewielka restauracja, ale widocznie ją zamknęli. A może pomylił miejsca.

Może wtedy spotkał tu Erika Lentnera. I Glorię. I rodziców Erika.

Może też Madeleine.

Wszedł po schodach. Czuć było zapach wilgoci, pleśni, słońca i cienia. Nie było elektrycznego oświetlenia, w każdym razie nie widział lamp ani włączników. Średniowiecze, jak wszędzie. Jediną oznaką nowoczesności była jego wiara w przyszłość. Nagle zatęsknił za przyszłością. Jak za latem. Nie mógł się jej doczekać. Jeszcze tylko załatwi tę sprawę, dokończy tę ostatnią podróż, a potem...

Stojąc na klatce, usłyszał muzykę. Niezbyt głośną, chyba nie dobiegała bezpośrednio z kogoś z mieszkań. Przypominała raczej odległy pomruk, szum morza. Górna połowa drzwi była przeszlona. Piękne, stare kolory, pomyślał. Nawet kościół by się ich nie powstydział. Schody były wyłożone kamieniem. Tak starym, że aż miękkim jak skóra. Dom mógł mieć trzysta,

czterysta lat. Lentnerowie dobrze wybrali. Tabliczka na drzwiach nie rzucała się w oczy, była wręcz niewidoczna. Winter domyślił się, że za drzwiami kryje się niewidoczne, wspaniałe mieszkanie.

Za szybą zamajaczył jakiś cień.

Drzwi się otworzyły.

– Słyszałem, jak ktoś otwiera na dole – powiedział Erik Lentner. Wpatrywał się w niego, jakby w jego twarzy chciał dojrzeć coś, czego ostatnio nie widział.

– Wszystko tu jest z kamienia – odparł Winter. – Pewnie dźwięki dobrze się niosą.

– Ulica też nie należy do cichych.

– Ale macie taras. I kilka okien wychodzi na drugą stronę.

– Tak.

– Mogę wejść?

– Wiedziałem, że pan przyjedzie. – Lentner otworzył drzwi szerzej. Podłoga w mieszkaniu była marmurowa, pewnie podgrzewana. Zimą w Marbelli marzli tylko rdzenni mieszkańcy.

W mieszkaniu nie było przedpokoju. Na środku, niczym wyspa, mieściła się kuchnia. Przez duże okna za drogim stołem Winter widział światła miasta. Na blacie stała butelka wina. W połowie pusta.

– Napije się pan? – zapytał Lentner.

– Nie teraz.

Lentner minął stół i szklaną ścianę i wyszedł na taras. Winter ruszył za nim. Lentner podniósł ze stolika kieliszek z winem i napił się. Na stoliku stała też lampka oliwna.

Taras wychodził na wschód i na zachód. Winter widział całą panoramę. Od Sierra Bermeja aż po Malagę. Tuż pod nim leżało stare miasto. Teraz wyglądało na ciemne i opustoszałe. Porośnięty drzewami pomarańczowymi rynecek wyglądał jak zwykły plac. Za czarnymi fasadami Mediterraneos i El Fuertes widać było plażę. Morze też było czarne. Niebo nad Afryką również. Na wodzie nie było zbyt wielu światel.

Winter popatrzył na wschód. Wzgórza nad Puerto Banús były za to rozświetlone tak jasno, że zdawały się ruszać. Ale i tam, w

Nueva Andalucía, było teraz spokojnie.

– Chyba tam teraz jest – powiedział Winter i wskazał głową w stronę światełek.

Lentner też tam spojrział.

Nie odpowiedział.

– Jest tam dzisiaj – ciągnął Winter.

– Skąd pan wie?

– Tylko to miejsce wchodzi w grę.

– Nie rozmawiał pan z miejscową policją? – zapytał Lentner.

– Nie obserwujecie wszystkich podejrzanych miejsc?

– Gdyby tak było, nie siedziałby pan teraz tutaj – odparł Winter po chwili.

– Racja.

– Ani razu nie zapytał mnie pan, kim on jest.

– Nie muszę pytać, skoro wiem. Szkoda czasu.

Lentner znów uniósł kieliszek. Wydawał się spokojniejszy. W świetle lampki oliwnej wino wydawało się czarne. Winter miał ogromną ochotę się napić. Później, za kilka godzin, to zrobi.

– Problemem Hermana jest czas – powiedział Winter.

Lentnerowi zadrżała ręka. Odstawił kieliszek.

– Pewnie myśli, że ukradliście mu czas – ciągnął Winter. – Dużo czasu.

Lentner coś odpowiedział, ale Winter nie dosłyszał.

– Proszę?

– Wie, gdzie jestem.

– To dlaczego tutaj nie przyszedł?

– Nie wiem.

– Dlaczego pana nie zabił? Pana również?

– Może uwierzył.

– W co?

– W to, że nic nie pamiętałem. – Lentner popatrzył na Wintera. – Że nie mogłem sobie przypomnieć. – Teraz spojrział w stronę Nueva Andalucía. – To się nazywa zaćmienie pamięci.

– Spowodowane czym?

– Choćby tym, że Holst mnie dusił, kiedy się zorientował, że widziałem. Nie od razu się zorientował, ale jednak. Przy basenie były zarośla. Rosły jak ściana. To mu pasowało. Mógł

tam ze mną robić, co chciał.

– Ale co zrobił?

– Mówiłem, dusił mnie. Nic więcej nie pamiętam. Nie wiem, co było przed i po.

– Nie wierzę. Na litość boską, Eriku, niech pan powie, co się tam stało!

Lentner się wzdrygnął. Wyciągnął rękę po kieliszek, ale natychmiast ją cofnął.

– Holst molestował mnie przez dłuższy czas. Tyle pamiętam.

– Lentner zapatrzył się na światła miasta. Nagle wszystkie jakby pojaśniały. Jego głos nabrał siły. – Ale nie chcę pamiętać.

Wydawało mi się, że już zapomniałem. – Spojrzał na Wintera.

– To zaćmienie pamięci to nie kłamstwo. To się zdarza po traumatycznych przeżyciach.

Tutaj zdarzyło się tylko po jednym, pomyślał Winter. Ale Lentner jeszcze nie opowiedział wszystkiego.

– Jego żona miała romans z Hermanem – ciągnął Lentner. – Co za para. Peder i Annica. – Popatrzył na miasto, morze, niebo. – Nie wiem, ile lat miał wtedy Herman. Siedemnaście albo osiemnaście. Nosił inne nazwisko. Annica wiedziała, co się dzieje. A Peder wiedział o niej, o tym, co robiła.

– A Madeleine? Co wiedziała?

– Może więcej, niż się wszystkim wydawało – odparł Lentner.

– To znaczy?

Lentner spuścił głowę, jakby nie miał już siły trzymać jej prosto. Ale jego głos nadal brzmiał mocno.

– Nie znam wszystkich szczegółów. Mówiłem, że chciałem zapomnieć. Że musiałem zapomnieć. Musiałem kłamać, chociaż dla mnie to nie było kłamstwo. Peder Holst groził, że mnie zabije, jeśli powiem prawdę. O tym, co ze mną robił, ale też o tym, co było między Annicą i Hermanem. Bóg jeden wie, może Hermana też napastował. Jego żona mogła o tym wiedzieć. I z nią, i z nim coś było nie tak. Musiała zapłacić. Miała sekret, który chciała zachować dla siebie. Nie wiem, co między nimi było, między nią i Hermanem. Ale Hermanowi przyszło za to zapłacić o wiele wyższą cenę.

Winterowi przypomniał się puchar. Bezużyteczna nagroda.

Widocznie Herman chciał zamazać to, co mu przypominało o szczęściu.

Lentner zatrząsł się od chłodnego wiatru. Zrobiło się zimno. Nagle usiadł na krześle, wręcz na nie padł. Lampka oświetlała mu twarz. Przypominał teraz chłopca, którym był dwadzieścia lat wcześniej.

Mówił o kłamstwie. Peder i Annica Holstowie trzymali się swojego kłamstwa aż do końca.

– Wykorzystali i mnie, i jego – powiedział Lentner. – Tak to sobie obmyślili. Nie wiem, czy im się udało oszukać Madeleine. Może i ona o wszystkim wiedziała. Holstowie nie chcieli już tego ciągnąć, ale wykorzystali nas obu. A Hermana obarczyli całą winą za to, co mi się przytrafiło. To było złe.

On zabił twoją żonę, pomyślał Winter. To też było złe. Wszystko wydaje się złe.

– Dlaczego wcześniej nie powiedział mi pan o Hermanie? – zapytał Winter.

– *Czy był tam ktoś jeszcze?* – zapytał Winter. – *Tego dnia w domu Holstów?*

– *Co pan ma na myśli?*

– *Nic. Po prostu pytam, czy był pan tam sam. Wtedy przy basenie.*

– *No... chyba tak.*

– *Bo nie wiedziałem, że to się ze sobą wiąże.*

– *Myślę, że pan wiedział.*

– *Sądzi pan, że chciałem to załatwić na własną rękę?*

Nie. Winter wciąż wpatrywał się w jego twarz. Zarazem chłopięcą i męską.

To nie chęć zemsty kierowała Lentnerem, kiedy postanowił tu przyjechać. Kierowało nim poczucie winy. A to o wiele silniejsze uczucie. Nigdy nie znika.

– *Jedzie pan ze mną?* – zapytał Winter.

Lentner nie odpowiedział. Winter odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– *Jadę – odezwał się Lentner za jego plecami. – Zadzwoń po taksówkę?*

– *Mam samochód. Zaparkowałem przy plaży.*

WYJECHALI Z MARBELLI, NIE MÓWIĄC do siebie ani słowa.

Wzdłuż prowadzącej do Puerto Banús esplanady ciągnęły się palmy i hotele.

Winter skręcił na nowym rondzie przed Corte Inglés. Ruszyli pod górę.

– Ma pan adres? – zapytał nagle Lentner.

– Tak.

Winter objechał Plaza Española.

– Pamięta pan, gdzie to jest?

– Nie. – Lentner patrzył przez okno. Na zewnątrz wszystko było białe albo czarne. – Potem już nigdy tam nie byłem.

Jechali Avenida de Prao. Z przodu, po lewej stronie, ciągnęło się pole golfowe Las Brisas. Winter widział na nim przypominające łodzie na morzu światełka. Może gracze noszą latarki czołowe. Skręcił w lewo, w jedną z dwóch przecznic nazwanych na cześć europejskich miast. Zatrzymał się przed domem. Światła samochodu rozświetlały trawnik, aż po graniczące z nim pole golfowe. Czerwona chorągiewka powoli łopotała na wietrze.

Lentner popatrzył na dom. We wszystkich oknach było ciemno. Na ulicy nie było żadnego innego samochodu. Dom miał dwa piętra. Fasada wydawała się bardzo jasna, oświetlał ją ukryty między palmami reflektor. Z tyłu, za domem, unosiła się niebieskawa poświata.

– Boże, nie wejdę tam – powiedział Lentner.

Winter odwrócił się do niego.

– Czy jest coś, co może mi pan o nim powiedzieć?

Lentner pokręcił głową.

– Dlaczego tu wrócił? – zapytał Winter.

– Nie wie pan, czy to Herman. Nie wie pan, czy tu przyjechał. Więc to może być ktoś inny.

– Kto?

Lentner nie odpowiedział.

– Peder Holst?

Lentner się zaśmiał. Jego śmiech przypominał terkot. Jakby miał coś w gardle. Albo jakby ktoś zacisnął mu rękę na szyi.

Winter wysiadł.

Pchnął kutą żelazną furtkę. Była podobna do tej przed domem jego matki. Jej willa stała po drugiej stronie pola, na Pasaje José Cadalso. Niedaleko. Jadąc tu, ani razu o tym nie pomyślał. Bo tam, po drugiej stronie, jest inny świat. Nie ma nic wspólnego z tym tutaj. Furtka otworzyła się bezgłośnie. Winter zrobił kilka kroków. Teraz niebieska poświata wydawała się wyraźniejsza. Po lewej stronie, wzdłuż ściany, biegła wykładana kamiennymi płytami ścieżka. Ciągnęła się aż do szczytu budynku. Płyty ułożono w dużych odstępach. Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma. Winter ruszył w stronę poświaty. Obszedł dom. Miętko stapał po płytach, zupełnie jakby szedł boso.

Zatrzymał się. Otaczało go teraz niebieskawe światło. Unosiło się znad basenu, barwiąc wszystko wokół.

Twarz Hermana Schiölda też była niebieska.

Siedział na brzegu basenu, z nogami w wodzie. Wyglądał, jakby się uważnie wpatrywał w coś na dnie.

Podniósł głowę i popatrzył na niego niewidzącym wzrokiem, a potem znów spojrział w dół. Poruszył nogami.

Wrócił tu. Tak jak czekający w samochodzie Erik Lentner. I jak ten młody Herman Dahlquist. Wrócili tu po raz pierwszy. Wrócili naprawdę.

– Herman, dlaczego tu przyszedłeś?

Schiöld popatrzył na niego.

– Bo to ostatni raz – odparł.

– Co to znaczy?

– Nie musiałeś tu przyjeżdżać, Winter.

– Wiedziałeś, że przyjadę.

– Ale nie wiedziałem, że dzisiaj.

– A co zamierzasz zrobić dzisiaj?

Schiöld ruchem głowy wskazał na dno basenu.

– Zakończyć to wszystko – odparł. – Nadal mam zamiar to

zakończyć.

– Wystarczy już tego. Już zakończyłeś.

Schiöld kolejny raz poruszył stopami. Popatrzył na Wintera.

– Przeżyła, prawda? Znaleźliście ją?

Winter przytaknął.

– Wiedziałem, że sobie poradzisz, Winter. Nie chciałem jej skrzywdzić. – Zaśmiał się. Tak samo terkotliwie jak Lentner. – Nigdy w ciebie nie wątpiłem.

– A teraz wątpisz w samego siebie? – zapytał Winter. – To dlatego tutaj siedzisz?

Schiöld nie odpowiedział.

– Dlaczego zabiłeś brata?

– To był wypadek. Ten facet może ci powiedzieć. Ten, który tam był.

– A dlaczego zabiłeś Svenssonów?

– Nie planowałem tego. To ich wina. To przez ich chciwość. Nie chcieli mnie zostawić w spokoju.

Schiöld wodził wzrokiem wokół basenu, po palmach, kamieniach, trawie i białej ścianie domu. Jakby widział wszystko pierwszy raz, pomyślał Winter.

– Co oni ci tu zrobili?

Schiöld popatrzył na dno basenu.

– Zrzucili na mnie winę – odparł. – To mi zrobili.

– Winę za co?

– Za Erika oczywiście. Winę za Erika. Miał milczeć. I w pewnym sensie milczał. A mnie nikt nie uwierzył.

Schiöld podniósł wzrok.

– Potem zmieniłem nazwisko, ale to mnie przed niczym nie ochroniło. – Znów się zaśmiał. – Nic nie pomogło. Ale teraz to już bez znaczenia.

– A nie było bez znaczenia, kiedy zabijałeś Madeleine i Glorię? – zapytał Winter.

Schiöld popatrzył na niego. Winter nie był pewien, czy widzi jego spojrzenie. Wszystko wokół było zbyt niebieskie. Oczywiście Schiölda też. Były tak samo niebieskie jak jego skóra. Znów poruszył stopami w wodzie. Winter dopiero teraz zauważył, że jest nagi. To przez to błękitne światło. Wyglądało jak ubranie,

jak kombinezon. Na ramionach i klatce piersiowej Schiölda wciąż rysowały się mięśnie. Smutne wspomnienie po tysiącach kilometrów przepłyniętych w basenie.

– I tak zrobiłem to dużo za późno – powiedział. – Pozwoliłem im zasnąć. Teraz tego żałuję. Naprawdę.

– Czy to ty powiesiłeś torbę z filmem na moich drzwiach? Już wtedy żałowałeś?

Schiöld chyba go nie usłyszał.

– Miałeś nadzieję, że cię znajdę?

– Znalazłeś – odparł Schiöld. Powoli pochylił się nad wodą. – Ale teraz jest już za późno. Wykorzystano nas obu, ale Erik stchórzył. Nie wiem, czy się bał. Ale stanął po ich stronie. To tchórzostwo. Dlatego go nie lubiłem. Zresztą nigdy go nie lubiłem. Myślałem, że jest moim przyjacielem. Ich córka też. A ona skłamała. Na pewno. Też stchórzyła. – Poruszył stopami. Jego nogi wyglądały, jakby ktoś je odciął na wysokości łydek. – Trafiłem do tutejszego więzienia. Nie wiedziałeś, prawda? Trzy lata pod innym nazwiskiem, ha, ha.

Na chwilę zamilkł.

– Traktowali mnie, jakbym miał wścieklicznę – zaczął po chwili. – Jakbym był zakażony. Rozumiesz?! A nawet nie byłem jeszcze dorosły. – Podniósł głos. – Przychodziłem tu tylko poćwiczyć pływanie. A oni zniszczyli mi życie!

Winter widział, jak napinają mu się mięśnie na ramionach. Schiöld podniósł rękę, ale zaraz ją opuścił.

– Mówiła, że mnie kocha – powiedział. – Annica Holst.

– Wierzyłeś w to?

– Wtedy tak.

– Erik was widział, prawda?

– Oczywiście.

– Holst też.

– Oczywiście – powtórzył Schiöld. – Miał wybór, kiedy zmyślali tę historię. Ona o tym wiedziała. Nie wiem, kiedy się zorientowała, co robi jej mąż. A on wiedział o niej. O nas. – Znów napiął ramię. A może tylko lekko je podniósł. – O mnie.

– Dlaczego w takim razie nie zabiłeś ich? – zapytał Winter. – Rodziców. Pedera i Anniki?

– To rada od policjanta?

– Nie, pytanie.

Schiöld zapatrzył się w wodę.

– Bo to, co zrobiłem, było gorsze. Bardziej ich zaboląło. Będą musieli z tym żyć. A to gorsze niż śmierć. – Oparł dłonie o brzeg basenu i powoli zaczął się zanurzać w wodzie. – Poświęcili mnie. Musiałem złożyć ofiarę. – Woda sięgała mu już do klatki piersiowej. Winter widział, że po tej stronie basen jest głęboki. – A teraz to zakończę.

Zanurzył głowę i zaczął opadać na dno.

– Herman!

Ale Herman nie słuchał. Już był na dnie. Woda była niesamowicie przejrzysta i niebieska. Schiöld się wyciągnął, rozpostarł wszystkie kończyny niczym skoczek spadochronowy. Winter widział jego twarz. Oczy miał otwarte. Wyglądał jak niewidomy. Winter się nie ruszał. Schiöld zamarł. Tam, na dole, czeka śmierć, pomyślał Winter. Usłyszał coś i sekundę później zobaczył, jak Erik Lentner wskakuje do wody. Nie słyszał, jak szedł ścieżką wokół domu. Lentner płynął w dół. Schiöld nadal się nie ruszał. Chyba zamknął oczy. Ciało Lentnera zasłoniło ciało Schiölda. Schiöld chyba go nie słyszał ani nie widział. Lentner pływał wokół niego. Miał na sobie koszulę, długie spodnie, skarpety i buty. Obok nagiego, rozciągniętego jak na krzyżu Schiölda wyglądał jak zupełnie inne stworzenie. Bo Schiöld sprawiał wrażenie ukrzyżowanego. Lentner chwycił go za ramię, ale było tak, jakby ktoś przybił je gwoździami do dna. Więc Lentner puścił i złapał za nogę. Schiöld nią poruszył. Miał silne nogi. Winter wciąż stał jak skamieniały. Stał nad brzegiem basenu, ale nie zbliżył się do wody. Ta walka na dole nie było jego walką. Nie mógł ocalić wszystkich. Bo i tak, jak dotąd, nie ocalił nikogo. Tym razem. Ale przez lata udało mu się to kilka razy. To, co widział na dnie, nie wyglądało zresztą jak walka. Schiöld leżał bez ruchu. To Lentner nim poruszał. Raz nogami, raz rękami, znów nogami i rękami. Jakby Schiöld pływał.

Lentner zwolnił uścisk i wypłynął. Winter widział, jak jego twarz zbliża się do powierzchni, a potem ją przecina.

Oddychał bardzo szybko i głęboko. Oczy miał czerwone.


Chwycił się brzegu basenu. Wyciągnął do Wintera rękę, ale Winter go nie widział. Wciąż patrzył na postać na niebieskim dnie. Ruszała się, a może coś poruszało ją. Jakby jakaś siła, jakiś podwodny wiatr oderwał ją od dna. Powoli zaczęła wypływać na powierzchnię. Wreszcie Winter chwycił dłoń Lentnera. Postać była coraz bliżej. Oczy wciąż miała niebieskie. Schiöld nie zaciskał już powiek. Kiedy wynurzyła się jego ręka, jakby w samozachowawczym odruchu, Winter złapał również ją. Próbował ciągnąć obie ręce w górę, ale ciężar był tak duży, że ciągnął go w dół. Trzymali się wszyscy za ręce. Dwie z nich były jego, ale teraz nie mógł się już uwolnić. Padł na kolana, próbował utrzymać równowagę. Nie mógł wyrwać rąk z uścisku. Coś ciągnęło go w dół. Zobaczył czyjąś twarz, rękę, nogę. Zachwiał się i nagle poczuł wodę. Usłyszał jakiś dźwięk, ale stłumiony, jakby dobiegał z innego świata. Jakby mu się śnił. Zrozumiał, że jest pod wodą.

W eleganckiej dzielnicy Göteborga zostaje znalezione ciało kobiety. Na miejscu policja zastaje męża ofiary leżącego obok zwłok w stanie ogromnego szoku. Po kilku dniach w tej samej dzielnicy policja zostaje wezwana do takiej samej zbrodni. Przy uduszonej żonie leży szokowany mąż. Dla policji wszystko wydaje się proste i obaj mężczyźni są głównymi podejrzanymi. Jednak w toku śledztwa pewien młody asystent policyjny nie zgadza się z tą teorią, zwracając uwagę na jeden mały szczegół...

Ostatnia zima to dziesiąty tom bestsellerowego cyklu dziesięciu powieści kryminalnych połączonych postacią komisarza Erika Wintera. To pełne napięcia thrillery o mrocznych zakamarkach ludzkiej duszy. Opowiedziane z ironicznym dystansem, zmuszają do refleksji nad sprawami daleko odbiegającymi od sensacyjnej fabuły.

Åke Edwardson (ur. 1953 r.) znany i ceniony autor kryminałów. Jako pisarz zadebiutował w 1995 r., przedtem pracował jako dziennikarz i wykładowca uniwersytecki. W latach 1981–1982 był oficerem prasowym przy ONZ na Bliskim Wschodzie. Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych szwedzkich autorów.

Edwardson od wielu lat cieszy się międzynarodowym uznaniem, a jego książki zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. Otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia, w tym trzykrotnie prestiżową nagrodę Szwedzkiej Akademii Pisarzy Kryminalnych.

Dostępna także jako 

Cena: 39,90 zł

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

 de ckare.pl

ISBN 978-83-7554-538-8



9 788375 545371 >